

W cieniu gilotyny

ALLISON PATAKI  
OWEN PATAKI



W CIENIU  
GILOTYNY

**W cieniu gilotyny**

**Allison Pataki, Owen Pataki**

# **W cieniu gilotyny**

Tłumaczenie:

**Hanna Hessenmüller**

## **W cieniu gilotyny**

*Naszym najbliższym: mamie i tacie, Emily i Teddy'emu.*

*Tym, którzy pobudzają naszą wyobraźnię i wiarę w wielkie marzenia.*

## W cieniu gilotyny

*Ta bitwa rozpocznie nową erę w dziejach świata.*

Johann Wolfgang Goethe  
Valmy, Francja, wrzesień 1792 r.

*Okręt rewolucji bezpiecznie dotrze do portu przeznaczenia tylko wtedy, gdy przepłynie przez morze krwi.*

Louis de Saint-Just  
„Anioł Śmierci”, polityczny i wojskowy przywódca Rewolucji Francuskiej.

## PROLOG

### *Paryż*

*Zima 1792 r.*

Jeszcze ich nie widzi, ale już słyszy setki, tysiące głosów dobiegających spoza więziennych murów. Głosów młodych i starych, kobiecych i męskich, a wszystkie tak samo niecierpliwie domagają się, by nowa krew zwilżyła świeżo wyostrzony nóż gilotyny.

I czuje na karku chłód starych zardzewiałych nożyc wydających z siebie upiorne jęki i zgrzyty, gdy niemłody już i cuchnący winem strażnik szybko i zręcznie zacznie podcinać mu włosy na potylicy.

Przecież ostrze gilotyny nie powinno zaplątać się we włosy.

Cienkie wijące się kosmyki sfruwają na ziemię. Na ich widok robi mu się słabo, ale nie sposób sobie ulżyć, gdy ma się w żołądku idealną pustkę. Można tylko patrzeć na siwe zwiastuny tego, co stanie się z głową, na której wyrosły. Siwe, i takie właśnie zwykle opadają na tę kamienną posadzkę nawet z młodych głów, wszak terror szybciej przydaje człowiekowi lat niż upływ czasu.

– Ruszaj się, stary łamago! Tam idź! – warczy strażnik, wysuwając pokrytą bliznami brodę w stronę odległego końca korytarza.

Tym sposobem Alexandre de Valière, wystrzyżony bardziej niż półroczne jagnię, wyrusza na ostatnią w swoim życiu przechadzkę. Powoli idzie spowitym w mrok więziennym korytarzem, z trudem przestawiając nogi zakute w ciężkie łańcuchy, a niewywołani tego dnia towarzysze niedoli popatrują za nim przez wąskie otwory w drzwiach i dziękują Bogu, że pozwolił im jeszcze jeden dzień spędzić w małej kwadratowej celi, która w porównaniu ze złowrogim mrocznym korytarzem wydaje się miejscem tak bezpiecznym, że niemal przytulnym.

A on już czeka na dziedzińcu, już stoi wśród innych skazańców, i podnosząc do ust to jedną, to drugą dłoń, dmucha w nią, by dać choć odrobinę ciepła skostniałym palcom.

– Ile ich tam jest... Chyba tysiące... – mamrocze młody mężczyzna, wlepiając w niego oczy. Nie może mieć więcej niż trzydzieści lat i niewątpliwie umiera ze strachu.

De Valière kiwa tylko głową, za to głośno włącza się inny skazaniec:

– Już ci za głośno, tak? A to jeszcze nic w porównaniu z tym, co usłyszysz na drugim brzegu rzeki! – Spluwa na zamarznąłą ziemię. Jest łysy jak kolano, czyli nie musieli mu podcinać włosów.

Ludzie już od świtu gromadzili się pod murami więzienia, dawnej siedziby królów. Od kilku tygodni to rytuał. Zbierają się pod więzieniem i po obu stronach tej ostatniej drogi, która wiedzie przez niewielką wyspę na środku Sekwany, most przed ratuszem, ulicę Saint-Honoré i kończy się na wielkim placu, kiedyś placu Ludwika XV, a niedawno przemianowanym na plac Rewolucji. Kończy się tam, gdzie oblegający

## W cieniu gilotyny

szafot tłum wydaje ogłuszający ryk na widok nadjeżdżających skazańców.

– Już czas! Ruszać się! – woła strażnik, wskazując muszkietem dwukołowy wóz. – Pani Gilotyńska nie powinna zbyt długo czekać!

– A tak... Przecież jego świętym obowiązkiem jest przewieźć potępione dusze przez rzekę piekielną – mamrocze pod nosem de Valière, któremu w pamięci nagle ożyły wersy Dantego.

– Nie pyskować! – wrzeszczy stojący tuż obok strażnik i podnosi muszkiet, jakby chciał kolbą uderzyć kogoś w twarz.

De Valière odruchowo krzywi się i przechyla głowę w bok, a jednocześnie przez głowę przemyka mu gorzka myśl: Bać się głupiej kolby? Właśnie teraz?!

Czeka koło wozu na swoją kolej. Pomaga wsiąść staruszce, która stoi przed nim. Gdy ostatni z więźniów znalazł się na wozie, strażnik otwiera bramę, a woźnica strzela z bata i drewniane koła zaczynają powoli się obracać, skrzypiąc rozpaczliwie jak sztywne, obolałe kości zimnego poranka. Wóz posuwa się do przodu. Trochę trzęsie, dlatego de Valière chwytając za poręcz, uśmiechając się – ale jest to bardzo nikły uśmiech – do stojącej obok staruszki, która też się uśmiecha niemal niewidocznie, przy czym obiema rękami chwytając de Valière'a za ramię. Jej drżące ręce zdradzają, jak wielki ogarnął ją strach.

Przejeżdżają przez otwartą bramę, której pilnują strażnicy. Są znudzeni, ale nic w tym dziwnego, skoro wóz ze skazańcami przejeżdżał tędy już wczoraj, i to niejedną raz, dziś też będzie kursował w obie strony, a jutro ma pojawiać się jeszcze częściej. Kiedy wyjeżdżają z bramy, spoza gęstych chmur nagle wysuwa się złocista tarcza i w jednej chwili całe miasto zostało skąpane w oślepiającym blasku słońca. De Valière mruży oczy, a kiedy po sekundzie przywykły do tej jasności, zobaczył gapiów, którzy przyszli popatrzeć na jego ostatni przejazd przez miasto. Nie, na pewno nie spodziewał się, że będą aż takie tłumy.

Tuż obok niego stara kobieta modli się do Najświętszej Maryi Panny, kurczowo ścisnąc różaniec z kości słoniowej, który jakimś cudem udało jej się ukryć przed strażnikami. Przez chwilę patrzy de Valière'owi prosto w oczy, który prawie niezauważalnie kiwa głową, żeby dodać jej otuchy, i nagle jego uszy wylapują jakiś cichy dźwięk. Tak, na pewno coś przeleciało obok jego głowy i w coś uderzyło. Spogląda przez ramię, na więźnia, który stoi tuż za nim. Na szarej koszuli widać plamę zapewne z nadgniętego pomidora. Po pomidorze frunie główka sałaty, która odbija się od ramienia de Valière'a i uderza w starą kobietę, wytrącając jej z ręki różaniec, który przelatuje nad poręczą i spada w błoto ulicy.

– Mój różaniec! – krzyczy rozpaczliwie staruszka.

Tłum sztydzi z niej, a jeden z gapiów zaczyna skwapliwie zbierać z grząskiej ziemi paciorki z kości słoniowej.

– Mój różaniec... – mamrocze staruszka. – Różaniec mojej matki...

– Stara suka! Do ostatniej chwili będzie się trzęsła nad swoim naszyjnikiem!

Jakaś kobieta z małym dzieckiem na ręku chwytając garść kapusty i ciska w więźnia na przodzie wozu, a tłum znów krzyczy:

– Zgnijecie w piekle, bogate pasibrzuchy!

Strażnicy, uzbrojeni w stare muszkiety, a niektórzy w świeżo wyostrzone piki, starają się powstrzymać żadną zemstą ciżbę,

## W cieniu gilotyny

pokrzykując:

- Zejdźcie z drogi, obywatele!

Wóznica podnosi bat, tłum rozstępuje się, a konni strażnicy eskortujący wóz ze skazańcami starają się opanować zaniepokojone hałasem wierzchowce. Gdy wóz przejeżdża przez stary most, tłum rusza za nim wąską wybrukowaną kocimi łbami ulicą prowadzącą na plac Rewolucji.

Zaden francuski monarcha, nawet Ludwik XIV, Król Słońce, nie był witany na tym placu tak głośno, jak ci skazańcy trzęsący się na wozie, który podskakuje na kocich łbach. Słychać głośne przekleństwa, a także nowy hymn Francji, przy czym każde słowo jest wykrzyczane i wywrzeszczane, po prostu słowa zlewają się w jeden ogłuszający i nasycony nienawistną groźbą ryk.

Zgromadzony wokół szafotu tłum jest tak gęsty, że de Valière nie może dostrzec ustawionego na drewnianym podwyższeniu morderczego narzędzia, którego lśniący i wysoko zawieszony nóż czeka tylko na to, by spaść na kark kolejnej ofiary.

Wysoko... I stąd kolejna gorzka myśl. Wysoko, a więc śmierć wspięła się już na wyżyny!

Gdy wóz zatrzymuje się, strażnik spuszcza klapę z tyłu wozu.

- Wsiadać! Żywo, żywo, ruszać się!

Wszyscy na wozie znieruchomieli jak posągi, dopiero po dłuższej chwili de Valière robi ten pierwszy krok. W dół, na bruk.

Ludzie przepychają się, każdy chce być jak najbliżej skazańców, wyrwać arystokracie kosmyk włosów, a przynajmniej przeorać paznokciami szlachetnie urodzone ciało. Strażnicy na koniach starają się ich powstrzymać, a piesi strażnicy, wywijając kolbami muszkietów, zmuszają skazańców, by podeszli jak najbliżej szafotu.

- Ty pierwszy - oznajmia strażnik młodemu mężczyźnie, który przedtem wlepił w de Valière'a oczy i jęczał, że tak wielki jest ten tłum.

Nieszczęśnik przyciska ręce do piersi, jakby pytał bezgłośnie:

- Ja?!

Strażnik kiwa głową, machając niecierpliwie ręką.

- Wchodźcie, mości książę - mówi, naturalnie tytuł wymawiając z naciskiem. - Lepiej nie kazać im zwać zbyt długo czekać.

Młody mężczyzna, czyli książę, o czym de Valière właśnie się dowiedział, zamyka oczy i zaczyna płakać. A na jego spodniach, w kroczu, pojawia się zdradliwa mokra plama.

De Valière zwraca oczy ku niebu, śląc w przestworza krótką modlitwę: Proszę, nie pozwól, Boże, bym też musiał się tak wstydzić. Spraw, bym odszedł z tego świata, zachowując resztki godności.

Młody książę, cały rozdygotany, faktycznie zostaje wniesiony po skrzypiących schodkach i mimo że tłum nadal jest bardzo głośny, słychać jego łkanie i protesty.

- Ale dlaczego mam być pierwszy? Właśnie ja? Na Boga, co ja takiego wam zrobiłem?

- A co to za różnica, *seigneur*? - Ostatnie słowo, to „wielmożny panie”, zabrzmiało z okrutną drwiną.

Ale co się dziwić, skoro strażnik bardzo się już znacierpliwiał. Histeryczne jęki słyszy każdego dnia i bardzo go znudziły. Poza tym ma za zadanie dopilnować, by przedstawienie zaczęło się, zanim tłum ogarnie

## W cieniu gilotyny

jeszcze większe szaleństwo.

De Valière widzi, jak związują księciu gładkie, wypielęgowane ręce i prowadzą na sam środek szafotu. Widzi też pleciony kosz ustawiony poniżej miejsca, w które celować będzie ostrze gilotyny. Książę klęka. Mocne grube palce strażnika zakleszczają się na jego szyi, zmuszając, by obrócił twarz ku ziemi i oparł się szyją o półkoliste wyżłobienie w desce przed nim. Z góry spuszczone zostaje druga deska z identycznym wyżłobieniem, i kiedy obie się zetkną, owe żłobienia tworzą coś w rodzaju drewnianej pętli wokół szyi skazańca, skutecznie unieruchamiając głowę. Książę szlocha, stara się oswobodzić, ale na próżno, bo szyja tkwi już w drewnianych kleszczach.

De Valière wstrzymuje oddech, ale nie może oderwać oczu. Patrzy, jak książdź robi znak krzyża nad wijącym się księciem. Rozgrzesza, ale do skazańca zapewne to już nie dociera. Kiedy kat zwalnia zatrząsk i ostrze opada, de Valière ma oczy zamknięte, ale przecież słyszy cięcie, a potem tak głośny ryk z tysięcy gardeł, że nie słysząc, jak odcięta głowa spada do kosza.

– Jeszcze!

– Następny!

Tłum, kiedy poczuł już zapach krwi, wpada w coraz większy szal. Strażnik wywołuje tę starą, kruchą, rozmodloną kobietę, która opierała się na ramieniu de Valière'a, a on już nie jest w stanie na to patrzeć. Nie chce wiedzieć, co malować się będzie na drobnej, pomarszczonej twarzy, gdy przy akompaniamencie przekleństw i szyderstw motłochu wprowadzać będą starą damę na szafot. Powieki ma zaciśnięte, ale nie może nie słyszeć upiornego odgłosu świadczącego o tym, że coś zostało przekrojone. A zaraz potem preraźliwe okrzyki największej radości:

– Jeszcze jeden! Następny!

Strażnik wskazuje palcem na niego, a on wydaje z siebie długie, powolne westchnienie. Bo już wie, jak to jest, kiedy stoi się w obliczu śmierci.

Powoli podchodzi do szafotu i wstępuje na schodki. Nóg, choć go przecież niosą, już nie czuje. Wrzaski tłumu cichną, bo ten tłum jest coraz dalej, bo coraz dalej jest on jakby ulatujący z samego siebie. Niby jest, ale już go nie ma.

Nie czeka na opryskiwie ponaglenia strażnika. Klęka sam, z własnej woli, i przemyka spojrzeniem po otaczającym go morzu twarzy wykrzywionych w szyderczym uśmiechu. Ci ludzie bardzo się niecierpliwia, nie mogą już się doczekać, co zaraz nastąpi. Patrzy i wyławia wzrokiem tę właśnie twarz. Wyblakłe oczy, skóra i włosy białe jak pergamin. A więc przyszedł napawać się tym widokiem i triumfować do ostatniej chwili.

Czuje, że drży, bo ta właśnie blada twarz budzi w nim gniew, a jednocześnie jest nią bardziej przerażony niż ostrzem gilotyny. Łazarz. Łazarz. Tamten wskrzeszony przez Jezusa, a ten Łazarz wysyła ludzi na śmierć.

Na sekundę ich spojrzenia spotykają się i de Valière mógłby przysiąc, że blade wargi Łazare'a rozciągają się w złowieszczym uśmiechu. Zaraz potem de Valière odwraca wzrok. Nie chce, by widok tego człowieka był tym ostatnim, co ujrzy na tej ziemi. Patrzy więc przed siebie, na maszynę



## W cieniu gilotyny

gotową każdemu ofiarować śmierć.

Jemu też. Głowę ma już zakleszczoną w deskach. Przed sobą, w dole widzi pleciony koszyk. Głowa starej kobiety zwrócona jest twarzą do ziemi. Widać tylko rzadkie siwe włosy przetkane czerwienią i wyprostowane, jakby starały się sięgnąć ciała, od którego zostały odłączone. Ale obok widać stężalą twarz młodego księcia, oczy są nieruchome i pozbawione blasku.

Nie czuje już otaczającego go tłumu, nie słyszy monotonnego bicia w bębny. Prosi, błaga swój umysł, by podsunął mu obraz czegoś całkiem innego niż to, co tu i teraz, czyli piekło. Chce zapomnieć o białych włosach i bezbarwnej twarzy nienawistnego człowieka, chce zapomnieć o zastygłych w największym przerażeniu oczach młodego księcia.

I stało się. Teraz ma przed oczami słodką, prześliczną twarz żony, nietkniętą przez upływ czasu ani troski. Widzi też to, co zawsze było dla niego powodem do największej radości i dumy. Dwie głowy obsypane lokami, dwie roześmiane twarze. Dwóch niedużych jeszcze chłopców biega po ogrodzie, ścigając się w wesołej rywalizacji. Pokrzykują i piszczą, jak to dzieci.

Radosne chwile. Tak, było ich pod dostatkiem, dlatego twarz pojaśniała mu w uśmiechu. Tym ostatnim, trwającym ułamek sekundy, bo przed oczami już ciemność. Nie widzi nic, nie czuje nic, nie słyszy, jak motłoch po raz trzeci tego dnia z największym entuzjazmem wita śmierć.

Śmierć starego arystokraty Alexandre'a de Valière'a.

**CZĘŚĆ PIERWSZA**

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

### Paryż

Wrzesień 1792 r.

Upał wreszcie zelżał, dając początek czemuś, co paryżanie zwykle nazywali *le répit*, czyli chwilą wytchnienia. Można by więc powiedzieć też „ulga” czy nawet „stan łaski”, ale wszystkie te określenia absolutnie nie pasowały do rzeczywistości. Kiedy na placu Rewolucji zainstalowano na stałe nowy wynalazek do zadawania śmierci, kiedy z ołtarzy usuwa się krzyże, a kobietom zdiera z szyi krzyżyki na łańcuszku i ciska do brudnego rynsztoka, którym spływa do Sekwany krwawa czerwień. A w wielu publicznych miejscach wizerunek krzyża zastąpiono nową ikoną – wizerunkiem gilotyny.

Na lewym brzegu Sekwany w pewnej wąskiej uliczce okna we wszystkich nagranych słońcem domach były uchylone. Jak zwykle zresztą, ponieważ dzięki temu każdy był na bieżąco z tym, co dzieje się u sąsiadów. Tego ranka na przykład w mieszkaniu nad oberżą mąż i żona kłócili się zajadle. O pieniądze, o to, że jest tak gorąco, a chleb, który miał wystarczyć na wiele dni, już jest czerstwy. Jakiś czas potem, sądząc po dźwiękach dolatujących z sypialni w mieszkaniu naprzeciwko, inni małżonkowie, którzy przedtem mieli ze sobą w pieńku, teraz zawierali pokój. Na ulicy natomiast pojawił się wychudzony pies ze sterczącymi kośćmi pod płową sierścią. I wspaniałał kością w pysku, którą obgryzał pracowicie, marząc zapewne o tym, że uda mu się wyssać calusienki smakowity szpik.

– A więc tu ona jest! Ty parszywy kundlu!

W drzwiach oberży pojawiła się pani Grocque, żona oberżysty. Była rozjuszona, miotłę dzierżyła w ręku, czyli najlepszy dowód, że pies ową kość ukradł w oberży. Pani Grocque zamachnęła się miotłą i kiedy zaskoczony pies na moment znieruchomiał, grubymi i brudnymi palcami wyrwała mu kość z pyska. Ale pies otrząsnął się błyskawicznie, zawarczał i chwycił zębami smakołyk, wcale nie zamierzając rezygnować ze zdobyczy.

– Ty nędzny pomociu! – wrzasnęła oberżystka. – Obedrę cię ze skóry i razem z tą kością wrzucę do garnka! Będzie potrawka, że palce lizać!

Darła się, kopała zwierzaka, ale pies nie puszczał, bo zapewne czegoś tak smakowitego nie miał w pysku od wielu dni.

A za oknem na piętrze pewien młody prawnik opuścił rękę, w której trzymał gęsie pióro. Przez chwilę nasłuchiwał odgłosów potyczki przed domem, po czym westchnął.

– Tak... Jak najszybciej trzeba się stąd wynieść.

– Jean-Luc, zjesz śniadanie przed wyjściem?

To powiedziała jego żona. Przebywała po drugiej stronie drzwi, skąd oprócz jej głosu dolatywały inne znajome poranne dźwięki, czyli pobrzękiwanie talerzy i popłakiwanie małego dziecka.

– Tak! Już idę, Marie.

## W cieniu gilotyny

Wstał od biurka ustawionego w rogu sypialni, pozwijał papiery w rulon, włożył do skórzanej torby i przemierzył bardzo niewielki pokój – zaledwie dwa kroki – by sięgnąć po ubranie na krzesło, które położyła tam żona, po kamizelkę i skromny, bardzo już znoszony szary szustokor<sup>[1]</sup>. Ubrał się i przejrzał w zakurzonej popękany lustrze. O! Czyżby nowy siwy włos? Nachylił się, spojrzal uważniej i znowu westchnął. Cóż... Miniony rok nie należał do najłatwiejszych, nie ma więc co się dziwić, że w ciemnych włosach pojawiły się srebrne nitki, a w kącikach piwnych oczu pierwsze drobne zmarszczki, których z każdym tygodniem jakby przybywa.

Przekroczył próg i wszedł do drugiego pokoju, który był i kuchnią, i jadalnią, i salonem.

– Napijesz się kawy? – spytała Marie, uśmiechając się do męża.

– Może... – odparł też z uśmiechem i pocałował oboje, najpierw żonę, potem małego synka usadowionego na biodrze mamy.

– A więc jaka jest ostateczna decyzja?

– A więc tak. Z chęcią napiję się kawy.

Usiadł przy stole, przed talerzem z razowym chlebem, to znaczy tym, co pozostało z bochenka napoczętego poprzedniego dnia. Na talerzu leżał również kawałek żółtego sera. Marie nalala mu kawy, a on w tym czasie zebrał ze stołu papiery, które porozkładał poprzedniego dnia. W pokoju było duszno, choć wszystkie okna otwarto. Ale tak to już jest, kiedy mieszka się na mansardzie. Powietrze wciąż jest ciężkie po nieludzkich upałach trwających kilka miesięcy.

– Przez całą noc rzucałeś się na łóżku – powiedziała Marie, sadowiąc się po drugiej stronie niewielkiego stołu. – Znowu masz kłopoty ze snem?

Jean-Luc, przetykając kawałek twardego chleba, pokiwał głową. Przez otwarte okno słychać było, jak ta starucha, żona Grocque'a, nadal piekli się na psa. Straszny go miotła, a on ujada.

Marie zerknęła w okno i zaczęła się podnosić, niewątpliwie po to, by je zamknąć.

– Nie trzeba – zaprotestował Jean-Luc, łapiąc ją za rękę. – Niech będzie otwarte.

– Dobrze, jak wolisz. A ty z kolei, kiedy następnym razem postanowisz pracować do późnej nocy, może łaskawie...

– Wiem, wiem. Mam się skradać, żeby nie budzić ciebie i Mathieu.

Wypił łyk kawy, a Marie wzięła kawałek sera, przełamała na pół i przeżuła pierwszy kawałek.

– Tak... Ale najbardziej martwi mnie to, że z tobą coraz gorzej.

– Gorzej? O co chodzi?

– O tę twoją bezsenność.

– A... o tym mowa! A więc, niestety, tak właśnie jest, znaczy się coraz gorzej.

Na chwilę zapadła cisza. Marie tuliła i kołysała dziecko, Jean-Luc jadł śniadanie. Kiedy skończył, oparł się łokciami o stół i odchrząknął.

– Chyba zajmę się sprawą wdowy Poitier.

– Wdowa Poitier... – Marie spuściła głowę i głaszcząc synka po policzku, pomyślała chwilę. – Ale ona nie ma czym zapłacić, prawda?

– Nie.

Poderwała głowę, a śliczne brązowe oczy były pełne powagi.

## W cieniu gilotyny

- Dobry z ciebie człowiek, mój Jean-Lucu - skomentowała.

Objął palcami kubek z kawą, starając się powstrzymać pełen zadowolenia uśmiech. Przecież w tych trudnych dniach rzadko kiedy słyszał od Marie słowa aprobaty pod swoim adresem.

- Dobry? A więc już nie potwór! Czyli wybaczyłaś mi, że zabrałem cię z ukochanego południa do tej ciasnej mansardy, gdzie marniejesz w oczach, moje ty biedactwo?

- Ja? Wybaczyłam ci?! Czyżby? Jakoś sobie tego nie przypominam!

Piękne oczy Marie otwarły się jeszcze szerzej, a rzęsy zatrzepotały jak u tamtego dziewczęcia, które kiedyś go urzekło. O tak! Jego ukochana żona zachwyciła go już w tej pierwszej chwili, gdy ją ujrzął, i zachwycającą pozostała do dziś, a jej figlarny uśmiech był tak słodki, że nie mógł nie złożyć pocałunku na tych miękkich, uśmiechniętych wargach.

Przywiózł Marie do Paryża z południa Francji dokładnie rok temu, kilka miesięcy po ich ślubie. Jej ojciec, prawnik, miał kancelarię w pobliżu Marsylii. Owszem, to stałe zajęcie, ale majątku na nim nie zbił. Nieopodal była wioska, gdzie St. Clairowie od czasów Króla Słońce Ludwika XIV posiadali niewielki, ale urodzajny kawałek ziemi. Pobudowali się i przez kilkadziesiąt lat dobrze im się wiodło, aż do chwili, gdy gospodarstwo objął ojciec Jean-Luca. Ale cóż, właśnie wtedy zaczęły się trudne lata nie tylko w ich regionie, lecz w całej Francji. St. Clairowie musieli sprzedać prawie wszystko, zostawili sobie tylko pół akra ziemi, jedną mleczną krowę i kilka kur. Tak wyglądało gospodarstwo wdowca i jego syna, ale wcale nie z powodu lenistwa czy nieudolności. Stary Claude St. Clair, ofiarny strażnik rodzinnego majątku, jak wielu innych padł ofiarą suszy oraz dramatycznej, wręcz wyniszczającej sytuacji finansowej kraju pod rządami ostatniego Burbona, kolejnego następcy Króla Słońce, obecnie chyba najbardziej przeklinanego człowieka we Francji, czyli Ludwika XVI. Chociaż zapewne jeszcze więcej szyderstw padało pod adresem jego królewskiej małżonki, Marii Antoniny, z pochodzenia Austriaczki.

Gdy nadeszła pora zadecydować o przyszłości, Jean-Luc posłuchał rady ojca i zaczął studiować prawo. Pozostanie na roli nie miało sensu. Ziemi mieli już tylko płachetek i z wielkim trudem dawalo się z tego żywić. Zresztą wszyscy chłopci we Francji zaciskali pasa obłożeni podatkami na rzecz króla i Kościoła, a jeśli swojej ziemi nie posiadali, trzeba było jeszcze płacić czynsz hrabiemu, markizowi czy księciu, który im ziemię wydzierżawił. I który żadnych podatków nie płacił.

Matka Jean-Luca zmarła, gdy był małym chłopcem. Nie miał liczego rodzeństwa, tylko o pięć lat starszą siostrę, która w wieku szesnastu lat wyszła za mąż i od brata dzieliły ją wody oceanu, bo zamieszkała w Saint-Domingue, kolonii francuskiej w Nowym Świecie, skąd w ciągu tych lat napisała zaledwie kilka razy. Przy starzejącym się ojcu był więc tylko Jean-Luc, ale i on wyjechał z domu na studia prawnicze na Uniwersytecie Aix-Marseille, które bardzo go satysfakcjonowały. Zgłębianie tajników prawa z pewnością było czymś bardziej ekscytującym niż siedzenie w opustoszałym i cichym domu, ale przede wszystkim dzięki studiom otwierały się całkiem nowe możliwości. Ukończył je celująco, a ponieważ był człowiekiem ambitnym, zaczął szukać ciekawszej pracy niż ta, którą oferowała kancelaria sędziego pokoju w jego rodzinnym miasteczku.

## W cieniu gilotyny

I taką pracę znalazł w renomowanej kancelarii prawniczej w pobliżu Marsylii, dzięki czemu nie tylko zaspokoił ambicje zawodowe, lecz znalazł także towarzyszkę życia. Była nią córka jego chlebobdawcy, piękna i zadziorna Marie Germaine o czarnych wijących się włosach, w której zakochał się bez pamięci.

Jean-Luc poślubił Marie i zamieszkali w niewielkim domu w posiadłości jej ojca, ale wkrótce potem gruchnęła wieść, że król Ludwik i królowa Maria Antonina zostali przewiezieni z pożącanego pałacu w Wersalu z powrotem do Paryża. Ta wiadomość podziałała elektryzująco na Jean-Luca, który zawsze był na bieżąco z tym, co się działo w coraz gorzej funkcjonującej francuskiej monarchii, i z tym, co działo się w Ameryce, gdzie kolonie przeradzały się w republikę. I podobnie jak wielu jego rówieśników z prowincji, zapragnął wyjechać do Paryża. Porzucić wygodne życie, dołączyć do walczącego o wolność narodu i w razie potrzeby oddać życie za ową wolność.

- Przecież to wstyd żyć w tych czasach i nie uczestniczyć w wielkim zrywie ludu, który powstał w imię wolności, równości i braterstwa - oznajmił z mocą.

Marie nie była temu przeciwna. Przyjechali do Paryża i zamieszkali w dwupokojowym mieszkanku na mansardzie. Jean-Luc znalazł pracę w biurze rządowym, a Marie, kiedy minęło pół roku od ich przyjazdu do Paryża, urodziła Mathieu, za co Jean-Luc był bardzo wdzięczny losowi. Za to, że dał mu syna, a także za to, że kiedy on wiele godzin spędza w pracy, Marie, zajęta hołubieniem ciemnowłosego brzdąca, który odziedziczył po niej oczy koloru kawy i żywe usposobienie, nie czuje się już taka samotna na ich nędznym poddaszu, gdzie zimą jest zimno i hulają przeciągi, a latem duszno i gorąco. Niestety mogli pozwolić sobie tylko na takie lokum, ponieważ nowy rząd swoim urzędnikom wypłacał bardzo skromne pensje, a na pomoc ze strony ojca Marie, rozsierzonego tym, że zięć wywiózł mu córkę tak daleko na północ kraju, nie mogli liczyć.

Jean-Luc i Marie, którzy pochodzili z południa Francji, dopiero w zeszłym roku mieli okazję przekonać się na własnej skórze, jak wygląda zima na północy kraju. Po raz pierwszy też w życiu przeżywali inne lato, bez łagodnego wiatru znad morza i cienia delikatnych drzewek cytrynowych. Dla obojga był to rok naprawdę niełatwy, ale Marie dzięki Bogu nie skarżyła się na nic. Nigdy nie narzekała, że mąż zabrał ją z wygodnego rodzinnego domu do brudnego i hałaśliwego miejsca, gdzie byli skazani na bardzo skromne życie. Tak skromne, że wiele razy musieli wybierać, czy kupić jedzenie, czy opał. Ale Marie była twarda. Jean-Luc domyślał się, z czego brała się jej siła. Podobnie jak on była idealistką, chociaż prawdę mówiąc, nigdy się do tego nie przyznała.

Marie z Mathieu na rękach wstała od stołu i podeszła do okna, poklepując po plecach synka, żeby mu się odbiło po jedzeniu.

- O proszę, wielki pan jedzie dziś powozem! - powiedziała, zerkając na męża. - Ten powóz czeka na ciebie, tak?

- A tak - odparł Jean-Luc po przełknięciu ostatniego kawałka ciemnego chleba. - Gavreau chce, żebyśmy poprowadził jedną z jego spraw, dlatego podesłał powóz.

- A cóż to za sprawa?

- Znów chodzi o dom. Ten konkretnie należy do arystokraty, który

## W cieniu gilotyny

mieszka... to znaczy mieszkał przy placu Royale – odparł Jean-Luc, zbierając resztę papierów porozrzucanych po stole i chowając je do i tak już wypchanej i wiązanej na rzemyki skórzanej teki. – Jakobini chcą zająć ten dom.

– Aha... – Marie uniosła znacząco brwi. – Więc dlatego Gavreau przysłał po ciebie powóz.

Zarobki Jean-Luca nie były imponujące, ale już sam fakt, że posiada stałe zajęcie – a także czasami zdarza mu się jechać do pracy powozem – oznaczał, że należy do osób uprzywilejowanych, skoro więcej niż połowa paryżan nie miała gdzie zarobić na chleb. A jego praca polegała na inwentaryzacji majątków skonfiskowanych bogaczom, często rzeczy bardzo już zniszczonych, których czas już się skończył, tak jak czas *ancien régime'u*, czyli odchodzącego w niebyt królestwa. Niewątpliwie nie była to praca, o jakiej marzył, ale na pewno coś, co należało zrobić. Zanim przecież stworzy się nowe państwo, trzeba we właściwy sposób rozmontować to, co było dotychczas. Innymi słowy, najpierw trzeba zebrać łupy, a potem zdecydować, co z nimi zrobić.

A więc zbierano, a Jean-Luc je inwentaryzował, z tym że o poprzednich właścicielach wspominał rzadko. Jakoś nie miał na to ochoty. Marie naturalnie wiedziała o tym, niemniej jednak właśnie teraz o nich spytała:

– Co stało się z tymi ludźmi?

– O kogo chodzi? – spytał Jean-Luc zajęty obciążaniem poły szustokora.

– Powiedziałeś, że jedziesz do domu arystokraty na plac Royale, żeby spisać jego majątek. A co stało się z tymże arystokratą i jego rodziną?

– Tego nie wiem. Może są w więzieniu. W każdym razie już tam ich nie ma.

Na szczęście gdy przyjeżdżał do tych wspaniałych rezydencji, najczęściej mieszkańców już wyprowadzono siłą i wtrącono do lochów Conciergerie, La Force albo Carmes, gdzie przebywali w warunkach urągających godności ludzkiej. Jean-Luc wiedział o tym od kolegów, którzy bywali w tych więzieniach, i podejrzewał, że gdyby zobaczył to na własne oczy, miałby jeszcze większe kłopoty z zasypianiem. Dlatego po raz kolejny powtórzył sobie w duchu, że lepiej o pewnych sprawach nie myśleć, a w pamięci mieć tylko jedno. Że wszystko, co teraz należy zrobić, ma jeden cel, i jest to cel szlachetny. Chodzi o to, by ludowi francuskiemu, który tak długo żył w zniewoleniu pod butem despotycznych Burbonów i ich okrutnej, bezmyślnej arystokracji, dać wreszcie to, co mu się należy. Wolność, równość i braterstwo.

Westchnął, wsunął tekę pod pachę i podszedł do żony, która czule coś mówiła do popłakującego synka.

– Marie, na mnie już czas.

– Tak... – Spojrzała w bok i po krótkiej chwili, wyraźnie unikając jego spojrzenia, dodała półgłosem: – Przecież zawsze możemy wrócić... Jeśli to wszystko zacznie ciebie przerastać... Jeśli uznasz, że inaczej to sobie wyobrażałeś...

Jean-Luc znieruchomiał, spoglądając na żonę z niedowierzaniem. Czyżby naprawdę sugerowała, że mogliby wyjechać z Paryża? Przestać wierzyć w rewolucję?

– Chodzi mi o... Wiesz, o te twoje kłopoty ze snem – mówiła dalej niemal szeptem. – O pracę, no i to mieszkanie...

## W cieniu gilotyny

- Marie! - Jean-Luc cisnął tękę na stół i otoczył żonę, a więc i synka, ramionami. - Wiem, że tej mansardy nie znosisz...

- Ale ta mansarda, której nie znoszę, jest w tym wszystkim najmniej ważna.

- Więc co? Moja praca? Na pewno już wkrótce zajmę się czymś innym.

- Czyżby? Tyle razy już tak mówiłeś...

- Ale wygląda na to, że wreszcie taka jest prawda. Mam zamiar odbyć z Gavreau poważną rozmowę. Poproszę, by przydzielił mi pracę, dzięki której będę mógł bardziej przysłużyć się naszej sprawie. W końcu się doczekam...

Głowę miał spuszczoną, głos mu się załamywał, dlatego żona już tylko westchnęła i na dłuższą chwilę zapadła cisza. A potem Jean-Luc nabrał głęboko powietrza i wyprostował się, jakby chciał dodać sobie odwagi, po czym oznajmił:

- Nie wolno nam tak łatwo się poddawać, Marie. Jest o co walczyć, bo najwyższy czas, by lud zaczął korzystać z dobrodziejstwa wolności. Najpierw jednak trzeba mu tę wolność zagwarantować, a to wcale nie jest takie proste.

Mathieu płakał coraz głośniej, więc Marie znów zajęła się synkiem, a po chwili nieznacznie wzruszyła ramionami.

- Powinieneś już iść - powiedziała wciąż tak samo cichym głosem. - Powóz czeka.

Jean-Luc jeszcze raz pochylił się, obejmując żonę i synka, a Marie uniosła głowę, popatrując na męża. Z jej twarzy już dawno znikła delikatna opalenizna, ale nadal mówiła śpiewnie, jak się mówi na południu Francji, ubierała się też jak kobiety stamtąd, czyli w białe płótno. I gotowała to, co na południu, często narzekając, że w całym mieście nie można dostać słoika porządnego szafranu. A Jean-Luc innej Marie nie potrafił sobie wyobrazić.

- Wrócę na kolację.

Zamknął za sobą drzwi i przystanął, bo Marie, która została w mieszkaniu, znów zaczęła przemawiać czule do synka głosem słodszy niż najłagodniejsza melodia. Przez chwilę słuchał rozczulony, a potem tknięty nagłą myślą spojrział w dół na swoje puste ręce i rzucił zły na siebie:

- O nie! Znowu zapomniałem!

Wrócił do pokoju, gdzie Marie z dzieckiem usadzonym na biodrze zaczęła sprzątać ze stołu, a na widok męża pokiwała głową, komentując z uśmiechem:

- Znowu zapomniałeś!

Jean-Luc też się uśmiechnął.

- Niestety. Ale nie tylko o dokumentach. - Podeszedł do żony i pocałował ją w usta. - Tego nie mogę sobie darować.

I pocałował jeszcze raz, czując, że robi mu się bardzo przyjemnie, Marie na pewno też, bo ulegle poddawała się męzowskim pocałunkom. A ręka Jean-Luca przesuwiała się w dół, po miękkim ciele żony okrytym wykrochmaloną płócienną spódnicą.

- Szkoda, że muszę już iść...

- Ach, ty rozpustniku! - Trzepnęła go po rękę. - Lepiej idź już, bo skończy się na tym, że to ja wsiądę do powozu i umknę z tego



## W cieniu gilotyny

śmierdzącego miasta!

Kiedy Jean-Luc wyszedł na zalaną słońcem ulicę, stangret poderwał głowę, ale jego spojrzenie było idealnie obojętne. W końcu miał wieść tylko podrzędnego prawnika. A Jean-Luc, podchodząc do powozu, uchylił kapelusza przed sąsiadką, żoną oberżysty, która stała w progu oparta o miotłę.

– Witajcie, obywatelko Grocque! – zawołał, używając tytułu niedawno usankcjonowanego przez prawo. – Miły dzień, prawda? Wreszcie powiało!

Naburmuszona obywatelka wyraźnie nie miała ochoty na pogawędkę, bo odpowiedzi nie udzieliła, tylko zaczęła energicznie wymachiwać miotłą. Stangret również nie był skory do rozmowy, bo kiedy Jean-Luc spytał, jak tam sytuacja na ulicach, udał, że nie słyszy, poprawiając coś przy skórzanych rękawiczkach. W tym momencie Jean-Luc zauważył jakąś kartkę, która dzięki miotle oberżystki wzbila się w powietrze i ponownie opadła na ziemię. Był to niewątpliwie pamflet polityczny, których tysiące fruwało po całym Paryżu, ponieważ w obecnych czasach każdy, kto władał piórem i miał dostęp do maszyny drukarskiej, mógł w ten sposób włączyć się do dysputy politycznej. Niektóre z pamfletów naprawdę zasługiwały na lekturę. Były ciekawe i pouczające, dlatego Jean-Luc, zanim wszedł na schodki powozu, podniósł z ziemi białą kartkę, a gdy tylko usiadł w powozie, zaczął czytać.

Tytuł pamfletu brzmiał:

*Obywatele Ameryki przed wyborami prezydenckimi mobilizują się, by poprzeć Jerzego Waszyngtona na drugą kadencję.*

Autor nawoływał francuskich rodaków, by nowy amerykański naród obrali sobie za wzór republikańskich cnót. Amerykanie stworzyli republikę gwarantującą swoim obywatelom wolność, ponieważ dzięki tajnym wyborom władzę sprawują wolni obywatele, a nie bandyci czy obcy najemnicy.

Nawiasem mówiąc, zaangażowanemu w rewolucję pamfleciście raczej nie zależało na osobistej sławie, gdyż użył pseudonimu i podpisał się jako „Obywatel Persefona”.

Jean-Luc skończył czytać i spojrzał w okno. I na stangreta, który właśnie podnosił bat.

– Lepiej nie jedźmy przez plac Rewolucji. Nie lubię patrzeć na... Tam będą tłumy i mnóstwo powozów.

Oczywiście nie podał prawdziwego powodu, bo można by to uznać za zdradę. A prawda była taka, że nie miał najmniejszej ochoty patrzeć na ciżbę zalegającą plac w dniu egzekucji, dlatego robił wszystko, by ominąć to przesiąknięte krwią miejsce. Stangret kiwnął głową, skierował konie na wschód i powóz potoczył się przez dzielnicę, w której mieszkał Jean-Luc. A mieszkał wśród żarliwych zwolenników rewolucji, czyli tych, którym raczej się nie przelewało. Wśród studentów, handlarzy rybami i prostytutek, ponieważ była to jedna z nielicznych dzielnic Paryża, gdzie jeszcze można było tanio wynająć mieszkanie i gdzie ulicznicy byli wyjątkowo nachalni. Teraz też biegli za powozem. Jeden z nich, chłopczyk w przykrótkich spodniach i na bosaka, zrównał się z powozem i wyciągnął do Jean-Luca brudną rękę.

## W cieniu gilotyny

- Proszę, łaskawy panie! Bardzo proszę, obywatelu, dajcie choć sou<sup>[2]</sup> dla mojej mamy!

- Już cię tu nie ma, szczeniaku! - ryknął stangret, który niewątpliwie chciał jak najszybciej dotrzeć na miejsce, by zdążyć do oberży, zanim zapełni się szczelnie gapiami, którzy oglądali egzekucję. Wrzasnął i zaczął wymachiwać batem. Chłopczyk odskoczył, a Jean-Luc, poruszony jego mizerną postacią, rzucił drobną monetę w nadziei, że matka zapłaci nią za bochenek chleba, a nie za kubek lichego wina.

Dojechali do Sekwany. Poranek był piękny, promienie słońca złościły wodę cicho pluszczącą wokół dwóch niewielkich wysp, Île Saint-Louis i Île de la Cité. Przejechali przez most na prawy brzeg Sekwany do lepszej dzielnicy i ruszyli wzdłuż rzeki, omijając plac Rewolucji. Kiedy przejeżdżali przez ulicę Saint-Florentin, Jean-Luc nie mógł się powstrzymać i spojrzął w bok na szeroki bulwar, u wylotu którego widać było w oddali to właśnie miejsce zapełnione już motłochem. Przyszły tu tysiące ludzi, a wszyscy ubrani na brązowo i wszyscy jednakowo niechlujni. Mężczyźni w czerwonych czapkach frygijskich, jeden z nich powiewał trójkolorową flagą. Kobiety również w czerwonych czapkach, każda z robotką ręczną na podołku, jakby przyszła tu posiedzieć na powietrzu i pogapić się na ulicznych aktorów. Jean-Luc, choć w stolicy mieszkał i pracował już cały rok, nadal był wstrząśnięty i przerażony, że tutejsi mieszczanie są aż tak żądni krwi.

Kiedy żył na południu Francji, wszystkie wzniosłe opowieści docierające z Paryża budziły w nim zachwyt i poczucie obowiązku patriotycznego, który bezwzględnie należy spełnić. Jednak te opowieści przestały być wzniosłe, kiedy zobaczył na własne oczy uliczne egzekucje. A od kilku tygodni słychać było pogłoski mrozące krew w żyłach. Podobno blisko dwa tysiące wtrąconych do więzienia paryżan wyciągnięto z cel w środku nocy i dosłownie rozerwano na strzępy. Wprawdzie Jean-Luc nie był tego świadkiem, ale komentując to zdarzenie z Marie, powiedział, że jeśli taka jest prawda, to trzeba mieć nadzieję, że był to tylko chwilowy obłęd, który minie. Skończy się nieustający przelew krwi, natomiast powrócą ideały i nadzieja na prawdziwą wolność. A z wolności, z tworzenia nowego narodu nie wolno rezygnować. Jeszcze nie teraz.

Gmach rządowy, w którym pracował Jean-Luc, stał niedaleko Sekwany, na północ od niej, a z okien widać było gigantyczny kadłub okrytej złą sławą Bastylii. Wystarczyło, że tam spojrzął, by po raz kolejny utwierdzić się w przekonaniu, że jest tam, gdzie powinien być, i robi to, co robić należy. Wielka kamienna twierdza, znieawidzony symbol *ancien régime'u*, władzy absolutnej Burbonów, przez cztery stulecia służyła jako ciężkie więzienie. Wystarczyło wezwanie w imieniu króla, początek jakiejś sprawy urzędowej, w ogóle cokolwiek, by każdy niżej urodzony, winny czy niewinny, mógł zostać oskarżony, zabrany z domu i już do końca swoich dni trzymany pod kluczem. Przed trzema laty w pewien upalny letni dzień tłum uzbrojonych parweniuszy wymaszerował z dzielnicy Saint-Antoine i przypuścił szturm na potężną twierdzę. Po zażartej walce biedakom z Saint-Antoine, wspieranym przez zbuntowanych żołnierzy z Gwardii Narodowej, udało się w końcu opuścić zwodzony most i zająć fortecę.

## W cieniu gilotyny

Tak narodziła się rewolucja. Powstała z desperackiej walki uświęconej krwią wygłodniałego i spracowanego paryskiego ludu.

– Witajcie, obywatele! – rzucił uprzejmie Jean-Luc dwóm strażnikom przy wejściu i ruszył w stronę szerokich schodów.

W okazałym gmachu na długich korytarzach zawsze było rojno. Kanceliści, bankierzy, sekretarze, czyli cała ta biurokracja nowego rządu. Większość z tych ludzi, szczęśliwa, że znalazła pracę, akceptowała skromne zarobki, dzięki którym mogła wyżywić rodzinę i przechwalać się, że pracuje dla rządu. Tego ranka jednak kręciło się ich tu znacznie mniej, za to, jak się okazało, tłoczno było w sali, do której właśnie wszedł Jean-Luc. Była to sala konferencyjna jego departamentu.

Przystanął w progu, popatrując na zgromadzonych. Znał sporo z tych twarzy, choć oczywiście tylko niektóre, przecież panował tu straszny tłok, zupełnie jakby Gavreau zwołał wszystkich pracujących w tym gmachu. Jaki był cel tego spotkania? Tego Jean-Luc nie wiedział. Wiedział tylko, że na pewno się spóźnił.

– St. Clair! – Gavreau skinął na Jean-Luca, by podszedł do niego, i dodał donośnym głosem, by wszyscy zebrani go słyszeli: – Obywatelu St. Clair, właśnie przekazujemy sobie poranne wieści.

– A jakież to wieści? – spytał Jean-Luc i natychmiast tego pożałował. Przecież właśnie publicznie przyznał, że nic do niego nie dotarło, choć tym, co dotrzeć powinno, wszyscy są bardzo poruszeni. A on tego ranka zauważył tylko, że w końcu upał zelżał.

Na szczęście przełożony albo nie dosłyszał, albo zignorował jego pytanie, bo mówił dalej, zwracając się do całego gremium:

– Dobrze wiecie, że lud, który powstał przed trzema miesiącami, nie ustaje w swoich działaniach, domagając się, by został wysłuchany z większą uwagą niż dotychczas.

Kilku mężczyzn uderzyło pięścią w stół na znak aprobaty, a Gavreau kontynuował:

– Paryskie więzienia pękają w szwach, a do wyperfumowanych ksiąząt i księżnych chyba w końcu dotarło, co to znaczy być głodnym.

Zebrani znów zaczęli głośno wyrażać aprobatę, a Jean-Luc, coraz bardziej niepewny, nerwowo przestępował z nogi na nogę. Nieraz przecież dane mu było być świadkiem, jak po porywającej przemowie entuzjazm tłumu przeradzał się w niepohamowany gniew i żądę krwi.

Policzki Gavreau spurpurowiały.

– A w zeszłym miesiącu nasi obywatele patrioci przypuścili szturm na pałac Tuileries, gdzie Ludwik i Maria Antonina...

– Obywatel Kapet i jego austriacka dziwka! – zawołał jakiś nieznanый Jean-Lucowi mężczyzna, używając przydomków, którymi Paryż ochrzcił okrytą hańbą królewską parę.

Gavreau machnęła ręką.

– Możecie ich nazywać, jak chcecie. A jeśli chodzi o ten zeszły miesiąc, to wreszcie Burbonowie przestali obrastać tłuszczem dzięki temu, że obywatele nie mają co do garnka włożyć. I nie siedzą już w pałacu Tuileries schowani za najętymi w Szwajcarii strażnikami. Chociaż prawdę mówiąc, Tuileries już było dla nich więzieniem!

– Wreszcie siedzą w lochach Temple razem ze szczurami! – zawołał ktoś z sali. – Tam, gdzie powinni być!

## W cieniu gilotyny

Zebrani wydali radosne okrzyki, a Gavreau podniósł ręce, by uciszyć coraz bardziej wzburzonych ludzi.

– Bracia! Obywatele! Dziś po raz pierwszy grupa wolnych Francuzów wspierana przez lud zbierze się w Paryżu i podobnie jak buntownicy w Ameryce, francuscy obywatele napiszą konstytucję! To będzie początek nowej ery! Ery wolności, równości i braterstwa!

Od gromkich okrzyków i walenia pięściami w stół zatrzęsły się ściany. Nawet zazwyczaj powściągliwy Jean-Luc nie mógł się powstrzymać od wzniesienia okrzyku:

– *Vive la liberté!*

Tak! Niech żyje wolność! Gavreau z miną świadcząca o największej satysfakcji odczekał jakiś czas, pozwalając zebranym na chwilę euforii, po czym ponownie wznosił ręce i tłum, spragniony kolejnych wieści, natychmiast przycichł.

– To lato było dla naszego ludu pomyślne. Setki naszych braci wspierają całym sercem nasz nowy rząd w Konwencie Narodowym. A utytułowanych łajdaków, którzy potracili głowy dzięki naszemu przyjacielowi doktorowi Guillotinowi, można liczyć w tysiącach!

Kilka osób, i wiszem, zaśmiało się szyderczo, ale Jean-Luc zacisnął usta. Akurat on dzięki swojej pracy doskonale wiedział, jak wiele arystokratycznych rodzin zostało doprowadzonych do upadku. A kiedy pomyślał, że każda odcięta głowa ma ściśły związek z prowadzoną przez niego sprawą, robiło mu się słabo.

Nagle Gavreau gwałtownie sposepniał i oznajmił stosownym do tego głosem:

– Ale nasza Rewolucja, a więc cały nasz naród, jest w wielkim niebezpieczeństwie! – W sali natychmiast zrobiło się cicho jak makiem zasiał. – Mówiłem wam już o nowych wieściach, jakie nadeszły dziś rano. Chodzi o to, że cała Europa widzi, jak szybko nasza Rewolucja przybiera na sile, czym nasi sąsiedzi zza wschodniej granicy są bardzo zaniepokojeni.

Jean-Luc mimo woli nachylił się i podsunął bliżej mówcy. O tym przecież nic nie wiedział.

– Jeśli nie będziemy pilnie śledzić tego, co dzieje się za wschodnią granicą do stu mil za nią, możemy niebawem utracić wszystko, co wywalczyliśmy. Bo wróg jest niedaleko – mówił dalej Gavreau i już niezbyt głośno, bo wszyscy słuchali go w ciszy i z największą uwagą. – Księżę Brunszwiku zebrał około czterdziestu tysięcy Prusaków, Austriaków i Hesyjczyków, i już idą na Paryż. Bo kiedy zabraliśmy Ludwika i Marię Antoninę z aksamitnego więzienia w pałacu, Habsburgowie i ich sprzymierzeńcy uzmysłowili sobie, że nasza Rewolucja to nie jest błahostka. I bardzo im się to nie podoba, a wszystkie koronowane głowy w Europie zaczęły drżeć ze strachu. A księżę Brunszwiku ogłosił... Nie, on złożył przysięgę... – Gavreau włożył okulary i sięgnął po leżącą przed nim na biurku dużą białą kartkę. – Otóż przysiągł, że położy kres anarchii we Francji, napaściom na tron i ołtarze. Zrobi wszystko, by prawowity władca odzyskał wolność, by znów mógł sprawować rządy...

W tym momencie sala gwałtownie ożyła i rozległy się okrzyki:

– A niech spróbują, łajdacy!

## W cieniu gilotyny

– Śmierć habsburskim tyranom i ich cudzoziemskim najemnikom!

– Ich też pozbawimy korony! Wkroczymy do ich sali tronowej i przekonają się, co wolni Francuzi myślą o... – zaczął jeden z kolegów Jean-Luca autorytatywnym tonem, przyzwyczajony do mówienia, a nie słuchania.

Ale zamilkł, kiedy Jean-Luc odezwał się jeszcze głośniej:

– Jesteś głupcem, Pierrot, skoro myślisz, że to wszystko takie proste!

– Tak uważacie, obywatelu St. Clair? – włączył się Gavreau. – Może powiecie coś więcej na ten temat.

Jean-Luc odchrząknął i skrzyżował ramiona na piersi.

– Nie jest proste, bo jak wiadomo obywatel Kapet i jego austriacka żona byli bogaci i mieli wielu potężnych przyjaciół. Królestwa w Europie Środkowej nie będą przyglądać się beczynnemu, jak księżniczka z rodu Habsburgów przymuszona jest siedzieć za kratkami – wygłosił, zastanawiając się przy tym, czy nie powinien jak najszybciej wywieźć z Paryża Marie i maleńkiego synka.

– Racja – oświadczył Gavreau. – Nie ma co się oszukiwać. Idzie ku wojnie!

W sali zawrzało. Słysząc było przekleństwa i gniewne pomruki, a także pogrózki i chępliwe deklaracje, ale Gavreau mówił dalej, tyle że już bardzo głośno:

– Pięćdziesiąt tysięcy mężnych Francuzów stoi w obronie naszej wolności, tego wszystkiego, co wywalczyliśmy przez ostatnie trzy lata!

Jean-Luc wiedział doskonale, że wielu tych mężnych Francuzów wstąpiło do armii w ciągu ostatnich kilku miesięcy, a nawet tygodni, kiedy groźba napaści ze strony sprzymierzonych monarchów europejskich przestała być tylko pogłoską, a stała się realnym zagrożeniem. Ci żołnierze nie byli zdyscyplinowani i należycie wyszkoleni, bardzo często nawet nie dostali odpowiedniego umundurowania. Jean-Luc miał nadzieję, że będą w stanie nadrobić te braki patriotycznym zapałem. Niestety była to tylko nadzieja, bo pewności nikt nie miał.

Gavreau, spoglądając Jean-Lucowi prosto w oczy, grzmiał dalej.

– Wiem, że wy wszyscy, którzy znajdujecie się w tej sali, jesteście dobrymi obywatelami szczerze oddanymi sprawie! To dla mnie zaszczyt pracować z takimi ludźmi! Bo wiem też, że kiedy wróg stanie u bram miasta i dzwony zaczną bić na trwogę, i wy, i ja, w ogóle wszyscy mężczyźni z tego miasta... Do diaska! Kobiety też! Tak, wszyscy chwycą za oręż, by bronić naszego wspólnego domu! Tak jak mężczyźni i kobiety miłujący swój kraj, którzy zdobyli Bastylie! Tak jak przymierające głodem matki i córki, które ruszyły na Wersal i zabrały Burbonom pożłaczane nocniki. Będziemy ostatnią linią oporu Francji! Będziemy jej bronić do ostatniej kropli krwi!

Zebrani w sali mężczyźni na tę płomienną deklarację zareagowali z większym lub mniejszym entuzjazmem, a Jean-Luc w cichości ducha zastanawiał się, czy rzeczywiście chwyciłby za broń, gdyby wróg wkroczył do Paryża, zagrażając jego rodzinie i wszystkim rodakom. Chwila namysłu nie trwała długo. Oczywiście, że tak. On, Jean-Luc St. Clair, nie przyglądałby się temu beczynnemu.

Stojący obok niego Pierrot aż poczerwieniał z emocji, jakby miał wielką nadzieję, że wróg stanie pod Paryżem, a on będzie miał możliwość

## W cieniu gilotyny

przełać krew. Chociaż może powód był inny. Poczzerwieniał ze złości, bo Jean-Luc nazwał go głupcem.

Natomiast Gavreau przekazał jeszcze jedną wieść:

- Teraz nasze myśli biegną ku naszym braciom na wschodzie kraju, gdzie generał Dumouriez i generał Kellermann prowadzą naszych dzielnych żołnierzy na wroga kryjącego się w lasach koło Valmy i niebawem, może nawet jeszcze dziś, na tamtejszych łąkach rozstrzygnie się nasz los. Czy Rewolucja zwycięży, czy skazana jest na porażkę.

Jean-Luc, przetrawiając w duchu tę ostatnią wiadomość, spojrział w okno, za którym widać było wznoszące się ku niebu kamienne wieże katedry Notre Dame na przeciwległym brzegu Sekwany. Za nimi, w oddali, nie było już miejskich murów i zaczynał się las, miejsce polowań okrytego niesławą monarchy. I to tam, gdzieś w tym lesie, francuscy patrioci szykowali się do walki.

Wytężył wzrok, starając się w bezkresnej zieleni dojrzeć jak najdalej, jak najwięcej. I dojrzał, choć oczywiście mogło być to tylko złudzenie. Ale mógłby przysiąc, że właśnie to zobaczył.

Cienką smużkę dymu unoszącą się ku niebu.

## ROZDZIAŁ DRUGI

### *Bois de Valmy*

#### *Francja*

*Wrzesień 1792 r.*

Promieniom słońca udało się przeniknąć przez korony sędziwych dębów, ale i tak rozłożyste drzewa dawały cień i miły chłód. Tutejsi mieszkańcy powiadali, że w tym zagajniku, w latach pokoju i obfitości, król Ludwik XVI często kazał rozkładać derkę i ucinął sobie drzemkę. Albo raczył się winem, a jego ludzie w tym czasie uganiali się za dzikiem, jeleniem czy królikami, których w tej okolicy nie brakowało. Upolowane zwierzę składali w darze monarsze, który zarzucał sobie truchło na obrosnięte tłuszczem ramiona i po powrocie do pałacu przechwalał się przed swoją królewską małżonką, jaki to z niego wspaniały myśliwy.

Jednak tego dnia nie dziki, jelenie czy króliki miały paść ofiarą myśliwych, ponieważ te lasy przestały być miejscem łowów, zabawy i odpoczynku Jego Królewskiej Mości. Tego dnia człowiek polował na człowieka.

Wysłani na zwiad dragoni wrócili do obozu pod wieczór, kiedy już było cicho, a ostatnie ogniska, na których przygotowywano wieczorny posiłek, dogasały. Natomiast oni nadjechali na spienionych koniach, wzniesając tumany kurzu. Psy na powitanie zaczęły ujadać, a kilku adiutantów podbiegło do nadjeżdżających, by zająć się końmi.

Z jednego z namiotów wysunął głowę kapitan André Valière i nadstawił uszu, ciekaw, coż takiego dragoni mówią o zwiadzie.

- Gdzie przejechaliście przez rzekę? - spytał jeden z adiutantów.

- Na płytkim zakolu, gdzie rzeka skręca na północny wschód, za rozdrożem koło wzgórza La Lune. Znaleźliśmy tam jednego z ich koni.

Oficer dragonów o ogorzalej i osmaganej wiatrem twarzy, w czarnych zakurzonych butach, rzucił wodze adiutantowi i szybkim krokiem ruszył ku jednemu z namiotów rozstawionych na środku obozu.

- Tylko koń? A jeźdźca nie było? - dociekał adiutant, starając się dotrzymać mu kroku.

- Tylko koń, a ich ogniska jeszcze dymiły, czyli opuszczali obóz w pośpiechu.

Inny i mocno zadyszany zwiadowca zrównał z nimi krok.

- Słyszeliśmy, jak ktoś wołał, chyba Prusak wysłany na zwiad. Książę Brunszwiku wie, że tu jesteście. Musieli nas już widzieć.

Coraz bardziej zaciekawiony André wysunął się z namiotu i ruszył w ślad za nimi.

- Czyli idą na Paryż - powiedział adiutant, który nie tylko słuchał, ale i wszystko skrzętnie zapisywał. - Czy doszło do wymiany ognia?

- Nie. Kiedy usłyszeliśmy szwabski szwargot, nasikaliśmy na ogniska, złapaliśmy konia i wróciliśmy tutaj - oświadczył pierwszy zwiadowca, niewątpliwie oficer i dowódca zwiadu. Popił wody z manierki, spryskał

## W cieniu gilotyny

twarz i spytał: – Gdzie generał?

– Który?

– Dowódca, głupku. Dumouriez – burknął oficer, ocierając twarz brudną ręką. Zamrugał kilkakrotnie i oddał manierkę zwiadowcy. – Nie, może lepiej Kellermann, bo on przynajmniej będzie miał jakiś pomysł na to, co się tu dzieje.

– Obaj są w namiocie dowództwa i czekają na wasz raport.

Adiutant doprowadził zwiadowców do wielkiego namiotu, nad którym powiewała trochę już wystrzępiona trójkolorowa flaga imponującej wielkości. Przed wejściem stało na baczność dwóch wyraźnie znużonych żołnierzy. Kiedy zwiadowcy zbliżali się do namiotu, błyskawicznie unieśli muszkiety i przekrzywili je tak, by stykające się bagnety zagroziły drogę. Ale dowódca zwiadu w ogóle się nimi nie przejął. Machnął lekceważącą ręką i szedł dalej pewnym krokiem. Strażnicy opuścili muszkiety, zwiadowcy weszli do namiotu, a André nie pozostawało nic innego, jak czekać na wieczorną odprawę, podczas której będzie mógł zaspokoić ciekawość. Dopiero wtedy.

Westchnął i spojrzał tam, gdzie stała reszta zwiadowców i ich konie, gniade albo kasztanowate. Tylko jeden był siwy, zabrany Prusakom kawalerski ogier rasy lipicańskiej. Był niespokojny, rżał, grzebał nogą, jakby nowe otoczenie bardzo mu się nie spodobało. A przy ogniskach nieopodal namiotu dowództwa siedzieli mężczyźni, podobnie jak André ubrani w biel i błękit armii Burbonów. Były to resztki wojsk królewskich, a więc żołnierze zaciężni zasilający szeregi, gdy Jego Królewska Mość finansował kampanie wojenne i płacił wystarczająco wysoki żołd, by zwerbować i najbiedniejszych chłopów, i mężczyzn z najbogatszych rodów. Ci żołnierze, mimo że na schludnych białych mundurach nadal mieli liliję Burbonów, przyjmowani byli z otwartymi rękami i w rezultacie stanowili ponad połowę armii rewolucyjnej. Przysięgali posłuszeństwo nowemu rządowi – nawet jeśli ten uległ zmianie – a rewolucja potrzebowała takich właśnie dobrze wyszkolonych wojaków. Szanowano ich, choć nie bratano się z nimi, dlatego oficerowie i ich podwładni z Gwardii Narodowej siedzieli przy innych ogniskach usytuowanych parę kroków dalej. Ubrani byli bardzo różnie. Większość z nich, owszem, miała na sobie granatowe rajtroki z mosiężnymi guzikami, ale w sumie panowała tu duża dowolność, a niektórzy byli nawet na bosaka. Z tym że wszyscy mieli długie, rozwichrzone włosy i długie pantalone. Stąd ich przydomek – „sankiuloci” – ci bez spodni, to znaczy tych modnych, krótkich, za kolana. Byli to ludzie prości, którzy odpowiadając na zew rewolucji, porzucili życie rzemieślnika, robotnika czy dzierżawcy i stali się zawodowymi żołnierzami. W przeddzień bitwy siedzieli wokół ognisk, podając sobie z rąk do rąk buklaki z kiepskim winem, a z ust do ust sprosione anegdotki o dziewczkach sprzedajnych. Grali w karty, klęcząc przy tym głośno, zachowywali się więc całkowicie inaczej niż powściągliwi żołnierze zaciężni, którzy siedzieli nieopodal. Byli spokojni, bo wielu z nich miało już okazję stawiać czoło doborowym szeregom Austriaków i Prusaków i wiedziało, co może przynieść świt. Krótko mówiąc, nowe francuskie wojsko było dziwnym tworem. Czy udanym? Cóż, okaże się jutro.

Wracając do swojego namiotu, André zauważył jakiegoś jeźdźca



## W cieniu gilotyny

nadjeżdżającego kłusem z tej samej strony, z której nadjechali dragoni zwiadowcy. Jeździec zatrzymał konia i zsiadł. W rękę trzymał list, czyli był to posłaniec. Kiedy spostrzegł André, rzucił wodze jednemu z adiutantów, podszedł bliżej i spytał:

- Kapitan Valière?

- Tak - odparł André, mierząc posłańca wzrokiem. Był zaskoczony, że dostaje list, i to w przededniu bitwy. Posłaniec przekazał mu przesyłkę, zsalutował i wrócił do swojego konia, a André przebiegł oczami po białej karcie, złożył ją i chowając do kieszeni białego rajtroka, uśmiechnął się i wymamrotał: - A więc mamy tu i Remy'ego...

- Dobre wieści? - spytał jeden z podkomendnych, kapral Gustave Leroux, który siedział nieopodal przy ognisku z bukłakiem przezornie opartym na kolanach. Sądząc po przymglonym spojrzeniu kaprala, bukłak był już co najmniej do połowy opróżniony.

- Dla was na pewno nic ciekawego, Leroux.

- Nie wiadomo, kapitanie. Bo jeśli przysłała swój portrecik, na pewno będę go ciekaw! - wypalił Leroux i zaśmiał się zachwycony swoim dowcipem, który jego dowódcy raczej nie przypadł do gustu.

Jednak kaprala nie skarcił. Kiedyś żołnierz za takie śmiałe słowa zostałby ukarany chłostą, ale teraz były inne czasy, inne wojsko. Oficer, któremu zarzuca się, że jest apodyktyczny i niewystarczająco demokratyczny, może zostać wezwany przed Trybunał Rewolucyjny. Poza tym André wiedział już, że Gustave Leroux za jego plecami nazywa go złośliwie „markizem”. A to, że ma się wśród swoich podkomendnych człowieka, który nieustannie przypomina wszem i wobec o jego arystokratycznym pochodzeniu, było nie tylko kłopotliwe, ale po prostu niebezpieczne. André rzekł się tytułu, nie używał „de” przed nazwiskiem i miał nadzieję, że w wojsku kwestia jego korzeni będzie nieistotna, tym bardziej że naród znalazł się w sytuacji krytycznej i doświadczeni oficerowie są bardzo potrzebni. Miał podstawy, by tak sądzić, ale niestety stało się inaczej i dlatego postanowił, że jeśli Leroux przeżyje jutrzejszy rozlew krwi, przeprowadzi z nim poważną rozmowę.

Poklepał się po kieszeni i mruknął:

- Jeśli nawet przysłała to, o czym mówisz, Leroux, to i tak przeznaczone jest tylko dla moich oczu. Takie są przywileje oficera... - Potem nachylił się i chwycił za bukłak oparty o kolana kaprala. - Lepiej, żebyście byli jutro trzeźwi, żołnierzu. Jeśli nie będziecie w stanie należycie wykonywać rozkazów, zostanie to uznane za symulowanie choroby i oskarżę was o dezercję. Dobrze wiecie, co się wtedy z wami stanie.

W tym momencie trzy razy odezwała się trąbka, wzywając dowódców na wieczorną odprawę. André szybko opróżnił skonfiskowany bukłak i ruszył przez obóz w stronę namiotu dowództwa, jednak zdążył jeszcze usłyszeć wymianę zdań przy ognisku. Najpierw odezwał się Leroux:

- Jeśli jutro ten bogaty rajfur poprowadzi nas na rzeź i będę miał wydać ostatnie tchnienie, to nim je wydam, wpakuję w niego kulkę.

Na co ostrym, stanowczym tonem zareagował sierżant Digne:

- Przymknij się, Leroux! Szkoda tracić siły na jakieś swary! Lepiej skup się na tym, co czeka nas jutro. Na pewno będzie sporo roboty z wygonieniem tych drani znad Renu. Zrozumiano?!

## W cieniu gilotyny

Upał wokół Paryża zelżał. W lasach Valmy na pewno było chłodniej niż w mieście, ale w namiocie z trudem dawało się wytrzymać od gorąca i duchoty. Kiedy André wszedł do środka, od razu zauważył, że w tym gronie jest jednym z najmłodszych. Spodziewał się tego, dlatego był zaskoczony, kiedy otrzymał rozkaz, że na polecenie generała Kellermanna ma stawić się na wieczornej odprawie.

– André de Valière!

Obok niego pojawił się François LaSalle, również kapitan i wiekiem też młody, ale stary znajomy, jeszcze z czasów *ancien régime'u*. Ubrany był jak André, czyli w biały rajtrok z błękitnymi galonami i wyłogami, z przodu rząd srebrnych guzików, a w lewym ręku czarny trójgraniasty kapeluszyk, czyli trikorn. Czarne włosy związał z tyłu, a więc też jak André.

– LaSalle! Jak się miewasz? – André mocno uściśnął dłoń przyjaciela, po czym nachylił się i szepnął. – Teraz po prostu Valière...

LaSalle pokiwał głową na znak, że pojął.

– Kiedy wyruszasz, Valière?

– Rano. A ty?

– Przed południem. Widziałeś, jak dragoni wrócili ze zwiadu?

– Tak. Nie tylko widziałem, ale coś tam usłyszałem. Przede wszystkim to, że Prusacy są w pobliżu.

– Aha. Może masz jakieś wieści od brata?

– Właśnie dostałem od niego list – odparł André. – Brat jest gdzieś tutaj, w obozie.

– Świetnie. A więc ostatnie pytanie. Gdzie jest generał Kellermann?

LaSalle rozejrzał się dookoła, André uczynił to samo. Na naczelnym miejscu stało ogromne biurko zarzucone papierami. Były to wykazy obowiązków dla poszczególnych dywizji, raporty o sprzęcie, rozkazy z Paryża. Na przedniej ścianie namiotu wisiały dwie olbrzymie mapy z miejscami zaznaczonymi atramentem. Jedna z nich, ta większa, była mapą wschodniej Francji z granicą na Renie, czyli miejsca, gdzie rozłożyli się obozem. Na drugiej mapie były Francja i wszystkie państwa ościenne, granice cesarstw zaznaczono kolorem czerwonym.

Zdecydowana większość oficerów w namiocie nosiła białoniebieskie uniformy, oficerów z Gwardii Narodowej było tylko kilku. Zajęci rozmową stali na uboczu i podkreślając wąsą, spoglądali sceptycznie na sztywno wyprostowanych kolegów w barwach Burbonów. Stąd ta myśl, która przemknęła przez głowę André. Że kiedy wszyscy tu obecni staną ramię w ramię naprzeciwko wspólnego wroga, może wreszcie dwa odłamy francuskiego wojska zaczną siebie darzyć większym zaufaniem.

Kawalerzyści zwiadowcy w zielonych rajtrokach stali w przedniej części namiotu, blisko wejścia, pogadując i zaśmiewając się, jakby właśnie wrócili z udanego polowania w Lesie Bulońskim. Byli w doskonałym nastroju, ale co się dziwić, skoro tego dnia wzorowo spełnili swoje obowiązki, poza tym jako pierwsi i dotąd jedyni widzieli wroga. Tuż za nimi stali artylerzyści, nadspodziewanie liczni i jakby niepewni, podenerwowani. Ale jeszcze bardziej niespokojni byli oficerowie i podoficerowie francuskiej piechoty, którzy stali na samym środku namiotu, czemu też nie należało się dziwić. Przecież to piechota jako pierwsza miała zmierzyć się jutro z wrogiem, z Austriakami, Prusakami i Hesyjczykami. Piechota, a więc także oddział André, dlatego jemu

## W cieniu gilotyny

również nie było lekko na duszy.

Rozmowy ucichły w chwili, gdy płachta namiotu uniosła się i do środka weszli generałowie. Byli to niewysoki Charles Dumouriez i słusznego wzrostu Christophe Kellermann z pooraną zmarszczkami twarzą, a także ktoś, kogo André widział po raz pierwszy na oczu.

– LaSalle, kto to jest? – szepnęła.

– Ten trzeci? To Nicolai Murat, hrabia de Custine. Generał brygady – odparł LaSalle, który zawsze był poinformowany jak nikt inny.

André pokiwał głową, zastanawiając się w duchu, skąd LaSalle czerpie swoją wiedzę. A poza tym to nazwisko. Murat... Chyba już je kiedyś słyszał.

Nie była to jednak pora na rozważania, ponieważ dowódcy byli już w namiocie. Uśmiechnięty generał Kellermann witał się z każdym oficerem, nierzadko poklepując go po ramieniu, a kiedy znalazł się blisko André, uprzejmie skinął głową i powiedział:

– Witajcie w naszym obozie, kapitanie.

André bardzo się zdziwił, bo niby skąd generał wiedział, że ledwie co przybył do tego obozu, szybko się jednak opanował i wyrzucił z siebie:

– Dziękuję, panie generale!

– Trzeba przyznać, że sprytna z niego sztuka – rzucił półgłosem LaSalle, gdy generał trochę się oddalił. – Chyba zna każdego, kto jest w tym namiocie.

Generał Dumouriez, na którego twarzy malował się stoicki spokój, siedł pierwszy, przed Kellermannem. Był drobnej postury, ale wykrochmalony mundur i przenikliwe spojrzenie świadczyły, że mimo mizernej postaci ma w sobie wielką siłę.

Trzeci dowódca, generał brygady Murat, siedł na końcu. Choć nazwisko wydało się André znane, twarz była obca. Mógł jej się dobrze przyjrzeć, bo generał związał włosy z tyłu w harcapy. Czoło miał szerokie, spojrzenie spod półprzymkniętych powiek twarde. A same oczy, uderzająco małe, wyglądały jak dwa kawałeczki twardego marmuru koloru wzburzonego morza. Był wysoki, wyższy nie tylko od małego Dumourieza, ale i od Kellermanna, słusznego przecież wzrostu. Na wszystkich patrzył więc z wysoka, a kiedy zauważył, że André przypatruje mu się, po jego twarzy przemknął szyderczy uśmiech.

Charles Dumouriez podszedł do wielkich map i odwrócił się do zebranych.

– Żołnierze i obywatele Francji! Witajcie w leśnej głuszy w Valmy! – zagrział, podrywając głowę tak gwałtownie, że epolety na jego ramionach zdrząły. – W końcu spotkaliśmy się tu wszyscy w przededniu bitwy!

André widział, jak stojący obok niego oficerowie nerwowo przestępują z nogi na nogę. W całym namiocie wyczuwało się wielkie napięcie i nerwowość.

Dumouriez spojrział na swego kolegę opartego o biurko i skinął głową.

– Generale Kellermann, zaczynajcie odprawę.

– Tak jest!

Kellermann wyprostował się i splótł palce u rąk. Jego brązowe włosy, związane w luźny harcapy, przyprószone były siwizną. Szeroko rozstawione niebieskie oczy rozbłyły, na pociągłej twarzy pojawił się

## W cieniu gilotyny

wyraz największego skupienia. Jednak innych emocji nie zdradzała, bo w przeciwieństwie do wielu twarzy w tym namiocie, zbliżająca się bitwa wcale nie kładła się na niej cieniem.

– Panowie! – powiedział, wyciągając ręce niczym ojciec do dzieci na powitanie. – Jak dobrze was tu widzieć razem z nami. Niewątpliwie słyszeliście już, że zwiadowcy powrócili do obozu i wszystko wskazuje na to, że odnaleźli naszego wroga...

Na te słowa LaSalle i André oczywiście wymienili się znaczącymi spojrzeniami.

– Jak podejrzewaliśmy – mówił dalej Kellermann – w tych lasach nie jesteśmy sami, bo przybyły tu również legiony księcia Brunszwiku.

Cały namiot ożył, wielu zaszepotało, ale generał podniósł rękę i wszyscy umilkli.

– Niestety, jak dotąd nasi żołnierze w obliczu wroga wpadali w popłoch. Źle wyszkoleni i niezdyscyplinowani, na widok Prusaków rzucali się do ucieczki często bez oddania choćby jednego strzału. Panowie! – Kellermann odchrząknął, a jego spojrzenie stało się bardzo surowe. – Jutro położymy temu kres!

Odprawa trwała. André wraz z innymi słuchał generała z wielką uwagą. A więc Prusacy istotnie rozłożyli się obozem kilka mil stąd na zachód, są więc bliżej Paryża niż Francuzi, przez co książe Brunszwiku ma wolną drogę do stolicy. Następnego dnia Francuzi wykonają pierwszy ruch, czyli otoczą wojska sprzymierzonych, dzięki czemu odetną dostawy sprzętu i żywności oraz uniemożliwią przybycie posiłków. W ten sposób zatrzymają marsz wrogiej armii na Paryż i nie dopuszczą do zdławienia rewolucji.

Bitwa miała rozpocząć się jeszcze przed świtem. Jak przypuszczał André, francuscy dowódcy zebrali więcej armat i prochu niż w poprzednich bitwach z Austriakami i Prusakami, bo ta bitwa była ostatnią szansą Francuzów na uniemożliwienie wrogowi szturm na Paryż.

– Jutrzejsza bitwa zadecyduje o dalszych losach Rewolucji – oświadczył Kellermann. – Jeśli Prusacy wkroczą do Paryża, jest niemal pewne, że przywrócą tron Ludwikowi.

Dumouriez w milczeniu stał obok, kiwał tylko głową. A Kellermann odczekał krótką chwilę, po czym wyprostował się jak na mustrze i obrzucił otaczających go mężczyzn przenikliwym spojrzeniem.

– Wtedy każdy, kto jest w tym namiocie, zostanie wtrącony do więzienia albo powieszony. Ale na tym jeszcze nie koniec, bo znikną również wszystkie swobody obywatelskie, jakie wywalczyli dla siebie lud. Znikną tak samo szybko, jak się pojawiły, zapewniam was. W moich słowach nie będzie żadnej przesady, jeśli powiem wam, żołnierze, że nie tylko waży się wasze losy, lecz także przyszłość Rewolucji i całego narodu.

Kiedy Kellermann skończył, w namiocie zapadła pełna napięcia cisza, a twarze wszystkich, i gwardzistów, i żołnierzy zaciężnych, były kamienne.

Dumouriez odchrząknął i skinął głową.

– Dziękuję, Christophe – powiedział z twarzą równie nieruchomą, po czym odwrócił się i spytał: – Generale Murat, może chcielibyście coś dodać?

## W cieniu gilotyny

Murat, który słuchając Kellermanna, cały czas bezwiednie głaskał się po czarnych wąsach, natychmiast rozpostarł ręce i w pierwszym rzędzie zwrócił się do mężczyzn w granatowych rajtrokach:

– Walczy my przeciwko zaciężnej armii, przeciwko najemnikom i rojalistycznym reżnikom. Może i są lepiej wyszkoleni od nas, ale sprawiedliwość jest po naszej stronie! – Zwrócił się ku niechlujnym gwardzistom, świeżo upieczonym żołnierzom, którzy następnego dnia mieli po raz pierwszy wziąć udział w bitwie. – Nie mam żadnych wątpliwości, że nasi ludzie mają wielkie serca.

Ochotnicy skwapliwie kiwali głowami, niewątpliwie dumni, że generał zwrócił się bezpośrednio do nich.

Na twarzy Murata pojawił się uśmiech, a głos już nie był taki twardy i stanowczy.

– Żołnierze w mokrych mundurach, o brudnych twarzach i z pustymi brzuchami, ale także z ogniem w sercu i przyrodzeniem dłuższym niż muszkiet, nie zadrzą na widok zadufanego wroga! Będą się nim delektować!

Wreszcie rozluźnieni, żołnierze wybuchnęli gromkim śmiechem, natomiast generał podniósł rękę, prosząc o ciszę, i spojrzął na pozostałych dowódców, Kellermanna i Dumourieza.

– Jesteśmy gotowi spełnić nasz obowiązek i jutro po całym cywilizowanym świecie rozniesie się wieść o naszej Rewolucji, o naszej obywatelskiej armii!

– Tak! Spełnimy nasz obowiązek, obywatelu Murat! – wykrzyknął jeden z rozentuzjzmowanych gwardzistów.

– Wiem to. – Generał skinął głową. – A kiedy już pobijemy Prusaków nad Renem, będzie mi wszystkim jedno, jak często zachce wam się wypalić z tej hm... innej broni. Słyszeliście zapewne niejedno o niemieckich kobietach...

I znów rozległa się salwa śmiechu, i to jeszcze potężniejsza niż za pierwszym razem.

André nachylił się do LaSalle'a.

– On chyba jest naprawdę dobrej myśli...

– Przede wszystkim chce podnieść morale. Wie przecież, że mimo tych wszystkich buńczucznych odzywek wielu nowo zaciężnych trzęsie wystrzępionymi portkami.

Niestety taka jest prawda, pomyślał André. Warto podtrzymać ich na duchu, dodać pewności siebie.

Generał Kellermann odczekał chwilę, pozwalając zebrany na chwilę rozmowy, po czym podniósł rękę i zaległa cisza.

– Coś jeszcze wam powiem, obywatele żołnierze, i to coś bardzo ważnego. Otóż nasi wrogowie jak dotąd nie zostali pokonani, nikt zresztą nie stawiał im oporu. Tak więc bądźcie świadomi, że jutro czeka was niełatwe zadanie.

– O proszę! Chcesz poprawić nam humor, Christophe? – spytał Murat z uśmiechem, który zaraz jednak zgasł, a Murat dokończył z marsową już miną: – Nie mam żadnych wątpliwości, że nasi dzielni ochotnicy zdolni są do największych poświęceń.

– Też w to nie wątpię, generale Murat – oświadczył Kellermann. – Ale ważne jest, żebyśmy byli świadomi, o jaką stawkę toczy się ta gra. I nie ma

## W cieniu gilotyny

powodu do wstydu, jeśli ktoś ma obawy czy wręcz czuje strach. Każdy ma prawo to czuć, ale nam, dowódcom, nie wolno zdradzić się z żadnymi wątpliwościami. A wielu zaczynają puszczać nerwy... Najlepiej od razu zarządzić ciszę nocną i nie dopuścić, by raczono się winem.

Kiedy Kellermann w krótkich słowach podsumował odprawę, André jeszcze raz przechwycił stalowy wzrok Murata. General uśmiechał się, zapewne zadowolony ze swoich rubasznych dowcipów i z tego, że niewątpliwie udało mu się przynajmniej niektórym dodać pewności siebie, kiedy jednak przechwycił spojrzenie kapitana, wyraźnie spochmurniał. Dlatego André odwrócił wzrok i ruszył za oficerami wychodzącymi już z namiotu. Czuł się dziwnie, bo nagle opanowały go złe przeczucia. Jakby ktoś szeptał mu do ucha, że stanie się coś niedobrego.

Kiedy znów znalazł się pod gołym niebem, przede wszystkim odetchnął głęboko, napełniając płuca chłodnym wieczornym powietrzem. Dookoła panowała cisza, czasami tylko któryś z oficerów wychodzących z namiotu coś tam wymamrotał.

I nagle w tej ciszy ktoś zawołał:

– Valière!

Kiedy zobaczył, kto go wzywa, wyprostował się i zaszutował:

– Tak jest, panie generale!

– Cieszę się, że wreszcie mam okazję spotkać was, kapitanie.

– Ja także, panie generale.

Kellermann widział wiele razy, ponieważ blisko rok służył w jego legionie, nigdy by się jednak nie spodziewał, że generał zapamięta jego twarz, a co dopiero nazwisko.

– Dumouriez powiedział, że choć jeszcze nie splamiliście się krwią, obywatelu, to jesteście obiecującym młodym oficerem, dlatego ja z kolei wielce jestem rad, że mamy was w naszych szeregach.

André, słysząc te pochlebne słowa, próbował powstrzymać rumieńce, które jednak i tak zabarwiły jego policzki, zdradzając, jak bardzo jest zaskoczony i jak wielką radość sprawiły mu te słowa.

– Dziękuję, panie generale.

– Ukończyście Królewską Szkołę Wojskową w Brienne, czy tak?

– Tak jest! – André wyprostował się jeszcze bardziej zdumiony, że generał wie o tym. – Przed czterema laty.

– Ja też ukończyłem tę szkołę. Jesteście z północy Francji?

– Tak, panie generale. Z Normandii. – Na tym poprzestał, bo po co mówić więcej, skoro Kellermann zapewne zna jego bardzo niewygodną tajemnicę. Wie, że André pochodzi z rodziny arystokratycznej z północnego wybrzeża, że ziemie i tytuł nadane zostały jego przodkom, zanim wypędzono z Normandii Brytów. Nie było więc potrzeby bić się w piersi z powodu takiego a nie innego pochodzenia, tym bardziej że Kellermann był w podobnej sytuacji. Kiedy wybuchła rewolucja, zrzekł się swych ziem i tytułu hrabiowskiego.

– Słyszałem o waszym... nieszczęściu – dodał generał, zniżając głos. – Miałem zaszczyt poznać waszego ojca.

Mimo wszelkich wysiłków zachowanie kamiennej twarzy stało się niemożliwe.

– Na... naprawdę? – cicho spytał André.

– Tak... – Kellermann w zadumie pokiwał głową. – Poznałem go właśnie

## W cieniu gilotyny

w Brienne. Był starszy ode mnie o kilka lat, a ja go podziwiałem. Był dobrym człowiekiem.

André zamrugał, bo poczuł to, co zawsze czuł, gdy wspomniano o jego ojcu. Ból i smutek rozdzierające serce jak bezlitosne stalowe ostrze. A przed oczyma miał twarz ojca, kiedy widział go po raz ostatni. Było to tamtej nocy, gdy ojciec wysłał matkę do Anglii, a synów błagał, by zostali w wojsku, zmieniając nazwisko. Miał nadzieję, że uchroni to ich przed okrutnym losem, jaki mu zagrażał... i wkrótce go spotkał.

- Zasmuciłem was tymi wspomnieniami? Niewątpliwie. Wybaczcie - powiedział Kellermann łagodnym głosem.

- Proszę nie przeproszać, panie generale. - André nabrał głęboko powietrza, starając się, by jego głos nie zadrżał. - Dziękuję, panie generale.

Kellermann milczał przez chwilę, po czym powtórzył:

- Był dobrym człowiekiem.

- Tak. Był.

- I o ile się nie mylę, miał dwóch synów?

- Tak, mam brata, Remy'ego. Właśnie dostałem od niego list. Jest tutaj, w obozie artylerzystów, w Trzynastym Regimentcie. Może uda mi się odszukać go jeszcze przed capstrzykiem.

- Życzę powodzenia. Kapitanie, chciałbym, żebyście wiedzieli, jak bardzo się cieszę, że w naszych szeregach służą obaj młodzi de... obaj Valière'owie. Jutro wasz brat i jego koledzy artylerzyści mają do wykonania ważne zadanie, bo dzięki armatom wszystko może potoczyć się inaczej.

André skwapliwie pokiwał głową, zadowolony, że mówią już o czymś innym.

- Po raz pierwszy ruszacie na pole bitwy, kapitanie Valière? - spytał Kellermann, jednocześnie dając ręką znak, by szedł razem z nim. Było już ciemno, w górze świecił księżyc, a na ziemi paliło się jeszcze kilka ognisk. I panowała upiorna cisza, czasami tylko dolatywały strzępy raczej niewesołych rozmów, a także rzenie koni z obozowiska kawalerzystów.

- Tak, panie generale. Przez całe lata maszerowałem, ćwiczyłem musztrę, taktykę i sposoby walki w polu, ale do bitwy jeszcze nie stawałem.

- Jestem pewien, że zostaliście do tego przygotowani wyśmienicie, kapitanie Valière. - Kellermann zamilkł, wpatrując się w młodego kapitana i dumając nad czymś głęboko, po czym podszedł bliżej i nachylił się do André. - Pamiętaj, kapitanie, że kiedy wyobraźnia zacznie ci podsuwać straszne obrazy, a śmierć wyda się nieuchronna, to musisz okazać się od tego silniejszy. Pokonaj to w sobie, bo inaczej strach obejmie nad tobą władzę i nie będziesz mógł jasno myśleć i mądrze działać. Nie zapominaj o tym, czego cię nauczono, i powtarzaj sobie, że jedyne, co cię czeka, to zwycięstwo.

- Tak jest, panie generale.

Kellermann uśmiechnął się pokrzepiająco.

- Życzę wam powodzenia.

Znikł w ciemnościach, a André przez chwilę nie ruszał się z miejsca, bardzo poruszony tym, co się wydarzyło. Przecież generał sam go odszukał, nawiązał rozmowę, mało tego, znał jego ojca. Wielka szkoda, że

## W cieniu gilotyny

Remy'ego przy tym nie było. Przecież nigdy nie uwierzy, że André gawędził z samym generałem Kellermannem!

– Valière? To wy?

Znów z mroku wyłoniła się znajoma postać, na widok której André natychmiast się wyprężył, stuknął obcasami i zasalutował. Naturalnie był zaskoczony, bo nie spodziewał się, że tego wieczoru będzie rozmawiać z kolejnym dowódcą tak wysokiej szarży.

– Słyszałem coś niecoś z waszej rozmowy z Kellermannem – powiedział Murat. – Czyli jesteście synem de Valière'a, tego dobrego człowieka?

André mimo woli skrzywił się i spuścił głowę, bo niestety znów to samo będzie przedmiotem rozmowy.

– Byłem, panie generale. Mój ojciec nie żyje.

– Kellermann wyrażał się o waszym ojcu pochlebnie, ale on prawie o nikim nie powie złego słowa. Czy to prawda, że nie braliście jeszcze udziału w walce? Czy się przesłyszałem?

– Prawda, panie generale.

Murat gwizdnął cicho.

– W takim razie zapomnijcie o tych wszystkich mamiących pieśniach i wierszach. Kiedy widzę, jak ci ludzie maszerują, śpiewając *Marsyliankę* z godnym podziwu zapalem, zastanawiam się, czy kiedykolwiek widzieli, co dzieje się z człowiekiem, kiedy trafią go kartaczem. Bitwa nie ma w sobie nic wzniosłego, nic pięknego.

André pokiwał głową i zacisnął mocno usta, spodziewając się – nie, miał nadzieję! – że jeśli nie będzie się odzywał, generał powie, co ma do powiedzenia – oby jak najszybciej! – i wreszcie będzie mógł ruszyć na poszukiwanie brata.

– Ja przeszedłem chrzest bojowy pod Warburgiem – powiedział Murat, zniżając głos i patrząc teraz André prosto w oczy. – Kula armatnia ważąca dwanaście funtów rozerwała brzuch mego konia. Zwierzaka po prostu rozcięło na pół, a ja wpadłem do środka, w jego bebechy i gówno. – Przerwał na moment. – A potem było jeszcze gorzej. Oficer dowodzący naszym batalionem dostał w głowę. Mózg wypłynął na wierzch, w związku z czym to ja musiałem poprowadzić trzystu ludzi na hanowerską artylerię. Tak było... A więc miejcie się na bacznosci, bo żołnierze od razu wyczują, że ktoś się boi. A mało kto cuchnie strachem bardziej niż młody, niedoświadczony oficer, który nigdy dotąd nie stał twarzą w twarz z wrogiem.

André mimo woli wyprostował się i spojrział prosto w oczy koloru morskiej wody.

– Postaram się, panie generale, żeby tego nie wyczuli.

– Miejmy nadzieję. – Po jego twarzy przemknął taki sam uśmiešek jak podczas odpawy. – Idźcie odpocząć, kapitanie. Kto wie, czy jutro nie czeka nas naprawdę ciężki dzień.

– Tak jest! – André zasalutował.

Murat odwrócił się i ruszył przed siebie, rzucając na odchodnym:

– Aha, i jeszcze coś, kapitanie.

– Tak, panie generale?

– Lepiej się jutro nie posikajcie.

André kiwnął głową, jeszcze raz zasalutował i ruszył w drugą stronę, a kiedy był już w bezpiecznej odległości, kopnął ziemię i rzucił ze złością:



## W cieniu gilotyny

– Posiakać się! Też coś!

Był wściekły. Krótka rozmowa z Muratem, ta jego wcale nieskrywana wrogość rozjuszyły go do takiego stopnia, że nie zauważył, jak z mroku wyłania się kolejna postać. Niemał wpadł na kogoś, a ten ktoś sarknął:

– Uważaj, jak chodzisz, ty offermo!

Głos okazał się znajomy. Nie było żadnych wątpliwości, do kogo należy, i André prawie podskoczył z radości, niemniej jego słowa były obraźliwe, bo nie zamierzał puścić tego płazem.

– Żołnierzu! – ryknął. – Bacność! Czy do was dociera, że właśnie obraziliście oficera?!

Żołnierz posłuchał rozkazu. Wyprężył się i znieruchomiał. A André podseđł, dla pewności spojrział mu w twarz i wybuchnął śmiechem.

– Remy! Ty głupi bufonie, co o subordynacji ma zero pojęcia! – Żartobliwie pacnął brata w policzek.

Remy uśmiechnął się szeroko i objął starszego brata, a ponieważ zawsze był skory do żartów, serdeczny uścisk przerodził się w zapasy. Młodszy brat powalił starszego, ale starszy, choć nie tak przystojny jak młodszy, był lepszym zapaśnikiem i błyskawicznie obezwładnił młodszego, przygniatając go do ziemi.

– Obraziłeś kapitana, Remy. Wiesz, co za to grozi?

– Nie wiem. Ty powinienes wiedzieć, nawet jeśli ten kapitański mundur nosisz od niedawna.

André zwolnił uścisk. Remy wstał i otrzepując rajtrok, uśmiechnął się do brata. Ale André, nagle zamyślony, uśmiechu nie odwzajemnił, tylko powiedział:

– Jutro będę miał okazję dowiedzieć się niejednego. Jutro wieczorem wszyscy będziemy już doświadczonymi żołnierzami.

– I wszyscy będziemy mieć nieźle w czubie – dodał Remy.

– Czemu nie? To znaczy ten, kto przeżyje – skwitował André, mierząc brata wzrokiem. Remy był nieco niższy, ale bardzo zgrabny. Cieszył się wielkim powodzeniem u kobiet, nawet matka wyraźnie go faworyzowała, z czym André musiał się pogodzić. Remy zresztą był do niej podobny, jasnowłosa i niebieskooki, miał też po niej wesołe usposobienie. Natomiast André odziedziczył po ojcu jasnobarzowe włosy, piwne oczy i surowość. – Remy, z tym obrażaniem kapitana wcale nie żartowałem.

– Przecież wiem. Ty zawsze jesteś śmiertelnie poważny.

– Nie wygłupiaj się. Pamiętaj, nie wolno ci chodzić po obozie i gadać, co ślina na język przyniesie. Jak zaczniesz żartować z oficera, dostaniesz dwadzieścia batów albo jeszcze gorzej. Mogą cię odesłać do Paryża i zamknąć w celi.

– Oj, André! Już trzęsiesz portkami, a przecież wiedziałem, że to ty, bo kto inny chodziłby taki zamyślony i nieobecny duchem? Tylko mój szanowny brat.

André westchnął. Przecież Remy miał rację. Bardzo był zadumany, gdy przetrwał dwie jakże ważne i niezwykle rozmowy z Kellermannem oraz Muratem.

Remy nagle spowaźniał i spytał:

– André, miałeś jakieś wieści od matki?

– Nie. A ty?

– Niestety nie. – Remy westchnął. – Ani słowa po ostatnim liście sprzed

## W cieniu gilotyny

kilku miesięcy, kiedy napisała, że nadal jest w Londynie i nic jej nie grozi. Dlaczego przestała do nas pisać? Domyślasz się czegoś?

André spuścił głowę, strzepując pyłek z białego munduru. Oczywiście też bardzo niepokoił się milczeniem matki. Owszem, żył w niespokojnych czasach, ale można się było spodziewać, że matka, jak to matka, wykorzysta wszelkie możliwości, by przekazać synom jakieś wieści. A tu nic, żadnego listu od wielu miesięcy.

- Najważniejsze, że jej tu nie ma - powiedział, starając się, żeby zabrzmiało to pewnie i krzepiąco. - W Londynie jest bezpieczna i może spokojnie tam czekać, aż tu wszystko się uładzi. - I dobrze, że nie wie, że obaj jej synowie jutro ruszają na pole bitwy, dodał w duchu.

- O ile istotnie coś tu się uładzi - mruknął Remy. - A mój list dostałeś?

- Tak, i właśnie miałem zamiar ciebie odszukać. W którym jesteś obozie?

- Na wzgórzu, po stronie zachodniej, oczywiście przy armatach. Musisz je zobaczyć, André. Od czasów Joanny d'Arc nie zgromadzono w jednym miejscu tylu dział.

- To dobrze, bo z tego, co słyszałem, artyleria będzie nam bardzo potrzebna.

- Ach tak? A gdzie to słyszałeś?

- Byłem na odprawie z generałem Kellermannem i generałem Dumouriezem. Prusacy są na zachód od nas.

- Na zachód? To znaczy, że do Paryża mają wolną drogę?

- Wygląda na to, że zanim ruszą na Paryż, chcą zmierzyć się z nami, żeby nie mieć kłopotów z dostawami.

Remy uśmiechnął się, żartobliwie poklepując brata po ramieniu.

- A więc proszę, masz wiadomości z pierwszej ręki! Od samych generałów!

- A tak przy okazji... - André odsunął się o krok, by brat wreszcie przestał go klepać. - Słyszałeś coś generale Muracie?

- Nicolai Murat? Naturalnie, że słyszałem. To bohater. Nazywają go Generałem Wąsaczem.

- A więc to tak. Co z tego, że chodzę na odprawy, kiedy i tak wiesz wszystko.

- Oczywiście! Wiem, że walczył w Ameryce i wielu Brytyjczyków położył trupem. Poza tym jest hrabią, a mało kto tak nienawidzi arystokracji jak on.

- Przecież to bez sensu...

- Może i tak, ale czy dziś cokolwiek ma sens? Wiem też, że hrabia Murat jest popularny wśród rewolucjonistów i Gwardii Narodowej. Uważają go za swojego człowieka, może dlatego, że lubi rubaszne dowcipy.

- Faktycznie, miałem okazję usłyszeć.

W tym momencie usłyszeli trąbkę. Grała capstrzyk, czyli pora gasić ogniska i kłaść się spać.

- Wracam do kwatery - oznajmił Remy, poprawiając na głowie trójkolorową czapkę. - Dość tego łażenia, bo w końcu zabłądzą i wyjdą prosto na Prusaków.

- Masz rację. Idź już. Jesteś pewien, że trafisz?

- Taką mam nadzieję. A jeśli usłyszysz strzał i przekleństwa po niemiecku, będzie to znaczyć, że jednak poszedłem w złą stronę.

## W cieniu gilotyny

- Ja obawiam się czegoś innego. Że pójdziesz w stronę najbliższej oberży.

- Do oberży? - zawołał Remy, udając wielkie oburzenie. - W przeddzień bitwy? Do głowy by mi to nie przyszło. Nigdy!

- To dobrze.

- Poszedłbym gdzie indziej. Do zamtuza.

- Remy! - André zaśmiał się, ale bez przekonania, i szybko spoważniał. - Oby Bóg miał cię jutro w swej opiece - powiedział cicho, kładąc dłoń na ramieniu brata. I zamilkł, bo czuł, że głos trochę drży. I dlatego nie powiedział tego, co naprawdę chciał powiedzieć: „Oprócz ciebie, Remy, nie mam już nikogo. Tylko ty mi zostałeś”. Odchrząknął i dodał beznamiętnym już głosem: - Uwważaj na siebie.

A Remy, jak to Remy, odrzucił głowę w tył i wygłosił:

- Pruscy księżęta cenią urodę. Nigdy nie zabiją kogoś tak pięknego jak ja. Ty to co innego, André. Możesz wpaść w tarapaty!

- Miejmy nadzieję, że uda mi się jakoś wywinąć! - André mimo woli zaśmiał się, po czym nachyliwszy się do brata, szepnął: - A ty, jeśli masz Boga w sercu, dobrze celuj tymi swoim wielkimi armatami.

- Tak będzie, masz moje słowo. Nasza bateria stoi na frontálním miejscu, nie może chybić - oświadczył Remy, klepiąc brata po plecach. - Prawdę mówiąc, jutro nasze armaty sprawią naszym wrogom piekielną łaźnię. Ci nieszczęśnicy nie mają pojęcia, co ich czeka. A czeka ich, jak już powiedziałem, piekło na ziemi.

- Ale uważaj na siebie. Obiecay, Remy.

- Ty też, bracie.

## ROZDZIAŁ TRZECI

### Paryż

Wrzesień 1792 r.

Jean-Luc St. Clair, spoglądając na siedzącą naprzeciwko niego niemłodą już kobietę, miał wielką nadzieję, że w końcu przestanie zalewać się łzami.

– Pan tego nie rozumie, panie... obywatelu St. Clair – mówiła załamującym się głosem, tuląc do piersi malutkie i wierzące się dziecko. – Przed panem chyba z dziesięciu prawników mi odmówiło. W ogóle nie chcieli ze mną rozmawiać.

– Proszę, obywatelko Poitier – powiedział Jean-Luc, podając jej chusteczkę.

– Dzień... dziękuję – wyjąkała i zaczęła ocierać mokre od łez policzki.

A Jean-Luc, żeby dać jej chwilę na ochłonięcie, zajął się papierami na biurku. Coś tam poprzekładał, coś przeczytał. I poderwał głowę.

– Obywatelko Poitier, naprawdę się cieszę, że mogę coś dla was zrobić. Dla was i waszych dzieci. Wierzę, że sprawiedliwość zwycięży.

– Och, dobry panie! – Niestety oczy wdowy znów załśniły podejrzenie.

– Proszę, skupcie się, obywatelko – powiedział Jean-Luc chłodnym już głosem profesjonalisty, maczając pióro w inkauscie. – Skupcie się i będę wdzięczny, jeśli powiecie mi coś więcej o waszej sprawie. Najpierw chciałbym się dowiedzieć czegoś więcej o waszej rodzinie. Ile macie dzieci?

Wdowa wydmuchała nos w jego chusteczkę, westchnęła i oparła się brodą o główkę spokojniejszego już dziecka.

– Sześcioro żyje. Troje zostało pochowanych. Tak samo jak... ich ojciec. – Jej głos znów się załamał, a plecy zdrzęzły od powstrzymanego szlochu.

– Bardzo wam współczuję – powiedział Jean-Luc, przerywając na moment pisanie. – A skoro już mowa o tym jakże smutnym wydarzeniu... Czy możecie podać mi, obywatelko, datę zgonu waszego męża?

– Mój biedny Jacques leży w ziemi od trzech lat. Zmarł, kiedy nosiłam pod sercem to maleństwo. Kiedy ruszono na tę przekłętą twierdzę. Nie mogę przestać myśleć, że gdyby pozostał przy życiu jeszcze kilka miesięcy dłużej...

Wdowa, znów rozslochana, tuląc do siebie dziecko, ukryła twarz w mokrej chusteczce. A Jean-Luc nerwowo zmienił pozycję w krześle, starannie unikając spojrzenia przełożonego, który tym spojrzeniem świdrował go spod przeciwległej ściany zatłoczonego biura.

– Bardzo mi przykro, obywatelko Poitier, że nasza rozmowa budzi w was tyle smutnych wspomnień. Ale im szybciej ustalimy fakty, tym szybciej będę mógł zacząć działać w waszym interesie, byście razem z dziećmi mogli jak najszybciej wrócić do domu, który prawnie wam się należy.

Obywatelka Poitier pokiwała głową, nerwowo skubiąc jeden

## W cieniu gilotyny

z brudnych paznokci, i skomentowała:

- Czekamy już wystarczająco długo, prawda?

Jean-Luc sięgnął ręką w tył, uchylając nieco okno, by orzeźwiający wietrzyk powiał do środka.

- Bardzo proszę obywatelko, opowiedzcie mi dokładnie, jakie były okoliczności śmierci waszego męża i jak doszło do usunięcia was z waszego domu.

Wdowa wyprostowała się, zbierając siły przed zreferowaniem tak dla niej smutnych wydarzeń.

- Tak, już mówię. A więc... Jacques, podobnie jak przedtem jego ojciec, dzierżawił ziemię od markiza de Montnoira. Na tym skrawku ziemi mieliśmy chatę, owszem, niewielką, ale był to nasz dom, bo od pokoleń należał do rodziny mego męża.

- Tak... Rozumiem... - Jean-Luc zapisał dokładnie każde jej słowo. - Proszę, szanowna pani, to znaczy obywatelko, mówcie dalej.

- To było trzy lata temu. Mój najstarszy syn wpadł do domu jak wichur. Krzychał strasznie, jakby zobaczył ducha. I wykrzychał też, że papę stratował koń. Kazałam córce, żeby pilnowała najmłodszych dzieci, i pobiegłam na pole. Nie mogłam biec prędko, byłam przecież przy nadziei. I kiedy tam dobiegłam, zobaczyłam, że mój Jacques... - Zamilkła na moment, przykładając do oczu chusteczkę. - Mój Jacques leżał na ziemi, na plecach, i nie ruszał się. Koń uderzył go kopytem w serce. Zabił go... - Chlipnęła i przeżegnała się.

Jean-Luc uznał, że w takiej chwili nie będzie zwracał jej uwagi, że w obecnych czasach lepiej powstrzymać się od katolickich gestów, bo to może okazać się niebezpieczne.

Westchnął, po czym powiedział łagodnym głosem:

- To bardzo smutne, obywatelko. Ale jak do tego doszło?

- Ja tego nie widziałam, ale widział mój syn. Razem z ojcem i bratem pracowali w polu. Był kwiecień, szykowali się więc do siewu, i nagle z dworu wyjechał konno markiz z pachółkami. Jechali prosto na nasze pole. Zawsze tak było. Markiz, jak jechał na polowanie albo do miasta, zawsze tamtędy przejeżdżał, zupełnie jakby węszył. Dlatego mój Jacques powiedział chłopcom, żeby nie przerywali roboty. Ale tym razem markiz zatrzymał konia tuż przed nimi i zaczął wykrzykiwać, że mój Jacques spóźnia się z zaplaceniem czynszu. Co było wierutnym kłamstwem. Mój Jacques nigdy z tym się nie spóźniał. Był uczciwym człowiekiem i markiz dobrze o tym wiedział!

- Rozumiem... - Jean-Luc powoli pokiwał głową. - Co było dalej?

- Mój mąż bronił się zjadle. On nigdy nie dawał się zastraszyć temu chłystkowi, który miał dzierżawców za nic. Syn mówił, że markiz zaczął krzyczeć, a mój mąż też podniósł głos. Po prostu bronił się, a wtedy markiz zaczął okładać go batem. I mego męża, i naszego chudego konia. Moi synowie chcieli powstrzymać markiza, ale pachółkowie nie dopuścili do tego... - Wdowa zamilkła na chwilę, zbierając siły. - Markiz uderzył naszego starego konia tyle razy, że zwierzę nie wytrzymało. Zaczęło się wspinać, przebierać w powietrzu kopytami. Jakby diabeł wstąpił w tego konia. Mój mąż próbował go uspokoić, na pewno bał się, że spłoszony koń pogna gdzieś przed siebie i narobi szkód. A koń wspinał się i opadał, wspinał i opadał. I za którymś razem... - Jej głos załamał się.

## W cieniu gilotyny

Jean-Luc odczekał chwilę, ale tak czy inaczej musiał o coś jeszcze spytać, żeby wiedzieć, co ma wpisać do akt.

- Koń stratował waszego męża, obywatelko Poitier?

- Tak... - odparła prawie szeptem. Jean-Luc zanotował, a wdowa powoli podniosła głowę, a w jej oczach, jeszcze pełnych łez, widać było gniewne błyski. - Tak było! A potem okazało się, że markiz już przedtem oskarżył nas o zaleganie z czynszem!

- Powiedzieliście, że mąż nigdy z czynszem nie zalegał. Dlaczego więc markiz de Montnoir miałby niesłusznie go o to oskarżać?

- Bo to zły człowiek. Mój mąż zawsze to mówił, że markiz jest bez serca. A poza tym tej wiosny był na nas zły z konkretnego powodu. Bo mój mąż, nie mówiąc nic markizowi, wydał Sylvie, naszą najstarszą córkę, za mąż. Stało się to zimą, kiedy markiz wyjechał. Bo widzicie, obywatelu... - Wdowa nachyliła się, starając się mówić jak najciszej, by słyszał tylko Jean-Luc. - Ludzie gadali okropne rzeczy. Okropne...

- Okropne? A co dokładnie?

- A to, że markiz uważa, że ma prawo do pierwszej nocy.

Jean-Luc pomyślał, że ta kobieta, choć prosta i nauk żadnych nie pobierała, swój rozum ma. Zna życie, zna jego złe strony i na pewno bardziej do nich przywykła niż on. Niż wszyscy obecni w tym pokoju.

- Obywatelu St. Clair, wiecie, co to jest *droit de seigneur*?

Jean-Luc pokiwał głową. Oczywiście, że wiedział. Łacińska formuła brzmiała: *ius primae noctis*, a prawo to znano od wieków. Był jednak pewien, że to tylko złowroga legenda, coś straszego wymyślonego przez tych, którzy nienawidzili arystokracji i w ten sposób chcieli usprawiedliwić różne krwawe porachunki, w tym i te z ostatnich lat. Nigdy by się nie spodziewał, że ktoś z prawa feudała do pierwszej nocy ze świeżo poślubioną żoną wasała robi użytek. A już szczególnie w obecnych czasach i w okolicach Paryża.

- Mój Jacques nie zamierzał pozwolić, by jego córkę rozdziewiczzył markiz de Montnoir. A on był lubieżnikiem, zawsze nękał córki dzierżawców, może też i z tej przyczyny, że żonę miał do niczego. Ale mój Jacques, jak powiedziałam, nie miał najmniejszego zamiaru dopuścić, by markiz dobrał się do naszej córki. Wydał Sylvie za mąż, a markizowi o tym nie powiedział. Więc już wiecie, obywatelu, dlaczego markiz był taki wściekły. Bo noc poślubna z naszą Sylvie umknęła mu sprzed nosa! A teraz to i jego ziemia umknęła mu sprzed nosa! Bo mu ją zabrali!

Jean-Luc, czując, że od tego wszystkiego usta ma spieczone, jakby ktoś mu je wykrochmalił, odłożył pióro.

- Obywatelko Poitier, muszę napić się wody. Może wam też przynieść coś do picia?

- Wina nie odmówię - odparła.

Jean-Luc przyniósł więc wino dla wdowy, a wodę dla siebie. A także najnowsze rejestry więzienne.

- Twierdzicie, obywatelko, że markizowi de Montnoirowi odebrano ziemię? - spytał, otwierając księgę.

- Tak słyszałam. A przedtem, jeszcze w tym samym dniu, kiedy mój Jacques pożegnał się z życiem, wygonił nas z naszego domu. Dlatego tułamy się, pomieszczamy u krewnych, ale jest nas niemało. Wszystkich trzeba nakarmić, a ja nie chcę już dłużej być na cudzej łasce, tak samo

## W cieniu gilotyny

moje dzieci. Chcemy mieć dach nad głową i uczciwie zapracować na chleb. Mamy wielką nadzieję, że skoro markiz nie jest już panem tamtych włości, może uda nam się odzyskać nasz dom.

- Z zapisów w tej księdze wynika, że macie rację, obywatelko Poitier. Markiz de Montnoir został osadzony w więzieniu La Force, a jego zamek i ziemie stały się własnością republiki.

- Co to oznacza?

- Że ziemie i zamek, kiedyś należące do Montnoirów, obecnie należą do ludu francuskiego.

- A więc dostaniemy nasz dom z powrotem? - Jej oczy rozbłysły wielką nadzieją.

A Jean-Luc poczuł wielki gniew. Bo ta wdowa z gromadą dzieci została potraktowana haniebnie, ale czy uda się to naprawić? Tego niestety nie wiadomo.

- Szczerze mówiąc, obywatelko, nie jestem tego pewien. - Z westchnieniem zamknął księgę. - Ale jedno mogę wam obiecać. Zrobię wszystko, żebyście odzyskali wasz dom.

Wdowa też westchnęła i wypila łyżeczek wina, a po jej twarzy przemknął nikiły uśmiech.

- Daj Boże...Tak... Przecież On już sprawił, że wiatr powiał w inną stronę. Rozumiecie, o co mi chodzi, prawda? Daj Boże... A mój Jacques, tam, w niebie, będzie zaśmiewał się do rozpuku, że prawnik utarł nosa niecnemu markizowi i prości ludzie mogą wrócić na swoje.

- Celem naszej Rewolucji, obywatelko, jest zaszczepienie w tym kraju ideału wolności, równości i braterstwa. Jestem głęboko przekonany, że wasza rodzina ma wszelkie prawo wrócić do swojego domu. Niemniej jednak... - Jean-Luc na moment zamilkł, splatając palce złożonych na biurku dłoni. - Pozwolę sobie zapytać, jak to się stało, że pani... że wy, obywatelko, zwróciliście się ze swoją sprawą właśnie do mnie?

- Od dawna dzień po dniu przychodziłam pod ten ogromny gmach, bo wiedziałam, że jest tu wielu prawników. Stałam koło drzwi i prosiłam każdego wytwornego pana w peruce, który wchodził do środka, by mi pomógł. A oni wszyscy opędzali się ode mnie jak od natrętnej muchy. Aż wreszcie jeden z nich powiedział, że jedynym filantropem w tym gmachu jest Jean-Luc St. Clair. I tak trafiłam do was, bo tylko dzięki wam mogę zostać potraktowana sprawiedliwie.

Jean-Luc pokiwał głową, obiecując sobie w duchu, że porozmawia ze swoimi kolegami, żeby jednak nie przysyłali do niego ludzi z takimi sprawami. Choć jednocześnie, o dziwo, czuł satysfakcję, że uważany jest za adwokata, który gotów jest występować w interesie najuboższych obywateli. Gdyby Marie dowiedziała się o tym, na pewno byłaby z niego dumna.

- Wierzę, obywatelko Poitier, że prawo jest po waszej stronie. I trzeba walczyć.

- Jestem wam nieskończenie wdzięczna, że zamierzacie spróbować, a z Bożą wolą na pewno wam się powiedzie... Wybaczcie, obywatelu, przecież wiem, że nie powinniśmy już się modlić, że najwyższy czas skończyć z tymi zabobonami i wierzyć tylko w rozum i prawo. Ale czasami coś mi się wyrwie. Rozumiecie, siła przyzwyczajenia. I bardzo wam dziękuję. Daliście mi nadzieję, a to takie ważne, kiedy się żyje

## **W cieniu gilotyny**

w kraju, gdzie naprawdę nie jest łatwo... – Wstała z krzesła. Owszem, była krzepką kobietą, ale zniszczoną już wiekiem i przeciwnościami losu. Jej pomarszczona twarz pojaśniała w uśmiechu. – Jeszcze raz dziękuję, obywatelu St. Clair. Mam nadzieję, że pewnego dnia będę mogła wam się odwdziżyć. Z nawiązką!



## ROZDZIAŁ CZWARTY

### *Bois de Valmy*

#### *Francja*

*Wrzesień 1792 r.*

Ze snu wyrwała go salwa armatnia dobiegająca gdzieś z oddali. Od razu wiedział, że jest to ogłuszająca zapowiedź czegoś, co nieuchronnie nastąpi. Uwijające się wokół obozu ptaki, które jak zwykle o świcie zaczynały swój poranny koncert, natychmiast umknęły, a André wysunął głowę z namiotu i spojrział na zachód. Mógłby przysiąc, że na salwę armatnią odpowiedziało kilka muszkietów, ale już zaległa cisza, a w szarym świetle świtu widać, jak rozczochrani i zaspani żołnierze zaczynają wydobywać się spod koców i zbijają się w beładną masę wokół ogniska.

André wieczorem nie bardzo mógł zasnąć. Właściwie to nie spał, tylko drzemał, budząc się co jakiś czas. Nie był więc ani wypoczęty, ani wyspany, ale w przedbitewny poranek człowiek o czymś takim w ogóle nie myśli. Zerwał się z posłania, ubrał błyskawicznie i wyszedł z namiotu w chwili, gdy na niebie pojawiło się poranne słońce. A ponieważ obóz wstawał ze słońcem, trębacz zaczął grać pobudkę, podrywając z posłań tych, którzy jeszcze spali.

Zjadł kawałek chleba, popijając słabą kawą i pokrzykując do podkomendnych:

– Zjadajcie wszystko, do ostatniego okruszka! Nie ma sensu zostawiać na potem, bo wieczorem będziemy w innej wiosce, gdzie dadzą nam świeże mięso i piwo.

– Albo robaki będą nas żreć – wymamrotał kapral Leroux wystarczająco głośno, żeby André go usłyszał. Splunął i dalej wtykał kij do kupy popiołu, pozostałości po ognisku z poprzedniego dnia.

– Nie mam zamiaru umierać – oświadczył rażnym głosem André, mając w pamięci rady generała Kellermanna. – Wszyscy przeżyjemy!

– Kapitanie Valière, was to oszczędzą, bo liczyć będą na suty okup – zawołał jak zwykle uśmiechnięty Therrien, młody paryżanin o gładkich policzkach i starannie przyczesanych włosach.

– Nie, dziś nikogo nie będą brać do niewoli – oświadczył Leroux, kręcąc głową. – Nawet markiz może zostać potraktowany jak król. – Znacząco przeciągnął palcem po szyi.

André zignorował złośliwą uwagę i ruszył przed siebie, mijając grupki żołnierzy zgromadzonych wokół małych ognisk wzdłuż południowego krańca obozu. Zauważył, że kilku oficerów zarządziło zbiórkę i żołnierze ustawiają się do wymarszu. Przywitał się więc z oficerami, potem rozejrzał się po zalanej słońcem okolicy. W oddali widać było pola pszenicy, w końcu lata pięknie dojrzałej, jasnozłocistej. A nad ziemią, która ogrzewana słońcem traciła nagromadzoną w nocy wilgoć, unosiła

## W cieniu gilotyny

się delikatna mgiełka.

- Dziś będzie gorąco! - rzucił przez ramię podoficer, który lustrował wzrokiem podległych mu żołnierzy formujących się w dwuszereg.

André znał go doskonale. Był to Digne, jego sierżant. Pokrzykiwał na podkomendnych, sprawdzał, czy broń jest w porządku, i dawał ostatnie wskazówki.

Wojsko zbierało się w południowo-zachodnim rogu obozu, gdzie zaczynał się już las. Stare chorągwie z liliami zastąpiła wielka trójkolorowa flaga powiewająca na czele pochodu, a pod nią zgromadziło się kilku doboszy i fajfrów. Fajfrzy grali na piszczałkach, dobosze bili w bębny. Nie grał tylko może dwunastoletni chłopiec ubrany w zielony rajtrok i o wiele za duże niebieskie spodnie. Nerwowo przestępując z nogi na nogę, tylko wpatrywał się w swój bęben. A po prawej stronie ksiądz w czarnej sutannie i białej koloratce odprawiał mszę. Niemal w całej Francji Bóg i Jezus Chrystus zostali odtrąceni w tym samym czasie co król i królowa, ale tego dnia kilku miejscowych księży przekonało generałów, że warto zrobić ustępstwo.

- Kapitanie Valière!

André, kiedy zobaczył zbliżających się swoich sierżantów, ubranych w białe mundury Thibauda i Digne'a, wyprostował się, bardzo się starając, by zachować kamienną twarz i niczym nie zdradzić, jak bardzo jest zdenerwowany.

- Jak sytuacja? Wszyscy gotowi?

- Tak jest, kapitanie. Wszyscy w mundurach i pod bronią - zameldował Thibaud.

- Każdy ma przy pasie bagnet - dodał Digne. - I trzydzieści kul. I każdy, zgodnie z rozkazem, ma przy mundurze trójkolorową kokardę.

- Dziękuję wam, sierżancie Thibaud i sierżancie Digne.

André spojrzał przed siebie, ponad głowami żołnierzy, którzy już dotarli na miejsce zgrupowania tuż przed lasem.

- Czas formować się.

- Tak jest, kapitanie.

Po lewej stronie miejsca zgrupowania pojawiła się kompania w białych mundurach, która wmaszerowała w zwartym szyku. Obok nich kompania gwardzistów w niebieskich mundurach, starających się naśladować żołnierzy ubranych na biało. Jakiś koń bez jeźdźca głośno rżał i bił kopytami, a kilku wystraszonych gwardzistów odsunęło się o parę kroków.

Jeden z dowódców rozwinął wielką płachtę z napisem:

WOLNOŚĆ, RÓWNOŚĆ, BRATERSTWO

- Jak myślicie, kapitanie, dadzą radę? - spytał Thibaud, spoglądając sceptycznie na coraz większą ciżbę w obszarpanych rajtrokach i dziurawych butach.

- Cóż... Wkrótce się przekonamy - mruknął André.

- Potyczka z Austriakiem to coś innego niż szarpanie się ze starym strażnikiem miejskim... - mamrotał dalej Thibaud.

Jednak André nie zamierzał wtórować mu w narzekaniu. Zdjął trikorn, otarł czoło i wrócił do konkretów:

- Kiedy dojdziemy do drzew, dalej pomaszujemy uformowani w dwie kolumny. Spodziewamy się, że wróg zasadził się na nas za lasem, na

## W cieniu gilotyny

polach. O tej porze pszenica jest wysoka, ale też sucha. Generał Kellermann powiedział, że tam, za lasem, na wzgórzu stoi wiatrak. Kiedy batalion uformuje się w linię, nasza kompania zajmie pozycję z przodu, przed wiatrakami.

– Tam? – Digne gwizdnął cicho. – Na litość boską! Przecież wysyłają nas na pierwszą linię frontu! Co myśmy takiego zrobili, że się na nas tak uwzięli?

– Cóż... Jednego możemy być pewni. Dziś nie będziemy siedzieć z założonymi rękami – oznajmił André, z powrotem wkładając czarny trikorn.

Kiedy artyleria znów zagrzmiała, wszyscy spojrzeli w jedną stronę. I André, i cała jego kompania uformowana w zwarty dwuszereg, w każdym po czterdziestu pięciu ludzi. Oczy wszystkich utkwione były w jeden punkt, w szczyt wzgórza, bo stamtąd dobiegały strzały. Po każdym widać było słup dymu i spłoszone ptaki. I właśnie te uciekające ze swych gniazd ptaki sprawiły, że André jednak przeżył chwilę słabości. Pozazdrościł ptakom, że nie ma skrzydeł i nie może uciec z tego lasu i z tych pól, zanim ziemia spłynie krwią. Ale chwila słabości minęła i zdołał wskrzesić w sobie to, co dla żołnierza niezbędne, czyli odwagę i zdecydowanie. A także poczucie, że ten właśnie dzień, ta bitwa, jest właśnie tym, do czego przygotowywał się od wielu lat.

Zmrużył oczy i ponownie skupił się na porośniętym drzewami wzgórzu, gdzie między kasztanami i dębami stała francuska artyleria.

I Remy.

– Uważaj na siebie, bracie – wyszeptał André i zmówił w duchu krótką modlitwę, prosząc Boga, by pozwolił mu tego wieczoru ujrzeć swego brata żywego.

Wszystkie kompanie uformowane były w zwarte kolumny, wśród nich kompania André w nienagannym szyku. Kiedy rozległ się głos trąbki wzywający do wymarszu, André na moment zacisnął mocno zęby, potem rzucił twardym głosem:

– Słyszeliście, chłopcy! Naprzód marsz!

Sierżant Digne powtórzył rozkaz i kompania ruszyła z miejsca, pozostawiając za sobą rozległe łąki, gdzie tej nocy rozłożyli się obozem. Weszli do zagajnika, żegnając poranne słońce, bo tu promienie nie dawały rady przebić się przez gęste korony drzew. Było chłodno i wilgotno, pachniało piaszczystą ziemią i wilgotną, nasyoną sokami korą. I jeszcze czymś. Siarką. Ten zapach dolatywał z miejsca, skąd padały strzały.

André klepnął się w szyję, uśmiercając komara, i spojrzął na dłoń, na której pojawiła się czerwona plamka. Pierwsza krew, jaką zobaczył tego dnia. A szyja już była mokra od potu. Potem będzie jeszcze gorzej, bo robiło się gorąco, a upał odbiera człowiekowi energię, tak potrzebną walczącym żołnierzom.

– Napijcie się, chłopcy! – zwołał i sam też sięgnął po manierkę. – Ale tylko kilka łyków, nie więcej!

Oczywiście wody. Miał nadzieję, że jego ludzie tego ranka w taki napój się zaopatrzyli. A nie w wino.

Szli przez gęsty las. Odgłosy wystrzałów były coraz cichsze, ale dym wokół nich gęstniał, i kiedy wydawało się, że jeszcze chwila i przez ten

## W cieniu gilotyny

dym nic już nie będzie widać, André dostrzegł przebłyski między drzewami. Czyli las już się kończył, a oni po chwili wkroczyli na polanę zalaną słońcem.

Po mrocznym lesie był to całkiem inny świat. Inny i bardzo niepokojący, bo przecież na otwartej przestrzeni żołnierze byli doskonale widoczni. A los tych dziewięćdziesięciu żołnierzy spoczywał w jego rękach, o czym nie wolno mu choćby na moment zapomnieć.

Tak, kapitan Valière pamiętał o tym, dlatego wszystkie zmysły miał wyostrzone do granic, kiedy wyprostował się i sięgnął po szablę przypiętą u boku. Szablę, na którą patrzyła cała kompania, czekając z bijącym sercem, kiedy przesunie się w górę, a z ust dowódcy padnie rozkaz i wszyscy ruszą do walki.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

### Paryż

Wrzesień 1792 r.

Gdy tylko wdowa Poitier znikła za drzwiami, przy biurku Jean-Luca pojawił się Gavreau, posunięty już w latach prawnik i przełożony Jean-Luca.

- Ta kobieta wygląda jak siedem nieszczęść - stwierdził.

- Owszem - przytaknął Jean-Luc usadowiony przed górą papierów. - A powiedzcie mi, czy wiecie coś o rodzinie Montnoir i jej majątku?

- Nie przypominam sobie. Gdzie są te dobra?

- Jakies dwadzieścia mil na południe od Paryża, koło Massy.

- Aż tam? I wy zaprzątacie sobie tym głowę?

- Tak. Tamte ziemie należały kiedyś do markiza de Montnoira, który skrzywdził tę wyglądającą jak siedem nieszczęść kobietę.

- A... Upodobał ją sobie?

- Ależ skąd! - Jean-Luc energicznie pokręcił głową, niby oburzony, ale mimo woli uśmiechnął się. - Jej córkę, choć nic z tego nie wyszło. Ale przez tego markiza jej mąż poniósł śmierć, a ona z gromadą dzieci została wyrzucona z ich własnego domu.

- Do kroćset! Kolejny lajdarka z arystokratycznym tytułem! Już się nie dziwię, że ta biedna wdowa szlochala w twoją chusteczkę.

- Ja też nie. - Jean-Luc oparł się łokciami o biurko i sponępniał. - Obecnie markiz jest w więzieniu.

- Co będzie dalej z naszym jaśnie panem?

- Muszę to sprawdzić. Mam nadzieję, że z celi wyjdzie tylko raz, na plac Rewolucji.

- Czy ja dobrze słyszę? St. Clair wysłała kogoś na gilotynę! Nigdy bym się tego po was nie spodziewał.

- Bo ten człowiek to pozbawiony sumienia przestępca. Gwałciciel, morderca i Bóg jeden wie co jeszcze. Co dla mnie jest ważniejsze niż fakt, że pochodzi z arystokracji.

- Rozumiem... Czyli nie po raz pierwszy zamierzacie zabawić się w dobroczyńcę. Bo jak przypuszczam, ta kobieta nie ma czym zapłacić.

Jean-Luc westchnął, po czym oznajmił:

- Przecież pracujemy dla Rewolucji, prawda? Walczymy o wolność, równość i braterstwo. Dla ludu, a więc także dla tej ubogiej i bezbronnej wdowy oraz jej dzieci.

- A ja uważam, że jesteście zbyt inteligentni, by bawić się w niańkę, St. Clair. Ale cóż... - Gavreau uśmiechnął się. - Wiecie co? Wasz rewolucyjny patriotyzm obudził we mnie wilczy głód. Zjemy razem obiad? Zapraszam.

Jean-Luc spojrział na stos dokumentów i westchnął.

- Bardzo dziękuję, ale mam mnóstwo pracy.

- Nalegam, St. Clair, a także przypominam, że jestem waszym przełożonym... którego nigdy nie słuchacie.

- Ależ słucham. Oczywiście, że tak!

## W cieniu gilotyny

– Czyżby? Bo znów, jak powiedziałem, bawicie się w dobroczyńcę, przez co nie zarobicie na czynsz i jedzenie. Idziemy, St. Clair. Nie zajmie nam to wiele czasu, poza tym mam niezwykle wieści, którymi chciałbym się z wami podzielić.

– Dobrze – powiedział Jean-Luc, który nagle poczuł, że w żołądku ma tak samo pusto jak szef. Ale co się dziwić, skoro oprócz porannej kawy i kromki chleba niczego więcej nie miał dziś w ustach. – Mówicie, że nie potrwa to długo... Tylko nie spodziewajcie się, że pomogę wam opróżnić całą butelkę wina!

– Cnotliwy St. Clair! – Gavreau roześmiał się. – Służka Pana wykonuje dzieło boże, chociaż Bóg został wypędzony z naszej republiki! Ale dość tych żartów. Idziemy. Spotkamy się na dole, bo muszę jeszcze zajrzeć w ustronne miejsce.

Wieczór był ciepły i pogodny. Tak ciepły, że Jean-Luc zdjął szustokor i przerzucił przez ramię. Kiedy wraz z Gavreau wyszli na ulicę, słyszeli, jak na pobliskim placu Rewolucji gromadzi się tłum, poszli więc w przeciwną stronę.

– Na co macie ochotę, St. Clair? Na ciekłą zupkę? Kartoflankę albo marchwiankę? – spytał z uśmiechem Gavreau, gdy przechodzili koło Pałacu Sprawiedliwości<sup>[3]</sup>. – Tragedia... Oddałbym wszystko za kawalek mięsa!

– Najważniejsze, to znajdziemy coś blisko. Naprawdę mam dużo pracy.

– W takim razie idziemy do La Colombe. Niedawno zatrudnili tam kelnerkę, która ma przeogromniaste piersi. Takich nigdy jeszcze nie widziałem.

Oczywiście nie tylko powiedział, ale również zademonstrował rękami, jak olbrzymi jest ów biust, ale Jean-Luc zignorował to, pytając o coś całkiem innego:

– Jakież to wieści macie mi do przekazania?

– Wieści? A tak! Chodzi o to, że jest ktoś, z kim niewątpliwie chcielibyście się spotkać.

– Gavreau! – Jean-Luc energicznie pokręcił głową. – Ile razy już wam mówiłem, że stworzyliśmy z moją żoną szczęśliwe małżeństwo i nie mam zamiaru spotykać się z żadną waszą znajomą.

– Ależ nie o to chodzi! To znaczy nie tym razem. Chodzi o kogoś, kto przyjedzie do Paryża z końcem tygodnia. Ktoś, z kim sam Robespierre bardzo chce się spotkać.

– Któż to taki?

– Maurice Merignac, osobisty sekretarz Guillaume'a Lazare'a.

Jean-Luc, kiedy to usłyszał, zatrzymał się w pół kroku. Był tak zdumiony, że na moment odjęło mu mowę.

– Guillaume'a Lazare'a? – powtórzył z niedowierzaniem, a bardzo z siebie zadowolony Gavreau z uśmiechem pokiwał głową. – Naprawdę znacie osobistego sekretarza Guillaume'a Lazare'a? – spytał Jean-Luc, żalując poniewczasie, że nie ugryzł się w język. Przecież nie chciał urazić starszego kolegi i szefa zarazem.

– St. Clair, a więc dobrze wiecie, o kim mowa.

– Naturalnie, że wiem – obruszył się Jean-Luc. – Guillaume Lazare prowadził więcej spraw dla młodej republiki niż...

– Wygrał więcej spraw dla republiki niż jakikolwiek inny prawnik –

## W cieniu gilotyny

szybko poprawił go Gavreau. – Skorumpowani urzędnicy i arystokracja boją się go bardziej niż samego diabła.

Guillaume Lazare. Trudno, żeby Jean-Luc nie słyszał o wręcz legendarnym prawniku, nie tylko głośnym, ale ponoć również znakomitym, który zresztą kiedyś pracował dla króla. Miał więc niełatwe zadanie, kiedy po zdobyciu Bastylli posyłał do więzienia swoich znajomych z królewskiego dworu.

– Musicie się spotkać się z Maurice'em, St. Clair. Na pewno przecież chcecie zostać znanym i cenionym prawnikiem, a Maurice Merignac może was przedstawić najbardziej światłemu prawniczemu umysłowi Francji.

– I wy możecie to spotkanie zaaranżować? – spytał Jean-Luc, mimo wszystko sceptycznie spoglądając na szefa.

– Czemu nie? – Gavreau oparł ręce na biodrach i wypiął pierś. – Jak wicie, nie stronię od życia towarzyskiego. Bywam na salonach i tak się składa, że znam wielu ludzi.

Jean-Luc miał jeszcze w zanadru kilka pytań, ale milczał, bo zauważył, że bardzo czymś podekscytowani przechodnie zaczynają się gromadzić, a w otwartych oknach w pobliskich domach widać głowy mieszkańców pilnie nadstawiających uszu.

– Co się dzieje?

Przystanął, Gavreau naturalnie też, i wtedy usłyszeli piskliwy głos:

– Kupcie gazetę! Kupcie gazetę! Są wieści z frontu!

– Hej, chłopcze!

Gavreau złapał za ramię gazeciarza, na oko dwunastolatka, i wcisnąwszy mu do brudnej ręki sou, chwycił jedną z gazet i niecierpliwie zaczął czytać.

– Co piszą? – dopytywał się zaciekawiony Jean-Luc, zaglądając mu przez ramię. – Czy bitwa już się zaczęła?

– Wygląda na to, że nasi chłopcy dopadli wroga w lasach koło Valmy – odparł Gavreau, nie odrywając oczu od gazety. – Habsburgowie połączyli siły z Prusakami. No cóż, wciąż mają ochotę na wycieczkę do Paryża.

Jean-Luc czuł, jak puls mu przyspiesza. Jeśli Prusacy faktycznie zamierzają ruszyć na Paryż, to powinien jak najszybciej znaleźć się w domu razem z Marie i Mathieu. Tak, ale gdzie w takiej sytuacji lepiej być? W domu, czyli w Paryżu, czy poza miastem?

– Gavreau, czy to znaczy, że ponieśliśmy klęskę?

– Nie wiadomo. Kellermann jest tam po to, by powstrzymać tych łajdaków. Moim zdaniem ma szansę przepędzić szwargoczących barbarzyńców z powrotem za Ren.

Jean-Luc przystanął.

– Muszę wracać do domu, żeby ostrzec Marie.

Gavreau spochmurniał.

– A nasz wspólny obiad?

– Wybaczcie, ale Marie i Mathieu są sami...

– Rozumiem, rozumiem. Oczywiście wracajcie do domu, St. Clair. Wasza żona na pewno bardzo się wystraszyła tymi wieściami. Ale gdy dzwony zaczną bić na trwogę, to wracajcie, żeby walczyć razem ze mną ramię w ramię. Będę też potrzebował kogoś, kto powstrzyma mnie, żebym nie narobił w portki, gdy zobaczę nadciągających Prusaków.

## W cieniu gilotyny

– Oczywiście, że wtedy wrócę i chwycę za broń – rzucił przez ramię Jean-Luc, kierując się w stronę mostu.

Na lewym brzegu Sekwany na każdym rogu tłoczyli się ludzie niecierpliwie wyczekujący nowych wieści. Jean-Luc wbiegł po schodach, przeskakując po dwa stopnie, i wpadł do domu jak wichur.

– Marie! Mathieu!

Gdy odpowiedziała mu cisza, błyskawicznie zlustrował niewielkie mieszkanie, a ponieważ oprócz niego nikogo tu nie było, zbiegł po schodach, mając nadzieję, że sąsiedzi na dole widzieli jego żonę i synka.

Oberża Grocque'ów pękała w szwach, i Jean-Luc ku swej największej radości w tłumie zaniepokojonych i podekscytowanych ludzi dojrzał Marie. Stała wraz z kilkoma kobietami koło paleniska i coś mówiła, a one słuchały uważnie i kiwały głowami. Nicopodal pani Grocque układała stosik drewniaków na podpałkę.

– Marie! – zawołał jeszcze głośniejszym głosem.

Wtedy odwróciła się i poczuł wielką ulgę, gdy zobaczył, że przewiązana jest chustą, w której siedzi mały Mathieu. Ale wcale nie odwróciła się szybko, wręcz powoli, jakby w czymś jej przeszkodził. Pomachała ręką i Jean-Luc podszedł, popatrując na twarze otaczających ją kobiet. Wszystkie były znajome, bo to kobiety z sąsiedztwa. Widywał je u piekarza czy rzeźnika.

Pocałował Marie w policzek, a ona, wyraźnie czymś zajęta, odwróciła się do kobiet, powiedziała, że rozmowa już skończona, i zabrała się do szarpania wąskich płóciennych pasków, by poluzować nitki. W ten sposób powstawały szarpie, którymi owijało się rany. A także głaskała synka, kiedy zaczynał się wiercić. Kilka kobiet układało na długich stołach pogrzebacze, wałki do ciasta i szpadle, a inne napełniały sagany wrzątkiem. Starsza kobieta o szerokich ramionach unicestwiała krzesła, pozbawiając je nóg. Wniosek taki, że te nogi miały służyć za broń.

Do Marie podeszła młoda kobieta z naręczem drewna.

– Przepraszam, obywatelko St. Clair! Gdzie mam to położyć?

– Tam, na stole, gdzie kładziemy podpałkę.

Zdezorientowany Jean-Luc jeszcze raz rozejrzał się wokół, po czym powiedział:

– Wygląda na to, że w oberży będzie sztab. A może lazaret?

Gdy Marie uniosła głowę, przekonał się, że w jej oczach nie ma ani odrobiny lęku, a przecież gnał do domu przekonany, że zawładnie nią strach. Nic podobnego! Jego żona była pełna zapału i determinacji, ale przede wszystkim bardzo zajęta.

– Po prostu przygotowujemy się do obrony. Przecież w każdej chwili mogą się tu pojawić. Ale... – Marie uśmiechnęła się. – Wcale nie jesteśmy pierwsze. Przed nami były kobiety, które mając już wszystkiego po dziurki w nosie, chwyciły za noże i pogrzebacze i pomaszerowały do Wersalu domagać się jedzenia dla najbliższych. My też nie będziemy siedzieć beczynnym w mieszkaniach, kiedy mężczyźni pójdą bronić murów miasta.

Mocno poruszony Jean-Luc jeszcze raz przemknął spojrzeniem po tych jakże dzielnych kobietach krzątających się po oberży. Potem z dumą i największą czułością spojrzął na żonę.



## **W cieniu gilotyny**

– Jestem szczęśliwy, Marie – powiedział, kładąc dłoń na jej ramieniu. –  
Szczęśliwy, że wszystkie jesteście po naszej stronie. Za Rewolucją.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

### *Bois de Valmy*

#### *Francja*

*Wrzesień 1792 r.*

Francuscy żołnierze, zgrupowani w kompanie i bataliony, lawą wyszli z lasu i posłuszni rozkazom wykrzykiwanym przez sierżantów i oficerów, uformowali się w trzy równe kolumny. Całe to zamieszanie wcale nie przeszkadzało stadku dzikich gęsi, które jak w każdy letni dzień żerowały na polu pszenicy między jednym lasem a drugim.

Pole, które miał przed sobą André, leżało na zboczu. Wspinało się w lewą stronę, gdzie na szczycie wzgórza widać było zajmujących pozycje Francuzów, prawie niewidocznych przez armatni dym. Tak samo niemal całkowicie zasłonięty był ledwie widniejący na horyzoncie strzelisty wiatrak, o którym mówił Kellermann. W upalny i niemal bezwietrzny dzień jego skrzydła prawie się nie poruszały.

Francuzi zajmowali pozycje również z prawej strony, u podnóża wzgórza. Wielu z nich było niespokojnych i rozszepowanych, niezdolnych pokonać strach. Napięcie wyczuwało się na całej pierwszej linii frontu. Przecież w każdej chwili spośród rosnących w oddali drzew mogła nadejść śmierć.

Ale nie nadchodziła. Francuzi czekają, a Prusaków i Austriaków jak nie było, tak nie ma, i André zaczął się już zastanawiać, czy przypadkiem wojska sprzymierzonych nie straciły ochoty do walki, a Francuzi bez jednego wystrzału uchronią swój kraj przed nieproszonymi gośćmi. Ale niestety były to tylko pobożne życzenia, bo po chwili, kiedy wyteżył wzrok, w oddali, wśród drzew coś błysnęło w słońcu. Owszem, mogło być to tylko złudzenie, gra światła, ale równie dobrze mógł być to hełm albo strzelba.

A kiedy spojrział w lewo, zobaczył w odległości mniej więcej pięćdziesięciu, sześćdziesięciu kroków trzech jeźdźców jadących wzdłuż linii Francuzów. Wszyscy ubrani byli w ciemnoniebieskie rajtroki ze złotymi guzikami, obszyte czerwonym galonem. Na głowie trikorn ozdobiony piórami, które kołysały się w rytm kroków konia.

Trzej francuscy dowódcy zatrzymali się. W środku Kellermann spoglądający przez lunetę na odległe drzewa. Po prawej stronie generał Dumouriez ściągający wodze, bo koń zachowuje się niespokojnie. Po lewej stronie Murat studiujący mapę. Po chwili Kellermann zamknął lunetę i powiedział coś do pozostałych generałów. Niestety byli zbyt daleko, by André mógł cokolwiek usłyszeć. Kellermann mówił, Dumouriez kiwał głową. Jego jasnoczerwona szarfa i złote epolety lśniły w słońcu. A Murat, żeby lepiej widzieć las, zsunął trikorn z czoła.

W sporej odległości na prawo od André stały kompanie Gwardii Narodowej, które łatwo było rozpoznać po obszarpanych niebieskich rajtrokach i połatanych spodniach. Stali i ponaglani przez swoich jeszcze

## W cieniu gilotyny

niezaprawionych w boju dowódców wznosili gromkie okrzyki.

- Głupie młokosy... Nie mają pojęcia o walce - burknął któryś z podkomendnych André, ale w jego głosie było więcej niepokoju niż gniewu.

- Lepiej się, chłopcy, nie wtrącajcie! Zostawcie to dorosłym! - wrzasnął do gwardzistów Leroux.

Kilku żołnierzy zaśmiało się, a André spiorunował kaprała wzrokiem.

- Tylko bez takich krzyków!

Wiedział, że przed bitwą żołnierze często, by stłumić strach, pokrzykują, obrażają się nawzajem i przeklinają, jednak nie życzył sobie, by jego żołnierze rozochocili się i zapomnieli o dyscyplinie.

A potem znowu coś zobaczył, i tym razem był całkowicie pewien, że to nie złudzenie. Te postaci wyłaniające się z zielonej ściany drzew, ubrane w szmaragdowe rajtroki i kapelusze z jednym zielonym piórem... To wróg. Jeden z nich, znajdujący się w oddali, trzymał w ręku lunetę w wypolerowanej, skrzęcej się w słońcu oprawce.

- Tam! Spójrzcie! - zawołał któryś z niebieskich rajtroków, wskazując ręką. - Tam! Między tymi drzewami!

A André zauważył z satysfakcją, że jego ludzie na widok wroga ani drgnęli.

Prusak z lunetą po krótkiej chwili znikł między drzewami. Kellermann, Dumouriez i Murat musieli go też dostrzec, bo zawrócili konie i ruszyli kłusem w stronę linii Francuzów. Zanim przez nią przejechali, Kellermann zatrzymał konia, odwrócił się w stronę Prusaków i na chwilę znieruchomiał, jakby sztychł z nich, jakby wołał bezgłośnie: „Chodźcie tu, psułaty, to się policzymy”. Potem zawrócił konia, a kiedy mijał swoich żołnierzy, unosił kapelusz i uśmiechając się szeroko, zawołał:

- Dobierzcie się im do skóry, chłopaki!

- *Vive la France!* - zakrzyknął jeden z żołnierzy stojący tuż przy André.

Pozostali zawtórowali zachrypniętymi głosami, a potem wzniesli okrzyk bojowy, który tego lata stał się tak dobrze znany:

- *La patrie est en danger!*

Oczywista w niebezpieczeństwie! Ten moment uniesienia trwał jednak bardzo krótko, kiedy wróciła świadomość, że tworzą pierwszą linię frontu i są doskonale widoczni dla wroga, który przybył tu, by stoczyć bitwę. Co do tego nie było żadnych wątpliwości. A przed nimi pojawił się znowu Prusak, na skraju lasu, czyli tam, gdzie nie można go było trafić z muszkietu. Podniósł prawą rękę, jakby pozdrawiał Francuzów, opuścił ją i wbiegł truchtem na łąkę. Zatrzymał się w bezpiecznej odległości, przykląkł i podniósł długą strzelbę. André zobaczył obłoczek dymu, a zaraz potem rozległ się znany dźwięk, jakby coś trzasnęło, i sploszone ptaki poderwały się do lotu.

Spśród drzew wyłoniło się kilku następnych wrogich harcówników. Przebiegli kawałek skrajem lasu i przyklękli, kryjąc się za wysokimi łądogami pszenicy, skąd zaczęły dobiegać pojedyncze strzały. Po każdym kolejnym nad pszenicą widać było obłoczek dymu. Strzelali niespiesznie, z daleka. Ich zadaniem było zwabić Francuzów.

I nagle, jak duchy lasu, z linii Francuzów zaczęły wyłaniać się postaci białoniebieskie. Byli to francuscy harcównicy, którzy wzywali do walki Prusaków. Przykucałi, potem biegli zygzakiem, by nie stać się łatwym

## W cieniu gilotyny

celem dla strzelb o dalekim zasięgu.

Kiedy Prusacy znów otworzyli ogień, odezwały się strzelby Francuzów. Wtedy André pomyślał, że można to przyrównać do początku balu, kiedy człowiek wciąż jeszcze się zastanawia, którą damę porwać do tańca, a na środku sali tańczy już kilka najodważniejszych par.

Zerknął na swoich żołnierzy i dostrzegł na ich twarzach bojowy zapal, niemal uniesienie. Któryś z nich wykrzykiwał mocne słowa zachęcające do walki i coraz więcej szybkich i zwinnych żołnierzy przyłączało się do tego jedyne w swoim rodzaju tańca harcowników. Żaden z nich nie został jeszcze trafiony, ale strzały Prusaków słychać było coraz częściej. Kilku francuskich harcowników po lewej stronie przestało strzelać i zaczęło ładować muszkiety, a po chwili większość żołnierzy po obu stronach André, chyba ze dwustu, wysunęło się zwartym szeregiem do przodu, ale już nie do harcowania, tylko po to, by bez żadnych wstępów zadać komuś śmierć. I stało się. Zajęty ładowaniem strzelby żołnierz w zielonym mundurze krzyknął i upadł na plecy, a z francuskich gardeł rozległ się okrzyk wielkiej radości z pierwszej śmierci tego dnia. Śmierci zadanej przez Francuzów.

Tylko zajęci swoim zadaniem harcownicy milczeli. Ich dowódca przykląkł, wycelował i wypalił. I w tym momencie trafiła go w udo kula wroga. Na widok krwi sączącej się przez spodnie dwóch Francuzów podbiegło do niego. Chwycili go pod ręce i zaprowadzili na tyły, za linię frontu. Kilku innych Prusaków zostało trafionych, kilku Francuzów osunęło się między jasnozłociste łodygi pszenicy. A potem tak samo nagle, jak się zaczęło, nastąpił koniec tego preludium bitwy, i harcownicy z obu stron wycofali się do swoich, niczym posłuszne księżycowi fale oceanu ustępujące podczas odpływu.

Wyprostowany jak struna André czuł, że w jego ciele każdy, nawet najmniejszy mięsień naprężony jest do granicy bólu. Stał i wpatrywał się w pole, nad którym jeszcze przed chwilą unosiły się obłoki dymu. Gdzie wśród pszenicy pozostało kilka nieruchomych ciał i gdzie w każdej chwili mogła pojawić się piechota sprzymierzonych Prusaków i Austriaków. Na tę chwilę czekali wszyscy z największą niecierpliwością. Niektórzy zaczęli już kląć, wyzywając od ostatnich wroga, który nadal kryje się w krzakach.

Kiedy z oddali dobiegły odgłosy bębna, niewątpliwie sygnał do wymarszu wrogich wojsk, André, choć miał ochotę powiedzieć żołnierzom kilka stosownych słów, ust nie otworzył, bojąc się zdradzić, że nerwy ma napięte do granic. A po chwili zobaczył wyłaniający się spośród drzew mur zieleni i złota, nad którym łopotały dwie chorągwie, Królestwa Prus i Austrii. Ciężkie buty z cholewami dudniły w jednym rytmie, czyli nie bez kozery pruską armię okrzyknięto najbardziej zdyscyplinowanym wojskiem na kontynencie.

Bębny też zadudniły. Dobosze, ustawieni na tyłach formacji André, dawali sygnał Francuzom, że na nich też przyszedł czas i pora ruszać do walki. Generałowie Kellermann i Dumouriez, ustawieni z boku, spojrzeli po sobie i skinęli głowami. Będący tuż za nimi Murat zerknął na mapę, po czym wszyscy trzej spięli konie, wyciągnęli szable i ustawili się przed linią Francuzów.

Oczy wszystkich wlepione były w dowódców.

## W cieniu gilotyny

– Żołnierze! – zakrzyknął Kellermann, unosząc ręce. W jednej trzymał trikorn, w drugiej dzierzył szablę.

Głośne i pełne zapału okrzyki żołnierzy zagłuszały generała, ale André pomyślał, że dobrze, niech się wykrzyczą, bo w ich oczach jest nie tylko entuzjazm, ale także strach.

Udało mu się usłyszeć tylko ostatnie słowa dowódcy:

– Napadnięto na nasz naród, ale my nie pozwolimy, by dostał się w jarzmo niewoli! Podejmujemy rękawicę i tu, w tym miejscu, tego dnia stajemy do walki o wolność, równość i braterstwo! – Generalska szabla pofrunęła w górę wraz z końcowym okrzykiem: – *Vive la nation!*

André, porwany ogólnym entuzjazmem, podniósł rękę i zacisnął pięść. Tak, niech żyje naród! Czuł, jak krew galopuje mu w żyłach, jak rozpiera go duma.

– *Vaincre ou mourir!* – krzyknął. Bo taka jest logika wojny: Zwycięstwo albo śmierć! Istniały tylko te dwie możliwości, a każdy obecny tu Francuz dobrze o tym wiedział.

W tym czasie Prusacy, ta struga zieleni, bieli i złota pokrywająca złociste pole, podchodzili coraz bliżej, jakby nie robili sobie nic z nagłego wzmocnienia ducha bojowego Francuzów. Było ich coraz więcej. Szli prosto na André i jego podkomendnych, którzy wlepili oczy w swego dowódcę, czekając na rozkaz. W ich oczach nadal był strach i André poczuł ucisk w dołku. Bo żołnierze, czekając na sygnał, kiedy patrzą na dowódcę, być może czują się pewniejsi. Jak psotne i uparte dzieci, które na widok obcego i wyglądającego groźnie człowieka raptem tracą animusz i chowają się za ojcem. Jeden tylko Leroux z kamienną twarzą patrzył śmiało przed siebie. Może też i dlatego, że nie chciał patrzeć na swego dowódcę.

Nieważne.

André uniósł szablę.

– Ruszamy, chłopcy! Kompania! Na ramię broń!

Wszyscy karnie unieśli strzelby i oparli o ramię.

– Naprzód marsz!

Wszyscy kapitanowie na tej linii frontu wykrzykiwali te same rozkazy i wszyscy żołnierze jak jeden mąż robili to samo. Tysiące lewych stóp wysunęło się do przodu, robiąc pierwszy krok w tym marszu w nieznane.

A za nimi znów zagrzmiała francuska artyleria. Cel był już w zasięgu wzroku, strzelano więc nie na postrach, lecz po to, by zabić. I po raz pierwszy tego ranka pruska artyleria odpowiedziała salwą z odległego krańca lasu. André drgnął mimo woli, ale błyskawicznie zebrał się w sobie, dzięki czemu dał radę oprzeć się pokusie, by po prostu gdzieś się schować. Jedna z pruskich kul wbiła się w wilgotną ziemię z jego prawej strony w odległości dwudziestu kroków, a z lewej strony słychać było strzały z francuskich muszkietów. Hałas był straszny. Oficerowie wykrzykiwali rozkazy, żołnierze wznosili bojowe okrzyki, a pole bitwy spowijał dym. André zakaszał i odwrócił się, by sprawdzić, czy jego żołnierze nadal postępują w szyku bojowym. Wróg był przecież blisko, widać było twarze. André dostrzegł na przykład, że jeden z Prusaków, oficer, który idzie prosto na niego, ma szerokie czoło i jasne włosy.

– Kompania, stój! – zawołał i wszyscy znieruchomieli. A on czuł, że w gardle z tych emocji ma pustynię. Odczekał więc kilka sekund, a potem,

## W cieniu gilotyny

tak jak wbijano do głowy podczas szkolenia, zagrział: – Ładuj broń!

Kiedy jego żołnierze zaczęli ładować do luf muszkietów proch i kule, niemiecki oficer, ten, którego miał przed sobą, zaczął wykrzykiwać rozkazy w niezrozumiałym dla André języku. Prusacy zatrzymali się i wycelowali muszkiety we francuskich żołnierzy.

I wtedy, wstyd przyznać, André poczuł strach. Ale dał radę wychrypieć kolejny rozkaz:

– Kompania! Gotuj broń!

Jego słowa zostały wprowadzone w czyn z prędkością zadziwiającą, co dowodziło, że żołnierze są gotowi do walki. Odbezpieczyli zamki skałkowe i zanim wróg otworzył ogień, André uniósł szablę i po raz kolejny zagrział:

– Ognia!

Czterdzieści muszkietów wypaliło jednocześnie. Huk wystrzałów był ogłuszający. Grad kul posypał się na Prusaków, a Francuzów spowił dym. Kilka sekund później André usłyszał salwę Prusaków, którzy jednak spóźnili się. Po salwie Francuzów widoczność była ograniczona, dlatego większość pruskich kul poleciała albo za wysoko, albo za daleko. Niestety, kilka z nich trafiło do celu. Jeden z żołnierzy blisko André chwycił się za brzuch i osunął na ziemię. Także kilku żołnierzy kawalek dalej. Krzyknęli rozpaczliwie i też upadli na ziemię.

Kiedy dym opadł, André zobaczył, jak Prusacy zajmują w szeregu puste miejsca po poległych towarzyszach i natychmiast zebrał się w sobie. Wielka radość, że jak dotąd żadna kula go nie ugodziła, znikła, bo nie pora na jakiegokolwiek uczucia. Znow był chłodny, opanowany, skupiony, bo trzeba jak najszybciej zaatakować, zanim wróg otrząśnie się po pierwszej salwie.

– Kompania, ładuj broń! – krzyknął, zauważając przy tym, że niektórzy z jego ludzi po pierwszym zetknięciu się z ogniem wroga są oszołomieni i nieborni. A żołnierzowi, który stał z lewej, ręce trzęsły się jak w febrze, dlatego nie był w stanie wsunąć wycioru do lufy, by pocisk i proch znalazły się na właściwym miejscu.

Ale nie wolno dłużej zwlekać.

– Kompania! Gotuj broń! Ognia!

Ludzie André wypalili po raz drugi prawie jednocześnie z Prusakami, którzy tym razem strzelali celniej, dokonując większego spustoszenia. I po prawej, i po lewej stronie André żołnierze padali na ziemię. Jedna z kul przeleciała tuż koło jego ucha, brzęcząc jak rozgniewany szerszeń. Poprzez zasłonę z dymu widział, jak trzech żołnierzy, którzy stali w pierwszym rzędzie, leży nieruchomo na ziemi. Słyszał, jak sierżant Digne nawołuje ludzi, by zajmowali opustoszałe miejsca w drugim rzędzie. I wtedy André po raz ostatni powtórzył sobie w duchu, że to bitwa, tu nikogo się nie oszczędza, tu odpląca się tylko pięknym za nadobne.

Artyleria za jego plecami kontynuowała ostrzał, dzięki czemu chaos był jeszcze większy, ale przecież wiedział, że inaczej być nie może. I jedni, i drudzy mają ładować broń i zabijać, póki straty po którejś stronie nie będą już tak wielkie, że zniknie ochota do dalszej walki. Może zniknąć też z powodu wyczerpania żołnierzy. A jedyne, co André może zrobić dla swoich żołnierzy, to postarać się, by strzelali częściej niż wrogowie.

## W cieniu gilotyny

Nagle zauważył, że wszyscy żołnierze wpatrują się w zbocze koło prawej flanki. Nie bez powodu, bo właśnie tam pojawiła się gromada niebieskich gwardzistów nacierająca na Austriaków. Gwardziści krzyczeli, jakby ich diabeł opętał, Austriacy zaczęli się wycofywać. Kilku z nich leżało już na ziemi, a kilku pełnych zapału gwardzistów zachęcało kolegów, by dalej gonić Austriaka. I niebieskie rajtroki ruszyły ławą na wroga. Kiedy byli od niego w odległości stu kroków, Austriacy raptem zatrzymali się i przegrupowali niezwykle sprawnie. Zrobili w tył zwrot, pierwszy rząd przykląkł i austriackie muszkiety wypaliły jednocześnie, zbierając śmiertelne żniwo wśród zaskoczonych Francuzów, którzy padali na ziemię jak koszona pszenica. André z bijącym sercem słuchał, gdy tyłu jego rodaków krzyczało z bólu. A dla wielu przecież był to ostatni krzyk. Ci, co przeżyli, widząc dookoła ogrom trupów, rzucali się do ucieczki, zostawiając ciężko rannych towarzyszy, którzy wołali rozpaczliwie o pomoc, póki austriacki bagnet nie dokończył dzieła w tych żniwach śmierci.

Wrogie dowództwo musiało się zorientować, że na prawej flance Francuzi słabną, dlatego wysłało tam dodatkowe siły. Już widać było nowych Austriaków. Szli jak wezbrana rzeka, która za chwilę uderzy w chwiejącą się tamę, niemal już bezbronną.

Czyli zbliża się jatka. André, ocierając pot z czoła, wydał rozkaz kolejnej salwy z muszkietów, a na prawej flance było coraz więcej białych mundurów, a niebieskich rajtroków coraz mniej. Francuzi padali, niektórzy ratowali się ucieczką, a rozochoceni Austriacy okrzykami dawali wyraz swojej radości.

– Spokojnie, chłopcy! Weźcie się w garść! – zawołał André, by dodać otuchy swoim żołnierzom, a potem znów wydał komendę: – Kompania! Ładuj broń!

Zarazem myślał gorączkowo. Na litość boską, czy jest jakiś sposób, by ich powstrzymać? Przecież jeśli Prusacy i Austriacy w tak wielkiej liczbie przedarli się przez linię Francuzów, to są w stanie przebić się przez rozproszoną piechotę, przedostać się na tyły wojsk francuskich, by siać tam spustoszenie i wywoływać panikę. I odbiorą Francuzom nadzieję na zwycięstwo.

– Kompania! Ognia! – zawołał po raz kolejny, starając się, by jego zachrypnięty głos był jak najbardziej donośny i stanowczy, choć to, co działo się po lewej stronie, było już po prostu kłęską.

I nagle usłyszał gdzieś z tyłu głos trąbki, a potem radosne okrzyki. Błyskawicznie zrobił w tył zwrot i aż westchnął. Kirasjerzy! Do linii frontu zmierzał galopem szwadron ciężkiej kawalerii francuskiej. Konie okryte zbroją dudniły kopytami. Na samym przedzie pędził generał Murat w kiryście lśniącym w słońcu i bijącym po oczach wroga. Jedną ręką trzymał wodze, w drugiej wysoko uniesioną szablę. Jak jastrząb, pomyślał André. Jastrząb rzucający się na nieszczęsną ofiarę. I tak było, bo Murat siekł szablą bezlitośnie w lewo i prawo, przedzierając się przez szeregi wrogiej piechoty. Siekł ludzi, którzy jeszcze przed chwilą byli pewni, że przedarli się przez prawą flankę Francuzów.

Nawet André, krzycząc z radości, był w stanie tylko patrzeć jak urzeczony na Murata i jego kawalerzystów, którzy wypędzali pruską i austriacką piechotę z prawej flanki, zdawałoby się już straconej dla

## W cieniu gilotyny

Francuzów.

Nagle ktoś złapał go za ramię.

- Kapitanie! Idą na nas! Ci z przodu!

Tak było. Pruska piechota, ustawiona naprzeciwko ich linii, wystawiła bagnety i ruszyła przed siebie. Falanga z ludzi, drewna i stali. Żołnierze z obu stron wznosili gniewne okrzyki, urągali sobie nawzajem. Strach przed śmiercią, który tak wielu z nich czuło na początku bitwy, całkiem znikł zastąpiony przez żądzę krwi i pragnienie pozostania przy życiu, a te emocje osiągnęły swoje apogeum. Tylko jeden cel: zabić wroga!

André zdawał sobie sprawę, że nie ma sensu powstrzymywać żołnierskiej furii. Jedyne, co powinien zrobić, to ujarzmić tę nieokielznaną energię i w odpowiedniej chwili uwolnić ją całkowicie na zubożenie wroga.

- Kompania! Bagnet na broń! - krzyknął zachrypniętym głosem, który wydał mu się już tak samo oszalały jak wrzaski jego żołnierzy. - Kompania! Naprzód!

Ruszył pierwszy, nadając tempo. Szli na spotkanie wroga, który był coraz bliżej, coraz lepiej widoczny i coraz liczniejszy. Szli nie tylko oni, bo pozostałe francuskie kompanie też ruszyły w tę samą stronę.

Szabla André wyprysnęła w górę.

- Kompania! Stój!

Stanęli twarzą w twarz z wrogiem i na chwilę zapadła dziwna, upiorna cisza, póki nie rozległ się krzyk pruskiego dowódcy:

- *Vorwärts marsch!*

- *Schweine!* - wrzasnęli Prusacy i ruszyli przed siebie.

- Utrzymać pozycje, chłopcy! - ryknął André do podkomendnych i uniósł szablę. - Pierwszy szereg kłęka!

Pierwszy rząd Francuzów karnie przykląkł i wtedy nagle z tyłu zagrzmiało z taką siłą, jakby zagniewane niebo otwarło się gwałtownie, wyrzucając z siebie ogłuszający huk, który przetoczył się przez pole bitwy. Ale to nie niebo, tylko francuska artyleria włączyła się do bitwy, a po chwili ciszy znów sypnęła gradem śmiercionośnych kul. Na nacierających Prusaków spadł otów i ogień, dziesiątki żołnierzy w konwulsjach padały na ziemię. Tumany kurzu, kępki traw i kłęby dymu fruwały w powietrzu razem z zakrwawionymi nogami, rękoma i wystrzępionymi kawałkami mundurów. Przerażeni Prusacy krzyczeli rozpaczliwie, doznając najgorszych męczarni, a Francuzi wydali z siebie potężny triumfalny okrzyk. Jednak atak Prusaków, choć chwilowo osłabionych, nie został powstrzymany, bo ci, którzy przeżyli, nadal parli do przodu.

- Oba szeregi ładuj broń! Gotuj broń! - krzyknął André. - Strzelać bez rozkazu!

Ogień z muszkietów całej kompanii poczynił dalsze spustoszenia w zdziesiątkowanych szeregach Prusaków, a potem padł kolejny rozkaz:

- Gotuj się do walki na bagnety!

Wszyscy przyjęli pozycję wyjściową, wszystkie stalowe ostrza uniesione, gotowe przerwać tę zdawałoby się nie do ruszenia pruską zapórę. André ugiął kolana, spiął się i wykrzyczał to, co dudniło mu w głowie:

- Zabijcie tych drani!



## W cieniu gilotyny

A pruska piechota już rzuciła się na ich szeregi. Tysiące funtów, na które składały się rosłe ciała, drewno i stal, zderzyły się z Francuzami. André tuż przed sobą zobaczył bagnet skierowany w jego brzuch. Odparował cios szabłą, a w tym czasie po lewej stronie jakiś nacierający Prusak nadział się na francuski bagnet. Jego miejsce natychmiast zajął inny i dźgnął w twarz Francuza, który upadł na plecy. Zalany krwią walczył dalej, póki Prusak go nie dobił.

André dostał w ramię tak mocny cios, że się zachwiał. Napastnikiem okazał się zwalisty Prusak, który przebiwszy się przez drugi szereg, ruszył na André. Teraz znów celował bagnetem, a André zrobił błyskawiczny unik i ciął napastnika szabłą po lewym ramieniu. Szabla przecięła mundur, rozplątała ciało i dotarła do kości.

Dym z ognia artyleryjskiego przesuwiał się do przodu i jak wielka kłębiasta chmura zawisł nad polem bitwy, rzucając cień i rozsiewając smród. I w tym cieniu i smrodzie wszędzie toczyła się walka. Na prawo od André kapral Leroux zwarł muszkiet z muszkietem Prusaka, który znacznie przerastał go posturą. André błyskawicznie przeskoczył przez nieruchome ciało swego pierwszego pokonanego wroga i wbił szabłą w plecy nacierającego na kaprala Prusaka. Wielki mężczyzna padł na ziemię, przygniatając Leroux, który po chwili, plując krwią i wypluwając zęby, wydobył się spod wielkiego cielska. André chwycił go za rękę i pomógł wstać.

- Dziękuję, kapitanie Valière - wydyszał Leroux.

Ręce miał puste, jego muszkiet przepadł, ale André nachylił się i podniósł z ziemi strzelbę leżącą obok martwego żołnierza. Podał ją kapralowi, który ledwie żywy tylko skinął głową, ocierając twarz z potu i krwi.

André, też zadyszany, odwrócił się, starając się w tłumie walczących wyłowić wzrokiem swoich sierżantów, a po chwili zaczął ich wołać zachrypniętym głosem. I zauważył dwóch Prusaków z uniesionymi bagnetami, którzy parli na niego. Czyli czekała go walka z dwoma przeciwnikami.

Stał z szabłą w rękę, przygotowując się na odparcie ataku. Pierwszy Prusak rzucił się na niego z lewej strony, ale zrobił to niezbyt zręcznie, więc André łatwo odparował cios i ciął w udo. Prusak stęknął i zachwiał się, a André znów ciął szabłą, tym razem po łokciu. Zakrwawiony przeciwnik upadł na ziemię i pojękując z bólu, zaczął się odczołgiwać. Wtedy drugi Prusak, o wiele większy i niewątpliwie lepiej wyszkolony, najpierw stojąc w bezpiecznej odległości, zmierzył André wzrokiem, a potem z zadziwiającą prędkością wykonał zwodniczy manewr. Udał, że atakuje z lewej strony, ale do André dopadł z prawej. André, robiąc unik, zachwiał się, a kiedy Prusak walnął go kolbą w głowę, upadł na kolana. I znów cios w głowę, po którym upadł na plecy. Widział nad sobą ciemną postać napastnika zasłaniającą słońce, widział uniesiony i połyskujący bagnet, więc błyskawicznie przetoczył się w prawo. Słyszał, jak stalowy bagnet wrył się w ziemię, gdzie przed sekundą spoczywała jego głowa. Prusak wyciągnął bagnet i oblepionym trawą i ziemią ostrzem znów wycelował na André. I znów André w ostatniej chwili umknął, ale nie do końca, bo ostrze drasnęło policzek tuż przy włosach. I głęboko, a André czuł, że już całkiem opadł z sił i z trzeciego ataku przeciwnika na pewno

## W cieniu gilotyny

nie ujdzie z życiem. Zaciśnął zęby, przygotowując się psychicznie na trzeci cios, który niewątpliwie będzie już ostatnim. I pomyślał o Remym, swoim młodszym bracie, o tym, że gdziekolwiek by teraz Remy był podczas tej krwawej bitwy, na pewno żyje. Innej możliwości nie dopuszczał. A potem spojrział w górę, na człowieka, który zaraz go zabije, i w niebo, które, jak miał nadzieję, otworzy przed nim swoje boskie bramy. I spotka tam swego ojca...

Słońce znikło. Przed oczyma miał ciemność, ale to nie śmierć ją zesłała, tylko słońce ktoś zasłonił. Usłyszał, jak stał wbija się w ciało, i wielki Prusak, który stał nad nim, robi chwiejny krok, pojękując przy tym. Broń wypadła mu z rąk i z rozplataną czaszką osuwa się na kolana.

A wybawca siedzi na koniu, wyciągając szablę z czaszki zabitego żołnierza.

– To wy się tam chowacie, Valière? – spytał generał Kellermann, ściągając wodze, bo koń bił kopytami o ziemię i próbował stanąć dęba. – Lepiej wstańcie, bo to jeszcze nie koniec bitwy.

André, wciąż na ziemi i oszołomiony, ostrożnie dotknął miejsca na policzku, z którego sączyła się krew.

– W górę, Valière! – Kellermann schylił się, wyciągnął rękę, a kiedy André ją pochwycił, pociągnął mocno, by stanął na nogach. – Chyba nie chcecie, by wam umknął sprzed nosa piękny widok, kiedy te wszystkie diabły zwiewają aż się kurzy. Między innymi dlatego, że wy i wasi ludzie odwaliliście kawał dobrej roboty, utrzymując środek linii!

Zawrócił konia, pozwalając mu stanąć dęba, i zwracając się do żołnierzy, podniósł wysoko szablę.

– Ten dzień już prawie należy do nas! Postarajmy się, by należał w całości! *Vive la Révolution!* – Spiął konia ostrogami i pierwszy ruszył do ataku na nierówne szeregi wciąż jeszcze walczących Prusaków i Austriaków.

Wszystko to razem nasycone było magiczną mocą. André miał wrażenie, jakby nagle na całą francuską armię spłynęły nadzieja i wiara. On sam czuł, że siły wracają, że stoi pewnie na nogach, a kiedy brudni i zakrwawieni żołnierze w ślad za generałem ruszyli w pościg za słabnącym wrogiem, był już głęboko przekonany, że tak właśnie się stanie. Ze tego dnia żołnierze republiki – i sama republika – odniosą zwycięstwo.

### ROZDZIAŁ SIÓDMY

#### Paryż

Grudzień 1792 r.

Pogłoski, które wieczorem zaczęły krążyć po mieście, zmieniły wszystko.

Bal miał być wydarzeniem radosnym, przecież nadarzała się niejedna okazja do świętowania, mianowicie obalenie monarchii i zwycięstwo pod Valmy. Czyli rodząca się republika przetrwała. Ale kiedy chłód nocy owionął Paryż, a przyprószone śniegiem Sekwana lśniła jak gigantyczna zyla stopionego srebra, wciąż głodni obywatele zapomnieli o chlebie, bo tak bardzo byli spragnieni ostatnich wieści krążących po mieście.

A już zwłaszcza tej jednej: czy król pójdzie na gilotynę?

Po krwawym lecie w Paryżu i uwięzieniu rodziny królewskiej coraz liczniejsi jakobini połączyli się z Konwentem Narodowym. Zwycięstwo pod Valmy chwilowo powstrzymało groźbę obcej inwazji, umożliwiając grupie radykalnych i ambitnych młodych prawników przejąć ster rządów. Obiecali ludowi prawo wyborcze, odebranie arystokracji przywilejów i nową konstytucję, która miała prześcignąć wszystko, co uchwalono w Ameryce. Tej nocy w końcu grudnia w Paryżu aż huczało od plotek, a przede wszystkim od tej, że nawet król Burbon będzie musiał poddać się nowemu prawu Francji.

André śledził losy króla Ludwika XVI z wielkim zainteresowaniem, świadomy, że sprawa ma się podobnie jak w przypadku jego ojca. Był obecny na zatłoczonej galerii w ostatnich dniach procesu króla i patrzył na wszystko z przerażeniem. Na wrogo nastawioną widownię, gdzie każdy miał czerwoną frygijkę na głowie, trójkolorową kokardę i brudną, zagniewaną twarz. A decyzję podjęto dużo wcześniej, nim zastukał młotek sędziego.

Nie, wcale nie było łatwo na to wszystko patrzeć. Policzki króla, kiedyś puciołowate od nadmiaru słodyczy i obsypane różem, teraz były poszarzałe i obwisłe nad drżącymi wargami. Głos też drżał, kiedy opowiadał, jak bardzo kocha swoich poddanych – oczywiście, nie omieszkał się poprawić, że byłych poddanych – i jak bardzo pragnie pójść na kompromis z nowym rządem. Gniewne okrzyki tłumu były tak głośne, że szansa na rzetelną obronę była tak naprawdę żadna. Kiedy i członkowie trybunału, i widzowie po prostu naśmiewali się i sztydziłi z Ludwika, jego spojrzenie wydawało się puste, ale gdy popatrzyło się baczniej, można było dostrzec, że są to dwa przymglone zwierciadła duszy, która została złamana. Hołubiony i bałamucony od urodzenia Ludwik najpewniej w ogóle nie był w stanie pojąć, dlaczego raptem teraz wszyscy nastawieni są wobec niego tak wrogo i nienawistnie.

Poszarzała twarz króla bardzo przypominała André kamienną twarz ojca, a to już było ponad jego siły. Przepraszył i wyszedł z sali rozpraw przed ogłoszeniem wyroku.

Kilka dni po procesie ku jego wielkiemu zdziwieniu przysłano mu

## W cieniu gilotyny

zaproszenie na *soirée* Narodowego Konwentu z okazji utworzenia nowego rządu wybranego przez lud. André podejrzewał, że za tym zaproszeniem stoi generał Kellermann, w tym czasie chyba najślawniejszy człowiek w całej republice. Bo to przecież on, który przeciwstawił się i odparł prusko-austriackich napastników, okrzyknięty został „Zbawcą Rewolucji”. Dlatego też nawet najbardziej radykalny jakobin był w stanie tego wieczoru znieść obecność oficera wywodzącego się z arystokracji.

Na bal zaproszono wszystkich najznamienitszych obywateli Paryża. A miał odbyć się dwa dni po świętach Bożego Narodzenia, których już nie obchodzono, ponieważ w tym pierwszym roku Republiki Francuskiej zniesiono wszystkie święta katolickie i zakazano odprawiania nabożeństw. Katedry i kościoły przekazane zostały na potrzeby nowego ładu i zamienione w „świątynie rozumu”. A więc ten bal nie był balem świątecznym, lecz miał na celu uczczenie ideałów wolności, równości i braterstwa. I André, któremu – przynajmniej jak na razie – wybaczone arystokratyczne pochodzenie, wiedział, że byłoby bardzo nierozsądnie z tego zaproszenia nie skorzystać.

– Czy nie jestem szczęściarzem? Mój brat nie potrafił znaleźć sobie panny, dlatego mogę tam iść jako jego gość! – Rozpromieniony Remy, w mundurze jeszcze bardziej przystojny, gdy tylko wysiadł z powozu, mrugnął do brata i ruchem głowy wskazał na dwie młode kobiety, które trzymając się pod rękę, chodziły w kółko po rogu ulicy. – A może poprosimy te dzierlatki, by nam towarzyszyły?

André, wysiadając z powozu, owszem, uśmiechnął się do wspomnianych młodych kobiet, ale na tym koniec i razem z bratem ruszyli w stronę Panteonu. Obaj byli w niebieskich rajtrokach, z tym że André miał na szyi ryngraf oficerski z brązu. A mężczyźni w niebieskich rajtrokach, czyli w barwach przyjętych przez rewolucyjną armię francuską, byli obecni w całym Paryżu.

– Będziemy grzeczni, Remy. Na pewno się nie upiję i nikogo ważnego nie obrażę, czym poniektórych pewnie rozczaruję.

– Ale bez kobiet nie zabawimy się należycie! – zajączał Remy, kiedy przechodzili przez plac Abbé-Basset.

– Raczę nie – przyznał uczciwie André. – Ale jakobini trochę się od nas różnią. Na pewno nie wyglądają na takich, co to potrafią się zabawić. Idziemy tam nie na długo, tylko po to, by okazać szacunek pewnym ideałom. I wychodzimy.

– Ja, zanim wyjdę, zatańczę z kilkoma jakobińskimi żonami i napiję się wina.

– Jeśli na tym poprzestaniesz, to zgoda, ale potem wychodzimy niepostrzeżenie i może uda nam się żyć dalej po swojemu, bez tych mściwych prawników czyhających na nasze głowy!

– A jeśli moją głową zainteresuje się czyjaś ładna żoneczka? Co mam wtedy zrobić, panie bracie? – spytał niepoprawny Remy.

Jednak André nie podjął żartu. Milczał, chowając ręce do kieszeni, bo było zimno. Kiedy podchodzili do wielkiego gmachu, André jak zwykle musiał spojrzeć z podziwem na wspaniałą budowlę, która po długich miesiącach nieustannego marszu przez francuską prowincję i nocowaniu w lesie wydała mu się wyjątkowo piękna. Bo Paryż nadal był miastem urokliwym, choć zimą ostro dawała się we znaki, a jedzenia i opału

brakowało.

Tą budowlą był Panteon wzniesiony przed kilkoma laty jako kościół pod wezwaniem Świętej Genowefy. Krzyż i kamienna figura patronki zostały usunięte z frontu przez sankiulotów i rzucone na ulicę. Budynek został nazwany Panteonem i przemieniony w mauzoleum, miejsce pochówku wielkich Francuzów, znamienitych przedstawicieli nowego narodu. Kiedy zbliżali się do gmachu, André zauważył, że figurę świętej Genowefy zastąpiono rzeźbą w greckim stylu, poza tym wyryto dość toporną inskrypcję „Ojczyzna wieńczy heroizm i cnoty obywatelskie”.

Skinął głową dwóm strażnikom u wejścia, czując niejaką satysfakcję, bo okazało się, że wojskowi w mundurach wpuszczani są od razu, bez żadnych pytań. W środku, w ogromnej sali, przedtem przecież kościele, było chłodno i wilgotno. W górze wielka kopuła została tak zaprojektowana, by słońce rozjaśniało całe wnętrze. Teraz było tu jasno dzięki migotliwemu światłu niezliczonej ilości świec. I widać było jednak świąteczny akcent, wprawdzie skromny, bo tylko łańcuchy z ostrokrzewu na ścianach. Na długich stołach ustawiono lśniące kandelabry, słodkości, wino i poncz. A dookoła tłum, w którym André zauważył wojskowe mundury, ale niewiele, bo większość mężczyzn ubrana była po cywilnemu. Mężczyzn o gładko wygolonych twarzach, wielu nosiło okulary, a wszyscy mieli wąskie ramiona, których nigdy nie okrywały rajtroki. Ale co się dziwić, skoro znaleźli się na spotkaniu jakobinów, czyli wśród prawników i początkujących mężów stanu młodej republiki.

Natomiast kobiety były po prostu inne niż te, z którymi kiedyś stykał się przy różnych uroczystych okazjach. Szkarłatna satyna i fioletowy brokat zastąpione zostały przez praktyczne beże i granat, a włosy odzyskały naturalny kolor i białe przypudrowane loki, upięte na czubku głowy ustąpiły miejsca skromnym kokom. Na policzkach ani śladu różu, nie słychać też było perlistego śmiechu. Twarze poważne, często surowe, a rozmawiano głównie o polityce. Jakobini gustowali więc w całkiem innych kobietach i ubiorach niż dawni francuscy książęta i hrabiowie.

– O, jest tam! – powiedział Remy, spoglądając ponad głowami tłumy. – Nieprzekupny we własnej osobie!

André naturalnie skierował spojrzenie w tę samą stronę i od razu rozpoznał Maximiliena Robespierre’a, przewodniczącego klubu jakobinów, czyli tego wieczoru czyniącego honory pana domu.

– Ale niski... Kto by się spodziewał... – mruknął Remy, a André przyjrzał się tej niskiej osobie, o której było tak głośno.

Robespierre rzeczywiście wyglądał o wiele mniej efektownie niż na rycinach w gazetach. Młody prawnik miał pociągłą twarz, zielone oczy jak kot i wysokie czoło. Twarz blada, jakby zdrowie mu jednak nie dopisywało, a kiedy mówił coś do otaczających go wielbicieli i wielbicielek, bez przerwy nerwowo poruszał to rękoma, to nogami, jakby mu przeszkadzały. A mówił niewątpliwie ciekawie, zdobył przecież sławę też jako znakomity mówca, głównie dlatego, że potrafił jak mało kto przedstawić swoje argumenty. Jego przemowy do Konwentu były długie, a każde słowo wyważone. André słyszał przemawiającego Robespierre’a podczas procesu króla. Robespierre nie używał górnolotnych zwrotów, a jego chytre argumenty trafiały raczej do umysłu człowieka, a nie do serca czy duszy. Mówił prawie półgłosem, zmuszając wszystkich, by

## W cieniu gilotyny

ucichli i nadstawili uszu. Budował zdania tak długie i tak zawiłe, że po skończonej mowie mało kto pamiętał, jaki był punkt wyjścia. I w rezultacie ludzie byli zbici z tropu i jeśli czegoś nie pojmowali, tłumaczyli to wyższością umysłu Robespierre'a, a nie brakiem jasności w jego wypowiedziach. Dzięki temu cieszył się tak wielkim poważaniem.

– Robespierre od samego początku procesu Ludwika nalegał na gilotynę – szepnął André, nie odrywając oczu od widniejącej w oddali postaci. – Mówił, że byłby bardzo zadowolony, gdyby to przeszło w pierwszym głosowaniu.

– A ja wprost nie mogę uwierzyć, że poszedłeś zobaczyć to żalodne przedstawienie – odparł Remy, który z kolei przemyczał spojrzeniem po sali w poszukiwaniu szampa.

– Żałuję, że tam poszedłem – wyznał szczerze André. Przecież po tym procesie przez wiele nocy dręczyły go koszmarne sny, w których przemieniał się w swojego ojca i stawał jako oskarżony przed członkami Konwentu. A w jednym z tych snów on sam był tym oskarżonym.

– Może wiesz, kto stoi obok Robespierre'a? – spytał Remy.

– Wygląda na to, że Danton. Georges Danton.

– Aha, ten wierny sojusznik Robespierre'a... – Remy pokiwał głową. – Który, jak widać, ma większe powodzenie u dam niż jego niewyrośnięty przyjaciel.

Istotnie, postury mieli bardzo różne. Robespierre był szczupły i niewysoki, a Danton wysoki i barczysty. Oczy okrągłe, podbródek mięsisty, a jego głośny śmiech słychać było chyba w najdalszym zakamarku wielkiej sali.

– O! Jest nasz dowódca! Generał Dumouriez – oznajmił Remy. – Pójdę się przywitać, ale przedtem muszę się czegoś napić.

I zniknął w tłumie. André został sam, trochę żałując, że nie poszedł razem z Remy. Stał i rozglądał się wokół, gdy nagle usłyszał, że ktoś do niego woła.

Nie ktoś, a sam generał Kellermann, oczywiście w mundurze i pod rękę z urodziwą damą w średnim wieku.

– Jak tam rana, kapitanie Valière? Goi się? – pytał generał, uśmiechając się miło. – Trzeba przyznać, że wyglądacie nieco schludniej, niż kiedy widziałem was po raz ostatni. O ile sobie przypominam, to nad wami stał jakiś Prusak, próbując umieścić bagnet w waszej czaszce.

– Szczerze mówiąc, to wtedy nie miałem nic przeciwko temu – odparł André również z uśmiechem. – Ale oczywiście jestem wam, generale, dożgonnie wdzięczny.

– Cóż... Jeśli naprawdę tak było, to śmiem przypuszczać, że nie zależało wam zbyt wiele na dalszym przebywaniu na tym padole.

André poczerwieniał. I w milczeniu pokiwał głową.

– Ach, nie przejmujcie się. Każdy raz w życiu jest młody, ma swoje wzloty i upadki – powiedział generał już z powagą. – Też byłem kiedyś młody i raczej niezbyt mądry. Ale miałem swój ideał, a był nim jeden z kolegów ze Szkoły Wojskowej w Brienne. Niewiele starszy ode mnie, a już bardzo dystygowany. Miałem nadzieję, że kiedyś też będę potrafił zachowywać się jak on...

André w pierwszej chwili nie wiedział, o kogo chodzi, jednak gdy roześmiane oczy Kellermanna nagle przygasły, od razu się domyślił, kóż

## W cieniu gilotyny

to taki był owym kolegą.

– Tak, kapitanie, podziwiałem waszego ojca... – mówił dalej Kellermann. – Chociaż nie znałem go tak dobrze jak... Ale o wilku mowa, a wilk tu!

Obok André pojawił się kolejny i dobrze już znany generał z bujnym wąsem i szarymi oczami całkowicie pozbawionymi wyrazu.

– Dobry wieczór, generale Murat – powiedział André, prostując się odruchowo.

Natomiast Kellermann powitał Murata uśmiechem.

– Miło cię widzieć, Nicolai. I tylko spójrz, bo również miło popatrzeć na naszego młodego kapitana już wypucowanego i czystego. Dziarski chłopak, czyż nie tak?

– Tak, czysty i chyba trochę mniej zdenerwowany – powiedział Murat, a wąskie usta pod wąsami rozciągnęły się w szyderczym uśmiešku.

André, znów odruchowo, uniósł głowę nieco wyżej.

– Muszę przyznać, że jestem jeszcze bardziej zdenerwowany niż podczas bitwy. Kobiety potrafią być bardziej niebezpieczne niż armia złożona z tysięcy żołnierzy.

Kellermann zaśmiał się.

– Święta racja. A skoro już mówimy o płci pięknej, to, do kroćset, gdzie podziały się moje dobre maniery! Najwyższy czas naprawić błąd. Pozwólcie, obywatele, że przedstawię was mojej małżonce, Christianne Kellermann.

Dama towarzysząca Kellermannowi, czyli jego żona, o czym André już wiedział, wyciągnęła rękę i André ucałował rękawiczkę chroniącą delikatną dłoń hrabiny... znaczy się niegdysiejszej hrabiny.

– Obywatelko Kellermann, to dla mnie wielki zaszczyt was poznać.

– A ja słyszałam o was, kapitanie, wiele dobrego. Mój mąż bardzo sobie pana ceni – powiedziała Christianne miłym, łagodnym głosem i okrasiała to przyjaznym uśmiechem, ale wyczuwało się w niej pewną sztywność. Była całkiem inna niż jej jowialny małżonek.

– Nie wiem, czy sobie zasłużyłem na dobrą opinię u kogoś, kto zwany jest Zbawcą Rewolucji – odparł zrećźnie André. – Musi być pani bardzo dumna ze swego małżonka, pani Kellermann.

– Chcieliście powiedzieć, obywatelko Kellermann, prawda? – sprostował surowym głosem Murat.

A zaraz potem bardzo stanowczo odezwał się generał Kellermann:

– Każdy, kto walczył wraz z nami pod Valmy, do końca moich dni będzie moim przyjacielem – oświadczył, jednocześnie obejmując żonę w pół, co świadczyło o wielkiej zażyłości małżonków. – Valière nie dopuścił do przełamania linii jego kompanii, a nie każdemu to się udało, prawda, Nicolai?

– Istotnie – przyznał Murat po krótkiej przerwie i jakby z ociąganiem.

W tym momencie André zauważył, że do sali wchodzi wyjątkowo urodziwa młoda dama, której towarzyszy mężczyzna ze dwa razy od niej starszy. Śliczna twarz owej damy otoczona była aureolą jasnych loków, z tym że większość loków została upięta w luźny węzeł nad karkiem. Była w jedwabnej jasnyniebieskiej sukni, szczupłe białe ramiona odsłonięte, a smukłą szyję ozdabiał skromny sznur pereł.

W przeciwieństwie do pozostałych kobiet wcale nie rozglądała się

## W cieniu gilotyny

dookoła, nie mówiła nic do towarzyszącego jej mężczyzny, nie uśmiechała się na powitanie. Usta miała zaciśnięte, twarz surową, ale i tak przyciągała męskie spojrzenia, bo miała prześliczną twarz o subtelnych rysach, a suknia była niezwykle wytworna. Na tle innych kobiet wyglądała jak lilia na polu pszenicy.

Towarzyszący jej mężczyzna, trzymając ją pod ramię, podał jej kieliszek szampana. Mężczyzna, który nie dorastał jej do pięt. Zwalisty, z wałkami tłuszczu na karku i siwymi, bardzo już przerzedzonymi włosami. Coś powiedział, potem zaśmiał się. Nie, raczej zarechotał tak jakoś nerwowo. Może speszył go tłum, a może był niezadowolony, że przyszło mu towarzyszyć osobie tak znudzonej. André zauważył, że generał Murat również nie omieszkał spojrzeć na nowo przybyłą, i to wyjątkowo przenikliwie.

– Chyba mnie nie słuchasz, Nicolai – powiedział Kellermann.

André uświadomił sobie, że też nie słyszał ani słowa z tego, co przed chwilą mówił Kellermann, a Murat z wyraźną niechęcią odwrócił wzrok od pięknej jasnowłosej damy i szepnął:

– To ona. Właśnie weszła.

Było oczywiste, że to, co szepnął, przeznaczone było wyłącznie dla uszu Kellermanna.

– Aha... – Kellermann pokiwał głową. – Może chcesz podejść do niej, przywitać się?

– Owszem. Ale za chwilę. O czym to mówiłeś?

André, który w końcu zmusił się do oderwania oczu od intrygującej damy, nie mógł nie słyszeć tej krótkiej wymiany zdań, a także tego, o czym mówiono potem.

Kellermann odchrząknął.

– Pytałem, co sądzisz o procesie.

Murat wyprostował się, skupiając się tylko i wyłącznie na swoim rozmówcy.

– Uważam, że to był nasz demokratyczny obowiązek – oświadczył, wypiwszy przedtem łyk szampana. – Jak nakazuje prawo, odbył się proces, a teraz należy z nim zrobić to, co robi się z każdym despotą. Pozbyć się go raz na zawsze.

– Czyli słyszysz tak samo jak Danton i Robespierre – niemal obojętnym głosem powiedział Kellermann, nadal obejmując żonę.

– Należy go wysłać na plac Rewolucji – równie obojętnie oświadczył Murat.

– A słyszałeś, co mówiła obrona? – Kellermann, zerknąwszy na André, nachylił się do przyjaciela i zniżył głos. – Raymond Desèze był znakomity, przedstawiając sprawę króla.

Murat uniósł jedną z ciemnych brwi.

– A dlaczego, Christophe, nazywasz go nadal „królem”?

Kellermann wzruszył ramionami.

– Może być też obywatelem Kapetem. Nazywaj go, jak chcesz, a ja jestem starym żołnierzem i mam swoje nawyki. A odnośnie procesu, to moim zdaniem była to tylko jego namiastka, a nie rzetelne zbadanie sprawy. Jak można bez uczciwego procesu wysłać człowieka na śmierć?

– Przecież go miał, Christophe! Zapewniono mu uczciwy proces, a teraz czekamy na wyrok. Przeciwno niemu wysunięto trzydzieści trzy



## W cieniu gilotyny

oskarżenia, a mogli wysunąć jeszcze i z pięćdziesiąt.

Nie do końca przekonany Kellermann przekrzywił głowę, natomiast André nadstawił uszu.

– Ileż to razy kazał zebrać najemników, by strzelali do ludu i przelewali krew patriotów? – mówił dalej Murat. – Władca jest po to, by rządzić sprawiedliwie i chronić swój lud, a nie gnębić, czyż nie tak? I nie zapominaj, że właśnie prowadzimy wojnę!

– Jestem tego w pełni świadomy, przyjacielu – odparł spokojnym głosem Kellermann.

Ale Murat jeszcze nie skończył:

– Warto jeszcze wspomnieć, że trwonili pieniądze ze skarbcza na wyszukane stroje i potrawy dla swej austriackiej żony. A ona z co najmniej połową dworu nieustannie urządzała orgie i wraz ze swym bratem snuła podstępne plany, jak zawładnąć całym naszym królestwem!

Kellermann, słysząc te bardzo śmiałe słowa, skrzywił się i zerknął na żonę jakby przepraszająco, po czym odezwał się, jak to on, głosem spokojnym:

– Moim zdaniem żurnaliści zdecydowanie przesadzają i wiele z ich oskarżeń to po prostu nieprawda. Jeśli chodzi o rozrzutność, to nie zaprzeczam. Ludwik i jego żona szafowali naszym narodowym majątkiem, lekceważąc potrzeby poddanych, uważam jednak, że wbrew opinii wielu, Maria Antonina wcale nie wywierała tak wielkiego wpływu na dwór wersalski. I na pewno była oddaną żoną, urodziła przecież królowi liczne potomstwo.

– A ja byłbym ostrożniejszy w swoich sądach, Christophe – powiedział Murat, podnosząc do swych cienkich warg kieliszek z szampanem. – Bo można mieć wrażenie, że... Zaraz, jak ciebie nazwali? A... Zbawca Rewolucji! A więc, można mieć wrażenie, że Zbawca Rewolucji w pewnych kwestiach jest jednak zwolennikiem monarchii.

Kellermann zaśmiał się, jakby tego zarzutu nie traktował serio, dla André jednak nie był to powód do śmiechu i chociaż był tylko mimowolnym świadkiem rozmowy, czuł się coraz bardziej niepewnie. Bo co miałyby powiedzieć, gdyby któryś z generałów zapytał go o zdanie, kiedy bez wątpienia obaj pamiętają o jego pochodzeniu? Chociaż może nie zapytają, bo wyglądało na to, że obaj generałowie tak bardzo byli pochłonięci rozmową, że zapomnieli o młodym kapitanie.

– Przecież to absurd, Murat – odparł Kellermann. – Zgadzam się absolutnie z tym, że król Ludwik, a raczej obywatel Kapet, stracił prawo do noszenia korony i sprawowania rządów w naszym kraju. Przecież, podobnie jak ty, złożyłem przysięgę na wierność Rewolucji.

– Nikt nie ma prawa do noszenia korony.

– Zgadzam się z tym całkowicie, ale przedmiotem naszej rozmowy nie są zalety czy wady monarchii, lecz ukaranie człowieka za to, że włożono mu koronę na głowę, kiedy nie miał jeszcze dwudziestu lat i nie miał pojęcia, że za połączanymi ścianami Wersalu życie jest całkiem inne.

– Och, biedny książę Ludwik! – Murat zaśmiał się szyderczo.

– Nie zamierzam uważać się nad zbalamuconym księciem, chcę tylko podkreślić fakt, że ponieważ żył zawsze pod kłosem, nie miał możliwości zdobycia doświadczenia i umiejętności w rządzeniu. Dlatego należało pozbawić go władzy, to nie ulega wątpliwości. Ale czy trzeba również

## W cieniu gilotyny

odbierać mu życie?

– O tym, jak spełniał swoje królewskie obowiązki, możemy podyskutować, ale to, że wysyłał swych poddanych na śmierć, nie podlega żadnej dyskusji. A wiemy, że to właśnie robił.

– W takim razie powiedz mi, Nicolai, czy mamy spojrzeć na to z punktu widzenia Starego Testamentu czy Nowego? Naprawiać stare winy, popełniając nowe grzechy? Czy też okazać miłosierdzie?

– Aha... Czyli egzekucje przekupnej arystokracji akceptujesz, ale uważasz, że zepsuty do szpiku kości despota zasługuje na szczególne traktowanie?

– Prawda jest taka, że wcale nie jestem taki pewien, czy zgadzam się z jakąkolwiek egzekucją wykonaną w imieniu naszej republiki... – Kellermann westchnął, zmarszczył czoło i ponownie objął żonę, przygarniając ją do siebie.

Murat dopił szampana.

– Może dlatego, że sam jesteś szlachetnie urodzony, mości hrabio.

Policzki Kellermannna spurpurowiały.

– Ty również, Nicolai!

André, bardzo poruszony tym faktem, natychmiast poderwał głowę. Był niezmiernie ciekaw, co odpowie Murat.

Który uniósł dłoń i poruszał nią, naśladując ruchy ptasich skrzydeł.

– Zrzekłem się mojego tytułu, zrobiłem to dawno temu, jeszcze zanim zapanowała taka moda. I przelałem krew za rewolucję w Ameryce!

Po twarzy Kellermannna przemknął uśmiech.

– O ile pamiętam, brałeś również udział w kampanii, na którąłożył nasz oczerniany monarcha!

– Lud tego kraju wie, że jestem jednym z nich! – oświadczył Murat.

Wąsy mu drżały, wprowadzcie nieznacznie, ale dla André był to wystarczający dowód, że generał jest wzburzony. Czym? Czy był to gniew, czy zazdrość? A może coś zabolało?

– Nie okrzyknięto mnie, tak jak ciebie, zbawcą. Jestem zwyczajnym człowiekiem – mówił dalej Murat, chyba nieświadomy, że André po prostu wlepia w niego oczy.

– Dobrze wiesz, że wcale się o to nie prosiłem – oświadczył Kellermann o ton głośniejszy. – I wcale nie zabiegam, by ludzie mnie tak nazywali. Na pewno nie!

André, przejęty rozmową generałów, w pierwszej chwili nie zwrócił uwagi na gniewne krzyki dobiegające gdzieś z tyłu. Ale ponieważ robiło się coraz głośniejszy, podobnie jak generałowie odwrócił się i zobaczył dwóch mężczyzn gotowych do bitki.

– *Mon Dieu!* – zawołała pani Kellermann, zasłaniając usta ręką w rękawiczce. – *Christophe!* Ktoś musi ich rozdzielić!

Jeden z nich miał na sobie niebieski rajtrok. André wytyczył wzrok. Tak, to niestety Remy. A ten drugi, zwałisty, to mężczyzna, który towarzyszy pięknej jasnowłosej kobiecie. Remy chlusnął ponczem zwałistemu prosto w zdumioną twarz. Kilku mężczyzn pochwytiło Remy'ego i zaczęło prowadzić do drzwi, a czerwony ze złości zwałisty krzyczał za nim:

– *Cochon! Cochon!* – Czyli świnia.

Pokrzyczał, potem, zwróciwszy się tą swoją obrosłą tłuszczem twarzą do jasnowłosej damy, przeprosił ją i gdzieś poszedł, natomiast André czuł,

## W cieniu gilotyny

ze jego twarz również robi się czerwona, tyle że ze wstydu. Najchętniej umknąłby przez drzwi, za którymi zniknął Remy, albo zapadł się pod ziemię.

– Wygląda na to, że wasz brat wypił trochę za dużo – powiedział Murat, chłodno spoglądając na André. – Żołnierz, który upije się w miejscu publicznym, może dostać trzydzieści batów.

– Dla tak pięknej damy warto pocierpieć, czyż nie tak? – Kellermann uśmiechnął się do André, po czym zagadnął do żony: – Christianne, przejdźmy się. Nicolai, chodź, napelnimy kieliszki. Po rozmowie o polityce zaschło mi w gardle. A wy, kapitanie, zapewne chcecie odszukać brata, który może potrzebować waszej pomocy.

– Dziękuję, panie generale. Pójdę zobaczyć, czy ten głupiec znowu nie napsocił.

Zażenowany André szybko przemierzył salę, niestety za drzwiami nie było już nikogo. Wyszedł więc na plac Abbé-Basset, gdzie również ani śladu po Remy, a więc na pewno ci mężczyźni, którzy wyprowadzili go z przyjęcia, wrzucili go do powozu i kazali zawieźć do domu. Albo i gdzie indziej... Zaklął w duchu i ze złością kopnął kamienny schodek. Przecież kto jak kto, ale on i jego brat powinni bardzo się starać, by nie narazić się na nieprzychylność jakobinów.

Miał nadzieję, że jego przeprosiny za zachowanie brata zostały przyjęte i ten wieczór, jak dotąd raczej dla niego nieprzyjemny, zmieni się w udany. Kiedy wrócił do środka, zauważył, że ktoś stoi koło wejścia. I to nie byle kto, bo młoda i urzekająca śliczna dama, która tego wieczoru wzbudziła powszechne zainteresowanie. Teraz była sama i nie wyglądała już na znudzoną. Przeciwnie, była czymś bardzo poruszona.

– Proszę wybaczyć, szanowna pani – powiedział André, podchodząc do niej bliżej. A z bliska była jeszcze piękniejsza, co oczywiście zauważył, ale sprawą podstawową był młodszy brat i jego wybryk. – Odniosłem wrażenie, że mój brat nieopatrznie wdał się w sprzeczkę z pani mężem, za co chciałbym bardzo przeprosić.

Spojrzenie jasnych oczu najpierw przemknęło po mundurze, a potem natopkało wzrok André. I to spojrzenie całkiem było pozbawione wyrazu.

– Proszę się nie kłopotać. Nic się nie stało – powiedziała, spoglądając gdzieś ponad jego ramieniem.

André skłonił się i miał zamiar już odejść, kiedy nagle usłyszał:

– Cieszę się, że wreszcie wydarzyło się coś ekscytującego.

Zachowanie powagi oczywiście okazało się niewykonalne, więc André roześmiał się.

– Miło słyszeć! Chociaż nie sądzę, by wasz mąż miał powód do zadowolenia, skoro jego twarz została potraktowana ponczem. Jeszcze raz bardzo przepaszam za zachowanie brata...

– Ależ nie trzeba! I proszę już nie nazywać Francka moim mężem! – Nachyliła się ku André i dodała półgłosem z wyraźnym zniecierpliwieniem: – Dlaczego tak nisko cenicie moją osobę?

– Proszę wy... wybaczyć – wydukał zdumiony André.

W tym momencie stało się coś nieoczekiwanego, mianowicie piękna, ale tak długo ponura twarz nagle pojaśniała w uśmiechu. Więcej, jasnowłosa dama wybuchnęła tak bardzo żywiołowym śmiechem, że André drgnął. Bo to były przepiękne dźwięki. Ten śliczny, perlisty wyraz kobiecej

## W cieniu gilotyny

radości, oszalamiający jak pierwszy łyk szampana.

- Przepraszam, ale naprawdę nie śmieję się z was, kapitanie - powiedziała, nagle spoglądając tak przenikliwie, że André na moment wstrzymał oddech.

A potem wyciągnął rękę.

- Jestem André Valière.

Jasnowłosa dama, mrużąc piękne oczy, milczała przez dłuższą chwilę, lecz gdy André zamierzał już się oddalić, powoli uniosła dłoń w rękawicze. A w tej dłoni był pusty kieliszek.

- Wypiłam już wszystko. Czy mogę liczyć na waszą uprzejmość i otrzymam pełny kieliszek, czy mam czekać, aż wróci mój towarzysz?

- Ja... Ależ oczywiście!

Szybko przemierzył salę, by jak najszybciej wrócić z pełnym kieliszkiem, zanim jakiś inny mężczyzna zdobędzie się na odwagę i podejdzie do pięknej nieznajomej.

Kiedy wrócił, spojrzała na to, co niósł ze sobą, uśmiechnęła się urzekająco i spytała:

- Oba dla mnie? A więc wasze maniery, kapitanie, w przeciwieństwie do waszego brata, są wprost wzorowe.

- Niestety nie - odparł, również z uśmiechem. - Jeden kieliszek dla was, drugi dla mnie.

- Cóż... Muszę się z tym pogodzić! A więc *santé!*

Stuknęli się „na zdrowie”, a gdy wypili pierwszy łyk, André zaczął z westchnieniem:

- Jeśli chodzi o mojego brata...

- Ach! Proszę się tym nie kłopotać. Był nadzwyczaj zabawny, i właśnie to, jak przypuszczam, rozeźliło Francka. Okazało się bowiem, że inny mężczyzna potrafi mnie lepiej rozbawić niż on. - Wypiła porządny łyk.

- Jeśli wolno spytać, co wywołało kłótnię?

Najpierw przemknęła spojrzeniem po sali, jakby chciała kogoś wyłowić wzrokiem. Swojego towarzysza? Nie wiadomo. W każdym razie rozejrzała się i znów spojrzała na André.

- Wasz brat poprosił mnie do tańca, i to kilkakrotnie, a ja kilkakrotnie odpowiadałam, że nie zatańczę, bo przecież nie grają. Ale wasz brat, wcale tym niezrażony, powtarzał, że jeśli nie ma tu grajków, to może dałabym się zaprowadzić w takie miejsce, gdzie muzyka na pewno na nas czeka.

Wypiła kolejny łyk i znów spojrzała na André jasnoniebieskimi oczami, podobnymi do oczu jego matki i brata, choć jednak innymi. Bo w oczach tej kobiety był chłód.

- Kiedy zaczęłam zastanawiać się nad tą propozycją - dodała - Franck podjął interwencję.

- Też stanowczo bym odradzał.

- A co konkretnie? Wybranie się z waszym bratem w inne miejsce?

- I z moim bratem, i z każdym mężczyzną poznanym tego wieczoru. Czasy są zbyt niespokojne, by zadawać się z obcymi.

- Przecież wiem, ale byłam gotowa przyjąć każdą propozycję, bo tu jest potwornie nudno. - Znów przemknęła spojrzeniem po sali.

- Proszę wybaczyć, ale w takim razie spytam, skąd pomysł, by tu przyjść, skoro towarzyszący wam mężczyzna nie przypada wam do gustu,

## W cieniu gilotyny

a do tego nudzicie się jak mops?

– Przyszłam, bo jest tu mój wuj – odparła beznamiętnym głosem. – Wuj rzadko kiedy wydaje mi polecenia, ale kiedy już tak się stanie, to wiem, że mam wypełnić je bez szemrania.

– Rozumiem – powiedział André, choć nie miał pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi, a ponieważ jego rozmówczyni wyraźnie się speszyła, uznał, że najlepiej zmienić temat. – Trochę dziwne takie przyjęcie w święta Bożego Narodzenia, kiedy święt już się nie obchodzi.

– No cóż, teraz w ogóle są dziwne czasy – powiedziała, dopijając szampana.

W tym momencie ludzie, którzy tłumnie otaczali Robespierre'a i Dantona, zaczęli prosić o ciszę, ponieważ wodzowie rewolucji chcą powiedzieć kilka słów. Pierwszy niewątpliwie przemówi Robespierre. André widział, jak szczupły i niewysoki przywódca prostuje się i odrzuca głowę w tył, szykując się do wystąpienia.

– Trochę tu za gorąco – szepnęła jasnowłosa dama, nachylając się ku André tak bardzo, że poczuł jej słodki oddech pachnący szampanem. – Proszę zrobić mi tę uprzejmość i wyprowadzić mnie stąd, bym mogła zaczerpnąć świeżego powietrza.

André zerknął na tłum gromadzący się koło Robespierre'a, po czym odparł:

– Naturalnie. Jeśli chłód wam nie przeszkadza...

– Przecież mówiłam, że jest mi za gorąco.

Jednak była trochę zaskoczona, że zgodził się jej towarzyszyć, ale przede wszystkim zadowolona. André podał jej ramię i poprowadził w stronę drzwi, ale dama stanęła jak wryta, jakby się czegoś wystraszyła.

– Nie, nie! Proszę, nie do tych drzwi. Skorzystajmy z bocznego wyjścia.

Poprowadziła bardzo energicznie, a André nie zamierzał się opierać, aż dotarli do drzwi na tyłach sali. Wyszli na dwór i stanęli pod kamienną ścianą, by choć trochę uchronić się przed porywistym wiatrem hulającym po placu. Kawalek dalej, koło głównego wejścia, zaczynał zbierać się tłum sankiulotów, niewątpliwie dlatego, że w całej dzielnicy podawano sobie z ust do ust, że tego wieczoru w Panteonie będą Robespierre i Danton. Dlatego ludzie się zbiegli, by popatrzeć na nich, kiedy będą wychodzić z Panteonu. Na szczęście gromadzili się tylko przy wejściu głównym, więc André i jego piękna towarzyszka mogli spokojnie pooddychać świeżym powietrzem, popatrując na ogniska, które zaczęto rozpalać na placu.

Wprawdzie dama wyznała, że w sali jest jej za gorąco, jednak André doszedł do wniosku, że była to tylko wymówka. Może chciała uciec przed natrętnym adoratorem? Może, w każdym razie na pewno już jej nie jest za gorąco, tylko cała drży z zimna.

– Proszę pozwolić, że okryję was przed mrozem.

Kiedy zarzucił jej rąjtrok na szczupłe ramiona, nie protestowała. Przeciwnie, podziękowała z uśmiechem i wsunęła zziębnięte ręce do kieszeni. A André, spoglądając na śliczną twarz o delikatnych rysach oświetloną mdłym światłem latarni, zdecydował się powiedzieć właśnie to:

– Proszę wybaczyć, ale dotąd nie wiem, z kim mam przyjemność...

– Sophie de Vincennes.

A więc arystokratka.

## W cieniu gilotyny

- De Vincennes? Niestety nazwisko nie jest mi znajome. Skąd pochodzi wasz ród?

- To nazwisko po mężu.

A więc mężatka. Niestety.

- To znaczy po moim zmarłym mężu.

- Zmarłym?!

Była przecież taka młoda i już wdowa. Ale cóż... Dzięki rewolucji setki młodych kobiet o arystokratycznych nazwiskach zostało wdowami.

Sophie pokiwała głową.

- Hrabia de Vincennes Niestety nie dożył tej wspaniałej rewolucji - powiedziała głosem idealnie beznamietnym.

- Proszę wybaczyć. Nie powinienem być taki wścibski.

Po jej twarzy przemknął uśmiech i niebieskie oczy raptem nabrały blasku.

- Wszyscy umierają, prawda? I ludzie dobrzy, i źli.

To, co powiedziała, było trochę dziwne, ale André uznał, że lepiej już się o nic nie pytać, bo można niechcący czymś urazić. Najlepiej zagadnąć o czymś innym.

- Mieszkacie w Paryżu, hrabino de Vincennes?

- Proszę zwracać się do mnie po imieniu, przecież możemy przejść na ty. Aha, i gwoli ścisłości... - Po twarzy Sophie przemknął sarkastyczny uśmiezek. - Jestem tylko obywatelką. Hrabinią była pierwsza żona hrabiego, która też odeszła w zaświaty.

André pokiwał głową, spoglądając na coraz liczniejszy tłum gromadzący się na schodach przed głównym wejściem i bezwiednie podmuchał w ziębnięte ręce, bo bez rajtroka też zrobiło mu się zimno.

- Teraz mieszkam w Paryżu - mówiła dalej Sophie. - Kiedy Jean-Baptiste, mój hm... drogi mąż zmarł, wuj zabrał mnie do siebie. Powiedział, że u niego będę bardziej bezpieczna.

- Też mieszkam w Paryżu. Wynajmuję kwatery we wschodniej części miasta, niedaleko kościoła Świętego Pawła.

- Czyli paulińskiej świątyni rozumu - poprawiła go znów z sarkastycznym uśmieszkiem na pięknych ustach.

André zaśmiał się, po czym zapadła cisza i przez kilka chwil popatrywali na to, co działo się koło głównego wejścia. Jakiś mężczyzna przyniósł trójkolorową flagę i powiesił ją tuż koło drzwi. Kilku sankiulotów zaintonowało hymn narodowy, inni wykrzykiwali obraźliwe słowa pod adresem obywatela Kapeta, a spora grupa ustawiła się w kręgu i zaczęła tańczyć.

Pierwsza odezwała się Sophie:

- Jednak to dziwne, że tego roku nie było Bożego Narodzenia, prawda?

André pokiwał głową i oderwał oczy od tłumy, znów spoglądając na Sophie, która wydawała się jeszcze drobniejsza w rajtroku słusznych rozmiarów.

Jej jasnyniebieskie oczy rozbłysły.

- Ale i tak śpiewałam kolędy. A co tam! Naturalnie po cichutku, żeby nikt nie usłyszał. Pamiętam, jak mama, kiedy jechaliśmy saniami na pasterkę, przez całą drogę śpiewała nam kolędy. Najbardziej lubiłam tę o pasterkach, co szli i szli, by pokłonić się Świętemu Dzieciątku.

André, który również znał tę kolędę z dzieciństwa, zanucił cicho:

## W cieniu gilotyny

– Przez cały dzień, przez całą noc...

– Kiedy prowadziły ich tylko światła nieba... – zawtórowała Sophie, po czym wybuchnęli głośnym śmiechem. – Też ją znasz! – ucieszyła się, wdzięcznie skłaniając głowę. Cała zresztą, nawet w tym rajtroku, była urzekająca.

– Naturalnie, że znam. Mój brat Remy uwielbiał śpiewać kolędy. Nie dało się go uciszyć, śpiewał i śpiewał, aż wreszcie zdesperowany tata wyganiał go z pokoju.

Remy... Nagle André poczuł się nijako. Bo może jednak powinien nadal go szukać, upewnić się, czy nie wpadł w jakieś inne tarapaty. Tym bardziej że jadąc tutaj, brat był w bojowym nastroju. Zdawał więc sobie sprawę, że powinien zatroszczyć się o młodszego brata, z drugiej jednak strony, kiedy patrzył na słodkie, zarumienione policzki Sophie, na oczy błyszczące jak dwie niebieskie gwiazdy, wiedział, że nie ruszy się stąd na krok, dopóki nie zrobi tego Sophie.

– Remy? – Sophie poderwała głowę. – Czyli tak nazywa się młody człowiek, który pragnął porwać mnie do tańca?

– Tak. Z tym że gotów jestem się założyć, że każdy mężczyzna w tamtej sali miał nadzieję, że ofiarujesz mu choć jeden taniec.

– Ach, nie przesadzaj! Remy, twój młodszy brat... Często musisz się o niego martwić?

– Bez przerwy, mówiąc szczerze, choć o dziwo zawsze udaje mu się wyjść z tarapatów.

Sophie milczała przez moment, po czym jej twarz rozjaśnił kolejny uśmiech, taki trochę nieśmiały.

– A jeśli chodzi o tańce... Kapitanie Valière, czy pan też ma ochotę zatańczyć ze mną?

Miał nadzieję, że Sophie nie słyszała, jak głośno zabiło jego serce, po prostu zadudniło.

– Tak, hrabino.

– Przecież prosiłam, żebyśmy mówili sobie po imieniu.

– Proszę wybaczyć. – Tylko tyle powiedział, bo przecież nie potrafił uwodzić kobiet. Co innego Remy, który w tym celował.

Sophie musiała wyczuć, że uwodził z niego marny, więc by dodać mu odwagi znów się uśmiechnęła, przy tym tak słodko i zachęcająco, że André był już gotów poprosić damę do tańca. Ale nie zdążył, bo usłyszeli kroki, a po chwili odezwał się jakiś mężczyzna:

– A więc to tu czmychnęłaś!

Było ciemno, trudno więc było rozpoznać po sylwetce, ale głos był znajomy.

– O! Wuj Nico! – zawołała Sophie, kiedy w świetle ulicznej latarni ukazał się generał Murat. – Jak się cieszę, że wujka widzę!

Niewątpliwie miało to zabrzmieć entuzjastycznie, wyszło jednak umiarkowanie.

– Witaj, moja mała Sophie. – Murat nachylił się nad bratanicą albo siostrzenicą i cmoknął ją w policzek. – Widzę, że zdążyłaś już nawiązać znajomość z jednym z moich podkomendnych, kapitanem de Valière'em.

Sophie zerknęła na André zaskoczona „de” przed nazwiskiem, które on, kiedy się przedstawiał, oczywiście pominął. A Murat wymówił jej z naciskiem.

## W cieniu gilotyny

- A tak, wuju. Kapitan de Valière był tak miły, że zgodził się mi towarzyszyć, gdy zapragnęłam zaczerpnąć świeżego powietrza. Bo w środku jest strasznie gorąco.

- I chyba dalej jest ci za ciepło - rzucił kąśliwie Murat, spoglądając na niebieski rajtrok otulający Sophie. - Kapitanie de Valière, chciałbym, byście przyjęli do wiadomości, że moja siostrzenica jest wdową i przebywa pod moją opieką.

Sophie nerwowo przestąpiła z nogi na nogę, mówiąc przy tym niepewnie:

- Powiedziałam o moim zmarłym mężu...

- A więc to tak! - Murat skierował lodowate spojrzenie na André. - Jednemu bratu nie udało się zdobyć twojej przychylności, więc drugi wstąpił w szranki z nadzieją, że... - Nie dokończył, ale nie musiał, przecież wiadomo, co miał na myśli.

André zacisnął teraz pięści tak mocno, że paznokcie wryły się w ciało.

A Murat świdrował wzrokiem Sophie.

- Dlaczego wyszłaś z sali, nie wysłuchawszy wystąpienia obywatela Robespierre'a?

- Przecież mówiłam już wujowi. Musiałam poddychać świeżym powietrzem.

- Aha. Mam nadzieję, że nawdychałaś się już wystarczająco. Wracamy do domu.

- Już? Chciałabym zostać jeszcze trochę, oczywiście jeśli wuj nie ma nic przeciwko temu.

Murat rozchylił cienkie wargi, niewątpliwie by zaprotestować, ale w tym momencie drzwi Panteonu otwarły się i ukazał się w nich Robespierre. Tuż za nim szedł Danton, potem członkowie Konwentu Narodowego. Wszyscy wyraźnie byli czymś podekscytowani, a generał Kellermann tak bardzo, że do powozu ruszył prawie biegiem.

- Christophe! Christophe! - zaczął wołać za nim Murat.

Wykorzystując moment nieuwagi groźnego wuja, André pochylił się ku Sophie i szepnął:

- Może spotkamy się jeszcze kiedyś?

Jednak nie zdążyła odszepnąć, bo wuj oznajmił:

- Idziemy! - Wziął ją pod łokieć. Niby uprzejmy gest, ale raczej nie takie miał intencje, o czym świadczyło surowe spojrzenie i równie surowy ton. - Idziemy, bo może się zrobić niebezpiecznie. Powinnaś jak najszybciej znaleźć się w domu. - Ruszył przed siebie zdecydowanym krokiem.

Sophie nie pozostawało nic innego, jak tylko spojrzeć jeszcze raz na André i potulnie iść obok wuja, który znów wołał do pleców Kellermanna:

- Christophe! Co się dzieje?!

Generał, który już zbliżał się do powozu, zatrzymał się gwałtownie i odparł:

- A to, że Konwent Narodowy zwołał nadzwyczajne posiedzenie!

Tylko to, ale André doskonale wiedział, dlaczego ludzie tłumnie wychodzą z przyjęcia, by udać się na posiedzenie Konwentu zwołane ad hoc. Śpieszą tam, bo wiedzą, że podczas tego posiedzenia odbędzie się głosowanie w sprawie króla. Czy zostanie ścięty. Czy nie.



## ROZDZIAŁ ÓSMY

### Paryż

Marzec 1793 r.

Znów koledzy St. Claira zerkali w jego stronę, rozbawieni widokiem zalanej łzami niewiasty usadowionej przed jego biurkiem, do której to niewiasty Jean-Luc przemawiał głosem cichym i łagodnym, by choć trochę ją uspokoić.

– Obywatelko Poitier, przecież dla mnie to była prawdziwa przyjemność was reprezentować i jestem niezmiernie szczęśliwy, że razem z dziećmi możecie wreszcie wrócić do swojego domu.

– My wszyscy nie posiadamy się z radości, a mój Jacques, gdyby nagle ożył, po prostu by was zgniół w uścisku! Ale rzecz w tym... – Nachyliła się nad biurkiem i czerwonymi, zniszczonymi dłońmi objęła dłonie prawnika. – Jakże ja wam się za to odwdzięczę? Jak?!

Jean-Luc uśmiechnął się ciepło do steranej życiem i zalanej łzami obywatelki.

– Jestem usatysfakcjonowany, że sprawiedliwości stało się zadość. I to mi w zupełności wystarczy.

Choć prawda była taka, że nawet niewielka sumka bardzo by się przydała. Poprzedniego dnia Marie mówiła, że właściciel mieszkania upomina się o czynsz i trzeba też zapłacić piekarzowi.

Jeszcze kilka ciepłych słów oraz szlochów, i wreszcie mógł odprowadzić wdowę Poitier do drzwi. Pożegnała go serdecznym uściskiem, musiał jej też obiecać, że jeśli kiedykolwiek zawita w pobliżu Massy, to jej domek stoi przed nim otworem. Kiedy wrócił na górę, przy jego biurku pojawił się jej Gavreau z jakże trafną uwagą:

– Na pewno jesteście zadowoleni, St. Clair, że macie to już za sobą.

Jean-Luc tylko westchnął, usiadł i zaczął zbierać porozrzucone na biurku dokumenty dotyczące sprawy wdowy Poitier. Zawsze porządkował papiery dopiero po zamknięciu sprawy, kiedy było wiadomo, że nic nowego już się nie wydarzy. Wtedy można je ułożyć w logicznym porządku i schować do szafy. Bo kiedy sprawa jest w toku, Jean-Luc preferuje chaos.

– Przede wszystkim jestem bardzo zadowolony, że ta kobieta wreszcie wraca pod swój dach – powiedział po krótkiej chwili. – Mam nadzieję, że reprezentujący nowy rząd urzędnicy, którzy będą zarządzać dawnymi dobrami Montnoirów, okażą się inni niż dotychczasowi właściciel.

– A jeśli tak się nie stanie, ta kobieta znów tu się pojawi i będzie błagać was, żebyście zajęli się jej sprawą. Znów tylko z dobrego serca. A wy naturalnie nie będziecie potrafili jej odmówić. – Gdy pochłonięty porządkowaniem papierów Jean-Luc tylko wzruszył ramionami, Gavreau spytał: – Długo jeszcze? – Był już w szustokorze zapiętym na ostatni guzik.

– Niecałe pół godzinki – odparł Jean-Luc, podnosząc oczy na przełożonego.

Gavreau coś tam wymamrotał i wrócił do swojego biurka, a Jean-Luc

## W cieniu gilotyny

szybko uporał się z papierami, potem napisał coś na kartce i zawołał jednego z chłopców na posyłki.

– Zanieś to mojej żonie – powiedział, wciskając chłopcu do ręki jednego sou i kartkę, czyli liścik do Marie, w którym pochwalił się swoim zwycięstwem w sprawie wdowy Poitier i uprzedził, że na kolacji go nie będzie. Potem włożył szustokor i razem z Gavreau ruszyli do drzwi.

Słońce chyliło się ku zachodowi, ale na placu przed gmachem rządowym nadal było tłoczno, po prostu morze brązowych szustokorów i czerwonych czapek. Byli tu popijający wino sankiuloci, handlarze sprzedający niedojrzałe owoce, mnóstwo kobiet i mężczyzn w różnym wieku, bo dzień był ciepły i w powietrzu czuło się już nadchodzącą wiosnę.

– Dokąd idziemy? – spytał Jean-Luc.

– Do kawiarni, niedaleko Les Halles. Maurice wybrał to miejsce.

Jean-Luc pokiwał głową i obciągnął szustokor, żalując, że tego ranka nie poprosił Marie, by wyprasowała mu ubranie.

– Spokojnie, St. Clair – powiedział Gavreau z uśmiechem. – Nie ma powodu do obaw, nawet jeśli jest to wasze pierwsze spotkanie z ważną personą w nowym rządzie.

– Ależ jestem całkowicie spokojny – zapewnił Jean-Luc z mocą, choć całkowicie mijano się to z prawdą.

Na miejsce spotkania wybrano Café Marché niedaleko targowiska zwanego Les Halles. Kiedy weszli do restauracji, właściciel przybytku przekazał, że obywatel, z którym mają się spotkać, czeka już na nich, i poprowadził na sam koniec niewielkiej i mrocznej sali. Przy ustawionym w rogu stoliku siedział szczupły i posunięty już w latach mężczyzna w skromnym, ciemnym szustokorze z trójkolorową kokardą wpiętą nad kieszonką na piersi z lewej strony. Na głowie nosił perukę z pomarańczowych, związanych z tyłu loków, a więc było całkiem możliwe, że w ogóle włosów na głowie już nie posiada. Twarz miał wycudzoną i bardzo bladą, jakby prawie nigdy nie widywała słońca.

Na ich widok wstał i wyciągnął rękę.

– Witajcie, obywatelu Merignac – powiedział Gavreau, ściskając jego dłoń. – Bardzo cieszę się z naszego spotkania.

– Ja również, obywatelu.

– Pozwólcie, że przedstawię wam jednego z moich najbystrzejszych i najbardziej obiecujących kolegów. Oto Jean-Luc St. Clair.

Małe, głęboko osadzone ciemne oczy spojrzały bacznie, kiedy Jean-Luc ścisnął chłodną dłoń.

– Witajcie! To dla mnie wielki zaszczyt poznać was, obywatelu Merignac.

Gdy zasiedli do stolika, natychmiast pojawiła się karafka z czerwonym winem. Kelner przekazał też, że kucharz na ten wieczór przygotował potrawkę rybną podawaną z ziemniakami lub brukwiami. Cała trójka wybrała ziemniaki i kelner odszedł.

– Jak się miewa wasz szanowny przełożony? – spytał Gavreau. – Piszą o nim we wszystkich gazetach i można odnieść wrażenie, że ma wpływ na wszystko, począwszy od ceny zboża, a na wydatkach wojennych skończywszy. Także na to, która z arystokratycznych głów ma pozostać na

## W cieniu gilotyny

karku, a która jednak nie.

Merignac w odpowiedzi tylko pokiwał głową, raz i powoli, i milczał, więc Gavreau zaczął z innej beczki:

- Napijmy się wina jak za dawnych czasów, prawda, Merignac? - Gavreau wziął karafkę i napełnił kieliszki. - Ile to już lat minęło? Chyba ze dwadzieścia, kiedy nam wszystkim w głowie było tylko uganianie się za spódniczkami. Przyznam się, że nadal od tego nie stronię. Wy to co innego. Wy oddajecie się wzniosłym celom!

Zachwycony swoją wypowiedzią Gavreau zaśmiał się, po czym podniósł kieliszek do ust. Merignac, podobnie jak poprzednio, skwitował jego słowa tylko kiwnięciem głowy, a Jean-Luc pomyślał, że jakoś trudno sobie wyobrazić, jak ten cherlawy i wyblakły prawnik ugania się za spódniczkami. Natomiast Merignac odsunął się z krzesłem od Gavreau, jakby uciekał od nieprzyjemnego zapachu, i zwrócił się ku Jean-Lucowi.

- Proszę, powiedzcie mi, obywatelu St. Clair, od jak dawna pracujecie dla naszej republiki.

- Zacząłem od razu po naszym przyjeździe do Paryża, czyli półtora roku temu.

- Naszym przyjeździe?

- Tak. Mam żonę i synka.

- Skąd przyjechaliście?

- Z południa Francji. Mieszkaliśmy niedaleko Marsylii.

- Aha, stąd ten wasz południowy akcent.

Niestety, Jean-Luc po raz kolejny przysiągł sobie, że musi wytepić to okropne przeciąganie, które w porównaniu z wartką paryską wymową brzmi, mówiąc bez ogródek, prostacko.

- Też pochodzę z południa - wyznał nieoczekiwanie Merignac i po raz pierwszy się uśmiechnął. - Obywatel Lazare również.

Po tych słowach Jean-Luc poczuł się pewniej.

- I co ten biedny chłopak miał z życia w ciągu tego roku? - powiedział Gavreau, kładąc dłoń na jego ramieniu. - Nic, tylko praca od świtu do nocy. Ileż to ja muszę się natrudzić, żeby oderwał się od biurka i poszedł ze mną na miasto coś zjeść!

Merignac, po raz kolejny ignorując dawnego znajomego, zadał Jean-Lucowi następne pytanie:

- Czy należycie do klubu?

- Jakobinów? Tak - odparł skwapliwie Jean-Luc. Owszem, był członkiem klubu, choć prawda była taka, że wstąpił tam głównie po to, by mieć lepszą pozycję w pracy dla nowego rządu. A roczna opłata członkowska w wysokości dwudziestu czterech liwrow jakoś nie budziła zachwytu w Marie.

- To dobrze - powiedział Merignac, pokiwał głową i przy stoliku znów zapadła cisza.

Był koniec zimy, a więc dni wciąż były krótkie. Niebo za oknem pociemniało, w niewielkiej sali było coraz mroczniej. Przez uchylone okno powiało i zdmuchnęło świeczkę. Naturalnie zaraz pojawił się kelner, by zapalić nową.

- Niech stanie się światłość... - mruknął Merignac. - Obywatelu St. Clair, czy byliście kiedyś przy ulicy Saint-Honoré?

- W głównej siedzibie jakobinów? - Jean-Luc, który właśnie podnosił

## W cieniu gilotyny

kieliszek do ust, pokręcił głową. – Nie, nigdy.

– To niedaleko stąd. – Merignac złożył chude ręce na stole, ale kieliszka nawet nie dotknął. – Mógłbym któregoś dnia pokazać wam tę siedzibę, oczywiście jeśli macie na to ochotę. Mógłbym przedstawić was obywatelowi Lazare'owi, który jest tam właściwie zawsze, chyba że ma rozprawę albo słucha przemówień w Konwencji.

Jean-Luc najpierw zerknął na Gavreau, niewątpliwie tak samo zaskoczonego tą propozycją, a potem skwapliwie pokiwał głową.

– Naturalnie! Bardzo dziękuję. To dla mnie wielki zaszczyt.

– Mój szanowny przełożony zawsze nastawiony jest bardzo przychylnie do bystrych i młodych ludzi służących republice, zwłaszcza naprawdę uzdolnionych, takich jak wy.

Do stolika podszedł kelner. Napełnił kieliszek Gavreau i przed każdym z gości postawił miseczkę z potrawką. Merignac, zanim ujął łyżkę, najpierw długimi, chudymi palcami sięgnął po białą płócienną serwetkę i jej rożek starannie wetknął za kołnierz szustokora. Potrawki nabrał niewiele, zaledwie odrobinę. Przełknął i ponownie spojrzął na Jean-Luca.

– Na pewno chcielibyście również spotkać się z Robespierre'em. To zrozumiałe. – Powiedziałł z takim tonem, jakby umówienie kogoś z dwoma najpotężniejszymi teraz ludźmi w Paryżu było tak łatwe, jak przedstawienie sąsiadom czy komuś na ulicy.

Jean-Luc również zanurzył łyżkę w potrawce. Przełknął i wcale nie był zadowolony. Za mało soli i masła, a smak ryby był prawie niewyczuwalny. Marie miała rację, narzekając, że sprzedawane w Paryżu ryby i owoce morza są do niczego.

– Na pewno mnóstwo ludzi marzy o tym, by przyjął ich obywatel Robespierre i obywatel Lazare – powiedział po chwili. – Cieszą się wielkim poważaniem. Można powiedzieć, że nawet uwielbieniem.

Merignac przełknął kolejny kęs.

– Cóż... Robespierre niewątpliwie jest bardzo ciekawym człowiekiem. Szybko wspiął się na szczyt. Wielu uważa, że jest nadzwyczaj ambitny i nic i nikt go nie powstrzyma.

Zapadła już noc i w sali zapalono dodatkowych kilkanaście świeczek. W ich migotliwym świetle pomarańczowa peruka Merignaca zmieniła kolor, stała się wręcz płomienista, a skóra na bladej twarzy zdawała się być cienka jak papier, niemal przezroczysta.

– Czy wiecie, jak zwą teraz Robespierre'a? – spytał po chwili Merignac. – Nieprzekupny. A ja nie jestem do tego całkowicie przekonany. Mój chlebodawca uważa, że przekupić można każdego, trzeba tylko umieć odnaleźć w człowieku jego słabości i nimi manipulować.

Znów zapadła cisza. Gavreau, wyraźnie z niej niezadowolony, popił głośno wino i wymamrotał:

– Ja tam swoje słabości znam na pamięć. Wszystkie, co do jednej! – I zaśmiał się znów zachwycony swoim żartem.

– Robespierre jest tego świadomy – mówił dalej Merignac, nadal ignorując Gavreau i zwracając się tylko do Jean-Luca. – Także tego, że gniew ma większą siłę niż miłość, z kolei czego król nie był świadomy i próbował odwoływać się do lepszych stron człowieka. Mówił, że kocha lud jak ojciec swoje dzieci. A lud wcale nie ma ochoty czegoś takiego słuchać, bo jest głodny, rozjuszony i chce, by mu mówić, że ma prawo być

## W cieniu gilotyny

takim, jakim właśnie jest. Obaj jesteśmy z południa Francji, znad morza, pozwolę więc sobie na pewne porównanie. Gniew ludu można porównać do wiatru łapanego w żagle. A ten wiatr łapie Robespierre i robi to znakomicie. Łapie i kieruje nim bardzo chytrze. Bo jeśli ktoś robi to nieumiejętnie, ten sam wiatr zwróci się przeciwko niemu, jak w przypadku naszego żalosego króla. A jeśli wiatr ujarzmi się należycie, można puścić w ruch maszynę postępu. Obywatel Lazare często powtarza, że postęp rodzi się ze zmian, a zmiany powstają dzięki działaniu siły. Dlaczegoż więc nie ujarzmić gniewu ludu, by ten wielki chaos zmienić w potężną siłę?

– Święta racja! – ryknął Gavreau, uderzając pięścią w stół. Niewątpliwie zdążył już wypić niejedną kieliszek i zaszumiło mu w głowie.

Merignac naturalnie udał, że nie zauważył tego głośniego wystąpienia, i spokojnym, równym głosem mówił dalej:

– Mój szanowny patron, obywatel Lazare, wierzy, że gniew ludu to prawdziwe źródło siły narodu. A zmarły król, mimo swoich deklaracji, tak naprawdę bał się ludu, bo nigdy go nie rozumiał. A ta wolność, równość, braterstwo. Ech! – Machnął ręką i nachylił się ku Jean-Lucowi. – Wszystko pięknie, ładnie, ale spójrzmy prawdzie w oczy. Prawdziwe źródło nowej siły to po prostu nieujarzmiony gniew zrodzony po latach rozpacz. A człowiek, który pojął, że najlepiej... cóż...

Jean-Luc nie spodziewał się, że rozmowa zejdzie na takie tory. Zwykle dość ogólnie dyskutowano o polityce, a także o tym, jak najlepiej służyć ludowi, ale w tej rozmowie było coś więcej. Bo Merignac, wpływowy republikanin, a przy tym człowiek inteligentny i przebiegły, wystawiał ludzkości bardzo nieprzychylnie świadectwo. Francuzi w tym świetle to fanatycy i przerażające bestie. Jak więc ma się to do szlachetnych poczynań, dążenia do spełnienia wzniosłych celów, w czym uczestniczy wielu patriotów, w tym i on sam? Co z Deklaracją Praw Człowieka, powszechnym prawem wyborczym, dążeniem, by każdy miał zapewniony chleb i dach nad głową?

Jean-Luc miał wielką ochotę coś powiedzieć na ten temat, ale nie zdążył, bo nagle zrobiło się głośno. Jakichś dwóch młodych mężczyzn w niebieskich rajtrokach wyproszono z restauracji. Byli bardzo podobni, więc niewątpliwie bracia. Jeden z nich, o włosach zdecydowanie ciemniejszych, prowadząc młodszego, obejmował go ramieniem i próbował go uspokoić. A przy stoliku, od którego musieli wstać, siedział jeszcze jeden młody mężczyzna. Stolik zaślany był potłuczoną porcelaną, a mężczyzna, popijając wino, wykrzykiwał za odchodzącymi:

– Zabieraj swój urzęnięty tyłek do domu, Remy! A następnym razem to ja sobie pójde i ty będziesz musiał za wszystko zapłacić!

– Jesteś głupcem! – zawołał młodszy brat, starając się oswobodzić z żelaznego uścisku starszego. – Gdybym mógł, tobym cię sprzął na kwaśne jabłko!

Kelnerzy stanowczo nalegali, by starszy wyprowadził młodszego jak najszybciej. Starszy brat przeproszał, wcisnął właścicielowi kilka monet do ręki jako zadośćuczynienie i udzielił młodszemu reprimendy:

– Dość już tego, Remy! Słyszysz?! Wychodzimy!

– Dobrze, dobrze. Już idę, André – wybełkotał młodszy. – Wcale mi się tu nie podoba. A poza tym muszę iść do Celine. Obiecałem, że dziś

## W cieniu gilotyny

wieczorem złożę jej wizytę.

– Dziś nie. Wracamy do domu – stanowczo oznajmił starszy, ruszając do drzwi. A młodszy już nie protestował. Złożył głowę na ramieniu brata i szurając nogami, potulnie szedł razem z nim.

Po chwili w sali znów zdołało się cicho. Jean-Luc zerknął na swoich towarzyszy przy stole. Gavreau zaśmiewał się, a Merignac był wyraźnie zdegustowany.

– Nie powinni wpuszczać tu takich chłystków, nawet jeśli noszą mundury – powiedział, składając chude ręce na stole.

Zdaniem Jean-Luca zabrzmiało to bardzo niedemokratycznie, ale powstrzymał się od uwag i zaczął jeść potrawkę pozbawioną smaku. Merignac z jedzenia zrezygnował i otarłszy usta białą serwetką, zagadnął:

– Obywatelu St. Clair, słyszałem, że ostatnio broniliście wdowy skrzywdzonej przez niegodziwego markiza. Mój chlebodawca śledził sprawę z wielkim zainteresowaniem i jest dla was pełen uznania.

Jean-Luc przełknął i mimo woli się uśmiechnął. Naturalnie był zadowolony, ale również zaskoczony, że ktoś spoza departamentu zwrócił uwagę na jego poczynania.

– Sprawa wdowy Poitier – powiedział. – Warto było się tym zająć, by samotna matka wychowująca dzieci odzyskała swój dom.

– Naturalnie. A skoro o wdowach mowa... teraz, kiedy obywatel Kapet już nie żyje, powstaje pytanie, co zrobić z austriacką wdową? Czy też pozbawić ją głowy?

Jean-Luc niejedną raz zastanawiał się nad dalszym losem zdetronizowanej królowej. Kiedy króla wysłano na gilotynę, był wstrząśnięty. Od chwili wybuchu rewolucji, czyli od lat czterech, ani przez moment nie wyobrażał sobie, że naród w dążeniu do wolności mógłby powążyć się na taki krok. Naturalnie nikomu o tym nie mówił, bo takie nastawienie równało się zdradzie.

Merignac, podparłszy brodę ręką, spoglądał na Jean-Luca wyczekująco.

– A więc jak, obywatelu? Waszym zdaniem co powinno się zrobić z tą Austriaczką?

Jean-Luc przełknął i otarł usta serwetką.

– Moim zdaniem nie powinna wracać do Austrii, bo tamtejsi rojaliści, jej poplecznicy, mogą narobić nam kłopotów.

– W takim razie co z nią zrobić?

Jean-Luc potrzebował chwili namysłu. Przede wszystkim przypomniał sobie czytany tego ranka pamflet, kolejny z pamfletów tajemniczego obywatela zwanego się Persefoną, który tym razem wzywał do zachowania rozsądku i łagodnego potraktowania Marii Antoniny.

– Moim zdaniem dożywotni areszt domowy byłby wystarczającą karą.

– Czyżby? Jesteście bystrym człowiekiem, obywatelu, więc chyba domyślacie się, że dla niej areszt domowy nie byłby czymś nieprzyjemnym. Zajadałaby się słodkimi bułeczkami, piła najlepsze wino, a w łóżku co wieczór gościła innego strażnika. – Merignac zaśmiał się, spojrzawszy na od dłuższej chwili nietkniętą potrawkę i westchnął. – Mój patron, obywatel Lazare, uważa, że najlepszym rozwiązaniem będzie ostrze, tak jak w przypadku jej męża. Jeśli pozostanie przy życiu, będzie symbolem monarchii, inspirującym do czynu naszych wrogów w kraju i za granicą. Zwyczajna logika. Albo ona umrze, albo umrze nasza

## W cieniu gilotyny

Rewolucja. Dlatego należy posłać ją na gilotyne.

Jean-Luc chrząknął. Spuścił głowę i wypił łyk wina.

– Widzę, że pomysł z gilotynią nie bardzo przypadł wam do gustu, obywatelu St. Clair – wycedził Merignac, spoglądając bardzo przenikliwie.

Jean-Luc bez słowa odwrócił się i rękę z pustym kieliszkiem wyciągnął ku Gavreau, by dolał wina.

– Czy wiecie, obywatelu, komu zawdzięczamy tak często teraz używaną gilotyne? – spytał Merignac.

– Wiem – odparł Jean-Luc, z pełnym kieliszkiem odwracając się do niego. – Człowiekowi, który zwie się Joseph-Ignace Guillotin.

– Doktor Joseph-Ignace Guillotin – uzupełnił Merignac. – Jean-Luc, czy wiecie... O, przepraszam! A może pozwolicie mówić sobie po imieniu?

– Naturalnie. Bardzo proszę.

– Świetnie... A o czym to ja mówiłem? Aha, o gilotynie. Czy wiecie, dlaczego gilotyń stała się nowym narzędziem egzekucji?

– Żeby karę śmierci wykonywać w sposób bardziej humanitarny.

– Tak. Właśnie o to chodzi.

Jean-Luc przełknął.

– Naturalnie, że temu nie przeczę. Gilotyń jest bardziej... humanitarna niż szubienica, na której powieszony człowiek może konać nawet godzinę w najstraszliwszych męczarniach. Albo śmierć pod toporem. Kiedy kat za pierwszym razem nie trafi jak trzeba, musi ciąć kilkakrotnie, by oddzielić głowę. Wszystko to rozumiem, tylko...

– Tylko co? – spytał niecierpliwie Merignac, wyraźnie podekscytowany przedmiotem rozmowy.

– Szczerze mówiąc, czasami zastanawiam się, dlaczego nasze trybunały tak skwapliwie karzą za pomocą tego przyrządu i mężczyzn, i kobiety, a nawet dzieci.

– Aha... Czyli wolelibyście mniej krwawą rewolucję?

Jean-Luc otworzył usta, ale zaraz je zamknął. Bo co niby mógł powiedzieć? On, który tyle godzin spędził na sporządzaniu dokumentów związanych z przejściem majątku wrogów rewolucji – księży, zakonnic, arystokracji, ludzi oskarżonych o szpiegostwo. Ludzi w środku nocy wypędzonych z domów, w których zostały meble, porcelana ozdobiona herbem właściciela, puste łóżka. Niektóre bardzo małe, niemowlęce łóżeczka.

W końcu odzyskał głos, wprawdzie jeszcze słaby, ale był już w stanie mówić.

– Chyba tak. Chciałbym, by przelewano mniej krwi, a przynajmniej zanim pośle się kogoś na gilotyne, rzetelnie zbadano sprawę i przedstawiono niezbite dowody.

Tak, wyrzucił to z siebie. To, czego jeszcze nikomu nigdy nie mówił, nawet Marie, teraz powiedział, choć być może było to bardzo nierozsądne.

– Każda rewolucja pławi się we krwi, Jean-Luc, bo czymże innym można zmyć grzechy przeszłości? Chyba słyszeliście, że obywatel Lazare kiedyś mieszkał na królewskim dworze i bardzo dobrze znał króla. Czy wiecie, co król napisał w swoim dzienniku w dniu, kiedy ruszono na Bastylie?

Oczywiście, że Jean-Luc wiedział. Przecież pisano o tym we wszystkich

## W cieniu gilotyny

gazetach. Cały Paryż wiedział, że król napisał wtedy tylko jedno słowo.

– *Rien*.

– Tak. – Merignac pokiwał głową. – Napisał tylko: „Nic”.

– Nic! – powtórzył raptem Gavreau, przesuwał palcem po brzegu miski, w której nie było już choćby śladu po potrawce.

Merignac nie raczył na niego nawet spojrzeć.

– Napisał „Nic”, ponieważ tego dnia nic nie upolował. A jak myślicie, co kobiety i mężczyźni, którzy szturmowali Bastylię, napisaliby w swoich dziennikach, gdyby tego dnia byli w stanie umoczyć pióro w inkauscie? – Cienkie czarne brwi Merignaca przesunęły się w górę, prawie dotykając pomarańczowej peruki. – Mogliby tylko zapisać, że tego dnia też nie mieli co do garnka włożyć. Albo że zmarło im kolejne dziecko, bo miasto, w którym przyszło im żyć, jest brudne, tonie w nieczystościach i panuje w nim głód.

Jego głos był równy i spokojny, ale czuło się, że kryją się za tym wielkie emocje. Jean-Luc milczał, nie bardzo wiedząc, co powinien powiedzieć. I czuł się jak ostatni głupiec, skoro opowiedział się po stronie łaski, a Merignac nienawidzi szlachetnie urodzonych, tak jak każdy pokrzywdzony przez los obywatel czy obywatelka na placu Rewolucji. Przez dłuższą chwilę panowała cisza, a potem nagle, ku wielkiej uldze Jean-Luca, Merignac nagle zaśmiał się i tak jak w letni wieczór, kiedy jest gorąco i parno, uderzenie pioruna potrafi zabrać całą wilgoć z powietrza, tak teraz głośny śmiech Merignaca sprawił, że atmosfera przy stoliku zelała.

– Spokojnie, obywatelu St. Clair – powiedział, wyciągając do Jean-Luca rękę. Gavreau również śmiał się, i to bardzo głośno. Ale z czego? Nie wiadomo. Natomiast Merignac wziął Jean-Luca za rękę i jak ojciec uspokajający dziecko, drugą ręką poklepał go po dłoni. – Widzę, że podobnie jak mój chlebobawca lubicie ożywione dyskusje! Podobała mi się nasza pogawędka. Myślę, że mojemu chlebobawcy też by przypadła do gustu. – Sztwywny Merignac raptem znikł. Był rozluźniony i uśmiechnięty, jakby znalazł się w gronie dobrych znajomych. – Zrobiło się późno i ktoś tu już chyba tęskni za łóżkiem – powiedział, zerkając na Gavreau. Potem zaplacił za wszystkich. Naturalnie, Jean-Luc i Gavreau głośno protestowali, ale on nie ustąpił. A kiedy wstali od stolika, spytał: – Gdzie mieszkanie, obywatelu St. Clair?

Jean-Luc, trochę speszony, podał mu swój adres na lewym brzegu Sekwany.

– Trochę za daleko, by w tak zimną noc iść na piechotę – powiedział Merignac. – Odwiozę was swoim powozem.

– Bardzo dziękuję, ale naprawdę nie ma takiej potrzeby.

– Myślę, że jak na jeden wieczór sporów wystarczy. Nie chcę słyszeć o odmowie. A powóz już czeka, Gavreau był tak miły i najął go na ten wieczór. Ale jak wy dotrzecie do domu?

– Oczywiście, że na piechotę – odparł Gavreau trochę bełkotliwie. – Chętnie się przejdę, a po drodze wpadnę do oberży na jeden łyczek, taki na sen. Może też macie ochotę?

Ani Merignac, ani Jean-Luc ochoty nie mieli i grzecznie odmówili, więc Gavreau pożegnał się i chwiejnym krokiem ruszył przed siebie. Merignac wskazał powóz czekający na końcu spowitej w ciemności ulicy. Kiedy



## W cieniu gilotyny

podeszli, lokaj zeskoczył z kozła i otworzył przed nimi drzwi. Było naprawdę zimno i Jean-Luc był zadowolony, że drząc z zimna, nie musi iść przez wyspę i Pont Neuf. Powóz ruszył. Przez dłuższą chwilę jechali w milczeniu, wreszcie odezwał się Merignac.

– Cieszę się z naszej pogawędki. Jestem pewien, że obywatel Lazare doceni wasze towarzystwo.

– Jesteście dla mnie zbyt łaskawi, obywatelu – odparł uprzejmie Jean-Luc, który z niewiadomych powodów nagle poczuł się nieswojo.

– Nie sądzicie, obywatelu St. Clair, że jesteście stworzeni do bardziej szczytnych celów niż robienie spisu inwentarza, mając za przełożonego takiego głupca jak Gavreau?

Jean-Luc był zaskoczony tak szczerą wypowiedzią, tym bardziej że Merignac mówił o swoim starym znajomym, zwracając się do kogoś, kogo ledwie co poznał. Dlatego odpowiedział bardzo ostrożnie:

– Robię to, czego potrzebuje od nas nasza młoda republika.

Powóz wjechał w ulicę, przy której mieszkał Jean-Luc. Konie zatrzymały się, lokaj otworzył drzwi. W powozie zrobiło się trochę jaśniej i Jean-Luc zauważył na twarzy Merignaca drwiący uśmieszek.

– Może i tak, obywatelu. Ale może się zdarzyć, że nagle zapragniecie w pełni wykorzystać swoje umiejętności, a nie poprzestać na obronie biednych wdów i zdobywaniu pieniędzy na opłacenie czynszu za mansardę na lewym brzegu Sekwany. A gdy już tego zapragniecie, to wiecie, gdzie nas szukać. Naprawdę się ucieszę, gdy będę mógł was przedstawić obywatelowi Lazare'owi.

Kiedy stanął w progu, Marie zerwała się z krzesła, podbiegła i cmoknęła męża w policzek.

– Jean-Luc! Dostałam tę wiadomość od ciebie o wdowie Poitier. Wygrałeś! Poszłicie to uczcić? Czemu nic nie mówisz? Jesteś bardzo zmęczony?

Wciąż milcząc, wolnym krokiem podszedł do kołyski ustawionej w rogu mansardy. Nachylił się nad śpiącym Mathieu i przyłożywszy dłoń do różowego, puciołowatego policzka, stał przez kilka minut, wpatrując się w synka.

– Powiedz wreszcie, gdzie byłeś – szepnęła Marie, stając za jego plecami.

Odwrócił się i żeby nie obudzić synka, też szepnął:

– Jadłem obiad z osobistym sekretarzem Guillaume'a Lazare'a.

– Co?! – Jej oczy ze zdumienia zrobiły się idealnie okrągłe. – No proszę! Kogóż to wzięłam sobie za męża! Wygrywa sprawy i chodzi do restauracji z sekretarzem samego Lazare'a!

Uśmiechnęła się bardzo szeroko, ale Jean-Luc, zatopiony w swoich myślach, tego nie zauważył.

– Myślę, że to było coś w rodzaju egzaminu – powiedział, kiedy odchodzili od kołyski.

– Egzamin? I zdałeś?

– Wygląda na to, że tak.

Marie uśmiechnęła się jeszcze szerzej i wdzięcznie przechyliła głowę na bok.

– Czyli niebawem ja, Mathieu i ta mała mansarda przestaniemy liczyć

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

### Paryż

Lato 1973 r.

Po powrocie do stolicy Francji André, który przymaszerował tu ze swoimi żołnierzami ze Strasburga, ponownie wynajął kwatery w dzielnicy Saint-Paul nieopodal dawnego więzienia Bastylia. Miasto nagrzewało palące słońce, na wybrukowanych, wąskich i zatłoczonych ulicach czuć było zapach spoconych ciał. Tak samo dało się czuć wszechobecny strach przed wrogiem, i tym rodzimym, i tym spoza granicy, a wolni francuscy obywatele jak zawsze byli chętni do oglądania na własne oczy, jak mordercza machina wymierza tę szczególną, rewolucyjną sprawiedliwość. Ale André myślałmi przebywał gdzie indziej. Nie zawracał sobie głowy ani wojną, ani narodową rewolucją. Nie ciekawiły go zażarte dyskusje na tematy polityczne, które prowadzili ludzie w oberżach czy zgromadzeni na placach. Nie, bo André myślał tylko o tym, jak ponownie spotkać się z młodą kobietą, z którą pół roku temu los go zetknął w pewien zimowy wieczór.

Kiedy nie miał służby albo nie ratował Remy'ego z kolejnej opresji, ruszał na wędrowkę po prawym brzegu Sekwany. Szedł i szedł, przyglądając się każdej mijanej kobiecie. Kiedy maszerował brzegiem rzeki niedaleko placu Rewolucji, słyszał gniewne krzyki tłumu. Zdumiewająco gniewne, bo nigdy dotąd, na żadnym polu bitwy, nie spotkał się z taką żądzą krwi. I w tamtym kierunku nie zmierzał, dziwnie pewien, że Sophie nie znajdzie w pobliżu gilotyny, kiedy w obecności tysięcy gapiów pozbawiają kogoś głowy. Szukał jej na rynkach w pobliżu Châtelet, wśród kramów z kwiatami koło wspaniałej budowli, która kiedyś była katedrą Notre Dame, a także między wozami handlarzy na obu brzegach Sekwany.

Maximilien Robespierre zdobył dominującą pozycję w nowym rządzie, robiąc czystkę w Konwencie i zabijając każdego deputowanego czy stronnika, który stanowił dla niego choćby minimalne zagrożenie. „Nieprzekupny” rządził niepodzielnie jako przewodniczący Komitetu Ocalenia Publicznego<sup>[4]</sup>. Domagał się stałej ceny chleba, powszechnego prawa wyborczego i jeszcze więcej arystokratycznych głów. A także największej czujności wobec czyhającego zagrożenia ze strony wrogów rewolucji, i spoza granicy, czyli Austriaków, którzy zamierzali zdławić rewolucję, i rodzimych kontrrewolucjonistów, którzy zamierzali zdławić ją od środka. I jak zawsze ten strach podsycał nienasyconą potrzebę dostarczenia gilotynie kolejnej ofiary.

André zdecydowanie postanowił, że niezależnie od tego, co dzieć się będzie w rządzie czy w mieście, on i Remy twardo będą się trzymać swych niebieskich mundurów. Bo służba w wojsku była ich jedyną, choć niestety raczej łatwą do skruszenia linią obrony, dzięki której jeszcze nie trafili w ręce kata Sansona. A kiedy lato mijało, LaSalle wspominał coraz częściej o krążących pogłoskach, że dywizja dowodzona przez generała

## W cieniu gilotyny

Kellermanna, gdzie obaj służyli, niebawem zostanie wysłana w Alpy do walki z Habsburgami. Dlatego André zaczynał tracić nadzieję, że kiedykolwiek jeszcze zobaczy Sophie de Vincennes.

Aż wreszcie pewnego sierpniowego popołudnia, kiedy wracając na kwatę, szedł przez dzielnicę Marais, nagle po drugiej stronie ulicy spostrzegł twarz, na widok której jego serce zabiło jak szalone, choć swym oczom w pierwszej chwili nie uwierzył, bo zbyt wiele już razy go oszukały, a potem przeżywał gorzkie rozczarowanie. Ale nie tym razem, bo to na pewno była Sophie. Siedziała na tarasie zatłoczonej restauracji w towarzystwie niejakiego Francka, który przed kilkoma miesiącami towarzyszył jej w Panteonie. Na jego widok André poczuł ukłucie zazdrości, a także rozpacz. Przecież to świadczyło, że Sophie, niezależnie od tego, co mówiła tamtego wieczoru, z tym Franckiem coś jednak łączy. Owszem, ale i tak rozpierała go radość, bo wreszcie ją zobaczył. Oczywiście była ubrana skromniej niż podczas tamtego wieczoru. Miała na sobie cienką suknię z białego płótna obszytą koronką. Jasne włosy, lśniące w słońcu, upięte były z tyłu głowy w luźny kok. A wyraz twarzy miała taki sam jak wtedy, gdy zobaczył ją po raz pierwszy: nuda, nuda i jeszcze raz nuda. A to dawało nadzieję.

- Ej, podejdź tutaj! - zawołał do kilkunastoletniego chłopca z rozwichrzonymi włosami. Był na bosaka, w spodniach do chudych i pokrytych strupami kolan. - Chcesz zarobić sou?

Chłopiec podchodził powoli, prawie z ociąganiem, ale kiedy usłyszał, o co chodzi, czy mu rozbłyśły.

- Już się robi, panie. Ale co mam zrobić?

- Zaniesiesz liścik tej młodej panie w białej sukni. Widzisz ją?

- Ta najładniejsza, tak? - Brudnym palcem wskazał właściwą osobę.

André klepnął go po rękę i pouczył:

- Nie pokazuj palcami! - Podniósł z ziemi kartkę, czyli jeden z wszechobecnych politycznych pamfletów, i na odwrotnej stronie napisał kilka słów, po czym udzielił instrukcji: - Podasz jej tę kartkę, ale nic jej nie mów, choćby jednego słowa, tylko od razu wracaj do mnie. Wtedy dostaniesz sou.

Chłopiec skwapliwie pokiwał głową i ściskając kartkę w brudnym rękę, ruszył biegiem na drugą stronę ulicy, a André schował się za straganem z winem i czekał, mając nadzieję, że Sophie nie zapomniała o nim i domyśli się, kto skreślił tych kilka słów:

*Jeśli chcesz dokończyć rozmowę, którą rozpoczęliśmy w Panteonie, przeproś swego towarzysza i spotkaj się ze mną w Le Pont Blanc.*

André stał w kawiarni koło drzwi wejściowych, starając się wyglądać jak oaza spokoju, co naturalnie było całkowicie sprzeczne z burzą emocji, która w nim szalała. By ją choć trochę okiełznać, zaczął zastanawiać się nad kieliszkiem wina, a kiedy zegar wybił godzinę, uzmysłowił sobie, że czeka już ponad kwadrans i nadzieja, że Sophie przyjdzie, jest już nikła. Bo gdyby go sobie przypomniała i pomyślała o nim przychylnie, na pewno już by tu była.

Zrezygnowany podszedł do baru, oparł się łokciami o kontuar i zaczął zastanawiać się, co zrobić, gdzie pójść, by poprawić sobie nastrój. Po chwili doszedł do wniosku, że po prostu powłóczy się po mieście, wyciszy

## W cieniu gilotyny

i wróci do domu. A kiedy odwrócił się w kierunku drzwi, ku wielkiemu zdziwieniu – i największej radości – zobaczył wdzięczną postać w białej sukni i z parasolką. Sophie zbliżała się do progu. Policzki miała zaróżowione, czyli nie szła tu powoli. Przekroczyła próg, rozglądając się wokół, i kiedy wreszcie zauważyła André, zatrzymała się w pół kroku. On uśmiechnął się, ona podeszła i wyciągnęła rękę w cienkiej rękawiczce. On ucałował dłoń, patrząc głęboko w oczy.

– Już zacząłem tracić nadzieję! – wyznał z ulgą.

– Czyli miałeś! Bo ja też! – odparła z uśmiechem. – Miałam nadzieję, że natrafię na ciebie wcześniej. Mówiłeś przecież, że mieszkasz koło kościoła Świętego Pawła.

– Zgadza się, ale przez dłuższy czas nie było mnie w Paryżu.

– Los żołnierza?

– A tak. Napijemy się? – Pokiwała głową, André objął ją ramieniem, poprowadził na koniec sali i dodał: – Cieszę się, że możemy porozmawiać, Sophie. Nie mogłem się ciebie doczekać!

– Ale ja nie mogłam przyjść wcześniej. Miałam zostawić biednego Francka samego, kiedy dopiero zaczęliśmy jeść?

– A dlaczego nie? Ale zaraz... Myślałem, że ci na nim nie zależy.

– I taka jest prawda.

– W takim razie dlaczego chodzicie razem do restauracji? Ten grubas niewątpliwie podkochuje się w tobie.

– Grubas... – Sophie uśmiechnęła się szeroko, zasłaniając ręką usta, i nachyliła się ku André. – Franckowi zależy na mnie tyle co nic. Z mojej strony jest dokładnie tak samo. On kocha tylko kotlety i steki, a jeśli chodzi o mnie, to owszem, lubi, kiedy biorę go pod ramię albo siedzę z nim przy stole. Tylko tyle, bo nawet nie bardzo potrafimy ze sobą rozmawiać. Ale cóż, wuj zakazał mi wychodzić samej z domu. Wolno mi wyjść tylko z Franckiem.

Usiedli przy stoliku. Przez dłuższą chwilę panowała cisza, a potem raptem na twarzy Sophie rozkwitł słodki uśmiech.

– Kapitanie Valière, czy dobrze zrozumiałam? Bo odnoszę wrażenie, że wolelibyście, żebym chodziła po mieście nie z Franckiem, lecz z wami.

– Tak. Bardzo bym tego chciał.

– Niestety, wuj nigdy się na to nie zgodzi.

– Wuj nie musi o tym wiedzieć.

– Hm... – Postukując palcami o blat stołu, przez chwilę rozważała w duchu ten wariant. – Cóż... Można się nad tym zastanowić. A teraz wreszcie coś zamówmy.

André spytał kelnera o wino, i usłyszał, że jest wino tylko z Vanves i Clamart, raczej nie najlepsze, ale André i tak zamówił karafkę. Po chwili stuknęli się kieliszkami, a André, zanim wypił pierwszy łyk, uznał, że warto powiedzieć jeszcze parę słów w wiadomej sprawie.

– Wiesz, Sophie, że zaczynałem się już zastanawiać, czy naprawdę istniejesz, czy tylko coś mi się przywidziało. Cieszę się z naszego spotkania i powtarzam: bardzo bym chciał widywać się z tobą, kiedy tylko będzie to możliwe. Wiesz przecież, jak bywa z żołnierzami. Raz tu, raz tam.

Uśmiechnęła się i wypili po łyku wina. Nie był to przedni trunek, ale nie warto było grymasić, tylko cieszyć się, że w ogóle mają w tym lokalu

## W cieniu gilotyny

wino. Poza tym gości ani za dużo, ani za mało, i miło było tu posiedzieć.

- André, czy wróciłeś do Paryża razem z moim wujem?

- Tak. Cieszysz się, że wrócił?

Sophie wydeła wargi i wydadłomi już było, jak to z tym cieszeniem jest. Zaraz jednak coś jeszcze dodała:

- Gdy straciłam męża, wuj wziął mnie pod swe skrzydła. Pilnuje mnie, bo rewolucyjne czasy są niespokojne i jest się czego obawiać. Naturalnie zdaję sobie sprawę, że z takim nazwiskiem jak moje powinnam być ostrożna, ale wuj nie musi mi tego powtarzać niemal codziennie! A tak jest. Powtarza nieustannie i tym właśnie tłumaczy te wszystkie swoje nakazy i zakazy. Bo, jak powiedziałam, nie wolno mi wychodzić z domu, nie wolno mi się z nikim spotykać. I w kółko mówi to samo: „Moja mała Sophie, tylko ja mogę ciebie obronić. Nie wolno ci się narażać. Słuchaj się swego wuja, bo on wie najlepiej”. Tak to wygląda, więc chyba się nie dziwisz, że w końcu wychodzę z domu z tym z opasłym Franckiem, jedynym człowiekiem, którego wuj aprobuje.

- W takim razie może już nie mówmy o wuju - z westchnieniem skomentował André. - Po co? Teraz jesteś tutaj. Ze mną... - Na moment zamilkł, rozkoszując się tymi dwoma słowami. Bo czyż nie brzmią wspaniale? - A teraz wzniesmy toast. Za twoją wolność!

- Tak, tak! - Sophie skwapliwie pokiwała głową. - Za to koniecznie musimy wypić!

Wypili, chwilę pomilczeli, wreszcie odezwał się André:

- Jesteś taka młoda, Sophie, i już jesteś wdową.

Natychmiast spowaźniała, i w tym tonie odparła:

- Bo na żonę byłam stanowczo za młoda.

- W takim razie ile masz lat, Sophie? - Natychmiast pożałował, że nie ugryzł się w język. Kobiety przecież o wiek się nie pyta!

Czuł, że się czerwieni, ale na szczęście wcale niezrażona, tylko znów uśmiechnięta Sophie oparła się łokciami o stół i sama zaczęła drążyć:

- Skoro mowa o tym, ile kto liczy wiosen, to może zaczniemy od kogoś innego. Od pana Valière'a, dobrze? - Uśmiechnęła się figlarnie. - Będę zgadywać. Dwadzieścia... pięć?

- Trochę przesadziłaś. Dwadzieścia trzy - sprostował zadowolony, że sprawia wrażenie osoby bardziej dojrzałej. - I jeśli już, to nie pan, lecz kapitan.

- A... oczywiście, kapitanie Valière.

- A teraz ja będę zgadywać. Osiemnaście?

Sophie zaśmiała się.

- Jesteś bardzo miły - odparła roześmiana. - Jak sądzę, bez trudu potrafisz znaleźć drogę do serca kobiety.

- Ale nie możesz mieć więcej niż osiemnaście!

- Mogę. Za kilka miesięcy skończę już dwadzieścia.

- Czyli niewiele się pomyliłem.

- Tak... - Uśmiech na twarzy Sophie zgasł. - Kiedy wydali mnie za mąż, miałam lat czternaście.

Wstrząśnięty André zamilkł, bo po prostu zabrakło mu słów.

- Przeraziłeś się? Ja czułam się tak samo, zaprowadzono mnie przed ołtarz.

- Wybacz, ale... ale czy go... kochałaś?

## W cieniu gilotyny

– Kochalam?! André! Przecież go prawie nie znalazłam! Przed ślubem spotkaliśmy się tylko raz. Był wdowcem, jego dzieci były starsze ode mnie, więc to małżeństwo nie mogło długo trwać. Uczynił mnie hrabiną i po trzech miesiącach zmarł. Cud Boski, że nie uczynił mnie również matką, zanim nie odszedł na zawsze. Nie, nie zginął na gilotynie, jak zapewne podejrzewasz. Jean-Baptiste miał już swoje lata, a poza tym był zwyczajnym rozpustnikiem i dokuczała mu podagra, często z tego powodu narzekał. I odszedł, zostawiając mnie z nazwiskiem, które w dzisiejszych czasach tak bardzo jest niepożądane, o czym wuj stale mi przypomina.

André, osmielony jej szczerością, a może i winem, nie wahał się zadać kolejnego pytania:

– Tak naprawdę byłaś jeszcze dzieckiem, więc dlaczego zmuszono cię, byś poślubiła starego i schorowanego człowieka?

– Dlaczego? Łatwo się domyślić. Wyglądasz na inteligentnego człowieka, André, więc spróbuj.

– Pieniądze?

– Oczywiście.

André pokiwał głową i oboje zamilkli.

– A jak to tam było z tobą? – spytała po chwili Sophie.

– To znaczy?

– Ile serc zdążył już złamać kapitan Valière? Ma już dwadzieścia trzy lata, więc co najmniej kilkanaście.

Naturalnie uśmiechnął się i pokręcił głową.

– Mniej? Trzy, dwa?

André znowu tylko pokręcił głową.

– Tylko jedno?! – Sophie wcale nie kryła, jak bardzo jest zaskoczona. A kiedy André nadal milczał, zawołała mocno poruszona: – Żadnego?! Nie, to niemożliwe, żeby tak przystojny oficer nie skradł jeszcze serca żadnej damie!

André jeszcze raz przecząco pokręcił głową. Było mu bardzo miło, że Sophie nazwała go przystojnym, tym bardziej więc czuł potrzebę, żeby ten stan rzeczy jakoś usprawiedliwić.

– Miałem to szczęście, że zamiast nakłaniania do ożenku z bogatą leciwą wdową, posłano mnie do akademii wojskowej.

– Proszę, proszę... – Sophie roześmiała się. – Młody i przystojny kapitan nie ma jeszcze wielbicielek! Trzeba przyznać, że potrafisz zaskoczyć.

Powiedziała to jakoś miękko i łagodnie, ale to nie wszystko. Bo potem westchnęła i powiedziała coś, co sprawiło, że André Valière, było nie było kapitan, po prostu się zarumienił.

– Szkoda, że nie poznałam cię wcześniej. Przecież masz tytuł, jesteś hrabiną, a to usatysfakcjonowałoby mego ojca, który był już bardzo chory i bez majątku, chciał więc zadbać o przyszłość córki... Gdybyś się pojawił, może miałabym męża nie tylko na trzy miesiące, i to męża, który mógłby mi się spodobać.

– Cóż... Stało się. A jeśli chodzi o nazwisko, to ja i mój brat musieliśmy je zmienić. Od chwili, gdy naszemu ojcu postawiono zarzuty, nazywamy się już tylko Valière.

– Tak, ale... – Sophie nachyliła się ku niemu, zniżając głos prawie do szeptu. – ...Ale jest coś takiego jak pamięć. Myślisz, że ludzie nie wiedzą,

## W cieniu gilotyny

kim jesteś naprawdę?

- Teraz jestem przede wszystkim żołnierzem - odparł równie cicho. - Ten mundur jest jak tarcza. Remy i ja służymy w wojsku jako ochotnicy, i to od pierwszego dnia, kiedy tylko zaczęło się to szaleństwo. - A potem dodał już trochę głośniej: - Skoro mowa o żołnierzach... Twój wuj, wielki generał Murat... Jak to możliwe, że w waszych żyłach płynie ta sama krew?

- Jest bratem mojej matki. Na pewno wiesz, że był hrabią de Custine, ale zrezygnował z tytułu. Moja matka pochodziła z arystokratycznego rodu, i dlatego można mnie było wydać za hrabiego de Vincennes.

- Czy twoja matka była podobna do swojego brata?

- Nie, pod żadnym względem, ani z wyglądu, ani z charakteru... - Zamilkła, niewątpliwie tę chwilę ciszy poświęcając matce. - Mama umarła, kiedy byłam małą dziewczynką, ale coś tam pamiętam. A przede wszystkim to, że przypominała mi anioła... Takiego anioła, o jakich czytałam w katechizmie.

Takiego jak ty, pomyślał André, wpatrując się w jej śliczną i delikatną, a teraz powleczoną smutkiem twarz.

- Nie wiem, czy w całej naszej rodzinie jest lub był ktoś podobny do wuja - dokończyła, dopijając też wino. - Nie mam się kogo o to spytać. Przecież oboje moi rodzice od dawna już nie żyją.

- Trzeba przyznać, że twój wuj nie ma łatwego charakteru - wyznał szczerze André. - Właściwie to nie wiadomo, kogo bardziej rani, czy wrogów, czy swoich.

- No cóż, uwielbia wszystkich trzymać żelazną ręką - skwitowała Sophie, podsuwając kieliszek kelnerowi, by nalał wina.

- Owszem. Wątpię, czy... - zaczął André i nagle zamilkł.

Bo któż taki wchodził do sali? Dwóch dobrze znanych żołnierzy w niebieskich mundurach, i to nie samych, lecz w towarzystwie dwóch młodych i pięknych kobiet. Remy i LaSalle. Remy prawie natychmiast wyłowił wzrokiem starszego brata. Uśmiechnął się, pomachał ręką, a po chwili cała czwórka pojawiła się przy ich stoliku.

- Czy mnie wzrok nie myli? Mój brat w restauracji w towarzystwie damy? Damy tak pięknej?

Remy złożył przesadnie głęboki ukłon, unosząc do ust dłoń Sophie i obdarzając ją nadzwyczaj promiennym uśmiechem, po czym zwrócił się do André, uśmiechając się już normalnie.

- Witaj, bracie!

- Witaj, Remy! - powiedział André przez zaciśnięte zęby. - Witaj, LaSalle.

- Widzę, że w końcu odnalazłeś nieuchwytną damę z balu jakobinów! - wypalił Remy ze znaczącym uśmiechem, obejmując wpół swoją towarzyszkę.

- Wybacz, Remy, ale właśnie mieliśmy zacząć jeść, a więc...

- A więc to dobry pomysł! Zanim się napijemy, warto wrzucić coś na ruszt.

Odsunął od stołu dwa krzesła dla dam, po czym usadowił się obok Sophie. LaSalle usiadł obok André, któremu chciało się po prostu wyc. Na szczęście Sophie wcale nie sprawiała wrażenia niezadowolonej. Przeciwnie, była po prostu rozbawiona.

## W cieniu gilotyny

– Niestety, ktoś zapomniał, że należałoby nas sobie przedstawić – powiedziała z miłym uśmiechem, zwracając się do dwóch nowo przybyłych kobiet. – Nazywam się Sophie...

Na co Remy zareagował wręcz dramatycznie:

– Och! Proszę wybaczyć mój skandaliczny brak dobrych manier! Sophie, pozwól, że przestawię. To piękna Henriette, dama LaSalle'a, a to...

– Ujął dłoń siedzącej obok niego czarnowłosej dziewczyny o piwnych oczach. – To Celine. Celine jest baletnicą.

– Baletnicą! – Sophie była tym faktem wprost zachwycona.

– Tak. Nazywają ją *Celine la ballerine*. – Remy ucałował jej dłoń. – Jak miło, że jesteśmy tu razem. Ja z Celine u boku, mój brat ze swoją... znajomą. Powinniśmy tu uczcić! – Skinął na kelnera i kazał przynieść butelkę najlepszego wina, po czym dokończył: – Zjeść też trzeba. LaSalle i ja dla naszych ślicznotek w dowód wdzięczności za miłe towarzystwo zamówiliśmy już małże.

– Małże? – Sophie zerknęła na André. – Wygląda mi to na dobry pomysł, prawda?

– Owszem. – Dla nich też zamówił małże, które niebawem pojawiły się na stole i wszyscy zajęli się pałaszowaniem morskich przysmaków w maśle i białym winie doprawionych czosnkiem.

W restauracji było ciepło i gwarno, a jedzenie smakowite, dlatego André, mimo wtargnięcia młodszego brata, poczuł się całkowicie odprężony. Bo co tam młodszy brat, skoro tak miło spędzać czas wraz z Sophie. Patrząc, jak razem z Celine i Henriette zaśmiewa się z głupich żartów Remy'ego i LaSalle'a, zającąc jednocześnie małże z wielkim apetytem. André gotów był wydać cały tygodniowy żołd, by zaspokoić podniebienie tej urzekającej istoty.

Było ich sześcioro, szybko więc opróżnili kilka butelek wina, a wtedy Remy na znak, że wreszcie napił się porządnie, głośno beknął.

Sophie zaśmiała się.

– Oj, Remy, Remy! Jeśli chodzi o maniery, nie dorastasz swemu bratu do pięt!

Remy zerknął na André i nagle spowaźniał.

– To prawda. Mój brat jest wzorem wszelkich cnót.

– Daruj sobie, Remy – zachnął się André.

Jednak młodszy brat nie miał zamiaru zamilknąć:

– Bo to prawda! Lepszego człowieka nie spotkasz! – powiedział, ale widząc, że brata żenują te pochlebstwa, zmienił temat. – LaSalle i ja mamy zamiar zabrać nasze damy na tańce koło Pigalle. Może wybieriecie się z nami?

André spojrział na Sophie, która nieznacznie pokręciła głową, i odparł:

– Nie. Dziś to niemożliwe.

– W takim razie innym razem zmusimy was do tego – oświadczył LaSalle. – Co się odwlecze, to nie uciecze.

A André nachylił się ku Sophie, naturalnie nie za blisko, był przecież po niejednym kieliszku wina i po małżach.

– Pozwolisz odprowadzić się do domu? – szepnął.

Sophie zerknęła na niego, a on, spoglądając na jej słodką twarz, na pięknie wykrojone i ciemnoróżowe od wina usta, pomyślał, że takiej kobiety nigdy jeszcze nie spotkał. Kobiety, której naprawdę nie można się



## W cieniu gilotyny

oprzeć.

– Sama nie wiem – odszepnęła. – Co ludzie powiedzą, kiedy zobaczą, że bez przyzwoitki chodzę po mieście w towarzystwie żołnierza?

– Lepiej, żebyś po tym oszalałym mieście chodziła w towarzystwie żołnierza nawet bez przyzwoitki. Odprowadzę cię pod dom i znikam. To wszystko.

Całą szóstką wyszli na dwór, pożegnali się i Remy ze swoim towarzystwem ruszył w jedną stronę, a André z Sophie w drugą. Szli powoli i w milczeniu brzegiem Sekwany, popatrując na rzekę, która w świetle ulicznych latarni wyglądała jak gigantyczny strumień z milionów diamentów. André zerknął też w górę na usiane gwiazdami niebo i aż westchnął z największego zadowolenia, że ma u swego boku Sophie. W ten wieczór już nie tak upalny, bo wiał przyjemny wietrzyk.

Kiedy doszli do niewielkiego drewnianego mostu, zaproponował:

– Może wejdziemy na most i popatrzymy na rzekę?

Sophie wzięła André pod ramię, weszli na most i stanęli przy barierze. Było już późno i przez most przechodził tylko jakiś mężczyzna. Był przygarbiony, głowę miał spuszczoną, czyli albo o czymś dumął głęboko, albo czymś się martwił. Na ich widok poderwał głowę. Był niewiele starszy od André, choć związane z tyłu brązowe włosy były już przyprószone siwizną. Sądząc po ubraniu – a także po bardzo poważnej twarzy – mógł być prawnikiem albo profesorem. Kiedy ich mijali, niechcący potrącił ramieniem André.

– Bardzo przepraszam – powiedział z akcentem, który zdradzał, że paryżaninem na pewno nie jest. I poszedł dalej.

– Ależ nic się nie stało – powiedział uprzejmie André, zauważając przy tym, że z kieszeni nieznanego wysunęła się karta wizytowa i opadła na ziemię. André podniósł zgubę i zawołał za odchodzącym: – Przepraszam, ale wypadła wam z kieszeni karta wizytowa!

Mężczyzna nie zareagował. Może był tak zamyślony, że nie usłyszał, albo nie zależało mu na tej karcie i bardzo się śpieszył. Zrobił jeszcze jeden krok, dwa i znikł w ciemnej ulicy, gdzie nie sięgały światła ulicznych latarni.

André spojrzął na kartę:

*Jean-Luc St. Clair. Prawnik Republiki Francuskiej.*

Ciekawe, pomyślał André, postukując palcami w barierę mostu, ale uznał, że szkoda czasu na rozmyślania o nieznanym człowieku. Schował kartę do kieszeni i podszedł do ślicznej towarzyszki. Na moście byli całkiem sami, wokół cisza, słychać było tylko cichy plusk Sekwany objijającej się o kamienne nabrzeże. A przed nimi cały Paryż spowity w aksamitną ciemność wieczoru, poznaczoną złocistymi plamkami światła ulicznych latarni i światła w oknach.

– Coś w tym jest, prawda? – spytała Sophie, popatrując to na rzekę, to na miasto. – Pamiętam, jaka byłam zachwycona, kiedy po raz pierwszy zobaczyłam Paryż.

– Ja też – przyznał André, doskonale pamiętając, jaki był oszołomiony, gdy po raz pierwszy zawitał do stolicy. Najbardziej uderzył go wszechobecny hałas, ta kakofonia głośnych dźwięków całkiem innych niż w jego rodzinnych stronach, czyli prowincji na północy Francji. A od tamtej chwili to piękne miasto wiele przeżyło. Zburzenie Bastylii, bieda,

## W cieniu gilotyny

brak chleba, grabieże i morderstwa... Westchnął, po czym powiedział: – Paryż nadal jest piękny, jakby miał za nic to, co się teraz dzieje. – Gdy smętnie pokiwała głową, dodał: – Och, zapomnijmy o tych wszystkich wielkich sprawach, Sophie, i choć przez chwilę czujmy się jak ludzie beztroscy i szczęśliwi.

Sophie znów pokiwała głową, tym razem skwapliwie.

– Oczywiście, André! – zawołała. – Wiesz, że kiedy po raz pierwszy przyjechałam do Paryża, myślałam, że nie zasnę, bo przez całą noc pod moim oknem słyszałam ludzi, którzy nieraz zachowywali się bardzo głośno. Rozhukanych studentów, skorych do bitki pijaków albo zakochane pary wracające z tańców. Pamiętam, że wtedy na mego wuja po prostu rzucałam wściekle gromy, bo tak bardzo chciałam wyjść z domu, pójść tu i tam, w końcu dzieckiem już nie byłam. A on mnie nie puszczał.

– Masz ochotę potańczyć? – Chwycił ją za rękę i zaczął się płynnie kołysać, jakby jego inspiracją była srebrzysta Sekwana. Zaczął też nucić piosenkę o innym moście, piosenkę, którą jego matka często śpiewała swoim synkom: – *Sur le pont d'Avignon, l'on y danse, l'on y danse...*

Sophie uśmiechnęła się.

– Piosenka o moście w Awinionie! – Jej oczy rozbłysły. – Oczywiście, że ją znam.

– Moja matka bardzo lubiła ją śpiewać.

– André, czy twoja matka... odeszła?

– Tak.

Sophie niewątpliwie chodziło o to, czy jego matka żyje, ale użyła słowa „odeszła”, więc odruchowo przytaknął, co było zresztą zgodne z prawdą. Bo odeszła. Wyjechała do Anglii i od roku nie miał od niej żadnych wieści. Ale nie miał zamiaru opowiadać Sophie o tym wszystkim, bo po co psuć ten piękny wieczór.

– Bardzo ci współczuję.

Gdy oparła głowę na jego ramieniu, serce André zabiło jak dzwon. Był pewien, że ona to słyszy.

– Sophie?

– Tak?

Przelknął, bo trochę się spieszył, ponieważ pytanie mogło zabrzmieć zbyt śmiało, ale trudno.

– Powiedz mi, czego pragniesz.

Uniosła twarz, spoglądając mu prosto w oczy.

– Sprecyzuj, co masz na myśli, dobrze?

André, spoglądając przed siebie, rozłożył szeroko ręce, jakby chciał objąć cały Paryż.

– O to, jakie ma to wszystko być. To miasto, ten naród. Po prostu nasze życie w tej rzeczywistości.

– Chcesz wiedzieć, co o tym myślę? Ciekawe. Jesteś pierwszą osobą, która właśnie o to mnie spytała.

– A więc?

– A więc... André, a czegoż to ja mogę chcieć? Chyba tego, czego pragnie większość z nas, czyli żyć jak człowiek wolny. Nie bać się niczego, nie mieć nad sobą żadnego bata. Mój bat to apodyktyczny wuj, a ja chciałabym żyć jak wolny człowiek może żyć w wolnym kraju. Czyli chciałabym kierować swoim życiem. Naturalnie założyć też rodzinę.

## W cieniu gilotyny

A jeśli kiedykolwiek będę miała córkę, na pewno wychowam ją całkiem inaczej, niż sama zostałam wychowana. I nigdy jej nie wydam za mąż w wieku czternastu lat! Nie sprzedam jej, jakby była jakąś rzeczą, nie zmuszę do poniżającego małżeństwa bez miłości. Nigdy! Moje życie uznam za udane, jeśli moja córka, gdy już będzie dorosłą kobietą, będzie mogła wyjść za mąż, kierując się głosem serca.

André chłonął każde słowo, bo czuł, jak niezmiernie ważne są te słowa. A kiedy Sophie zamilkła, powiedział:

– Czyli pragniesz życia wolnego od strachu i pełnego miłości.

– No tak... – Umknęła wzrokiem. – Wiem, że to, co powiedziałam, mogło zabrzmieć trochę głupio i naiwnie...

– Ależ skąd! – Ujął jej dłoń, spojrzał na Sophie prosto w oczy i rzekł z mocą: – Ani nie jest głupie, ani naiwne. Uwierz mi, doskonale cię rozumiem, bo pragnę tego samego.

Powoli pokiwała głową, pochylając ją przy tym. Było ciemno, ale André zauważył, że Sophie ukradkiem ociera łzę. Przez dłuższą chwilę nie odzywała się wpatrzona w jarzące się światłami miasto za rzeką.

– André... – zaczęła z westchnieniem. – Widziałeś kiedyś coś piękniejszego?

– Nigdy – odparł, wpatrując się nie w miasto, lecz w jej delikatny profil.

A ona spojrzała na niego wielkimi oczami koloru nieba, w których odbijały się światła latarni i gwiazd. Sprawiała wrażenie, jakby na coś czekała, wręcz zachęcała. A była przecież taka delikatna. André nie wyobrażał sobie, że ktokolwiek mógłby skrzywdzić tę kruchą istotę.

Ostrożnie wsunął palec pod jej brodę.

– Sophie...

– Tak, André?

Jeśli była zdenerwowana, to nie dawała tego poznać po sobie. Oświetlona poświatą księżycy twarz była idealnie spokojna.

A on wiedział tylko jedno. Musi ją pocałować. Po prostu musi.

Delikatnie objął dłońmi jej twarz.

– Czekałem na to osiem miesięcy, Sophie.

Jej uśmiech był tak promienny, wręcz połyskujący, jak wody Sekwany.

– A powiedziałeś, że odprowadzisz mnie pod dom i to wszystko!

– Owszem! Ale nie mówiłem, co może stać się, zanim pod ten dom dojdziemy...

Nadeszła jesień, a z nią chłodne dni i zimne noce. Zielone korony kasztanów i platanów przyobkleły się w czerwień i złoto. André, który nie wiedział, jak długo pozostanie w Paryżu, starał się spędzać jak najwięcej czasu z Sophie, wykorzystując każdą wolną chwilę.

W połowie października pewnego pięknego popołudnia odwiedził Sophie, która mieszkała w wynajętym mieszkaniu w kamienicy na wyspie na Sekwanie. Grali w szachy, i w tym pojedynku górą był André. Oboje zdawali sobie sprawę, że jego wizyty obarczone są wielkim ryzykiem, ponieważ Murat często tu zaglądał, nie mając przy tym zwyczaju się zapowiadać. Ale z pomocą zaofiarowała się Parsy, pokojówka Sophie, kobieta w starszym już wieku. Ustalił się zwyczaj, że gdy przychodził André, Parsy zasiadała przy oknie pokoju obok i wypatrywała generała, a gdyby się pojawił, miała podnieść alarm, by André zdążył przed jego

## W cieniu gilotyny

przyjściem wymknąć się kuchennymi schodami. Jak dotąd nie było takiej potrzeby, ale ostrożność nigdy nie zawadzi.

Tego dnia Parsy rozsiadła się przy oknie z robotą na drutach, a w pokoju obok za zamkniętymi drzwiami gościł André. Zamierzał pobyć u Sophie do siódmiej, potem umówiony był na kolację z LaSalle'em i kilkoma innymi oficerami.

– Jeszcze chwila i zabieram ci królową – oznajmił, wpatrując się w szachownicę.

– Królową?! – wykrzyknęła z oburzeniem Sophie. – Nie przystoi, kapitanie Valière. Obecnie ta kobieta jest obywatelką republiki!

– Jak zwał, tak zwał. W każdym razie kiedy ją wezmę, gra praktycznie będzie skończona.

– Trudno. Tylko błagam, nie wysyłaj jej na szafot.

– Dobrze, okażę jej łaskę, ale musisz za to zapłacić.

– Czym?

– Wiadomo. Słodkim pocałunkiem.

– Zgoda, ale lepiej zrobmy to od razu, bo jak mi zabierzesz obywatelkę królową, to będę tak wściekła...

– Skoro nalegasz...

André wstał z wyścielanego stolka i usiadł obok Sophie na kanapie obitej jedwabiem.

– Mam pewną propozycję. Nie zabiorę ci obywatelki królowej, ale zapłacisz wyższą cenę. Ile dajesz za to pocałunków?

Tylko się uśmiechnęła, a on już pochylił się nad nią. Kiedy ich usta się zetknęły, westchnęła cichutko, co jeszcze bardziej zwiększyło jego apetyt. Całował żarliwie. W Sophie podobało mu się mnóstwo cech charakteru i różnych szczegółów, w tym również – a może nawet najbardziej – to, że podczas pocałunków nie była bierna. Też całowała, i wcale nie były to ostrożne, powściągliwe buziaki. O nie, całowała namiętnie, co świadczyło, że pragnie go tak samo jak on jej.

Po namiętnych pocałunkach Sophie, prawie półleżąc, spojrzała wyczekująco na André. Intensywnie wyczekująco. On zaś, cierpiąc prawdziwe męki, przez moment ani drgnął, aż wreszcie pochylił się, spojrzał głęboko w niebieskie oczy i wyszeptał:

– Czy wiesz, że jesteś przepiękna?

– Wiem tylko dlatego, że mówisz to codziennie – odszepnęła, po czym ostrożnie dotknęła palcem blizny na policzku, śladu po szabli wroga spod Valmy. – Pamiętka po bitwie?

Pokiwał głową, podniósł jej rękę do ust i pocałował po kolei wszystkie palce. Potem jego wargi przylgnęły do obojczyka, przesunęły się ku ramieniu i dalej na szyję. Kiedy ponownie odszukał ustami jej usta, Sophie tak żarliwie odpowiedziała na pocałunek, że pomyślał, że jest to kobieta, która może doprowadzić mężczyznę do szaleństwa.

Żeby poczuć ciepło jej ciała, zdjął rajtrok. Sophie pomagała mu w tej czynności, a potem wzięła go za rękę i położyła jego dłoń na swojej piersi okrytej grubym materiałem sukni.

– Sophie? – szepnął André, jeszcze nie do końca pewien, czy nie przekracza zakazanej granicy.

Ale Sophie tylko mruknęła coś cicho, wyraźnie zawiedziona, że przestali się całować, w związku z czym André nabrał śmiałości i zaczął

## W cieniu gilotyny

przesuwać ręce w dół. Sophie znów mu pomagała, rozchylając fałdy sukni, by dłonie André zyskały swobodę działania. Kiedy ręka André – którym kierował już nie rozum, ale siły potężniejsze, czyli zew natury – wsunęła się wreszcie pod materiał i zaczęła delikatnie głaskać szczupłą nogę, Sophie westchnęła cichutko, przymknęła oczy i...

Drzwi do salonu rozwarły się gwałtownie. W progu stała zdyszana Parsy z poszarzałą twarzą, która natychmiast oblała się rumieńcem, kiedy leciwa służąca zobaczyła... to co zobaczyła.

André poderwał się i chwycił ciśnięty na podłogę rajtrok, a Sophie usiadła prosto jak świeca.

– Parsy? Wuj jest tutaj?!

– Nie, proszę pani, ale przyszedł list od niego.

Parsy istotnie trzymała w ręku złożony list, na którym zdecydowanym męskim charakterem pisma wypisany był nadawca:

*Generał brygady Nicolai Murat*

Kiedy André to przeczytał, czar prysł. Teraz była już tylko twarda rzeczywistość.

– Daj mi ten list, proszę.

Kiedy przełamała pieczęć z czerwonego wosku, zbladła, a kiedy skończyła czytać, list wysunął jej się z rąk. I zalała się łzami.

– Sophie! Co się stało? – zawołał zaniepokojony André.

Podniósł z podłogi datowany na szesnastego października 1793 roku list i go przeczytał:

*Republika Francuska uznała dawną królową, Marię Antoninę, za winną. Wdowa po obywatelu Kapecie oskarżona została o spiskowanie z wrogami republiki w celu obalenia rządu, a także o próbę ucieczki z więzienia, bezmyślne trwonienie nie swoich pieniędzy, cudzołóstwo, czyli spółkowanie z wieloma mężczyznami z królewskiego dworu, a nawet molestowanie syna, dawnego delfina, który wyznał ten haniebny grzech matki dozorczy więziennemu. Wyrok: ścięcie w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin.*

*Nie jesteś bezpieczna, moja siostrzenico. Żadna arystokratka nie jest bezpieczna. Przyjadę po ciebie niebawem, dotrę w ciągu godziny i zabiorę do mojego domu, gdzie będziesz pod moją najtroskliwszą opieką.*

*Oddany Ci*

*Wuj Nico*

List drżał w rękach André.

– Delfin wyznał to dozorczy więziennemu?! Niepojęte! Biednego dzieciaka na pewno postraszyli nożem, żeby wszystkiemu przytaknął!

Wstrząśnięta Sophie siedziała nieruchomo wpatrzona w podłogę. Kiedy André otoczył ją ramionami, uniosła zalaną łzami twarz i spytała drżącym głosem:

– Czyżby ten świat już do reszty oszalał?

André przytulił ją do siebie jeszcze mocniej. Tylko tak mógł odpowiedzieć. Ten wyrok oznaczał zerwanie ostatnich więzów z *ancien régime'em*. Jeszcze przed kilkoma laty ludzie wierzyli, że królowa jest namaszczoną przez Boga władczynią. A teraz królowej obcinają głowę.

Nie ma już monarchy, monarchini też wkrótce nie będzie. Kogóż więc będzie szkalować i skazywać Komitet i jego obłąkani stronnicy?

André jeszcze mocniej przygarnął do siebie Sophie, tym razem

## **W cieniu gilotyny**

próbując stłumić w sobie lodowaty dreszcz, który go zaatakował, kiedy uzmysłowił sobie, że ten dzień będzie pierwszym dniem w całej długiej historii, kiedy to Francja i francuski naród istnieć będą bez monarchy. A hrabina de Vincennes, czyli Sophie, w każdej chwili może zostać wtrącona do więzienia.

**CZĘŚĆ DRUGA**

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

### Paryż

Grudzień 1793 r.

Jean-Luc czuł, że coś jest nie w porządku. Bo to naprawdę dziwne, że Gavreau, jego przełożony, a przedtem mentor, nie został zaproszony na ulicę Saint-Honoré. A jeszcze dziwniejsze, że tylko on będzie mógł cieszyć się z tego spotkania, natomiast Gavreau, który poznał go z Merignakiem, został pominięty. Zastanawiające jest także to, że Gavreau nie otrzymał zaproszenia na żadne ze spotkań, w których Jean-Luc ostatnio uczestniczył, a było ich niemało. Po pracy spotykali się w kawiarni przy lampce wina, by porozmawiać o aktualnych sprawach sądowych, albo spacerowali po ogrodach Tuileries, by podyskutować o najnowszych aktach prawnych. Do tego dochodziły te wszystkie uprzejme gesty ze strony Merignaca, jak przysłanie butelki wina albo pudełeczka z tabaką, czy też liściku, a w nim parę miłych słów od Lazare'a...

Oczywiście Jean-Luc czuł się pochlebiony, że ktoś tak potężny i cieszący się powszechnym szacunkiem jak Lazare zwrócił na niego uwagę, jednak przełożonemu nie pisał o tym choćby słowa. Gavreau nie musiał o tym wiedzieć, tym bardziej że po godzinach pracy tracił zainteresowanie dyskusjami na tematy prawne i oddawał się rozkoszom życia, nic więc dziwnego, że nie brał udziału ani w wymianie korespondencji, ani w spotkaniach. Niemniej jednak Jean-Luc podczas regularnych już spotkań z Merignakiem, choć odczuwał zadowolenie i satysfakcję, to zarazem też dyskomfort, ponieważ szef został z tego wykluczony.

A teraz Merignac zamierzał zrealizować swój dawny zamysł i przedstawić Jean-Luca swemu patronowi, Guillaume'owi Lazare'owi. Dlatego w ten zimowy wieczór w odchodzącym już starym roku Jean-Luc stał na ulicy, przygotowując się psychicznie do spotkania z przywódcami Komitetu, czyli z grupą potężnych jakobińskich prawników, którzy za zamkniętymi drzwiami uchwalali prawo i dzierżyli ster władzy nad całą Republiką Francuską. Na to spotkanie zapraszał go sam Guillaume Lazare. Na spotkanie, w którym być może weźmie udział również Robespierre we własnej osobie.

Postać jeszcze chwilę i wreszcie ruszył przed siebie brukowaną ulicą Saint-Honoré, poznaną migotliwymi plamami świateł latarni. Przed drzwiami przystanął, by ogarnąć wzrokiem budowlę z brudną, zaniedbaną fasadą. Wyglądała na dawny klasztor, czyli była jedną z tych okazałych gotyckich budowli, które przez wieki służyły celom sakralnym, a teraz świeckim. Okna były brudne i ciemne, tylko w jednym pobłyskiwały oznaki życia. Tylko nikły płomyk świecy wskazywał, że właśnie tu zebrali się najpotężniejsi i najbardziej radykalni przywódcy rewolucji.

Na całej ulicy ani żywej duszy, dało się słyszeć tylko stukot kopyt dobiegający z pobliskiego zaułka. Jean-Luc jeszcze raz przemknął po ulicy spojrzeniem, po czym wszedł po dwóch schodkach prowadzących do



## W cieniu gilotyny

drzwi wejściowych. Tak jak pouczył go Merignac, zapukał powoli trzy razy: *Liberté, Égalité, Fraternité*. Czyli Wolność, Równość i Braterstwo. Zapukał, potem nieruchomy jak posąg odczekał w wieczornej ciszy kilka minut, a kiedy zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem nie pomylił się z datą albo godziną, klamka poruszyła się, zawiąsy skrzypnęły i ciężkie dębowe drzwi stanęły otworem.

Za progiem tuż przy ścianie stał mężczyzna niewielkiego wzrostu w skromnym czarnym szustokorze i białej peruce. Czyli lokaj.

– Dobry wieczór. Jestem Jean-Luc... hm... obywatel St. Clair, zaproszony przez Maurice'a Merignaca.

– Proszę poczekać – powiedział lokaj, nie patrząc mu w oczy, i znikł.

Jean-Luc zaczął rozglądać się dookoła, ale zobaczył niewiele, prawie nic, ponieważ paliła się tylko jedna świeca w kandelabrze koło drzwi wejściowych. Po kilku minutach lokaj wrócił i poprosił, by Jean-Luc poszedł za nim.

Więc poszedł za niewysokim lokajem, który przyświecał sobie świeczką i postukując obcasami, poprowadził go przez wielką sień, gdzie z lewej strony widać było kręcone schody wyścielone czerwonym aksamitem i nie było żywej duszy. Na samym końcu holu były drzwi, do tych lokaj doprowadził Jean-Luca. Bez słowa przekroczył próg, usunął się na bok i Jean-Luc wszedł do dużego pokoju z ciemną posadzką i ścianami wyłożonymi ciemną boazerią. U sufitu na środku wisiał wielki kandelabr, tworząc jasną przestrzeń. Pod ścianami było ciemniej, ale to tam właśnie, w rogu pokoju stał niewielki prostokątny i zasłany papierami oraz książkami stół, przy którym siedziało kilkunastu mężczyzn. Wyglądało to trochę dziwnie, jakby stronili od światła. Ale może spowodowane to było ich wyglądem, większość twarzy była bowiem kredowobiała od nadmiaru pudru, który kiedyś, w czasach *ancien régime'u*, kochali wersalscy dworzanie, a teraz pokochali ci, którzy tamtych, z *ancien régime'u*, skazywali na gilotyne.

Żaden z nich nie odezwał się ani do Jean-Luca, ani między sobą, ale kiedy lokaj zamknął za sobą drzwi, wszyscy jak jeden mąż spojrzeli na Jean-Luca. Dwanaście par oczu i dwanaście pustych spojrzeń. Aż wreszcie pierwszy otworzył usta Merignac:

– Obywatel St. Clair – powiedział, jako jedyny wstając z krzesła. – Dobry wieczór!

Przemierzył pokój i uściśnął Jean-Lucowi dłoń. Jego twarz też była obsypana pudrem, nic więc dziwnego, że wydał się Jean-Lucowi kimś obcym, a już na pewno nie tym Merignakiem, do którego już przywykł.

– Siadajcie razem z nami, obywatelu – powiedział, ściskając Jean-Lucowi dłoń. – Czekamy na obywatela Lazare'a. Wypoczywa, ale niebawem tu się pojawi. – Jakby był pewien, że przełożony rzeczywiście wkrótce się pojawi, podszedł do drzwi i otworzył je, po czym wrócił do Jean-Luca i podprowadził go do stołu, przy którym siedzieli członkowie Komitetu, prawie wszyscy w czerwonych czapkach rewolucjonistów.

Onieśmielony Jean-Luc najpierw spojrział na stół, na którym wśród grudek roztopionego wosku stał niewielki świecznik z wypalonymi prawie do końca świeczkami. A wśród porozrzucanych gazet, papierów i otwartych książek stała opróżniona do połowy butelka czerwonego wina. Merignac przedstawił go po kolei członkom Komitetu, a każdy

## W cieniu gilotyny

z nich powitał go przyciszonym głosem i przenikliwym spojrzeniem. Kiedy po prezentacji Jean-Luc zajął miejsce, Merignac postawił przed nim kieliszek i zwrócił się do zebranych:

– Obywatel St. Clair to znakomity umysł prawniczy. Na samym początku rewolucji przybył do Paryża z Marsylii i od ponad roku pracuje dla naszej młodej republiki.

Kilku mężczyzn pokiwało głowami, kilku z powrotem zagłębiło się w swoich papierach. Wciąż szeszony Jean-Luc poprawił się w swoim krześle.

– Jesteście zbyt łaskawi, Maurice – powiedział, zniżając głos. – To, co robię, to nic w porównaniu z zadaniami, które stoją przed zebranymi tu obywatelami. Tu przecież chodzi o wolność ludu, o przyszłość republiki.

Jakże więc ma się do tego spisywanie inwentarza mebli i dzieł sztuki, skonfiskowanych wtrąconym do więzienia arystokratom albo obrona ubogich wdów? Jean-Luc, wcale nie taki pewien, czy ma prawo zasiadać przy tym stole w domu przy ulicy Saint-Honoré, znów spuścił oczy i przy okazji zauważył, że szew na nogawce z boku puścił i zrobiła się dziura.

– Napijcie się wina, obywatelu? – spytał siedzący z lewej strony siwowłosy mężczyzna i stuknął palcem w butelkę. Siedział na wózku, który Jean-Luc jak dotąd widział tylko na rycinach. Mężczyzna przekręcił drążek z boku i podjechał trochę bliżej.

– Dziękuję. Z przyjemnością – odparł Jean-Luc, co dla jego uszu w tym cichym pokoju zabrzmiało zdecydowanie za głośno.

Siwowłosy mężczyzna nalał mu burgunda, po czym uniósł kieliszek i spojrzął na zebranych.

– Za republikę!

Kilku powtórzyło toast, podnosząc kieliszek do swych również upudrowanych warg. Jean-Luc żałował, że nie może spytać wprost, skąd u nich ten puder. Dlaczego członkowie demokratycznego komitetu hołdują modzie burbońskiego dworu? Naturalnie spytać nie mógł, chociażby dlatego, że wszyscy znów wsadzili nosy w papiery.

Trwało to dobrą chwilę, aż wreszcie Merignac wstał. Zrobił to nagle, a wszyscy pozostali poszli za jego przykładem. Zdezorientowany Jean-Luc poderwał głowę i odruchowo spojrzął w stronę otwartych drzwi, widąc więc było wielką sień i w oddali kręcone schody przykryte czerwonym aksamitem. Na ich szczycie stał niewielki mężczyzna. Było oczywiste, że to na jego widok jakobini zerwali się z krzeseł i zastygli. A on oparł rękę na poręcz i zaczął powoli schodzić na dół. Wyglądał na zdecydowanie najstarszego w tym gronie. Był stary i bardzo już kruchy. Można by pomyśleć, że jego kości są już tak cieniutkie, jak kosteczki ptaka. Stary i nieurodzliwy, co musiał przyznać w duchu nawet mężczyzna, czyli Jean-Luc. Jasne włosy związane miał z tyłu, starannie zaczesane, ale i tak w niewystarczającej ilości, by zakryć sporą łysinę. Twarz szara jak popiół, skóra cienka jak pergamin. Czoło szerokie, jasne oczy małe i głęboko osadzone. Jedną ręką trzymał się poręcz, w drugiej dzierzył coś czerwonego i okrągłego. Czyżby jabłko? Chyba tak. I schodził powolutku, jeszcze nie kierując spojrzenia na dwunastu jakobinów. I tego trzynastego, czyli Jean-Luca.

Obcasy zastukały. Szedł już przez wielką sień, a to jabłko w jego dłoni wydawało się nienaturalnie wielkie i czerwone. Widać było, jak

## W cieniu gilotyny

postukiwał palcami w gładką, lśniącą powierzchnię, a Jean-Luc zachodził w głowę, jakim cudem ów człowiek zdobył jabłko w Paryżu w środku zimy. On sam już nawet nie pamiętał, kiedy po raz ostatni zatopił zęby w tym nadzwyczajnym owocu.

Kiedy Lazare wszedł do pokoju, nikt nie odezwał się ani słowem, tylko Merignac złożył pełen szacunku ukłon i wskazał puste krzesło. A stary prawnik podszedł do stołu, stanął za tym krzesłem i kładąc dłonie na jego oparciu, uśmiechnął się. Dzięki czemu Jean-Luke zauważył, że na tle białej skóry zęby wydają się żółtawe.

– Witajcie, obywatele!

– Witajcie, obywatelu Lazare – odparli jakobini zgodnym chórem.

Jego spojrzenie spoczęło na Jean-Lucu.

– O! Nowa twarz – powiedział głosem łagodnym, niemal jedwabnym. – Czyżby obywatel St. Clair?

Jean-Luc zrobił głęboki wdech, ale nie zdążył otworzyć ust, bo ubiegł go Merignac:

– Tak, obywatelu Lazare. Pozwolę sobie przedstawić obywatela Jean-Luca St. Claira, radcę prawnego naszego rządu, bieglego w...

Merignac zamilkł, gdyż Lazare uniosł rękę i wpatrując się w Jean-Luca, spytał:

– O ile pamiętam, mówiono mi, że pochodzicie, obywatelu, z południa kraju. Czy tak jest w istocie?

Jean-Luc odchrząknął, po czym odparł:

– Tak, obywatelu Lazare. Pochodzę z wioski niedaleko Marsylii.

Lazare, unosząc rękę jak dyrygent, cichym i słabym głosem zanucił początek *Marsylianki*, nowego hymnu francuskiej rewolucji, a potem oznajmił:

– Z pewnością jesteście dumni, obywatelu St. Clair, że to wasze miasto dało francuskiemu ludowi pieśń, która zagrzewa do boju.

– Tak, obywatelu St. Clair.

– Też pochodzę z południa Francji, z okolicy Tulonu. – Gdy Jean-Luc kiwnął głową, obywatel Lazare dodał z westchnieniem: – Niestety, w tamtych stronach nic ciekawego się nie dzieje. Serce naszej rewolucji bije w Paryżu!

– Tak. – Jean-Luc ponownie pokiwał głową, powstrzymując się od uśmiechu. Bo i proszę, okazuje się, że obywatel St. Clair ma coś wspólnego z tak poważanym człowiekiem jak obywatel Lazare.

– Usiądźmy – powiedział Lazare, przemykając spojrzeniem po twarzach zebranych. Wszyscy usiedli z powrotem na krzesłach, poza Merignakiem, który przyniósł nową butelkę wina i napełnił kieliszki.

Lazare swego kieliszka nie tknął, tylko spojrzał na wielki kandelabr jaśniejący pod sufitem na środku pokoju, a potem skierował wzrok na stół oświetlony zaledwie kilkoma świeczkami.

– Zapewne chcielibyście, obywatele, wiedzieć, dlaczego naszych spraw nie załatwiamy pod tym rozjarzonym kandelabrem. Otóż dzieje się tak dlatego, że przed kilkoma dniami Komitet Bezpieczeństwa Powszechnego<sup>[5]</sup> na swoje miejsce spotkań wyznaczył salon po drugiej stronie sieni. O tam!

Wszyscy spojrzeli we wskazanym kierunku. Jean-Luc naturalnie też, ale niczego nie dojrzał, widział tylko przez otwarte drzwi ciemne okna

## W cieniu gilotyny

w wielkiej sieni wychodzące na ulicę Saint-Honoré.

– A obywatel Robespierre chce mieć ich na oku. Ja także – dokończył Lazare i zatopił zęby w jabłku, ugryzł i zaczął przeżuwać, a dźwięki wydobywające się wśród ciszy z jego ust wydawały się bardzo głośne. Przeknął, po czym zwrócił się ponownie do Jean-Luca: – Słyszałem, że pracujecie dla nowego rządu, obywatelu St. Clair.

– Tak.

Lazare uśmiechnął się i rozłożył szeroko ręce, jakby chciał objąć wszystkich zgromadzonych przy stole.

– A więc jesteśmy jak bracia!

– Istotnie – bąknął Jean-Luc.

– Mam nadzieję, że nie macie nic przeciwko temu, bym darował sobie głupie uprzejmości i powiedział szczerze, co myślę. Tym bardziej że czas nagli.

– St. Clair o polityce zawsze wypowiada się otwarcie – wtrącił Merignac.

Jednak Lazare, nie odrywając oczu od Jean-Luca, puścił to mimo uszu.

– A więc do rzeczy – powiedział z uśmiechem, ukazując żółte zęby na tle papierowej bieli twarzy, i ugryzł jabłko. – Pozwólcie, obywatelu, że zadam wam pewną zagadkę.

– Słucham, obywatelu Lazare.

– Powiedzcie mi, co jest najpotężniejszą siłą na tej ziemi. Jedyną siłą zdolną sprawić, by zniewolony przez tysiące lat lud wyrwał się z marazmu i powstał, odbierając życie swemu władcy? – Zamilkł na moment, przeżuując jabłko, po czym dokończył: – Jakież to szaleństwo może skłonić ludzi do tak przerażającego czynu?

Jean-Luc zastanowił się przez chwilę, po czym odparł:

– Nadzieja, obywatelu Lazare.

Lazare znów podniósł jabłko do białych ust, ale zanim nadgryzł, spoza tego jabłka uśmiechnął się.

– Zastanówcie się, obywatelu! Nadzieja? To uczucie wyższego rządu, a tu chodzi o najbardziej podstawową ludzką potrzebę, o coś, w imię czego człowiek gotów jest zabić, by samemu przeżyć.

– Może strach – bąknął Jean-Luc.

– Nie, ale jesteście już bliżej. Dobrze się zastanówcie. Powtarzam, chodzi o najbardziej podstawową ludzką potrzebę, która sprawia, że nowo narodzone dziecko płacze, gdy tylko pojawi się na świecie.

Jean-Luc przypomniał sobie pierwsze chwile po narodzinach Mathieu, kiedy Marie ostrożnie i czule przystawiała małego synka do piersi.

– Głód.

– Tak! Głód budzi w człowieku pierwotne instynkty. Pragnienie przetrwania. Napełnić brzuch, zachować swoją ziemię i narzędzia pracy. I kiedy ten kundel Kapet i ta żmija jego żona zajadali się truflami i figami z zamorskich krajów, za bramami pałacu biedni obywatele co wieczór wracali z pustymi brzuchami do swych nędznych nor, w których się gnieździli. Dni i lata mijały, cierpienie zrodziło gniew i nienawiść. Bo to głód rządzi nami wszystkimi. Tak już jest... – Znów nastąpiła króciutka przerwa na uszczknięcie kolejnego kawałka czerwonego jabłka, po czym Lazare spytał o coś innego: – Opowiedzcie mi, obywatelu, o waszej pracy.

Jean-Luc pochylił się do przodu, dyskretnie obciążając szustokor, który z tych emocji wydawał się stanowczo za ciasny, po czym odparł:

## W cieniu gilotyny

- Jestem prawnikiem zatrudnionym przez nowy rząd.

- To już wiemy od Maurice'a. A ja chciałbym wiedzieć, co teraz konkretnie robicie.

Jean-Luc odchrząknął i wyjaśnił:

- Robię spisy inwentarza majątku skonfiskowanego arystokratom i klerowi.

- Skonfiskowany?! - Lazare prawie prychnął. - Gotów jestem dyskutować z takim określeniem. Bo niby jakim prawem ta cała arystokracja stąpała po miękkich dywanach i jadła z najlepszej porcelany, kiedy inni nie mieli co do garnka włożyć? Ziemia należy do ludu i ludowi należy ją zwrócić!

- Oczywiście, obywatelu Lazare. Użyłem tego określenia, ale to wcale nie znaczy, że uważam, że zrobiono to niesłusznie. Ja...

- Spokojnie. - Lazare machnął ręką. - Przecież wiem, że reprezentujecie właściwe stanowisko. Wiem też, że wasza praca spotyka się z wielkim uznaniem.

Jean-Luc, słysząc tę pochwałę, naturalnie poczerwieniał. Zauważył też, że po niektórych twarzach przemknął ironiczny uśmiešek.

- Bardzo chciałem służyć rewolucji, obywatelu Lazare - oświadczył. - Dlatego podjąłem tę właśnie pracę.

- Rozumiem... - Lazare, też z uśmiechem na twarzy, po raz kolejny przemknął spojrzeniem po zebranych, po czym oczywiście nadgryzł jabłko. - Tak czy inaczej, po prostu ktoś musi ją wykonać. - Znów przerwał na moment. - A teraz powiedzcie mi szczerze, obywatelu, czy jesteście idealistą?

Jean-Luc odruchowo wyprostował się.

- Chcęcie wiedzieć, czy wierzę w ideały naszej rewolucji? Oczywiście, że tak. Wierzę w takie ideały jak wolność i równość.

- Czyli mamy wśród nas urzędnika idealistę - stwierdził Lazare, a mężczyźni zgromadzeni przy stole roześmiali się.

Jean-Luc odniósł nawet wrażenie, że kilku z nich omal nie wybuchło głośnym, wręcz niepohamowanym śmiechem.

Ale w spojrzeniu Lazare'a nie było cienia szyderstwa, tak jak i w jego słowach:

- Proszę wybaczyć, obywatelu St. Clair. Nie chciałem was urazić. To był tylko żart, przyznaję, raczej kiepski. A teraz powiedzcie mi, czy jak każdemu idealście znane są wam dzieła Jean Jacques'a Rousseau? Czy zgadzacie się z jego opinią, że jesteśmy tylko zrodzonymi z deprawacji nędznymi grzesznikami i że jesteśmy skłonni do czynienia zła, a niezdolni do czynienia dobra?

Do Jean-Luca, który starał się zebrać myśli, to ostatnie pytanie nie w pełni dotarło. Na szczęście Lazare wcale nie czekał na odpowiedź, tylko mówił dalej:

- A co z uczniem Rousseau, Thomasem Jeffersonem? Jestem pewien, że śledzicie, co się dzieje z rewolucją w Nowym Świecie.

Jean-Luc pokiwał głową, zerkając na kieliszek z winem. Jak dotąd nie wypił ani łyka, w końcu nie przyszedł tu się zabawić, a poza tym chciał, by podczas tej jakże ważnej rozmowy z obywatelem Lazare'em nic nie zmąciło jasności jego umysłu. Ale teraz doszedł do wniosku, że raczej nie ma powodu do obaw, by miał w tej dyskusji o polityce, a także o filozofii,

## W cieniu gilotyny

nie dotrzymać kroku. Oczywiście, że da radę. Nie bez powodu Marie często powtarzała, że on tymi sprawami się pasjonuje.

Wyprostował się i śmiało spojrzął w oczy obywatelowi Lazare'owi.

- Owszem. Znane mi są dzieła Jeffersona, a także Johna Adamsa, Thomasa Paine'a i naszego przyjaciela Benjamina Franklina.

- O! - Lazare uniósł znacząco dłoń. - Kilku najznamienitszych uczniów Oświecenia!

- Byłem wtedy jeszcze bardzo młody i zajęty nauką, ale z zapartym tchem śledziłem przebieg wydarzeń w dawnych brytyjskich koloniach, ich rewolucję.

- Moim zdaniem buntownicy w Ameryce niesłusznie otaczani są aż tak wielką ciężą - beznamiętnym głosem stwierdził Lazare. - Początek był bardzo obiecujący, jednak nie sprościli swemu zadaniu.

- Pod jakim względem? - spytał Jean-Luc, który uzmysłowił sobie, że w rozmowie oprócz niego i obywatela Lazare'a nikt więcej nie uczestniczy. Pozostali, popijając wino, tylko się przysłuchiwali, spoglądając na Jean-Luca tak bardzo przenikliwie, że miał wrażenie, jakby znalazł się przed ławą przysięgłych.

- Nie odnieśli całkowitego zwycięstwa.

Czyżby? Zdezorientowany Jean-Luc zmarszczył brwi. Bo jakże to? Przecież amerykańscy buntownicy wywalczyli wolność dla siebie i swego narodu!

Lazare, spoglądając na mizerne resztki pięknego jabłka, dyskretnie oblizwał wargi.

- Uważam, że Amerykanie mają swoją własną despotyczną arystokrację i gdyby dysponowali narzędziem doktora Guillotina, skwapliwie by z niego skorzystali. I to nader często - dodał po chwili.

- Z pewnością - odparł Jean-Luc. - Według mnie w rewolucji amerykańskiej najbardziej zadziwiającym jest fakt, że gdy odniesiono dość niespodziewane, ale ostateczne zwycięstwo, główny przywódca zszedł z areny politycznej i zaszył się w swojej posiadłości.

- George Washington. - Lazare cicho westchnął. - Zawsze go podziwiałem.

- W Ameryce niepodzielne rządy króla zastąpiono prawdziwą republiką - dodał Jean-Luc, zaskoczony, że Lazare nie podzieliła jego entuzjazmu. - Nie uważacie, że byłoby rozsądne wyciągnąć wnioski z ich nieprawdopodobnego sukcesu?

Lazare wrzucił ramionami.

- Jedyne, co dobre w rewolucji amerykańskiej, to... - Przeknął ostatni kawałek czerwonego jabłka. - Jest to, że nie mieli na karku wrogo nastawionych władców sąsiadujących z nimi ze wszystkich stron krajów! Przeciwnie, nasz zmarły król Ludwik wykonał za nich co najmniej połowę roboty, a my wszyscy zapłaciliśmy za to sownie.

- Zaraz... - Jean-Luc zastanawiał się przez chwilę. - Był taki władca, który przekroczył ich granice i zagrażał rewolucji. To oczywiście król Jerzy. Na pewno zgodzicie się, że imperium brytyjskie stanowiło realne zagrożenie.

- Owszem, ale my mamy na karku wojska pruskie, austriackie, hiszpańskie i całą militarną siłę tej przekłętą Anglii, i te wszystkie armie, które tylko czekają, by najechać na nas i zdławić rewolucję. By zaś

## W cieniu gilotyny

skutecznie stawić czoła wrogom atakującym zza naszych granic, w pierwszym rzędzie musimy się pozbyć wrogów w naszym kraju. Tych, którzy kryją się wśród nas. – Lazare nachylił się ku Jean-Lucowi i dodał prawie szeptem, jakby opowiadał bajkę zasypiającemu dziecku, i może dlatego zabrzmiało to aż tak wyraziście: – Wilk, który czai się pod twoimi drzwiami, jest mniej niebezpieczny niż ten, który śpi pod twoim łóżkiem.

Na dłuższą chwilę zapadła cisza, aż wreszcie Lazare dokończył swoją myśl:

– Dlatego nasza ojczyzna musi zostać oczyszczona ze zdrajców, nie tylko arystokratów, ale i innych. Kiedy przyświeca nam już światła myśl, nie wolno nam dopuścić, by przewrotni i pełni złych intencji ludzie poprowadzili nasz kraj z powrotem ku ciemności. Dlatego, jak zapewne wicie, trzeba było zabić Ludwika i Marię Antoninę. Dopóki żyli, byli symbolem i potężną inspiracją dla naszych wrogów działających zarówno we Francji, jak i poza granicami. Dla nikczemników, którzy chcieli przywrócić tron tyranowi i austriackiej żmii szpiegującej dla swych pobratymców z Wiednia. – Lazare machnął ręką tak, jakby odganiał od siebie natrętą muchę. – Trzeba było się ich pozbyć, bo tylko krew Kapetów zmyje grzechy długich wieków rabunku, ucisku i upokorzenia, i wreszcie nastanie nowa era, gdyż rozum zatrumfuje nad bałwochwalstwem, postęp nad feudalnym prawem dziedziczenia i kumulowaniem dóbr w rękach nielicznych, oświecenie nad klerykałno-sredniowiecznym mrokiem.

Kilku mężczyzn stuknęło pięściami w drewniany blat stołu na znak całkowitej aprobaty dla tych poglądów.

Jednak Jean-Luc nie przyłączył się do nich, o czym jeszcze dobitniej świadczyła jego wypowiedź:

– Jesteście prawnikiem, obywatelu Lazare, i zapewne zgodzicie się, że zanim wymierzy się najwyższą karę, należy przeprowadzić uczciwy i sprawiedliwy proces.

– A może... – zaczął Merignac.

Ale szybko zamilkł, bo Lazare rzucił takie spojrzenie, jakby chciał pogrozić mu palcem.

– Nie, nie, Merignac, ta rozmowa mi się podoba. – Spojrzał na Jean-Luca z uśmiechem. – Bo w tym gronie bardzo rzadko ktoś tak otwarcie coś kwestionuje.

Co dla Jean-Luca zabrzmiało co najmniej dziwnie. Bo czyż nie był to Komitet, powołany przez Konwent Narodowy w celu prowadzenia debaty politycznej, która umożliwi stworzenie rozwiązań kompromisów, a więc najbardziej korzystnych dla nowego narodu?

Lazare położył ogryzek na stole, rozsiadł się wygodniej i dodał:

– Mówiłem wam już, obywatelu St. Clair, że podobnie jak wy pochodzę z południa Francji.

– Tak, obywatelu Lazare, z Tulonu.

– Zgadza się. Moja matka była pokojówką. Głupią, młodą dziewczyną, którą spotkało podwójne nieszczęście, była bowiem bardzo ładna, ale siły woli jej brakowało. A na domiar złego spodobała się wicehrabiemu, swemu chlebobdawcy.

Jean-Luc zmarszczył czoło, zaskoczony, że słyszy tak szczere słowa od kogoś takiego jak Guillaume Lazare. On zaś, wpatrując się w niego

## W cieniu gilotyny

nieruchomym wzrokiem, spytał:

– Może już słyszeliście, że jestem bękartem?

– Może... – niepewnie odparł Jean-Luc. – Choć wcale nie uważam, że powinienem...

– Po co ten rumieniec, obywatelu! W ogóle się nie wstydzę, gdy wam to wyznaję, a wy nie musicie się rumienić, zapewniam. W końcu to nie była wina mojej biednej matki, że kiedy miała zaledwie piętnaście lat, uwiódl ją arystokrata, w konsekwencji czego urodziła mu dziecko. Trudno też winić mego ojca, cieszącego się powszechnym szacunkiem wicehrabiego, że wolał, żebym był od niego z daleka. Najpierw oddano mnie mamce, potem posłano do szkoły parafialnej. Mój ojciec nie życzył sobie, bym kiedykolwiek pokazał mu się na oczy, nigdy też nie wolno mi było zobaczyć mojej biednej matki, którą na pewno dalej wykorzystywał jak kłacz rozplodową, ponieważ jego wiecznie niedomagająca żona nie witała go w swoim łóżu z radością. Nie wiadomo więc, ile moich siostr i braci z nieprawego łóża zaludniło południową Francję.

Ostatnia paląca się świeczka zaskwierczała, definitywnie kończąc swój żywot. Ta chwila ciemności była Jean-Lucowi na rękę, mógł bowiem przetrwać to, co właśnie usłyszał, natomiast Merignac zawołał lokaja, który wynurzył się z ciemności, zapalił nowe świeczki i dołał wina.

Lazare, podnosząc kieliszek do ust, spojrzał na Jean-Luca i spytał:

– Co wy na to, obywatelu St. Clair?

– Szczerze współczuję waszej matce, obywatelu Lazare, że jej się nie powiodło w życiu – odparł po chwili zastanowienia, starannie dobierając słowa. – I wam, bo też z tego ucierpiełście powodu. – Gdy Lazare w milczeniu pokiwał głową, wyraźnie oczekując dłuższej wypowiedzi, Jean-Luc kontynuował: – Moim zdaniem arystokracja popelnia przestępstwa, krzywdząc lud. – Dobrze znał ten temat choćby z postępów markiza w sprawie wdowy Poitier. – Ale nie powinno się generalizować. Wśród arystokracji, podobnie jak wśród ludu, są ludzie dobrzy i źli. Są też tacy, którzy nie są ani dobrzy, ani źli...

– Nieprawda! – Pięść Lazare'a uderzyła o dębowy blat, a głos po raz pierwszy podczas tej rozmowy nie był niżony. Nic dziwnego, że Jean-Luc drgnął, ale oczywiście się nie odezwał, by Lazare mógł się wypowiedzieć: – Francuska arystokracja od wieków żyje w swoim własnym świecie, tracąc wszystkie cnoty, tracąc człowieczeństwo! – zagrmiał wzburzony, po czym zamilkł, by zapanować nad sobą. Kiedy znów się odezwał, głos miał już normalny, ale jego wzrok nadal płonął. – Człowiek, który urodzi się w zamku pełnym służących i spędza tam całe życie, człowiek, który ma wpojone, że nigdy nie pobrudzi sobie ręk jakąkolwiek pracą, inny być nie może. Taki człowiek jest głęboko przekonany, że każda spódnica, jaka przemknie przed jego upudrowanym nosem, na jego życzenie ma być uniesiona. Dla każdego, kto wyrośnie w takich warunkach, człowiek niżej urodzony jest zerem i w jego oczach nikim więcej stać się nie może. Arystokracja zamiast świecić przykładem, pławi się w rozrzutności, rozpuszcie i wykorzystywaniu innych!

– A Lafayette? Przecież jest markizem – zaoponował Jean-Luc. – Wyrekl się bogactwa należnego mu z racji urodzenia i wyjechał do Ameryki, by wziąć udział w ich rewolucji, czego omal nie przypłacił życiem. Przecież naszą Deklarację Praw Człowieka i Obywatela



## W cieniu gilotyny

zawdzięczamy właśnie jemu, oraz oczywiście Thomasowi Jeffersonowi, z którego pism tak wiele zapożyczyliśmy.

- Lafayette? - Głos Lazare'a stał się ostry jak brzytwa. - Zadufany w sobie dandys i zdradca, który pokazał prawdziwe oblicze, kiedy próbował ocalić życie Ludwika i Marii Antoniny. Gdyby został we Francji, też byśmy go posłali na gilotynę, ale uciekł jak szczur z tonącego okrętu.

Jean-Luc przełknął, czując, jak bardzo nierozsądne byłoby dalsze wstawianie się za markizem, który został okrzyknięty wrogiem ludu. Nie odzywał się więc, a Lazare mówił dalej znów podniesionym głosem:

- Mówicie, obywatelu, że arystokrata też powinien mieć rzetelny proces. A czy moja matka w ogóle miała jakiś proces, zanim skazano ją na haniebne życie w zniewoleniu? Czy ja miałem uczciwe procesy, zanim skazywano mnie na chłosty, jakimi raczono mnie w strasznej szkole, do której posłał mnie mój ojciec wicehrabia? - Nagle Lazare uśmiechnął się. - Nie! Bo do procesu ma prawo tylko człowiek wolny! A wracając do arystokracji, to ci wszyscy książęta i hrabiowie praw nie mają już żadnych, bo to wszyscy bez wyjątku obarczeni ciężką winą przestępcy, ponieważ służyli staremu porządkowi, który my, jako ludzie wolni, unicestwiliśmy. - Wypił duży łyk wina, które na tle białej jak papier twarzy było olśniewająco czerwone, a przy stole zapadła cisza jak makiem zasiał. Dopiero Lazare ją przerwał: - Już późno, a ja zająłem wiele czasu trudnymi sprawami... Któraż to już godzina? - spytał, spoglądając na Merignaca.

Jean-Luc nie miał pojęcia, ile czasu minęło od chwili, gdy wszedł do dziwnego mrocznego pokoju, w którym zastał milczących mężczyzn o białych twarzach.

- Już niebawem dziesiąta, obywatelu Lazare - odparł Merignac.

- Cóż... Podczas gorącej dyskusji czas szybko mija - skomentował Lazare głosem dla odmiany pogodnym, wręcz radosnym. - Muszę już was opuścić, obywatele. Maximilien nie powinien czekać.

Maximilien? Jean-Luc drgnął, bo niewątpliwie chodziło o Robespierre'a.

- Obywatelu St. Clair! - Lazare spojrział na niego ponad stołem. - Mam nadzieję, że nie czujecie się przytłoczeni naszą gorącą dyskusją. A była potrzebna, bo w ten sposób poznaję drugiego człowieka, jego charakter i jego ideały, naturalnie o ile je ma. Była to więc dla was ogniowa próba, podczas której nieźle się sprawiliście, naprawdę całkiem nieźle. Nawet powiem więcej: nasza dyskusja bardzo mi się podobała. Maurice i inni moi protegowani co i rusz chcą mi przedstawiać kolejnych młodych i bystrych ludzi, a ja im mówię, że owszem, spotkam się z tym kimś, ale tylko raz. A czy następny raz też będzie, to już zależy od tego młodzieńca. A wy, jak powiedziałem, przeszliście przez tę próbę ognia.

- Dziękuję. - Jean-Luc skinął głową.

Cienkie wargi Lazare'a rozciągnęły się w uśmiechu.

- Słyszałem od Maurice'a, że mieszkacie na lewym brzegu Sekwany.

- Tak, obywatelu Lazare.

- Jak wróćcie do domu?

- Na piechotę, obywatelu.

- Nie, nie. Jadę tam, żeby spotkać się z obywatelem Robespierre'em i miło mi będzie, jeśli skorzystacie z mojego powozu.

- Nie chciałbym sprawiać wam kłopotu...

## W cieniu gilotyny

– Żaden kłopot. – Lazare machnął kościstą ręką. – Przynajmniej to mogę zrobić dla młodego urzędnika idealisty, który pilnie spisuje meble i srebra dla naszej republiki. – Wstał z krzesła, długimi cienki palcami wyglądając szustokor. – A wy, obywatele, wracajcie do pracy. Nie musicie przypominać, że nasi żołnierze walczą, nasz lud głoduje, a wrogowie są wśród nas. I świat na nas patrzy.

Lazare wyglądał przez okno, jego pociągła twarz podskakiwała w zgodnym rytmie z powozem jadącym po zaśnieżonym bruku. Milczał, więc milczał również Jean-Luc. Dopiero gdy zbliżali się do jego domu, Lazare spojrzął na Jean-Luca. W powozie było ciemno, blade usta i jasne brwi starego prawnika na tle nienaturalnie białej twarzy były prawie niedostrzegalne.

– Mówiłem szczerze, St. Clair.

– Przepraszam, ale co?

– Że doceniłam naszą ożywioną dyskusję. Żaden z waszych poprzedników nawet jej nie podjął. Jakby... – Lazare westchnął. – Jakby się mnie bali, ot co!

Jean-Luc pomyślał, że miałby prawo wybuchnąć głośnym śmiechem. Przecież to oczywiste, że wszyscy się bali potężnego Lazare'a, i były ku temu słuszne powody.

– Natomiast wy podjęliście dyskusję, co jest godne pochwały – ciągnął Lazare. – Mam nadzieję, że będzie jeszcze ku temu okazja. Bardzo lubię wyzwania. – Znów odwrócił się do okna.

Ponownie nastała chwila milczenia, aż Jean-Luc stwierdził:

– Powinieniem tu wyjść.

Stangret zatrzymał konie, a Jean-Luc odruchowo spojrzął w górę, na okna mansardy. Paliło się światło, więc dostrzegł przemykającą kobiecą postać. To Marie biegła za Mathieu, próbując nakłonić go, by wreszcie poszedł już spać.

Gdy lokaj otworzył drzwi, ku wielkiemu zdumieniu Jean-Luca pierwszy z powozu wysiadł Lazare. Jean-Luc wysiadł więc za nim i przez chwilę stali w milczeniu na zasypanej śniegiem ulicy.

Lazare, z twarzą oświetloną przez uliczną latarnię, uśmiechnął się, a kiedy zaczął mówić, koło ust pojawiła się biała mgiełka:

– Mam nadzieję, że odnieśliście jakiś pożytek z naszej rozmowy.

– Naturalnie, obywatelu Lazare. Spotkanie z wami to dla mnie wielki zaszczyt.

– Wierzę, że wróćcie do nas, i to niebawem. Wasze uzdolnienia i umiętności powinniście wykorzystać w pełni i dla swojego dobra, i dla dobra naszego narodu, a ja mógłbym wam znaleźć o wiele ciekawszą pracę.

Jean-Luc z trudem powstrzymał się od pełnego zadowolenia uśmiechu.

– Jesteście dla mnie zbyt łaskawi, obywatelu.

– Zasłużyliście na pochwałę, obywatelu St. Clair. I jestem pewien, że marzycie o tym, by osiągnąć coś więcej.

– Tak... – wyjąkał Jean-Luc, przestępując z nogi na nogę. Bo owszem, był zadowolony, ale zarazem też speszony. – Bardzo wam dziękuje, że okazaliście zainteresowanie moją przyszłością.

Naturalnie, że był gotów choćby w tej chwili opuścić departament, gdzie

## W cieniu gilotyny

jego zadaniem było spisywanie mebli, i zabrać Marie oraz Mathieu z tej brudnej dzielnicy, a obywatel Lazare niewątpliwie może w tym pomóc.

On zaś, zapatrzony w dal, sprawiał wrażenie, jakby błędził gdzieś myślami, zaraz jednak odezwał się:

- Jeśli chodzi o mnie, to być może wkrótce osiągnę swoje największe zwycięstwo. Jeśli uda mi się upokorzyć właśnie jego, to będę już wiedział, że byłbym w stanie ukrzyżować samego Chrystusa.

Co za dziwna deklaracja. Jean-Luc zmarszczył czoło, po czym spytał:

- Naprawdę powiedzieliście, że samego... Chrystusa?!

Lazare powoli odwrócił kamienną, całkowicie pozbawioną wyrazu twarz.

- Gotów jestem zniszczyć każdego, kto wierzy w co innego – odparł cicho. – Król to dopiero początek, po nim przyjdą inni. – Jego oczy rozbłysły.

Jean-Luc chyba jeszcze nigdy nie widział w czyimś spojrzeniu tak wiele żarliwości.

W tejsze chwili usłyszał dziecięcy głosik:

- Tatusiu!

Poderwał głowę i ku swemu największemu przerażeniu zobaczył w uchylonym oknie twarzyczkę synka.

- Mathieu! Proszę natychmiast odejść od okna! Nie wolno ci się wychylać! Nie wolno!

- Tak, tatusiu! – odkrzyknął grzecznie chłopczyk, nie ruszając się z miejsca.

- Idę już na górę! – zapowiedział surowym głosem Jean-Luc, a potem zawołał o wiele głośniej: – Marie! Marie!

I prawie natychmiast usłyszał łagodny głos żony:

- Chodź do mamy, kochanie. Zapomniałaś, co mama ci mówiła o wyglądaniu przez okno?

Twarzyczka chłopczyka znikła, a po chwili znów słychać było, jak Marie przemawia czule do synka, który coś odpowiadał, zanosząc się ze śmiechu. Jean-Luc bardzo chciał jak najprędzej być już razem z nimi.

- Ładny chłopczyk – powiedział Lazare, również wpatrzony w okno. – Wasz syn?

- Tak. Na szczęście podobny do matki.

- Czyli matka musi być prawdziwą pięknoscią!

Dziwne, bo słowa były miłe i uprzejme, a jednak zdrzął i wsunął ręce głębiej do kieszeni szustokora. I wcale nie był pewien, czy ten lodowaty dreszcz to sprawka mroźnego grudniowego powietrza.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

### Paryż

Luty 1794 r.

Młodszy brat leżał wygodnie na plecach na łożku w kwaterze starszego brata w dzielnicy Saint-Paul. Starszy brat siedział przy stole i pisał list do matki, chociaż obaj nie mieli pojęcia, czy ten list kiedykolwiek do niej dotrze, skoro od ponad roku nie dała żadnego znaku życia. André był tym faktem bardzo zaniepokojony, starał się jednak nie zdradzać z tym przed młodszym bratem.

– Nie, nie będziemy jej powiadamiać o tym, że ponownie wysyłają nas na front – powiedział po chwili, maczając pióro w inkauscie.

Remy zgodził się z tym całkowicie, więc André dodał jeszcze wyrazy synowskiej miłości, i list był gotów. Osuszył go bibułą i odczekał chwilę, by inkaust wysechł do końca, po czym złożył kartkę, opatrzył ją pieczęcią i można było wysłać list do Londynu pod adres, z którego przed wieloma miesiącami przyszedł ostatni list od ich matki.

– André? – Remy zmienił pozycję, przekręcając się na bok i podpierając na łokciu. – Jak myślisz, czy jak już tam się znajdziemy, będziemy mieli okazję zobaczyć tego małego kaprala?

– Chodzi ci o Napoleona Bonaparte? – spytał André, zajęty zapalaniem drugiej świecy, bo zapadał zmierzch i w pokoju robiło się coraz ciemniej.

– Tak. Podobno bardzo się różni od pozostałych generałów. Poza tym jako jedyny z naszych dowódców pokonał Anglików, zmuszając ich do wycofania się z naszych ziem. Podobno jest o wiele lepszy niż ta cała reszta! – Remy był wyraźnie podekscytowany. – Marzę o tym, by go zobaczyć.

– Jestem pewien, że ty i ja go zobaczymy, choć będziemy stacjonować w różnych miejscach. Ty masz większe szanse, Remy, bo Bonaparte też jest z artylerii.

– Tak... Ty będziesz w Nicei, ja w Saorgio. Czy to daleko od Nicei?

– Wiem tylko, że Nicea jest niedaleko granicy z Piemontem, nie sądzę więc, żeby była bardzo oddalona od Saorgio.

– Ciekaw jestem, jakie są Włoszki.

– Wkrótce się dowiesz. Co do tego nie mam żadnych wątpliwości! – rzucił ze znaczącym uśmiechem André, a Remy usiadł na łożku, bo ktoś zapukał do drzwi. – Proszę wejść! – zawołał André, wstając z krzesła. Drzwi otwarły się i do pokoju weszła – nie, wsunęła się – szczupła kobieta, otulona w ciemnoniebieski redingot<sup>[6]</sup>.

– Sophie?! – zawołał André.

Był zachwycony jej widokiem, a jednocześnie bardzo zaskoczony, ponieważ Sophie nigdy jeszcze nie złożyła mu wizyty. Poza tym trochę zawstydzony, bo była tu po raz pierwszy, a w pokoju, mówiąc delikatnie, nie panował wzorowy porządek. Ale Sophie patrzyła tylko na niego. I widać było, że bardzo czymś się martwi. Brakło też jej tchu, więc musiała biec.

## W cieniu gilotyny

– André... – wydyszała i osunęła się w jego ramiona.

Objął ją jedną ręką, a drugą zsunął kaptur z jasnych loków, żeby lepiej widzieć twarz. Oczy nie były mokre od łez, ale w spojrzeniu czaił się lęk.

– Sophie, co się stało? Mieliśmy spotkać się później.

– Tak! Ale muszę ci coś powiedzieć, i to natychmiast!

– O co chodzi?

– O generała Kellermanna! Mój wuj zadenuncjował go Konwentowi Narodowemu i generał jest już formalnie oskarżony.

Ta wieść spadła na André jak grom z jasnego nieba. Niemal nie zauważył, że koło nich pojawił się wzburzony Remy.

– Kellermann?! – zawołał. – Przecież to absurd! Nikomu do głowy by nie przyszło podawać w wątpliwość jego lojalność...

– A jednak stało się! Robespierre podpisał nakaz aresztowania i generała uwięziono w Tempie.

– O co go oskarżono?

Sophie zagryzła wargi, potem wyrzuciła z siebie jednym tchem:

– Mój wuj opowiedział im o pewnej rozmowie, która miała miejsce ponad rok temu. Podobno generał Kellermann, wspominając o dawnym królu... wcale nie nazywał go obywatelem Kapetem. Tak jak należy...

– Sophie, przecież komu jak komu, ale nam możesz zaufać – powiedział André, kładąc dłoń na jej ramieniu. – Nie musisz uważać na każde słowo.

– Tak, tak, wiem... A w tej denuncjacji wuj użył dawnego tytułu Kellermanna!

– A niech to! – sarknął Remy. – Z powrotem zrobił go hrabią, przez co Kellermann stał się winny z racji szlacheckiego urodzenia.

– Przecież twój wuj sam pochodzi z arystokracji! Co za hipokryzja! – André zmełł w ustach przekleństwo i już tylko wymamrotał: – Czyste szaleństwo... szaleństwo...

– Tak, szaleństwo. – Sophie pokiwała głową. – Ale wuj oskarżył go nie tylko o to. Podobno Kellermann był nastawiony krytycznie do decyzji kilku członków Komitetu dotyczących bitwy w Nadrenii. Jednemu z członków Komitetu zarzucił, że wtrąca się do spraw wojskowych i nazwał go głupim jakobińskim sztubakiem.

André cicho przychrzął i zaczął przemierzać pokój, nerwowo przeczesując włosy.

– Jeśli nawet tak powiedział, to w ferworze bitwy, gdy z powodu ingerencji nieznaną się na rzeczy durni mogą zginąć ludzie! Każdy generał, przygotowując się do bitwy, powinien oprzeć się na własnym doświadczeniu, a nie słuchać rozkazów przemądrzałych prawników, co to prochu nigdy nie wachali, tylko siedzą wśród ksiązek w Paryżu!

– Wszyscy prawnicy, z jakimi miałem do czynienia, to najgorsze kanalie – oświadczył Remy. – I teraz to oni rządzą Francją!

– Kellermann podobno kwestionował decyzje Komitetu nie tylko w sprawach wojskowych – powiedziała Sophie.

– A w jakich jeszcze? – spytał Remy.

Sophie milczała, jakby bała się wyznać prawdę, jednak przemogła się, ale mówiła tak cicho, że André ledwie ją słyszał:

– Powiedział wujowi, że jego zdaniem decyzja o ścięciu króla i królowej nie była słuszna.

– I co z tego?! – wybuchnął André. – Przecież rozmawiał z przyjacielem,

## W cieniu gilotyny

z kimś, kogo darzył zaufaniem!

– A wuj powtórzył to Komitetowi... – Sophie bezradnie potrząsnęła głową.

Natomiast André zacisnął pięści. Był wściekły, gdyby teraz natknął się na Murata, mógłby go udusić.

– Przecież to absurd! Nawet jeśli Kellermann istotnie to powiedział, nie można tego udowodnić!

– Czy dziś potrzebne są jakieś dowody? – Sophie westchnęła. – Sami widzieliście, do czego doprowadził dekret o podejrzanych. Chyba nie łudzi się, André, że wszystkim tym kobietom i mężczyznom prowadzonym na gilotynę udowodniono winę!

– Nie, nie łudzę się... A jeśli chodzi o Kellermanna, to widać gołym okiem, że wszystko jest ukartowane. Kellermann zdoła oczyścić się z zarzutów.

Jednak Sophie nie podzielała jego optymizmu.

– Nie wiadomo, jak to się potoczy, André – powiedziała, kładąc dłoń na jego ramieniu. – Tak mi przykro, bo wiem, jak bardzo podziwiasz generała.

– Tak! Jestem pewien, że znajdzie dobrego prawnika, i na wiosnę, kiedy rozpocznie się nowa kampania, będzie ze swoimi żołnierzami – oświadczył André zdecydowanym głosem, absolutnie nieadekwatnym do tego, co naprawdę czuł.

– Właśnie dlatego tu przybiegłam! Właśnie dlatego! Boję się, że Kellermann nie zdoła znaleźć odpowiedniego obrońcy.

– Niby dlaczego?

– Bo wuj już zaangażował najlepszego prawnika, który na pewno pograży generała Kellermanna.

– Niby kogo zaangażował? Kto zgodził się prowadzić sprawę przeciwko generałowi Kellermannowi!? Na litość boską, przecież on jest bohaterem! A więc kto, Sophie?

– Guillaume Lazare – odparła grobowym głosem.

André poczuł się, jakby ktoś zarzucił mu na plecy stukilogramowy ciężar. Guillaume Lazare, człowiek, który skazał jego ojca, markiza de Valière'a. Człowiek, który wydał wyrok na króla. Polityk wzbudzający powszechny strach. Człowiek, który od niedawna jest członkiem Komitetu, i od tej chwili nikt nie odważy mu się sprzeciwić. Nawet Danton i Robespierre muszą z nim się liczyć.

Urodziny André obchodzono uroczystie również i z tego powodu, że następnego dnia on, LaSalle i Remy wyruszyli na front włoski, był więc to jego ostatni wspólny wieczór z Sophie. Wieczór w szerszym gronie, bo oprócz Sophie, która wymknęła się z domu, stawili się również LaSalle i Remy. Oczywiście nie przybyli sami, bo LaSalle zaprosił Henriette, w której, jak twierdził, zakochany był po uszy, a Remy zaprosił Celine, baletnicę, którą nadal był bardzo zainteresowany, jak żadną dziewczyną dotąd.

Spotkali się w tej samej restauracji, w której André po raz pierwszy jadł obiad razem z Sophie. Miało być wesoło, ale wieść o uwięzieniu Kellermanna wszystkich bardzo zasmuciła, więc nikt nie był w nastroju do zabawy. Tylko Remy, jak to Remy, starał się, żeby nie było już tak

## W cieniu gilotyny

nieskończenie ponuro i zamówił szampana. Choć czy naprawdę był to szampan? Może i tak, skoro właściciel restauracji zaklinał się, że ten butelkowany płyn po prostu nie może nie być szampanem.

W każdym razie było czym wznieść toast.

– Twoje zdrowie, starszy bracie! Głowa do góry! Nie ma sposobu, żeby trybunał skazał generała Kellermanna, bohatera spod Valmy!

André wypił łyk i wzruszył ramionami. Bo niestety, jeśli to faktycznie był szampan, to tak rozcieńczony, że prawie stracił smak.

A Remy dalej bawił się w proroka:

– Jeśli Komitet jednak go skaże, motłoch znowu ruszy na Bastylię. Wystąpi przeciwko Konwentowi – mówił trochę bełkotliwie, bo przedtem opróżniono już kilka butelek wina.

Niestety z tego, co w ostatnich dniach pisano w gazetach i przekazywano sobie z ust do ust, wynikało niezbitcie, że powszechną przychylnością cieszą się Murat i Lazare. André przeczytał wiele artykułów, w których hrabia Kellermann zwany był „zdrajcą rewolucji”, i wiedział doskonale, że te artykuły mają wielki wpływ na nastroje wśród ludu. Dawny bohater, dzielny oficer o nienagannych manierach, człowiek niezwykle prawy, przestał być ulubieńcem tłumów. W obecnej chwili wzburzonemu ludowi potrzebny był inny bohater, czyli ktoś, kto jak najszybciej będzie wydawać wyroki na wrogów ludu. Ktoś, kto nie zawaha się oskarżyć każdego bez wyjątku o zdradę, bo wie, że lud pragnie nie tylko chleba, ale także krwi.

Węszono wszędzie, wyłapując tak zwanych wrogów republiki, i rozprawiano się z nimi w trybie przyspieszonym. Wystarczyła tylko sugestia, a pożądlivy Paryż już dostrzegał zło. Dla Trybunału Rewolucyjnego dowody były sprawą drugorzędną.

André i jego goście nie siedzieli długo w restauracji. Zaraz po kolacji Remy i LaSalle ze swoimi damami pożegnali się, a André, który tego wieczoru był bardzo przygnębiony i wina sobie nie żałował, naturalnie zaofiarował się, że odprowadzi Sophie do domu.

– To raczej ja powinnam cię odprowadzić – zauważyła trafnie Sophie, ale oczywiście propozycję przyjęła i poszli razem brzegiem Sekwany.

André, który kroczył na nieco chwiejnych nogach, stwierdził po chwili:

– Cóż, jednak przesadziłem z winem, ale swój honor mam i odprowadzę moją damę pod sam dom.

– Odprowadzisz mnie, owszem. Tylko... – Sophie wsunęła rękę pod jego ramię. – Tylko widzisz, jakoś nie mam ochoty wracać dziś do siebie.

Patrzyła na niego tak intensywnie wyczekująco, że aż zakręciło mu się w głowie. Czyż bowiem jest możliwe, że Sophie ma na myśli to, na co on miał nadzieję?

– Dokąd chcesz iść, Sophie?

I usłyszał:

– Do ciebie.

– Jesteś pe... pewna? – wyjąkał.

Gdy przytaknęła ruchem głowy, André z sercem bijącym jak oszalałe poprowadził ją w stronę swego domu.

W tej sytuacji André wreszcie odzyskał humor:

– Sophie, a co powie biedna stara Parsy, kiedy zobaczy, że w twoim łóżku nie ma nikogo?

## W cieniu gilotyny

Zaśmiała się i przytuliła się do André, by uchronić się przed powiewem mroźnego wiatru.

- Może biedna stara Parsy wcale nie jest taka niewinna, na jaką wygląda. W końcu też kiedyś była młoda.

Kiedy weszli do mieszkania, André zamknął starannie drzwi, stwierdzając z wielkim niezadowoleniem, że znów panuje tu bałagan. Gdyby wiedział, że wróci do domu wraz z Sophie, na pewno by posprzątał. Ale trudno, nic już na to nie poradzi. Zapalił dwie świece i rozpalil w kominku. Kiedy w pokoju zrobiło się ciepłej, Sophie zdjęła redingot i powiesiła na oparciu krzesła przy biurku. Był to dla André bardzo miły widok: rzecz Sophie wśród jego rzeczy.

- Niestety nie mam wina... - sumitował się.

- Och, wystarczy tego, które już wypiliśmy.

- Tak, tak, oczywiście.

Podeszła bliżej i wzięła go za rękę, splatając palce z jego palcami. A on odwrócił jej dłoń i pocałował najpierw palce, potem pachnący czubek głowy, i na chwilę zamknął oczy, upajając się faktem, że Sophie tu jest, w jego pokoju.

Kiedy otworzył oczy, spytała:

- André, co chciałbyś dostać na urodziny?

Zaśmiał się, obejmując ją w pól, i zrobił zabawną minę, udając, że głęboko się nad czymś zastanawia.

- Mam pewien pomysł - oznajmił po chwili.

- Czyżby? - spytała, wdzięcznie przechylając głowę na bok.

Spojrzał głęboko w jej oczy, pewien, że nigdy nie nasyci się ich błękitem. I zaraz potem usta dotknęły ust. Przywarli do siebie, a ręce Sophie były chybą jeszcze bardziej stanowcze niż jego. Uwolniły go z szustokora, rozpięły koszulę. Kiedy jej palce musnęły jego nagą skórę, bliski szaleństwa przygarnął ją do siebie, pragnąc, by przywarła do niego każdym kawałeczkiem swego ciała.

Kiedy osunęli się na łóżko, na moment oprzytomniał.

- Sophie, chciałbym, żebyś wiedziała, że chcę cię wziąć za żonę. Oczywiście jeśli mnie zechcesz. Moglibyśmy wziąć ślub już jutro. Już dawno chciałem to zrobić.

- Wiem, czułam to... - Zamilkła na chwilę, spoglądając w bok. I westchnęła. - Ale nie możemy tego zrobić, André, dopóki mam na głowie wuja.

- Ale kiedyś zrobimy. - Wsunął palec pod brodę Sophie, unosząc jej twarz. Bardzo chciał, by spojrzeli sobie prosto w oczy, gdy mówił jej coś tak ważnego. - Sophie, wiesz, że cię kocham i jestem ci bezgranicznie oddany.

- Wiem... - szepnęła, a błękitne oczy załśniły od łez. - Och, André... Mówiłam ci, że kiedyś miałam męża, i wiem, że może to znaczyć bardzo niewiele... - Po policzku spłynęła łza. Sophie wzięła André za rękę, otarła łzę jego palcami i wtuliła twarz w jego ramię.

- Dlaczego płaczesz? - spytał cicho.

- Płacę, bo w końcu wiem, André. Wiem, co powinnam czuć w noc poślubną.



## ROZDZIAŁ DWUNASTY

### Paryż

Kwiecień 1794 r.

Nowa wieść rozchodziła się po mieście lotem błyskawicy, a była to wieść zadziwiająca:

- Słyszeliście już o tym?!
- Nie do wiary!
- Jak to mogło się stać?!

A stało się to, że Christophe Kellermann znalazł sobie obrońcę.

We wszystkich gazetach pisano o tym na pierwszej stronie, w każdej spekulowano, kto okazał się tak bardzo nierozważny, że chce zmierzyć się z samym Guillaume'em Lazare'em. I to z własnej woli, nikt przecież go do tego nie zmuszał. Na domiar wszystkiego ten ktoś wcale nie był renomowanym prawnikiem, więc żaden z dziennikarzy nie wróżył generałowi wygranej.

Gazety stały murem za Lazare'em i Muratem, natomiast paryżanie byli podzieleni. Blisko połowa powtarzała nieustannie, że kiedy Prusacy rozłożyli się obozem zaledwie kilka mil od Paryża, to właśnie Kellermann ocalił i miasto, i rewolucję. I to on stanął do walki o wolność, równość i braterstwo, gdy były to jeszcze tylko słowa zaledwie przerażające się w okrzyk bojowy rewolucji. Była jednak pewna kwestia, która jednoczyła paryżan. Bo całe miasto zachodziło teraz w głowę, kim jest ów człowiek, który zgłosił się jako obrońca i stawia czoło Guillaume'owi Lazare'owi.

- Oszalałeś?! - Gavreau z twarzą purpurową i żyłami na szyi grubymi jak postronki podszedł do Jean-Luca i rzucił na biurko *La Vieux Cordelier*, popularną gazetę wydawaną przez Camille'a Desmoulins'a. - Masz zamiar bronić tego człowieka przed samym Guillaume'em Lazare'em?! Koniecznie chcesz uczynić Marie wdową, a Mathieu sierotą?

Jean-Luc odsunął się z krzesłem, usiadł wygodnie i ręce złożył na podolku, czyli przyjął pozycję świadcząca o tym, że akurat on niczym wzburzony nie jest.

- O co wam konkretnie chodzi, obywatelu?

- Tylko nie plećcie mi tu żadnych andronów, St. Clair. Wiem, że to wy, bo ktoś inny jak nie wy gotów jest położyć na szali swoją reputację, a nawet być może swoje życie, stając w szranki z Guillaume'em Lazare'em! Czyżbyście mieli zamiar przy okazji unicestwić nas wszystkich, cały nasz departament?

Jean-Luc spojrział na gazetę, którą przełożony rzucił mu przed nos. Na pierwszej stronie najnowsza wieść głosiła o tym, że obrońca Kellermanna to człowiek młody, który nigdy jeszcze nie wygłaszał mowy ani przed Konwentem Narodowym, ani przed Trybunałem Rewolucyjnym. Czyli amator, którego dotychczasowe doświadczenia ograniczają się do pracy urzędnika średniego szczebla w jednym z zapchanych ludźmi budynków administracyjnych na prawym brzegu Sekwany.

## W cieniu gilotyny

– Wiem, że to wy! – Gavreau wycelował w Jean-Luca palcem. – Dlatego mówię, że można się jeszcze z tego wyplątać. Pogadam z tym i owym. Ale czasu jest już niewiele.

Jean-Luc westchnął, nie odrywając oczu od artykułu.

– Doceniam waszą życzliwość, ale nie mam zamiaru z niczego się wyplątywać.

– Aha! A więc potwierdzacie, że to wy? – Gdy Jean-Luc przytaknął kiwnięciem głowy, Gavreau podsumował: – Zawsze wiedziałem, że jesteście zwyczajnym głupcem, St. Clair.

– A ja chciałbym wiedzieć, co w tym nadzwyczajnego, że chcę bronić generała Kellermanna.

– Oczywiście, że będzie miał jakiegoś obrońcę, ale nie życzę sobie, żebyście brali to na siebie.

– Niby dlaczego? Nie wierzycie w moje umiejętności?

– Może i wierzę, ale nie w tym rzecz, a już zwłaszcza w tych czasach, kiedy ma się do czynienia z tego rodzaju ludźmi. Chodzi mi o to, że decydując się na ten krok, zyskujecie wroga. Potężnego wroga.

– Oczywiście, że wierzę w rewolucję i wierzę w sprawiedliwość, ale nie rozumiem, dlaczego świadomie narażasz się na tak wielkie niebezpieczeństwo!

Marie, choć przed kilkoma dniami, kiedy przyznał jej się, że zamierza reprezentować Kellermanna, nie wpadła w rozpacz, tego wieczoru jednak była bardzo wzburzona. Słyszała przecież nowinę podawaną z ust do ust, przeczytała też wiele ulotek i artykułów w gazetach, w których wymieniano liczne powody, dlaczego młody prawnik w tym procesie nie ma żadnych szans. I z tych właśnie przyczyn całkowicie zmieniła zdanie.

– Boję się, że zostaniesz okrzyknięty wrogiem rewolucji. Doskonale wiesz, jak łatwo kogoś zadenuncjować i jak łasy jest na to motłoch. Wystarczy, że coś tam wywęszą, i już posyłają człowieka na gilotynę.

Siedzieli przy stole. Jedzenie stygło, ale żadne z nich niczego nie wzięło do ust. Dyskutowali zażarcie, a mały Mathieu, jakby rozumiał powagę sytuacji, siedział w kącie i grzecznie bawił się nową zabawką z drewna.

– Guillaume sam mi mówił, że szanuje ludzi, którzy są jego przeciwnikami w sądzie – powiedział Jean-Luc.

– Co z tego? – Marie wrzuciła ramionami. – Bo nawet jeśli z szacunkiem potraktuje fakt, że podjąłeś się obrony w tym procesie, to na nim świat się nie kończy. Są jeszcze setki zacietrzewionych jakobinów, dla których będziesz tylko i wyłącznie kimś, kto broni rojalisty. Czyli opowiadasz się po jego stronie! Och, Jean... – Oczywiście zwilgotniały. – Przecież doskonale wiesz, jakie to niebezpieczne znaleźć się w naszych czasach pod obstrzałem, zwłaszcza gdy ktoś taki solidaryzuje się z kimś, komu zarzucają zdradę.

Jean-Luc nie odezwał się, tylko bardzo już tym wszystkim znużony podparł rękoma głowę. Owszem, nadal był przekonany, że postąpił słusznie, jednocześnie nie miał całkowitej pewności, czy jednak nie da się przekonać do zmiany zdania.

– Jeszcze nie jest za późno, Jean. Przecież możesz się wycofać.

Westchnął głęboko, po czym oboje spojrzeli na ciemnowłosego chłopczyka, który siedział w kącie i wydawał rozkazy drewnianemu

## W cieniu gilotyny

żołnierzykowi.

Jean-Luc znów spojrzął na żonę.

– Marie, przecież ktoś musi go bronić. A jeśli tak nie jest, to po co to wszystko? No powiedz, po co? Bo skończy się na tym, że nasza rewolucja okaże się jednym wielkim oszustwem!

– Dobrze, dobrze, niech ktoś go broni. Ale czy to musisz być ty?

– Nikt inny nie chce się tego podjąć. Sama widzisz, jak to wygląda.

Jej wzrok zapłonął, a pełne wargi zacisnęły się w wąską kreskę, oznajmiając, że nie zamierza ustąpić.

– Marie, przecież chciałem! Czekałem wiele dni, całe tygodnie, modliłem się, żeby pojawił się ktoś z większym doświadczeniem i wyższą pozycją niż ja. Ale nikt się nie pojawił.

– Nie bez powodu, Jean-Luc. I w rezultacie ty, wykazując się zwyczajną głupotą, jako jedyny podjąłeś się obrony.

– Tak! I muszę to zrobić! – Wzburzony uderzył pięścią w stół.

I natychmiast tego pożałował, kiedy zobaczył wylężnione spojrzenie synka.

A oczy żony zalśniły od łez.

– Marie, proszę, nie gniewaj się... – Jean-Luc przechylił się ponad stołem i podniósł jej dłoń do ust. – Marie, proszę... Przecież po to tu jesteśmy. W tym mieszkanku w obskurnej dzielnicy i tyłu rzeczy sobie odmawiamy. Bo walczymy o sprawiedliwość. Muszę wierzyć, że w naszej nowej rzeczywistości każdy ma prawo do uczciwego, rzetelnego procesu. Że prawa człowieka i obywatela są respektowane, że prawda i sprawiedliwość są silniejsze niż strach i nienawiść.

Chciał jeszcze coś jej powiedzieć. Prosić o wybaczenie. Obiecać, że zrobi wszystko, by ona i synek byli całkowicie bezpieczni. Tak, chciał, ale był już tak bardzo poruszony tym wszystkim, że żadne słowo nie chciało przejść przez gardło. Zrezygnowany pochylił głowę i ukrył twarz w dłoniach. I wtedy usłyszał, jak Marie cicho odchrząknęła, a potem delikatnie wzięła go za rękę, by odsłonić twarz.

– Jean-Lucu St. Clair, powiedz, dlaczego zawsze musisz być takim porządnym, przyzwoitym człowiekiem? Dlaczego?

Spojrzał jej prosto w oczy i wyznał po prostu:

– Bo muszę.

Wtedy uśmiechnęła się smutno.

– Ale dlaczego? Dlaczego musisz?

– Żeby być ciebie wart.

Tylko westchnęła, spoglądając na ich splecione dłonie, a on mówił dalej:

– Marie, być może masz rację. Jestem głupcem, który naraża swoją rodzinę na niebezpieczeństwo. Może lepiej by było, gdybyście razem z Mathieu pojechali do twego ojca. Zostaniecie tam, dopóki proces się nie skończy i cała sprawa z czasem przyschnie. Tak, lepiej, żeby was tu przez jakiś czas nie było...

– Ach, przestań! – zachnęła się, po czym dodała głosem zdecydowanym, niemal surowym: – Jeśli spodziewasz się, że w takiej chwili zostawimy cię samego, to znaczy, że wcale nie jesteś taki inteligentny, jak myślałam.

– Tatusiu... – Ktoś pociągnął Jean-Luca za rękaw.

Wiadomo kto. Jean-Luc zrobił głęboki wdech, żeby uspokoić się, i spojrzął w dół, kładąc rękę na obsypanej czarnymi lokami główce

## W cieniu gilotyny

Mathieu.

- Co, synku?

- Nie bądź smutny!

- Och, wcale nie jestem smutny.

- Jesteś. Dam ci moją nową zabawkę, chcesz? - Chłopczyk wyciągnął pulchną rączkę, podając ojcu drewnianego żołnierzyka.

- Dziękuję, Mathieu - powiedział Jean-Luc, uśmiechając się ciepło, a potem szepnął do żony: - Czy stać nas na takie zabawki?

- Przecież nie ja ją kupiłam. - Marie wstała i zaczęła sprzątać ze stołu. - Byłam pewna, że to ty.

Zdziwiony Jean-Luc uważnie spojrział na drewniane cacko. Bo to było cacko, lśniące, pięknie pomalowane, ta mała figurka z twarzą wyrzeźbioną ręką artysty. Śliczna i na pewno bardzo droga.

- Nie, ja jej nie kupiłem. Mathieu, skąd masz tego żołnierzyka?

Czyżby gdzieś ukradł? Nie, to niemożliwe.

Małec szybko odebrał żołnierzyka i przytulił do siebie, jakby się bał, że ktoś mu go odbierze.

- Taki jeden pan mi go dał. Był bardzo miły - powiedział.

Jean-Luc poczuł na plecach lodowaty dreszcz.

- Miły pan? Któż to taki?

Mathieu wzruszył ramionkami, jakby zdruzyla go te pytania, natomiast Marie nagle przestały interesować brudne talerze. Odwróciła się i słuchała, o czym mówią mąż i synek.

- Mathieu, gdzie spotkałeś tego pana?

- A tam - odparł chłopczyk, wskazując na widniejącą za oknem oberżę Grocque'a.

- Czyli to był pan Grocque, tak? Oberżysta?

- Nie, tatusiu. Inny pan, co czasami przyjeżdża tu powozem.

- Wiesz, jak się nazywa?

- Nie. Ale powiedział, że jeszcze przyjedzie. Obiecał mi.

- Mathieu! - Marie szybkim krokiem podeszła do synka i nachyliła się nad nim. - Powiedz, kochanie, jak wyglądał ten pan?

Chłopczyk zastanowił się przez chwilę, po czym odparł:

- Był... stary. I miał taką białą twarz. Bardzo białą.

Rodzice wymienili pełne niepokoju spojrzenia, a Jean-Luc ze ściśniętym sercem przytulił mocno synka, czując w głębi duszy strach. Że jest głupi, bo myślał, że będzie w stanie chronić kogokolwiek czy cokolwiek. A przecież tego nie zrobi. Nie uchroni ani nikogo, ani niczego. Na tym świecie na pewno nie.

Marie przykucnęła obok nich, obejmując męża i synka.

- Mathieu, kiedy jesteś sam, nie wolno ci z tym panem rozmawiać. Tylko wtedy, kiedy jest z tobą mamusia albo tatuś. Słyszysz?

Mathieu, chyba nieświadomy, jak bardzo zaniepokojeni są rodzice, pokiwał główką.

- Dobrze, mamo. Jeśli nie chcesz, żebym go widział, to poproszę go, żeby znikł.

- Co powiedziałeś, Mathieu? Żeby znikł?

- Tak, mamo. Bo on powiedział, że potrafi zrobić tak, żeby ludzie znikali. Żeby ich już po prostu nie było.

## W cieniu gilotyny

Jean-Luc obecnie często dłużej zostawał w pracy. Rutynowych obowiązków miał mnóstwo, więc kiedy koledzy wyszli, mógł spokojnie dokończyć to, czego nie zdążył zrobić za dnia. A przede wszystkim wolał wracać do domu, kiedy Marie już spała, bo coraz trudniej mu było patrzeć, jak bardzo jest zdenerwowana, a przecież nie chciał z nią się kłócić, za nic w świecie nie chciał, by była nieszczęśliwa. Tym bardziej że to z jego powodu Marie ma wylężnione spojrzenie, a kiedy chce ją objąć, odwraca się do niego plecami. Najlepiej więc widywać się jak najrzadziej, dopóki trwa proces Kellermanna.

Za oknem było pięknie. Śnieg już dawno stopniał i do Paryża wkroczyła wiosna. Gałęzie kasztanów, rosnących wzdłuż rzeki, uginały się pod ciężarem białych kwiatów zebranych w okazałe kwiatostany. Dni były coraz dłuższe, słońce dopiero na kilka godzin przed północą chowało się za zachodnią bramą miasta. I to był okrutny żart Matki Natury. Paryż w przepięknej wiosennej szacie, zapowiedź nowego życia, a jego ulicami władaly śmierć i zniszczenie.

Wiosna minęła, nadeszło lato. Dni były coraz dłuższe, niebawem miał nadejść najdłuższy z tych dni. Jean-Luc siedział za biurkiem, na którym panoszył się stos dokumentów i przyświecała jedna, prawie już wypalona świeczka. Siedział sam. Ostatni kolega wyszedł przed kilkoma godzinami, i nastąpiła ta chwila, kiedy nad Paryżem widać było i słońce, i księżyc, wysyłające na ziemię delikatne, białawe światło. Tak delikatne, że powieki Jean-Luca raptem zrobiły się ciężkie.

Westchnął ciężko, a powód ku temu był, bo czuł się tak, jakby dzień po dniu, godzina po godzinie, noc po nocy grzebał w ziemi, szukając żywego skrawka, na którym mógłby posiać ziarno nadziei dla swego klienta, dla generała Kellermanna.

Termin procesu zbliżał się, a on niczego jeszcze nie znalazł. Nie miał pojęcia, jakie dowody może sfabrykować strona przeciwna, dlatego skupił się na przygotowaniu kontroskarżeń. Ale co tam dowody, skoro zgodnie z wydanym we wrześniu poprzedniego roku Dekretem o Podejrzanych, żeby wysłać kogoś na gilotynę, wystarczyły pogłoski o tym, że ten ktoś sympatyzuje z rojalistami albo popiera antyrewolucyjny kler. Rozmowy ze starym generałem w zatęchłej celi niczego nie wniosły. Kellermann był nieprzejednany. Zamierzał powiedzieć prawdę i tylko prawdę, jakby pozostanie przy życiu nie było aż tak ważne.

- Owszem, podałem w wątpliwość potrzebę ścięcia Ludwika i Marii Antoniny. I to ma być przestępstwo? Od kiedy?

Jean-Luc nie wiedział, co odpowiedzieć, tym bardziej że miał podobne wątpliwości. Nie wiedział też, jaką przyjąć linię obrony. Podkreślać zalety? Rozsądek, uczciwość, wyrozumiałość? Nie, bo obecnie zalety nie miały żadnego znaczenia, a nawet mogły doprowadzić do skazania na śmierć. A Kellermann posiadał je, wszystkie trzy. A poza tym - i przede wszystkim - w świetle obecnego prawa popełnił przestępstwo, ponieważ Komitet zarządził, że kwestionowanie działań rewolucyjnego rządu karane jest śmiercią.

Smętne rozmyślenia przerwało pukanie do drzwi. Jean-Luc drgnął i powrócił do rzeczywistości, czyli mrocznego pokoju, bo świeczka już się dopalała.

- Proszę wejść! - zawołał, nie mając pojęcia, która może być godzina.

## W cieniu gilotyny

W progu pojawił się chłopiec na posyłki.

– Mam dla was dwa listy, obywatelu St. Clair.

Jean-Luc skinął na chłopca, żeby podszedł bliżej, i wyjął mu listy z rąk.

– Dziękuję. Nie wiesz przypadkiem, która jest godzina?

– Dziesiąta, obywatelu.

Jean-Luc westchnął, bo po raz pierwszy zauważył, że miasto za oknem spowiła już ciemność.

– Idź już do domu, chłopcze.

– Naprawdę? Bo obywatel Gavreau kazał mi tu być, dopóki wy... dopóki ostatni z urzędników nie wyjdzie z biura.

– Możesz już iść do domu. Zmykaj!

Kiedy chłopiec znikł za progiem, Jean-Luc otworzył pierwszy list, podszedł bliżej do migotliwej świeczki i zaczął czytać:

*Obywatelu,*

*Proszę pozwolić, że się przedstawię. André Valière, kapitan. W chwili obecnej przebywam w obozie Armii Włoskiej. Postanowiłem napisać do Was, ponieważ jakiś czas temu służyłem pod generałem Christophe'em Kellermannem i śmiem twierdzić, że lepszego oficera i człowieka o lepszym charakterze nie ma w całej armii rewolucyjnej. Z tego powodu z własnej woli gotów jestem być świadkiem w Jego procesie. Jeśli oczywiście potrzebujecie świadków.*

*Na pewno zdajecie sobie sprawę, że podjęcie się obrony w tym procesie to wielkie ryzyko. Przyznam się też, że zanim sięgnąłem po pióro, by napisać do Was, długo biłem się z myślami. Kiedy jednak pomyślałem, że to generał pod Valmy uratował mi życie, ocalił też republikę, i że jest człowiekiem o nieskazitelnym charakterze i wielkiej uczciwości, który całe swoje życie poświęcił służbie naszemu narodowi, uznałem, że nie wolno mi pozostać bezczynnym. Wstyd mi, że się ociągałem i bałem o siebie.*

*On nie może umrzeć. Nie teraz i nie z rąk obywateli Francji. Musimy powstrzymać republikę przed popełnieniem tego przestępstwa, którego potem będzie żalować. Bo są jeszcze ludzie, którzy nadal gotowi są stanąć w obronie tego, co słuszne, co dobre. Dlatego nie chcę przyglądać się temu bezczynnie.*

*Będę czekać na Waszą odpowiedź. Wdzięczny Wam bezgranicznie, że zechcieliście służyć jako obrońca generała Christophe'a Kellermanna.*

*Wasz uniżony sługa*

*Rodak Patriota*

*Kapitan André Valière*

Jean-Luc przeczytał list dwukrotnie. Za drugim razem czytało mu się gorzej, ponieważ łąza zakręciła się w oku i spadła na papier, na napisane przez kapitana Valière'a słowa, którymi był bardzo poruszony. Tak bardzo, że kiedy skończył czytać, głowa bezwiednie opadła na blat biurka. Bo w końcu stało się. Ktoś wreszcie zrozumiał, co czuje Jean-Luc, i wcale go nie zniechęca, nie potępia. Przeciwnie, ten ktoś uważa, że w tej sytuacji przystąpienie do działania to wielkie ryzyko, ale siedzenie z założonymi rękami to wstyd i hańba.

Właśnie takie słowa były mu bardzo potrzebne. Czuł, jak wstępują w niego nowe siły, jak z całą mocą odzywa się wola walki z potężnymi siłami w obronie niewinnego człowieka.

Jeszcze raz przeczytał list od kapitana, który chciał być świadkiem

## W cieniu gilotyny

podczas tego procesu, chciał powiedzieć o nieskazitelnej pod względem moralnym i każdym innym osobie generała. Czy wpłynie to na przebieg procesu? Nie wiadomo, tym bardziej że oskarżyciel niewątpliwie dostarczy niejednego świadka, który będzie się zaklinał, że słyszał z ust generała niepatriotyczną, urągającą rewolucji wypowiedź.

Niemniej jednak to już będzie coś. Kapitan Valiere jako świadek obrony.

Jean-Luc odłożył list od kapitana na bok i sięgnął po drugi list. Był zaadresowany znanym Jean-Lucowi charakterem pisma. Tylko kto postawił te litery? Jean-Luc szybko przełamał pieczęć. List był krótki, o wiele krótszy od listu kapitana. Słów niewiele, ale charakter pisma Jean-Luc już zidentyfikował i serce zabiło mu szybciej.

*Widzę, że wreszcie zdecydowaliście się sięgnąć po laury. Nie mogę się doczekać, kiedy staniecie w szranki.*

*Bonne chance!*

Bez podpisu, ale Jean-Luc nie miał już żadnych wątpliwości, kto ten list napisał, i dlatego odłożył go jak najdalej, na sam brzeg biurka, jakby ten kawałek papieru był zagrożeniem dla jego pracy czy dobrego samopoczucia.

Od chwili podjęcia się obrony Kellermanna ani razu nie spotkał się z Lazare'em, nie wymieniali też korespondencji. A więc po co ten list? Lepiej było go nie otwierać...

Spojrzał jeszcze raz na kartkę na brzegu biurka i dopiero teraz zauważył, że na samym dole jest postscriptum, które również wyszło spod ręki Lazare'a:

*Pamiętajcie, co Wam kiedyś powiedziałem? Zniszczę każdego, kto wierzy w co innego. Przez kilka następnych tygodni czytajcie uważnie wszystkie gazety. Niewątpliwie natraficie na wieści, które Was zaskoczą, a może i rozbawią. A na koniec jedna rada. Na Waszym miejscu trzymałbym się od klubu jakobinów z daleka.*

To ostatnie zdanie, ta przestroga, dla Jean-Luca była co najmniej dziwna, niemniej wszystko, co przekazano mu w tym postscriptum, miał na uwadze i codziennie pilnie czytał poranne gazety, szukając zadziwiających wieści, które zapowiedział Lazare. I wreszcie ten dzień nadszedł.

Dwudziestego ósmego lipca, stojąc przy biurku nad poranną gazetą, przeczytał coś, co wydało mu się tak nielogiczne i tak niemożliwe, że nogi odmówiły posłuszeństwa, i gdyby tuż obok nie stało krzesło, osunąłby się na podłogę:

*Maximilien Robespierre, przywódca klubu jakobinów, zdrajca Rewolucji, dziś zostanie ścięty na gilotynie!*

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

### Paryż

Lato 1974 r.

André wrócił do Paryża wieczorem, w przeddzień procesu Christophe'a Kellermanna. Jechał wiele godzin w ulewnym deszczu i kiedy podjechał do zachodniej bramy miasta, strażnicy byli bardzo niezadowoleni, że w taką pogodę muszą wyjść z wartowni. Jeden z nich, przyświecając sobie latarnią, sprawdził papiery przybysza, mierząc jednocześnie go wzrokiem, drugi natomiast, z wielką piką opartą na ramieniu, stał obok, przeżuając kawałek chleba. André był prawie pewien, że żaden z nich nie potrafi czytać.

Po dłuższej chwili strażnik z latarnią coś tam mruknął, zasalutował niedbale i dał znak, że można przejechać. André, wjechawszy do miasta, skierował konia w stronę okazałego gmachu obok Pałacu Sprawiedliwości. Miał wielką nadzieję, że nie jest za późno i Jean-Luc istotnie będzie jeszcze w pracy, przygotowując się do procesu, który miał się odbyć następnego dnia.

Na szczęście nadzieja nie okazała się płonna i Jean-Luc, zmęczony, z włosami w nieładzie, powitał André z entuzjazmem.

- Nie wyobrażacie sobie, kapitanie Valière, jak wielką ulgę czuję na wasz widok!

André nie mógł oprzeć się wrażeniu, że tę twarz już kiedyś widział. Wyteżył pamięć, pomyślał chwilę i przypomniał sobie. Zdarzyło się to rok temu, na drewnianym moście, gdzie po raz pierwszy pocałował Sophie. Miał zamiar powiedzieć o tym – o pocałunku naturalnie nie wspominając – ale Jean-Luc go ubiegł:

- Widziałem was już kiedyś, kapitanie Valière.

- Proszę, mówmy sobie po imieniu.

- Ależ oczywiście... A więc, André, widziałem was w zeszłym roku koło Café Marche. Wyprowadzaliście stamtąd pijanego żołnierza.

Czyli, jak się okazało, los zetknął ich jeszcze raz w innych okolicznościach. I to w jakich! André uśmiechnął się.

- Niestety tym żołnierzem był mój młodszy brat Remy.

- Cóż, zdarza się. A ja tamten wieczór dlatego zachowałem w pamięci, gdyż właśnie wtedy po raz pierwszy spotkałem się z Maurice'em Merignakiem, moim... współpracownikiem. Tak, również i tak można to nazwać...

Jean-Luc uśmiechnął się, tak samo jak André, który był zadowolony, że ma do czynienia z człowiekiem otwartym i niewątpliwie bardzo inteligentnym. Człowiekiem, który od pierwszej chwili budził w nim wielką sympatię.

Zdjął mokry szustokor i powiesił go wraz z trikornem na kołku obok drzwi, po czym Jean-Luc wprowadził go do dużego pokoju, w którym paliła się tylko jedna świeca, a wszędzie leżały książki i papiery.

- Proszę, usiądźcie, André. Może macie ochotę czegoś się napić?



## W cieniu gilotyny

- Dziękuję. Z przyjemnością napiłbym się kawy – odparł André, z ulgą siadając na krześle, był bowiem bardzo zmęczony długą jazdą z obozu na południu Francji. – Jeśli ją tu macie.

Po chwili na wielkim biurku pojawiły się dwie filiżanki z gorącą kawą. A samo biurko wyglądało jak pole bitwy. Stosy dokumentów, puste kałamarze, pióra, koperty, filiżanki, a wszystko to bez ładu i składu.

- Lubię pracować w chaosie – wyznał Jean-Luc i umoczył pióro w inkauscie.

André pomyślał, że chaos chaosem, ale ten młody prawnik i tak sprawia wrażenie człowieka uporządkowanego i pełnego determinacji.

Omówili szczegółowo wystąpienie André. A więc przede wszystkim absolutnie nie powinien dać się wciągnąć w dyskusje na tematy polityczne z prawnikami oskarżyciela, ponieważ pochodzi z arystokracji.

- To nie może wyjść na jaw. Absolutnie – powiedział Jean-Luc z westchnieniem.

- Jestem tego w pełni świadomy – zapewnił André. Świadomy, że wtedy może spotkać go to samo, co jego ojca. Arystokratyczne pochodzenie bardzo mu doskwierało. Było jak pętla wokół szyi, którą musiał nosić każdego dnia i która, na szczęście, jeszcze się nie zacisnęła, co wcale jednak nie znaczyło, że nigdy do tego nie dojdzie. Zwłaszcza gdy stanie przed prawnikami kierowanymi przez człowieka, który skazał jego ojca.

Naturalnie opowiedział Jean-Lucowi, w jakich okolicznościach zakończył życie markiz Alexandre de Valière i jaką rolę odegrał w tym Guillaume Lazare. Jean-Luc wysłuchał w skupieniu i znów westchnął.

- W takim razie nie ma co się łudzić. Wasze arystokratyczne pochodzenie wyjdzie na jaw, ponieważ Lazare zrobi wszystko, by was pognębić.

André potarł ręką czoło i powoli pokiwał głową, natomiast Jean-Luc mówił dalej:

- Pamiętajcie, że najistotniejsze jest to, że byliście pod Valmy i widzieliście na własne oczy, co generał Kellermann uczynił dla Francji. A wy odrzuciliście arystokratyczny tytuł, stanęliście przeciwko wrogom republiki i walcząc pod rozkazami generała Kellermanna, przyczyniliście się do jej ocalenia. Dobrze się składa, że podczas procesu pojawi się świadek, który potwierdzi, jak bardzo oddany republice jest generał. Trzeba z uporem powracać do kwestii Valmy. Prusacy. Groźba klęski. Ożywienie ducha bojowego armii...

André kiwał głową, chłonąc każde słowo, a potem milczeli przez jakiś czas pochłonięci swoimi myślami.

- Na pewno będziecie dobrze – powiedział Jean-Luc, wpatrując się w André tak intensywnie, że młody kapitan pomyślał, że może jednak nie będzie aż tak dobrze. Choć istniały podstawy, by czuć się inaczej, skoro prawnik był człowiekiem kompetentnym i konsekwentnym, takim, który walczy o sprawę nawet w sytuacji, gdy wszystko sprzysięga się przeciwko niemu.

- André, przed tą prawniczą batalią radzę wypać się porządnie, a jutro włożyć mundur. Koniecznie. A... I jeśli wolno coś zasugerować. Dobrze by było, gdybyście mieli wpiętą w rajtrok trójkolorową kokardę.

- Dobrze.

André pokiwał głową. Tak na oko Jean-Luc był od niego starszy

## W cieniu gilotyny

zaledwie o kilka lat, a tyle w nim było powagi. Z drugiej jednak strony trudno w takiej sytuacji tryskać humorem. I dobrze, że pod maską powagi wyczuwał w tym prawniku żarliwość. Miejmy nadzieję, pomyślał, że owa żarliwość dojdzie do głosu podczas jutrzejszego procesu.

– Cieszę się, André, że jesteście zgodni... – Jean-Luc przemknął spojrzeniem po stosach dokumentów, wstał i zaczął czegoś szukać.

Na pewno miał mnóstwo pracy, dlatego André wstał z krzesła.

– Wam też radzę, St. Clair, porządnie się wyspać. Chociaż sądząc po tych stosach papierów, raczej nie posłuchacie mojej rady.

– Wyśpię się po procesie, o ile z Bożą pomocą uda się przekonać sędziów i ten dzielny, pełen zalet człowiek zostanie uwolniony – odparł Jean-Luc i kładąc rękę na ramieniu André, spojrzął mu prosto w oczy. – Dziękuję wam. Bardzo dziękuję w imieniu generała Kellermanna i tych wszystkich, którzy wciąż mają nadzieję, którzy wciąż wierzą w ten naród. Niech Bóg wam błogosławi, kapitanie Valière.

André przeknął, po czym wyznał cicho:

– Ten człowiek uratował mi życie.

– Tak... – Jean-Luc pokiwał głową, po czym dokończył również cicho: – A jutro, być może, wy uratujecie jego życie.

Kiedy André zbliżał się do domu, w którym mieszkała Sophie, wąskie ulice pogrążone były w ciemnościach. Ulice miasta, w którym po śmierci Robespierre'a wiele się zmieniło. Obecnie podlegało nowej legislaturze, a jakobini popadli w niełaskę. Przynależność do klubu była zakazana, groziła za to śmierć. Jakobinów prześladowano, wypędzano z miasta, w którym niby zrobiło się spokojniej, ale lud i tak wrzał, bo chleb nadal dla wielu był nieosiągalny. A wojny, prowadzone poza granicami kraju, pustoszyły skarbiec. Rozgniewany lud domagał się głowy winnego. Czyja głowa więc spadnie, skoro monarchę już ścięto, sporo arystokracji uciekło, a tych, co pozostali, przetrzebiono, do tego co najmniej połowa rządzącego stronnictwa została wyrżnięta? Nic wiadomo, ale ktoś na pewno zapłaci. Bo tak właśnie teraz było. W pięknym mieście Paryżu nikt nie mógł być pewnym, czy dożyje następnego dnia.

Kiedy po zaanonsowaniu przez Parsy wszedł do pokoju, Sophie stała przy oknie. Na jego widok jej twarz pojaśniała.

– André! – Podbiegła wprost w jego ramiona.

– Ukochana... – szepnęła, szukając jej ust. Bardzo stęskniony, przecież po raz ostatni widzieli się w końcu zimy, potem wysłano go na front. A przedtem była przecież ta ich pierwsza noc, kiedy po urodzinach André poszli do pensjonatu, w którym wynajmował pokój. Wspomnienie o tych cudownych chwilach, a także nadzieja, że kiedyś znów będą razem, podtrzymywały go na duchu podczas długich miesięcy rozłąki, gdy noce spędzał pod gołym niebem i nogi drętwiały z zimna, a rankiem niejedną raz budził go strzał z muszkietu czającego się w pobliżu wroga. Kiedy każdy dzień wydawał się dłuższy od tygodnia, a miesiąc od roku.

Dlatego wprost nie wierzył własnemu szczęściu, że znów może spojrzeć w błękitne oczy i pocałować Sophie, która wydała mu się jeszcze piękniejsza. Po prostu przepiękna z tymi włosami w nieładzie i w skromnej sukni z liliowego jedwabiu.

– André, dlaczego musiałam na ciebie tak długo czekać? Zaczynałam

## W cieniu gilotyny

już bać się o siebie.

- Niepotrzebnie. Po prostu miałem do załatwienia pilną sprawę.

Pocałował ją jeszcze raz i wtedy zorientował się, że Sophie wcale nie odpowiada żarliwie na jego pocałunki. Jest bardzo powściągliwa, ale wiadomo dlaczego. Pokojówka nadal stała koło drzwi, niewątpliwie czekając, kiedy zostanie odprawiona.

- Dziękuję, Parsy. Możesz odejść - powiedziała Sophie.

Więc wyszła, ale niezbyt szybkim krokiem, a kiedy wreszcie zamknęła za sobą drzwi, Sophie spojrzała na André już całkiem inaczej. W jej oczach przede wszystkim było pożądanie.

- Chodź, najmilszy. Musimy nadrobić stracony czas.

Po jakimś czasie nasyceni leżeli sobie, wsłuchując się w dobiegające zza okna odgłosy miasta wieczorową porą. W kawiarni po drugiej stronie ulicy było tłoczno i co chwilę wychodził z niej ktoś upojony winem, nie dbając wcale o ciszę. Uliczny grajek grał na fujarce, by przechodnie wrzucili do jego czapki choć trochę drobnych, a w bocznej uliczce ujadła pies.

Leżeli wtuleni w siebie w pokoju ogrzonym kominkiem, starając się nie myśleć o tym, co będzie jutro, i opowiadali sobie nawzajem, co się działo podczas tych sześciu miesięcy rozłąki. Sophie żaliła się, że wuj przez te pół roku był w Paryżu, nękał ją niezapowiedzianymi wizytami i de facto kontrolując każdy jej krok. André opowiedział o kampanii w Saorgio, o tym, jak wciąż czekali na rozkaz przejścia przez Alpy i wkroczenia do Włoch. Opowiedział jej też o spotkaniu z obywatelem Jean-Lukiem St. Clairem, młodym i żarliwym prawnikiem, który zrobił na nim jak najlepsze wrażenie.

- To po prostu człowiek prawy, Sophie, i chociaż sprawia wrażenie bardzo powściągliwego, wyczuwam w nim wolę walki.

- Przede wszystkim jest niezwykle odważny, skoro zdecydował się zmierzyć z Lazare'em i jego Komitetem.

André musnął palcem aksamitną, kremową skórę na plecach Sophie. I milczał. Ona też nie odzywała się, ale już po chwili uniosła się na boku, podpierając się łokciem, a drugą ręką delikatnie pogłaskała naznaczony blizną policzek.

- Nigdy mi o tym nie opowiadałeś, André.

- O czym?

- O tym, skąd ta blizna.

Westchnął. Delikatnie odsunął jej dłoń od swojej twarzy i nie puszczaając jej, westchnął jeszcze raz.

- Blizna spod Valmy.

- Austriak?

- Raczej Prusak. W każdym razie niezależnie od tego, skąd przybył, rozorał mi policzek bagnetem. Byłby mnie zabił, gdyby nie...

- Co, André?

- Nie co, a kto, Sophie. Generał Kellermann. To on uratował mi życie. - Zamrugał, bo kiedy przypomniał sobie tamten dzień, jego oczy na moment zasnuła mgła.

- Nie wiedziałam... Jakie to szczęście, że mogłeś wrócić cały i zdrowy. I miejmy nadzieję, że teraz zrobisz dla niego to samo.

## W cieniu gilotyny

- Daj Boże... A wiesz, że Remy też wrócił do Paryża? Będzie na procesie.

- Remy? - Sophie znów oparła się na łokciu. - No właśnie, jak się miewa nasz drogi Remy?

- Strasznie marudzi, że we Włoszech nie brał udziału w walce. Ale najbardziej przejęty jest tym, co ma zamiar zrobić tu, w Paryżu. Oświadczyć się Celine.

- Tej balerinie?

- Tak. Trudno mi w to uwierzyć, ale wygląda na to, że małej Celine udało się dokonać rzeczy zdawałoby się niemożliwej. Skraść niespokojne serce Remy'ego na zawsze. Sophie... - Nagle stał się bardzo poważny. Delikatnie odgarnął z czoła Sophie pasmo jasnych włosów i powiedział: - Co byś powiedziała na to, żebyśmy też się pobrali?

Wdzięcznie przechyliła głowę na bok, a minę miała bardzo wymowną. On znowu o tym!

- André, przecież mówiłam ci już...

- Tak, mówiłaś. Ale posłuchaj!

- Przecież wuj gotów byłby ciebie zabić!

- Przecież wcale nie musi o tym wiedzieć!

To ucięło jej protesty. Zmarszczyła czoło w zadumie, po czym spytała:

- Ślub potajemny?

- No właśnie. Pobierzemy się w tajemnicy, zanim znów wyruszę na front. Remy może być naszym świadkiem.

Znów cisza. Sophie przez chwilę patrzyła gdzieś w dal, a potem nagle jej twarz pojaśniała w uśmiechu.

- Naprawdę chcesz się ze mną ożenić?

Żarliwie pokiwał głową, po czym wyszeptał:

- Niczego bardziej nie pragnę. Przyciągnął ją do siebie, a ona wtuliła się w niego całym ciałem. Ciepłutka Sophie ze ślicznymi rumieńcami pocałowała go w szyję, ale niestety milczała. - Proszę, powiedz „tak”.

- Hm... Czy naprawdę chcę wyjść za kapitana Valière'a? Sama nie wiem...

- Chcesz, chcesz! - Objął jej twarz i złożył na różowych ustach kolejny pocałunek. - I tak będzie. Niezależnie od tego, co się jutro wydarzy, zanim wyjadę z Paryża, zostaniesz moja żoną.

- Hm... Wolalabym się jeszcze trochę nad tym zastanowić...

- Nonsens! Decyzja podjęta. A teraz bądź cicho, bo chcę kochać się z moją narzeczoną!

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

### Paryż

Lato 1794 r.

André, naturalnie w mundurze, przyszedł do sądu bardzo wcześnie. Nie tylko on, bo w sali rozpraw były już tłumy. Podał swoje nazwisko najbliższemu stojącemu woźnemu, przekazując, że przybył w charakterze świadka, i woźny skierował go do ławki ustawionej przed ławką obrony.

Okazało się, że na tej ławce ktoś już siedzi.

– Pani Kellermann!

André wyprostował się i skłonił głowę przed wytworną damą, którą poznał na balu w Panteonie. Naturalnie zamierzał się przedstawić, ale go ubiegła.

– Kapitan Valière! Jakże się cieszę, że was widzę. – Wyciągnęła ku niemu dłoń w jedwabnej rękawiczce. – Chwała Bogu, że jesteście.

W jej włosach było o wiele więcej siwych pasm niż wtedy, gdy miał przyjemność ją poznać. Twarz blada, ściągnięta, niewątpliwie po wielu bezsennych nocach i ciągłym lęku. Ale nikły uśmiech jednak się pojawił.

– Proszę, kapitanie. Może zechcecie usiąść obok mnie.

– To dla mnie zaszczyt, szanowna pani.

Usiadł i rozejrzął się po sali pełnej rozszepowanych ludzi i rozbieganych oczu. Najbardziej zatłoczona była galeria, dziki tłum walczący o miejsce. Brudne twarze, czerwone czapki i trójkolorowe kokardy. Wiele kobiet, kiedy tylko usiadły, zajęło się robótką ręczną. Mężczyźni rozgadani, dzieci rozbrykane i karczone, kiedy wychylały się za balustradę. I żołnierze, wśród których André rozpoznał również zaciężnych, w tym okrągłą twarz Leroux i siedzących obok kilku jego towarzyszy. Na ich widok poczuł coś na kształt dumy. Bo jego podkomendni też się tu zjawili, jak on, by wspierać generała, który pod Valmy poprowadził ich do zwycięstwa.

Na galerii pojawiło się również kilka twarzy kredowobiałych, niewątpliwie członków rozmaitych komitetów, którzy, podobnie jak Lazare, zręcznie płynęli na fali rosnącego niezadowolenia, bez skrupułów wspierając tych, którzy aktualnie są na szczycie. Dzięki temu udaje im się przeżyć, kiedy tyłu ich kolegów zakończyło już życie na gilotynie. Siedzieli tam poważni i milczący, wyróżniając się spośród tłumu głośniego motłochu.

Natomiast niżej, w nawie po stronie oskarżonego, André też zauważył kilku żołnierzy i oficerów. W tylnym rzędzie siedział LaSalle, a obok niego Remy. André skinął im głową i dalej przemykał spojrzeniem po sali. Niedaleko drzwi wejściowych stało kilku żołnierzy z Gwardii Narodowej z opartymi o ścianę muszkietami, rzucających gniewne spojrzenia na żołnierzy po stronie Kellermannna. Mimo że walczyli pod tą samą flagą, wyczuwało się wzajemną niechęć, a nawet nienawiść. Jeden z gwardzistów wycelował muszkietem w Remy'ego i splunął na posadzkę. LaSalle zasłonił ramieniem pierś Remy'ego i potrząsnął głową. A Remy coś powiedział. Niewątpliwie zaklął.

## W cieniu gilotyny

Na ścianie za krzesłami sędziów wisiała wielka, trójkolorowa flaga republiki. Wisiała tam też wielka biała płachta z krwistoczerwonym napisem:

WOLNOŚĆ, RÓWNOŚĆ, BRATERSTWO

Środek sali był pusty, jak w kościele, a w nawie po stronie oskarżyciela siedziała Sophie. Właśnie tam, zgodnie z obietnicą daną André. Musiała wyczuć jego wzrok, bo jej spojrzenie pobiegło w jego stronę. Spojrzenie ciepłe i dodające otuchy. Wokół Sophie siedzieli stronnicy Lazare'a i Murata, czyli jakobińscy prawnicy, którym udało się przeżyć i mieli nadzieję, że zdobędą przychylność nowego rządu. Natomiast za stołem, za którym mieli usiąść obrońcy, siedział jakiś mężczyzna w wielkiej pomarańczowej peruce.

W przedniej części sali stał długi stół przykryty czerwonym aksamitem, na nim dokumenty, pióro, kałamarz i białe świece ociekające woskiem, a za stołem pięciu sędziów zwróconych twarzą do sali, do oskarżyciela i do obrońcy. Ubrani byli w tradycyjne czarne togi, dwóch sędziów miało czapki frygijskie. Sędzia siedzący w środku, niewątpliwie starszy od pozostałych i w tym gronie najważniejszy, miał na głowie wielki czarny kapelusz z czerwonym piórem. Ale i tak w tym procesie nie on był najwyższym autorytetem, lecz lud, bo sędziowie ferovali wyroki zgodnie z jego wolą.

Drzwi z boku sali otwarły się i do środka wszedł Jean-Luc St. Clair z wzrokiem utkwionym przed siebie i z naręczem dokumentów. Na jego widok przez salę przebiegł gniewny pomruk. Główny sędzia, który właśnie coś zapisywał, ledwie spojrzał na obrońcę, ale pozostali sędziowie, rozparci w krzesłach, odprowadzali go wzrokiem.

Po kilku chwilach szepty tłumu stały się głośniejsze, kiedy przez drzwi z drugiej strony sali wszedł oskarżyciel, Guillaume Lazare, i jego główny świadek, Nicolai Murat. Za starym prawnikiem szło dwóch młodych, byli to zapewne jego uczniowie. Murat, ubrany w nieskazitelny mundur, usiadł, robiąc przy tym głośny wydech, i spojrzał na stół obrony. A dłonie André zacisnęły się w pięści i mimo woli zerknął na Sophie, która nieznacznie skinęła głową.

Po kilku minutach otworzyły się drzwi po stronie obrony i dwóch otyłych strażników w wojskowych mundurach wprowadziło oskarżonego Kellermanna. Generał wydał się André o wiele szczuplejszy, ale i tak szedł wyprostowany, emanując siłą i stanowczością. Również i on był w mundurze. Kiedy wszedł do sali, szepty i pomruki przerodziły się w głośne okrzyki, jakby zniecierpliwiony tłum nie potrafił się już opanować. Żołnierze na galerii poderwali się z ławek i stukając pięściami, wznosili radosne okrzyki, a tłum rewolucjonistów w czerwonych frygijkach wykrzykiwał szydercze słowa. Albo syczał. Słychać było też płacz dzieci. Tylko członkowie Komitetów siedzieli z kamiennymi twarzami.

- Spokój! Ma być spokój! - krzyknął sędzia, kiedy strażnicy na galerii rozdzielali kilku żołnierzy i cywili, którzy brali się do bitki.

André wyciągał szyję, by dojrzeć, jak generał siada na krześle. Zauważył też, że żona Kellermanna nerwowo ściska w rękach chusteczkę, szarpie ją i wykręca. Spojrzał więc na nią i skinął głową, by dodać otuchy, ale jej wzrok utkwiony był w szerokich plecach męża.

## W cieniu gilotyny

Kellermann sprawiał wrażenie, jakby burzliwym powitaniem wcale nie był poruszony, ale kiedy spojrzął przez ramię, André dostrzegł, że jego spojrzenie jest twarde, niezłomne. Przez kilka minut wpatrywał się w żonę, potem spojrzął przelotnie na André, na kobiety i mężczyzn siedzących obok niego. A André zacisnął zęby, czując się pokrzepiony spokojem generała, choć być może wcale nie był tak do końca spokojny. To opanowanie nie powinno nikogo zadziwić. Człowiek z takim doświadczeniem, który tyle lat spędził na polach krwawych bitew w Europie, nie da się zastraszyć pogrożkom zacietrzewionego motłochu o czerwonych twarzach.

Główny sędzia zadzwonił jeszcze głośniejsze i nadal nawoływał do zachowania spokoju, ale dopiero kiedy strażnicy wyprowadzili z galerii kilku najbardziej hałaśliwych widzów, udało mu się zmusić zatłoczoną salę, by wyciszyła się na tyle, by można było rozpocząć rozprawę.

- Trybunał ten powołany został w termidorze, w drugim roku Republiki Francuskiej...

Czyli w lipcu 1794 roku. André przeliczył to błyskawicznie, choć jeszcze nie przywykł do republikańskiego kalendarza, jego zdaniem dość dziwnego.

- Sędzonym jest Christophe de Kellermann, znany również jako hrabia de Kellermann oraz generał Kellermann.

Znow rozległy się okrzyki dwojakiego rodzaju, czyli wyrazy entuzjazmu i szyderstwa. Sędzia spojrzął gniewnie na galerię, po czym mówił dalej:

- Pozwany oskarżony jest o sympatyzowanie z rojalistami i podjęcie działań w celu osłabienia Armii Francuskiej podczas operacji nad Renem. Oskarżenia wysunął generał Nicolai Murat.

To nazwisko również wzbudziło głośne okrzyki entuzjazmu. Stary sędzia odczekał chwilę, odchrząknął i odczytał tekst oskarżenia beznamiętnym głosem człowieka, który przywykł do skazywania mężczyzn i kobiet - nawet dzieci - na śmierć.

- Wzywam obrońcę pozwanego, Jean-Luca St. Claira, do powstania i udzielenia odpowiedzi na powyższe oskarżenia.

Na galerii ktoś syknął, po nim następni, a kiedy Jean-Luc wstał i starannie wygładził kamizelkę, wszystkie ławki zaskrzypiały, bo wszyscy widzowie wykonali to samo. Pochylili się do przodu, wyciągając szyje. Potem zapadła cisza jak makiem zasiał. André wstrzymał oddech, jak wszyscy umierając z ciekawości, co młody prawnik ma do powiedzenia.

- Dziękuję, Wysoki Sądzie. - Jean-Luc skinął głową sędziom, odwrócił się do sali i przemówił głosem jasnym, dźwięcznym. - Obywatele i obywatelki Paryża!

Jego spojrzenie i lekko uniesione ręce skierowane były ku galerii, bo André doskonale wiedział, że w rzeczywistości to galeria zadecyduje, kto zwycięży w tej walce, dlatego trzeba przede wszystkim wpłynąć na tłum, bo jego krzyki podpowiadają sędziom, jaki wydać wyrok.

- Mój klient, bohater spod Valmy, generał Christophe Kellermann, oskarżony został o sprzyjanie zdetronizowanemu i ściętemu tyranowi, obywatelowi Kapetowi, a także o utrudnianie działań armii francuskiej podczas kampanii w Nadrenii. Oświadczam, że dzisiaj, po przedstawieniu dowodów, zarzuty te zostaną odparte w imię sprawiedliwości, w imię rozumu. Oskarżenia, którym wy, dobrzy i uczciwi ludzie, obywatele

## W cieniu gilotyny

Republiki Francuskiej, przyjrzyjcie się dokładnie i przemyślcie. Oskarżeniom, które zapewne uznacie za absurdalne, ponieważ mijają się z prawdą. A stanie się tak, zanim jeszcze Wysoki Sąd ogłosi przerwę.

Mówił dalej, a André czuł, że na duszy robi mu się trochę lżej, bo młody prawnik wywarł na nim jak najlepsze wrażenie. Był pewny siebie i konkretny. Nie bawił się w żadne zbędne uprzejmości. W oszczędnych, doskonale dobranych słowach przedstawił sprawę swego klienta. Człowieka, któremu z racji arystokratycznego urodzenia przysługiwały liczne przywileje, ale który, gardząc próżniaczym życiem w zbytku i rozpasaniu, wstąpił do wojska. Dzięki waleczności i poczuciu obowiązku szybko awansował do stopnia oficera. Jako zaprawiony w bojach generał stanął na czele żołnierzy, którzy przyłączyli się do ludu, gdy ów lud powstał przeciwko tyranii i niesprawiedliwym przywilejom niektórych stanów. I to on wyruszył z wojskiem bronić rodzącej się republiki, gdy obca armia przekroczyła granice Francji, by zdławić rewolucję.

- Tych dwoje ludzi... - Jean-Luc zrobił parę kroków do przodu i rozłożył ręce, jedną wskazując na Murata, drugą na Kellermanna. - Obaj są bohaterami. Obaj generałami. Kiedyś byli przyjaciółmi, i ta przyjaźń trwała wiele lat. Ramię w ramię walczyli za Francję. Stąd pytanie, które każdy z nas powinien sobie teraz zadać. Czy Nicolai Murat obdarzyłby przyjaźnią generała Kellermanna, a podczas walki składał swój los w jego ręce - i vice versa - gdyby mu nie ufał? Nie uważał go za uczciwego obywatela, patriotę, człowieka wartościowego?

Jean-Luc na moment zawiesił głos. André domyślał się, że robi to specjalnie, dla większego efektu. Zamilkł, wypił łyk wody, i mówił dalej takim tonem, jakby był w szkole, w klasie zapchanej uczniami, i tłumaczył im coś bardzo skomplikowanego.

- Przed dwoma laty cały Paryż, cała Francja nosiła na ramionach bohatera spod Valmy, generała Kellermanna, który narażał życie, by dotrzymać obietnicy danej wolnemu narodowi. Jego słowa, jego okrzyk bojowy *Vive la nation!* zagrzewały naszych żołnierzy do walki, by odeprzeć Prusaków spod Valmy. Tak było. A teraz słyhać równie donośne głosy, które domagają się głowy generała Kellermanna. Dlaczego? Skąd ta zmiana?

Jean-Luc wzruszył nieznacznie ramionami i przemknął spojrzeniem po twarzach na galerii.

- Może... - Uniósł palec, jednocześnie przekrzywiając głowę. - Może stąd, że to my sami zmieniliśmy się? Teraz rozgorączkowani i zaciętrzewieni, bo pragnący ponad wszystko doprowadzić rewolucję do szczęśliwego zakończenia, a więc zdesperowani, a także obarczeni niełatwym zadaniem pokonania naszych wrogów. Dlatego staliśmy się zbyt gorliwi w potępianiu innych.

Jean-Luc ani razu nie spojrzał na Murata, cały czas miał wzrok utkwiony w ludziach na galerii.

- Paryżanie! Zaufajcie swojej intuicji! Znacie przecież generała Christophe'a Kellermanna. Znacie jako obrońcę ludu. I on się nie zmienił. Nadal nim jest!

Jean-Luc mówił teraz coraz głośniej, powoli unosząc rozłożone ręce, jakby ludzi z galerii przyzywał do siebie.

- Nie pozwólcie, by kierowało wami to, co w naturze człowieka złe. Co



## W cieniu gilotyny

doprowadza do tego, że kiedy starzy przyjaciele toczą spór, jeden z nich mobilizuje przeciwko drugiemu cały rząd!

Rozległ się szmer na galerii, niewyraźny, ale niewątpliwie były tam słowa aprobaty. Jean-Luc odczekał chwilę, póki znów nie zaległa cisza, i kontynuował:

– W ciągu minionych dwóch lat widziano wielu prowadzonych na gilotynę. Niektórzy z tu obecnych uważają, że generał Kellermann zasłużył na taki los. Ale jakie mają dowody? Na czym ma polegać przestępstwo? Jeśli zebranie żołnierzy i ludu Francji, i poprowadzenie ich na PRAWDZIWEGO wroga jest przestępstwem, to istotnie generał Kellermann jest winny. Jeśli zmuszenie wroga, by wycofał się z naszej ziemi jest przestępstwem, to generał Kellermann jest winny. Ale nie są to przestępstwa, lecz czyny heroiczne. Stąd pytanie do was. Czy dopuściliby się ich człowiek, który ponoć jest stronnikiem zdetronizowanego i nieżyjącego już tyрана?

Na galerii zrobiło się o wiele głośniej. Już nie były to pomruki, ale całe zdania pochlebne dla prawnika. A jeden z rewolucjonistów w czerwonych czapkach, który niewątpliwie przybył tu rano, by potępić oskarżonego generała, krzyknął:

– Vive Kellermann!

Ten okrzyk podchwyciła cała galeria. André, mimo woli uśmiechając się, zerknął na Sophie. A żołnierze siedzący obok niego też uśmiechali się i prostowali, podniesieni na duchu tą oznaką przychylności, jaką udało się obrońcy wykrzesać z tłumu na galerii.

Zauważył też, że Lazare spojrzął znacząco na Murata. A co można było wyczytać z jego twarzy? Niepokój? Czyżby liczył się z porażką? Jeśli tak, to dla André była to iskierka nadziei, dla pani Kellermann niewątpliwie też.

Jean-Luc znów uniósł ręce i przemówił donośnym głosem, przebijając się przez entuzjastyczne okrzyki tłumu.

– Przyjaciele! Przecież znacie generała Christophe'a Kellermanna, doskonale wiecie, kim jest! A wy jesteście żarliwymi patriotami, którzy nosili go na ramionach! Którzy słusznie okrzyknęli go zbawcą rewolucji! Dlatego powtarzam: mój klient jest winny, jeśli walka i przelewanie krwi w obronie rewolucji jest przestępstwem!

Wśród tłumu znów zawrzało, znów słychać było entuzjastyczne okrzyki, a wtedy Murat wstał i zagrział:

– Piękne słowa jak na młodego prawnika, który niedawno ukończył szkoły. Ale jedno chciałbym wiedzieć. Ileż to krwi w obronie Francji przelaliście wy, obywatelu St. Clair?

Słowa były jawnie obraźliwe, a tłum zaśmiał się szyderczo, już wyzwalając się spod wpływu obrońcy. Śmiano się, wymieniano głośne uwagi. André spojrzal na sędziów. Obawiał się, że jeśli natychmiast nie przywołają tłumu do porządku, to wzniosłe słowa obrońcy bohaterskiego generała nie będą już miały żadnego znaczenia.

– Proszę o ciszę! – Główny sędzia, ten z czerwoną twarzą i w czarnym kapeluszu z piórem, kilkakrotnie zadzwonił dzwoniem. – Proszę o ciszę, bo w przeciwnym wypadku rozprawa zostanie odroczone! – Zapadła cisza, a sędzia przemknął jeszcze raz po sali gniewnym spojrzeniem. – Czy obrona ma coś do dodania?

– Nie, Wysoki Sądzie. To było wszystko. – Jean-Luc skłonił głowę.

## W cieniu gilotyny

- W takim razie dziękuję wam - powiedział sędzia, a kiedy Jean-Luc usiadł na krześle, wezwał następną osobę. - Teraz wysłuchamy, co ma do powiedzenia oskarżyciel. Obywatelu Lazare, proszę.

Lazare wstał nieśpiesznie i odchrząknął. Jego jasne włosy, prawie tak białe jak upudrowana twarz, związane były z tyłu. W klapę szustokora miał wpiętą trójkolorową kokardę.

- Wysoki Sądzie! Sprawę przedstawi jeden z moich zastępców, mecenas Guy Mouchetard.

- Dobrze. A więc prosimy, obywatelu Mouchetard.

Obywatel Mouchetard, chudy mężczyzna z wystającym podbródkiem i swidrującym spojrzeniem, odsunął się z krzesłem od stołu i wstał. A André pomyślał, że to dobry znak. Gdyby Lazare'owi szczególnie mocno zależało na wygraniu tego procesu, niewątpliwie sam by zabrał głos. Ale tak się nie stało, i dobrze, bo obronie będzie łatwiej walczyć z zastępcą.

Owszem. Ale Lazare na pewno zdawał sobie z tego sprawę, a jednak dopuścił do takiej sytuacji...

Mouchetard, znacznie niższy od Jean-Luca, był niewątpliwie jego rówieśnikiem. Postukując obcasami, nieśpiesznie wyszedł na środek sali, przemknął spojrzeniem po twarzach tłumu i sięgnął do kieszeni po okulary. Wsadził je na nos, odczekał jeszcze moment i przemówił. Bardzo głośno, był to prawie krzyk.

- Kiedy powstała nasza wspólna republika, pojaliśmy tyrana i jego rozwiązała żonę. Tyran został postawiony przed tym samym sądem, przed tymi samymi ludźmi. Przed ludem Paryża, przed ludem Francji! Ujawniono trwające przez stulecia przestępstwa, zadłużanie, terror i przywłaszczenia. Kiedy zdarliśmy z Kapeta królewską purpurę, zobaczyliśmy, kim był naprawdę. Zepsutym do szpiku kości niedouczoneym półgłówkiem, który wykorzystywał lud Francji. Który obrastał w tłuszcz, karmiąc się nędzą tych, których podobno kochał!

Tłum na galerii, kiedy wspomniał o byłym królu, zasyczał. A Mouchetard mówił dalej, i to jeszcze głośniej:

- Wtedy zjednoczyliśmy się jako jeden naród. Waleczni obywatele Francji powstali przeciwko tyranii monarchy i jego służalczej arystokracji. Postawiliśmy tyrana przed sądem, żeby skończyć z kłamstwem i wyzyskiem! A wymagało to nie lada odwagi i niemało przelanej krwi obywateli tego miasta, bo nigdy jeszcze dotąd nie rozprawiono się tak z tyranem!

Mouchetard był coraz pewniejszy siebie. Znów zrobił krótką przerwę, po raz kolejny poprawiając okulary na nosie. Spojrzał też przelotnie na Lazare'a i skinął głową.

- Kiedy domagaliśmy się sprawiedliwości i posłaliśmy te dwie szyje pod ostrze gilotyny, była to chwila chwały naszej rewolucji!

Podburzony tłum prawie oszalał, pękając z dumy, upajając się dokonaniem królobójstwem. André spoglądał na to wszystko z niepokojem, trudno było przecież nie zauważyć, że szala zwycięstwa przechyla się na stronę oskarżyciela.

- A dziś mamy tu człowieka, który bez wątpienia zasłużył się naszemu krajowi. Nikt nie kwestionuje zasług hrabiego Kellermanna w walce. Wielu nazywa go przecież zbawcą!

Mouchetard, kiedy to wygłaszał, nie spojrzał na generała nawet

## W cieniu gilotyny

przelotnie, tylko stał ze skrzyżowanymi ramionami, patrząc na galerię.

- Ale my tu w znakomitej większości jesteśmy zwyczajnymi ludźmi. Rzadko używamy górnolotnych słów, w nadmiarze wykorzystanych przez obronę. I raczej nie słuchamy, gdy ktoś prawi nam kazanie jak ksiądz z ambony! - Na galerii rozległy się głośnie śmiechy. - Ja, jak wielu z was, jestem prostym człowiekiem. Przed kilkoma laty pracowałem u ogrodnika, zaczynając od przycinania drzew owocowych. I dlatego potrafię zadbać o ogród. Wiecie, jaka między innymi obowiązuje tu zasada? Jeśli roślina wypuszcza pęd, który rośnie zbyt szybko kosztem innych, trzeba go przyciąć, zanim ocienione przez niego gałązki zaczną usychać.

I wykonał ręką szybki ruch, jakby właśnie coś przycinał. A tłum naturalnie zakrzyczał i zaczął uderzać pięściami.

- Protestuję! - Jean-Luc wstał. - Po co ta lekcja o uprawie roślin? Co to ma do rzeczy?

Sędzia niecierpliwie zadzwonił dzwonkiem.

- Protest odrzucony. Proszę czekać na swoją kolej.

Ale Jean-Luc nie zamierzał ustąpić.

- Wysoki Sądzie! Nie wydaje mi się, żeby pouczanie o uprawie roślin miało jakiś związek ze sprawą generała Kellermanna - powiedział, wyraźnie starając się opanować wzburzenie. - Chociaż też miałbym coś w tej kwestii do powiedzenia. Rośliny rosną dobrze, kiedy podlewa je się wodą. A nie krwią!

- Teraz głos ma oskarżyciel! Obrona już się wypowiedziała!

Sędzia zwrócił się twarzą do Mouchetarda, ale on tylko coś tam wymamrotał wyraźnie zbity z tropu. A tłum, wyczuwając jego wahanie, zaczął buczeć.

- A więc? - ponaglił sędziego.

- A więc... Chciałem powiedzieć, że... - wyjąkał Mouchetard, który wyraźnie stracił wątek. Na galerii słychać było pomruki, Mouchetard przestał być dla tłumu wiarygodny i w André znów zapaliła się iskierka nadziei. Bo gdyby Jean-Lucowi znów udało się porwać tych ludzi...

Wtedy wstał Guillaume Lazare i spytał:

- Wysoki Sądzie, czy mogę?

Sędzia skinął głową i w sali zapadła cisza. Młody prawnik wrócił na swoje miejsce, a leciwy prawnik ruszył na środek sali, pocierając twarz. André widział, jak Lazare spojrział przelotnie na obronę, a za tymi pocierającymi palcami przemknął szyderczy uśmiech.

Stanął zwrócony twarzą do galerii. Nie mówił głośno, niemal cicho, dlatego każdy na galerii, kto chciał go dobrze usłyszeć, musiał pochylić się do przodu i nadstawić uszu.

- Chciałbym obywatelowi St. Clair i wszystkim tu obecnym obywatelom zadać jedno pytanie. Jak dawni monarchowie doszli do władzy nad naszym krajem, jeśli nie gwałtem i przemocą, a nawet rozlewem krwi? Jak książęta i pomniejsi arystokraci weszli w posiadanie ziemi i pałaców? Albo może inaczej. Jak król Jerzy III, angielski tyran, został wypędzony z kolonii w Nowym Świecie? Czy ludzie mogą zrzucić okowy tyranii bez użycia siły? - Zamilkł na moment, splótł chude palce przed cienką talią i uśmiechnął się chytrze. - Czekać cierpliwie, modląc się, filozofując? I ludzić się nadzieją, że despota pewnego dnia raptem się ocknie i będzie

## W cieniu gilotyny

gotów prehandlować swoje berło za konstytucję? Czy cierpliwość to skuteczna broń przeciwko jego pacholkom, przeciwko zimnej stali bagnatów? Czy gdyby królewski minister kazał ludowi jeść trawę, powinno się go posłuchać? Wykonać ten szyderczy rozkaz?

Tłum ożył, głośno wyrażając uznanie dla słów Lazare'a. André bardzo chciał, żeby Jean-Luc wstał i złożył protest. Bo co wspólnego ze sprawą Kellermanna ma ta lekcja historii? Ale Jean-Luc siedział cicho i słuchał wpatrzony w Lazare'a.

- W minionych wiekach było wielu tyranów, którzy wyrzynali innych, by zdobyć władzę. I bardzo niewiele, którzy oddali ją z własnej woli. Bo jakąż może mieć władca korzyść z tego, że ustąpi uzurpatorowi? Czyż nie będzie walczył, by ją zachować? Walczył ze swoim narodem, dokonując nawet rzezi?

Jean-Luc przecesał włosy, czekając niecierpliwie na swoją kolej, ale niestety Lazare miał jeszcze wiele do powiedzenia.

- Z tym zagrożeniem spotykamy się codziennie, każdego nowego dnia naszej rewolucji. Młodego i pełnego najlepszych chęci idealistę - tu, naturalnie, spojrział na Jean-Luca - może i stać na optymizm, ale od tego, drodzy przyjaciele, dzieli już tylko jeden krok do naiwności, która przed niczym nas nie obroni. Tuż za naszymi granicami stoją wojska obcych tyranów, szykując się do napaści i zniszczenia naszej młodej republiki. Nasza młoda wolność jest jeszcze nadzwyczaj krucha, niewyobrażalnie krucha. Wystarczy, że jeden człowiek, tylko jeden, ktoś spośród nas, zdradzi i otworzy bramy przed najemnikami obcego królestwa. Jeden człowiek, który wcale nie dąży do tego, do czego my dążymy. I stanie się. Znów na tronie zasiądzie tyran. I już po nas, już koniec naszej wolności!

Jean-Luc wstał.

- Wysoki Sądzie, ośmielam się prosić, by położyć kres tym całkowicie teoretycznym rozważaniom, tym zbędnym monologom, które uniemożliwiają skupienie się na właściwej sprawie, czyli na zbadaniu faktów i dowodów, na dojściu do prawdy.

- Protest uznaję. Obywatelu Lazare, usiądźcie - powiedział sędzia. Gdy stary prawnik skłonił się nisko i usiadł, sędzia kontynuował: - Obywatelu St. Clair, udzielam wam głosu.

- Wysoki Sądzie, chciałybym wezwać świadka.

- Proszę wezwać.

- Wysoki Sądzie, wzywam na świadka kapitana André Valière'a.

André, słysząc swoje nazwisko, natychmiast wstał, i czując na sobie wzrok setek ludzi, podszedł do stołu sędziów. Usiadł na wskazanym krześle ustawionym przed owym stołem i odruchowo spojrział w bok, na Kellermanna. A generał nieznacznie skinął głową, jakby chciał dodać mu odwagi. Co było niebywale, przecież to on najbardziej potrzebował, by ktoś podniósł go na duchu.

Jean-Luc odczekał, aż André usiądzie, po czym przystąpił do przesłuchania:

- Obywatelu, przedstawcie się, proszę.

- Jestem André Martin-Laurent Valière, kapitan Armii Republiki Francuskiej.

- Gdzie i kiedy zawarliście znajomość z pozwanym?

- Służyłem pod rozkazami generała Kellermanna podczas bitwy pod

## W cieniu gilotyny

Valmy oraz podczas kampanii nad Renem, latem i jesienią w 1792 roku... to znaczy w pierwszym roku republiki.

Jean-Luc z pomocą André pokrótce przedstawił okoliczności, jakie doprowadziły do bitwy pod Valmy. Mówił o groźbach Prusaków, o przekroczeniu francuskiej granicy przez armię pruską i austriacką, o marszu na Paryż. O decyzji generała Kellermanna o bitwie na polach pod Valmy. Potem poprosił, by André opowiedział o tym dniu. I André opowiedział, a wszyscy słuchali, gdy zaś doszedł do punktu kulminacyjnego swojej opowieści, słuchali z zapartym tchem. O tym, jak pruski osiłek pojawił się nad rannym André i wycelował bagnetem w jego głowę. Jak w ostatniej chwili pojawił się tam również generał Kellermann i położył Prusaka trupem.

Kiedy André skończył, Jean-Luc westchnął tak głęboko, że na pewno słyhać było również na galerii.

– Czyli jednoznacznie stwierdzenie, kapitanie, że tamtego dnia generał Kellermann uratował wam życie?

– Tak.

– Czy uważacie również, że to generał Kellermann poprowadził żołnierzy do decydującego uderzenia, kiedy wreszcie doszło do przełamania linii wroga i Francja odniosła zwycięstwo?

– Tak.

– Czy słyszeliście kiedykolwiek, by generał Kellermann wypowiadał się przeciwko republice?

– Nigdy!

Murat poruszył się niespokojnie i szepnął coś do ucha Lazare'owi, który pokiwał głową.

– Czy świadomi jesteście, kapitanie Valière, że przybywając tu i składając zeznania na korzyść oskarżonego, ryzykujecie życie? – mówił dalej Jean-Luc. – A mimo to przybyliście tu z własnej woli, bo honor żołnierza i honor obywatela nakazał wam powiedzieć ludowi francuskiemu prawdę?

André przełknął, bo w gardle miał sucho, ale przemówił głosem donośnym i stanowczym:

– Tak, jestem świadomy ryzyka i konsekwencji. Generał Kellermann postąpiłby tak samo w obronie lojalnego Francuza.

Wielu z tłumu pokiwało głową, a ktoś na galerii głośno zagwizdał, by wyrazić swe poparcie dla świadka obrony.

– Dziękuję, kapitanie Valière. – Jean-Luc prawie niezauważalnie mrugnął porozumiewawczo do niego i zwrócił się do sędziów. – Wysoki Sądzie, obrona nie ma więcej pytań do świadka.

Lazare podniósł rękę.

– Słucham, obywatelu Lazare – powiedział sędzia.

– Czy wolno mi zadać świadkowi kilka pytań?

– Proszę. Pytajcie.

Lazare wstał, a André cały zeszywniał. W uszach zaszumiało, a przed oczami raptem pojawiła się twarz ojca. Szybko zamrugnął, starając się zapanować nad wzburzeniem. A Lazare nieśpiesznie podszedł do niego.

– Kapitan Valière?

– Tak.

– Aha... – Lazare uśmiechnął się drwiąco, popukując palcem w brodę. –

## W cieniu gilotyny

A ja bardzo chciałbym wiedzieć, co zrobiliście ze swoją arystokratyczną przeszłością? Urodziliście się przecież jako de Valière, czyż nie tak?

Ludzie zaczęli szeptać między sobą, a André poruszył się niespokojnie, aż krzesło zaskrzypiało. Po czym oświadczył:

– Przedkłem się tytułu i ziemi przed laty i przysięgłem Rewolucji.

Lazare pokiwał głową i zrobił kilka kroków przed świadkiem, ale nie spoglądając na niego.

– Czy wasz ojciec również zrzekł się tytułu?

Palce André kurczowo chwyciły się krzesła, bo najchętniej rzuciłby się na tego łotra i udusił go. Udusił drania, który sprowadził śmierć na jego ojca.

– Mój ojciec... on...

Lazare czekał cierpliwie, łagodnie spoglądając na André.

– Mój ojciec nie żyje – wydusił z siebie wreszcie.

A Lazare, przechyliwszy głowę na bok, powiedział:

– Bardzo wam współczuję. Możecie nam powiedzieć, jak umarł wasz ojciec?

– Został zabity.

– Domyślam się, że na gilotynie?

André pokiwał głową.

– Proszę odpowiedzieć, kapitanie Valière. Tak czy nie? Ten fakt jest istotny dla Wysokiego Sądu.

– Tak – powiedział André, starając się powstrzymać od spojrzenia na Sophie.

– O co został oskarżony markiz de Valière?

– O sympatyzowanie z rojalistami.

– O co? – Lazare demonstracyjnie przyłożył rękę do ucha. – Nie słyszę. Proszę głośniej!

– O sympatyzowanie z rojalistami – powtórzył André znacznie głośniej i mimo że ze zdenerwowania szumiało mu w głowie, słyszał, jak na galerii zawrzało. Czyli Lazare osiągnął swój cel, zdyskredytował go jako świadka.

– Kapitanie... – zaczął znów Lazare, podejmując swoją przechadzkę. – Służycie dzielnie. Wszyscy dziękujemy wam za oddanie republice.

André naturalnie za pochwałą nie podziękował, było przecież oczywiste, że zaraz nastąpi cios.

– Kapitanie de Valière, czy kiedykolwiek słyszeliście, jak hrabia de Kellermann broni nieżyjącego tyrana zwanego obywatelem Kapetem?

– Nigdy.

Lazare powoli pokiwał głową.

– Pod Valmy służyliście pod rozkazami generała de Kellermanna. Czy potem widzieliście go jeszcze kiedyś?

– Naturalnie, że tak.

– Czy spotkaliście generała kiedyś prywatnie? Nie jako żołnierz podlegający jego rozkazom?

André zastanowił się przez moment.

– Nie, nie sądzę...

– Nigdy? A czy przypadkiem nie wydarzyło się to raz, tutaj, w Paryżu?

André znów milczał przez chwilę, wyczuwając, że chytry prawnik ma na niego jakiś haczyk.

## W cieniu gilotyny

Pomyślał chwilę i nagle go olśniło.

– Tak, raz to się zdarzyło.

– Czyli jednak! – Lazare spojrział na galerię, upewniając się, czy ludzie słuchają uważnie i nie umknęło im, że świadek zmienił zeznanie. – W jakich to było okolicznościach?

André ponownie zrobił sobie krótką przerwę na głęboki wdech. Chciał zachować stoicki spokój, choć czuł, że wszystko wymyka mu się z rąk.

– Tak, to było w Paryżu na balu wydanym przez jakobinów po zwycięstwie pod Valmy. W zimie, tuż po świętach Bożego Narodzenia.

– Bożego Narodzenia? – powtórzył Lazare.

André skrzywił się na ten swój błąd.

– Nowy rok... To miałem na myśli. Tuż przed nowym rokiem – poprawił się szybko.

Lazare pokiwał głową, oczywiście powoli, żeby cała sala utrwaliła w pamięci błąd świadka.

– Kapitanie de Valière, proszę nam opowiedzieć o tym wieczorze. Kto tam jeszcze był, o czym rozmawiano.

André obrócił głowę i po raz pierwszy spojrział w szare jak wzburzone morze oczy Murata.

– Był tam generał Murat, także pani... obywatelka Kellermann.

Lazare pokiwał głową.

– Czyż nie było to tego dnia, kiedy lud zdecydował o egzekucji obywatela Kapeta?

André zastanowił się przez chwilę. W jego pamięci naturalnie ożyły przede wszystkim chwile spędzone z Sophie. Jak stali przed Panteonem na mrozie, jak już zaczynał marzyć o tym, że będzie mu dane spotkać się choć jeszcze raz z tą śliczną i uroczą dziewczyną. Tak... Ale oczywiście, wydarzyło się to tego samego dnia, w którym przegłosowano wyrok śmierci na króla, dlatego Murat zabrał szybko Sophie do domu.

– Sądzę, że tak.

– Tak sądzicie... – Lazare, nadal robiąc po kilka kroków tam i z powrotem, podparł palcem brodę. – A czy przypadkiem we troje, to znaczy generał Murat, hrabia de Kellermann i wy, kapitanie, nie rozmawialiście o tym jakże ważnym wydarzeniu?

– Może i zamieniliśmy na ten temat kilka słów.

– Złożyliście przysięgę, kapitanie, a więc zastanówcie się, zanim odpowiecie na kolejne pytanie. – Głos Lazare'a stał się bardzo oschły. – Bardzo bym nie chciał, byście okłamali lud francuski, a czyniąc to, sami odebrali sobie wolność.

André nerwowo zmienił pozycję w krześle, a Lazare wyjął z kieszeni jakąś kartkę. Odchrząknął, po czym rękę z kartką wysunął przed siebie, niewątpliwie by wyglądało to dramatycznie, i przeczytał:

– Hrabia de Kellermann oskarżony jest przez generała Murata o to, że podczas rozmowy na temat odpowiedniego ukarania obywatela Kapeta oświadczył, co następuje: wcale nie jestem pewien, czy zgadzam się z jakąkolwiek egzekucją wykonaną w imieniu naszej republiki.

Na galerii nie po raz pierwszy zawrzało. Spojrzenie Lazare'a przemknęło w górę i wróciło do André, który mimo woli spojrział na Jean-Luca. Był przerażony, bo przecież słyszał, jak Kellermann powiedział właśnie to!

## W cieniu gilotyny

- Kapitanie, czy przypominacie sobie, jak generał Kellermann wypowiadał te słowa? - spytał Lazare głośno, by wszyscy go usłyszeli. Zanim jednak André zdążył cokolwiek powiedzieć, znów wbił wzrok w kartkę. - I jeszcze jedna wypowiedź generała Kellermanna. Generał Murat pamięta, że kiedy rozmawiano o austriackiej cudzołożnicy, o księżniczce Habsburżance, którą posłaliśmy do grobu, hrabia de Kellermann powiedział, że żurnaliści zdecydowanie przesadzają i wiele oskarżeń, które przytaczają, jest fałszywych... że wbrew opinii wielu Maria Antonina wcale nie wywierała tak wielkiego wpływu na dwór wersalski. A na pewno była oddaną żoną. Dała przecież królowi tak liczne potomstwo.

Tłum na galerii oszalał. Życzliwe słowa o Ludwiku budziły wielki gniew, ale jeśli chodzi o zmarłą królową, Marię Antoninę, to miejsce kogoś, kto odważył się powiedzieć choćby jedno życzliwe słowo pod jej adresem, było na wozie ze skazańcami.

Sędzia dzwonił i dzwonił, starając się przywołać rozjuszonych ludzi do porządku.

- Spokój! Proszę się uspokoić! Nie życzę sobie takich awantur!

Kiedy na galerii pojawili się strażnicy z uniesionymi muszkietami, gniwne okrzyki ucichły. Kobiety zabrały się za swoje robótki, małe dzieci zostały odsunięte od bariery.

A Lazare znów zaczął się przechadzać.

- Kapitanie, kiedy zapewne odświeżyliście już pamięć, pozwolę sobie powtórzyć pytanie: czy słyszeliście, jak hrabia de Kellermann wypowiada się życzliwie o obywatelu Kapecie? - Świdrował André stalowym spojrzeniem, niewątpliwie pewien, że uzyska odpowiedź taką, jaką chce usłyszeć.

- To było bardzo dawno temu. Trudno, żebym zapamiętał dokładnie, co mówiono. Pamiętam tylko, że generałowie Kellermann i Murat rozmawiali o rewolucji i jej skutkach... - Tłum znowu zawrzał, znów słyhać było gniwne okrzyki i szyderstwa, ale André, wzburzony tą napaścią, zaczął mówić bardzo głośno. - Jeśli chodzi o bal jakobinów, to pamiętam, że generał Kellermann powiedział, że monarchia powinna być zniesiona i król wtrącony do więzienia. I pamiętam jeszcze coś, co powiedział generał Murat. Że wielu prostych ludzi to głupcy, którzy nie są jeszcze gotowi do rządzenia.

Tłum przycichł, ale tylko na chwilę, a potem gawiedz, nie mając pewności, komu ostatecznie należy urągać, znów podniosła krzyk, a sędzia znów zaczął dzwonić swoim dzwonkiem.

Lazare odczekał, aż podżegacze zostaną wyprowadzeni i porządek w sali zostanie przywrócony. I przemówił, ale nie do André, lecz do ludzi na galerii:

- Obywatele i obywatelki Francji! Nie ma żadnych wątpliwości, że obaj ci generałowie dokonali wielkich czynów dla naszego kraju. Kellermann, jak prawdziwy żołnierz, nie bał się przelać własnej krwi. Ale dziś nie jesteśmy tu po to, by mówić o ich męstwie. Jesteśmy tu, by zadecydować, czy jest winny braku lojalności wobec Rewolucji, czy jest winny sympatyzowania ze zmarłym tyranem. A tego rodzaju sympatie są sprzeczne z rozwojem naszej rewolucji. Słyszeliście, jakie słowa wtedy padły. Generał Murat przysiągł, że słowa te istotnie zostały



## W cieniu gilotyny

wypowiedziane, a André, syn markiza de Valière'a, to potwierdził. Wiecie dobrze, co teraz należy uczynić.

Odwrócił się do Jean-Luca, skłonił się niezbyt nisko i usiadł na krześle. A Wysoki Sąd wstał i udał się na naradę, trwającą trzydzieści minut.

Kiedy Jean-Luc wszedł po przerwie do sali, twarz miał ściągniętą, a włosy, przedtem starannie związane wstążką, były w nieładzie. I zaczął konferować ze swym klientem. A po drugiej stronie sali Lazare i Murat w milczeniu zajmowali swoje miejsca.

André, na swoim miejscu za obrońcą, czuł się tak, jakby miał żołądek pełen kamieni. Zarzucał sobie, że swoim wystąpieniem zamiast wesprzeć Kellermanna, pomógł oskarżycielowi. Kiedy zdał sobie z tego sprawę, był zrozpaczony, bo nadziei nie było już żadnej. Czuł to samo co tamtego dnia, kiedy ścięto jego ojca.

A dzisiaj czuł się jeszcze winny. Nie umiał odpowiedzieć szybko i trafnie, nie umiał zręcznie odeprzeć oskarżeń i tym samym zasiał ziarno wątpliwości w głowach tłumu.

Sędziowie weszli z powrotem do sali. Sędzia główny stuknął młotkiem, nakazując wszystkim zająć miejsca i wysłuchać mów końcowych.

- Najpierw wysłuchamy mowy obrońcy. Udzielam wam głosu, obywatelu St. Clair.

Jean-Luc wstał, odchrząknął i wyszedłszy na środek sali, spojrzął na galerię, po czym oznajmił:

- Zamiast mowy końcowej wzywam pozwanego, generała Christophe'a Kellermanna.

Po galerii przebiegł szmer, ktoś krzyknął, a André z całej siły chwycił się krzesła, kiedy patrzył, jak Kellermann wstaje. Człowiek, który tego dnia, w tej sali był ośrodkiem zainteresowania, ale do tej chwili nie odezwał się ani słowem. Prawie zapomniano, że jest tu obecny.

A teraz na generale skupiła się uwaga wszystkich. Na mocno zbudowanym, pełnym powagi mężczyźnie, który stanął przed sędziowskim stołem i spojrzął w bok, gdzie siedziała jego żona. Uśmiechnął się, potem przemknął spojrzeniem po twarzach swoich żołnierzy. André, LaSalle, Remy i pozostali, którzy siedzieli tu przez cały czas. Skinął im głową, dziękując, że przyszli, i spojrzął w górę, na galerię, na żołnierzy zaciężnych, na żarliwych rewolucjonistów, którzy pragnęli widzieć go martwym, na członków Komitetu, którzy potrafiliby podać sto powodów, dlaczego w świetle prawa nie powinien już posiadać głowy.

- Obywatele! Przez większość mego życia służyłem królowi Ludwikowi XVI. - Na dźwięk tego imienia natychmiast rozległy się szepty, ale niezrażony Kellermann mówił dalej: - Uważałem się za żołnierza. Moim zadaniem było wykonywanie rozkazów króla, co przysiągłem w dniu, w którym po raz pierwszy miałem zaszczyt włożyć francuski mundur. Kiedy lud francuski uznał, że obywatel mieszkający w Wersalu nie jest już prawdziwym i prawowitym przywódcą tego kraju, włączyłem się do jego walki i miałem zaszczyt uczestniczyć w zdobywaniu wolności dla francuskiego ludu. Nikt bardziej nie ceni wywalczonych w ostatnich latach praw i przywilejów niż ja, bo wiem, jak niebezpieczna była ta walka, ile wymagała ofiar! - Kellermann zamilkł na chwilę, dalej wpatrzony w galerię. - Zawsze będę służył każdemu prawowitemu

## W cieniu gilotyny

przywódcy, walczył w obronie tych praw do ostatniej kropli krwi. Jeśli ten trybunał, ci sędziowie – Kellermann wskazał na sędziów, nie patrząc na nich – uznają mnie winnym, znaczyć to będzie, że taka jest w tym kraju litera prawa. W kraju, gdzie brat denuncjuje brata, gdzie sąsiad napada na sąsiada. Jeśli rewolucja dalej pójdzie tą drogą, to najpewniej nadejdzie dzień, kiedy sami zepchniemy się w przepaść. I nie tylko będzie to głód, przelewanie krwi, wojna. Zagubią się nasze dusze.

André pragnął ponad wszystko, by ludzie na galerii słuchali tego uważnie, by nie lekceważyli tego ostrzeżenia.

A Kellermann, przemierzając salę, mówił dalej:

– Czy terror trwać będzie wiecznie? Modłę się, żeby tak się nie stało. Ale czy skończy się, jeśli rządzić nami będzie niepodzielnie nieufność, chaos i denuncjacje? Czy damy radę znów stać się ludźmi, narodem?

General mówił, przemierzając salę, starannie unikając wzroku żony, która siedziała na ławce nieopodal sędziowskiego stołu. André to zauważył. I słyszał też jej cichy płacz.

– Dziś oskarżono mnie o działanie na szkodę rewolucji. Czego nie uznaję za słuszne... – Kellermann spojrzał na Murata, który też spojrzał na niego bardzo chłodno. – Niewielu zna mnie tak długo jak generał Murat, niewielu walczyło ze mną ramię w ramię tyle razy co on. Był czas, kiedy byliśmy największymi przyjaciółmi. Więcej, byliśmy jak bracia. Oddałbym za niego życie, jak zresztą za każdego mojego żołnierza. Nie pojmuję, dlaczego mój drogi przyjaciel wysunął wobec mnie takie oskarżenie. Nie pojmuję. Ale wybaczam mu. – Nadal patrzyli sobie w oczy, póki Murat nie spuścił głowy. – Tak, Nicolai. Niezależnie od tego, co jeszcze dzisiaj się wydarzy, niezależnie od tego, jakim ty mnie widzisz, chcę, żebyś wiedział, że wybaczam ci. A ludowi Francji życzę z całego serca, aby błogosławieństwem wolności obdarzony został każdy człowiek bez względu na urodzenie. I pozostał wolnym do końca swoich dni. – Kellermann usiadł i zgarbił się, jakby wypowiedzenie tych słów odebrało mu resztki sił. Na pewno słyszał ciche łkanie żony, ale nie spojrzał na nią ani razu.

Wtedy obecni na sali żołnierze zaczęli wstawać jeden po drugim, aż wstali wszyscy. Żołnierze i oficerowie wyprężyli się w postawie na baczność i unieśli ręce, salutując swemu generałowi. Którego kochali. André naturalnie też. Widział, jak generał odwrócił się, popatrzył na nich i mógłby przysiąc, że oczy zaprawionego w boju dowódcy załśniły, a po policzku spłynęła łza.

Lazare, niewątpliwie zaskoczony niespodzianą demonstracją solidarności z pozwanym, odczekał chwilę. A w sali panowała cisza, jakby sędziowie i jakobini, w ogóle wszyscy czuli, że tej chwili, gdy komuś oddaje się cześć, zakłócać nie wolno. Tylko młody prawnik siedzący obok Lazare'a zaczął coś mu szeptać do ucha, a Lazare pokręcił głową.

– Udzielam głosu oskarżycielowi – powiedział sędzia.

Mouchetard wstał i ruszył na środek sali, energicznie pocierając ręce, jakby zamarzył mu na kość.

– Pięknie powiedziane, generale Kellermann – zaczął – ale sąd nie ulegnie emocjom. Bo to właśnie przez te wszystkie sentymenty zyliśmy w mroku pod jarzmem tyrańca. O wiele za długo. Ale w końcu oświeciło nas. Staliśmy się wolnymi ludźmi i żadne sentymenty nie powstrzymają

## W cieniu gilotyny

nas od spełnienia obowiązku wobec rewolucji. A skoro mowa o walce, to ten sąd, obywatele, jest również polem bitwy. Walczymy o wypalenie spośród nas wrogów rewolucji!

Tłum, nadal poruszony słowami Kellermanna, zaczął posykiwać na Mouchetarda. Jakaś kobieta rzuciła w niego szpulką, trafiając w głowę, a okulary zsunęły mu się z nosa i spadły na podłogę, co powitano gromkim śmiechem. Śmiała się i galeria, i żołnierze.

I wtedy wstał Lazare. Mouchetard z miną zbitego psa wrócił na swoje miejsce, a Lazare na środek sali. Zapadła cisza. A André, choć nie patrzył, wyczuwał doskonale, że nieszczęsna pani Kellermann drży jak w febrze.

– Obywatele! – zaczął Lazare głosem równym i spokojnym. – Wysłuchaliście świadka, wysłuchaliście pozwanego generała Kellermanna, który wcale nie pochwała, że ten trybunał skazał na śmierć tyrana i jego żonę cudzoziemkę. – Lazare odchrząknął, złożył ręce i splótł palce. – Obywatele, chyba nie muszę wam przypominać, że od samego początku naszej rewolucji mamy wielu wrogów i w Paryżu, i poza granicami naszej republiki. Zaczniemy od tych drugich, od obcych najemników, którzy zamierzają zdławić rewolucję i osadzić na tronie kolejnego tyrana. Tych wrogów poznasz na pierwszy rzut oka. Noszą inne mundury i maszerują przez nasze ziemie na rozkaz cudzoziemskich władców. Ale co z tymi wrogami, którzy są wśród nas, na naszej ziemi? Wrogami o wiele bardziej perfidnymi, o wiele bardziej niebezpiecznymi, ponieważ niezmiernie trudno ich zidentyfikować. A ten wróg, którego dziś sądzimy, jest wewnętrznie rozdarty. Jest patriotą tylko w połowie, bo podaje w wątpliwość słuszność naszej rewolucji. Owszem, deklaruje lojalność wobec republiki i cieszy się z naszej wolności, ale jednocześnie w głębi duszy zastanawia się i kwestionuje wyrok naszego trybunału, kwestionuje uchwaloną przez nas konstytucję, kwestionuje kroki, które musimy podejmować wobec naszych wrogów. Przed tego rodzaju wrogiem, jakim jest pozwany, musimy się mieć na baczności. I to z ich powodu drzę o dalsze losy naszej rewolucji. Prusacy i Austriacy poszli sobie, a ci wrogowie są tutaj, wśród nas. Udadaj przyjaciół, podpatrują nas i są niezwykle niebezpieczni.

Lazare zawiesił głos. W sali panowała teraz cisza, a André tą ciszą, dla niego upiorną, był zrozpaczony.

– Naturalnie nie zapominamy o tym, że pozwany odparł wrogie wojska spod Valmy. Jesteśmy mu niezmiernie wdzięczni, że uratował naszą młodą republikę. – Lazare odwrócił się, skinął głową Kellermannowi i ponownie zwrócił się do galerii. – Ale ten człowiek wcale nie wierzy tak do końca w rewolucję. Ma wątpliwości. Zakwestionował nasze poczynania, które są niezbędne, by rewolucja posuwała się do przodu. Słyszeliście, jakie jest jego zdanie. Ma wątpliwości, czy powinno się odbierać życie obywatelowi Kapetowi i wcale nie uważa jego austriackiej żony za cudzołożnicę, kiedy my wszyscy dobrze wiemy, że nią była! Pozwany nie jest też przekonany, czy gilotyna powinna być w użyciu!

Znow nastąpiła chwila przerwy, a potem ponownie rozległ się zdecydowany głos Lazare'a:

– Obywatele i obywatelki, nie pora na wątpliwości! Na wahania, na półpatriotów. Nie wolno ufać tym, co kwestionują nasz wysiłek, nasze szlachetne dzieło! Bo zbyt wiele mamy do stracenia. Dlatego jasne jest jak

## W cieniu gilotyny

słońce, że ci, którzy nie są oddani rewolucji do końca, są naszymi wrogami. A jak powiedziałem, niełatwo ich odszukać i wyplenić. To trudne zadanie jest obowiązkiem każdego patrioty. Nie jest łatwo spojrzeć im w oczy i powiedzieć, że muszą umrzeć. Ale lud francuski, uciskany przez tyle wieków, przywykł do ciężkiej pracy, do zmagania się z trudnościami i nie uchylił się od tego obowiązku. Wykona go naleyście, bo jest świadomy, że wśród nas znajduje się wielu takich, którzy chcą z powrotem wtrącić lud w ciemność. Tak więc, moi dobrzy i oświeceni obywatele i obywatelki, spełnijcie swój obowiązek. Wiem, że to uczynicie. Na rozkaz trybunału nóż gilotyny musi opaść. Wobec hrabiego de Kellermanna, wobec wszystkich, którzy kwestionują naszą prześwietną Rewolucję, nie będziemy się ociągać z podjęciem decyzji. Bo albo my, albo oni. Bo dobrze wiemy, że jeśli dziś ich ułaskawimy, jutro znów popadniemy w niewolę. A nie wolno nam dopuścić, by to spotkało lud francuski. Obywatele i obywatelki! Cały naród patrzy na nas! Spełnijmy nasz obowiązek. Spełnijmy go dziś i spełniamy zawsze, bo my wybraliśmy wolność!

Kiedy Lazare skończył, nie słycać było żadnych okrzyków. Nikt nie klaskał, nikt nawet nie szeptał. Zaskoczony André spojrział na galerię i zobaczył, że kobiety odkładają robotki i tulą dzieci, a mężowie otaczają żony ramieniem.

Bo już nie chodziło o samego Kellermanna, Valmy, Murata czy o to, co komu zdarzyło się powiedzieć podczas rozmowy na pewnym balu. Tylko o ten wszechobecny strach, który czuli już wszyscy, bo Lazare przypomniał im o czymś, o czym na chwilę zapomnieli. Że każdy obecny na tej sali może pożegnać się z życiem. Każdy, kto będzie bronił nieodpowiedniej osoby, kto będzie mówić nie to, co trzeba, trafi na gilotynę.

Ludzie na galerii wcale nie nienawidzili Kellermanna, wcale nie chcieli, by go zabito. Chcieli tylko ocalić siebie. To było dla nich najważniejsze.

Na tym polegął geniusz Lazare'a.

Sąd udał się na naradę, ale galeria, która podczas poprzedniej przerwy szalała, teraz była spokojna, ucichły nawet dzieci. Bo każdy z nich nadal czuł na sobie lodowaty oddech największego strachu, który przed chwilą zamroził im serca. Serca, które jeszcze przed chwilą wiedziały, co to współczucie i braterstwo.

Sędziowie pojawili się już po kilku minutach. Na ich widok wszyscy poderwali się z miejsc, prostując się, pochylając do przodu, wyciągając szyje. A sędzia, ale nie ten główny, odczytał wyrok. Zrobił to szybko beznamiętnym głosem, jakby te słowa wypowiadał codziennie. Słowa, które sprawiły, że pod André nogi się ugięły.

- Trybunał ludu francuskiego uznaje generała Christophe'a Kellermanna winnym spiskowania przeciwko republice i ludowi francuskiemu, i skazuje go na śmierć przez ścięcie na gilotynie w ciągu dwudziestu czterech godzin.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

### Plac Rewolucji

### Paryż

Lipiec 1974 r.

Jean-Luc szedł po prostu przed siebie. Szedł, bo wiedział, że podczas tej ciepłej, aksamitnej nocy nie da rady trwać w bezruchu. Musi iść. Do Marie zapewne dotarła już wieść. Na pewno nie śpi, zamartwia się o niego i chce go jak najszybciej przytulić i pocieszyć. Ale godziny mijają, a on do domu nie wracał, tylko szedł bez celu ciemnymi ulicami Paryża, a w głowie kłębiły się różne myśli. Także ta, że nie zasłużył na pociechę w ciepłych ramionach żony, na radość i dumę, co odczuwa zawsze, gdy spojrzy na synka. Nie potrafiłby wrócić do domu, kiedy Kellermann, człowiek, który mu zaufał, spędza swą ostatnią noc w zatęchłym lochu i jedyne, co go czeka o poranku, to szafot.

Dlatego szedł dalej w noc. Na ulicach nie było żywej duszy, towarzyszyły mu tylko drzewa, wielkie lipy szumiące na wietrze, i migotliwa Sekwana. A także cisza z rzadka przerywana pluskiem, kiedy po czarnej wodzie przepływała barka wioząca ładunek na zachód.

Nagle ze smutnych rozmyślań wyrwały go jakieś głosy. Wrócił do rzeczywistości i zauważył, że znalazł się w nieznanej mu okolicy.

– Położysz tutaj, jak to robi zwykle Sanson. Dzisiaj też to robi, tylko trochę później.

– A jakże! Tyle że nie będzie zabawiał się melonami. Słyszałem, że na pierwszy ogień ma iść jakiś stary generał.

– O! A nie szkoda takiego właśnie melona?

Któs zaśmiał się hałaśliwie, a Jean-Luc zatrzymał się w pół kroku, czując, jakby coś zaciskało się na jego szyi.

Sanson.

Kat miasta Paryża, mistrz w zabijaniu na gilotynie. Czyli już wiadomo, dokąd zawędrował. Kiedy to sobie uzmysłowił, nogi stały się ciężkie jak z ołowiu. Był przecież na placu Rewolucji. W nikłym świetle świtu widział na tle szarzejącego nieba sylwety okazałych gmachów z fasadami z kamienia wapiennego, które wzniesiono dla urzędników królewskich za panowania Ludwika XIV i jego następcy, Ludwika XV. A znacznie bliżej stał złowrogi szafot ze smukłym, wznoszącym się ku niebu morderczym narzędziem z wielkim srebrzystym nożem połyskującym w pierwszych promieniach słońca. I to narzędzie robotnicy przygotowywali do kolejnego spektaklu, który miał się odbyć tego dnia, spodziewano się przy tym, że zjawi się mnóstwo widzów. Może nawet tyłu, ilu przybyło zobaczyć śmierć króla Burbona.

Było jeszcze wystarczająco ciemno, by Jean-Luc pozostał niezauważony. Stał jak skamieniały i patrzył na uwijających się robotników. Jak zeskrobują z szafotu brud, zmiatają kurz ze schodków, sprawdzają gwoździe i sznury, dzięki którym gilotyna utrzymuje się w pionie. Jeden

## W cieniu gilotyny

z robotników dźwigał duży wiklinowy koszyk. Musiał być ciężki, bo kiedy wnosił go po schodkach, ciężko dyszał. Wszedł na szafot, doszedł do miejsca, gdzie staje kat, i serce Jean-Luca zabiło szybciej, bo wiedział, co zaraz zobaczy. Robotnik wyjął z kosza coś okrągłego i wsunął do wyłobienia w desce na dole przyrządu. Szybko, zęcznie, czyli musiał robić to już wiele razy.

Zewsząd podchodzili pozostali robotnicy i wchodzili na szafot, ustawiając się w rząd zniecierpliwionych widzów.

- Dobra! Dawaj! - krzyknął jeden z nich, a drugi podszedł do dźwigni, pociągnął i srebrzysty nóż ruszył w dół, opadając z wielką siłą. Było jasne, że tego noża nic nie powstrzyma. Zawsze opadnie w dół, zawsze przetnie na pół, tak jak teraz. Rozległ się złowrogi chrzęst przecinanego owocu. Robotnicy wydali radosny okrzyk i zeskokczyli z szafotu, by z bliska ocenić rezultat pokazu.

- Wspaniale! Pocziwa staruszka nigdy nie zawiedzie.

Jean-Luc mimo woli zrobił krok do przodu i wydał z siebie zduszony jęk. Robotnicy natychmiast odwrócili się i mrużąc oczy, starali się coś dojrzeć w ciemnym zaułku.

- Hej, ty tam! Co się czaisz? Pooglądasz sobie później!

- A może chce osobiście wypróbować naszą staruszkę?

- Czemu nie? Właż! Tylko uważaj na głowę!

Rozległa się kolejna salwa śmiechu, ale Jean-Luc oczywiście milczał, tym bardziej że od tego wszystkiego zrobiło mu się słabo i musiał zwymiotować w tym ciemnym zaułku. Otarł usta i znów spojrzął na plac, który już za kilka godzin będzie splamiony krwią.

W dniu egzekucji Kellermanna poranek był chłodny i rześki. Tłum widzów przybył bardzo wcześnie. Kobiety zajmowały miejsca z przodu, tuż przed gilotyną, i zajęte robotkami czekały na wozy, którymi nieszczęśnicy przejeżdżali po moście nad Sekwaną i wjeżdżali na plac Rewolucji.

W miarę jak zbliżała się wyznaczona godzina, André czuł coraz większą potrzebę, by udać się na plac Rewolucji. Jednak coś go tam wzywało. Powinien być świadkiem, jak wielki człowiek odchodzi z niewdzięcznego świata.

Szedł przez miasto tego dnia wyjątkowo tętniące życiem. Co chwila ulicą przejeżdżał wóz wyladowany po brzegi jabłkami, śliwkami, beczułkami wina i piwa, a nawet płótnem na suknie. W lecie na ulicach było wielu ludzi, ale tego dnia, w dniu egzekucji, były tu tłumy, a to oznacza dobry interes. André nie winił nikogo za to, że chce sprzedać i zarobić albo się obkupić. Ale dlaczego właśnie tego dnia? Z tym nie potrafił się pogodzić.

Z wyciągniętą rączką podeszła do niego na oko pięcioletnia dziewczynka. Ubrana była tylko w za dużą koszulę z brązowego płótna, ręce i nogi również były brązowe od opalenizny. Jej dziecięce oczy niemal całkowicie pozbawione były blasku. André przykucnął i wcisnął dziecku do rączki jednego sou, a przez głowę przemknęła gorzka myśl. Kto wie, czy dzięki egzekucjom tym biednym dzieciom nie wiedzie się lepiej. Dzieciom żebrzącym na ulicach.

Nagle usłyszał, że ktoś go woła, a gdy się odwrócił, zobaczył Sophie,

## W cieniu gilotyny

która cała zapłakana szybko szła w jego stronę.

- Och, André...

Przypadła do niego, a on ze ściśniętym sercem mocno ją objął.

- Co ty tu robisz, Sophie? Nie powinnaś tu przychodzić. Po co masz na to wszystko patrzeć!

- Wiem, wiem. Powinna być gdzie indziej, ale wiem, jak bardzo go kochasz. Jak wszyscy go kochacie i stoicie za nim murem. Niestety już nic nie możemy dla niego zrobić, tylko to jedno. Pożegnać się.

André pokiwał głową i poszli na plac Rewolucji. Udało im się przebić przez ciżbę i dotrzeć na sam początek, gdzie stali strażnicy z bagnetami. Nie widzieli dobrze gilotyny, ponieważ mężczyzna stojący przed nimi wymachiwał trójkolorową flagą. Po dłuższej chwili gdzieś z tyłu rozległy się głośne krzyki. André obejrzał się i zobaczył las wyrzuconych w górę rąk, a każda dłoń zaciśnięta była w pięść. Tak witano wóz ze skazańcami, który punktualnie o trzeciej wjechał na plac. Wóz, którym jechali ludzie o poszarzałych, ściągniętych twarzach.

Zatrzymał się przed szafotem, a spłoszone krzykami konie parskaly. Jeden próbował stanąć dęba, ale woźnica dzielił go batem. Czyli nawet zwierzęta, które przecież codziennie wciągają wóz ze skazańcami na ten oszalały plac, tego dnia były niespokojne, jakby wyczuwając, że ludzie tu zgromadzeni emanują niezwykłą energią.

André i Sophie patrzyli, jak opuszczają klapę z tyłu wozu, i mogli zobaczyć, kto nim przyjechał. Sześciu ludzi, taki był dzisiejszy łup.

Najwyższy z nich, Kellermann, w długiej więziennej koszuli ze zgrzebnego płótna stał z tyłu. Włosy miał ścięte na krótko. Oprócz niego na wozie było jeszcze pięciu skazańców, ale tłum widział przede wszystkim jego i to jego nazwisko zaczęto skandować.

Pierwszy na szafot wszedł mężczyzna w średnim wieku. W połowie schodów kolana się pod nim ugięły. Upadł i leżąc tam, wyciągnął błagalnie ręce, jednak szybko go zmuszono, by wstał. Motłoch krzychał coraz głośniejsze, on też, błagając o litość.

- Zaraz będzie po wszystkim - szepnął André, kiedy głowę skazańca unieruchamiano w drewnianych pętach.

Gdy zwolniono linę przytrzymującą nóż, André, tak jak wszyscy, krzyknął cicho. Wielki nóż opadł, głowa skazańca wpadła do plecionego koszyka, a tłum wzniósł radosne okrzyki. Potem poprowadzono dwie młodziutkie kobiety. Były bardzo podobne do siebie, a więc siostry. Szły splecione ze sobą. Ich wychudzone ręce, owinięte wokół szczupłych postaci, wyglądały jak sploty warkocza. Strażnicy rozłączyli je siłą i pierwszą z nich poprowadzono po schodach. Była śmiertelnie blada, z największym przerażeniem patrzyła w tył, na utrzymaną przez strażników siostrę, która wołała do niej, rozpaczliwie wyciągając rękę:

- Amélie! Amélie!

Siostry miały jasne, teraz krótko ścięte włosy, piękne i gęste. Któremuś ze strażników na pewno dobrze zapłacą za to, co ścięto z obu tych głów.

Ta z sióstr, która była już pod gilotyną, krzychała i protestowała, ale poradzono sobie z nią szybko. Ułożono na desce splamionej już krwią innego człowieka i unieruchomiono głowę. Dziewczyna spojrzała po raz ostatni na rozpaczliwie wołającą siostrę. Wargi skazanej poruszyły się, niewątpliwie odmawiała ostatnią w życiu modlitwę. Kiedy jej głowa

## W cieniu gilotyny

spadła do koszyka, motłoch zakrzyknął jeszcze głośniej.

Jej ciało, już bez życia, rzucono za szafot i wprowadzono po schodach drugą siostrę całą rozszlochaną.

– Nie martw się, kochaniutka! Za chwilę będziesz razem z siostrunią! – krzyknął jakiś mężczyzna, ukazując w szyderczym uśmiechu bezzębne dziąsła.

André wziął Sophie za rękę i przesunęli się kawałek dalej. Był zły, że patrzyła na to wszystko. Bał się, że w końcu zrobi jej się słabo. Przecież on, który tyle razy widział śmierć, też jest tym wstrząśnięty. Bo ta śmierć to coś całkiem innego niż śmierć na polu bitwy.

Chwyił Sophie za rękę i zamknął oczy. Słyszał, że łkania młodej kobiety ucichły, a więc jej głowa była już w koszyku, razem z głową pierwszego skazańca i głową siostry. Otworzył oczy i spojrzał na następną ofiarę. Był to chłopiec, miał nie więcej niż dwanaście lat. Cóż złego mógł zrobić? Nic oprócz tego, że urodził się w niewłaściwej rodzinie. Kiedy go wywołano, spojrzał na generała, a on położył dłoń na jego ramieniu i coś powiedział, na co chłopiec pokiwał głową.

– Wystarczy! Brać go! – wrzasnął znów bezzębny mężczyzna. Był zniecierpliwiony, jak i cała reszta.

Strażnik złapał chłopca za ramię i odciągnął od generała. Przez moment André był pewien, że chłopiec się rozplacze, ale nie, powstrzymał łzy, a kiedy wchodził na szafot, jeszcze raz spojrzał na Kellermanna, który skinął mu głową.

Zostało już tylko dwóch skazańców. Kellermann, jak przypuszczał André, miał iść ostatni. I nie mylił się, bo najpierw poprowadzono siwowłosego mężczyznę, który w przeciwieństwie do pozostałych skazańców, w ogóle nie okazywał strachu i był dziwnie pogodny, niemal wesoły. Zagadywał do strażnika, wyciągał do niego związane ręce. Chyba prosił, żeby je rozwiązał, a kiedy strażnik nie spełnił prośby, wybuchnął głośnym śmiechem. Potem popatrywał na tłum ludzi, cały czas coś mówiąc i do strażnika, i do siebie. Pewnie nie zdawał sobie sprawy, co się dzieje.

Było oczywiste, że jest obłąkany. Czy stracił rozum po wtrąceniu do więzienia? A może wcześniej? W każdym razie nie był na umyśle zdrowy. Kiedy przywiązywano go do deski, wciąż mówił coś do siebie, a strażnicy, którzy z poprzednimi ofiarami potrafili jednak zamienić słowo, twarze mieli kamienne i milczeli jak zakłęci. Tylko wymieniali się spojrzeniami, jakby wstydzili się tego, co robią.

Kiedy głowę unieruchamiano, siwowłosey mężczyzna zaśmiał się, coś tam jeszcze bąknął, a sekundę później srebrzyste ostrze wryło się w jego kark.

Nadeszła kolej na Kellermanna. Tłum, jakby trochę zbity z tropu poprzednią egzekucją, był mniej rozszalały. Poza tym na Kellermanna, gdy wyprostowany wchodził po schodkach prowadzony przez dwóch strażników, patrzono przede wszystkim z ciekawością.

Kiedy wszedł na szafot, strażnik chył się go za ramię, jak to robił z poprzednimi skazańcami, ale generał spojrzał na niego w taki sposób, że natychmiast cofnął rękę, jakby się oparzył.

Tłum przycichł, dlatego André i Sophie słyszeli, co Sanson powiedział do generała.



## W cieniu gilotyny

Najpierw skinął głową, po czym powiedział niemal błagalnie:

– Proszę tędy, generale Kellermann.

Kellermann zrobił parę kroków do przodu i spojrzął na tłum, a André po raz ostatni spojrzął na swego dowódcę, na szerokie czoło, na przyprószone siwizną włosy i szeroko rozstawione niebieskie oczy, w których nie było ani cienia lęku. Nie było też gniewu. Nie było w nich nic. Czyżby oznaczało to całkowitą rezygnację?

Tłum jeszcze bardziej przycichł i jak urzeczony wpatrywał się w generała setkami par oczu. Spojrzenie generała jeszcze raz przemknęło po ciżbie, po czym popatrzył w dal, może dostrzegając miejsce w zaświatach, gdzie miał nadzieję się przenieść.

I znów spojrzął na to, co go otaczało. Na szafot spryskany czerwienią, na kata z twarzą nieprzenikną, i uczynił znak krzyża.

Tłum był tak cichy, że André słyszał, jak zaskrzypiała deska, gdy kładł się na niej generał, słyszał też cichutkie dźwięki, gdy przywiązywano go rzemykami.

Wszyscy znieruchomieli, gdy Sanson pociągnął za dźwignię i nóż gilotyny opadł na kark generała Christophe'a Kellermanna, czyniąc swoje dzieło.

Jak powiedział Lazare – ku chwale prześwietnej Rewolucji.

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

### *Ile de la Cité*

#### *Paryż*

*Lato 1794 r.*

Następnego dnia André od rana do nocy był u Sophie, nie ruszając się z mieszkania na krok. Nie chciał wychodzić na miasto, by nie spotkać nikogo w nastroju rewolucyjnym. Był pewien, że gdyby natknął się na kogoś skaczącego z radości z powodu śmierci Kellermanna, nie powstrzymałby gniewu.

A wuj wezwał Sophie do siebie. Naturalnie nie była tym zachwycona, ale uznała, że lepiej tam pójść, bo jeśli będzie się ociążać, to Murat zjawi się tutaj.

– Postaram się wrócić jak najszybciej – powiedziała, wkładając redingot i wpatrując się w André. – Dasz sobie radę beze mnie?

– Dam – zapewnił, choć wcale nie był tego pewien. – Z tym że im wcześniej wrócisz, tym lepiej.

Pocałowała go i poleciała Parsy wezwać powóz, bo czekała ją droga na drugi brzeg Sekwany. Była zdenerwowana. Wuj w swym liściku grzecznościowo spytał ją o zdrowie i kazał przyjechać do siebie, nic więcej. Sophie i André byli pewni, że coś za tym się kryje.

Czekał do trzeciej po południu. Widział z okna, że ludzi na wyspie jest coraz mniej. Wszyscy śpieszyli teraz na prawy brzeg, na plac Rewolucji. Ta pustka na ulicach bardzo mu odpowiadała, bo im mniej ludzi będzie widziało, jak razem z Sophie idą do Pałacu Sprawiedliwości, tym lepiej. A mają tam się udać zaraz po jej powrocie, by wziąć potajemny ślub.

Kiedy czekał na nią w to upalne popołudnie, targały nim najrozmaitsze uczucia. Przede wszystkim dudnił w nim gniew. Więcej, był wściekły. Gdy odtwarzał w pamięci ten żalony proces, największym jego pragnieniem było rozszarpać ich wszystkich, Murata, Lazare'a i całą tę resztę. Tych, którzy zgotowali Kellermannowi taki los.

Wściekłość, a oprócz tego wielki smutek i rozpacz po stracie wspaniałego mentora, jakim był Kellermann, człowiek pełen zalet i tak bardzo życzliwy. Odszedł znakomity dowódca, odszedł wielki człowiek. Francja poniosła wielką stratę.

Gdy tak bił się z myślami i wszystko rozważał, nie po raz pierwszy budziło się w nim poczucie winy, bo może biorąc udział w tym procesie, nieświadomie przyczynił się do skazania generała, zamiast go uratować. A uratować go nie potrafił, tak samo jak swego ojca. Obaj zginęli, a on nadal żyje. Jak to możliwe?

Jean-Luc, bardzo przybity wyrokiem sądu, doskonale wyczuł rozterki André, dlatego zaraz po zakończeniu procesu odciągnął go na bok i odbył krótką rozmowę.

– Nic zadręczajcie się, kapitanie, tym, co się stało. Bo oszalejecie.

– Ale moje zeznanie...

## W cieniu gilotyny

– Zrobiliście wszystko, co w waszej mocy, ale wyrok zapadł, zanim jeszcze otworzyliście usta.

Tak powiedział, a jednak André czuł, że młody prawnik jest w podobnym stanie ducha i tej rady powinien udzielić również sobie samemu. Też dręczą go wyrzuty sumienia, choć też zrobił wszystko, co w jego mocy.

I niewiele brakowało, by wygrał ten proces, tyle że ktoś inny nie stanął na wysokości zadania. I jeśli ktoś tu ma być winny, to właśnie on, André Valière, który wcześniej nie był w stanie uratować ojca przed gilotynej. A w przypadku generała mógł coś zrobić, by temu zapobiec. Niestety nie wykazał się i skończyło się na tym, że poprzedniego dnia oglądał bohatera jego generała pod ostrzem gilotynej.

Siedział w pustym mieszkaniu Sophie i nerwowo przeczesując włosy, zmagął się z gniewem, rozpaczą i udręką. Jednak te czarne myśli nie absorbowwały go całkowicie, miał bowiem powód do największej radości. Przecież dziś weźmie za żonę Sophie de Vincennes. W innych okolicznościach oczywiście byłby tym całkowicie pochłonięty, lecz w tych okolicznościach niestety nie, ale przecież cieszył się, bo to Sophie dawała nadzieję, dawała mu szczęście. I to ona nalegała, by mimo nieskończenie smutnych wydarzeń nie rezygnować i jak zaplanowali, rozpocząć wspólne życie.

Ale była już trzecia – godzina egzekucji – a Sophie jak nie było, tak nie ma, z czego rodził się coraz większy niepokój. Dlaczego nie wraca? Co mogło się stać?

Zerwał się z krzesła i zaczął przemierzać pokój.

A w mieszkaniu idealna cisza.

– Parsy?

Dalej cisza. Gdzie podziała się pokojówka? Otworzył drzwi i wyrzła na korytarz, ale nie było nikogo. Po prostu czuł, że w tym mieszkaniu oprócz niego nie ma żywej duszy. I tak było jeszcze przez chwilę, aż wreszcie usłyszał szybkie kroki na schodach i do mieszkania wbiegła Sophie z rozwianymi włosami, zadyszana, przerażona.

– André!

– Sophie! Co się stało?

– On wie o nas... On wie... – wydyszała.

– Kto? Twój wuj?

– Tak. Wie, że tu jesteś i że chcemy dziś wziąć ślub. Wie wszystko.

– Niepojęte! Jakim cudem się dowiedział?

Sophie najpierw rozejrzała się dookoła, jakby chciała się upewnić, że naprawdę są sami, i szepnęła:

– Parsy.

– Parsy?!

Nie wierzył własnym uszom. Ta cicha i dyskretna pokojówka, która w jego obecności w sumie odezwała się chyba tylko kilka razy!

– Tak, ona. André, musimy natychmiast uciekać. On zaraz tu będzie!

Podbiegła do kuferka, otworzyła go i zaczęła pośpiesznie wrzucać sukienki, szale, buty.

– Gdzie on teraz jest?

– Ogląda egzekucję, ale na pewno powiedzą mu, że pobiegłam do domu, żeby ciebie ostrzec. André, musimy uciekać.

## W cieniu gilotyny

- Sophie...

- Co jest? Nie stój tak, tylko szybko zbierz swoje rzeczy. Przecież mówię, że musimy uciekać!

- Ty musisz. Na pewno.

- Co? - Sophie znieruchomiała. - Tylko ja? Ty też przecież...

- Nie.

- Jak to nie? Zbieraj swoje rzeczy i już nas tu nie ma.

- Tak, wyjdę z tobą, ale uciekasz tylko ty. Sophie, on tylko na to czeka. Żebym uciekł, bo wtedy będzie mógł oskarżyć mnie o dezercję i ścigać mnie. Dlatego musimy się rozdzielić. Nie martw się, na pewno później się odnajdziemy.

- Ale jak ja przejdę przez bramę miasta? Nie mam żadnych papierów!

- Tak... Czekaj, niech pomyślę... Już wiem, Remy nam pomoże. Wymkniesz się z miasta z taborem wojskowym.

Przebili się przez tłum znów okupujący wyspę. Tłum zacierzwiony, bo choć generał Kellermann zginął poprzedniego dnia, jego duch unosił się nad miastem, a jego osoba była przedmiotem gwałtownych sporów. André i Sophie, omijając rozgadanych i rozkrzyczanych ludzi, doszli do Sekwany, przebiegli po drewnianym moście na lewy brzeg i po krótkim czasie wchodzili do kwatery Remy'ego.

Był sam, włosy miał rozwichrzone, oczy zaczerwienione. Może z braku snu, może od łez, albo i od tego, i od tego. André, kiedy na powitanie objął brata, zauważył na jego rękę wielki siniak.

- Remy, co z twoją ręką? - spytał i w tym momencie zauważył, że na ścianie jest jakiś odprysk. Czyżby Remy tak mocno w nią uderzył? Może, bo też przecież przeżywa to, co stało się poprzedniego dnia.

Ale siniak nie był sprawą najważniejszą.

- Remy, chwała Bogu, że jesteś.

- A jestem i miło was widzieć, choć nie wyglądacie na odprężonych. Coś się stało, André?

- Tak. Remy, czy możesz dziś przejść przez bramę miasta?

- Dział? Cóż, przepustki nie mam, ale mądry człowiek zawsze coś wymyśli. A dlaczego o to pytasz?

- Sophie musi jak najszybciej opuścić Paryż i gdzieś się ukryć.

Remy, zawsze skory do żartów, kiedy to usłyszał, od razu spoważniał.

- Mów, co się dzieje.

André przekazał bratu, co wydarzyło się tego dnia i jaką podjęli decyzję.

- Remy, a może Sophie mogłaby się po prostu schować w którymś z wozów artylerii?

- Czemu nie? Słyszałem, że ktoś już wcześniej wpadł na ten pomysł. W sumie niegłupi, a co najważniejsze, dość łatwy w realizacji. Nasza dywizja regularnie dostarcza proch gwardii stacjonującej w Wersalu. Załaduje się więc proch na wóz, Sophie schowa się pod workami, i ruszamy w drogę. Napiszę rozkaz, a ty... - Remy uśmiechnął się kpiąco - a ty, drogi bracie, jako kapitan możesz go podpisać.

- Nie, Remy - André położył rękę na ramieniu brata i spojrzał mu prosto w oczy. - Lepiej, żeby podpisał LaSalle, bo ze mną nie jest dobrze. Powiem szczerze. Jestem pewien, że w ciągu kilku godzin Murat dopnie

## W cieniu gilotyny

swego i znajduję się na liście osób, które mają być aresztowane.

- Co ty mówisz! Niby dlaczego? André, coś ty takiego zrobił?

- Tego to się dowiem, kiedy po mnie przyjdą. Ale nie mówmy już o tym. Remy, proszę, liczy się każda minuta.

- Oczywiście! Już idziemy.

- Gdzie stoją wozy?

- Koło składów fabryki Montgolfiera. Stamtąd bierze się proch, ładuje na wozy i wyjeżdża przez zachodnią bramę.

- Dobrze. Sophie, idziesz z Remy, a ja wracam do twojego mieszkania. Powinienem znaleźć się tam jak najszybciej, bo jeśli Murat zastanie mieszkanie puste, będzie pewien, że uciekliśmy oboje i pogna do miejskiej bramy.

Sophie na znak zgody pokiwała głową. W jej oczach był strach, ale nie było ani jednej łzy.

- Dzięki, bracie! - André objął Remy'ego i szepnął mu do ucha: - Dziś mieliśmy wziąć ślub. Miałem prosić cię, żebyś został naszym świadkiem...

- A to nowina! - Rozpromieniony Remy wysunął się z braterskich objęć.

- Gdybym wiedział, że będę wam podawał obrączki, nie dopuściłbym, żeby moja ręka znalazła się w takim stanie!

Cała trójka zaśmiała się, ale niezbyt wesoło, i na moment zapadła cisza, a potem to Remy szepnął bratu do ucha:

- Głowa do góry, André! Kiedy tylko znajdę dla twojej Sophie kryjówkę, dam ci znać.

- Dzięki za twoją dobroć, Remy.

- Na pewno nie mam jej w sobie tyle co ty. O ile mnie pamięć nie zawodzi, twoja narzeczona kiedyś już wspominała o tym. Prawda, Sophie?

- No... Może użyłam trochę innych słów...

Westchnęła i podeszła do André. Remy taktownie odwrócił się i zaczął coś wkładać do niewielkiej torby, a oni wtulili się w siebie jak najmocniej. Niestety tylko na sekundę, bo czas naglił.

- Boże wielki! André, co się teraz z tobą stanie?

- Wszystko będzie dobrze.

- André, proszę, nie zostawiaj mnie w niepewności. Przecież nie wiadomo, kiedy się znowu zobaczymy. Powiedz mi prawdę.

- Prawda jest taka, że po tym, co się stało, na pewno dobiorą się do mnie. Ale bez procesu się nie obejdzie, w końcu jestem oficerem Armii Republiki. Z tym że nie sądzę, żeby skończyło się tragicznie, skoro nic złego nie zrobiłem.

- O Boże! André, przecież dobrze wiesz, jak to jest! Jeśli mój wuj cię zadencjuje, zawsze znajdą jakiś haczyk. Ktoś musi przekonać sąd i w ogóle wszystkich, że jesteś niewinny!

- Masz rację. Poproszę Jean-Luca, żeby był moim obrońcą.

- Tak... - Pokonana smutkiem opuściła głowę.

- Sophie... - Wsunął palec pod jej brodę, zmuszając, by uniosła twarz. - Chciałbym jeszcze coś powiedzieć. Pamiętaj, że cię kocham i pragnę, byś została moją żoną.

- Ja też... - szepnęła, a jej błękitne oczy załśniły od łez. - Też cię kocham i chcę, żebyś był mój. Proszę, nie każ mi zbyt długo czekać...

Słońce już zachodziło, kiedy Remy podjeżdżał do zachodniej bramy

## W cieniu gilotyny

Paryża wozem, w którym przycupnęła Sophie przykryta czterema workami do połowy wypełnionymi prochem. W tym samym czasie generał Nicolai Murat z kilkoma gwardzistami wkroczył na podwórze przed domem, w którym mieszkała Sophie. Ciężkie żołnierskie buty zadudniły na schodach. Dwaj żołnierze, którzy nieśli pochodnie, weszli pierwsi na piętro i załomotali do drzwi. Nikt nie otwierał, więc Murat kazał wyłamać zamek. André czekał w saloniku. Ubrany był w mundur, niezaladowany pistolet w kaburze. Razem z generałem i żołnierzami do saloniku weszła Parsy. Była skruszona, oczy miała zapuchnięte od płaczu.

- Brać go! - rozkazał Murat, a żołnierze założyli mu kajdanki. Zrobili to szybko, ale niezbyt zręcznie, dźgając go w nadgarstki. - Jesteście aresztowani, kapitanie de Valière.

- O co jestem oskarżony?

- O to, że jesteście wrogiem republiki. I nie pytajcie mnie już o nic. Nie macie do tego prawa.

Murat dwoma długimi krokami pokonał odległość dzielącą go od André i uniósł kawaleryjską szablę. André nie wierzył własnym oczom. Czyżby rozjuszony wuj Sophie zamierzał rozplatać go na pół? Tylko to zdążył pomyśleć, zanim przed oczyma pojawiła się ciemność, gdyż Murat błyskawicznie przekrzył szablę i żelazną rękojęścią uderzył go w skroń.

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

### Paryż

Jesień 1974 r.

Za oknem ciemno, a Jean-Luc St. Clair nadal siedział w biurze na prawym brzegu Sekwany, szykując się do mowy, którą miał wygłosić na początku procesu André Valière'a. Jego koledzy dawno już wyszli, ale sam w biurze nie był, bo ktoś zapukał do drzwi.

- Proszę!

W progu pojawił się chłopiec na posyłki.

- Przepraszam, że przeszkadzam, ale mam wieczorne gazety. Te najnowsze.

- Świetnie. Daj je, muszę się na chwilę oderwać od tego przeklętego procesu. Poczytam sobie, chociaż szczerze mówiąc, w tych gazetach ostatnio trudno znaleźć jakąś wiadomość, która podniosłaby na duchu.

Chłopiec skwapliwie pokiwał głową na znak, że zgadza się z tą opinią całkowicie, chociaż jak podejrzewał Jean-Luc, sam zbyt pilnym czytelnikiem prasy raczej nie był.

- Dziękuję - powiedział, odbierając gazety. - A teraz już zmykaj. I pamiętaj, idziesz prosto do domu. Żadnego wałęsania się po ulicach, bo bezpiecznie nie jest.

Dał chłopcu monetę i zaczął czytać. Najpierw przemknął spojrzeniem po nagłówkach. Wszystkie bez wyjątku tragiczne, czemu w sumie nie można się było dziwić. Paryż przecież płonął, bo w mieście rozgorzała walka. Zaczęło się od tego, że po śmierci Robespierre'a Konwent wprowadził nowy terror wobec rozjuszonych ludzi, tysiący wzburzonych i głodnych paryżan, którzy miotali się po ulicach, ale nikt ze sprawujących rządy nie potrafił nad tym zapanować. A ludzie byli wściekli, bo szła zima i znowu nie będzie co jeść i czym napalić w piecu. Śmierć ich bohatera, Kellermanna, miała być czymś w rodzaju odkupienia za ich nieszczęśliwy los, za strach. I co? Kellermann nie żył, a oni dalej głodowali. Któż więc teraz za to zapłaci?

Brakowało przywódców, a gniewem ludu łatwo sterować. Mając to na względzie, tysiące rojalistów ze Starej Gwardii powstało do otwartej walki z republikańskim rządem, ogłaszając, że rojaliści są w stanie wojny z Konwentem Narodowym i zamierzają odzyskać pałac Tuileries.

W mieście huczało od plotek, które miały większą siłę niż sporadyczne salwy z muszkietów, dlatego Konwent postanowił zniszczyć opozycję, zanim urosnie w siłę, i wezwał wojsko, by zdławiło bunt. I cały Paryż czekał, czy wojsko odpowie na to wezwanie, czy nie.

Jean-Luc westchnął, odsunął na bok gazety i zaczął czytać pamflet polityczny, który leżał na jego biurku, a wyszedł spod pióra obywatela Persefony, który domagał się, by wreszcie położono kres wzajemnemu zabijaniu się. Apelował o wyrozumiałość, nawoływał członków rządu do przeprowadzenia rozmów pokojowych, czyli był to rzadki teraz głos rozsądku. Jean-Luc bardzo chciałby wiedzieć, kim jest ów tajemniczy

## W cieniu gilotyny

obywatel Persefona.

Nagle drgnął, bo za oknem rozległy się strzały, a potem gniewne krzyki i odgłos szybkich kroków. Nocne potyczki spowszedniały już wszystkim, niemniej Jean-Luc wolał nie ryzykować i zamierzał doczekać w biurze do rana, a nie wracać do domu nocą, nawet jeśli na lewym brzegu Sekwany w sumie było spokojniej.

Termin procesu André Valière'a został odroczoney ze względu na destrukcyjne konflikty w rządzie. Jean-Luc nie miał pojęcia, kiedy wyznaczony zostanie nowy termin. Wiedział tylko jedno. Że im dłużej siedzi przy tym biurku, tym bardziej jest pewny, że niezależnie od tego, kiedy odbędzie się rozprawa, jego argumenty i tak nie znajdą posłuchu.

Kilkakrotnie odwiedził więźnia w ciemnej zatęchłej celi w Temple, i za każdym razem wracał stamtąd przybity, wręcz zdruzgotany. Mógł pocieszyć go tylko jeden fakt. Kapitana trzymają w Temple, a nie w Conciergerie, a to oznacza, że faktycznie czeka go proces przed Trybunałem. Tak jak mu obiecano. Bo w Conciergerie, o czym wiedzieli wszyscy, więzień zwykle spędzał tylko jedną noc, ostatnią w swoim życiu.

Ale i tak już samo więzienie odbierało człowiekowi nadzieję. Czarny, wyschnięty na wior kawałek chleba wsuwany przez szparę w drzwiach celi. Długie korytarze, gdzie słońce nigdy nie zagląda, gdzie słychać krzyki więźniów, którym Bóg już zaczął odbierać rozum. No i samotność, kiedy za jedynych towarzyszy ma się ciemność i szczury. Jean-Luc po prostu bał się wizyt w Temple, ale za każdym razem, kiedy tam szedł, powtarzał sobie w duchu, że spędzi tam godzinę, najwyżej dwie, podczas gdy jego klient spędza tam i dzień, i noc.

Podczas rozmów z oskarżonym Jean-Luc dowiedział się o egzekucji ojca André, o ucieczce matki do Anglii. Teraz rozumiał, co znaczyła dla André śmierć generała Kellermanna, i podziwiał go szczerze, że mimo tych tragedii miał jeszcze nadzieję. Więcej. Skoro André miał nadzieję, on jako jego obrońca był wręcz zobowiązany także ją mieć.

Kiedy jego spojrzenie przemknęło po biurku, zauważył, że chłopiec przyniósł jeszcze coś. Coś, co wsunęło się pod gazety. Wystawał tylko rozek.

Był to list, zresztą niedługi.

Obywatelu St. Clair,

*Jestem narzeczoną André Valière'a. Pozwoliłam sobie do Was napisać, ponieważ mam gorącą prośbę. Czy moglibyście przekazać mu, że dzięki jego bratu jestem całkowicie bezpieczna? Nie wyjawię, gdzie przebywam, bo mogłoby to okazać się niebezpieczne. Boję się też napisać do André, bo wuj mógłby przechwycić list. Mój wuj, czyli Nicolai Murat, który oskarżył André. Dlatego napisałam do Was i bardzo Was proszę, przekażcie mu, że mam się dobrze. I Kocham go.*

*Mam nadzieję, że kiedyś André i ja będziemy mogli się Wam odwdziżyć za Waszą zyczliwość i odwagę.*

*Wasza admiratorka*

*i unizona służka*

*Sophie Vincennes*

Zaintrygowany Jean-Luc przeczytał list jeszcze raz. Sophie Vincennes adresu nie podała, nie było też żadnej wskazówki, gdzie można by przekazać odpowiedź. Ale przecież tak miało być, bo bardzo się bała



## W cieniu gilotyny

zdradzić miejsce swego pobytu.

Biedna kobieta, bo pełna nadziei, podobnie jak mężczyzna, którego kocha. Czyli oboje naiwni, oboje głupi... Zdruzgotany Jean-Luc ukrył twarz w dłoniach. Jakże pragnął przytulić do siebie Marie! To było coś więcej niż pragnienie, lecz potrzeba gwałtowna, największa. Bo życie jest zbyt tragiczne i zbyt szalone, wszystko może w jednej chwili legnąć w gruzach. Dlatego nie wolno dopuścić, by między nim a Marie nadal były nieporozumienia, by wciąż odsuwali się od siebie. Dlatego trzeba jak najszybciej wracać do domu i jak najszybciej przytulić Marie.

Wyszedł na dwór, a tam tłumy i wokół Tuileries, i przed gmachem, w którym pracował. Kilkudziesięciu mężczyzn, wszyscy uzbrojeni, jeśli nie w muszkiet czy pikę, to przynajmniej w pogrzebacz lub piłę.

– Obywatelu, co się dzieje? – spytał wąsacza, który stał obok mężczyzn uzbrojonych w muszkiety. Spytał właśnie jego, bo wyglądał zdecydowanie mniej groźnie niż jego towarzysze.

Wąsacz ruchem głowy wskazał na tych, którzy stali obok niego. A Jean-Luc nie mógł się powstrzymać, by na moment nie wlepić oczu w jego wyjątkowo sumiaste wąsy. Mężczyzna naturalnie zauważył, że mu się przygląda, więc spojrzął w inną stronę. Stało się to w chwili, gdy na pobliską ławkę wskakiwał chyba przywódca, bo stanął na tej ławce, podniósł muszkiet i wydał okrzyk. Dziwne, bo też miał te niezwykle bujne wąsy. Ale zaraz... Jean-Luc rozejrzał się dookoła, uzmysławiając sobie, że wszyscy mają takie wąsy, nawet kobiety! A więc to tak. Po prostu wąsy sztuczne!

– Pokazaliśmy tej hrabinie, co o niej myślimy! – zawołał chrapliwym głosem przywódca okupujący ławkę.

Tłum odpowiedział głośnymi okrzykami, a sztuczne wąsy powiewały nad ustami. Kilku z nich zaczęło tańczyć. Dziwny taniec, jakby taniec śmierci, który można by odtńczyć gdzieś przy ognisku, ale nie na paryskiej ulicy!

Panie Boże, spraw, by nie uczynili tego, o co ich podejrzewam! Błagam!

Był przerażony, słyszał przecież, że w kilku innych miastach wybuchły powstania, podczas których w wyjątkowo okrutny sposób rozprawiano się z arystokracją. Dzieci wyrzucano przez okna z pałaców i zamków, dziewczęta gwakono, pozbawiając dziewictwa, a potem nagie rzucano w tłum, gdzie padały ofiarą najohydniejszych poniżeń i potwornego rozpasania. Ale to nie może być prawda!

– Ci nędzni rojaliści myślą, że mogą z powrotem zagarnąć nasze miasto! – ryknął przywódca z ławki, wymachując muszkietem.

Mężczyzna, z którym Jean-Luc zamienił kilka słów, przysunął się do niego bliżej, a on w świetle księżyca dostrzegł na jego brudnej twarzy dziwną ekscytację. Poza tym te obrzydliwe monstrialne wąsy, od których Jean-Luc nie był w stanie odwrócić wzroku...

– Obywatelu, coś mi się wydaje, że trzeba was rozweselić. Może macie ochotę poznać bliżej naszą drogą hrabinę de Beaumonde? – zagadnął mężczyzna, a jego usta pod nadzwyczaj bujnym wąsem rozciągnęły się w bezzębnym uśmiechu.

Jean-Luc bez słowa odwrócił się i odszedł jak najszybciej w stronę Sekwany. A tam, na Pont Neuf, znów natknął się na zgromadzenie. Jean-Luc jęknął, bo cóż takiego chcieli zrobić z kolei ci ludzie? Też popełnić

## W cieniu gilotyny

jakieś zbiorowe szaleństwo? Nie, chyba nie, bo zachowywali się całkiem inaczej. Zgromadziło się około trzydziestu osób, i wszyscy zachowywali się spokojnie, mało tego, były wśród nich też dzieci uczone matczynej spódnicy albo ojcowskiej ręki.

- Co nowego, obywatelu? - spytał Jean-Luc, mimo wszystko podchodząc do nich bardzo ostrożnie.

- Czekamy na niego - powiedziała jedna z kobiet, przyglądając włosy synkowi, żeby wyglądał schludnie.

- Ale na kogo? - spytał Jean-Luc.

- Na niego! - powiedział z naciskiem jakiś mężczyzna, wskazując palcem na południe, jakby to mogło pomóc rozwiązać tę zagadkę.

- Przepraszam, ale na kogo konkretnie czekamy? - spytał Jean-Luc, spoglądając we wskazanym kierunku i nadstawiając uszu, bo usłyszał stukot końskich kopyt.

- Na Bonapartego! Już nadjeżdża! - krzyknęła jakaś kobieta i wszyscy migiem ustawili się w szeregu, by nie tarasować drogi. A sądząc po stukocie kopyt, nadjeżdżał co najmniej szwadron kawalerii.

- Generał Napoleon Bonaparte! - zawołał jakiś mężczyzna, sadzając na swoich ramionach synka, który zaczął machać trójkolorową chorągiewką.

Najpierw w oddali pojawiło się światło pochodni, a klusem przybyli jeźdźcy. Na przedzie jechał szczupły ciemnowłosy mężczyzna z twarzą o delikatnych rysach i czarnych oczach. Ubrany był w granatowy rajtrok ze złotymi epoletami, a na głowie miał czarny kapelusz dwugraniasty, czyli bikorn.

Kiedy wjechał na most, uniósł szablę i zawołał:

- Na Tuileries! Dla Francji!

Przed oczyma Jean-Luca przemknęły konie niosące na swych grzbietach uzbrojonych jeźdźców, którzy podążali na prawy brzeg Sekwany, ku zwycięstwu.

Wykorzystał tę chwilę uniesienia gapiów, by oddalić się niepostrzeżenie w kierunku odwrotnym. Szedł, a potem biegł tak samo podekscytowany jak tłumek na moście. Bo kto wie, czy właśnie nie przyszedł mu do głowy argument, który może uratować André Valière'a.

W mieszkanku na mansardzie było cicho i ciemno. Marie z pewnością uznała, że mąż, jak wiele już razy, wróci z biura nad ranem, i spała razem z synkiem w jego niewielkim łóżku ustawionym w rogu pokoju. Jean-Luc zdjął buty, na palcach podszedł do łóżka i popatrzył z rozczeniem na pogodne twarze swoich najbliższych pogrążonych w głębokim śnie. Wtulony w matkę pulchniutki Mathieu nawet cichutko pochrapywał.

Jean-Luc ostrożnie ułożył się na brzegu łóżka, a Marie, ułożona tyłem do niego, poruszyła się i westchnęła, ale nie obudziła się, kiedy otoczył ramieniem jej szczupłe barki i szepnął do ucha:

- Kocham cię, Marie. Kocham was oboje.

Uśmiechnęła się. A więc spała czy nie spała? Nieważne. Pocałował ją w policzek i przytulił się do niej, rozkoszując się jej ciepłem. I od razu zmęczenie wzięło górę. Czuł, że tej nocy po raz pierwszy od dłuższego czasu wyśpi się należycie...

Jednak nie, bo nagle coś dostrzegł koło główki śpiącego synka. Leżała tam połyskująca drewniana figurka, którą Mathieu podarował jakiś

## W cieniu gilotyny

nieznany, ponoć bardzo miły pan, z czego Jean-Luc i Marie byli bardzo niezadowoleni. Ale tej nocy jego serce drgnęło z innego powodu. Nie na widok drewnianego żołnierzyka, lecz jeszcze jednej zabawki połyskującej w świetle księżyca. Zabawki, której ich synkowi na pewno nie kupiła Marie. Tej malutkiej lśniącej gilotyny.

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

### Więzienie Temple

#### Paryż

Wiosna 1795 r.

W zeszłym roku Jean-Luc przeschmuglował dwa listy od Sophie. W pierwszym, krótkim i pisanym pośpiesznie, przekazała, że Remy stanął na wysokości zadania, dzięki czemu ukryła się na wsi i wuj na pewno jej nie znajdzie. Potem był drugi list, też z zapewnieniem, że jest bezpieczna, ale na tym koniec. André nie pozostawało więc nic innego, jak powtarzać sobie w nieskończoność, że ten stan nie ulega zmianie i Sophie nic nie grozi. Poza tym, ponieważ czasu na rozmyślania miał pod dostatkiem, często zastanawiał się nad swoją sytuacją i przygotowywał do procesu.

Tak było do dnia, na który czekał tak długo, czyli do dnia, w którym wreszcie miał odbyć się ten odkładany w nieskończoność proces. I tego właśnie dnia rano Jean-Luc przyniósł trzeci list. Było jeszcze bardzo wcześnie, prawie świt, André leżał w kącie celi na wilgotnej słomie. Oczywiście miał zamknięte, ale już nie spał, tylko rozmyślał, unikał jednak jednego tematu, mianowicie procesu. A konkretniej: jak może się zakończyć.

Właśnie wtedy w celi pojawił się jego obrońca z wieściami od Sophie.

– Zastanawiałem się, czy dać wam ten list, kapitanie, przed procesem, czy po, i doszedłem do wniosku, że nie będę z tym zwlekał, tym bardziej że wieści od Sophie mogą was podnieść na duchu.

André drżącą – i brudną – ręką odebrał od niego przesyłkę od Sophie, zastanawiając się przy tym, czy istotnie dobrze się stało, że dostał ten list przed procesem. Może lepiej go odłożyć i skupić się tylko na tym, co stanie się niebawem. Może i tak, ale z drugiej strony jeśli uznają go winnym, to tego listu nigdy już nie przeczyta, nie ma się więc nad czym zastanawiać.

Przełamał pieczęć, rozłożył kartkę i kiedy spojrział na znajome pismo, ze wzruszenia na moment zabrakło mu tchu.

*Kochany,*

*Musiałam uciekać z zamku, w którym ukrył mnie Remy. Musiałam, bo wuj dowiedział się, że tu jestem...*

Ręka André, w której trzymał list, bezwiednie opadła, drżąc przy tym jak w febrze. Tchu znowu zabrakło, ale przemógł się i czytał dalej:

*Myślę, że stało się tak, bo któryś z ludzi wuja musiał śledzić Remy'ego, który przyjeżdżał do mnie co jakiś czas, by sprawdzić, jak mi się wiedzie i przekazać wieści o Tobie. Że, chwała Bogu, żyjesz, ale nadal jesteś w więzieniu i czekasz na proces. Remy powiedział, że zabroniłeś mu przychodzić z odwiedzinami do więzienia, bo chcesz trzymać go od tego wszystkiego z daleka, żeby nie było wobec niego żadnych podejrzeń, dlatego nie mogłam przekazać przez niego żadnego listu, co było dla mnie prawdziwą udrętką. Ale to nic w porównaniu z tym ciężarem, który Ty, kochany mój, dźwigasz na swych barkach.*

## W cieniu gilotyny

*Jak się już pewnie domyśliłeś, piszę do Ciebie w związku ze zmianą mojej sytuacji. Musiałam uciec z bezpiecznej, zdawać by się mogło, kryjówki, ponieważ dwa dni temu w zamku pojawił się wuj. Był u mnie wtedy Remy, który przywiózł jedzenie i drewno na opał. On też pierwszy usłyszał stukot kopyt. W pierwszej chwili myśleliśmy, że tylko tak nam się wydaje, ale kiedy zobaczyliśmy pochodnie, zmroziło mnie, ale Remy, jak prawdziwy żołnierz, od razu wiedział, co robić. Pobiegliśmy do drzwi na tyłach domu, i do stajni, gdzie stał koń dawnych właścicieli zamku. Remy osiodłał go, kazał mi wsiąść i jechać przez sad, potem dalej w las. Kazał mi przysiąc, że choćby nie wiadomo co się działo, mam jechać przed siebie i nie wolno mi zawrócić. Miałam jechać sama, bo koń był tak słaby i niedożywiony, że pod ciężarem dwojga ludzi pewnie by padł. A Remy miał jak najszybciej pobiec do swego konia uwiązanego przed domem. Pożegnaliśmy się i pobiegł. André, i już nic nie wiem, co dalej działo się z Twoim bratem. Kiedy jechałam przez sad do lasu, zobaczyłam łunę na niebie. To zamek stanął w ogniu. Chciałam zawrócić, by pomóc Remy'emu, przecież to z mojego powodu narażał swoje życie. Ale w czymże mogłabym mu pomóc? Poza tym przysięgłam, że będę jechać i nie zatrzymam się, póki nie dotrę do bezpiecznego miejsca.*

*Oh, André! Nie mogę sobie wybaczyć, że jednak nie zawróciłam. Że Ciebie i Twego brata naraziłam na niebezpieczeństwo. Bo to wszystko przeze mnie, a ja nie mogę tego odżalować.*

*Napiszę do Ciebie, kiedy wszystko tutaj jakoś się ułoży. Z tym że źle nie jest, no i żyję, a to najważniejsze. Bardzo jestem spragniona wieści o Twoim bracie. Mam nadzieję, że jest zdrow i cały i nic mu nie zagraża.*

*No i sprawa najważniejsza. André, spróbuję się dowiedzieć, kiedy masz proces i jak się skończy...*

*O Boże! W jakich strasznych czasach żyjemy!*

*Moje serce należy do Ciebie i zawsze, do końca moich dni, będę Cię kochać i pozostanę Ci wierna.*

*Twoja Sophie*

André skończył czytać. List był napisany niestarannie, w pośpiechu, przez kogoś, kto cierpiał, kogo zżera rozpacz. Kto jest w takim samym stanie ducha jak ktoś, kto list ten przeczytał. Bo jakże mogło być inaczej? Sophie ucieka ze swego schronienia jak dzikie zwierzę ze swej nory. Nie wiadomo, co dzieje się z Remyem. Zaginął albo, nie daj Boże, stało się coś gorszego...

W głowie zaszumiało. André usiadł, a raczej osunął się na wilgotną słomę. To, co wokół, było dziwnie niewyraźne, zamazane. Oczy zawiodły, więc je zamknął, i pod powiekami zobaczył ich wszystkich. Swego ojca, swego generała, swego brata. Swoją ukochaną. Sen na jawie? Nie, raczej koszmar...

- André de Valière?

Krzepki strażnik, przy tym zarumieniony, czyli zdążył już uraczyć się winem, stanął za drzwiami celi. André powoli uniósł powieki i mrugając, rozejrzał się dookoła, jakby spodziewał się, że stał się cud i został przeniesiony w jakieś inne miejsce. Niestety nie. Był w tej samej celi, a koło jego nóg, na wilgotnej słomie, leżał list od Sophie. Natychmiast przypomniał sobie, o czym pisała. Same smutne wieści, ale i tak chwycił

## W cieniu gilotyny

białą kartkę i przytrzymała blisko siebie, jakby była świeczką, którą trzeba chronić, bo inaczej zgaśnie.

- Już czas. - Strażnik wepchnął zardzewiały klucz do zamka, zawiasy skrzypnęły i drzwi celi stanęły otworem.

- Już... czas? - wyjąkał André. W pierwszej chwili nic nie kojarzył, ale pamięć zaraz wróciła. Tak, czas iść na proces.

- Już wstaję. - I rzeczywiście wstał, choć trochę niezadarnie, rozglądając się po celi. - Muszę się przebrać. Tylko gdzie jest mój mundur? Przecież tam wisi! Co się z nim stało?

- Munduru mu się zachciewa! - Strażnik splunął. - Przed sądem staje się w więziennej parzance!

- Ale ja chciałem włożyć mundur...

- Ruszaj się, bo zamiast munduru będziesz miał na tej swojej arystokratycznej gębie nowego siniaka! - warknął strażnik, celując w André kolbą muszkietu.

Z sąsiedniej celi wyjrzał jakiś więzień.

- Niech Bóg ma cię w swojej opiece, bracie.

Niestety dobry Bóg od jakiegoś czasu raczej nie miał ochoty opiekować się pewnym kapitanem. Ta gorzka myśl przemknęła mu przez głowę, gdy wychodził z celi na chwiejnych nogach, które niosły go z wielkim trudem. A kiedy włókł się ponurym więziennym korytarzem, w głowie była tylko jedna myśl, a tak naprawdę udręka. Gdzie podziewa się Remy? Co stało się z młodszym bratem?

W kajdanach na rękach i na nogach zszedł z wozu i szurając nogami, ruszył przed siebie wąskim korytarzem prowadzącym do sali rozpraw. Oślaniał przy tym oczy, bo po długich miesiącach spędzonych w mrocznej celi blask zaglądnącego przez okna słońca był oślepiający.

Jean-Luc, czekający przed drzwiami, na jego widok wyraźnie sposepniał.

- André, przecież mieliście włożyć mundur!

Spojrzał na to, co miał na sobie, na długą więzienną koszulę z szarego szorstkiego płótna.

- Wybaczcie, ale mundur znikł. Musiał zabrać go strażnik.

- Bo Murat kazał. To oczywiste - mruknął jakby do siebie Jean-Luc i westchnął, ale zaraz potem twarz rozjaśnił mu uśmiech. - Głowa do góry, André. Damy sobie radę i bez munduru. - Poklepał go po ramieniu, wpatrując się w wychudzoną twarz, i w tym momencie usłyszeli, jak woźny donośnym głosem zapowiada początek nowej rozprawy.

- Obywatele Republiki Francuskiej przeciwko André de Valière, dziedzicowi byłego markiza de Valière.

Zebrany w sali tłum zaczął posykiwać i tupać, a Jean-Luc nachylił się ku André i wyszeptał:

- Pamiętajcie, że walczyliście pod Valmy i na froncie włoskim. Naraziliście życie dla rewolucji. Z własnej woli zrzekliście się tytułu i ziemi. Waszym jedynym pragnieniem jest dalej służyć republice. - Wyprostował się, położył rękę na ramieniu André i odetchnął głęboko. - Idziemy.

Kiedy weszli do sali, spojrzali na nich setki par oczu. Sędziowie - wszyscy w czerwonych czapkach i z trójkolorowymi kokardami - wręcz

## W cieniu gilotyny

świdrowali ich wzrokiem. Po upadku Robespierre'a i jakobinów trybunały uległy zmianie. Wszystko przebiegało według utartego schematu, niektórzy nawet narzekali, że na sali sądowej zaczęło wiać nudą. Jean-Luc miał więc nadzieję, że uda mu się w mowie początkowej w wyważony, spokojny sposób przedstawić swoje argumenty, choć pewności żadnej nie miał, bo na galerii z pewnością nie brakowało zagorzałych wrogów arystokracji, a także tych, którzy wręcz obsesyjnie drżeli ze strachu przed rojalistami. Ci na pewno nie będą cicho, bo blizny po ranach rewolucji nie znikają tak szybko.

I nie byli. Tłum tupał i krzyczał, a kiedy główny sędzia zadzwonił, wcale nie zrobiło się cicho w sali, która nie była tak imponująca jak ta, w której skazano na śmierć generała Kellermanna. Proces kapitana de Valière'a nie miał przecież takiego znaczenia, niemniej podekscytowanych widzów nie brakowało.

André usiadł na ławce, starając się za wszelką cenę wydobyć ze stanu odrętwienia. I wyobcowania. Kiedy wszystkie twarze zlewały się w jedną całość, w gigantyczną plamę wrogości, na którą składały się ciekawskie i gniewne spojrzenia, szydercze uśmiechy, usta zacisnięte w wąską kreskę. I strąki brudnych włosów. Wyraźnie widział tylko jedną twarz o dobre znanych mu rysach. Czarnowłosego mężczyzna o stalowych oczach nad wyjątkowo bujnymi wąsami siedział kilka rzędów ławek dalej, na środku sali, ze wzrokiem wbitym w oskarżonego.

Generał Nicolai Murat. Ten, który ściga Sophie, a jego stara się zniszczyć. Wystarczyło, że André go dostrzegł, a odrętwienie natychmiast znikło jak ręką odjął. Teraz narastał w nim tak wielki gniew, jakiego nie odczuwał od wielu miesięcy. Gniew, a także głęboki, rozdzierający serce żal, tak mocny, że w jego oczach zakręciły się łzy. Bo dlaczego tak jest? Generał Kellermann nie żyje, Sophie zaszczała jak dzikie zwierzę, a Remy... Boże wielki, co z Remy, gdzie on jest?! Oskarżycielem był Guillaume Lazare, niewątpliwie najęty przez Murata. Ten sam Lazare, który występował przeciwko ojcu André i generałowi Kellermannowi, teraz zasadził się na André. Właśnie on, a więc prawdopodobnie proces nie potrwa długo i niechybnie skończy się na wyroku śmierci. Przecież obrońca André, młody prawnik, który dopiero jeden raz był obrońcą w procesie, co do którego większość paryżan była zgodna. Procesie, który zakończył się tym, że dzielnego i dobrego człowieka posłano na gilotynę.

Nie, nie był w stanie wykrzesać z siebie choćby iskierki nadziei. Był pewien, że jego los jest już przesądzony, i czuł, że znów popada w to odrętwienie. Nie słyszał już krzyków i tupania dziesiątków nóg na galerii czy dzwonka sędziego. Niczego nie pragnął, nie chciał już o nic walczyć, bo i po co, skoro widział już cień skradającej się kostuchy, niemal czuł jej lodowaty oddech. Nic już do niego nie docierało. Był nieświadomy, że Jean-Luc St. Clair – który ze swej porażki w starciu z mistrzem Guillaume'em Lazare wyciągnął nauczkę – zaczął snuć opowieść o bitwie pod Valmy, barwnie i z ogniem, by poruszyć sędziów o kamiennych twarzach i widownię. Jasnym, dźwięcznym głosem opowiadał o młodym człowieku, który zrezygnował z tytułu, którego zresztą wcale nie pragnął ani nie zdobywał, po prostu przysługiwał mu z racji urodzenia. A on go odrzucił i włożył niebieski wojskowy rajtrok, zanim jeszcze naród stanął do walki. Opowiadał tak, że gdyby André go słuchał, mógłby odnieść

## W cieniu gilotyny

wrażenie, że prawnik mówi o samym generale Kellermannie. Bo mówił tak żarliwie, jakby na szali leżało również jego życie. A jego życie wcale nie wisiało na włosku, choć za ten proces też mógł zapłacić wysoką cenę. Wiedział doskonale, że jeśli również i tę sprawę przegra, jako prawnik będzie skończony.

Najpierw wygłosił pean na cześć André, potem zręcznie przeszedł do innego tematu, do innej postaci. Do generała Napoleona Bonaparte z Korsyki, nowego bohatera republiki. Żywym, barwnym językiem opowiadał o tamtej nocy, kiedy powstałi rojalisci, zdobyli Tuileries i mało brakowało, a zawładnęliby całym miastem. O tym, jak on, Jean-Luc St. Clair, stał na moście i widział na własne oczy, jak generał Bonaparte na czele żołnierzy jechał ratować miasto, uchronić je przed wrogami rewolucji. Potem zrobił krótką przerwę, może po to, by bardziej zaintrygować słuchaczy, a może tylko po to, by otrzeć pot z czoła, i zaczął opowiadać o tym, jak Bonaparte wzniósł szablę z okrzykiem:

– Za Francję!

Zgromadzeni w sali ludzie zaczęli coś tam pomrukiwać i kiwać głowami, a kiedy Jean-Luc powiedział, że generał Bonaparte okrzyk bojowy poniesie za granice Francji, by ukarać wrogów, którzy grozili, że zdławią rewolucję, w sali rozległy się okrzyki pełne aprobaty.

Dlaczego mówił o generale Bonaparte? A dlatego, że sędziowie niewątpliwie byli takimi samymi żarliwymi patriotami jak większość obywateli i wiedzieli, że obecnie obowiązkiem każdego jest iść za generałem Bonaparte. Jakże więc mogli jako patrioci wysłać męznego żołnierza, André Valière'a, na gilotynę? Pozbawić generała Bonaparte, a więc Francję, tak doświadczonego żołnierza?

Nastroje ulegały zmianie, ale do pochłoniętego swoimi myślami oskarżonego nadal nic nie docierało. André rozmyślał o śmierci, o niechybnym ostatecznym wyroku. Był pogodzony ze swoim losem, dlatego nie słyszał, jak młody i żarliwy prawnik wspina się na szczyty prawniczej logiki i sztuki oratorskiej, przedstawiając znakomicie dobrane i wyłożone po mistrzowsku argumenty, które miały poruszyć określone struny w sercach tych, co zadecydują o losie pozwanego.

– Obywatele! – Jean-Luc, z zaczerwienioną z emocji twarzą i rozwianymi włosami wolnym krokiem przemierzał salę, przedstawiając ostatnie argumenty obrony. – Ten oto człowiek, André Valière, urodził się w zamku i jako małe, niewinne dziecko został obdarowany bogactwem zbyt wielkim jak na jednego człowieka. I za to powinien ponieść karę, nawet jeśli to bogactwo odrzucił i udowodnił, że gotów jest przelać swoją krew w obronie republiki. Tak powinno się stać, co do tego nie mam żadnych wątpliwości, uważam jednak, że cena, jaką przyjdzie mu za to zapłacić, powinna przynieść coś dobrego naszemu narodowi, naszej ukochanej republice. Jeśli André Valière'owi na koniec odbierzemy życie, jego głowa opadnie na ziemię, spryskując ją błękitną krwią. I cóż nam to da? Może parę minut... zadowolenia, ale nic więcej! – Jean-Luc wzruszył nieznacznie ramionami i złożył ręce. – A przecież tego człowieka można znakomicie wykorzystać w służbie naszego narodu, naszej rewolucji jako żołnierza walczącego w naszej sprawie pod rozkazami generała Bonaparte. Żołnierza znakomicie wyszkolonego i zaprawionego w boju, który wiele razy wykazał się męstwem. Czy warto więc pozbywać się



## W cieniu gilotyny

takiego człowieka tylko po to, by kilku mściwych mogło sobie obejrzeć krwawe widowisko?

Tłum wzniósł okrzyki, sędziowie poruszyli się, wymieniając spojrzenia. Czulo się, że nastroje w sali ulegają diametralnej zmianie.

– Nie sądzę – kończył Jean-Luc zachrypniętym głosem, bo już prawie bez tchu. – Dlatego powiadam: niech André Valière weźmie się do roboty! Niech walczy za nasz kraj! Wyślijcie go do generała Bonaparte, a wtedy jego krew też zostanie przelana, ale nie na pokaz, lecz w służbie naszej republiki!

Na końcu każdego zdania Jean-Luc uderzał pięścią w stół i za każdym razem tłum wznosił okrzyki pełne aprobaty.

– Ma jej służyć, by odkupić te lata, kiedy ziemie i bogactwa należały do rodu de Valière tylko dlatego, że mieli tytuł! Powinien spłacić ten dług, walcząc za republikę!

André końcowej i wygłaszanej coraz głośniejszej mowy właściwie nie słyszał, a jeśli tak, to tylko co dziesiąte chyba słowo. Na naradzających się sędziów zerknął może raz, w ogóle nie usłyszał, gdy woźny oznajmiał, że wyrok zapadnie za kilka minut.

A kiedy zaczęto odczytywać werdykt, nieznacznie wzruszył ramionami.

– André Valière został uznany winnym...

Odrętwiały był tylko do tej chwili, bo kiedy czytano dalej, coś nagle dotarło, coś, co kazało natychmiast powrócić do rzeczywistości. Bo wcale nie padło to jedno przerażające słowo, na które przecież czekał: „gilotyna”. Nie, bo sędzia beznamiętnym głosem przeczytał:

– ...i skazany na wygnanie z Republiki Francuskiej bez prawa powrotu oraz obowiązkową służbę we flocie generała Bonaparte.

André zerknął na Jean-Luca. Młody prawnik był rozpromieniony, choć jednocześnie jakby wciąż nie dowierzał własnym uszom. A przecież to była prawda! Udało im się wykrzesać z tych ludzi odrobinę miłosierdzia i André Valière'a nie powiozą na gilotynę. Musi żyć dalej!

Kiedy André i Jean-Luc w asyście kilku strażników przepychali się przez tłum, kierując ku wyjściu, prawnikowi usta się nie zamykały.

– Jesteś w stanie w to uwierzyć, André? Czy wiesz, że nadal dzierzysz w swych dłoniach swoje życie? – pytał tak bardzo rozradowany, że bezceremonialnie przeszedł na „ty”, czemu André naturalnie wcale nie był przeciwny. Z tym że ów rozradowany Jean-Luc momentami poważniał, jakby nadal przetrwał fakt, że tak, że jednak odniósł zwycięstwo.

André pokiwał głową, nadal, podobnie jak Jean-Luc, oswajając się z tym, co wydawało się nieosiągalne.

– Jean-Luc, po prostu brak mi teraz słów. Powiem tylko: dziękuję. Dziękuję, przyjacielu.

– To ja ci dziękuję, że nie uległeś tym, którzy chcieli cię zniszczyć – powiedział Jean-Luc, zniżając głos. – Twoja siła podtrzymała mnie na duchu i właśnie dzięki temu wszystko poszło po naszej myśli. André Valière'owi, synowi byłego markiza, nie dane jest jeszcze zakończyć życie.

André wciąż miał skute ręce, ale nie było to żadną przeszkodą i obaj mężczyźni mocno i znacząco uściśli sobie ręce.

Ludzie zaczęli się rozchodzić, choć niektórzy zwlekali z odejściem,

## W cieniu gilotyny

pragnąc spojrzeć z bliska na człowieka, któremu udało się wyrwać ze szponów śmierci. W końcu odeszli wszyscy, ulica opustoszała. Czyżby? Przecież koło bryczki, która miała zawieźć André do więzienia, by zabrał stamtąd swoje rzeczy, ktoś jeszcze stał. Był to Nicolai Murat, ale całkiem inny niż w sali sądowej. Tam sprawiał wrażenie bardzo poruszonego, tutaj twarz miał kamienną.

Stał ze skrzyżowanymi na piersi ramionami oparty o bryczkę. Kiedy odezwał się, André cały zeszytniał, bo do tej chwili nie zdawał sobie sprawy, że można kogoś nienawidzić, i to aż tak.

Jean-Luc położył rękę na jego ramieniu, jednocześnie mierząc Murata wzrokiem.

– Sprawa zakończona, André, już nie musisz niczego wyjaśniać. Wsiadaj do bryczki.

– Nie! Jean-Luc, wybacz, ale możesz nas na chwilę zostawić samych?

Jean-Luc po chwili namysłu skinął głową, nachylając się przy tym i szepcząc André wprost do ucha:

– Uwważaj, co mu powiesz! – Gdy André pokiwał głową, Jean-Luc dodał z westchnieniem: – Dobrze, w takim razie wsiadam do bryczki i czekam.

André został sam z Muratem i ze strażnikami, którzy stali nieopodal jak zdenerwowane przyzwoitki. Przez chwilę wpatrywał się w swego prześladowcę, potem, jak wypadało, odezwał się, ale na pewno nie wypowiedział tego z wielkim szacunkiem:

– Generał Murat.

Generał odezwał się po krótkiej chwili:

– Powiniennem wam powinszować. – Poglaskał się po wąsach. – Nigdy bym się nie spodziewał, że tak młodego prawnika stać na coś takiego. Nie ukrywam, że jestem pod wielkim wrażeniem.

André zacisnął zęby, pragnąc nade wszystko opanować się, zanim otworzy usta. Nie miał przecież najmniejszego zamiaru dawać Muratowi satysfakcji i zdradzić, jak wiele zadał mu bólu.

– Uciekliście grabarzowi spod łopaty – mówił dalej Murat – a teraz bez wątpienia poślą was pod armatnie lufy. Może zmierzycie się z Nelsonem i całą tą przeklętą angielską flotą.

André nadal milczał.

– A ten młody prawnik, trzeba przyznać, jest skory do walki, czego nie można powiedzieć o waszym bracie.

André poczuł, jak wszystko w nim zamiera.

– Co powiedzieliście?!

Murat uśmiechnął się drwiąco.

– Waszego brata zastałem w opuszczonym zamku niedaleko Le Mans, gdzie ukrył moją siostrzenicę. W tej norze, jak szczura. Jak śmieliście do tego dopuścić? – Murat zmrużył oczy i wysyczał wściekle: – Gdzie ona jest?

André ust nie otworzył.

– Nie szkodzi – wycedził Murat. – I tak ją znajdę. Nie mogła uciec daleko. A waszemu bratu to się nie udało.

André gotów już był skoczyć mu do gardła, ale w ostatniej chwili się powstrzymał. Przecież jeśli udusi tego drania, nigdy się nie dowie, co stało się z Remym.

– Powiedźcie mi, co z Remym, generale.

## **W cieniu gilotyny**

Murat zaśmiał się lodowato, a szare gniewne oczy były jak wzburzone morze.

- Kiedy odnajdę moją siostrzenicę, może wam wyjawię, gdzie znajdziecie ciało waszego brata.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

### Paryż

Lato 1795 r.

– Myślę, że może wreszcie zaczniecie doceniać siebie.

Jean-Luc poderwał głowę i spojrzał prosto w twarz Gavreau, który jak głodny pies co najmniej kwadrans krążył wokół biurka i w końcu postanowił nie czekać, kiedy Jean-Luc z własnej woli łaskawie przerwie pracę.

Jean-Luc westchnął i odłożył pióro.

– Tak, proszę?

– Spójrzcie! – Gavreau rzucił na zasłane papierami biurko jeszcze kilka papierów, czyli kilka gazet. – Na pierwsze strony! A tu pamflet, w którym nazywają was najbardziej obiecującym młodym prawnikiem Paryża. A więc, jak powiedziałem, mam nadzieję, że wreszcie może zaczniecie oceniać siebie prawidłowo.

Jean-Luc naturalnie spojrzał na wspomniany pamflet i przeczytał pierwsze zdanie, potem zerknął w dół, stwierdzając z zadowoleniem, że jest to pamflet jego ulubionego autora, czyli obywatela Persefony.

– Kłopot w tym, że Marie nigdy nie pozwala mi być dobrego mniemania o sobie – wyznał. – Jakby złożyła przysięgę, że codziennie będzie mi przypominać, jak daleko mi do doskonałości.

– Czyli dobra żona – skomentował rozbawiony Gavreau. – Chociaż nie pozwala wam wybrać się ze mną wieczorem do kawiarni.

– Tak... Ale o to raczej nie obwiniałbym mojej żony, lecz... – Jean-Luc spojrzał wymownie na stopy dokumentów.

– Rozumiem. – Gavreau pokiwał głową. – Wasza żona była na procesie kapitana Valière'a, prawda?

– Moja żona?! Nic o tym nie wiem!

– A ją ja widziałem. Siedziała z tyłu i przez cały czas coś tam skrzętnie zapisywała. Pomyślałem, że kto wie, może ją zatrudniliście, przecież macie mnóstwo roboty, prawda?

– Marie? Jesteście pewni, że to była ona?

Nie, to niemożliwe. Przecież ani słowem nie wspomniała, że wybiera się na ten proces, chociażby dlatego, że stanowczo jej tego zabronił!

– Tak, to na pewno była wasza żona. Trudno, żebym nie zauważył tak ślicznej brunetki.

– Nie wierzę. – Jean-Luc potrząsnął głową, nadal przekonany, że przełożony musiał się pomylić. – Może wypiliście trochę za dużo wina i zauważyliście kobietę podobną do Marie. A skoro o niej mowa... Obiecałem, że będę na kolacji, a papierzyśk mam jeszcze sporo. – Taka była prawda. Nazbierało się, kiedy przygotowywał się do procesu André. Spojrzał na biurko, na pamflet leżący na samym wierzchu. – Gavreau, nie wiecie przypadkiem, kto to może być ten obywatel Persefona, który pisuje pamflety?

– Nie mam pojęcia. Persefona... Zaraz... Grecja... Już wiem! Persefona,

## W cieniu gilotyny

córka Zeusa! Czyli kobieta!

– Tak? Nie wiedziałem.

– Nie może być! Czyżbym naprawdę wiedział o czymś, o czym nie wie szanowny Jean-Luc St. Clair? Uczyliście się przecież o czasach starożytnych. Persefona, biedna dziewczyna, którą Hades uprowadził do swego podziemnego królestwa. Z wiosną Persefona powraca na ziemię, przynosząc nowe życie, a z początkiem zimy odchodzi, pozostawiając śmierć i spustoszenie. Jest symbolem życia i śmierci, nadziei i rozpaczy, jasności i ciemności. Czyli tej jakże kruchej równowagi na tym zwariowanym świecie, na jakim przyszło nam żyć.

Jean-Luc z podziwem pokiwał głową, bo jednak tego nie pamiętał.

– Jestem pod wielkim wrażeniem, Gavreau.

– Czyli może nie jestem aż tak całkiem bezużyteczny! – Gavreau uśmiechnął się. – Już pierwsza. Jedliście coś dzisiaj?

– Nie – odparł Jean-Luc, czując raptem głód.

– A więc idziemy. Ja stawiam. Przynajmniej to mogę zrobić dla... Jak to tam było? Aha! Dla najbardziej obiecującego młodego prawnika w Paryżu!

Dzień był piękny, cały Paryż zalało słońce. Jean-Luc i Gavreau poszli brzegiem Sekwany do dzielnicy Saint-Jacques i zdecydowali się na Café du Progrès. Usiedli przy stoliku na tarasie i Gavreau zamówił dwie potrawy oraz chleb z czymś, co nazywało się liver pâté, oraz karafkę z winem. Potrawy były rzadkie, wino rozcieńczone. Ale cóż, nic na to nie poradzisz, a jeść trzeba.

– Co dalej z tym nieszczęślikiem? Masz jakieś wieści? – spytał Gavreau.

– To znaczy z którym?

– Wiadomo, z kapitanem Valière czy de Valière.

– Ostatni raz widziałem go, gdy szykował się do wyjazdu na wybrzeże, przed kilkoma tygodniami. I żadnych wieści nie mam.

– A jak... – Gavreau zamilkł na moment i odchylił się w tył w krzesło, ponieważ kelner stawił na stoliku koszyk z ciemnym pieczywem. – Jak on się w tym wszystkim odnajduje? Wygnanie oczywiście jest czymś lepszym niż śmierć, ale to zawsze wygnanie.

– Szczerze mówiąc, nie wiem. Kapitan ostatnio był bardzo zdenerwowany, kiedy rozmawiał, myślnie błędził gdzie indziej. A tak w ogóle to ta wojna... – Jean-Luc urwał i spojrzał przez ramię na salę, uznając, że lepiej o tym w takim miejscu nie rozmawiać. Poza tym, mówiąc szczerze, nie bardzo wiedział, jak sformułować swoje myśli o rewolucji, o tym, w co się przeczodziła.

– Co go tak bardzo zdenerwowało? Powinien się cieszyć, że wciąż ma głowę na karku. – Gavreau wetknął za kołnierz płócienną serwetkę, w czym wyglądał jak Mathieu w śliniaczku, nałożył solidną porcję owego pâté i dokończył: – Poza tym słyszałem o jego rodzinie niejedno i jestem prawie pewien, że jego krewni mają mnóstwo drogocennych rzeczy, które gdzieś poukrywali.

– Kapitan nie martwi się o siebie czy o jakieś tam cenne błyskotki, lecz o brata i narzeczoną. Oboje zaginęli.

Ręka z nożem, którym Gavreau miał pokrajać pâté, zawisła w powietrzu.

## W cieniu gilotyny

- Nie żyją? - spytał, zniżając głos.

- Nie wiem - odparł zgodnie z prawdą Jean-Luc i odkroił cienką kromkę chleba. - Jego narzeczona to siostrzenica generała Murata, tego samego, który oskarżył André.

- Czyżby? No to rzeczywiście kapitan ma powody do zmartwienia.

- W samej rzeczy...

Gavreau, chociaż jeszcze nie skończył swojego *pâté*, nałożył sobie dokładkę.

- Ale los kapitana nie spoczywa już w waszych rękach, St. Clair. Nie musicie się o niego martwić. Powiem szczerze, nigdy dotąd nie spotkałem kogoś, kto tak jak wy potrafiłby sam narobić sobie kłopotów. Macie do tego prawdziwy talent.

Jean-Luc pomyślał chwilę i doszedł do wniosku, że chyba po raz pierwszy zgadza się ze swoim przełożonym.

- Może i macie rację. A wracając do kapitana. Żyje i to jest najważniejsze. A poza tym lepiej, żeby zmagał się z Włochami czy Austriakami niż... - Jean-Luc rozejrzał się, by upewnić się, że nikt ich nie podsłuchuje, i dokończył, znów zniżając głos: - Akurat ja zdecydowanie wolałbym iść na wojnę niż stawać przed tym żalosnym trybunałem. Myślę, że po konfrontacji z Muratem, Lazare'em i gniewem Komitetu widok obcej ziemi podziela na kapitana kojąco.

Gavreau wierzchem dłoni otarł usta.

- Czyżby nasza rewolucja nie była już wam miła?

- Raczej człowiek. Jego natura - z westchnieniem odparł Jean-Luc.

- Cóż... Ludzie są jak jabłka wrzucone do wielkiego kosza. Nie wszystkie są dobre, nie brakuje nadgniłych.

Jean-Luc zmrużył oczy, zaskoczony, że z jego starszego kolegi taki filozof.

- Może słyszeliście coś nowego o tym sławnym prawniku? - spytał Gavreau.

- Chodzi wam o Guillaume'a Lazare'a?

- Oczywiście.

- Nie - Jean-Luc odsunął od siebie talerz, jakby raptem stracił apetyt. - Po procesie napisałem do niego parę słów. Zwyczajna uprzejmość. On jednak nie odpisał.

- Musi być wściekły, że wasz klient mu się wymknął, a on do czegoś takiego nie przywykł.

Po wspólnym posiłku w Café Jean-Luc udał się na lewy brzeg Sekwany. Szybkim krokiem przeszedł przez kamienny most, popatrując na rzekę połyskującą w blasku zachodzącego słońca, na złociste plamki płynące z nurtem rzeki. Kiedy dotarł na swoją ulicę, było jeszcze jasno. A szedł powoli, rozkoszując się tym, że po raz pierwszy od dłuższego czasu czuje się dobrze, jest cudownie odprężony. Jeszcze chwila i będzie w domu. Synek na pewno jeszcze nie śpi. Całą rodziną siądą do kolacji i Marie opowie, co ona i Mathieu porabiali tego dnia.

Przez otwarte okno na parterze widać było krępy postać pani Grocque, która energicznie zamiatła największą salę oberży, tę od frontu.

- Witam, obywatelko Grocque - powiedział uprzejmie, uchylając kapelusza.

## W cieniu gilotyny

Ale nie odpowiedziała, ponieważ oczy miała wlepione w powóz, który stał tuż za rogiem ulicy. Jean-Luc również spojrział na powóz i raptem dobry nastrój przysł. Zastąpił go lodowaty dreszcz, kiedy zobaczył, kto właśnie wysiadł z powozu. Ktoś niewysoki, szczupły i nie najmłodszy.

Guillaume Lazare.

– Witajcie, obywatelu St. Clair.

Żółtawe włosy związane były jak zwykle z tyłu głowy, twarz kredowobiała. Bardzo czerwone, a więc pomalowane usta rozciągnęły się tylko odrobinę w nikłym uśmiechu.

– Witajcie, obywatelu Lazare!

Jean-Luc zatrzymał się, odruchowo spoglądając w górę, na okna swego mieszkania, czego natychmiast pożałował, bo wcale nie chciał, by Lazare również tam spojrział. Niestety spojrział, a potem powiedział:

– Jesteście zdziwieni moim widokiem, obywatelu St. Clair.

– Nie ukrywam, że trochę...

– Zjawiłem się nie w porę?

– Ależ nie! Czym mogę służyć?

– Dziękuję, niczym – odparł Lazare, składając ręce a wyjątkowo długich i chudych palcach. – Przyjechałem, by wam pogratulować zwycięstwa.

Jean-Luc zmusił się do uśmiechu, choć był pewien, że stary prawnik doskonale wyczuwa, że młodemu prawnikowi wcale nie jest do śmiechu.

– Dziękuję, obywatelu Lazare. To bardzo miło z waszej strony.

– Mówiłem wam już, że lubię wyzwania. – Zmrużył oczy, wpatrując się w Jean-Luca tak intensywnie, jakby był fragmentem bardzo ważnego tekstu, którego sensu nawet ktoś taki jak Guillaume Lazare nie jest w stanie pojąć. Potem westchnął. – Pójdę już. Wasza żona na pewno niepokoi się o was, zwłaszcza teraz, po tym procesie.

– Istotnie.

Jean-Luc zrobił krok w stronę drzwi, ale tylko jeden, bo czuł, że jednak powiedział za mało.

– Dziękuję wam za życzliwość – powiedział i uściśnił chłodną dłoń.

– Miło słyszeć. Proszę kłaniać się ode mnie swojej rodzinie. – Ponownie spojrział w górę, na ich okna, i ruszył do powozu. Lokaj otworzył drzwi, ale Lazare jeszcze nie wszedł. – A tak przy okazji... Ciekawe, bardzo ciekawe, że właśnie ona złożyła wam wizytę. Nie zdawałem sobie sprawy, że jesteście zaprzyjaźnieni z kapitanem Valière i w swojej naiwności byłem przekonany, że jesteście tylko jego obrońcą. Ale cóż... Wszyscy mamy jakieś tajemnice, prawda? – Po raz kolejny spojrział na okno mansardy, które Marie właśnie otworzyła, i rozległ się śmiech małego Mathieu. – Zawsze uważałem was za uczciwego człowieka, St. Clair. Będę bardzo rozczarowany, jeśli okaże się, że zostałem oszukany.

– Ależ obywatelu... O co wam chodzi?

– Nieważne, wszystko w porządku. Jestem prawnikiem i sprawy prywatne innych ludzi to nie moja sprawa. – Lazare włożył czapkę i wszedł do powozu, ale kiedy stangret strzelił z bata i powóz ruszył, zawołał jeszcze: – Czego naturalnie nie można powiedzieć o jej wuju! Dobranoc, obywatelu!

Jean-Luc wszedł do mieszkania z bijącym sercem, przecież domyślał się, o kogo chodziło Lazare'owi. O śliczną jasnowłosą kobietę, o Sophie

## W cieniu gilotyny

Vincennes, która czekała na niego w ich mieszkaniu.

– Co was tu sprowadza? – spytał opryskliwie.

Marie, zła jak osa, poczuła się w obowiązku udzielić mężowi reprimendy:

– Jean-Luc! Jak możesz zwracać się tak do gościa?!

– Tatuś! – Mały Mathieu rzucił się do ojca, niestety biegł tak szybko, że nóżki mu się zaplątały i upadł na podłogę.

Jean-Luc wziął malca na ręce i podszedł do kobiet.

– Wybaczcie, nie chciałem być nieuprzejmy. Byłem po prostu bardzo zaskoczony waszym widokiem. Jesteście Sophie?

– Tak.

– Co was tu sprowadza? – spytał.

Co ponownie nie spodobało się Marie, i to tak bardzo, że przerwała nakrywanie do stołu i podeszła do męża.

– Jak ty się zachowujesz! Gdzie twoje dobre maniery?

Ale Jean-Luc, wpatrzony w gościa, ani drgnął. A Sophie ostrożnie uniosła głowę. W jej oczach był lęk, ale chyba też iskierka nadziei.

– Przyszłam, bo... bo nie mam do kogo pójść, a André mówił, że wam mogę zaufać.

– Tatusiu! – Podekscytowany Mathieu zabębnił piąstkami po ramieniu ojca. – Panna Sophie powiedziała mi, że narysuje mi balon, który fruwa! Tak! Panno Sophie, proszę narysować latający balon!

– Nie teraz, Mathieu! – Marie odebrała synka od ojca i posadziła go na podłodze wśród zabawek. – Panna Sophie najpierw zje z nami kolację. – I spojrzała na męża bardzo znacząco, przekazując bez słów, że lepiej, by się nie sprzeciwiał.

Jean-Luc westchnął cicho, ale rozkazu posłuchał.

– Ależ naturalnie. Zapraszamy do stołu!

Atmosfera przy stole nie była najlepsza. Marie starała się zabawić Sophie rozmową o rzeczach pogodnych, o tym, czego Mathieu nie chce jeść, o oberżystce Grocque, która z zapałem godnym lepszej sprawy przegania z podwórka psy z sąsiedztwa. Sophie, owszem, zaśmiała się, ale był to zdecydowanie śmiech wymuszony.

A Jean-Luc prawie się nie odzywał.

– Sophie, macie jakieś wieści od André? – spytał, kiedy Marie zaczęła sprzątać ze stołu.

Sophie pokręciła głową.

– Nie. Ani on ode mnie. Nie wie, gdzie byłem przez ostatnie miesiące.

– A gdzie byliście? – pytał dalej Jean-Luc, a zajęta zmywaniem Marie nadstawiała uszu.

– Najpierw Remy zawiózł mnie do starego, opuszczonego zamku – zaczęła przyciszonym głosem, jakby bała się, że nawet tutaj może to dotrzeć do niepowołanych uszu. – Trzy dni jazdy z Paryża na południe, koło Le Mans. Mieszkańcy zamku go opuścili, kiedy zaczęła się rewolucja. Nie wszyscy, ale podejrzewam, że tych, co zostali, wtrącono do więzienia. W zamku został tylko stróż, starszy już człowiek, i jego niewidoma żona. Pozwolili mi tam być. Płaciłam im za pokój, a oni o nic nie pytali.

Stary zamek koło Le Mans... Jean-Luc wyteżył pamięć, starając się przypomnieć sobie, czy przypadkiem nie przeprowadzał tam inwentaryzacji, a Marie nie wytrzymała i włączyła się do rozmowy:



## W cieniu gilotyny

– Jak tam było, w tym opuszczonym zamku?

– Remy zawiózł mnie tam i wrócił do garnizonu koło Wersalu, ale co kilka tygodni przywoził jedzenie, choć żołnierze zaczynali już głodować. I pewnego dnia... – Głos Sophie załamał się, przez chwilę patrzyła gdzieś w dal, niewątpliwie mając przed oczami to, co wtedy się wydarzyło.

– Co się stało, Sophie?

– On mnie znalazł! To znaczy mało brakowało, by mnie dopadł!

Znów zamilkła i ukryła twarz w dłoniach, a Marie i Jean-Luc wymienili się znaczącymi spojrzeciami i milczeli, dając Sophie czas na dojście do siebie.

– Remy pomógł mi uciec – szepnęła po chwili, zerkając na Mathieu, jakby pragnęła się upewnić, że malec tego nie słyszy. – To była najgorsza noc w moim życiu. Jechałam na starym, ledwie żywym i wygłodzonym koniu. Remy kazał mi jechać przez sady do lasu, nie zatrzymywać się. A ten koń ledwie dyszał. O świcie nogi załamały się pod nim i już nie mógł wstać. Biedny koń. Gdybym miała pistolet, skróciłabym jego męczarnie...

Marie przerwała zmywanie i słuchała, nieświadoma, że ze zmywaczka, który trzymała w ręku, woda z mydlinami skapuje na podłogę.

– Czy wiecie, Sophie, co stało się z Remyem? – spytał Jean-Luc.

Przygarbiona, z oczami lśniącymi od łez, pokręciła głową.

– Nie – wyszeptwała. – Nigdy więcej już go nie widziałam.

Marie przeżegnała się, a Jean-Luc westchnął. Poznał Murata już na tyle, żeby spodziewać się tylko najgorszego.

– Jak dacieście sobie radę bez konia? – spytał po długiej chwili milczenia.

– Po prostu szłam, trzymając się z daleka od drogi. Nie wiedziałam, gdzie wtedy był wuj ze swoimi ludźmi, w każdej chwili mogłam natknąć się na niego. Poza tym nie chciałam, żeby ktokolwiek mnie zobaczył i odpowiedział, że widział samotną kobietę, brudną, rozczochraną, która włóczy się po okolicy. Nie miałam pieniędzy, żeby zatrzymać się w zajeździe. Więc tak szłam przez ten las, przemykając między drzewami. Pod wieczór doszłam do skraju lasu i zobaczyłam zagrodę chłopską. Niewielką, wyglądała na opuszczoną. Weszłam więc do stodoły. Byłam głodna, ale przede wszystkim padałam z nóg. Jechałam przecież konno całą noc, a potem szłam przez cały dzień. Położyłam się na słomie i natychmiast zasnęłam. Spałam jak kamień przez całą noc...

Jean-Luc słuchał, popatrząc na Sophie z podziwem. Bo było co podziwiać. W tej młodej kobiecie z arystokratycznego rodu, a więc zapewne delikatnej, jednak było tyle siły i samozaparcia.

– Rano obudziły mnie jakieś szepty. A to szeptał do siebie stary chłop, naturalnie zaskoczony moim widokiem. W ręku trzymał wycelowane we mnie widły, ale kiedy zobaczyłam jego twarz, od razu wiedziałam, że to dobry człowiek. Złożyłam ręce i błagałam, by się zlitował. A on opuścił widły i poprowadził mnie do chaty. Były tam jego żona i córka, które zaprosiły mnie na śniadanie. – Marie westchnęła.

– Chwała Bogu, że natrafiliście na dobrych ludzi.

– Dobrych? Świętych! Zostałam u nich i tam napisałam list do André, to znaczy do was, panie St. Clair.

– Przekazałem mu ten list w dniu jego procesu – powiedział Jean-Luc, kiwając głową. Doskonałe pamiętał, jak wstrząśnięty był André, gdy szedł na rozprawę, i jak bardzo był przejęty rozprawą i widmem gilotyny. Tak

## W cieniu gilotyny

to zrozumiał Jean-Luc, dopiero potem uzmysłowił sobie, że André wstrząśnięty był tym, co napisała Sophie.

- A ci chłopci nie mieli wobec was żadnych podejrzeń? - spytała Marie.

- Nie. Naturalnie pytali, skąd jestem. Powiedziałam, że z Paryża, i o nic więcej mnie nie pytali. Powiedzieli, że w tych czasach to każdy, kto jest z Paryża, ma jakieś tragiczne przeżycia i wolą już tego nie słuchać. Przyjęli mnie jak swoją. Naturalnie nie siedziałam tam z założonymi rękami. Pomagałam w kuchni, przy dzieciach i w ogrodzie. Byłam im nieskończenie wdzięczna, że dzięki nim jestem bezpieczna. I nie chodzę głodna.

- Więc dlaczego tam nie zostaliście? Co się stało? - spytał Jean-Luc.

- Tydzień temu zmieniło się wszystko. Poprosili mnie, żebym jednak sobie poszła.

- Czy podali jakiś konkretny powód?

- Chodziło o ich najstarszą córkę. Bardzo miła dziewczyna, z którą chciał się ożenić chłopak z sąsiedniej wioski. A do ślubu nie mogło dojść, póki ja przebywałam pod ich dachem. Obca osoba, która mogła wzbudzić podejrzenia. Bali się, że ucierpi na tym cała rodzina. Uchwalono przecieć nowe dekrety i bardzo łatwo oskarżyć kogoś o ukrywanie zdrajców. Wiemy, co dzieje się potem... - Sophie zadrzała, zrobiła się biała jak ściana i Jean-Luc, bojąc się, że zemdleje, pochylił się, gotów ją podtrzymać. Ale nie zemdlą. Zrobiła głęboki wdech i zebrała się już w sobie. - Nie mogłam ich za nic winić. Powiedziałam im to i rozstaliśmy się w przyjaźni.

Zapadła cisza, przerywana tylko pokrzykiwaniami rozbawionego małego Mathieu.

A potem Sophie poderwała głowę i wyrzuciła z siebie jednym tchem:

- Nie mam pieniędzy, nie mam co jeść, nie mam dokąd pójść! Moi rodzice nie żyją. Remy zaginął. André chyba jest w Paryżu, ale gdzie dokładnie, tego nie wiem. A oprócz niego nie mam nikogo.

- Ale jakim cudem przeszliście przez bramy miasta? - spytał Jean-Luc.

Sophie zaśmiała się, krótko i niewesoło.

- Wejść do miasta to żaden kłopot. Gorzej, gdy chcesz się z niego wydostać.

Wszyscy udali się na spoczynek. Sophie położyła się na prowizorycznym posłaniu w większym pokoju, czyli salonie i kuchni zarazem, a Jean-Luc i Marie, tuląca do siebie śpiącego malca, poszli do pokoju mniejszego, czyli sypialni. Razem, ale był to przecież tylko wymóg chwili, a nie coś w rodzaju pojednania między mężem a żoną, czego tak bardzo pragnął Jean-Luc.

Ułożyli Mathieu w łóżeczku, potem rozebrali się, włożyli nocne koszule i po raz pierwszy od długiego czasu, kiedy Jean-Luc kładł się na łóżku, Marie jeszcze nie spała. Leżała zwinięta w kłębek twarzą do niego, oddaloną od jego twarzy zaledwie o kilka centymetrów.

- Jean, a może jednak...

- Nie, Marie. - Westchnął. Przecież mówił już Marie, że Sophie nie może u nich zostać.

- Ale przecież sam słyszałeś. Ona nie ma gdzie pójść. Nie ma pieniędzy na wynajęcie pokoju. Nie ma żadnych bliskich ani przyjaciół.

## W cieniu gilotyny

Jean-Luc teraz to już jęknął, przecierając zmęczone oczy.

– Marie, przecież wiadomo, że wcale nie czuję się z tym dobrze. Wprost przeciwnie. Ciągłe mam przed oczami André i pragnąłbym z całego serca przyjąć Sophie pod nasz dach. Ale to zbyt wielkie ryzyko. Nie mogę tego zrobić ze względu na ciebie i Mathieu.

Spojrzała na drzwi, za którymi spała Sophie – albo też na próżno starała się zasnąć – i znów szepnęła do męża:

– Przecież jej wuja nie ma w Paryżu. Mówiłeś, że razem z wojskiem wrócił na front. Wiadomo, że miasto oszalało, ale przecież nikt nie wie, kim ona jest! Możemy udawać, że na przykład jest naszą służącą.

Po twarzy Jean-Luca przemknął smętny uśmiech.

– Ona? Naszą służącą? Nikt w to nie uwierzy. Po pierwsze nie stać nas na to, a nawet gdybyśmy się zdecydowali, to jak powiedziałem, i tak nikt nie uwierzy.

Wziął Marie za rękę, bo miał już dość tego wzajemnego unikania, chciał, żeby znowu byli sobie naprawdę bliscy.

– Poza tym, Marie, on ją widział.

– Kto?

– Guillaume Lazare. Widział, jak wchodziła do tego domu.

– Lazare? Ten prawnik? Widział ją! Czym to grozi?

– Chodzi o to, że jest to człowiek, przed którym trzeba mieć się na baczności. Nie ufam mu, a już na pewno wtedy, kiedy chodzi o dobro moich bliskich. Poza tym on przecież stoi po stronie Murata, prawda? Jestem pewien, że powie mu, że widział Sophie.

– Tak... – Marie pokiwała głową i znów wlepiła w niego te swoje piękne, brązowe oczy, w których odbijało się światło księżyca. – Jean, nie zapominaj, że to André Valière bez wahania stanął u twego boku w sprawie Christophe'a Kellermanna. Bronił generała i omal nie przyplącił tego życiu.

– Przecież wiem... – Przyciągnął żonę do siebie i przytulił.

A ona mówiła dalej:

– Potem ty stanąłeś po stronie kapitana i uratowałeś mu życie. Jean, nie potrafisz tego dobrze wyrazić, ale chodzi mi o to, że wasze losy tak dziwnie się przeplatają, rozumiesz? Och, Jean... – Westchnęła. – Przecież on ją kocha, a ona kocha jego. Czy kochanie człowieka, którego wuj nienawidzi, jest przestępstwem? A ten Lazare... Czyżby chciał ją zastraszyć? Jeśli tak, to tym bardziej powinniśmy jej pomóc.

Jej głos był bardzo stanowczy i Jean-Luc, chcąc nie chcąc, musiał również przemówić takim tonem:

– Marie, chodzi nie tylko o jej wuja czy Lazare'a. Może zaszkodzić każdy, kto nabierze podejrzeń, że ukrywamy kogoś, kto z prawem jest na baki, i doniesie na nas. Sophie nie może tu zostać...

– Nie chcę tego w ogóle słyszeć! Przecież już i tak narażałeś swoją rodzinę, podejmując się obrony w tych dwóch procesach! Pozwól więc, że teraz ja przemówię w słusznej sprawie. Sophie Vincennes, która nie jest dla nas kimś obcym, rozpaczliwie potrzebuje pomocy. A my jej pomożemy. Jeśli nie chcesz, by przebywała w naszym domu, znajdź jakieś inne miejsce. Może u któregoś z twoich kolegów, może u twojego przełożonego, tego głupka.

Jean-Luc słuchał w milczeniu, czując już, że w tej potyczce nie zwycięży.

## W cieniu gilotyny

A Marie, wsuwając zziębniętą stopę między jego stopy, oświadczyła:

– Mój ukochany mężu! Albo znajdziesz jej jakąś kryjówkę, albo ja poszukam ci innego mieszkania!

Jean-Luc westchnął.

– Dobrze. Postaram się jej coś znaleźć – powiedział, przysuwając się do żony. – Dawno nie widziałem ciebie tak roznamietnionej, najmilsza. Nie ukrywam, że bardzo mi się to podoba.

– A mi podoba się, że moje na wierzchu, czyli pokonałam człowieka, który wygrał z samym Guillaume'em Lazare'em!

– Proszę, nie wymawiaj już przy mnie tego nazwiska, bo nie będę mógł zasnąć! – rzucił niby gniewnie i pocałował żonę w szyję. Potem w usta, ale kiedy ręka sięgała do jej koszuli, coś mu się raptem przypomniało. Bo skoro mowa właśnie o procesach... – Marie? Gavreau mówił, że widział ciebie na procesie kapitana. Naprawdę tam byłeś?

Czuł, jak żona w jego objęciach cała sztywnieje.

– A... tak. Przechodziłam tamtędy, a więc weszłam na chwilę.

– Przechodziłaś? A dlaczego właśnie tam?

– Chciałam zobaczyć, ile kosztuje chleb w innych dzielnicach. Przecież wciąż powtarzasz, że musimy oszczędzać.

– Tak... Ale zaraz... A Mathieu? Ktoś go pilnował?

– A jakże mogło być inaczej?! Był pod opieką pani Grocque.

– Aha... – mruknął, czując, że nie mówi mu wszystkiego. – Wolałbym, żebyś nie zostawiała naszego synka w oberży.

– Więcej to się nie powtórzy! Obiecuję! – odparła jakoś tak zbyt żarliwie. – A teraz przestań już się zamartwiać i zajmijmy się tym, co rozpoczęliśmy.

Pocałowała go, jednocześnie zsuwając mu z ramion koszulę. Dotykała go, pieściła po raz pierwszy po tak długim czasie, nic więc dziwnego, że miał tylko jedno w głowie.

I wtedy w mroku sypialni usłyszeli słodki głos dziecka:

– Tatusz?

Znieruchomieli z nadzieją, że malec uzna, że rodzice śpią i wróci do swego łóżeczka.

Ale Mathieu nie zamierzał zrezygnować.

– Tatusiu! Tatusiu!

– Co się stało, synku? Mamusia już idzie do ciebie! – zagruchała słodko Marie i ku wielkiemu żalowi Jean-Luca wstała z łóżka.

– Słyszałem, jak tatuś mówił, że pan Lazare jest niedobry. A to nieprawda. Niech tatuś się go nie boi. On mi powiedział, że tatuś jest bardzo odważny. A kiedy byłem u pani Grocque, przyniósł mi ciasteczka i powiedział, że zabierze mnie na spacer i obejrzymy latający balon!

Jean-Luc zerknął na żonę i na jej twarzy, oświetlonej srebrzystym blaskiem księżyca, zobaczył to samo, co sam poczuł.

Strach.

**CZĘŚĆ TRZECIA**

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

### Wybrzeże Śródziemnomorskie

#### Południe Francji

Wiosna 1798 r.

André, kiedy spojrział na list, omal nie krzyknął z radości. Od razu rozpoznał, czyja ręka napisała jego nazwisko, a to, że list w ogóle trafił do niego, zakrawało na cud. Wielokrotnie przekierowany, zanim dotarł z Paryża na statek *L'Esprit de Liberté* na Morzu Śródziemnym koło południowego wybrzeża Francji, przebył naprawdę długą drogę i niewątpliwie dlatego teraz był trochę inny niż na początku swej podróży. Wymięty, przybrudzony i przesycony zapachem morza. Tak jak człowiek w marynarskiej bluzie, który trzymał go w rękę.

Miał przerwę. Stał na pokładzie wojennej fregaty i przełamywał pieczęć drżącymi z niecierpliwości palcami. Przecież nie mógł się doczekać, kiedy zacznie czytać i zobaczy słowa, które mogą być jak balsam na jego samotną duszę.

*André, mój drogi przyjacielu, jakiś czas temu zawitał do nas gość niespodziewany. Sophie. I jest u nas, bezpieczna. Nasz Mathieu uwielbia ciocię Sophie, w związku z czym dla mamy i taty nie ma już czasu. Naturalnie staramy się, by była jak najmniej widoczna dla osób postronnych. Mamy też nadzieję, że sąsiedzi uwierzyli, że rzeczywiście stać nas na służącą.*

*Wszystko będzie dobrze, André. Marie i ja strzeczemy Sophie jak oka w głowie, a Mathieu dba o to, by się nie nudziła.*

*Mam nadzieję, że miewasz się dobrze. Że ten list do Ciebie dotrze, mimo że nie udało mi się ustalić twego miejsca pobytu. Proszę, jeśli będziesz mógł, napisz kilka słów.*

*Twój przyjaciel*

*Jean-Luc St. Clair*

*PS. Wiem, że czekasz z niecierpliwością na wieści, ale nie ode mnie. A więc raduj się, przyjacielu, bo Twemu życzeniu stało się zadość!*

W kopercie był jeszcze jeden list, niepodpisany, ale elegancki charakter pisma znajomy.

*Kochany,*

*Jak wiesz od naszego wspólnego przyjaciela, jestem w Paryżu i nic mi nie grozi. Mój wuj wrócił na front, sądzę więc, że nic złego się nie wydarzy. Marie i Jean-Luc są nadzwyczajni. Niezwykle wspaniałomyślni i gościnni, muszą jednak Cię ostrzec. Jeśli nie wrócisz niebawem, kto wie, czy nie skradnę serca Mathieu St. Claira. A on mi, bo czy biedna dziewczyna jest w stanie się oprzeć brązowym oczom, tak wielkim i tak pięknym?*

*Uznaliśmy, że lepiej będzie, jeśli nie napiszę sama, lecz dołączę do korespondencji Jean-Luca. Bo lepiej pozostać w cieniu. A Paryż bardzo się zmienił. Po moim powrocie najbardziej uderzyło mnie to, że przechodnie starają się nie patrzeć sobie w oczy. Ale jest nadzieja, bo zawsąd słychać*

## W cieniu gilotyny

głosy, że Napoleon Bonaparte jako przywódca na pewno przywróci we Francji ład i porządek.

*Mój ukochany, tak bardzo jestem spragniona wieści od Ciebie. Gdzie przebywasz, jak się miewasz. Czy nie głodujesz? I tak bardzo chciałabym wiedzieć, że na swojej drodze nigdy już nie spotkałeś mego wuja.*

*Proszę, obiecaj, że będziesz uważał na siebie. I nie zapominaj o tym, że zawsze będę Twoją kochającą, bezgranicznie oddaną S.*

Ten list André czytał wielokrotnie, zerkając na boki, czy któryś z marynarzy nie dostrzeże łez w jego oczach. Bo te słowa na pewno były jak balsam na jego zboliałą duszę. Starał się też wyobrazić sobie, jak obecnie wygląda Sophie. Kiedyś chłodna piękność – taką przecież ją poznał – a teraz biega po Paryżu przebrana za służącą. Najpiękniejsza służąca w Paryżu! Jakże zazdrościł wszystkim St. Clairom, że każdego kolejnego dnia mogą być tak blisko niej. Naturalnie zastanawiał się też, jak mógłby się odwdziaczyć Jean-Lucowi. Nie tylko za udzielenie Sophie gościny, lecz w ogóle za to, że im obojgu jest tak życzliwy, że służy im radą i pomocą. Postanowił, że jeśli odzyska wolność i z tej nieuniknionej wojny wyjdzie cało, na pewno znajdzie jakiś sposób, by odwdziaczyć się Jean-Lucowi za wszystko, co dla nich zrobił.

Listy nosił ze sobą wsunięte za pazuchę, żeby drogocenne słowa były blisko serca. Słowa, które sprawiły, że po tylu miesiącach rozpaczy wreszcie na duszy zrobiło się lżej. Bardzo chciał na nie odpisać, ale niestety było to niemożliwe. Nie wolno mu było mieć ani papieru, ani pióra. Na mocy prawa nowego rządu i Armii Francuskiej pozbawiono go stopnia oficera. Na pokładzie *L'Esprit de Liberté* był po prostu marynarzem z przymusowego naboru i spiał na jednym z wielu hamaków zawieszonych w kajucie dla załogi. W tym hamaku teraz co wieczór czytał po kilka razy oba listy, zastanawiając się, czy kiedykolwiek jeszcze Sophie napisze do niego ciepłe słowa, a słowa te odszukają go gdzieś na bezkresnych wodach, czyli tam, gdzie odsiadywał wyrok.

Początki nie były łatwe. Żołądek i nogi musiały przywyknąć do ciągłego kołysania jego nowego domu, a wargi, że są zawsze słone. Dni mijały, jeden podobny do drugiego. Fregata, na której służył, była jedną z wielu fregat patrolujących morze na południowo-wschodnim krańcu wybrzeża Francji, by w razie potrzeby stawić czoło flocie hiszpańskiej, albo, co gorsza, angielskiej. Jak dotąd, w eskadrze André niewiele się działo. Walczył przede wszystkim ze szczurami grasującymi pod pokładem i z mewami grasującymi nad pokładem. Szorował pokład i szorował, a one znów nadlatywały i dalej paskudziły.

Większość marynarzy to brodate osiłki grubo ciosane i na ciele, i w mowie. Patrzyli na niego podejrzliwie, ale nie szukali zwady. Bardzo często, kiedy André wchodził do kajuty, miał wrażenie, że na jego widok robi się ciszej. Owszem, pogodzili się z jego obecnością, ale nie mieli zamiaru z nim się bratać, co bardzo mu odpowiadało. Po wielu miesiącach spędzonych w zatęchłej celi nie miał już ochoty na żadne przyjaźnie.

A kiedy patrzył na bezmiar błękitnej wody aż po horyzont, często przez głowę przemyciała myśl, że służba na *L'Esprit de Liberté* jest czymś w rodzaju czyścica, o którym w dzieciństwie prawiły mu zakonnice. A jeśli czyściciel, to najlepiej spuścić głowę, nie odzywać się i po prostu odbyć tę

## W cieniu gilotyny

karę za coś, co tak trudno było sprecyzować. Poza tym te dni spędzane gdzieś na morzu wcale nie były wielką udręką. Na pewno było to lepsze niż odsiadywanie wyroku w obrzydliwym więzieniu Tempie. Jedzenia nie brakowało. Owszem, na ogół wszystko było słone albo wysuszone na wiór, ale nikt nie chodził głodny. Owszem, praca marynarza nie była lekka, ale dzięki temu w dzień nie było czasu na smutne rozmyślania, a wieczorem człowiek od razu zapadał w głęboki twardy sen. Ręce i nogi zawsze miał mocne, bo żołnierski los przydaje tężyzny, ale od wspinania się po masztach i podciągania mięśnie były jak wyrzeźbione. A kryształowo czyste powietrze wyгнаło z płuc kaszel, którego nabawił się w wilgotnym lochu w Temple.

I chociaż stronił od ludzi, z kimś się jednak zaprzyjaźnił. Z Asharem, który właśnie wyszedł na pokład. Jego czarne oczy błyszczały, a ogorzała twarz była pomarszczona, bo uśmiechał się od ucha do ucha.

– Dostałeś list od kobiety! Na pewno! Nie próbuj zaprzeczać!

Żarty Ashara, nie zawsze najwyższego lotu, i jego dobroduszne przycinki wcale nie drażniły André. Przeciwnie, koło serca zawsze robiło się cieplej, bo Ashar przypominał mu młodszego brata, zawsze beztroskiego Remy'ego.

Ashar pochodził z Egiptu i często opowiadał o swoich rodzinnych stronach. Do innych arabskojęzycznych marynarzy, pochodzących z Wybrzeża Berberyjskiego, rzadko się odzywał. Był Egipcjaninem, a więc, jak twierdził, mógłby być ich królem.

A teraz dalej podśmiewał się z André:

– Mnie nie oszukasz. Widzę to po twoich oczach. List od kobiety, i to na pewno niebrzydkiej.

– A co ty tam wiesz o urodzie kobiet, Ashar!

– Coś niecoś wiem – oświadczył Ashar, przysiadając obok André. – Bo ja w ogóle znam się na ludziach. Ciebie też już przejrzałem.

– O proszę! I cóż takiego dojrzałeś?

Ashar, już bez uśmiechu, milczał przez chwilę, nie odrywając od niego oczu.

– Jesteś inny niż wszyscy, mój przyjacielu. Inny, bo dużo wycierpiałeś.

André nie odezwał się, tylko spojrział przed siebie, na beżmiar mokrego, słonego błękitu, przyznając w duchu przyjacielowi rację. Bo tyle zła zaznał w życiu. Sophie, jego miłość najgorętsza, jest przecież nieosiągalna. A nienawiść do jej wuja człowieka po prostu zżera... A Remy... Remy'ego już nie ma.

– Teraz też coś cię gnębi, André.

– Każdego coś gnębi – mruknął z westchnieniem i żeby zmienić temat, spytał: – Powiedz mi, Ashar, co ty, na Boga, robisz na tej łajbie?

– A coś ty nagle taki ostry? Przecież nie chciałem...

– Przecież wiem. I po prostu pytam. Jak to się stało, że się tu znalazłeś. Egipski filozof w służbie francuskiej marynarki wojennej!

Ashar potrzebował chwili refleksji. Pomilczał, potem westchnął.

– Taka była wola Allaha. Czasami sobie myślę, że musiałem Go czymś rozniewać. Ja mam serce, przyjacielu. Bije w mej piersi, ale zdarzało mi się robić rzeczy nikczemne, więc muszę poddać się woli Allaha i czekać, kiedy odmieni mój los.

André wysłuchał, ale nie odezwał się, bo nie bardzo wiedział, jak



## W cieniu gilotyny

zareagować na to tajemnicze oświadczenie. Wolał więc milczeć, a kiedy tak milczał, przyszła gorzka refleksja. Przecież on też nie jest bez serca, więc dlaczego spotkał go taki właśnie los?

Kilka tygodni później, po powrocie *L'Esprit de Liberté* do portu macierzystego w Tulonie, załodze pozwolono zejść na ląd na cały tydzień. Przez cały ten czas André chodził po wybrukowanych kocimi łbami ulicach, zjadając się smaczną potrawką rybną w restauracjach i gospodach, których właściciele byli wyjątkowo sympatyczni i gościnni. Zauważył też, że do portu wpływają coraz to nowe francuskie statki, ale nie wypływają z powrotem w morze, tylko stoją w porcie. A każdy nowy statek była to zapowiedź, że nowe gromady nieogolonych i hałaśliwych mężczyzn, wyposzczonych po wielu miesiącach na morzu, ruszą na miasto, hurmem podążając do słynnych południowych oberż i zamtuzów.

Ostatniego dnia tego tygodnia swobody, kiedy André siedział w restauracji i zjadał się doprawioną czosnkiem potrawką rybną, tuż przed nim pojawił się jego egipski przyjaciel.

- Ashar!

Przywitali się serdecznie, po czym Ashar przysiadł się do stolika i zamówił to samo co André, który kończąc swoją potrawkę, spytał:

- Co porabiałeś przez ten tydzień?

Ashar nie odpowiedział od razu. Najpierw przemknął spojrzeniem po tarasie wypełnionym spoconymi i hałaśliwymi mężczyznami w marynarskich bluzach w biało-niebieskie paski, którzy wlewając w siebie wino i piwo galonami, umizgali się do kilku młodych kobiet.

Po czym odpowiedział, tyle że bardzo enigmatycznie:

- Ten tydzień mnie... oświecił.

André nie pozostawało nic innego, jak pokiwać głową, a po chwili zadać kolejne pytanie:

- Nie wiesz przypadkiem, dlaczego tu jesteśmy?

- Jak to dlaczego? Przecież wszyscy żołnierze zdolni do służby ściągają do Tulonu!

- Owszem, widzę, że ściągają, ale po co?

Ashar spojrział na niego z niedowierzaniem.

- To ty nie wiesz?

- Nie.

- Ten szalony Bonaparte znowu wszedł do gry.

- Do jakiej znowu gry?

Egipcjanin czujnie rozejrzał się dookoła i nachylił się ku André.

- Generał Bonaparte ma o wiele większe ambicje, niż przypuszczałem - szepnęła. - Wyobraź sobie, że byłem u niego. Tak, ja! Razem z ministrami z rządu i adiutantem. Zależy im na mnie, bo jestem im potrzebny.

- Nadal nic z tego nie rozumiem.

- Kapitanie Valière, rusz głowę! Nie domyślasz się? Ci ludzie, których tu widzisz, wcale nie przybyli na południe kraju, by napić się wina i zabawić z kobietami. My wszyscy jesteśmy załogą potężnej floty generała Bonaparte.

- Po co ta flota?

- Po to, by zawieźć armię generała Bonaparte po kolejne zwycięstwo.

## W cieniu gilotyny

Do mego ojczystego kraju. Do Egiptu.

Ciekawscy gapie z całej okolicy tłumnie przybyli do doków i na nabrzeże tulońskiego portu, by zobaczyć, jak flota generała Bonaparte – ta ruchoma forteca złożona z czterystu statków, trzydziestu dziewięciu tysięcy żołnierzy i pokaźnej liczby najznamienitszych francuskich uczonych, historyków, botaników, także artystów i pisarzy – wyruszy w morze. Południowe słońce prażyło. Wszyscy wlepiali oczy w statki, w uwijających się na pokładach marynarzy przy akompaniamencie głośnych rozkazów, aż wreszcie nadeszła ta chwila, kiedy podniesiono kotwice i żagle wyduły się, napęczniałe śródziemnomorskim wiatrem, który miał potężną flotę poprowadzić na kontynent afrykański.

Gdyby nie rozmowa z Asharem, André, jak większość marynarzy, nie miałby pojęcia o celu tej misji. Bo wszyscy, od chorążego po admirała, dostali rozkaz od samego generała Bonaparte, że cel ma być trzymany w największej tajemnicy.

André naturalnie domyślał się dlaczego. Bonaparte udowodnił już, że w walce na lądzie jest niezwyciężony, natomiast na morzu nadal przewagę mieli Brytyjczycy. Ich flota była najsilniejsza i dlatego, żeby bezpiecznie przeprowadzić tak wielką flotę francuską z tyloma ludźmi na pokładzie przez wody patrolowane przez Brytyjczyków, trzeba było to zrobić jak najszybciej i w największej tajemnicy.

Statki płynęły po niebieskozielonym Morzu Śródziemnym trzeci dzień. André już o świcie był na nogach, naturalnie szorując pokład przy lewej burcie, jednocześnie wsłuchując się w dobrze znane odgłosy, czyli pojękiwanie lin i cichy plusk fal bijących o kadłub statku.

– Valière!

Na widok starszego mata odłożył miotłę i wyprężył się.

– Tak jest!

– Macie stawić się na tylnym pokładzie. Kapitan chce z wami pomówić.

André cały stężał. Bo cóż on takiego zrobił, że ściągnął na siebie gniew dowódcy? Jak dotąd nigdy jeszcze nie został wychłostany, ale widział nie raz, jak karano marynarzy, i wcale nie marzył, by jego również to spotkało. Chociaż największą karą byłby rozkaz powrotu do Paryża.

– Kapitan czeka! – rzucił mat niecierpliwie.

André natychmiast ożył. Szybko wytarł ręce w ścierkę i ruszył na rufę.

Kapitan Dueys stał oparty o reling. Wysoki, krzepki, w kapitańskiej czapce na siwych włosach rozwiewanych przez łagodną bryzę przynoszącą ze sobą zapach słonej wody i krzyki mew.

Kapitan, wpatrzony we fregaty pod francuską banderą kołyszące się dookoła na szmaragdowej wodzie, powitał André w taki oto sposób:

– Kapitan Valière.

Zdumiony André odruchowo stanął na baczność. Przecież kapitanem już nie był.

– Tak jest!

Kapitan, nadal oparty o reling, oderwał wzrok od morza i spojrzał na André kątem oka.

– Spocznij. Kapitanie, byliście pod Valmy?

– Tak jest!

A kapitan, znów zapatrzony we fregaty, wyjął fajkę z kieszeni i grubymi

## W cieniu gilotyny

palcami upchnął w niej tytoń. Zapalił, wdychając wonny dym, i ponownie spojrzął na André, ale już nie kątem oka.

– Generał Kellermann był wielkim człowiekiem. To, co stało się w Paryżu, to zgroza. To niepowetowana strata.

Twarz André stężała.

– Zgadzam się z wami całkowicie.

Po chwili ciszy kapitan kilkakrotnie pyknął z fajki, po czym mówił dalej, nie odrywając oczu od André.

– Większość ludzi na tym statku to ludzie niesprawdzeni. Cały zeszyły rok spędzili na szorowaniu pokładu i walce o największe racje rumu. A mnie potrzebny jest człowiek, który nie ma brody, za to ma doświadczenie w prowadzeniu ludzi do walki.

Znow króciutka przerwa na pyknięcie z fajki. Kiedy kapitan robił wydech, powietrze leciało André prosto w twarz. Czuł więc już nie tylko zapach morza, ale także zapach tytoniu. I zapachy dolatujące z kambuza.

– Valière, wiem, że zanim wplątaliście się w to wszystko, byliście kapitanem. A mnie nie obchodzi, o co żre się kilku paryskich prawników. Dla mnie ważne, że ktoś służył pod generałem Kellermannem. Takiego człowieka potrzebuję. Kiedy jutro zacznie się ostrzał, macie stać tuż przy mnie i przejmować rozkazy. – Pyknął po raz kolejny i po raz pierwszy spojrzął André prosto w oczy. – Zrozumiano?

Może nie do końca, ale André mógł powiedzieć tylko to:

– Tak jest!

Przez chwilę stali w milczeniu. André pewny, że kapitan każe mu odmaszerować, ale jeszcze nie skończył, tylko spytał:

– Nigdy jeszcze nie prowadziliście ludzi do walki na morzu?

– Nie. Jeszcze nie.

– Cóż... Jeśli nasz mały kapral... generał Bonaparte... zrobi, co zamierza, to o bitwie morskiej raczej nie będzie mowy.

I kapitan, marszcząc rude brwi, nagle parsknął śmiechem. Niewątpliwie rozbawiony miną André, niewątpliwie nie najmdirzejszą, przecież nadal nie wiedział, o co dokładnie chodzi.

– Jutro nasz generał Bonaparte chce zrobić to, czego nie robiono od czasów krucjat – wyjaśnił kapitan. – Chce zająć Maltę. A kłopot w tym, że obecni władcy Malty, Zakon Rycerski Joannitów, wcale nie chcą mu jej oddać.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

### *Południowa część Morza Śródziemnego*

Czerwiec 1798 r.

- Czy wiecie, skąd się wzięła nazwa tej wyspy? - spytał kapitan Dueys następnego dnia o poranku, kiedy André znów miał przyjemność stać razem z nim na pokładzie.

- Nie wiem - odparł André zapatrzony w widniejącą przed nim wyspę.

- Malta znaczy „miód”. Tak nazwali tę wyspę starożytni Grecy.

André zmrugał oczy, by lepiej dojrzeć ostre klify o postrzępionych brzegach, wznoszące się nad szafirową wodą połyskującą w blasku porannego słońca. Dojrzał też na tle błękitnego nieba jakieś zabudowania.

- Tylko względy strategiczne - powiedział kapitan, opierając się silną i opaloną ręką o reling. W drugim ręku naturalnie trzymał nieodłączną fajkę. - Bo tak naprawdę to ta przeklęta skała do niczego nam nie jest potrzebna. Bez niej i tak osiągnęlibyśmy swój cel. Podejrzewam, że zajęcie tej wyspy to raczej sprawa ambicjonalna. Bonaparte chce zdobyć jedno z najświętszych miejsc chrześcijaństwa. - Kapitan westchnął, wypuszczając z ust obłoczek dymu. - Przekonamy się, czy dobry Bóg poprze jego zamiśl, bo jeśli nie, to ten przesolony admirał Brytyjczyków, ten Nelson, będzie miał coś do powiedzenia. Słyszałem pogłoski, że przekłęci Brytyjczycy są gdzieś tutaj i czekają tylko na odpowiedni moment, by nas dopaść.

Brytyjczycy. Mimo palącego słońca i łagodnej bryzy, po plecach André przebiegł lodowaty dreszcz. I właśnie w tym momencie na jednym z płynących nieopodal statków coś huknęło. Wszyscy obecni na pokładzie marynarze poderwali głowy i spojrzeli w tamtą stronę, a kapitan zaklął.

- Do diabła! A więc zaczęło się!

Chwycił się relingu, lustrując czujnym wzrokiem statki dookoła. A na nich wszystkich stawiano żagle, kierując się w stronę portu na Malcie i jego stolicy, Valletty. Kapitan znów zaklął, spojrział jeszcze raz przez lunetę i oznajmił:

- Już czas.

Opuścił lunetę i odwrócił się do André. W jego spojrzeniu był już ten błysk, ta oznaka podniecenia przed nadchodzącą bitwą. A w niebo uderzyła salwa armatnia, czyli zaczęło się oblężenie Malty.

- Valière, kiedy będziemy blisko wyspy, weźmiecie tę małą łódź, co jest przy rufie, i niech wsiądzie do niej jak najwięcej ludzi. Widzicie, którędy ich łódzie wpływają do portu? Płynicie ich śladem i zorientujcie się w sytuacji.

- Tak jest!

- I jeszcze coś. Dzisiaj dla moich ludzi jesteście kapitanem Valière. Zrozumiano?

- Tak jest. - André przestąpił z nogi na nogę, starając się powstrzymać pełen zadowolenia uśmiech. - Dziękuję.

- Nie ma za co dziękować. - Dueys machnęła lekceważąco ręką. - Po

## W cieniu gilotyny

prostu pokażcie, czego was nauczyli.

André wyprężył się i zasalutował.

- Tak jest!

Kapitan też zasalutował, szybko, prawie symbolicznie, i zaczął wykrzykiwać rozkazy sternikom.

Kiedy statek był już niedaleko szarobrazowych klifów broniących wyspy jak naturalna forteca, André i kilkunastu marynarzy wsiadło do niewielkiej łodzi, która, przywiązana do rufy, zawsze płynęła razem z fregatą. Słyszeli salwy armatnie dokonujące spustoszenia w wysokim murze piaskowego koloru okalającym wyspę. Najpierw huk wystrzału, potem charakterystyczny trzask, gdy kula trafi w mur. Kilku wylęknionych marynarzy spojrzalo znacząco na André i skrzywiło się, ale ci, którzy otrzymali rozkaz, karnie chwycili za wiosła i łódź zaczęła płynąć do brzegu. A André, żeby dodać podkomendnym odwagi, mówił do nich bez przerwy:

- Wszystko będzie dobrze, chłopcy. Jeszcze kilka razy machną tymi wiosłami i będziemy na brzegu. Pamiętajcie, że nie wolno zamoczyć muszkietów, bo wilgotny proch na nic się nie przyda.

Na przemian grzmiały armaty maltańskie i artyleria francuska, a w tym czasie żołnierze z francuskich statków wskakiwali do łódek i płynęli do brzegu. Port na Malcie był portem naturalnym, znajdował się w zatoce we wschodniej części wyspy i był oddzielony od morza wąskim, pagórkowatym półwyspem.

André liczył na to, że na zalanej słońcem piaszczystej plaży przed klifami nie napotkają na zbrojny opór. I chyba się nie przeliczył, bo panował tam idealny spokój. Jedyne oznaki życia to Francuzi w łódkach dobijających do brzegu i mewy przemykające tuż nad wodą.

- Idziemy! rozkazał, a wszyscy karnie wysiedli z łodzi, ściskając w rękach muszkiety.

Z pozostałych łódek również wysiadali już francuscy żołnierze. Ostrożnie i nieśpiesznie, jakby nikt nie wiedział, co dalej ma robić. Kilku z nich, nienawykłych do pływania łódką, zwymiotowało na piasek.

Wtedy pojawił się adiutant generała, niewysoki i mizerny mężczyzna. Potykając się i zapadając w piach, zbiegł po piaszczystym zbocz, przystanął nieopodal André i rozglądając się na wszystkie strony, zaczął wołać piskliwym głosem:

- Oficerowie! Oficerowie!

Kilku oficerów wysunęło się przed żołnierzy i podniosło rękę. André także, przecież na tej plaży wylądował jako dowódca żołnierzy kapitana Dueysa.

Adiutant spojrział podejrzliwie na porządnie już znoszony marynarski przyodziewek André, ale tylko wzruszył ramionami, po czym oznajmił gromko:

- Oficerowie! Powiedzcie swoim ludziom, że zostają na plaży. Mają się stąd nie ruszać i czekać na generała Dumasa. A wy... - Adiutant jeszcze raz przemknął spojrzeniem po marynarskiej bluzie André. - Jesteście oficerem?

- Tak. Kapitan Valière.

- W takim razie proszę ze mną.

## W cieniu gilotyny

Zwołał pozostałych oficerów i poprowadził ich przez plażę do przejścia wykutego w skałę. Był to kręty korytarz prowadzący w górę, bardzo wąski, szli więc gęsiego. Dokąd? Tego André nie wiedział.

Dzień był upalny, żar lał się z nieba i niebawem André cały był zlany potem, a także z każdym krokiem coraz bardziej zdezorientowany. Bo gdzież mogą być Maltańczycy broniący swojej wyspy? Ani śladu po nich, a tymczasem Francuzi byli coraz wyżej, a skrzący się błękit Morza Śródziemnego tam, w dole, coraz dalej. Kamienie, które wymykały się spod ich butów, lecąc w dół, niewątpliwie pokonywały już kilkaset stóp.

Któż tam na nich czeka, na szczycie tej wysokiej skały?

André wiedział tylko, że tutejsze wojsko to rycerze z Zakonu Szpitalników Świętego Jana, bardzo starego zakonu istniejącego od samego początku chrześcijaństwa i skutecznie opierającego się napaściom obcych. Wiedział też, że po tej wyspie chadzał kiedyś święty Paweł, jako pierwszy niosąc tu słowo Boże. I to jemu, świętemu Pawłowi, Malta zawdzięcza szczególną pozycję w kościele katolickim. Niektórzy byli przekonani, że to Rycerze Maltańscy strzegą świętego Graala, właśnie tutaj, na słonecznej wyspie o słodkiej nazwie. Bo przecież malta to miód.

Za kogóż ma się Bonaparte, że chce tym wszystkim zawładnąć?

Koniec wspinaczki. Kiedy wreszcie stanęli na płaskim gruncie, André obliznął spieczoną wargę i napił się wody z drewnianej manierki.

A adiutant popędzał:

– Idziemy dalej! Nie wolno się zatrzymywać.

Po kilku krokach wąski skalny korytarz zaczął się poszerzać i niebawem skończył się, a oni wyszli na wielki plac, gdzie były brukowane chodniki i stały okazałe barokowe budowle, na które patrzyli z podziwem. Nad jedną z tych budowli, nad jej wysoką, błyszczącą kopułą, powiewała wielka chorągiew, biały krzyż na czerwonym polu. Była to chorągiew rycerzy maltańskich. Ale gdzież są ci rycerze? Cisza na miejskim placu była dla André bardziej podejrzana niż gromada zbrojnych. Zresztą wszyscy stali się niespokojni, bo w sytuacji, gdy oblężenie już się zaczęło, tu, w tym mieście na zboczu wzgórza nie ma ani jednego uzbrojonego żołnierza. W ogóle nie było tu prawie nikogo. Wszystkie okna i drzwi były pozamykane, a przez plac przemknęło tylko kilka kobiet, zerkając trwożliwie na obcych. Oprócz nich było jeszcze dwóch księży coś szepczących między sobą. Spoglądali na André i jego towarzyszy bez cienia lęku, tylko podejrzliwie.

Czyli kobiety i księża, a sławnych rycerzy jak nie było, tak nie ma.

Adiutant, z którym odbywali tę dziwną wędrówkę, popił wody z manierki – André naturalnie poszedł za jego przykładem – potem otarł pot z czoła i zabrał głos:

– A więc tak. Nie chciałem was o to pytać w obecności żołnierzy zaciężnych. Teraz zapytam, bo to niezmiernie ważne. Który z was jest z utytułowanego rodu?

Żaden z oficerów nie odezwał się. Kilku nerwowo przestąpiło z nogi na nogę, jeden zakaszlał tak głośno, że odbiło się to szerokim echem wśród starych murów i na rozległym placu. A adiutant, bardzo już zmartwiony, westchnął.

– Zapewniają, że na honor samego generała Bonaparte, że to nie jest żadna pułapka. Tutaj nie liczy się polityka tych z Paryża. Ważne jest tylko

## W cieniu gilotyny

powodzenie naszej misji. Dlatego pytam jeszcze raz, który z was jest szlachetnie urodzony, bo niewątpliwie są tacy wśród was.

Dalej cisza. Nikt się nie zgłaszał.

– *Mon Dieu!* – Bliski rozpaczy adiutant złożył ręce. – To może ja pierwszy wam coś wyznam. Pochodzę z arystokracji. Urodziłem się jako Gerald Joseph-Etienne, hrabia de Landeville. Kto następny?

I wreszcie ktoś powoli, z ociąganiem podniósł rękę tak opaloną, że była prawie koloru jego kasztanowatych włosów.

– Świetnie. Bardzo proszę stanąć tu, koło mnie. Kto jeszcze?

Dwóch następnych zrobiło krok do przodu, ale André ani drgnął.

– To wszyscy? Tylko trzech?

Adiutant spojrzął na pozostałych, każdemu zaglądając w oczy, aż wreszcie krok do przodu zrobił André.

Adiutant zmierzył go wzrokiem.

– Dobrze. Czy ktoś jeszcze? Nie? W takim razie my idziemy, a wy zostajecie tutaj. Pamiętajcie, bądźcie czujni i zachowujcie się jak najciszej. Niebawem przyjdzie generał Dumas, który jest na plaży. Będziecie podlegać jego rozkazom, które należy wykonywać bez szemrania. – Odwrócił się do arystokratycznej czwórki. – Proszę za mną, *mes signieurs!*

Przykryty kopułą gmach w środku wydawał się jeszcze bardziej okazały. I wszędzie widać było symbol z maltańskiej chorągwi, ów krzyż w kolorze kości słoniowej na czerwonym tle. Z tym że to nie on był wszechobecny, lecz krucyfiks, który widniał na każdych drzwiach, w każdej wnęce czy kącie ozdobionym złoceniami.

W gmachu było cicho, mroczno i chłodno. I pusto. W gmachu naprawdę wielkim, bo szli bardzo długo, zdawało się, że wieki całe, a ani razu nie wyszli na dwór. Szli, postukując żołnierskimi butami, przechodząc z sali do sali i maszerowali dalej wzdłuż ścian pozawieszanych obrazami i kunsztownymi płaskorzeźbami z drewna. Adiutant musiał znać tu wszystkie zakamarki, bo szedł pewnym krokiem i po jakimś czasie wprowadził czterech zdezorientowanych arystokratów do długiego przedpokoju, gdzie mrok rozjaśniały świece w kinkietach na ścianach z obu stron.

Na samym końcu były wielkie drzwi, podobne do innych, z tym że stało przed nimi dwóch bardzo wysokich mężczyzn. Stali nieruchomo i André w pierwszej chwili pomyślał, że to dwa posągi, kiedy jednak podszedł bliżej, okazało się, że to istoty żywe, tylko ubrane jak dawni krzyżowcy w koczugi i białe jedwabne tuniki z wielkim czerwonym krzyżem na szerokiej piersi. Każdy przepasany mieczem.

Adiutant, kiedy zatrzymał się przed dwoma gigantycznymi strażnikami, wyprostował się jak struna, ale i tak różnica we wroście nadal była druzgocząca.

– Wasze ekscelencje! – Adiutant skłonił się wytwornie. – Pozwoliłem sobie przyprowadzić czterech szlachetnie urodzonych Francuzów, gości generała Napoleona Bonaparte.

André z wrażenia omal nie osunął się na podłogę. Czyżby sam generał Bonaparte stał po drugiej stronie tych ciężkich dębowych drzwi? A jeśli tak, to jakim cudem on, André Valière, dostał tego zaszczytu? Przecież nie dalej jak wczoraj był więźniem szorującym zapaskudzony przez

## W cieniu gilotyny

mewy pokład. Owszem, znów był kapitanem, ale tylko przez jeden dzień, a prawdę mówiąc, tak do końca nie było wiadomo, czy faktycznie jest tym jednodniowym kapitanem. A tu proszę! Mało tego, że *mon seigneur*, to jeszcze gość naczelnego dowódcy generała Napoleona Bonaparte!

Naturalnie starał się nie dać poznać po sobie, jak bardzo jest zaskoczony, wręcz oszołomiony. A tymczasem dwóch strażników po prostu skinęło głową, każdy z nich położył słusznych rozmiarów dłoń na lśniącej kłamce i dębowe drzwi stanęły otworem.

Kiedy przekraczali próg, adiutant znalazł się obok André.

– Weźcie to – powiedział, wsuwając mu do ręki ciężki aksamitny woreczek. – I nie odzywajcie się, dopóki generał was nie zapyta.

André spojrział na woreczek, potem na adiutanta, ale nie zdążył o nic zapytać, bo już przekroczyli próg i znaleźli się w ogromnym pokoju, właściwie sali, w której było coś niezwykłego. Tak bardzo, że jeden ze szlachetnie urodzonych nie mógł powstrzymać się od cichego okrzyku:

– Boże wielki!

Bo ten sufit. Ozdobiony przepięknymi malowidłami, które opowiadały o przeszłości wyspy, o wielkich czynach i wydarzeniach, o tym, co święte. Dlatego André przez moment miał wyrzuty sumienia, że do takiego sanktuarium wkracza jako żołnierz armii najeźdźcy. A potem spojrział przed siebie, na drugi koniec ogromnego pokoju, i zobaczył trzynastu mężczyzn. Dwunastu o nieruchomych twarzach naznaczonych wiekiem i ze szpakowatymi brodami stało przed ogromnym, dębowym stołem. Ubrani byli podobnie jak dwa giganty przed drzwiami, też w białe jedwabne tuniki z wielkim czerwonym krzyżem, z tym że każdy z nich miał powieszony na szyi złoty krucyfiks. Mieli też staroświeckie kolczugi i miecze z rękojeściami wysadzanymi drogimi kamieniami. Wyglądali jak bracia. Dwunastu braci, dwunastu rycerzy maltańskich.

André tym niezwykłym postaciom mógłby przyglądać się bez końca, jednak jego spojrzenie spoczęło na trzynastym mężczyźnie, całkiem innym niż owa dwunastka. Na Napoleonie Bonaparte, który wyglądał dokładnie tak, jak nie raz mu go opisywano. Średniego wzrostu, średniej postury, ale na tle brodaczy w kolczugach wydawał się po prostu mniejszy. Miał na sobie ciemnoniebieski rajtko obszyty czerwonymi i złotymi galonami, i białe obcisłe spodnie. Przepasany był czerwono-białą szarfą, a u boku miał kawaleryjską szablę. Czarne jak skrzydło kruka włosy sięgały ramion. Czarny bikorn trzymał w ręku. Zdjął go na powitanie gości. Goście naturalnie natychmiast poszli za jego przykładem.

Chciało się na niego patrzeć, po prostu przyciągał wzrok, a André szybko odkrył tego przyczynę. Chodziło o wyraz twarzy generała, świadczący o nadzwyczajnej pewności siebie. Był młody, może i w wieku André, ale na pewno wyjątkowo dojrzały jak na swój wiek. I twardy. Spojrzenie ciemnych oczu było niezwykle bystre. Kiedy zobaczył wchodzących, uśmiechnął się tak, jakby witał najlepszych przyjaciół, i ten uśmiech podniósł André na duchu. Zauważył też, że chociaż Napoleon jest najniższym z obecnych tu mężczyzn, to wszyscy, nawet ci posępni rycerze, patrzyli na niego.

– O, jesteście już! – powiedział Bonaparte oczywiście po francusku, ale słychać było korsykański akcent. Podniósł rękę, zapraszając, by podeszli



## W cieniu gilotyny

do niego, potem zwrócił się do rycerzy: – Wasze ekscelencje, pozwólcie, że przedstawię moich przyjaciół, francuskich arystokratów. Przybyliśmy tu, by złożyć wam dar w dowód naszego uznania i największej wdzięczności za to, że pozwoliliście, by nasze statki stały w waszym porcie, kiedy będziemy uzupełniać zapasy. Przyjaciele moi... – Napoleon zwrócił szczupłą twarz w stronę nowo przybyłych. – Który z was ma dar?

Nikt z całej czwórki się nie odezwał, przecież adiutant nie wspominał o żadnym darze. O rycerzach i generale Bonaparte również.

– A więc? – ponaglił Bonaparte, wyciągając rękę.

Wtedy do przodu wysunął się adiutant.

– On ma, ekscelencjo – powiedział i ku wielkiemu zaskoczeniu André położył rękę na jego ramieniu. I szepnął: – Woreczek...

– Tak, oczywiście – powiedział szybko André, pokazując woreczek.

Bonaparte skinął ręką.

– Dajcie mi go.

André zrobił krok do przodu i nie odrywając oczu od generała, podał mu woreczek.

– Dziękuję, *mon seigneur*. – Bonaparte uśmiechnął się i na sekundę jego spojrzenie spoczęło na twarzy André, który też patrzył na generała. Jak zahipnotyzowany, dostrzegając w czarnych oczach niezwykłą siłę woli.

Bonaparte, trzymając woreczek w obu rękach jak przedmiot sakralny, skłonił się przed dębowym stołem. Jak przed ołtarzem.

– Dla ludzi, którzy kontynuują dzieło świętego Pawła i pielęgnują jego pamięć. Proszę, przyjmijcie ten stary i święty skarb z naszego królestwa.

Podał woreczek rycerzowi, który stał najbliżej, i ponownie się skłonił. Rycerz z kamienną twarzą wymamrotał słowa podziękowania, a kiedy wyjął to, co było w woreczku, wszyscy, oprócz generała Bonaparte oczywiście, wydali cichy okrzyk. Bo krzyż ten, wysadzany wielkimi diamentami i otoczony szafirami, jaśniał takim samym blaskiem jak Morze Śródziemne.

André nie mógł uwierzyć, że taki skarb trzymał w rękach. Był oszołomiony, ale tylko przez chwilę, bo raptem przez głowę przemknęła pewna myśl. Skąd może być ten krzyż, ten skarb na miarę najbogatszego władcy tego świata? Niewątpliwie z dworu Burbonów. I taki skarb generał Bonaparte oddaje innym.

Generał, widząc, jakie wrażenie zrobił na wszystkich jego dar, odczekał chwilę i uśmiechnął się.

– Widzicie więc, wasze ekscelencje, że przybyliśmy tu w dobrej wierze.

Rycerze pokiwali głowami, nie odrywając oczu od wspaniałego, wręcz oslepiającego krzyża, który podawali sobie z rąk do rąk.

– Proszę, przyjmijcie ten dar jako dowód wielkiej wdzięczności.

Bonaparte po raz kolejny skłonił się i spojrzął na adiutanta. A André patrzył na generała. Gdyby tak jak wszyscy pozostali wlepił oczy w lśniący krzyż, na pewno by nie zobaczył tego, co dostrzegły jego oczy. I nie sięgnąłby odruchowo po pistolet.

Zobaczył to pierwszy, jeszcze zanim pozostali zorientowali się, co się dzieje. Że drzwi raptem otworzyły się i do pokoju wtargnęli żołnierze z muszkietami, na które nasadzone były bagnety. I ten widok nim wstrząsnął. Bo to nie byli Maltańczycy, lecz żołnierze w niebieskich rajtrokach, czyli Francuzi. Dwóch potężnych strażników nie było już

## W cieniu gilotyny

w stanie pilnować drzwi, bo każdy z nich miał przyłożoną do gardła francuską szablę.

Kiedy uzbrojeni Francuzi rzucili się na sędziwych rycerzy, ci sięgnęli po miecze, ale ich ręce znieruchomiały, kiedy uświadomili sobie, że wszelki opór jest bezcelowy.

- Nie tykajcie ich! - zawołał Bonaparte i włożył na głowę czarny bikorn.  
- *Mesieurs*, proszę uniesienie wybaczyć ten żalony pokaz nienawiści. Wiedźcie o tym, że rewolucja i naród francuski darzą was największym poważaniem. I tę godzinę miejcie za godzinę wyzwolenia!

Wygłosiwszy to, generał Bonaparte odwrócił się do francuskich żołnierzy i oficerów, podnosząc prawą rękę z dłonią zaciśniętą w pięść.

- W imię wolności, równości i braterstwa ogłaszam to królestwo i wszystkie jego skarby własnością Republiki Francuskiej! Królestwo Malty od tej chwili jest nasze!

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

### Paryż

Wiosna 1798 r.

Jean-Luc wyciągnął przed siebie ręce i wyprostował zeszywniałe palce. I znów musiał umaczać pióro w inkauscie, ale na szczęście ten nudny dzień miał się ku końcowi.

- Dziś ani razu nie poderwaliście głowy znad tych papierów, St. Clair... - To naturalnie Gavreau, więc Jean-Luc ani drgnął. - Mógłbym przyprowadzić całe stado piersiastych dziewczuch, a wy byście i tak ich nie zauważyli.

Jean-Luc dalej pisał, zapelniając biały arkusz starannym, pochyłym pismem. Kiedy po jakimś czasie jego ręka znieruchomiała, Gavreau ponowił próbę:

- Czy srebra, jedwabie i złote talerze biskupa zostały już spisane, by umieścić je w naszych rejestrach?

- Już kończę - odparł Jean-Luc, ścierając plamkę z inkaustu ze spracowanej dłoni. To ostatnie zadanie było dość uciążliwe. Na wielki bogaty zakon w północno-zachodniej części miasta napadła banda wygłodniałych chłopów. Na szczęście biskupa i zatrudnionych w jego domu ludzi oszczędzono. Wiele cennych rzeczy stało się łupem chłopów, ale nie wszystko, i cała reszta jedwabnych szat czy złotych tac komunijnych przeszła na własność Dyrektoriatu. Te dobra inwentaryzował Jean-Luc przez ostatnie dwa tygodnie.

- Muszę wam coś powiedzieć, St. Clair, choć nie sprawia mi to przyjemności. Ale, jak powiedziałem, muszę. Kiedy skończycie, coś wam pokażę.

- A co? Może powiecie mi od razu. - Zmęczony Jean-Luc marzył tylko o tym, by wyjść z pracy jak najprędzej.

- Zburzyli kościół Świętego Jakuba.

- Co?!

- Zrównali go z ziemią - powiedział Gavreau, krzyżując ramiona tuż nad swoim wyjątkowo wydatnym brzuchem. - Ostała się tylko dzwonnica. Pewnie nie wiedzieli, jak ją zniszczyć.

Jean-Luc oparł głowę na rękach. Był zdruzgotany, bo kolejny kościół w Paryżu został ograbiony i zniszczony. Znowu sprofanowano bezcenne relikwie, znowu wygnano księży i zakonnice. Po co to wszystko?

- Może ktoś się ludzi, że dzięki zgrabianiu majątków arystokracji i kleru cierpiący biedę lud Paryża będzie miał przynajmniej parę sou na chleb, na leki - powiedział przyciszonym głosem, żeby słyszał go tylko Gavreau. - A moim zdaniem to miasto jest teraz jeszcze biedniejsze. Mam nadzieję, że w końcu ktoś z Dyrektoriatu albo któryś z generałów rąbnie pięścią o stół i zaprowadzi porządek. Stanowczo trzeba położyć kres anarchii. Bo jak dużo człowiek może wytrzymać...

- Myślicie o generale Bonaparte? Ludzie powiadają, że to geniusz, a przy tym bardzo ambitny. Zdążył już zaprowadzić porządek w wojsku.

## W cieniu gilotyny

– Ale teraz jest daleko i nieprędko wróci... – powiedział smętnie Jean-Luc, myśląc o swoim przyjacielu, który przebywał gdzieś na morzu na jednym ze statków z potężnej floty generała Bonaparte działającej na Morzu Śródziemnym.

– Trzymaj się, André – szepnął cicho.

Jednak Gavreau usłyszał i spojrzał na niego, jakby stracił rozum.

Może miał rację...

– St. Clair, znajdziecie więc chwilę, żebym coś wam pokazał?

– Ale co dokładnie?

– Łupy z kościoła. Niesdoszłe, bo szabrownicy nie zdążyli załadować ich na wóz. Właśnie są znoszone do piwnicy i to właśnie chcę wam pokazać. Idziemy?

– Dobrze... – mruknął Jean-Luc, spoglądając smętnie na nieskończone dokumenty. – Idziemy.

W piwnicy było zimno, oświetlenie skąpe, za to nie brakowało urzędników i komisarzy wnoszących do środka marmurowe posagi, oprawione w skórę psalterze, śpiewniki kościelne i naczynia liturgiczne ze złota lub z zaśnieżonego srebra.

Gavreau na widok takiego bogactwa gwizdnął przeciągle i potrząsnął głową.

– Trzeba przyznać, że tym księżom żyło się nie najgorzej. I jak im się udało tak długo ukrywać te skarby?

A było tego niemało. Figury aniołów, świętych, także bogaczy wspierających Kościół. W różnym stanie, bardzo dobrym albo też zniszczonym, w zależności od tego, jak potraktował je motłoch, wynosząc z kościoła Świętego Jakuba.

Jean-Luc przystanął, spoglądając na dwie marmurowe figury, mężczyzny i chłopca, niewątpliwie Abrahama i Izaaka. Ojciec składa syna w ofierze. Stoi z uniesioną ręką, na której ktoś po mistrzowsku wyrzeźbił sploty mięśni. Wszystko zresztą było doskonałe, także twarz ojca, na której widać było udrękę na miarę jego poświęcenia. Ojciec był w stanie nienaruszonym, natomiast syn całkowicie zniszczony. Tylko szyja w uścisku silnej dłoni ojca była nietknięta.

– Wielki Boże! – jęknął Jean-Luc, odsuwając się na bok, żeby robotnik mógł obok Abrahama i Izaaka postawić zniszczoną figurę Marii Magdaleny.

– I Bóg na to pozwolił... – wymamrotał Gavreau, biorąc do ręki kawałek jedwabiu w kolorze burgunda, czyli kawałek szaty duchownego.

– Pan Bóg postąpił co najmniej dziwnie, obdarzając wolną wolą istoty tak zdziżale jak ludzie – wymamrotał Jean-Luc, rozglądając się dookoła, gdzie coraz więcej było tego świętego dobra. Prawdę mówiąc, choć od tylu lat zajmował się inwentaryzacją skonfiskowanych rzeczy, zawsze miał przy tym mieszane uczucia. Nigdy nie potrafił oddzielić tych cennych rzeczy od dawnych właścicieli, o których dalszym losie, podobnie jak tych rzeczy, decydowali już inni. Kiedyś, podczas inwentaryzacji, kiedy spojrzał na stół i krzesła z klonowego drewna, od razu pomyślał o rodzicach i dzieciach, którzy przy tym stole zasiadali do wspólnej kolacji. Czy najadali się do syta? Chyba nie, bo jedzenia od wielu lat brakowało, a pełny żołądek kiedyś był przywilejem arystokracji. A ten

## W cieniu gilotyny

skonfiskowany stół był bardzo zwyczajny. Na pewno nie był to mebel bogacza.

I został skonfiskowany, bo nie wszystkie przejęte przez władze rzeczy pochodziły z zamożnych domów. A każda skonfiskowana rzecz miała kiedyś swoich właścicieli. Ludzi, którzy mieli swoje marzenia, którzy czegoś się bali, kogoś kochali. I większość z tych ludzi odeszła już z tego świata.

- A więc widzicie, St. Clair, ile tu tego przybyło. Jutro się tym zajmiecie. A teraz... - Gavreau położył rękę na jego ramieniu. - Idziemy się czegoś napić. Ja stawiam. A wam przyda się coś mocniejszego, bo minę macie niewyraźną. Jakbyście zobaczyli ducha.

- A tak... Zobaczyłem, i to niejednego...

Przed gmachem nadal kręcili się robotnicy, wnosząc do środka całe naręczna ubrań, modlitewniki, nawet szybki witrażowe. A także intrygującą figurę, na widok której Jean-Luc musiał przystanąć. Była to figura anioła, olbrzymia, chyba dwa razy wyższa od wysokiego mężczyzny. Ręce anioła były wyjątkowo mocne, z napęczniałymi mięśniami i dłońmi wielkimi jak łapy niedźwiedzia. Jedna z nich uniesiona, jakby anioł udzielał błogosławieństwa, a w drugiej trzymał włócznię, z tym że nie było jasne, czy ta włócznia to oręż, czy też włócznia z niebiańskiego światła. I tak chyba miało być.

- Michał - powiedział Jean-Luc, spoglądając w marmurowe oczy o surowym spojrzeniu.

- Przepraszam, kto? - spytał Gavreau.

- Archanioł Michał.

- Czyli...

- Nie wiecie? Zapomnieliście, czego was uczono podczas katechezy?

- W dzisiejszych czasach chyba zapomnieli wszyscy.

- Archanioł Michał był wodzem Niebieskich Zastępów.

- Ach tak? Czyli doszło już do tego, że nawet anioł wojny pada ofiarą motłochu - wymamrotał Gavreau. - Ale ten anioł nie jest z kościoła Świętego Jakuba, lecz z posiadłości pewnego arystokraty. Niedaleko Paryża. Montnoir... Zaraz, zaraz... Wam to nazwisko jest znane, prawda?

Montnoir... Jean-Luc zastanowił się przez chwilę. Montnoir, a więc...

- Oczywiście! Sprawa wdowy Poitier! I to właśnie stamtąd?

- Tak. Stary markiz musiał opuścić zamek w tym samym czasie, kiedy wdowa Poitier mogła wrócić pod swój dach. Wdowa od lat składała petycje do rządu, by ktoś przyjechał i zajął majątek markiza. W końcu pojechaliśmy tam i okazało się, że ten staruch... - Gavreau prychnął pogardliwie - miał chętkę nie tylko na młode kobiety, lecz i na sztukę sakralną. Podejrzewam, że ten archanioł, sądząc po jego rozmiarach, stanowił część jakiegoś ołtarza. W rezultacie dzięki wdowie Poitier będziemy mieli więcej pracy.

Jean-Luc pokiwał głową, nie odrywając oczu od imponującej figury. Archanioł wyglądał jak żywy, a to jego spojrzenie! Przekazywało jednoznacznie, że każdy, kto ośmieli się spojrzeć mu prosto w twarz, powinien mieć się na baczności.

Gavreau nachylił się ku Jean-Lucowi.

- Wstyd chować anioła wojny do piwnicy. Po prostu wstyd! Przecież

## W cieniu gilotyny

republika może go kiedyś potrzebować. – A potem dodał trochę zniecierpliwionym tonem: – Idziemy, St. Clair. Trzeba przepłukać gardło.

Dni były długie, promienie słońca jak złociste włócznie nadal przebiegały się przez zasłony na oknach, kiedy Jean-Luc i Gavreau razem opróżniali butelkę wina.

Gavreau perorował:

– Ani się człowiek obejrzy, a Bonaparte obwoła się naczelnym dowódcą całej armii. A następny krok to obwołanie się królem, może nawet cesarzem. Moim zdaniem to jedyna droga, by zapanować nad tym chaosem.

Jean-Luc słuchał, skwapliwie kiwając głową. Bo czyż nie było to słusznym rozwiązaniem tej żalostnej sytuacji? Oczywiście, że było. Trudno się z tym nie zgodzić, bo być może Francuzi nie dorosli do demokratycznych rządów, skoro wszystkie wywalczone swobody obywatelskie wykorzystują w taki, a nie inny sposób.

– Obecnie jest zajęty na Morzu Śródziemnym – powiedział i wypił łyk wina. – Zajął Malte, teraz płyną do Afryki...

– I zajmą Egipt – dokończył Gavreau. – Ale kiedy znajdzie mu się wojna, wróci do Paryża i każe się ukoronować.

– Jak Juliusz Cezar.

Jean-Luc westchnął i spojrzął w okno, na ulicę, na niekończący się strumień przechodniów. Bo życie w Paryżu, cokolwiek by się wydarzyło, zawsze toczyło się dalej. Studenci w porze kolacji zapełniali tłumnie oberże. Matki biegły za rozbrykanymi dziećmi, żeby, nie daj Boże, nie wpadły pod wóz, a zakochani przystawali w każdym miejscu, gdzie, jak sądzili, nikt ich nie zobaczy, całowali się i składali obietnice odnośnie ich przyszłości – jakby rzeczywiście mogli pokierować swoim losem. Bo paryżanie byli zdecydowani żyć dalej, jakby przyszłość należała do nich, choć przecież minione lata nauczyły ich, że na pewno jest inaczej. Teraz też zdawali się nie przyjmować do wiadomości, że o losach tego kraju zadecyduje ktoś, kto jest daleko stąd. Także to, co tam się dzieje. Tysiące mil od Paryża, na Morzu Śródziemnym, po którym płynie francuska flota. Po to, by rozpętać wojnę, która wprowadzi zasadnicze zmiany nie tylko w ich kraju, lecz i na całym świecie.

Oczywiście od razu pomyślał o André, na którego Sophie czeka z taką niecierpliwością. André, który jest we flocie generała Bonaparte. Może i na fregacie, która płynie do Afryki.

– A kiedy to się stanie... – Gavreau wypił wino do dna. – Kiedy Bonaparte wróci i zaprowadzi porządek, zamierzam wystąpić o wasz awans na członka Dyrektoriatu.

Oczy Jean-Luca ze zdumienia zrobiły się teraz o wiele większe.

– Nie ma o czym dyskutować, St. Clair – mówił dalej Gavreau. – Chciałem was już wcześniej zarekomendować, ale nie zgodziliście się. Rozumiem doskonale, że wcale wam się nie uśmiecha dzień w dzień stawać twarzą w twarz z Guillaume'em Lazare'em. Ani współpracować z nim, ani z nim się mierzyć, bo istotnie jest w nim coś dziwnego. Żałuję bardzo, że to właściwie przeze mnie ten człowiek stanął na waszej drodze.

– Ależ nie róbcie sobie żadnych wyrzutów! – zaprotestował Jean-Luc. –

## W cieniu gilotyny

Przedstawiliście mnie Merignacowi, to wszystko. A ja sam dążyłem do bliższej znajomości z Lazare'em.

– Może i tak... Ale na pewno nie jestem bez winy.

Jean-Luc sposepniał.

– Co macie na myśli?

– Merignac przyszedł do mnie, bo szukał dla Lazare'a kogoś w rodzaju... akolity.

– Nie rozumiem.

– Znać Lazare'a. On zawsze chce mieć przy sobie tych pomniejszych. Swoich uczniów, choć Chrystusem nie jest. Raczej antychrystem.

Jean-Luc pokiwał głową, bo to wszystko była prawda. Pamiętał doskonale, kiedy był w klubie jakobinów przy ulicy Saint-Honoré i po raz pierwszy zobaczył Lazare'a otoczonego przez swoich wielbicieli, którzy w jego obecności w ogóle nie zabierali głosu, wsłuchując się tylko w to, co prawi ich mistrz, skarbnica wszelkich mądrości.

– Merignac przyszedł do mnie i powiedział, że Lazare potrzebuje młodego, bystrego prawnika z naszego departamentu. Chce być jego mentorem. Oczywiście poleciłem was. Pomyślałem, że to będzie dla was szansa. Spośród moich pracowników wy byliście tym najzdolniejszym i najbardziej pracowitym. Zawsze żałowałem, że u mnie możecie wykonywać tylko nudną, rutynową robotę. A teraz żałuję, że to przeze mnie poznaliście Lazare'a.

Czyli Lazare kłamał, mówiąc, że śledzi poczynania Jean-Luca i jest pełen uznania. Sławny prawnik nie zwrócił wcześniej na niego uwagi. Jean-Luc po prostu został zarekomendowany, stąd ta znajomość.

Której zakończenie było jego najgorętszym pragnieniem.

– Zaczęło się od tamtego obiadu z Merignakiem?

– Tak. Miał was wy badać – przyznał Gavreau, unikając jego wzroku. – I ten egzamin zdaliście. Podejrzewam, że w waszym przypadku Lazare chciał być nie tylko mentorem. Chciał was ukształtować całkowicie na swoją modłę, ale zawiódł się na was, bo macie zdecydowany charakter i jesteście człowiekiem prawnym. – Gavreau nachylił się bliżej, zniżając głos. – Mieście się na baczności, St. Clair. On jest nadal bardzo wami zainteresowany. Zawsze mnie pyta, jakie prowadzicie sprawy, jakie dokumenty sporządzacie. Dlatego powtarzam, bądźcie nadzwyczaj ostrożni i nie pozwólcie, by za bardzo zbliżył się do was, do waszej rodziny. Nie wpuszczajcie go do swojego biura! Nigdy!

Jean-Luc niezmiennie kiwał głową na znak, że zgadza się z nim całkowicie.

– A może to w ogóle był błąd – powiedział po chwili i zabrzmiało to bardzo gorzko. – Może lepiej spakować się i wracać tam, skąd przybyliśmy. Rzucić wszystko w diabły, tego Lazare'a, Merignaca i ten cały Dyrektoriat!

– Nie, nie i jeszcze raz nie! – zaprotestował Gavreau. – Nie ma mowy! Tym bardziej że jednak dzieje się coś pozytywnego. Dni prawników terroryzujących Paryż są już policzone. Kiedy generał Bonaparte wróci, wszystko ulegnie zmianie. Przeprowadzi wojsko, każe schować gilotynę i zaprowadzi porządek, dzięki któremu tacy jak Lazare nie będą rządzić, zastraszając ludzi. A wy w tym nowym porządku będziecie wspinać się o wiele wyżej. W końcu odegracie w życiu tego narodu rolę, na jaką

## W cieniu gilotyny

Przedstawiliście mnie Merignacowi, to wszystko. A ja sam dążyłem do bliższej znajomości z Lazare'em.

– Może i tak... Ale na pewno nie jestem bez winy.

Jean-Luc sposepniał.

– Co macie na myśli?

– Merignac przyszedł do mnie, bo szukał dla Lazare'a kogoś w rodzaju... akolity.

– Nie rozumiem.

– Znać Lazare'a. On zawsze chce mieć przy sobie tych pomniejszych. Swoich uczniów, choć Chrystusem nie jest. Raczej antychrystem.

Jean-Luc pokiwał głową, bo to wszystko była prawda. Pamiętał doskonale, kiedy był w klubie jakobinów przy ulicy Saint-Honoré i po raz pierwszy zobaczył Lazare'a otoczonego przez swoich wielbicieli, którzy w jego obecności w ogóle nie zabierali głosu, wsłuchując się tylko w to, co prawi ich mistrz, skarbnica wszelkich mądrości.

– Merignac przyszedł do mnie i powiedział, że Lazare potrzebuje młodego, bystrego prawnika z naszego departamentu. Chce być jego mentorem. Oczywiście poleciłem was. Pomyślałem, że to będzie dla was szansa. Spośród moich pracowników wy byliście tym najzdolniejszym i najbardziej pracowitym. Zawsze żałowałem, że u mnie możecie wykonywać tylko nudną, rutynową robotę. A teraz żałuję, że to przeze mnie poznaliście Lazare'a.

Czyli Lazare kłamał, mówiąc, że śledzi poczynania Jean-Luca i jest pełen uznania. Sławny prawnik nie zwrócił wcześniej na niego uwagi. Jean-Luc po prostu został zarekomendowany, stąd ta znajomość.

Której zakończenie było jego najgorętszym pragnieniem.

– Zaczęło się od tamtego obiadu z Merignakiem?

– Tak. Miał was wy badać – przyznał Gavreau, unikając jego wzroku. – I ten egzamin zdaliście. Podejrzewam, że w waszym przypadku Lazare chciał być nie tylko mentorem. Chciał was ukształtować całkowicie na swoją modłę, ale zawiódł się na was, bo macie zdecydowany charakter i jesteście człowiekiem prawnym. – Gavreau nachylił się bliżej, zniżając głos. – Mieście się na baczności, St. Clair. On jest nadal bardzo wami zainteresowany. Zawsze mnie pyta, jakie prowadzicie sprawy, jakie dokumenty sporządzacie. Dlatego powtarzam, bądźcie nadzwyczaj ostrożni i nie pozwólcie, by za bardzo zbliżył się do was, do waszej rodziny. Nie wpuszczajcie go do swojego biura! Nigdy!

Jean-Luc niezmiennie kiwał głową na znak, że zgadza się z nim całkowicie.

– A może to w ogóle był błąd – powiedział po chwili i zabrzmiało to bardzo gorzko. – Może lepiej spakować się i wracać tam, skąd przybyliśmy. Rzucić wszystko w diabły, tego Lazare'a, Merignaca i ten cały Dyrektoriat!

– Nie, nie i jeszcze raz nie! – zaprotestował Gavreau. – Nie ma mowy! Tym bardziej że jednak dzieje się coś pozytywnego. Dni prawników terroryzujących Paryż są już policzone. Kiedy generał Bonaparte wróci, wszystko ulegnie zmianie. Przyprowadzi wojsko, każe schować gilotynę i zaprowadzi porządek, dzięki któremu tacy jak Lazare nie będą rządzić, zastraszając ludzi. A wy w tym nowym porządku będziecie wspinać się o wiele wyżej. W końcu odegracie w życiu tego narodu rolę, na jaką



## W cieniu gilotyny

zasługujecie.

Jean-Luc spuścił głowę i pomyślał chwilę. Czy istotnie chce tego, o czym mówi Gavreau? Czy nadal chce odgrywać ważną rolę w kształtowaniu nowej rzeczywistości? Bo może właśnie te jego ambicje wpędziły go w tarapaty.

– Nie sądzę, St. Clair, żebyście razem z Marie zamierzali się poddać. Zastanówcie się, jak by to było, gdybyście trafili do nowego rządu. Przede wszystkim moglibyście pożegnać się z ciasną mansardą. Tylko nie mówcie mi, że nigdy nie zastanawialiście się nad waszą przyszłością...

– Owszem – mruknął Jean-Luc, pocierając dłonie. – Ale w którymś momencie przestałem wierzyć, że przyniesie coś dobrego.

– Niemożliwe! – Gavreau z niedowierzaniem pokręcił głową. – Zawsze uważałem was za optymistę. Jeśli tacy jak wy tracą nadzieję, to co dopiero ci, którzy dopiero zaczęli ją mieć? Przecież ta wojna wreszcie się skończy i Paryż będzie taki jak przedtem. A wy będziecie deputowanym w Radzie Pięciuset. Jesteście zbyt dobrym prawnikiem i zbyt dobrym człowiekiem, żeby marnotrawić swoje zalety i umiejętności na siedzenie za biurkiem i liczenie srebrnych łyżeczek. Albo, co gorsza, przycinanie drzewek cytrynowych na południu Francji.

Jean-Luc mimo woli się uśmiechnął, popatrując na rumianą twarz przełożonego. Przez chwilę zastanawiał się nad tym wszystkim, potem westchnął.

– Dziękuję, Gavreau.

– To ja powinienem wam dziękować, bo nie wiem, jak bym przez te wszystkie lata poradził sobie bez was, St. Clair.

W domu było ciepło i pachniało pieczonym kurczakiem. Marie siedziała przy stole. Kiedy Jean-Luc wszedł, poderwała głowę, po czym szybko zebrała kartki ze stołu i schowała do kieszeni. A potem zerwała się z krzesła.

– Mój kochany! Jak dobrze, że już jesteś!

Podbiegła i wpatrując się w niego roziskrzonym wzrokiem, wspięła się na palce, by obdarzyć męża słodkim pocałunkiem.

– Jak zwykle czytasz gazety? Co nowego wyczytałaś? – spytał zaciekawiony, dlaczego tak skwapliwie schowała je do kieszeni.

– A tam! – Lekceważąco machnęła ręką. – Tylko salonowe plotki. Nic ważnego.

Jean-Luc rozejrzał się po pokoju.

– Co taka cisza? Gdzie Mathieu i Sophie?

– Wysłałam ich po sprawunki. – Pomogła mężowi zdjąć szustokor, nie omieszkując pocałować męża jeszcze raz. – Szczerze mówiąc, ta chwila ciszy bardzo mi odpowiada, bo mam dla ciebie dobrą nowinę.

– O proszę! – Jean-Luc uniósł znacząco brew. – Bo ja też mam nowinę dla ciebie. – Miał zamiar powiedzieć jej o rozmowie z Gavreau, o tym, że obudziła się w nim znowu nadzieja, że jednak coś zdziała w nowym rządzie. – Ale ty pierwsza, Marie, bo damy mają pierwszeństwo.

Objął ją w pół, a Marie chwyciła go za ręce i nakierowała na swój brzuch.

I uśmiechnęła się wyjątkowo szeroko.

– Czujesz to?

## W cieniu gilotyny

- Tak... - prawie szepnął. - Jesteś pewna?

- Całkowicie! - oznajmiła z dumą i zaśmiała się. - W naszym mieszkanku niebawem zrobi się tłok!

- Cudownie!

Jean-Luc chwycił ją pod boki, poderwał z podłogi i zakręcił się w kółko.

- Zadowolony? - spytała, spoglądając na niego roziskrzonym wzrokiem.

- Zadowolony? Nic nie jest w stanie uczynić mnie bardziej szczęśliwym!

A jak myślisz, chłopiec czy dziewczynka?

- Nie wiem, bo i skąd. Ale czuję, że nasz Mathieu będzie miał braciszka.

Jean-Luc, i co? Chyba dobrze, że Sophie jest u nas! Będzie miał kto mi pomóc przy dzieciach.

- Oczywiście, kochanie. Kiedy oni wrócą?

- Już niebawem. Poszli po chleb na kolację.

Marie poszła sprawdzić, co z kurczakiem, a Jean-Luc nalał sobie wina i cały rozpromieniony zasiadł przy stole. Nie pamiętał już, kiedy po raz ostatni był tak bardzo szczęśliwy.

- Marie, też mam ci coś do powiedzenia.

- Oczywiście! Wspomniałeś o tym. A więc mów, cała zamieniam się w słuch.

- Przede wszystkim kiedy małeństwo przyjdzie na świat, chyba nie będziemy się już tłoczyli na tej mikroskopijnej mansardzie.

- Naprawdę?!

Jej twarz pojaśniała w uśmiechu, a Jean-Luc zrelacjonował rozmowę z przełożonym, powiedział oczywiście też o tym, że prawdopodobnie będzie zarekomendowany do Dyrektoriatu.

- To cudowna wiadomość! - zawołała. - A jak myślisz, kiedy będziemy mogli się przeprowadzić? Zdążymy przed narodzinami małeństwa?

- Tak ci się śpieszy? Nie rozumiem, dlaczego ci się tu nie podoba - zażartował, spoglądając na ten ich pokój pod spadzistym dachem, do którego mimo wszystko zdążył się przywiązać. Naturalnie zdawał sobie sprawę, że tylko dlatego, że są tu razem, on, Marie i Mathieu. To tu od początku ich wspólnego życia przeżywają swoje radości i smutki, i z tym właśnie miejscem związanych jest tyle wspomnień.

Czas mijał, niebo za oknem pociemniało. Kiedy znów nalewał sobie wina, przez okno sączyła się srebrzysta poświata księżycyca.

A Sophie i Mathieu jak nie było, tak nie ma.

- Marie, która może być godzina?

Marie, która krzątała się przy kuchni, spojrziała na zegar i znieruchomiała.

- Już ósma! Jean, o której przyszedłeś do domu?

- Jakąś godzinę temu.

- O Boże! Dlaczego oni jeszcze nie wracają!

Jean-Luc podszedł do okna i wyjrzał na ulicę.

- Poszli do piekarza przy ulicy Tolbiac?

- Tak.

- Przecież to bardzo blisko! Dawno powinni być już w domu!

Dokładnie w tym momencie drzwi otworzyły się i w progu stanęła Sophie. Była zdyszana, oczy miała rozbiegane i przerażone.

- Zgubiłam go!

Jean-Luc czuł, że w środku jest jak sopel lodu.

## W cieniu gilotyny

- Zgu... zgubiłaś go? – wyszeptła Marie zbielełymi wargami.

- O Boże, Boże – zajęczała Sophie. – Odwróciłam się dosłownie na sekundę! A on znikł!

Jean-Luc wstał i szybko przemierzył pokój.

- Gdzie to się stało?

- U piekarza. Było mnóstwo ludzi. Nie widziałam go, jak powiedziałam, dosłownie przez sekundę, kiedy podawałam pieniądze. A on gdzieś pobiegł!

- Nie! – Marie z twarzą szarą jak popiół wbiła przerażony wzrok w męża. – Mathieu jest grzecznym dzieckiem. Nigdy by gdzieś sam nie pobiegł. Nigdy! – Dopadła do drzwi, obok których wisiał na kołku jej redingot.

Było oczywiste, że umiera ze strachu, tak samo jak Jean-Luc. Stąd u niego gorzka myśl. Po co się cieszysz, głupcze, z nowego potomka czy z powodzenia w pracy, kiedy zły los i tak ciebie dopadnie.

Stał już w progu.

- Marie, idę tam. Ty zostajesz. Mathieu może w każdej chwili wrócić.

Pytał wszystkich, każdego napotkanego człowieka, ale nikt nie widział chłopczyka wybiegającego z piekarni. Nikt nie widział go na ulicy, pobiegł więc na most. Dlaczego właśnie tam, na prawy brzeg Sekwany? Nie potrafił sobie tego logicznie wytłumaczyć, ale coś kazało mu tam iść.

Ruszył brzegiem rzeki, kierując się na południe. Ludzi było sporo. Roześmiani szli nieśpiesznie, rozkoszując się ciepłym wieczorem. I nagle, tuż nad wodą, Jean-Luc dostrzegł obsypaną ciemnymi loczkami główkę chłopczyka ubranego w cienki kaftanik. Stał zapatrzonej w przepływającą barkę.

- Mathieu! – Półprzytomny z radości omal się nie rozplakał. Przecież to na pewno jest jego synek! W sekundę był przy nim i chwycił za ramię, bo Mathieu stał stanowczo zbyt blisko wody. – Mathieu, jak mogłeś odejść od cioci bez pozwolenia! Tak baliśmy się o ciebie, mama i ja...

Chłopczyk odwrócił głowę i serce Jean-Luca na moment przestało bić, kiedy zobaczył nieznanome dziecko wystraszone napaścią obcego człowieka. Chłopczyk rozplakał się, a Jean-Luc natychmiast cofnął rękę.

- Przepraszam, bardzo cię przepraszam – wyjąkał i nagle tuż przed nim pojawiła się rozjuszona i czerwona ze złości jejmość.

- A co to ma znaczyć?! Czego chcecie od mojego synka?

- Proszę wybaczyć, szanowna pani, pomyliłem się...

- Pomylił się! Wyoście się stąd, bo zawołam żandarmów!

Dalej biegł wzdłuż rzeki. Ulice już pustoszały, za zamkniętymi okiennicami migotało światło świec. W płucach paliło, ale nie przystawał ani na moment. Biegł i wołał swego synka.

Kiedy wbiegł w ulicę Cléry, omal nie wpadł na strażnika w niebieskim płaszczu, który stał sobie i palił fajkę.

- Uważaj, człowieku – burknął, spoglądając na zadyszanego Jean-Luca podejrzliwie, jakby zastanawiał się, czy jednak go nie zaarrestować.

- Proszę, obywatelu... – wydyszał Jean-Luc. – Mój synek.. o, taki... – Przyłożył rękę do nogi w miejscu, gdzie sięgała główka Mathieu. – Ma sześć lat, ciemne włosy po matce...

Z trudem łapiąc oddech, wyjaśnił strażnikowi, dlaczego biega po

## W cieniu gilotyny

mieście jak oszalały. Strażnik obiecał, że będzie czujny, że będzie też rozglądał się za chłopczykiem.

– A może on, obywatelu, zmęczony się chodzeniem po mieście i wrócił już do domu? Z dziećmi zwykle tak jest. Poza tym nie sądzę, żeby doszedł aż tutaj. To za daleko. Lepiej szukajcie w pobliżu domu.

Oczywiście, że wszystko mogło się zdarzyć. Może Mathieu jest już w domu pod skrzydłami matki i zadowolony ze swej wyprawy zajada się pieczonym kurczakiem.

– Mówicie, że może być w domu? Kto wie. Może rzeczywiście lepiej tam wrócić.

Żandarm obiecał jeszcze raz, że będzie się rozglądał za ciemnowłosym sześciolatkiem, a Jean-Luc ruszył z powrotem wzdłuż rzeki, do mostu. Przebiegł na lewy brzeg, do swojej dzielnicy, gdzie było już pusto i cicho. Tylko czasami przeszło kilku studentów albo gdzieś w oddali zaszczekał pies. Kiedy podchodził pod dom, nagle zauważył znany już dobrze powóz, a przy powozie posuniętego w latach męczyzny, na widok którego serce podeszło mu do gardła.

Lazare otworzył drzwi powozu.

– Obywatelu St. Clair, chyba jesteście bardzo zmęczeni. Proszę, wsiadajcie, porozmawiamy.

– Nie, Lazare. Nie teraz – rzucił w przelocie Jean-Luc, kierując się w stronę drzwi.

– Nie zajmę wam dużo czasu. A chcę wam przekazać coś, co na pewno dla was będzie istotne. – Wyjął z kieszeni czarną tabakierkę, nasypał trochę tabaki na dłoń, pochylił się, powąchał, pociągając mocno nosem. Kichnął głośno i zapadła cisza.

Dla Jean-Luca, który zatrzymał się w pół kroku, była to cisza dziwna, taka szczególna.

– Chodzi o waszego syna – powiedział Lazare cicho, prawie szeptem. – Znaleźliście go?

Jean-Luc natychmiast odwrócił się w stronę powozu. Miał tylko jedno pragnienie, najgorętsze. Rzucić się na tę kanałą i ścisnąć rękoma cienką, czerwoną szyję, a najlepiej ten chudy kark skrócić.

Lazare wsiadł do powozu, zostawiając drzwi uchylone.

– Wsiadajcie.

Jean-Luc zmusił się, by wsiąść do mrocznego, obitego miękkim aksamitem powozu.

– Wiecie, gdzie jest mój syn?

Lazare nie odpowiedział, tylko podsunął tabakierkę. Jean-Luc pokręcił głową, a Lazare spokojnie zażył tabaki. Kichnął, westchnął i oparł się głową o ścianę powozu, wpatrując się w Jean-Luca nieruchomym wzrokiem. Milczał, zdawałoby się, że całe wieki, ale w końcu zdecydował się otworzyć usta.

– Wasz syn ukradł chleb w piekarni i próbował uciec.

– Co?! – Jean-Luc usiadł prosto jak świeca. – To kłamstwo! Mój syn nigdy by niczego nie ukradł. A miał chleb w ręku, bo poszli razem z... ciotką właśnie po chleb, za który ona niewątpliwie zapłaciła!

– Z ciotką? Aha... – Lazare uśmiechnął się szyderczo. – Cóż... Nie pozostaje mi nic innego, jak przekazać to, co usłyszałem.

– Gdzie on jest?

## W cieniu gilotyny

– W areszcie.

– W areszcie? Przecież to absurd! Aresztować sześćioletnie dziecko?!

– Powiedziałem wam, co wiem, obywatelu St. Clair. A wy dobrze wiecie, że jestem prawnikiem i kieruję się tylko sprawiedliwością. Tylko i wyłącznie.

Wtedy Jean-Luc po raz pierwszy uzmysłowił sobie, że ten człowiek, tak potężny i nadzwyczaj bystry, jest jego wrogiem. Zadeklarowanym wrogiem i jedyne, co on może teraz zrobić, to prosić, błagać. Tylko to.

Co dla zrozpaczonego ojca nie było takie trudne.

– Proszę, Lazare. Zrobię wszystko, co zechcecie, tylko oddajcie mi go.

– Naprawdę chciałbym wam pomóc, St. Clair, bo uważam, że uwięzienie małego chłopca to jednak przesada. W lochach przetrwa najwyżej miesiąc. Jeśli nie zadręczą go inni więźniowie, to umrze z niedożywienia albo dopadnie go jakaś choroba.

Jean-Luc zacisnął pięści tak mocno, że paznokcie wryły się w ciało.

– Gdzie on jest, Lazare?!

– Spokojnie, St. Clair. Nie musicie na mnie krzyżeć.

– Powiedz mi, gdzie jest mój syn!

Lazare przechylił głowę na bok, spomiędzy białych warg uleciało ciche westchnienie.

– Przedtem pytanie. Czy istotnie jesteście gotowi mi pomóc?

– Zrobię wszystko, by wydobyć synka z więzienia.

Lazare, wpatrując się w Jean-Luca nieruchomym wzrokiem, zastanawiał się przez chwilę, a potem po jego twarzy przemknął uśmiešek.

– Co byście powiedzieli na wymianę, St. Clair? – spytał półgłosem. – Pomogę wam wydostać ukochanego synka z więzienia, a ja dzięki wam dostanę kogoś innego, kogo chcę od bardzo dawna. I żaręczam, że nie sprawi wam to żadnych trudności.

– Powiedziałem, że zrobię wszystko. O kogo chodzi?

– O Sophie de Vincennes.

Jean-Luc był zbyt wstrząśnięty, by cokolwiek powiedzieć, a nawet pomyśleć. Bo tylko tak sadystyczna kanalia jak Lazare mogła coś takiego wymyślić. Handel wymienny. Mały Mathieu zakładnikiem, a ceną za jego wolność jest wydanie Sophie.

Jęknął. Głowa ożyła i zmusił ją do myślenia, do gorączkowego szukania rozwiązania, dzięki któremu uratuje swoje dziecko i ocali Sophie. Nie zdążył jednak niczego wymyślić, bo przez otwarte drzwi powozu usłyszał kobiecy głos.

– Jean-Luc nie musi niczego robić. Przecież jestem tutaj. Pójdę z wami z własnej woli, ale dopiero wtedy, kiedy Mathieu wróci do rodziców.

Nieopodal stała Sophie ubrana w redingot. Twarz miała kamienną.

– Sophie! – Jean-Luc natychmiast wyskoczył z powozu. – To szaleństwo! Ta cała wymiana! Przecież podobno żyjemy w państwie prawa. Mathieu nie popełnił żadnego przestępstwa, a więc...

Sophie poderwała głowę, jej spojrzenie było bardzo wymowne.

– Oboje dobrze wiemy, że żyjemy w kraju bezprawia, gdzie decyzje podejmuje ten, kto jest najsilniejszy, a ludzie słabi często przyplacają to życiu. A ja nie chcę, żeby inni poświęcali się dla mnie. Tak jak Remy, jak ty, André. Nie pozwolę, żeby z mojego powodu ucierpiało dziecko, i to

## **W cieniu gilotyny**

dziecko ludzi, którzy okazali mi tyle życzliwości. Podjęłam już decyzję. – Odwróciła się do Lazare'a, wyprostowała się i przekazała mu głosem stanowczym, wręcz zuchwałym: – Macie jak najszybciej oddać dziecko rodzicom. Wtedy będziecie mogli zabrać mnie.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

### *Morze Śródziemne*

Lato 1798 r.

André w stolicy Malty zabawiał bardzo krótko. Jedna bezsenna noc w ciemnej izdebce na piętrze w prywatnym domu i rankiem wszyscy francuscy żołnierze otrzymali rozkaz stawienia się w porcie, gdzie czekały statki gotowe już podnieść kotwicę.

Kiedy André wchodził na statek, na szczycie trapu pojawił się jakiś wąsaty sierżant.

– André Valière?

– Kapitan Valière – nie omieszkaj sprostować André. – Czego chcecie?

– Jesteście aresztowani.

Sierżant skinął na dwóch żołnierzy, którzy dopadli do André, wykręcili mu ręce i założyli kajdanki. André naturalnie nie poddał się temu jak baranek, ale dwóch osiłków działających z zaskoczenia poradziło sobie z nim.

– Co wy wyprawiacie? Jestem kapitanem wojsk lądowych, służę na tym statku! Kapitan Dueys przywrócił mi stopień. Brałem udział w zajęciu tej wyspy pod rozkazami samego generała Bonaparte!

I nagle usłyszał ten właśnie głos:

– Proszę, oto młody arystokrata, który odegrał tak ważną rolę. Bo to wy trzymaliście ten aksamitny woreczek, czyż nie tak?

Odwrocił się natychmiast, stając twarzą w twarz z człowiekiem dobrze sobie znanym. Generałem Muratem w uderzająco czystym mundurze generała brygady przepasanym trójkolorową szarfą. Spojrzenie szarych oczu jak zwykle było lodowate, a uśmiezek na cienkich wargach bezlitosny.

– Dobrze, że was znowu widzę, Valière. Myśleliście, że unikniecie wyroku i z powrotem zostanieie kapitanem, jeśli uciekniecie na Morze Śródziemne? Zapomnieliście, że nasze rewolucyjne prawa obowiązują również poza granicami kraju?

– Służę na tym statku pod rozkazami kapitana Dueysa, a statek ten, jak wiadomo, należy do floty armii generała Bonaparte – oświadczył André głosem zdecydowanym, nieadekwatnym niestety do tego, co czuł. Czyli strachu.

Murat machnął lekceważąco ręką.

– Kapitanowi Dueys odświeżono pamięć, bo ta pamięć niestety u niektórych moich kolegów zawodzi. – I znów bezlitosny uśmiezek, po czym generał nachylił się tak blisko, że André czuł jego oddech. – Ale moja pamięć nie. Ja nigdy nie zapominam. Jesteście więźniem skazanym na wygnanie z republiki, a nie bohaterem na drodze ku sławie.

Na końcu pokładu André dojrzał kapitana Dueysa, który z miną posępną, spoglądając na André, pokręcił głową, jakby chciał przekazać, że tego, co się właśnie wydarzyło, nie aprobuje. Ale nie uczynił ani jednego kroku, by wstawić się za André.

## W cieniu gilotyny

- Teraz ja rozkazuję na tym statku, Valière! - zagrzmiał Murat. - Zabierzcie go na dół!

I André w jednej chwili zgarnięty został z zalanego słońcem pokładu. Pociągnęli go w dół, w mrok pod pokładem. Drzwi skrzypnęły i wrzucono go jak worek w jeszcze ciemniejszy mrok. Zamrugał raz i drugi, ale w komórce bez okien niczego nie mógł dojrzeć.

- Wypuście mnie! - krzyknął zachrypniętym głosem. - Wy dranie! Wypuście mnie! Otwórzcie te przekłete drzwi!

Jak to możliwe, że przebył tak długą drogę i tyle przeżył tylko po to, by z powrotem wpaść w łapy tego karmiącego się nienawiścią człowieka? Nie mógł uwierzyć w to, co się stało. Wściekł jak diabli, zaczął z całej siły walić pięściami w drzwi, wykrzykując dosadne słowa. Ale kiedy jeden z żołnierzy za drzwiami celi zaśmiał się, zamknął oczy i znieruchomiał. Bo ten obrzydliwy rechotliwy śmiech zgasił ostatnią iskierkę nadziei.

Czas w ciemnej celi mijał niepostrzeżenie. Człowiek nie widział przecież wschodu słońca, nie widział, jak zachodziło. Dwa razy dziennie podnoszono kłapkę nad szczeliną w dolnej części drzwi, prawdopodobnie rano i wieczorem, a poza tym tylko ciemność. I chociaż za każdym razem, kiedy uniesiona czyjąś ręką kłapka cicho skrzypnęła, André po omacku szedł do drzwi i domagał się głośno, by zaprowadzili go do kapitana Dueysa. Odpowiedzi nigdy nie uzyskał, tylko anonimowa ręka wsuwała przez szparę kawałek ciemnego chleba i miseczkę z brudną wodą. A zanim ta miseczka dotarła do rąk André, połowa wody wylewała się na podłogę.

Nad drzwiami celi było zakratowane okienko, które można było otworzyć tylko z drugiej strony, wtedy do celi wpadłaby odrobina światła. Nikt tego jednak nigdy nie zrobił. Zawsze było zamknięte, kiedy więc pewnego dnia zostało otwarte, André, zwykle całkowicie zobojętniały, po prostu odrętwiały, natychmiast ożył, gdy usłyszał jakieś głosy, a potem zobaczył smugę światła. Niewielką, jakby ktoś po drugiej stronie trzymał zapaloną świeczkę, ale i tak ta ilość światła była dla niego prawie oślepiająca. Jakby raptem zaświeciło sto słońc.

- Kto tam? - spytał zachrypniętym głosem, osłaniając ręką oczy.

- Kapitan Valière?

Kiedy jego oczy zaakceptowały już tę odrobinę światła, dostrzegł, że w okienku pojawiła się nieznana twarz. Ten ktoś miał ogromne czarne oczy spoglądające na niego surowo. A sama twarz była o wiele ciemniejsza niż twarze, do których przywykł André.

- Nazywacie się Valière? - spytał nieznany człowiek po francusku, ale z obcym akcentem.

- Tak, to ja - odparł André, któremu od tej niewielkiej ilości światła zaczynało już rozsądzać głowę.

- Czy możecie mi obiecać, że jeśli otworzę drzwi celi, nie będziecie próbowali uciec?

André pomyślał chwilę.

- Obiecuję, bo i tak daleko bym nie uciekł.

Nieznany mężczyzna zignorował te szczypnięte ironii.

- Mam wasze słowo?

- Tak.



## W cieniu gilotyny

Klucz zachrząścił w zamku, drzwi skrzypnęły, do celi wlała się nowa porcja osłepiającego światła i André znów zaczął mrugać.

– Na Boga! Kilka świeczek, a dla was już za jasno! Jak długo trzymają was w tej ciemnicy? – Nieznany mężczyzna, mimo że mówił z obcym akcentem, miał na sobie niebieski rajtrok z wysokim kołnierzem i złotymi galonami. Przepasany był trójkolorową szarfą, czyli był oficerem. – I ten smród! Chyba jeszcze gorszy niż ta ciemność!

André, który jak wystraszone światłem zwierzę, wsunął się w kąt celi, poczuł się zakłopotany. Bo ta cela była dla niego nie tylko pokojem czy sypialnią, lecz także wychodkiem. Ale cóż... Nie powiedział nic, tylko dalej mrugał, uzmysławiając sobie, że istotnie osłepiło go światło zaledwie kilku świeczek.

– Wystraszyłem was? – spytał oficer. – Naprawdę nie ma powodu.

– Wybaczcie. Zbyt długo przebywam w ciemnościach... Tak... Ale jak długo, tego nie wiem.

– Prawie cztery dni, moim zdaniem o cztery za długo – powiedział oficer stanowczym głosem, rozglądając się po celi. – Czy trzymając was w tej norze, dawali czasami coś do zjedzenia?

– Chleb i wodę.

– Czyli to tak... Może się przestawię. Jestem Dumas. Generał Thomas-Alexandre Dumas.

Dumas... Nazwisko nieobce, i po krótkiej chwili namysłu André doszedł dlaczego. To nazwisko wymienił tamten adiutant, kiedy wylądowali na plaży na Malcie.

– A ja jestem André Valière, były kapitan Armii Republiki.

– Wiem dobrze, kim jesteście – odparł Dumas, opierając rękę na rękojeści szabli. – Byliście świadkiem podczas procesu generała Kellermanna.

André pokiwał głową i spojrzął na brudną podłogę celi.

– Generał Kellermann był znakomitym generałem i dobrym człowiekiem – mówił dalej Dumas. – Powiedziałem mojej żonie, że tego dnia, kiedy zabiłmy generała Kellermanna, anioły przestały sprzyjać naszej rewolucji. A ja generałowi mam wiele do zawdzięczenia. Był jednym z tych niewielu, którzy opowiadali się za awansowaniem mnie na generała brygady. Kiedy wielu, a zwłaszcza Murat, twierdziło, że ciemnoskóry generał nie powinien rozkazywać Francuzom. Zabawne, prawda? Skoro tyle się mówi o wolności i równości! – Splunął w kąt celi. – Ale było, minęło. Kiedy kilka razy mieli okazję zobaczyć, że jednak na coś mnie stać... A wy, Valière, chyba jesteście zaskoczeni moim widokiem. Nigdy nie widzieliście Murzyna?

– Nie... To znaczy nigdy dotąd nie widziałem czarnego generała.

Po twarzy generała przemknął uśmiech.

– Przyznam się, że ja też nie, dopóki nie obejrzałem siebie w lustrze... Moją matką była hawajska niewolnica. I nieważne, że ojcem był francuski arystokrata, i tak dla większości ludzi liczył się tylko kolor mojej skóry. Ale nie mówmy już o tym. Przyszedłem tu, bo chciałem zobaczyć, co się z wami dzieje. Moim zdaniem bez sensu jest trzymać pod kluczem tak dobrego oficera. Przecież Brytyjczycy uganiają się za nami jak marynarze za dziewczkami w porcie. Z pewnością niebawem dojdzie do wymiany ognia z flotą brytyjską albo z mamelukami. Murat jest głupcem, skoro nie

## W cieniu gilotyny

uważa, że każdy zdolny do walki człowiek jest dla nas na wagę złota.

André, kiedy to usłyszał, poczuł, jak puls mu przyspiesza. A to ciepło w piersi niewątpliwie było iskierką nadziei.

- Dueys zgadza się z mną - powiedział Dumas. - Tak więc przeciwko jednemu generałowi staje dwóch. Mamy nad nim przewagę.

André przelknął, bo cóż mogą oznaczać słowa jednego z tych dwóch generałów?

- Kiedy siedłem tu, Valière, nie byłem jeszcze tak do końca zdecydowany. Ale teraz już tak. Jesteście wolni.

André z wrażenia omal nie zgiął się wpół.

- Wo... wolny? - wyjąkał.

- Tak, jesteście wolni. Za niecały tydzień dopłyniemy do Egiptu. Gdybyście posiedzieli w tej celi jeszcze kilka dni, pewnie byście nie przeżyli. Jesteście wolni już od tej chwili.

- Ale co z generałem Muratem?

- Zostawcie go mnie, ja z nim pogadam. Szczerze mówiąc, czekałem tylko na okazję, żeby mu powiedzieć, co o nim myślę.

André zaśmiał się. Nie mógł się powstrzymać, skoro rozpieła go radość. Bo wreszcie był wolny, wreszcie opuści ciemną, śmierdzącą celę, gdzie niechybnie spotkałaby go śmierć. Dlatego najchętniej by uściskał tego dziwnego, ale jakże miłosiernego generała.

- Dziękuję, generale. Bardzo wam dziękuję.

- Nie dziękujcie, tylko kiedy wyjdziemy na brzeg, pokażcie, co potraficie, żebym nie żałował, że pomogłem wam ocalić skórę.

- Zrobię wszystko, co w mojej mocy, generale.

A generał, już w drzwiach celi, przystanął. Drzwi były uchylone i po raz pierwszy w świetle dnia André zobaczył, jak imponująca jest postać tego generała, w którego żyłach płynie krew francuskiego arystokraty i krew haitańskiej niewolnicy.

- Macie na imię André?

- Tak jest. André Valière.

Dumas oparł się o framugę.

- Hm... Moja żona jest przy nadziei. Jest pewna, że to będzie chłopiec, i chce go nazwać Alexandre.

- Alexandre Dumas - powtórzył André. - Piękne imię.

- A mnie podoba się André. Może więc skrócimy imię i jednak będzie André.

Następnego dnia André nadal dopisywało szczęście. Kiedy szedł po pokładzie, usłyszał znajomy głos, a wypowiedź żartobliwą:

- Mówią, że Allah jest miłosierny. Czyżby? Przecież znowu stajesz na mej drodze!

Odwrócił się, napotykając na szeroki i wyjątkowo serdeczny uśmiech.

- Ashar! Jak się miewasz, przyjacielu?

Uściskali się i André zauważył, że przyjaciel wygląda teraz inaczej. Nie ma na sobie marynarskiego przyodziewku, lecz zwiewną szatę w kolorze szafranu sięgającą kolan, a głowa omotana jest białą chustą. Czyli miał na sobie tradycyjny strój, jakby wrócił do swego poprzedniego życia.

- Jak to się stało, że dotąd ciebie nie spotkałem?

André zaśmiał się gorzko.

## W cieniu gilotyny

- Bo byłem pod pokładem. Zamknęli mnie.

- Zamknęli? Ale dlaczego?

André spojrział przez ramię i odczekał chwilę, póki przechodzący obok dwaj marynarze nie znajdują się w bezpiecznej odległości.

- Bo okazało się, że mam potężnego wroga, który ścigał mnie od Paryża aż tutaj.

Spośpniały Ashar pochylił się i szepnął:

- Kto?

- Generał Murat - odszepnął André.

- Ale co ty takiego zrobiłeś?

- Tak do końca to nie wiem. - André westchnął, spoglądając na lazrowe morze sięgające aż po horyzont. - Ale na pewno jednym z moich przestępstw, może i największym, jest to, że zakochałem się w jego siostrzenicy.

W końcu czerwca nadeszły mordercze upały. Żar lał się z nieba i z każdym dniem skóra marynarzy i żołnierzy była coraz ciemniejsza. A nocą księżyc, podobnie jak słońce oślepiający, powlekał morze białosrebrzystą powłoką, w której odbijało się światło tysięcy gwiazd. Przez cały ten czas francuska flota, ta pływająca forteca, łapała w żagle słony wiatr Morza Śródziemnego i zbliżała się do nieświadomego zagrożenia królestwa Egiptu.

André, jak wielu marynarzy i żołnierzy, bardzo chciał dowiedzieć się czegoś więcej o tej odległej zamorskiej krainie. A nikt inny nie mógł zaspokoić ich ciekawości lepiej niż Egipcjanin, którego mieli w swoich szeregach.

Pytali Ashara, czy w starych grobowcach naprawdę ukryte jest tyle złota. Czy tamtejsze kobiety naprawdę są najpiękniejsze na świecie. Czy mamelucy, legendarni i owiani tajemnicą egipcjscy wojownicy, będą walczyć, czy też uciekną na pustynię przed budzącym największy strach francuskim generałem i jego wojskiem.

Ashar ochoczo odpowiadał na każde pytanie, ożywiając wyobraźnię znudzonych Francuzów. A więc tak. W grobach faraonów jest tyle bogactwa, że dwór Burbonów niech się schowa, a bogactwa te są chronione przez stare zaklęcia i czary, o których Francuzi nie mają pojęcia. A kobiety egipskie? One powalą najeźdźców na kolana.

Natomiast jeśli chodzi o mameluckich wojowników, Ashar okazywał im mistyczny wręcz szacunek, tak wielki, że nie bardzo chciał o nich mówić. Zapewniał André - a raz czy dwa razy powiedział to zuchwale samym generałom - że mamelucy wcale się nie boją sławnego generała Bonaparte. Od małego wpaja się im odwagę i lojalność, a na strach w ich tradycji w ogóle nie ma miejsca.

Niektórzy oficerowie naśmiewali się z ostrzeżeń Egipcjanina, twierdząc, że Ashar jest tylko Beduinem rozkochanym w sile swoich panów i władców, a więc skłonny do przesady. I naprawdę nie ma się czego bać. Ale André te ich szyderstwa wcale się nie podobały. Jego rodacy nie powinni drwić z kogoś tylko dlatego, że jest niżej urodzony, ani lekceważyć tego, co mówi. Przecież o kraju, który zamierza się podbić, powinno się wiedzieć jak najwięcej.

Natomiast André przyświecał jeden cel. Schodzić z drogi Muratowi.

## W cieniu gilotyny

Generał, mimo że kilka razy widział go po jego nagłym uwolnieniu, za każdym razem udawał, że go nie widzi. Ale André, który doskonale wiedział, że jest dla generała kimś wyjątkowo odrażającym, czuł, że to tylko kwestia czasu i Murat znów wbije w niego stalowy wzrok. Natomiast generał Dumas za każdym razem, gdy spotkał na pokładzie André, podawał mu rękę. André był pewien, że przede wszystkim temu generałowi zawdzięcza uwolnienie z kajdan, dzięki niemu nie zgnił w celi pod pokładem, za co był mu nieskończenie wdzięczny. Marzył też o tym, by wreszcie dotarł do Egiptu i był wśród żołnierzy maszerujących przez kraj, bo wtedy znalazłby się poza zasięgiem Murata i mógłby walczyć jako kapitan. A przecież bardzo chciał służyć swemu krajowi, przeżyć i pewnego dnia powrócić do Sophie.

Tej ostatniej czerwcowej nocy Ashar i André siedzieli w forkaasztelu, popatrując na morze srebrzone blaskiem księżyca albo w niebo usiane gwiazdami. Parę kroków dalej po pokładzie przechadzał się ziewający wartownik, a statek kołysał się łagodnie i rytmicznie jak kołyska dziecka. André czuł, że powieki robią się ciężkie, ale kiedy miał już zamiar życzyć przyjacielowi dobrej nocy, Ashar nagle oznajmił:

– Jesteśmy blisko Egiptu.

– Tak? A skąd wiesz?

Ashar uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Mój przyjacielu, jeśli człowiek jest lata całe z dala od swego kraju, jeśli tęskni i już nie wierzy, że kiedykolwiek tam powróci, to pewnego dnia, kiedy jest blisko... to po prostu to wie. – Zamilkł na kilka chwil, sam ze swoimi myślami. A potem zaczął mówić: – Mój kraj jest królestwem, które od wieków wabiło ludzi z ambicjami i wielkie potęgi tego świata. Nie potrafię przewidzieć, co się stanie, kiedy tam dopłyniemy. Ale modlę się, André Valière, żeby twoja księga życia nie została tam zapisana do końca.

Żołnierze mieli pobudkę o świcie i wszyscy zgodnie z rozkazem zameldowali się na pokładzie. Wśród nich André w przydzielonym mu kapitańskim mundurze. Stał zapatrzony w pierwsze promienie słońca przecinające ciemność jak ostrza noży, purpurowe, pomarańczowe i różowe. Tam, gdzie po raz pierwszy od tyłu dni zobaczył stały ląd.

– Aleksandria!

– Na Boga! A jednak dopłynęliśmy!

– W południe będziemy już na lądzie.

Wszyscy dookoła coś tam mamrotali, przestępowali z nogi na nogę, niecierpliwi jak psy, które czekają tylko, kiedy zostaną spuszczone ze smyczy i zaczną się polowanie.

Ashara odnalazł po chwili. Stał na uboczu oparty o reling i zapatrzony w dal.

– Ashar, wołają na śniadanie. Schodzimy pod pokład?

Ashar, wpatrując się w pobliską już plażę, pokręcił głową. Że nie, on na żadne śniadanie nie idzie.

– Rozumiem. Patrzą na swój kraj.

– Aleksandria... – odezwał się wreszcie Ashar uroczyście. – Miasto zbudowane przez Aleksandra Wielkiego. Miasto godne samej Kleopatry. A Grecy zwali je najpiękniejszym i największym.

Statek, skąpany w pomarańczowym blasku wschodzącego słońca, był

## W cieniu gilotyny

coraz bliżej brzegu, więc André mógł już wiele dostrzec. Widział miasto, widział, jak brzeg przed miastem rozstępuje się, a wąski przesmyk robi się coraz szerszy i zmienia się w szeroką, spokojną zatokę. A za tą zatoką, o czym André już wiedział, zaczyna się inne morze. Morze piasku i palącego słońca. Czyli pustynia.

- A teraz generał Bonaparte chce, by do tych najznamienitszych dodać i jego nazwisko - powiedział Ashar ponurym głosem, nie patrząc na André. - Przecież nawet jeśli wkroczy do Aleksandrii, jeśli utrzyma się w niej przez jakiś czas, to i tak nigdy jej tak naprawdę nie zdobędzie. Ani Egiptu. Wielu przed nim, skuszonych starymi legendami i mitami, próbowało zaważnąć tą ziemią. I nie udało się. Nawet jeśli generał Bonaparte przegoni mameluków - w co wątpię - to i tak w tym piasku, w sercach tutejszych ludzi jest coś, czego on nie będzie w stanie pojąć. I im bardziej będzie się starał to pojąć, im głębiej będzie drążył, tym bardziej będzie czuł się osaczony i w końcu miękkie, pachnące palce Aleksandrii zacisną się wokół jego szyi. Jeszcze zanim zrozumie, że już jest w jej rękach. Zobaczysz na własne oczy, że tak właśnie będzie.

André słuchał pilnie, potem westchnął.

- Widziałem niejedno, od czego włos jeżył się na głowie. Ale muszę przyznać, że po tym, co usłyszałem od ciebie, czuję się... nieszczęśliwie.

Ashar zamrugał, twarz, do tej chwili posępna, złagodniała, i wreszcie pojawił się na niej uśmiech.

- Nie musisz się niczego bać. A już na pewno nie mnie, André, bo ja, dopóki jestem z wami, zrobię wszystko, co w mojej mocy, byś pozostał wśród żywych. Bo choć dla mnie jesteś poganinem, jesteś nicwierny, to jesteś także moim przyjacielem.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

### Więzienie Temple

#### Paryż

Lato 1798 r.

– Musisz jeść, nawet jeśli nie masz na to ochoty.

Jean-Luc razem z Sophie siedzieli na zardzewiałej ławeczce pod rozłożystym platanem w małym ogródku zarezerwowanym dla więźniarek. Ogródku w rogu dziedzińca w tym samym więzieniu, w którym przebywał kiedyś narzeczony Sophie. Było lato, a tu, między więziennymi murami, powietrze było zatechłe i przesycone wilgocią. I wiało chłodem prawie jak w końcu zimy.

– Wiem. Ale tego, co oni tu podają, nie nazwałabym jedzeniem – odparła Sophie, próbując się uśmiechnąć, choć w oczach był tylko smutek. Chuda i blada zaczęła drżeć z zimna jak w największy mróz.

Jean-Luc szybko zdjął szustokor i zarzucił jej na ramiona.

– Wciąż to samo, Sophie. A powinnaś zmusić się do jedzenia, nie wolno ci tracić sił.

Po jej twarzy przemknął nikły uśmiech.

– A po co mi one tutaj... – mruknęła, wzruszając ramionami. – Jean-Luc, dowiedziałeś się czegoś?

– Wygląda na to, że mają na ciebie tylko jeden haczyk – odparł z westchnieniem. – Dość mętne oskarżenie o spiskowanie z przestępcą, unikanie opiekuna i ucieczka przed organami ścigania.

– Przecież jak dotąd nigdy nie byłam o nic oskarżona i nikt nie chciał mnie aresztować! Próbowałam tylko zejść z oczu wujowi, bo wiem, do czego jest zdolny!

– Niestety twoje relacje z André w tamtym czasie można uznać za przestępstwo. Na szczęście, dzięki nowym ustawom nie jest to przestępstwo karane śmiercią. Sophie, zrobię wszystko, żeby cię stąd wydobyć. A teraz powiedz mi, czy przemyślałaś już moją propozycję.

Sophie, umykając spojrzeniem w bok, prawie niezauważalnie pokręciła głową.

– Sophie, proszę, zgódź się. Kto wie, czy napisanie do twego wuja nie okaże się najlepszym posunięciem.

– Przecież mówiłam ci już, że moim zdaniem ma on tyle samo wspólnego z moim pobytem tutaj co ten stary gad, Guillaume Lazare. Bo któż inny by mnie oskarżał o unikanie opiekuna? Tylko on!

Jean-Luc nie po raz pierwszy wydał z siebie głębokie westchnienie. Ostatnie miesiące nie były łatwe, tak ciężko nie miał chyba od czasu Terroru, no i bolesnych procesów generała Kellermanna i André. A ten Lazare... Wystarczyło, że ktoś o nim wspomniał, i w pamięci ożywały tamte straszne chwile. Lazare w powozie przed ich domem, tego dnia, kiedy zaginął Mathieu. Domaga się wydania Sophie. A Sophie wcale się nie opiera, tylko przeciwnie, sama oddaje się w ich ręce w zamian za

## W cieniu gilotyny

uwolnienie chłopczyka. Dlatego od wielu tygodni siedzi w więzieniu, przy czym ani ona, ani Jean-Luc nie mogą dojść, dlaczego tak naprawdę Lazare zabawia się z nią w kotka i myszkę.

Przemknął spojrzeniem po więziennym murze i popatrzył w górę, gdzie było widać skrawek nieba.

- Podejrzewam, że twój wuj, wściekły, że mu się przeciwstawiłaś, chce ci dać nauczkę.

- Przede wszystkim chce, żebym do jego powrotu siedziała pod kluczem... Jean-Luc, gdzie oni teraz są? We Włoszech?

- Z tego, co wyczytałem w gazetach, są gdzieś na Morzu Śródziemnym i płyną do Egiptu. Ponoć Bonaparte ma wielki apetyt na Kair.

- Kair... Przecież to na końcu świata! Jeszcze dalej niż Malta. O Boże... Myślisz, że André jest razem z nimi?

Delikatnie wziął ją za rękę. Wysoko nad ich głowami słońce przebiło się przez chmury, ale jego blasku docierało bardzo niewiele, co sprawiało, że na duszy Jean-Luca było jeszcze ciężiej. Przecież od André od wielu miesięcy nie miał żadnych wieści.

- Uważam, że są ku temu podstawy, by sądzić, że istotnie służy w armii generała Bonaparte - powiedział, głosem stanowczym, by nie zdradzić, co naprawdę czuje. - A przynajmniej był tam, kiedy flota wypływała z Tulonu i Marsylii.

- Ale i tak nie wiesz, czy jest bezpieczny, czy nic mu się nie stało.

I tu niestety niemożliwe było odpowiedzieć uczciwie.

- Nie mogę tego wiedzieć, bo i skąd, ale dla mnie istotne jest to, że żaden z listów, które wysłałem do niego, nie został zwrócony. A wysyłałem je zawsze do portu w Tulonie, bo wiedziałem, że André tam był. Powiedział mi o tym strażnik z La Temple, którego udało mi się przekupić.

- Może dotarły do ciebie jakieś wieści o jego matce? - spytała Sophie.

Jean-Luc westchnął w duchu. Z tą wieścią zwlekał, by nie dokładać Sophie kolejnego zmartwienia, ale chyba pora już to wyjawić. Tym bardziej że może mieć to również swoje dobre strony i Sophie, poruszona tą wiadomością i pełna współczucia dla André, odzyska determinację, którą zdaje się tracić.

Odchrząknął.

- Tak, dotarły, ale niestety nic dobrego. Bardzo mi przykro, Sophie, ale pani Valière nie przeżyła rozstania z synami.

Sophie zbladła chyba jeszcze bardziej.

- Nie żyje... Co się stało?

- Ospa. Prawdopodobnie czarna ospa.

- O mój Boże! Udało jej się uciec przed Terrorem, a dopadła ją ospa... Napiszesz o tym André?

- Postaram się, kiedy tylko dowiem się, dokąd go wysłali. A ty, Sophie, musisz być tym bardziej dzielna i zadbać o siebie, ze względu na André. Ojca mu zabili, brata prawdopodobnie też. Gdyby nie ty, nie miałyby do kogo wrócić.

O ile w ogóle powróci... Tę gorzką myśl Jean-Luc zachował dla siebie.

A Sophie powoli pokiwała głową.

- Oczywiście, że masz rację, ale...

- Jestem pewien, Sophie, że niebawem zwrócą ci wolność.

- Wolność... Może...

## W cieniu gilotyny

Dziwne. Zamiast błysku w oku, po twarzy Sophie przemknął cień. I zadrzała.

- Sophie? Co się dzieje?

- Och, Jean-Luc! - wyszeptala, spoglądając na niego spłoszonym wzrokiem. - Przecież on tu był. Lazare. Przyszedł mnie odwiedzić.

- On? - Jean-Luc spojrzal w bok i zmełł w ustach przekleństwo, bo zawsze, gdy tylko uslyszal to własnie nazwisko, cisnęło mu się do ust. - Rozmawiałas z nim?

- Tak, i jak mi poleciles, bylam uprzejma, ale niczego mu nie powiedzialam. Ani slowa o tym, ze mnie odwiedzasz. Nic odpowiadzialam na zadne pytanie.

- To dobrze. A czy powiedzial, dlaczego do ciebie przyszedl?

- O tak. Ze jest moim przyjacielem i chce mi pomoc.

- Co za drań! Sophie, naturalnie wiesz, ze Guillaume Lazare twoim przyjacielem nie jest. Przeciez to diabel wcielony!

- Naturalnie, ze wiem. - Przymknela oczy, chyba byla juz bardzo zmeczona.

- Byloby mi o wiele lzej na duszy, gdybys nie musiala z nim rozmawiac, ale niestety musisz. Bo niewazne, czy za tymi wizytami stoi twój wuj, czy nie. Wazne jest, by twój wuj nie mial juz nowych powodow do gniewu.

- Tak, tak. Ale wiesz... On patrzy na mnie bardzo dziwnie.

- To znaczy jak?

- Trudno to okreslic. Opowiada o rodzinnym domu na poludniu Francji, o tym, ze bardzo chcialby tam wrócic, odejść od polityki i zyc skromnie i zwyczajnie. Powiedzial tez, ze nigdy nie mial zony ani dzieci, ale ma nadzieje, ze nie jest jeszcze pozno. To wszystko razem jest bardzo dziwne.

Jean-Luc czul, jak wszystko w nim zaczyna się gotowac.

- Dlaczego? Dlaczego dziwne?!

- Bo widzisz... W koncu wiem, jak spoglada... zakochany mężczyzna. - Glos jej się zalamal, co dla Jean-Luca bylo zrozumiale. Biedna Sophie przeciez na pewno pomyslala teraz o André. Ona zaś nabrala glęboko powietrza i mówila dalej: - Widzialam tez spojrzenia pełne nienawisci. Nigdy jednak dotąd nie widzialam, by ktos spogladal na mnie tak jak Guillaume Lazare. Z upodobaniem, a jednoczesnie z nienawiscia.

Jean-Luc po tej rozmowie byl pelen obaw. Przede wszystkim niepokoil się stanem ducha Sophie, która wpadala w coraz wieksza rezygnacje. A kiedy zbližal się do domu, zobaczyl cos, co rowniez nie bylo powodem do wielkiej radości: znajomy powoz stal tuż przed domem, dokladnie po oknem ich mansardy.

Kiedy go dostrzegł, zatrzymal się w pół kroku. Co robic? Moze zawrócic, przeciez chyba nikt go nie zauwazył... Owszem, można, ale w ten sposob wyda Marie i Mathieu na pastwę tego człowieka. Nie, nie wolno uciekac.

Ruszył przed siebie i kiedy mijal drzwi oberży pani Grocque, uslyszal, jak drzwi powozu się otwieraja. A kiedy odwrócił się, zobaczyl wysiadajacego Guillaume'a Lazare'a. Zrobil to dziwnie zrecznie, można by nawet powiedziec, ze podstarzaly prawnik tryska energią.

- Witajcie, obywatelu St. Clair!

Jean-Luc zacisnal zęby, a potem odparł chłodno:



## W cieniu gilotyny

– Witajcie, obywatelu Lazare.

– Trzeba przyznać, że wasza żona jest coraz piękniejsza i okrąglejsza. Czekacie na córkę czy drugiego syna?

Jean-Luc zrobił szybki półobrót i spojrzał Lazare'owi prosto w twarz.

– O! Czyżby wam zamarzyło się zostanie ojcem? Zabrzmiało to dość zjadliwie.

Jednak Lazare nie wyglądał na urażonego. Przeciwnie, uśmiechnął się i stanął wygodniej oparty o powóz.

– Czemu nie? Przecież to wielka sprawa...

– Może. Ale nie w tym rzecz. Może powiecie, dlaczego wtrąciliście do więzienia tę biedną kobietę.

– Macie na myśli obywatelkę de Vincennes? Wdowę po hrabim? Jeśli o nią chodzi, to nie powiedziałbym, że jest biedna.

– Nie żartujcie. Powiedzcie, dlaczego tak się stało. Co takiego zrobiła.

– Zadawała się z wrogiem naszego kraju.

– Co z tego? Ten człowiek został już osądzony. Pozwolono mu opuścić kraj i zacząć nowe życie.

Lazare westchnął, a w tym momencie drzwi oberży skrzyknęły i w progu ukazała się pani Grocque z miotłą w ręku, którą zaczęła energicznie zamiatać schodki przed swoimi drzwiami. Było oczywiste, że po to wyszła, by nadstawić ucha.

– Zależało mi, by właśnie tam się znalazła – odparł Lazare, wygładzając fałdkę na rękawiczce. – Bo to skłoni go do powrotu.

– Mówiłem już, obywatelu, że został już osądzony – powtórzył Jean-Luc.

– Ale nie zapłacili za swoje czyny należycie – wysyczał Lazare. – Uszedł z życiem, a ja uważam, że powinno być inaczej. Przeżył dzięki wam, obywatelu St. Clair.

– I każdego dnia za swoje czyny płaci, obywatelu Lazare, a przedtem przez wiele lat służył wiernie republice. Dlaczego więc nadal go prześladowacie? Dlaczego darzycie go taką nienawiścią?

Lazare zaśmiał się, twarz miał więc pogodną, ale Jean-Luc zauważył, że purpurowa żyła na cienkiej białej szyi pulsuje jak szalona.

– Ależ nie przesadzajcie! Jakże ja mogę go nienawidzić, skoro go nie znam. Ale on jest tym pierwszszym, który... Jak to powiedzieć?... Który wymknął mi się z rąk. Dzięki wam, obywatelu.

Mimo takiej deklaracji dla Jean-Luca nadal było to niezrozumiałe.

– Przecież to nasza praca. Uczucia nic tu nie mają do gadania, a wy czujecie do niego, delikatnie mówiąc, niechęć.

– Tak powiadacie? Niestety, drogi St. Clair, jest inaczej. Uczucia również wchodzą w grę, chociażby ambicje czy zazdrość.

Jean-Luc potrząsnął głową i schował ręce do kieszeni.

– W takim razie to między nami powinna być wrogość, bo to ja w tym procesie pokrzyżowałem wasze plany.

– Może i tak – wymamrotał Lazare, wzruszając ramionami, po czym nastąpiła chwila ciszy, podczas której pilnie przypatrywał się swoim nieskazitelnie czystym rękawiczkom. – Chciałem doprowadzić do skazania Valière'a, żeby przysłużyć się potężnemu generałowi. Nie, nie dlatego, że podziwiam Nicolai Murata. Przeciwnie, uważam, że jest brutalny, kieruje się tylko instynktem i uprzedzeniami. Ale jedno mnie ujęło. Jego bezwarunkowa nienawiść do arystokracji... – Zamilkł na

## W cieniu gilotyny

chwile, po czym dokończył głosem już nie tak stanowczym: – Tak to wszystko się zaczęło, a teraz... cóż... należy sprawę doprowadzić do końca.

Jean-Luc potarł wilgotne z emocji dłonie, bo nadal jednak nie był do końca pewien motywacji podstarzałego prawnika. Choć jednego był już pewien. Ten człowiek niewątpliwie jest szalony.

– Na litość boską, Lazare! Dlaczego to wszystko robicie? Przez was i waszych popleczników ojca André posłano na gilotyne! Brat André jest prześladowany, a nawet, jak przypuszczam, został zabity. Narzeczoną André jest prześladowana tylko dlatego, że go kocha. Kiedy wreszcie położą się temu kres? Przecież terror już się skończył. Czyż nie nadszedł czas, by odbudować nie tylko to, co zniszczono w mieście, ale i nasze życie?

Lazare bez słowa wyjął z kieszeni tabakierkę i zażył tabaki. Potem spuścił głowę, pomyślał i nagle głowę tę poderwał, a także tupnął nogą.

– André Valière'owi udało się uniknąć sprawiedliwości republiki, wywalczonej przez naszych bohaterów, którzy oddali życie za naszą sprawę. Ale ich dzieło jest kontynuowane także przeze mnie, a ja nie spoczne, póki nie dopadniemy wszystkich wrogów republiki i ich nie unicestwimy. Taką złożyłem sobie przysięgę i jej dotrzymam.

Jean-Luc po wysłuchaniu tej deklaracji nie był w stanie powstrzymać się od krótkiego i gorzkiego śmiechu. Machnął też lekceważąco ręką, po czym, spoglądając prosto w wyblakłe oczy starego człowieka, wyrzucił z siebie:

– Wcale nie szukacie sprawiedliwości, obywatelu. Jesteście niewiele lepsi od tych potworów, od Robespierre'a, Saint-Justa czy Héberta. Zwyczajnych morderców, których w końcu dosięgła ta sama sprawiedliwość, którą przedtem sami szafowali. Kto wie, czy was nie spotka ten sam los!

Lazare cicho prychnął, po czym oznajmił:

– Uważajcie, co mówicie, St. Clair, bo się w końcu rozszłoszczę.

Rozzłości się? Nie tylko on! Jean-Luc czuł, jak narasta w nim gniew. Bo co stało się z tym krajem? André poniewierany. Sophie też. Cały naród w rękach takich szaleńców jak Lazare i jego krwiożerczy przyjaciele.

– Nie dbam o to, czy wpadniecie w gniew, Lazare, czy nie. A jeśli tak, to skierujcie go na mnie, a nie na Sophie. Nie możecie więzić kobiety tylko dlatego, że pokochała dobrego człowieka, nie można doprowadzać jej do takiego stanu. Przecież wygląda, jakby dosięgła ją zaraza!

Lazare znów prychnął.

– A więc to tak... A ja przecież próbowałem wam wybaczyć.

– Wybaczyć! – Jean-Luc, nie panując już nad sobą, splunął na ziemię tuż obok butów Lazare'a. – O wasze wybaczenie to ja dbam tyle, co o zeszłoroczny śnieg.

Lazare potarł ręce i westchnął.

– A więc to jest wasza wdzięczność? Za to, że wydostałem was z rysztołka i zrobiłem z was człowieka o wiele większego formatu, niż jesteście w istocie. Wprowadziłem między znamienitych ludzi, a wy i tak obstajecie przy tej kobiecie i jej żalonym kochanku.

Jean-Luc wydał z siebie cichy, gardłowy okrzyk.

– O, nie! To już czyste szaleństwo. Mam tego dość! – Zdecydowanym

## W cieniu gilotyny

krokiem ruszył ku drzwiom.

Ale Lazare jeszcze nie skończył:

- Chcę głowy André Valière'a i będę ją miał.

Jean-Luc, już w progu, odwrócił się błyskawicznie, gotów rzucić się na łajdaka i udusić. Ale to, co powiedział Lazare, sprawiło, że zatrzymał się w pół kroku.

- Tak. Będę ją miał. A kiedy z nim skończę, wezmę się za innych.

Patrzył Jean-Lucowi prosto w oczy niby wzrokiem pustym, a jednocześnie wymownym. Ten wzrok przekazywał, że właściciel tych oczu nie zawaha się przed niczym.

- Dam wam ostatnią już lekcję, obywatelu St. Clair. A wy słuchajcie bardzo uważnie. Murat po prostu zabija swoich wrogów. Kiedyś ponoć doznał jakiejś krzywdy od starego de Valière'a i postanowił się zemścić na jego potomkach. Ale ja powiedziałem mu, że sama śmierć to zbyt proste. Śmierć, i po bólu. A cała sztuka polega na tym, że zanim kogoś się zabije, ten ktoś musi pocierpieć. Dlatego najpierw należy mu odebrać wszystko, co kocha. Stąd moje pytanie, obywatelu St. Clair. Mam zacząć od Marie czy od Mathieu?

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

### Aleksandria

### Egipt

Lipiec 1798 r.

Przed marszem przez Egipt André nie miał pojęcia, jak to jest, kiedy człowiek umiera z pragnienia.

Aleksandria padła bardzo szybko. Zaskoczeni i niewystarczająco uzbrojeni wartownicy nie byli w stanie oprzeć się francuskiej artylerii i salwom z muszkietów katujących mury miasta. Ale głównym celem był Kair oddalony od Aleksandrii o wiele, wiele mil. Właśnie tam szli przez pustynię, którą władali Beduini, wojownicze plemię nomadów, które nie lękało się żołnierzy w obcych mundurach. Największym jednak wrogiem podczas marszu było palące słońce. Ani André, ani nikt spośród jego towarzyszy nigdy dotąd nie przebywał w tak morderczym upale.

W przeddzień wymarszu z Aleksandrii André spotkał na plaży Ashara. Stał tuż nad wodą zapatrzony w horyzont.

– Ashar, jesteś przecież Egipcjaninem, dlaczego więc walczysz po stronie Francuzów?

Ashar drgnął i powoli zwrócił się ku niemu twarzą. A André czekał z niecierpliwością na jego odpowiedź. Bardzo chciał to wiedzieć, bo dzięki temu uzyskałby odpowiedź również na inne pytanie: czy Asharowi można zaufać?

– Bo wasz generał, Napoleon Bonaparte, chce walczyć z mamelukami, wojownikami z plemion koczowniczych, którzy zawładnęli środkową częścią mojego kraju. Mamelucy to nie Egipcjanie, lecz Turcy albo inni koczownicy z krajów, które Turcy podbili. Tu, w Egipcie, są więc takimi samymi najeźdźcami jak wy, Francuzi. A rządzą naszym krajem tak jak wilk rządziłby stadem owieczek. Są wyjątkowo okrutni, a Francuzi, jak sądzę, będą dla moich rodaków bardziej litościwi niż ci barbarzyńcy.

– Tak sądzisz? Chyba nigdy nie byłeś w Paryżu!

André uśmiechnął się, naturalnie niewesoło, i w tym momencie tuż przed nim spieniony koń wrył się kopytami w ziemię, a jeździec zeskokczył i zasalutował.

– Kapitanie Valière, macie natychmiast stawić się w namiocie generała Dumasa w związku z waszym awansem.

– Awansem? Moim?! – Był pewien, że się przesłyszał. A jeśli nie, to musi być to jakiś podstęp.

– Tak jest! – oznajmił żołnierz. Zasalutował i wskoczył na konia.

Ashar uśmiechnął się, jak to on, trochę chytrze.

– Przyjacielu, wygląda na to, że wreszcie los zaczął ci sprzyjać.

André nerwowo przecesał włosy, potem odetchnął głęboko i spytał:

– Czyli major?

– Tak jest – odparł posłaniec. – Major i jesteście przydzieleni do kawalerii dowodzonej przez generała Dumasa i generała Murata.

## W cieniu gilotyny

Trzeciego lipca, kiedy słońce kryło się już za wydmami, André, podobnie jak około piętnastu tysięcy francuskich żołnierzy, opuścił Aleksandrię. Przez całą noc jechali – albo i maszerowali – wśród porywów pustynnego wiatru i dobiegających z oddali krzyków, dla nich trudnych do odgadnięcia. Kiedy świt minął i nastał dzień, palące słońce zawisło nad nimi, a żar lejący się z nieba zabijał morale i odbierał siły niezbędne do pokonania tyłu mil gorącego piasku.

– Oszczędzajcie wodę, chłopcy! Liczy się każda kropla! – rozkazał André, kiedy zatrzymali się na popołudniowy odpoczynek. Niestety, jak zauważył, niewielu żołnierzy posłuchało rozkazu. I trudno się dziwić. W nieludzkim żarze rozsądek zanikał i do głosu dochodził pierwotny instynkt.

Trzeciego dnia padły pierwsze konie i żołnierze, którym widmo śmierci stało przed oczami, zaczęli szemrać i dopytywać, jak daleko jeszcze do rzeki. André nie potrafił na to odpowiedzieć. Przecież podobnie jak oni nie miał pojęcia, co przed nimi. Wiedział tylko, że odwrót nie był żadnym rozwiązaniem i jedyne, co mogą zrobić, to dalej przeć do przodu, dopóki nie dojdą do Nilu. Jechali więc w ślad za powiewającą trójkolorową chorągwią, pokonując jedną miłą za drugą piasku palonego od wieków bezlitosnym słońcem. Poparzone policzki pokrywały się bąblami, wargi były coraz bardziej opuchnięte. Jedni jechali, inni szli, bo większość koni już padła. Ich martwe ciała leżały w słońcu wydane na pastwę nieustraszonych myszołowów, które na pewno nadlecą tu z daleka, z jakiejś oazy.

A rzeki Nil jak nie było, tak nie ma.

Dni były mordercze, noce niewiele lepsze. Wieczorem słyszeli zawrodenie Beduinów, swoich nieodłącznych towarzyszy, którzy za dnia podążali za Francuzami, a wieczorem rozkładali się obozem w odległym miejscu. Słyszał było tylko ich śpiew, widać było blask ognisk, czuć było zapach dymu ścielącego się nad srebrzonym przez księżyc piaskiem.

A teraz słyszał było jakieś krzyki.

– To okrzyki bojowe – powiedział Ashar, podjeżdżając prawie bezgłośnie. Zsiadł z konia i zaczął szykować sobie posłanie z czapraka i siodła nieopodal André.

– Chcą z nami walczyć? – spytał André, wpatrując się w ogniste plamy w oddali.

– Może tak, może nie – odparł enigmatycznie Ashar, ale André i tak zadrzał, mimo woli, wśród tej jakże nielaskawej pustynnej nocy. Nocy, która zwykle była dla niego największym utrapieniem, bo pełna snów, złych snów, które dręczyły i duszę, i ciało. Nie wiedział, co konkretnie było tego przyczyną. Czy nieludzkie zmęczenie, czy potworne pragnienie, czy te dziwne dźwięki, dolatujące z oddali. Najpewniej wszystko to razem sprawiało, że miał potem te sny niezwykle żywe, i kiedy budził się rano, za każdym razem miał wrażenie, że coraz trudniej mu powrócić do rzeczywistości, jakby mu się wymykała. Jak piasek przesiewany przez pokryte bąblami palce.

Miał różne sny, ale w każdym z nich na koniec pojawiała się Sophie. W jednym, wyjątkowo żywym śnie, zaprosiła go na ślub. A jej narzeczonym wcale nie był André, tylko jakiś jakiś mężczyzna o niezwykle bladej twarzy. Ale najgorszy był sen, w którym przyszła do

## W cieniu gilotyny

André zapłakana i powiedziała mu, że Remy nie żyje, a ona już następnego dnia zostanie poprowadzona na szafot. Nic dziwnego, że André obudził się wtedy cały zlanym zimnym potem.

Dziesiątego dnia wydawało się, że nikt już nie jest w stanie przeć do przodu. André, sam ledwie żywy, nie miał pojęcia, jak zmusić żołnierzy do dalszego marszu. Wtedy nadjechało kilku żołnierzy wysłanych na zwiad. O dziwo, byli radośni i pełni energii, a takich żołnierzy nie widziano od chwili wymarszu z Aleksandrii.

- Woda! Woda przed nami! Doszliśmy do Nilu! - krzyknęli, zawrócili konie i pognali z powrotem.

André odprowadzał ich wzrokiem z nadzieją, że tam, gdzie znikli w tumanach kurzu, coś rozbrzyśnie srebrzyście. Woda. Życiodajna woda.

Nic jednak nie rozbrzyśnięto, więc odszukał wzrokiem najbliższego podoficera.

- Jadę tam. Sprawdź, jak daleko jest rzeka. Wy czekajcie na mnie. Pamiętajcie, za wszelką cenę trzeba utrzymać tu ludzi. Mają się stąd nie ruszać.

Spiął konia i ruszył galopem. Minął nieszczęsnych piechurów, przejechał przez niewielką wydmy i tam wreszcie zobaczył to, na co wszyscy czekali z takim utęsknieniem. Na lewo i na prawo już nie tylko piach, ale i żyzna ziemia, na której coś rośnie. A przed nim, w oddali, najpiękniejsza gigantyczna niebiesko-zielona wstęga skrzającej się wody. A na brzegu rozłożyły się, dające błogosławiony cień palmy.

Patrzył jak urzeczony, bo dla niego był to najpiękniejszy widok na świecie. Żołnierze z kompanii, które szły na czele pochodu, niewątpliwie już tam dotarli i wiadomo, wszyscy hurmem pognali do wody. Jak najszybciej, jak więzień, któremu niespodzianie pozwolono opuścić więzienne mury.

Tak, to żadna fatamorgana. Naprawdę doszli do Nilu. André zebrał wodze i zmusił ledwie żywego konia, by pogalopował z powrotem do szwadronu, do żołnierzy, którzy powinni jak najszybciej usłyszeć, że jest rzeka, a więc przeżyją.

- Nie wolno pić tak łapczywie - powiedział Ashar, podjeżdżając do André. - Nie wolno tego robić, bo można umrzeć.

André zaśmiał się niewesoło.

- Może niektórzy tego właśnie chcą!

- Naprawdę nie żartuję. Po tylu dniach pragnienia ciało nie wytrzyma, jeśli człowiek od razu wleje w siebie wiadro wody! Trzeba pić powoli, małymi łykami, bo inaczej będzie źle. Widziałem to na własne oczy.

Minę Ashar miał bardzo poważną, na pewno więc nie żartował, dlatego André miał nowe zadanie do wykonania, niewątpliwie bardzo trudne. Powstrzymać od opijania się wodą tysiące żołnierzy, którzy właśnie to robili z rozkoszą.

- Do diabła! Natychmiast przestać pić! Natychmiast! Zrozumiano?!

Tego głośnego rozkazu nie wydał André, tylko ktoś, kto stał za nim. Naturalnie odwrócił się, spojrział na tego kogoś i zeszytniał. Bo nie mógł się mylić. Generał Murat. Spiął konia i pogalopował brzegiem rzeki, niestannie wykrzykując:

- Przestać pić! To rozkaz!

## W cieniu gilotyny

André, kiedy patrzył, jak rozjuszony generał galopuje wokół żołnierzy, którzy od wody oddaleni byli już tylko o kilka kroków, czuł, że to nie skończy się dobrze. Na pewno nie.

– Nie pić! To rozkaz! – ryczał Murat, głośniejszy niż setki żołnierzy pluszczących się już w Nilu. Może i nie słyszeli go, albo i nie chcieli słyszeć.

– Czekamy, chłopcy! – rozkazał André swoim żołnierzom, którzy na szczęście nie ruszali się z miejsca. – Zaraz się napijecie, ale musimy poczekać cierpliwie.

Mówił, nie odrywając oczu od Murata, który zdecydowanym ruchem wyciągnął z kabury pistolet i wycelował. Najpierw strzał, potem plusk i znajomy zapach spalonego prochu. Kula trafiła w żołnierza, który klęcząc nad wodą, nabierał wodę z Nilu rękoma i wlewał do ust. Jego ciało, ze strużką krwi na plecach, z głośnym pluskiem wpadło do wody. Zginął więc nagle, w Egipcie na brzegu Nilu, ale nie była to śmierć bohatera.

Pozostali żołnierze natychmiast przestali raczyć się wodą i spojrzeli tam, skąd padł strzał.

– Następnym, który będzie pił bez pozwolenia dowódcy, zostanie postawiony przed plutonem egzekucyjnym! – zawołał Murat. – Jesteście żołnierzami Armii Francuskiej, a nie dzikimi bestiami, którymi rządzi tylko instynkt. Albo wykażecie się umiarem, albo sami doprowadzicie się do śmierci.

Żołnierze zaczęli odsuwać się od rzeki, zbijając się w małe grupki, a w ich spojrzeniach były strach i gniew. André ze swoimi ludźmi nadal stał z boku. Była to grupa zdyscyplinowana, wyróżniająca się na tle chaosu panującego nad rzeką.

– Oficerowie, pilnujcie ludzi, kiedy będą napełniać bukłaki i manierki. I pochowajcie tego głupca – powiedział na koniec Murat i nawet nie spojrzawszy na swoją ofiarę, spiął konia i odjechał.

Zapatrzony w rzekę Ashar stał obok André. Odezwwał się cichym, pełnym powagi głosem:

– Już to kiedyś widziałem.

Kiedy kolumna przegrupowała się i podjęła marsz, który zdawał się nigdy nie mieć końca, szli wzdłuż wijącego się jak wąż Nilu. Żołnierze byli o wiele spokojniejsi, bo zaspokoili pragnienie, poza tym woda, czyli Nil, była przez cały czas w zasięgu wzroku. Maszerowali na południe. Po drodze po raz pierwszy mieli możliwość zobaczyć Egipcjan i ich wioski. Ludzie ubrani byli bardzo skromnie w długie luźne bawełniane koszule i sandały, w których na pewno łatwiej było im tu chodzić niż w ciężkich żołnierskich butach. Wszyscy mieli wielkie czarne oczy i wszyscy popatrywali na przechodzących żołnierzy z wielką ciekawością. Czasami rozbrykane dzieci, wszystkie na bosaka, podbiegały do kolumny, coś tam mówiły w tym swoim niezrozumiałym języku, potem biegnęły obok żołnierzy w tych dziwnych mundurach, starając się dotrzymać im kroku.

Pewnego dnia, wczesnym rankiem, zaczęli napotykać zwarte grupy Egipcjan zmierzających w przeciwnym kierunku niż oni, a nad samym Nilem widać było obozowiska, gdzie koczowały całe rodziny. W jednym z nich André zauważył kilkoro dzieci bawiących się w pojedynkę na

## W cieniu gilotyny

szable, którymi były trójkanciaste lodygi papirusu.

- Ashar, co to za ludzie? Dokąd idą?

- Przed siebie. Uciekają przed mamelukami. Boją się ich bardziej niż Francuzów.

Kiedy kolumna zatrzymała się, by żołnierze nabrali wody, André i Ashar po napełnieniu swoich manierek siedli sobie na brzegu, czekając na rozkaz wymarszu.

- Ashar, opowiedz mi o mamelukach.

- Mamelucy... Oni są jak pustynia. Żarliwi, nieustępliwi. Nie potrafią wybaczać.

- A jak im udaje się przeżyć na tej pustyni?

- Pustynia jest po prostu ich domem. Niektórzy mamelucy, owszem, mają domy w mieście. Wielkie domy, po prostu pałace, w których są kobiety nadzwyczajnej urody... - Ashar, prawie rozmarzony, westchnął i spojrzął na ciągnące się w nieskończoność wydmy. - Ale to są nomadzi. Całe życie na koniu. Przenoszą się z miejsca na miejsce, a kobiety i dzieci podążają za nimi.

André zerwał trzcinę i cienką lodygę związał w kokardę.

- A tych mameluków jest dużo?

- Tak. Niezliczona ilość.

André cicho gwizdnął. Austriacy i Prusacy byli bardzo groźnymi wrogami, ale przynajmniej dobrze znanymi, a ich taktyka i broń były takie same, jak u Francuzów. Natomiast jeśli chodzi o mameluków, to w całej armii nie było nikogo, kto by o nich cokolwiek wiedział. Oprócz Ashara oczywiście. Tak. Bo to całkiem inny świat...

André zerknął na niego. Ashar też... Niby przyjaciel, niby bliski, a szczerze mówiąc, wcale go tak dobrze nie znał.

- Mamelucy są dumni - mówił dalej Ashar. - A dlaczego mają nie być? Kiedyś niewolnicy Egipcjan i stąd się tu wzięli. Po kilkudziesięciu latach zawiadnęli Egiptem, a teraz mają przed sobą nowego wroga, którego trzeba wyrznąć.

- Czy jesteśmy już blisko ich terytorium?

Ashar rozłożył szeroko ręce, jakby chciał objąć całą pustynię.

- To wszystko jest ich terytorium, przyjacielu.

André pokiwał głową i pomyślał chwilę.

- Powiem ci jedno. Służyłem pod rozkazami wielu generałów. Niektórzy z nich byli naprawdę wielcy, inni nie. Ale takiego jak Bonaparte nigdy dotąd nie spotkałem. On nie boi się niczego i nikomu nie ulegnie. Prowadzi armię nieprawdopodobnie szybko. A ci, którzy byli z nim razem we Włoszech, to po prostu... - André mimo woli zaśmiał się. I zerwał sobie kępkę rzecznej trawy. - Po prostu czczą go jak boga. Nie wiem, jak to wszystko się skończy, ale czasami sobie myślę - i właściwie w to wierzę - że dopóki prowadzi nas Napoleon Bonaparte, będziemy odnosić zwycięstwa.

Przez chwilę patrzyli sobie w oczy, potem Ashar znów spojrzął na rzekę. Podniósł z ziemi kamyk i rzucił go w wodę.

Cichy plusk, potem ciche słowa:

- Wszystko w rękach Allaha. I pustyni.



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Giza

Egipt

Lipiec 1798 r.

Po dwóch tygodniach marszu wśród żołnierzy wyczuwało się podekscytowanie, a tego wieczoru rozeszła się przekazywana szeptem wieść, że są już niedaleko Gizy, miasta piramid na lewym brzegu Nilu, a po drugiej stronie rzeki jest Kair.

Ashar, prawdziwa skarbnica wiedzy o egipskich tradycjach i wierzeniach, był najbardziej pożądanym człowiekiem przy wieczornym ognisku, gdzie raczył swoich towarzyszy broni najrozmaitszymi opowieściami. Między innymi o życiu po śmierci, kiedy to, zgodnie z wierzeniami starożytnych, dusza zmarłego człowieka przekracza rzekę, by połączyć się z nieśmiertelnymi.

Tego wieczoru André, tak jak wszyscy, siedział zasłuchany w opowieść o wielkiej rzeźbie z kamienia niedaleko piramid, o ogromnym lwie z ludzką głową. Nazywa się Sfinks i pilnuje grobów starożytnych władców, żeby nikt nie ważył się ich ograbić.

– Majorze Valière!

André poderwał głowę i zauważył podążającego przez obóz oficera dyżurnego kawalerii.

– Tu jestem! – zawołał, zrywając się na równe nogi.

– Majorze Valière, generał zarekomendował was do uczestniczenia w odprawie u naczelnego dowódcy generała Bonaparte.

– Który z generałów mnie zarekomendował?

– Generał Dumas.

Wśród oficerów zebranych na odprawę w namiocie generała Bonaparte André rozpoznał tylko dwóch, Dumasa i Murata. A zebrało się tych oficerów niemało, bo trzydziestu dowódców z różnych dywizji, a za nimi karni i wyprężeni adiutanci. Generał Bonaparte siedział przy biurku zasłanym mapami, listami i raportami z poszczególnych oddziałów. Generał w okularach, bo zajęty czytaniem jednego z dokumentów. Po chwili skończył, zdjął okulary i natychmiast w namiocie, w którym do tej chwili słychać było szmer rozmów, zapadła cisza.

A generał przemówił:

– Obywatelu Fourier! O ile pamiętam, to wyście kiedyś mówili mi o jakimś geniuszu matematycznym, który zbudował tę olbrzymią piramidę, która jest nie tak daleko stąd.

Obywatel Fourier natychmiast wysunął się do przodu. Nie miał na sobie wojskowego mundur, a więc musiał być jednym z uczonych, których Napoleon wybrał spośród setki innych, by podążali razem z wojskiem. Ich zadaniem było zbadać i opisać to, co Francuzi znajdują w tym owianym legendami pustynnym królestwie.

## W cieniu gilotyny

Obywatel Fourier, zanim przemówił, głośno odchrząknął.

– Tak jest, generale. Napisałem o tym, bo starożytni posiadali już sporą wiedzę o geometrii. O proporcjach, o trójkątach...

Bonaparte uśmiechnął się.

– Czym większość z nas może też się pochwalić!

Kilku oficerów naturalnie też się zaśmiało, a Bonaparte spoważniał.

– Obywatelu Fourier, opowiadaliście mi chyba, jak wyglądała ta piramida na samym początku, kiedy została wybudowana.

– Tak. Była wtedy pokryta szczerlnie polerowanymi blokami białego wapienia, lśniącymi jak drogie kamienie. Wyglądała jak gigantyczne lustro, w którym odbijało się światło dnia, i dlatego była widoczna z tamtej strony, z nieba. Była jak gwiazda świecąca nie na niebie, lecz na ziemi.

– I ta świecąca gwiazda jutro należeć będzie do nas! – Bonaparte wstał zza biurka, zrobił kilka kroków i spojrzął na zebranych roziskrzonym wzrokiem. – Żołnierze! Rodacy moi! Jesteśmy w przededniu bitwy, która dla przyszłych pokoleń stanie się bitwą na miarę tych, jakie stoczyli Aleksander Wielki, Juliusz Cezar i Ramzes Wielki. Przepłynęliśmy przez morze Cesarstwa Rzymskiego i przemierzaliśmy piaski Afryki, by zmierzyć się z wielkim przeciwnikiem o starożytnych korzeniach. Jesteśmy tu nie tylko po to, by służyć sprawie Francji, sprawie naszej republiki. Przybyliśmy tu ku chwale wszystkich cywilizowanych narodów!

Generał zawiesił głos, niewątpliwie po to, by jego słowa zapadły słuchaczom w pamięć. A w namiocie panowała teraz cisza jak makiem zasiał i oczy wszystkich, w tym i oczy André, zwrócone były na młodego wodza.

– Nasi przodkowie od stuleci parli na wschód, bo tam podążają wszyscy wielcy ludzie. Wielkich czynów bowiem dokonują ci, którzy nie boją się dokonać tego, czego inni się lękają. Ruszyć na krainę zdawałoby się nie do zdobycia. Jak wy, którzy niebawem razem ze swoimi żołnierzami zapiszecie się na kartach historii. A teraz nadeszła pora zastanowić się, jak osiągniemy swój cel.

Naczelný dowódca jeszcze raz przemknął wzrokiem po twarzach otaczających go mężczyzn i chyba zadowolony z wrażenia, jakie wywarły jego słowa, zasiadł znów za biurkiem.

– Generał Kléber przekazał mi, że nasza flota nadal stoi zakotwiczona nieopodal zatoki Abukir. Kilka statków z dostawami pod komendą kapitana Perrée płynie w górę Nilu, a ponieważ nic nie wskazuje na to, że nadciągają Anglicy z tym ich siejącym postrach Nelsonem, statki powinny być tu już jutro, co uspokoi naszych żołnierzy, ponieważ zaopatrzenie ulegnie poprawie. Tak... – Generał zamilkł na chwilę, ponownie przemycając spojrzeniem po twarzach zebranych. – Generale Dumas! Macie taką minę, jakbyście zobaczyli ducha. Czyżby jakaś mumia z tych ich grobowców tak was wystraszyła?

Kilku oficerów zaśmiało się, a zakłopotany Dumas przestąpił z nogi na nogę.

– Pustynne dzikusy swojego nie ruszą – mruknął złośliwie Murat.

Jednak Dumas nie zwrócił na to uwagi, nadal wpatrzony w naczelnego dowódcę.

## W cieniu gilotyny

– To nie zmarli mnie niepokoją – powiedział, robiąc jeden ostrożny krok do przodu. – Z całym szacunkiem dla was, generale, dla naszego naczelnego dowódcy, ale... Ale obawiam się, że nasi ludzie, o koniach nie wspominając, nie są przygotowani do walki w takich warunkach.

W namiocie zapadła cisza. Wszyscy zeszytnieli, a generał Dumas mówił dalej przyciszonym głosem. Tak, mówił. André nie wierzył własnym uszom. Bo jednak było to niepojęte, że generał zdobył się na taką śmiałość:

– Nasz wróg czai się na naszych flankach. Uderza tam, gdzie jesteśmy słabi i bezbronni, po czym ucieka na pustynię, czyli tam, gdzie nasi żołnierze nie chcą iść. Nasze linie zaopatrzenia z każdym dniem coraz trudniej uchronić przed wrogiem, a zapasy wody prawie już się wyczerpały. Nasi żołnierze maszerowali przez wiele tygodni, nie dostając chleba, a ci, którzy zabrali jedzenie z arabskiej wioski, zostali zastrzeleni. Tak nie powinno być. Może należałoby wysłać do Kairu emisariuszy...

– Dziękuję wam! – Bonaparte podniósł rękę, nakazując milczenie podwładnemu górującemu nad nim wzrostem. – I nie po raz pierwszy przypominam wam, że strategia nie wchodzi w zakres waszych obowiązków. Zostawcie to mnie.

Ale Dumas nie zamierzał zamilknąć:

– Panie generale, moi żołnierze są w bardzo złej kondycji i z każdym dniem jest coraz gorzej. A przecież wcale tak nie musi być. Dlatego stanowczo nalegam...

– Wystarczy!

Bonaparte z purpurową twarzą uderzył pięścią w stół, a wyprężony Dumas ani drgnął. André też stężał. Bo kto wie, czym to się skończy. Po krótkiej, pełnej napięcia chwili Bonaparte spojrzął na zebranych i skinął głową.

– Dziękuję, panowie. To byłoby wszystko. A wy, generale Dumas, zostańcie.

Oficerowie opuścili namiot rączym krokiem, nie osmielając się powiedzieć choćby słowa, nawet wtedy, gdy byli już na dworze owiani wieczornym chłodem. Kiedy André ruszył w stronę swojej kwatery, słyszał podniesione głosy dobiegające z namiotu dowództwa. Był pełen podziwu dla generała Dumasa, który wstawiając się za swoimi żołnierzami, wykazał się wielką odwagą, ale niestety wiadomo było, że i tak nic nie wskóra.

Kiedy usłyszał za sobą czyjeś kroki, odwrócił się i spojrzął w ciemność.

– Kto idzie?

Ten ktoś po sekundzie był już widoczny. Znajoma postać, znajomy głos.

– A... To wy, Valière.

Murat. Po incydencie nad Nilem, kiedy Murat zastrzelił żołnierza, André widywał Murata, ale tylko z daleka. Teraz był tylko o dwa kroki dalej, więc świerzbila go ręka, by wyciągnąć szablę. Naturalnie opanował się i zrobiwszy głęboki wdech, powitał uprzejmie swego prześladowcę.

– Dobry wieczór, generale Murat.

Stanęli naprzeciwko siebie i zmierzli się wzrokiem.

– A więc jesteście już majorem i ucztniczycie w odprawie u naczelnego dowódcy. Cóż... Wy, zdaje się, lubicie być w oku cyklonu.

André zmusił się do czegoś, co miało być uśmiechem.

## W cieniu gilotyny

- Cóż... Jestem tutaj! Mimo że zostałem zadenuncjowany, byłem więziony i straciłem najbliższych.

- Tak... Muszę przyznać, że w jakimś stopniu prawie was podziwiam - wycodził Murat, pocierając ręką swoją szablę. - Niełatwo was złamać.

André milczał, bo nie chciał drażnić swego prześladowcy w przeddzień wielkiej bitwy. Nie odzywał się, stojąc o krok od człowieka, który odebrał mu wszystko. Tylko przez głowę przemknęła myśl, że właściwie to najlepiej by było, gdyby podczas tej bitwy któryś z nich zginął. I po kłopotcie.

Murat przestąpił z nogi na nogę i przemknął spojrzeniem po spowitej w mrok bezkresnej pustyni.

- Myślisz, że nienawidzę ciebie, bo kochasz moją małą Sophie.

Po raz pierwszy, odkąd się poznali, Murat wymienił imię kobiety, która dla nich obu znaczyła bardzo wiele. Która kochała André i dlatego teraz poczuł, jak krew w nim się burzy.

Wyprostował się i skrzyżował ramiona na piersi.

- Prawdę mówiąc, generale, to nie wiem, dlaczego mnie nienawidzicie.

Wtedy Murat, wbijając w niego ten swój stalowy, a teraz płonący wzrok, wyszczał:

- Nie pozwolę, by kolejny Valière zabrał mi kogoś, kogo kocham. Tamto nigdy się nie powtórzy. Nigdy.

Zabrzmiało to dobitnie, niemniej nie wyjaśniało całej rzeczy do końca.

André spojrział w bok, a w głowie miał gonitwę myśli. Murat oskarża go o odebranie mu kogoś, kogo kocha. A więc jak to...

I nagle przed jego oczami stanęli ci, których on kochał. Ojciec, arystokrata w każdym calu. Dystyngowany, powściągliwy. Siedzi w swoim gabinecie i czyta. Matka przechadza się z synkami po sadzie. Śmieje się radośnie, a ptaki jej wtórują, wyśpiewując poranne trele. Remy zawsze uśmiechnięty, z tym błyskiem w oku, kiedy po raz kolejny wydobywa się z tarapatów. Jean-Luc... Prawdziwy i wierny przyjaciel, pełen powagi i niezłomny, choć cały jego świat się zawalił.

I Sophie. Tak. Zawsze obecna w jego myślach. Nie miał pojęcia, gdzie teraz jest, jak daje sobie radę w tym oszalałym świecie. Wiedział tylko, że jeśli żyje, to on wróci do niej. Pokona wszystkie przeszkody i wróci do jedynej bliskiej istoty, jaka mu pozostała.

Murat podszedł jeszcze bliżej. Jego twarz oddalona była o kilka cali zaledwie.

- Czy wy wiecie, co zrobił wasz ojciec? Co zrobił ten starzec?

André nie zdążył niczego wyjąkać, bo raptem pojawił się jeszcze ktoś.

- Coś się stało? - spytał wyraźnie zaniepokojony generał Dumas.

- Nie twoja sprawa - wymamrotał Murat.

Dumas w ogóle na niego nie spojrział, patrzył tylko na André.

- Majorze Valière, szukałem was. Pozwolicie na słowo?

- Później - burknął Murat, stając między nimi. - Teraz ja rozmawiam z Valière'em.

- Owszem, zauważyłem, ale musicie to odłożyć na później, ponieważ mam przekazać temu młodemu oficerowi rozkazy od naczelnego dowódcy. Majorze, pozwolicie ze mną.

Murat nie odezwał się, tylko przez chwilę przemykał spojrzeniem po twarzach obu oficerów. Niewątpliwie zastanawiał się, jak zareagować. Bo

## W cieniu gilotyny

jeśli Dumas faktycznie miał przekazać André rozkazy od samego generała Bonaparte, to nawet jemu nie wolno było w tym przeszkodzić. I dlatego, choć tak do końca nie uwierzył generałowi Dumasowi, ustąpił. Wymamrotał coś pod nosem i odszedł w mrok obozu. André naturalnie poczuł wielką ulgę, choć jednocześnie zdawał sobie sprawę, że do następnej rozmowy z Muratem na ten sam temat na pewno dojdzie.

– Tędy proszę.

Dumas poprowadził André do małego płóciennego namiotu na południowym krańcu obozu. Było tam cicho i gorąco. Generał zapalił świeczkę i wskazał André drewniane krzesło, jedyne w tym namiocie, a sam usiadł na łóżku i nalał wody do dwóch szklanek.

– Chciałem, byście posiedzieli ze mną chwilę, Valière. – Wypił swoją wodę duszkiem. – Nie mam żadnych rozkazów od generała Bonaparte, ale pomyślałem, że może trzeba was jakoś wesprzeć. Bo generał Murat potrafi być... naprawdę niełatwym człowiekiem.

André pokiwał głową, też wypił do dna, odstawił szklankę na stół i potrząsnął głową. Bo w głowie tej, po krótkiej, ale jakże znamiennej rozmowie z Muratem, miał zamęt.

– Dziękuję, generale. I dziękuję za wodę, ale chyba już sobie pójdę. Nie chciałbym wam przeszkadzać...

– Nie, nie! Zostańcie! – powiedział Dumas, podnosząc rękę. – Powiedźcie szczerze, czy dobrze zrobiłem?

– Przepraszam, ale...

– Czy dobrze zrobiłem, przerywając waszą rozmowę z Nic... generałem Muratem.

André zastanowił się przez chwilę.

– Prawdę mówiąc, to nie wiem. Bo nie wiem, czego właściwie chciał ode mnie generał Murat.

– Cóż... Ja powiem tylko to, co zapewne nie będzie dla was zaskoczeniem. Faworytem generała Murata na pewno nie jesteście.

– Nie, nie jestem. I wyznam szczerze. Tak, zakochałem się w jego siostrzenicy. Ale czy to powód, żeby darzyć mnie taką nienawiścią? Bo czuję, że generał Murat nienawidzi mnie od samego początku, kiedy po raz pierwszy spotkał się pod Valmy. A może nienawidził mnie już wcześniej. Wiem, że to brzmi trochę dziwnie, ale...

– Wcale nie – mruknął Dumas, napełniając znów wodą obie szklanki. – Moim zdaniem macie rację. On musi was nienawidzić od chwili, gdy przyszliście na świat. A może nawet i dłużej.

– Tak? Ale co ja takiego zrobiłem? Co?

Dumas wypił potężny łyk i oblizal wargi.

– Nicolai Murat nienawidzi was, ponieważ jesteście synem Alexandre'a, markiza de Valière.

Jak obuchem w głowę. André nie odezwał się ani słowem, a Dumas mówił dalej:

– Może przypomnieć sobie, że wspomniałem wam o moim pochodzeniu. Moi rodzice to francuski arystokrata i Haitanka.

– Tak, pamiętam.

Oczywiście, że zachował w pamięci ich pierwsze spotkanie w celi pod pokładem statku gdzieś na środku Morza Śródziemnego.

A Dumas, sądząc po jego jakby nieobecny spojrzaniu, myślał

## W cieniu gilotyny

przeniósł się gdzie indziej. W przeszłość, która stała mu przed oczami.

– Mój ojciec miał tytuł i był wystarczająco bogaty, by wprowadzić mnie do wyższych sfer, dzięki czemu nawiązałem wiele znajomości i przyjaźni w różnych kręgach towarzyskich. Wielu z tych znanych mi arystokratów albo uciekło z kraju, albo pozbawiono ich głowy. Niektórzy jednak są tu do dziś, cali i zdrowi. A poza tym poznałem paru, którzy znali waszego ojca z dworu królewskiego albo z Brienne.

– Brienne... – powtórzył André bezwiednie. Brienne, a więc wiadomo. Szkoła wojskowa, do której uczęszczał André, a przedtem jego ojciec.

– Tak, Brienne. Miejsce, gdzie kształcą najlepszych oficerów. Ja niestety nie dostałem tego zaszczytu. Po prostu wstąpiłem do wojska i wspinałem się po kolejnych szczeblach, ale w głębi duszy nadal jestem kapralem, mimo generalskiego mundurku! Ale żarty na bok. A więc, wracając do moich znajomości. Między innymi poznałem Murata oraz kogoś, kto cieszył się opinią wyjątkowo obiecującego absolwenta akademii. Ten ktoś nazywał się Alexandre de Valière. Obaj uczyli się w akademii w tym samym czasie.

Dla André był to już jakiś trop. Czyżby Murat miał uraz do jego ojca pochodzący z tamtych właśnie lat? Uraz tak wielki, że mści się na synu?

Nie, bo Dumas przedstawił to całkiem inaczej:

– Ale powodem animozji między nimi nie były jakieś przykre wydarzenia z tamtych lat w Brienne. Chodziło o coś innego. Valière, jak wiadomo, to stary arystokratyczny ród, w rękach którego od czasów normańskich są rozległe ziemie w północnej Francji.

André pokiwał głową, świadomy, że rozmowa schodzi na niebezpieczne tory, które mogą nawet zagrażać życiu. Ale nie miał najmniejszego zamiaru z niej się wycofać, pewien, że to, co sobie powiedzą, zostanie między nimi.

– Rodzina mego ojca to również stary i utytułowany ród – mówił dalej Dumas. – Czego nie można powiedzieć o rodzinie Murata, bo tam tytuł nie był dziedziczny, tylko został kupiony przez ojca Murata.

– Rozumiem... Ale to dziwne, przecież generał Murat nienawidzi arystokracji. – I to bardzo. André nie raz słyszał z jego ust obelgi pod adresem szlachetnie urodzonych, których Murat z zapalem godnym lepszej sprawy przesładował i doprowadzał do skazania.

Dumas nieznaczenie wzruszył ramionami.

– A więc teraz już wiecie, w czym rzecz.

Naturalnie. Nietrudno było to pojąć. Murat z kupionym tytułem nienawidzi ludzi wyższego stanu, którzy tak naprawdę nigdy go nie zaakceptowali.

A Dumas miał coś jeszcze do dodania:

– Ojciec Murata zbił fortunę na handlu z Indiami Zachodnimi. Kupił dużo ziemi na Haiti, w kolonii Saint-Domingue, czyli tam, skąd pochodzę. Handlował głównie kawą, a także trzcina cukrową i tytoniem.

– Znaliście go już wtedy, tyle lat temu?

– Po prostu wiedzieliśmy, kim jest i co robi, wiedzieliśmy też o jego rodzinie. Pamiętam, jak rodzina Muratów popadła w niełaskę. Wszyscy wiedzieli, że musieli sprzedać ziemię i uciekać z wyspy.

– Dlaczego?

– Dlatego, że ojciec generała, kiedy kupił tytuł, zaczął się panoszyć, bo

## W cieniu gilotyny

teraz był przecież *seigneur*. Był wyjątkowo brutalny wobec swoich niewolników, zaczął też bardziej interesować się rumem i kobietami niż zbiorami. Zaniedbywano uprawy, interes więc kulał i w rezultacie nie było czego zostawić ambitnemu synowi. Siedział w długach po uszy i skończyłoby się na tym, że i niewolnicy, i wierzyciele ruszyliby na niego. Ale miał szczęście, bo raptem pojawił się pewien młody arystokrata, który kupił całą ziemię, spłacił długi i stary Murat z podwiniętym ogonem czmychnął do Francji. Ów młodzieniec przewyższał go o całe niebo pod względem charakteru, bystrości umysłu i zmysłu kupieckiego. A był to Alexandre de Valière, jego kolega z Brienne.

André milczał. Po prostu zaniemówił z wrażenia. Owszem, wiedział, że ojciec, zanim się ożenił, prowadził jakieś interesy w Nowym Świecie i tam spędził trzy lata. Ale tylko tyle, bo to, co przekazał Dumas, było dla niego nowością.

- Tak więc wasz ojciec, André, miał czelność uratować rodzinę Muratów przed całkowitą ruiną!

- Nie rozumiem. To dlatego generał Murat nienawidził mego ojca, a teraz gardzi mną? Niepojęte! Przecież powinien być wdzięczny memu ojcu.

- Wdzięczny? Przede wszystkim mu zazdrościł. I wcale nie było mu przyjemnie, że kolega z akademii uratował jego ojca. Młody, bogaty, utytułowany człowiek o nieskazitelnym charakterze, podczas gdy on, jeśli chodzi o rodzinę, to naprawdę nie miał się czym pochwalić. Ale to, co najgorsze, wydarzyło się potem, po kilku latach.

- Tak? A co się stało?

Dumas, teraz pośepny, nachylił się do niego i zniżył głos.

- Byłem już wtedy w Paryżu, kiedy usłyszałem o niej. O pięknej, ciemnowłosej córce księcia de Blois. Była nieskończenie piękna, tak jak nieskończenie bogaty był jej ojciec, Christine de Polignac.

Serce André omal nie wyskoczyło z piersi.

- Moja matka!

- Tak. Wasza matka. Zakochała się w waszym ojcu zaraz po jego powrocie z Indii Zachodnich. A wrócił ze spaloną słońcem twarzą i z sakiwką napeczniałą od bogactwa zdobytego w Nowym Świecie. Tę piękną parę podziwiał cały Paryż. Sam król udzielił im swego błogosławieństwa podczas zaręczyn, a wielu młodych mężczyzn zazdrościło waszemu ojcu pięknej Christine. A najbardziej ten, który miał nadzieję, że to on zostanie jej mężem.

- Generał Murat.

- Tak. I teraz już wiecie, skąd się wzięło to nastawienie generała Murata do waszej rodziny. Bo wasz ojciec zabrał mu wszystko. Ziemię, która powinna przecież przejść z ojca na syna, i kobietę, którą kochał. A wy jesteście owocem tego małżeństwa. Christine de Polignac urodziła dwóch synów, ale ojcem nie był Nicolai Murat, a tego nie może ci wybaczyć.

Przez dłuższą chwilę milczeli. André wypił kolejną szklanekę wody. W głowie miał zamęt. Prawdziwe kłębowisko myśli, ale przynajmniej teraz już wiedział.

Ciszę przerwał Dumas.

- Bądźcie ostrożni, Valière. Nie wolno wam nigdy zapomnieć o tym, co ten człowiek do was czuje... A... I oczywiście, jutro bądźcie nadzwyczaj

## W cieniu gilotyny

ostrożni.

Jutro? André, jeszcze oszołomiony, zamrugał oczami. Ależ tak! Przecież jutro jest bitwa, powinien więc iść już do siebie i postarać się te kilka godzin, jakie jeszcze zostały, wykorzystać na odpoczynek.

– Oczywiście – powiedział, wstając z krzesła. – Jutro przecież stajemy do walki. A ja prawie o tym zapomniałem.

Dumas pokiwał głową i również wstał, zasłaniając rosłą postaćą wejście do namiotu.

– Valière... – szepnął. – Jutro będzie chaos. Nasi ludzie na pewno rozproszą się i będą uciekać. A strzelać będą ze wszystkich stron. Bonaparte to wielki umysł, zna się na wojnie jak mało kto, ale to, co chce teraz osiągnąć, to po prostu niepojęte – Dumas machnął ręką. – Na pewno popełnimy mnóstwo błędów, a w tym chaosie można wiele zrobić. Można dopuścić się zbrodni, a uznane to będzie za błąd. Tak, tego nie można wykluczyć, dlatego bądźcie bardzo czujni wobec nadciągającego wroga. Ale patrzcie nie tylko przed siebie, także za siebie, bo tam też ktoś może na was się zasadzić.



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

### Paryż

Lipiec 1798 r.

Ktoś zapukał do drzwi.

– Proszę! – zawołał Jean-Luc i ten ktoś uchylił drzwi, pokazując swoją twarz. Chudą, przybrudzoną twarz czternastolatka, jednego z synów pani Grocque.

– List do was, panie – powiedział, podnosząc rękę z przesyłką, ale nie głowę.

– Dziękuję – odparł Jean-Luc, jakoś wcale nie czując radości, że ktoś do niego napisał. Może dlatego, że przed chwilą wrócił z pracy i był zmęczony. Przełamał woskową pieczęć, rozłożył list, a kiedy spojrział na równe rzędy liter – charakter pisma dobrze znany – brak radości zastąpił niemily dreszcz.

*Obywatelu St. Clair,*

*mój stary przyjacielu, jest mi niezmiernie przykro, że muszę podjąć działania, do których mnie zmusiliście. Bardzo chciałbym, żebyśmy nadal żyli w przyjaźni, ale niestety chciałbym też odejść z tego świata, pozostawiając po sobie jakiś ślad. Trwały ślad mojej wieloletniej pracy. Czyż po długim, ciężkim życiu w służbie dla republiki nie jest to moim obowiązkiem?*

*Postanowiłem więc uniemożliwić Sophie de Vincennes i jej ukochanemu markizowi de Valière przekazanie ich arystokratycznej krwi następnym pokoleniom w nowym świecie, jaki stworzyliśmy. Postaram się, by tak się nie stało, a jednocześnie dokonam mistrzowskiego posunięcia, bo cały świat was obarczy winą. Dowie się, że kiepski prawnik St. Clair zakochał się w narzeczonej swego klienta. Bo jak inaczej wytłumaczyć fakt, że przez cały ten czas żyła pod jego dachem? Czy nie jest bardzo podejrzanе także to, że codziennie odwiedzał ją w więzieniu? Wpatrywał się w nią, coś tam jej szeptał, coś obiecywał? Ludzie może nie będą wam mieli tego za złe, każdy przecież ma chwile słabości, a ponadto Sophie jest piękna. Oszałamiająco piękna i nikt nie będzie się temu dziwić, że chcieliście ją mieć. Może zrozumiałby to nawet sam André Valière.*

*Ale jednocześnie będą wami pogardzać, gdy dowiedzą się, że wasze uczucie nie znalazło odzewu. Zostało wyszydzone, uznaliście więc, że nie macie wyboru i musicie ją zabić.*

Podpisu ani adresu autora listu nie było, ale wcale tego nie potrzebował. Przecież wiedział.

– Jean-Luc! Od kogo ten list? – Marie, już w łóżku, przekręciła się na drugi bok. Jęknęła, chwyciła się za bardzo wydatny brzuch, ale dalej wołała: – Jean! Jean-Luc!

Przełknął nerwowo, złożył list i schował do kieszeni, starając się za wszelką cenę zapanować nad dławiącym strachem.

– Od Lazare'a.

– Czego chce ten stary cap?

## W cieniu gilotyny

– Tak dokładnie to nie wiem. Ale chodzi o Sophie.

– Sophie?! – Twarz Marie stężała. – Co z nią? Coś się stało? Coś jej grozi? Teraz?

– Ja...

– Jeśli coś jej zagraża, masz iść do niej. Natychmiast!

Jean-Luc skinął głową, po czym nagle głowę poderwał i zaczął przyglądać się żonie bardzo uważnie. Bo na twarzy Marie widać było niezdrowe rumieńce, a teraz przekreśliła głowę i było oczywiste, że zrobiła to po to, by nie widział, że się skrzywiła.

– Marie! Jak się czujesz?

– Zmęczona...

– Marie! – Przykląkł przy żonie i wziął ją za rękę. – Może już pora?

Oparła się na łokciach. Gęste wijące się włosy przyklejone do spoconego karku i policzków wyglądały jak dzikie wino.

– Nie sądzę. Nie, jeszcze nie. Czasami zdarza się, właśnie przy drugim dziecku, że wydaje się, że to już, a wcale tak nie jest.

– Jesteś pewna, Marie? Może sprowadzę akuszerkę.

Uśmiechnęła się i wokół pięknych, ciemnych oczu pojawiły się drobniutkie zmarszczki, które Jean-Luc uwielbiał. A uśmiechnięta Marie wyglądała tak promiennie, jakby gdzieś tam w niej, w środku, zapalało się magiczne światło.

– Wszystko dobrze, Jean-Luc. To był tylko przelotny skurcz. Było, minęło.

Mimo to wcale nie był taki skory do pozostawienia żony samej.

– Powinienem zostać. Szczerze mówiąc, to nie bardzo wiem, o co mu chodzi. Najpewniej są to tylko jakieś czcze pogróżki. Lazare już taki jest... Nie, nie powinienem wychodzić z domu.

– Powinieneś! Masz iść i basta! – oświadczyła Marie, potrząsając głową.

– Oboje dobrze wiemy, że jego pogróżki nigdy nie są czcze! Idź tam. Trzeba pomóc Sophie, przecież oprócz nas nie ma nikogo.

Jean-Luc ucałował spoconą dłoń żony.

– Dobrze. Postaram się wrócić jak najprędzej. Jesteś pewna, że nie powinienem najpierw pójść po akuszerkę?

– Nie, nie. Idź już. Im prędzej wyjdiesz, tym szybciej wrócisz.

Jean-Luc jeszcze raz podniósł dłoń żony do ust i ucałował.

– Podziwiam cię, Marie. Masz w sobie tyle siły. Nie mam co się z tobą równać.

– Dzięki matce naturze w tej szczególnej sytuacji my, kobiety, na pewno jesteśmy silniejsze od mężczyzn. Ale idź już! Uściskaj ode mnie Sophie i powiedz, że bardzo chcę, by już wróciła do nas. Nie ukrywam, że liczę na to, że pomoże mi przy maleństwie.

– Jeszcze jeden powód, by walczyć o jej uwolnienie – powiedział Jean-Luc i wstał z kolan, cały czas wpatrując się w żonę. – Pytam po raz ostatni. Może jednak iść po akuszerkę?

– A ja po raz ostatni odpowiadam, że nie ma takiej potrzeby.

Jean-Luc westchnął.

– W takim razie poproszę panią Grocque, by tu zajrzała. I postaram się wrócić jak najprędzej. Sądzę, że za godzinę będę już z powrotem.

– Dobrze, dobrze. Idź już, bo chcę chwilę odpocząć. – Posłała mężowi kolejny promienny uśmiech i przymknęła oczy.

## W cieniu gilotyny

– Muszę zobaczyć się z Sophie de Vincennes – wydyszał Jean-Luc. – Natychmiast!

– Proszę, uspokójcie się, obywatelu! – Młody, nieznany Jean-Lucowi strażnik spojrzął na niego karcąco. – Wszystko musi odbyć się zgodnie z przepisami.

Wziął do ręki listę więźniarek, za które był odpowiedzialny, i nucąc coś pod nosem, zaczął przebiegać po niej oczami.

– Moje nazwisko St. Clair! – powiedział Jean-Luc podniesionym głosem, bo zirytowały go niepotrzebne formalności. – Jestem prawnikiem i muszę porozmawiać z moją klientką, Sophie de Vincennes.

– Zaraz, chwileczkę – powiedział strażnik, wpatrując się w listę wyraźnie czymś zaskoczony.

– Posłuchajcie mnie. Jestem tu codziennie. Wiem, która to cela, i mogę sam tam iść!

Jean-Luc odwrócił się na pięcie, gotów już iść w stronę długiego, oświetlonego świecami korytarza, który miał zaprowadzić go do Sophie. Ale nie ruszył się z miejsca, bo powstrzymała go ręka strażnika.

I słowa.

– Obywatelki de Vincennes nie ma w tej celi.

– Jak to nie ma! W takim razie gdzie jest?

Strażnik, zanim udzielił odpowiedzi, podrapał się w głowę, co dla Jean-Luca trwało całe wieki.

– Z tego, co tu napisali, wynika, że obywatelka de Vincennes dziś po południu została zwolniona.

Jean-Luc, wciąż niedowierzając, spojrzął na listę. I przeczytał to, co powiedział strażnik.

– Ale jak to? Przecież jest moją klientką, powinienem był wiedzieć, że będzie zwolniona. Gdzie teraz jest?

Strażnik wzruszył ramionami.

– Jak powiedziałem, została zwolniona. Jasnowłosa, tak? Bardzo ładna? Wyszła stąd sama. Tak, na pewno, i jakoś wcale nie wyglądała na szczęśliwą. Cekał na nią powóz, duży, kryty powóz, z którego wysiadł jakiś mężczyzna. Bardzo uprzejmy, choć wyglądał trochę dziwnie. Te jego włosy. Pomarańczowe! A nazwisko, jakie podał... Zaraz... Coś jak Marnioc, albo Merillac...

Jean-Luc przywarł do wilgotnej więziennej ściany, bo na moment opuściły go siły. Przed oczyma miał ten dziwny list, schowany teraz w kieszeni.

– Merignac.

– Tak, tak! – Strażnik skwapliwie pokiwał głową i zadowolony, że sprawa się wyjaśniła, usiadł i wsadził nos w swoje papiery.

Jean-Luc zadowolony nie był. Przeciwnie. Czuł, jak serce podchodzi mu do gardła. Bo było za późno. Lazare już ją dopadł.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Giza

Egipt

Lipiec 1798 r.

O świcie żołnierze wymaszerowali z obozu w Warraq al-Hadar i ruszyli na południe wzdłuż rzeki. Było jeszcze ciemno, a niebieski rajtrok wcale nie chronił przed zimnem. André prawie dygotał, a żołnierze, wymęczeni, zziębnięci, narzekali głośno, spoglądając na obozowe ogniska, niknące za nimi w oddali. Wiedzieli już przecież, że im zimniej będzie teraz, tym goręcej, kiedy słońce ukaże się na horyzoncie.

Maszerowali wiele godzin, zatrzymując się tylko raz na śniadanie, kiedy było jeszcze ciemno, a gdy nadszedł świt, André zobaczył po lewej stronie Nil. W miarę jak szli, był coraz szerszy, coraz potężniejszy i szybszy. Konie, czując wodę, zaczęły rzeć i nawet bardzo posłuszny wałach André zaczął rzucać łbem. A André, pozbywszy się już resztek senności, stał się nadzwyczaj czujny, było przecież prawie pewne, że o świcie może zrobić się bardzo niebezpiecznie.

Kiedy wojska francuskie oddalały się od rozwidlenia rzeki i pierwsze promienie słońca ozłociły jej brzeg, ten, na którym znajdowały się wspaniałe pozostałości po minionych wiekach, André poprawił się w siodle i przemknął spojrzeniem po twarzach żołnierzy, wyławiając wzrokiem Ashara, który jechał łeb w łeb z jednym z dragonów. Zajęci byli rozmową, ale Ashar zauważył, że André popatruje na niego. Pomachał ręką, a André swoją ręką dał mu znak, by podjechał na czoło pochodu.

– Zawsze pojawiaasz się, mój przyjacielu, gdy ciebie potrzebuję. Powiedz mi, co nas czeka dzisiaj, co ujrzymy?

Egipcjanin zwrócił ku niemu śniadą twarz, teraz ozłoconą blaskiem porannego słońca.

– Giza to święte miejsce, majorze. Chwała Bogu, że waszym generalom udało się dojść aż tutaj. A teraz... – Ashar, przymknąwszy oczy, nabrał powietrza głęboko w płuca. – Teraz nie pozostaje nam nic innego, jak tylko czekać, jakież to los z woli Boga przypadnie nam w udziale.

– Czy naprawdę są takie imponujące? Te mauzolea? – spytał André, nadal nastawiony jednak sceptycznie. Wszyscy nie mogli się doczekać, kiedy wreszcie zobaczą te piramidy, a przecież Paryż też ma się czym pochwalić. Ma Panteon, też olbrzymie mauzoleum, poza tym wspaniałe katedry, od stuleci przedmiot zazdrości chrześcijan z innych krajów. I te piramidy niewątpliwie nie są w stanie przyćmić budowli w stolicy Francji.

– Tak, mój przyjacielu. Przekonasz się, kiedy zobaczysz na własne oczy wspaniałości kryjące się w ich grobach.

W tym momencie koń André, wyraźnie czymś wystraszony, zaczął parskać i bić kopytem o ziemię. Poklepał go po szyi, jednocześnie jednak kątem oka zobaczył, co konia wystraszyło. Była to gigantyczna i złocista

## W cieniu gilotyny

od promieni wschodzącego słońca chmura. Ale nie w górze, na niebie, tylko unosząca się tuż nad ziemią.

- Mamelucy! - zawołał Ashar.

André ściągnął wodze i zmrzył oczy, wpatrując się w zbliżający się ogromny tuman kurzu wzniesanego przez niewątpliwie bardzo wielu jeźdźców.

- Na Boga! Ilu ich tam może być?

Żołnierze przycichli. Większość z nich tej nocy nie zmrzyła oka, a o przedświcie, kiedy było jeszcze ciemno, padł rozkaz wymarszu. Z pustymi brzuchami przemierzali kilka mil, po to by zobaczyć to dziwowisko. Jak pustynia sama idzie na nich.

André wyteżył wzrok, starając się za tym sięgającym nieba parawanem z piasku dostrzec człowieka. I dostrzegł całą chmarę jeźdźców.

- Każdy wojownik mamelucki ma służącego, który podczas pochodu niesie jego broń - powiedział Ashar. - Za wojownikiem podąża też kilku muzykantów z tamburynami, wygrywających melodię w rytm stukot kopyt jego konia. Podążają też jego kobiety i dzieci, bo dla mameluka wojna to nie jest któryś z rozdziałów w księdze jego życia. Wojna jest jego życiem.

André spojrział teraz na swoich, na żołnierzy francuskich. Widział, jak zwiadowcy francuscy cwałują do przodu, mijając oddziały na czele pochodu. Piechota nadal parla do przodu, zgodnie z miarowym rytmem werbla okraszonym przeraźliwymi dźwiękami piszczałek. Trójkolorowe chorągwie powiewały dumnie, a ludzie, którzy jeszcze przed chwilą z trudem utrzymywali się na nogach, teraz szli pewnym krokiem, z uniesionymi głowami, bo wstąpił w nich bojowy duch. A może też przeżyli się i ze strachu.

Generał Bonaparte na siwym dzianecie z wyniosłą miną w skupieniu pochyla się nad mapą. Wokół niego generałowie, wśród nich Dumas i Murat, a także adiutanci i strażnicy. W górze nad nimi wielka trójkolorowa chorągiew.

Francuzi nadeszli z północy, więc teraz po lewej stronie mieli Nil, po prawej pustynię. A przed sobą André widział piechotę. Pięć dywizji, które na rozkaz generała Bonaparte formowały się w czworoboki. Potężne dywizyjne czworoboki, ten najnowszy przejaw geniuszu generała. Utworzenie czterech ścian ze zwartych szeregów żołnierzy, ścian najeżonych bagnetami, przez które nie sposób się przedrzeć, bo żaden koń z własnej woli nie nadzieje się na stalowe ostrze. Takie było założenie, a tego dnia miało się okazać, jak wygląda to w praktyce.

Żołnierze ustawiali się więc w czworoboki. Do środka każdego czworoboku wrzucano zapasy amunicji, sprzęt, a w każdym rogu ustawiano armatę, dzięki czemu ów czworobok stawał się małą fortecą, zdolną razić i kulami, i ostrzem bagnetu zawsze, niezależnie od tego, z której strony zaatakuje wróg.

Generał Bonaparte na siwym koniu stanął przed armią. W jednym ręku trzymał wodze, w drugim uniesionym wysoko - bicorn.

- Żołnierze! Wreszcie nadszedł dzień, kiedy nasz wróg zmierzy się z żołnierzami Francji! Pamiętajcie, że czterdzieści wieków patrzy na was z wysokości tych piramid! Za republikę! Za Francję!

André wyteżył wzrok, spoglądając na góry w oddali, u podnóża których

## W cieniu gilotyny

zbierali się mamelucy. Patrzył i nagle uzmysłowił sobie, że to wcale nie góry, tylko gigantyczne budowle o podobnym kształcie. Wznoszące się ku niebu i tak wielkie, że trudno było uwierzyć, że są dziełem człowieka.

- Piramidy!

Tak. Aż krzyknął, wpatrując się w fortece koloru ziemi, w których spoczywały szczątki dawnych władców Egiptu, faraonów od niepamiętnych czasów tam właśnie pogrążonych w wiecznym śnie. W piramidach, które tego dnia będą milczącymi świadkami bitwy na pustyni, podczas której wielu ludzi, podobnie jak ci faraonowie przed wiekami, uda się na wieczny odpoczynek.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Giza

Egipt

Lipiec 1798 r.

W jasnym świetle dnia widać już było dokładnie armię, z jaką mieli się zmierzyć. Z tym murem, który pojawił się na horyzoncie z południowej strony, murem, na który składały się tysiące mameluków na szczupłych arabskich koniach.

Lewa flanka Francuzów chroniona była przez rzekę, na prawej flance tylko rozedrgane powietrze nad gorącym piaskiem pustyni. A za nimi, tak daleko, że prawie niewidoczna, wznosiła się wielka piramida Cheopsa i jej dwie siostry. Dla André zbyt dostojne, zbyt święte, a w tej chwili stały stanowczo nie tam, gdzie powinny, bo nie w miejscu, gdzie niebawem rozpocznie się bitwa i pustynia spłynie krwią.

Szeregi mameluków migotały w oddali. Francuzi mieli trzy kolory: granatowy, czerwony i biały, a oni całą feerię barw. Pancerze wysadzone były drogimi kamieniami, szafirami, rubinami i szmaragdami, tak samo broń, czyli włócznie, szable i kindżały. Na głowach mieli wspaniałe turbany ozdobione czaplami piórami i pozlacane hełmy bardziej lśniące niż wody Nilu.

– Valière!

André, rozpoznając głos generała Dumasa, zwrócił się w tamtą stronę.

– Tak jest!

– Wasz szwadron ustawia się w czworoboku, którym dowodzi Desaix, na zachodniej flance.

– Wedle rozkazu! – Natychmiast rozkazał swoim ludziom, by przeszli do wskazanego czworoboku.

– A wy jedziecie ze mną! – Generał spiął konia i nie oglądając się za siebie, ruszył w kierunku zachodnim.

André naturalnie popędził za nim, nie mając pojęcia, gdzie zmierzają.

Dumas dojechał do oddziału jazdy złożonego z około pięćdziesięciu dragonów i szaserów w połyskujących w słońcu pancerzach. Wśród nich był generał Murat, który z marsową miną lustrował wzrokiem pole bitwy.

André zasalutował, generał symbolicznie dotknął palcem biskorna, a André odwrócił się, by spojrzeć na rzekę i na hordy mameluków. Zewsząd dochodziły odgłosy trąbki i pokrzykiwania francuskich oficerów, ale nie to było najgłośniejsze, tylko dziwny, złowrogi zaśpiew mameluków szykujących się do walki.

Ich wódz wyłonił się spośród wojowników, ukazując się żołnierzom obu armii. Uniósł szablę i przejechał kawałek wzdłuż szeregów. Potem, zwrócony do swoich, wykręcił uniesioną szablą pięknego młynka, a mamelucy wzniesli okrzyki bojowe. Słychać też było głośnie trąbienie na rogach.

Z pewnością tylko nieliczni Francuzi nie przyglądali się temu

## W cieniu gilotyny

krótkiemu pokazowi siły. Z tym że jeden Francuz na pewno nie zwrócił na to uwagi, a był nim generał Bonaparte, który siedząc na siwym koniu, wpatrywał się w morze jeźdźców przed sobą. Zgodnie z jego rozkazem odległość między czworobokami równała się trzystu krokom, czyli wystarczająco dużo, by uniknąć bratobójczego ognia, a jednocześnie korytarz między czworobokami był wystarczająco wąski, by wziąć wroga w krzyżowy ogień i zdziesiątkować, gdy podejmie próbę otoczenia Francuzów.

Gdy generał Bonaparte wysoko uniósł szablę, żołnierze ruszyli równym krokiem w rytm werbla oraz piszczałek, i ogromne czworoboki w tumanach pustynnego kurzu zaczęły przesuwać się w stronę wroga. Żeby wykonać ten manewr, żołnierze musieli wykażać się niezwykłą dyscypliną. André był pełen uznania, a także pomyślał, że na pewno niejeden mameluk wybałusza oczy na te ruchome fortece idące na wroga.

Naturalnie wódz mameluków nie chciał być gorszy i również uniósł szablę. Potem rzucił ją przed siebie, a mamelucy spięli konie i ruszyli ławą w dół łagodnego zbocza. Gdy przeszli w cwał, by runąć na Francuzów, André miał krótką chwilę zwątpienia, bo wyglądało na to, że powstrzymanie ataku tysięcy dumnych arabskich wojowników pędzących na wspaniałych rumakach okaże się niemożliwe.

Mamelucy byli już blisko, ale czworoboki Francuzów nie ruszały się z miejsca. Najeżone bagnetami wciąż tkwiły nieruchomo, choć z pewnością niejeden żołnierz zadrżał ze strachu. Dopiero kiedy wróg był w odległości około pięćdziesięciu kroków, padł rozkaz i zagrzmiały armaty ustawione w każdym rogu czworoboku, a zawtórowały im skałkowe muszkiety, i na jeźdźców posypał się grad karcaczy i ołowianych kul. Trafione konie z przeraźliwym kwikiem padały na ziemię, a powaleni jeźdźcy tratowani byli przez tych, którzy jechali za nimi. Konie, których kula nie dosięgła, na widok najeżonej bagnetami ściany zbudowanej z ludzkich ciał zaczynały wierzgać i zrywać się do ucieczki. Jeźdźców, którym udało się przeżyć i zapanować nad koniem, i którzy pędzili przed siebie korytarzem między czworobokami, znów wzięto w morderczy krzyżowy ogień. Padali jak muchy, a potem czworoboki zaczęły powoli przesuwać się do przodu, zmuszając tych, co przeżyli, do wycofania się w stronę zarosniętego tatarakiem brzegu Nilu.

André, który patrzył na to wszystko, był zaskoczony, że już pierwszy atak spowodował tak straszną rzeź. Patrzył też z podziwem, jak żołnierze z czworoboku na lewej flance, czyli najbliższej rzeki, dokonują przegrupowania, i bataliony ustawiają się w trzy szeregi, jak zazwyczaj robi to piechota. Dywizja pod dowództwem generała Bona formuje się do kontrataku. Jak pasterze owce, tak teraz oni zaganiają rozproszonych i dezorientowanych mameluków i ich konie nad rzekę. Czyli taktyka generała Bonaparte okazała się genialna. Nie tylko ujarzmił tysiące ludzi i tony stali, lecz kazał również naturze działać na jego korzyść, bo mamelucy mieli tylko dwie możliwości: albo nadziać się na francuski bagnet, albo skoczyć w odmęty Nilu.

Większość mameluków wybrała Nil, zmuszając konie, by wskoczyły do wody. Ci, którzy zostali na brzegu, by dalej walczyć, jeden po drugim osuwali się na ziemię przekłuci bagnetem.

Na brzegu stało kilka niewielkich domów z gliny, pewnie była to mała



## W cieniu gilotyny

rybacka wioska. Nacierający Francuzi schowali się za tymi domami i strzelali do mameluków, którzy byli już w rzece. Konie walczyły o życie do końca, rozbrzdgując wodę, ale wraz z ubytkiem sił pogrążyły się w niej, wciągając w ciemne odmęty blask pancerzy i broni ozdobionych drogimi kamieniami. Setki mameluków porwał też na dno potężny rzeczny wir. Zdawać by się mogło, że giną tylko oni, a żaden Francuz w tej walce nie stracił życia.

Zafascynowany André chłonał wzrokiem tę rzeź, aż wreszcie dobiegł go donośny głos generała Dumasa:

– Dość tego gapienia się, chłopcy! Teraz nasza kolej! Jeśli pozwolimy, by ich tyły się wycofały... – generał wskazał szablą na południe, gdzie stały wspaniałe piramidy – ...wtedy znowu zaatakują.

Zagrożenie było jak najbardziej realne, bo widać było w oddali tumany pustynnego kurzu wzniecane przez konie mameluków, którym udało się wyjść cało ze starcia w czworobokach i uciekali do względnie bezpiecznego miejsca w południowej części pustyni.

– Kawaleria, naprzód! – ryknął Dumas, spinając konia.

Ruszył galopem, za nim André, Murat i wszyscy kawalerzyści, do tej pory kryjący się w czworobokach. Szerokim łukiem objechali linię Francuzów i podjechali do piramid od zachodniej strony. Z bliska przepotężne starożytne budowle wyglądały jeszcze bardziej imponująco, były zadziwiająco wysokie i szerokie. André nie mógł oderwać od nich oczu, ale tylko do chwili, gdy rozległy się znajome już okrzyki bojowe i pojawił się wróg. Przyczajeni za piramidami mamelucy ruszyli do ataku, zyskując przewagę, bo było ich więcej niż Francuzów, no i nie mieli za sobą rzeki, która uniemożliwiała ucieczkę przed francuskimi muszkietami i bagnetami.

– Za mną!

Generał Dumas uniósł szablę i zawrócił konia, by doprowadzić do frontalnego starcia z nacierającym wrogiem. Po krótkiej chwili kawalerzyści prowadzący odział starli się z mamelukami, wzniecając tumany pustynnego kurzu, a André szybko przetaił zamglone oczy. Dwóch pierwszych wrogów przemknęło obok, ale trzeci zwolnił, skrzył i ruszył na niego. Szczęknęły szable. Pierwszy cios André odparował, gdy jego koń uskakiwał w bok, bo mijał ich jeszcze jeden mameluk. A ten pierwszy ponowił atak, tym razem wymachując kindżalem nad głową. André ponownie odparował cios i zachwiał się w siodle, bo jego koń szarpnął się w tył. Gdy zerknął w dół, zrozumiał, co się stało. Mameluk postrzelił konia w pierś, dlatego zwierzę zataczało się i chwiało, próbując utrzymać się na nogach. Mameluk, wykorzystując chwilę nieuwagi, znów ciał, niemal trafiając André w prawą rękę, a jego koń postękiwał z bólu i bił kopytami o ziemię. Było oczywiste, że zaraz padnie, dlatego André musiał jak najszybciej wydostać się z tego chaosu. Bo jeśli koń padnie tutaj, jeździec stanie się całkowicie bezbronny wobec szabel, kindżałów i bezlitośnie tratujących końskich kopyt.

Koń zdobył się na ostatni wysiłek i zrobił kilka kroków, oddalając się od siekających szabli. André zsunął się z siodła, żeby zobaczyć, jak wygląda rana. Zobaczył strugę krwi, a zwierzę kwiczało przeraźliwie. Pozostał już tylko strzał łaski, żeby skrócić męczarnię.

Konia więc już nie miał i był daleko od swoich, ale miał jeszcze szablę

## W cieniu gilotyny

oraz pistolet.

Zaklął szpetnie, załadował broń i czujnie rozejrzał się wokół. Wiedział, że powinien znaleźć jakieś wzniesienie, na przykład przy którejś z piramid, przyczać się tam i czekać, aż pojawi się koń pozbawiony jeźdźca. W bitewnym zamęcie na taką sposobność nie trzeba długo czekać.

Wstał i ruszył przed siebie, ale uszedł zaledwie kilka kroków i zobaczył nadjeżdżającego mameluka. Widział wlepione w siebie czarne oczy, widział szeroko otwarte usta, z których ulatywał ten ich dziki okrzyk bojowy.

Błyskawicznie padł na ziemię i przetoczył się na bok, umykając spod kopyt. I równie szybko wstał, uzmysławiając sobie, że wykonując ten manewr, upuścił pistolet. Padł więc na kolana, grzebiąc rękoma w piachu, bo może ten pistolet gdzieś tu jest. Nie było jednak czasu na szukanie, bo mameluk zawrócił lekkiego i zwrotnego konia, po czym znów zaszarżował. Tym razem André nie był aż tak szybki i szabla mameluka rozcięła mu udo. André skulił się, jedną ręką objął obolałą nogę, drugą ręką sięgnął do pasa po pistolet, którego przecież tam nie było. Wtedy po plecach André przebiegł lodowaty dreszcz. Bo to już koniec, przyjdzie mu umrzeć na pustynnym piasku.

- Valière!

Poderwał głowę i zobaczył nadchodzącego generała Murata. Rękę miał uniesioną, a w niej pistolet wycelowany w mameluka. Gdy padł strzał, mameluk przez mgnienie siedział prosto, potem wstrząsnął nim spazmatyczny dreszcz, a na koniec zsunął się bezwładnie na ziemię ze spienionego konia.

André przymknął oczy, mimo przesywającego bólu w nodze czując niewysłowioną ulgę. Mameluk był martwy, a on, choć ciężko ranny, został się przy życiu, które zawdzięcza generałowi Muratowi!

- Jesteście ranni, Valière! - Murat zeskoczył z konia i pomógł mu wstać.

- Dacie radę wsiąść na tego konia?

André spojrział na zakrwawioną nogę. Już samo stanie było męką, a co dopiero włożyć stopę w strzemię. Gdy przecząco pokręcił głową, Murat, w jednym ręku trzymając wodze, drugą ręką objął go przez plecy i poprowadził wąskim chodnikiem z boku piramidy.

Uszli kilka kroków i nagle André przystanął.

- Poczekajcie!

Obok chodnika w piasku coś błysnęło. Była to jego szabla. Zaciśnął zęby, podniósł ją z ziemi i wsunął do pochwy, po czym poszli dalej. Każdy krok był udręką. André resztką sił powstrzymywał się, by nie krzyknąć z bólu, ale nie protestował i pozwolił generałowi, by poprowadził go w ciche i zacienione miejsce z dala od bitwy. Była to swoista sień, bo niewątpliwie tędy wchodziło się do piramidy. Promienie palącego słońca nigdy tu nie docierały, dlatego kamienne ściany były cudownie zimne, a nawet lekko wilgotne.

- Napijcie się - powiedział Murat. Był trochę zadyszany, ale wyglądało na to, że z bitwy wyszedł bez szwanku.

Podał bukłak André, który uzmysłowił sobie, że w gardle ma już tak sucho, że aż pali. Podziękował i zaczął pić łapczywie wodę tak cudownie zimną, że na moment zapomniiał o obolałej nodze.

## W cieniu gilotyny

A kiedy odsunął buklak od ust, zobaczył tuż przed sobą pistolet wycelowany prosto w twarz, a za pistoletem szare jak morze i pełne nienawiści oczy generała Murata. Takie, jakie widział już u niego wiele razy. Tym razem jednak, kiedy te oczy zapłonęły nienawiścią, byli sami, tylko on i generał, w ciemnym przedsiionku, z dala od rodaków. Czyli było oczywiste, że z rozmysłem najpierw uratował mu życie, a potem przyprowadził tutaj, by życie mu odebrać.

– Całe lata czekałem na to – powiedział niby cicho, ale czuło się, że jest bardzo poruszony. A wargi pod bujnym wąsem rozciągnęły się w szyderczym uśmiechu. – Pojednajcie się z Bogiem, o ile macie jakiegoś boga.

Niewiele myśląc, cisnął w Murata buklakiem i trafił tam, gdzie chciał, czyli prosto w twarz, jednocześnie wytrącając z ręki pistolet, który wypalił, upadając na ziemię. Ołowiana kula zderzyła się z niemożliwą do przebiccia ścianą piramidy, a André, nie bacząc na przeszywający ból w nodze, rzucił się na generała i powalił go na ziemię.

Murat był silny, o wiele silniejszy, niż można by się spodziewać. Tak silny, że ranny, a więc słabszy André ledwie dawał rady zapanować nad nim.

– Zabiję cię, Valière – wyszczał generał, a jego twarz, oddalona zaledwie o kilka cali od jego twarzy, wykrzywiła się w dobrze już znanym szyderczym uśmiechu.

Unurzane w piachu palce generała po omacku odszukały ranę na udzie i przeorały rozplatanę ciało. Ból był nie do wytrzymania. André krzyknął, co zwiabiło trzech mameluków. Na ich widok André i generał znieruchomieli, oni z kolei na widok walczących ze sobą Francuzów coś tam wymamrotali i zsiadli z koni, a generał i André odsunęli się od siebie, bo każdy z nich myślał już tylko o sobie, o tym, jak obronić się przed trzema wrogami.

Jeden z mameluków znów coś powiedział, a pozostali zaśmiali się drwiąco, po czym jeden z nich, osilek w czerwonym turbanie i z rubinami w płatkach uszu oraz długą, powiewającą brodą, rzucił się na André, który błyskawicznie dobył szabli i odparował cios. Dwóch pozostałych, niewątpliwie uznając, że ich kamrat poradzi sobie z rannym Francuzem, rzuciło się na Murata.

André wydał z siebie bojowy okrzyk i natarł z szablą na mameluka, który zręcznie odparował cios. Znów natarcie, a kiedy szable uderzyły o siebie, André błyskawicznie cofnął rękę i sięgnął do pasa po sztylet. Jeden szybki ruch i ostrze wbiło się w brzuch mameluka, a szabla wysunęła się z jego rąk i z głośnym brzękiem upadła na kamienną posadzkę. Mameluk zrobił dwa chwytne kroki w tył i osunął się na posadzkę tuż obok porzuconej broni.

Murat nadal walczył z dwoma mamelukami. Walczył zaciekle, choć przyparli go do muru. André przypomniał sobie, że przecież generał miał pistolet, który wytrącił mu z ręki, więc rozejrzał się wokół i dostrzegł go parę kroków dalej. Kiedy jeden z mameluków, przyciskając Murata do ściany, próbował ciąć go w szyję, André ładował już broń, a po chwili wypalił. Mameluk walczący z Muratem zesztyniał i upadł na generała, natomiast trzeci napastnik, nie oglądając się za siebie, dopadł konia. Kiedy zniknął w tumanach kurzu, André, odprowadzając go wzrokiem,

## W cieniu gilotyny

miał wielką nadzieję, że jest to ostatni mameluk, którego dane mu było ujrzeć na własne oczy. Potem spojrział na Murata, na człowieka, któremu właśnie uratował nędzne życie. Który, podobnie jak André, nadal trzymał w ręku szablę, a w jego oczach wciąż płonęła nienawiść.

– Murat!

André zrobił krok w tył, potem drugi. Jeszcze kilka i nie będzie już kamiennej posadzki, tylko pustynny piasek. Nie wiadomo, jakich nowych wrogów tam spotka ani gdzie znajdują się Francuzi. Najważniejsze to wyjść stąd, bo nie wolno zostawać sam na sam z Muratem.

– Kiedy to się wreszcie skończy? – wydyszał.

Murat zaczął zbliżać się do niego wolnym krokiem, a w jego oczach była żądza krwi.

– Skończy się wtedy, kiedy ciebie zabiję, tak jak zabiłem twojego brata. Przedtem poturbował trzech moich ludzi, ale dopadłem go i wypatroszyłem. Widziałem, jak życie z niego uchodzi. To samo chciałbym zobaczyć u ciebie.

Remy... André krzyknął, bo nie sposób od tego się powstrzymać, gdy serce zaboli aż tak bardzo, że człowiek całkiem opada z sił. Ale szablę uniósł i ciął. Murat odparował cios, a kiedy szable znów się zwały, warknął:

– Ty będziesz tym ostatnim.

– Niby dlaczego? – zawołał André, który odstąpił o krok, ale nadal czujny, szablę miał uniesioną. – Nie macie już dość, generale? Mój ojciec. Mój brat. Generał Kellermann, wielki człowiek, tak mi życzliwy. I wielu, wielu innych, którzy przez was pożegnali się z życiem. Dlaczego tak postępujecie?

Murat zaśmiał się, ale ten śmiech wcale nie sprawił, że ponura twarz raptem pojaśniała.

– Robicie mi wyrzuty? Wy, de Valière? Jeszcze jeden zepsuty do szpiku kości arystokrata? Kellermann też taki był. Wam się wydaje, że wszystko można kupić, każdego można omamić.

– Bez przesady – mruknął André, uznając, że dalsza dyskusja z karmiącym się nienawiścią człowiekiem nie ma sensu. Pokużył więc dalej kilka kroków ku wyjściu, ale zanim postawił stopę na pustynnym piasku, przystanął.

– Czy nie wystarczy już tego umierania? – spytał głosem ochrypłym i słabym, bo noga bolała straszliwie i czuł, że od tego bólu i z upływu krwi zaczyna słabnąć.

– Owszem, niebawem się skończy. Ale przedtem muszę was zabić, Valière. Zanim jednak to zrobię, chcę, żebyście dowiedzieli się o czymś... – Murat zawiesił głos, a jego twarz ozdobił wyjątkowo obrzydliwy uśmiech.

– To znaczy o kimś. O Sophie.

O Sophie! André czuł, jak wszystko w nim zamiera.

– Nigdy więcej już jej nie zobaczycie! – oznajmił Murat i wybuchnął głośnym śmiechem, który rozwiewał wszelkie wątpliwości. Ten człowiek był obłąkany. – Wymyśliłem dla was obojga karę o wiele gorszą niż pożegnanie się z głową dzięki gilotynie.

André powoli opuścił szablę, czując, że traci resztki sił, że ciało słabnie pod ciężarem przyniatającym duszę. Ale to była tylko ulotna chwila słabości. Bo kiedy pomyślał o Sophie, która przecież kocha i czeka na

## W cieniu gilotyny

niego... Nie, nie może jej zawieść.

Do żołnierskiej dłoni powróciła moc, ręka znów uniosła szablę. I tak szli ramię w ramię, bo pochłonięci jakże burzliwą dyskusją nawet nie zauważyli, kiedy wyszli z piramidy i ruszyli wolnym krokiem wzdłuż gigantycznej ściany.

– Moja mała słodka Sophie nigdy nie będzie wasza, Valière. Nigdy! Z mojej woli wyjdzie za mego starego przyjaciela.

– A... ktoś to taki? – wydusił z siebie André.

– Guillaume Lazare.

Lazare, prawnik kanalia, który chciał, by odebrano mu życie! Łotr, który skazał na śmierć jego ojca! I generała Kellermanna!

Zatrzymał się w pół kroku. Potem krok w tył i szabla uniosła się wysoko. I do przodu, na tego drania!

Kiedy rzucił się na Murata, mimo woli krzyknął z bólu. A Murat zręcznie usunął się w bok, zrobił kilka kroków i znalazł się znacznie wyżej, ponieważ bloki kamienne, z których wznoszono piramidę, po stronie zewnętrznej układano tak, by utworzyły coś w rodzaju stopni. Murat błyskawicznie pokonał kilka stopni, dzięki czemu zajął dogodną pozycję, co jednak nie powstrzymało rozjuszonego André, któremu było wszystko jedno, czy zginie, czy nie. Najważniejsze, by Murat wreszcie pożegnał się z życiem.

Walcząc z nieludzkim bólem, ciął mocno, celując w nogi. Ale Murat odparował cios i znajdując się wyżej, przejął inicjatywę. André odparował raz i drugi, świadomy, że długo tego nie wytrzyma.

I stało się. Powiał tak silny wiatr, że piasek zawirował i poszybował w górę. Jasnozłocisty obłok nie przesłonił twarzy André, ponieważ stał plecami do pustyni, a twarz Murata, który za plecami miał ścianę piramidy, na moment znikła za obłokiem, co André natychmiast wykorzystał. Z całej siły ciął po piszczelach, rozrywając skórzane buty i spodnie, katując ciało. Murat krzyknął z bólu, zgiął się wpół, a André smagnął go po kolanach. Nogi pod Muratem ugięły się. Padł, pełzał na czworakach, cały dygocząc, i krzyknął z bólu, a potem dokonał rzeczy niebywałej. Zdołał wstać, a ponieważ szabla wymknęła mu się z ręki, postanowił użyć tej jedynej broni, która mu pozostała, czyli swego ciała. Zeskoczył z kamiennych stopni wprost na André, próbując dokończyć dzieła gołymi rękami. Ale nie dokończył, bo zanim jego stopy dotknęły ziemi, André unosił szablę, a stalowe ostrze znikło w brzuchu generała, kiedy spadał w morderczym zamiarze. I przygniótł sobą zniechęconego wroga.

Upadli na piach, a oszołomiony André zepchnął z siebie nieruchome ciało. Przykląkł, wyciągnął szablę z brzucha Murata, zakrwawione ostrze otarł o spódnię, po czym spojrzął na twarz ściągniętą najstraszliwszym bólem. Bujne wąsy drżały, wargi też, jakby generał chciał coś jeszcze powiedzieć. Jednak André żadnych słów nie usłyszał, tylko cichy charkot konającego człowieka. W szarych jak morze oczach generała, o spojrzeniu zwykle tak chłodnym, nie było już tego chłodu, nie było ani odrobiny tak przez niego pielęgnowanej nienawiści, tylko patrzył w dal. Może coś jeszcze widział, ale na pewno nie tę przekłętą pustynię.

André osunął się na ziemię tuż obok martwego generała. Był ledwie żywy, bolało go wszystko, a kiedy próbował wstać, poczuł w nodze ból tak

## W cieniu gilotyny

straszny, przesywający, że zrezygnował. Sięgnął więc po bukiak, ale okazało się, że jest pusty, bo został rozerwany podczas walki. Więc już się nie ruszał. Leżał, czując, że nieludzkie zmęczenie daje znać o sobie, a powieki stają się coraz cięższe. Przez chwilę popatrywał na błękit nieba i złociste słońce, przez głowę przemknęła jakaś myśl, i zapadł ni to w sen, ni to w półsenne majaki.

Kiedy w oddali usłyszał stukot końskich kopyt, w pierwszej chwili pomyślał, że to tylko mu się śni. Ale nie, to była jawa, bo stukot stawał się coraz głośniejszy, coraz bardziej realny. Słyszał już głosy, wprawdzie niewyraźnie, ale jednego był pewien: wychwytywał pojedyncze słowa wypowiedziane w jego ojczystym języku.

A kiedy otworzył oczy, zobaczył nad sobą znajomą twarz. To był Ashar.

– Kiedyś już mówiłeś, że zjawiam się zawsze, gdy zajdzie potrzeba. Wygląda na to, że istotnie mogę ci się teraz na coś przydać. – Skinął na dwóch dragonów, którzy ostrożnie posadzili André na koniu Ashara, i ruszyli do francuskich szeregów.

Po drodze co chwilę ktoś przyskał mu w twarz zimną wodą, żeby nie stracił przytomności. A on, za plecami przyjaciela, objął się w siodle. Bolało wszystko, ale najbardziej ta jedna myśl, która nie opuszczała go ani na chwilę. Myśl o tym, co Murat powiedział o Sophie. A powiedziała...

Znów krzyknął. Jego towarzysze byli pewni, że krzyczy z bólu, i mieli rację, ale to nie poszarpane ciało bolało najbardziej, tylko gorzka świadomość, że być może będzie już za późno, przy czym nie chodziło mu o uratowanie swojego życia.

Myślał o Sophie.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

### Więzienie Temple

#### Paryż

Lipiec 1798 r.

– Mów! Natychmiast! – zażądał stanowczym głosem Jean-Luc, nerwowo przemierzając niewielki więzienny korytarz. – Czy widziałeś, dokąd odjechał powóz z Sophie de Vincennes?

Strażnik milczał, a jego spojrzenie było niezbitym dowodem na to, że absolutnie nie ma zamiaru czegokolwiek mu powiedzieć. Wściekły Jean-Luc chwycił go za kołnierz, na co zaskoczony strażnik wreszcie się odezwał słabym głosem, a tak naprawdę zaskomlał:

– Dokładnie nie wiem, ale ruszyli w stronę Hôtel de Ville.

Jean-Luc puścił go i wyszedł z więzienia. Wieczór był ciepły, ale czoło zrosiła mu pierwsza kropla deszczu. Kiedy przeszedł kawałek w stronę ulicy Réaumur, pojawiła się tuż przed nim jakaś kobieta w porwanej sukni i wyciągając rękę, zaczęła prosić:

– Dobry panie, wspomóżcie paroma sou, żebym mogła kupić coś do jedzenia. Proszę, panie.

Jean-Luc odepchnął od siebie jej rękę i ruszył dalej wąską ulicą biegnącą ku rzece. Szedł coraz szybciej, bo już się rozpadało, a niewesołe myśli przemykały przez jego głowę. Lazare, ta gadzina! Jego nikczemny list był zapowiedzią tego, co właśnie się działo. Że jeśli coś strasznego spotka Sophie, i tak oskarżą o to nie jego, ale Jean-Luca. Z tym że nie znał prawdziwych planów Lazare'a. Czy wywiezie ją z Paryża? Czy zmusi do małżeństwa? Albo też skrzywdzi ją... zamorduje? Pytań wiele, odpowiedzi żadnej, nie wiedział też, ile zostało mu czasu, by zapobiec nieszczęściu. Ale gdzie powinien szukać? Czy w dawnej siedzibie klubu jakobinów przy ulicy Saint-Honoré, czy na placu Rewolucji? A może gdzieś w pobliżu miejskiej bramy? Ale zaraz... Przecież Gavreau przestrzegał go, by nie wpuszczał Lazare'a do swego biura... Pamiętał jego słowa doskonale, dlatego też zdecydowanym krokiem ruszył w stronę Pałacu Sprawiedliwości, obok którego stał gmach, w którym było jego biuro.

Ten staruch wiedział, gdzie Jean-Luc pracuje, wiedział także, że o tej porze gmach opustoszeje. Czyli nie mógł sobie wybrać lepszego miejsca, by bez świadków dręczyć biedną kobietę, a osobą podejrzaną stanie się Jean-Luc.

Ruszył biegiem, nie zwolnił, aż dotarł do celu. Jednym susem pokonał schody prowadzące do drzwi wejściowych. Niestety były zamknięte.

– Do diabła!

Zaczął w nie łomotać, ale naturalnie nikt nie otworzył, przecież gdyby ktoś tu był, Lazare wybrałby inne miejsce. A może... Tak! Chyba tak! Znow ruszył biegiem, tym razem wąskim zaułkiem między dwoma budynkami, żeby dotrzeć do bocznego wejścia. I nagle zatrzymał się w pół kroku. Bo któż to taki ukazał się jego oczom? Archanioł Michał. Olbrzymi

## W cieniu gilotyny

posąg, który na nim i na Gavreau wywarł wielkie wrażenie. Żeby go stąd wywieźć, potrzebnych było kilka bardzo silnych koni, a o wniesieniu do środka nie było mowy, bo nie zmieściłby się w drzwiach. Dlatego stał tutaj, w cieniu wielkich gmachów. Anioł Wojny z uniesionymi rękami. Jedną ręką błogosławi, w drugiej dzierży świetlistą włócznię w każdej chwili gotów cisnąć nią w tych, którzy zasłużyli na wieczne potępienie.

Jean-Luc z trudem oderwał oczy od wspaniałej figury żarliwego i jakże sprawiedliwego anioła, po czym odszukał boczne drzwi, do których wchodziło się po kilku stopniach. Ponieważ też były zamknięte, musiał stłuc szybę, wsadzić rękę i otworzyć drzwi od środka. Potem zrobić głęboki wdech i zejść do piwnicy, gdzie przechowywano cenne rzeczy odebrane ofiarom rewolucji. Gdzie było chłodno i ciemno, ale po krótkiej chwili, gdy oczy przyzwyczaiły się do ciemności, zaczął rozróżniać poszczególne kształty. Ogromna piwnica załadowana była po brzegi dobytkiem arystokracji i kleru, pięknymi przedmiotami, oznaką bogactwa. Kiedyś lśniące i cieszące oko, teraz pokryte kurzem ponure szeregi marmurowych posągów, mebli przykrytych płachtami i zbitych luster, a także stopy niewielkich i bardziej osobistych przedmiotów. Wszystko to trwało w ciemnościach, w odosobnieniu. Ale nie w ciszy, bo Jean-Luc mógłby przysiąc, że usłyszał cichy jęk, na co jego serce zabiło szybciej. Przecież ten dźwięk nie wydobył się z marmurowych ust któregoś z posągów! A pojękiwanie usłyszał kilkakrotnie, potem stłumiony krzyk pełen rozpacz.

Natychmiast ruszył w tamtą stronę.

– Sophie?! – zawołał i skrzywił się, kiedy jego głośny krzyk odbił się szerokim echem od wilgotnych ścian. A po chwili jeszcze coś usłyszał. Była to odpowiedź, czyli kolejny cichy i rozpaczliwy jęk.

– Sophie, to ja, Jean-Luc! Idę do ciebie! Gdzie jesteś?

Znow rozległ się stłumiony krzyk, a po chwili brzęk spadającej na posadzkę porcelany. Kiedy to usłyszał, ruszył biegiem, nie bacząc, że obija się o marmurowe posągi. Biegł coraz szybciej, gorączkowo rozglądając się na wszystkie strony, bo jęki stawały się coraz cichsze.

– Sophie!

Na końcu szeregu tego bogactwa przystanął i po sekundzie namysłu skrzywił w lewo, potykając się o obity czerwonym aksamitem podnózek. Biegł dalej, przeklinając ciemności, aż wreszcie coś usłyszał. Tuż obok. Ktoś krzyknął przeraźliwie, jak zwierzę, które wpadło w sidła.

– Sophie! Już idę do ciebie! Idę!

Przeszedł przez zwinięte dywany i wreszcie ją zobaczył za wysokim kandelabrem. Skulona postać na posadzce, w porwanej sukni, z włosami w nieładzie. Sophie była związana i zakneblowana, w błękitnych oczach było przerażenie. Na lewym policzku widać było strużkę krwi, na białym, obnażonym ramieniu też krew, a na przedramieniu jakieś ślady. Po ugryzieniu?! Boże wielki! Jean-Luc zacisnął zęby, ale i tak z ust uleciał gniewny pomruk. I nie bacząc, że oprawca może być w pobliżu, podbiegł do Sophie.

Wtedy z boku coś mignęło. Gdyby odruchowo nie pochylił głowy, na pewno trafiłoby w skroń. Natychmiast się odwrócił i zobaczył obrzydliwe żółte włosy, wyblakłe oczy o lodowatym, bezlitosnym spojrzeniu. I pogrzebacz w lewym ręku. Pogrzebacz, który Lazare podniósł po raz



## W cieniu gilotyny

drugi i po raz drugi chybił celu, trafiając nie w Jean-Luca, lecz w ustawione na postumencie popiersie jakiegoś arystokraty o wyjątkowo pulchnej twarzy. Szlachcic rozpadł się na kawałki, a Lazare znów się zamachnął, tym razem skutecznie. Jean-Luc krzyknął i chwycił się za zbryzgane krwią udo, a Lazare rzucił pogrzebacz, wyciągnął zza pasa nóż i nadspodziewanie szybko podszedł do Sophie.

– Wstawaj, suko! Ruszaj się, bo jak nie, to poderżnę ci gardło!

Sophie, zaplątując się w porwaną suknię, powoli wstała z posadzki i nóż natychmiast został przyłożony do jej brzucha.

– Idziemy! – warknął Lazare.

Wciąż był niezwykle szybki, bo sekunda i już znikł, pociągając za sobą Sophie. Jean-Luc również szybko chwycił coś, co wyglądało na dziecięcy kaftanik, oderwał kawałek i owinął wokół nogi, by zatamować krew. Skoro czekała go walka, to nie mógł wcześniej umrzeć z upływu krwi.

Przez chwilę stał nieruchomo, nasłuchując, jednak uszy nie wyłapały żadnych dźwięków. Chwycił więc broń, czyli ów pogrzebacz, i ruszył w tę samą stronę co Lazare z Sophie. Każdy krok był męką, jakby znów ktoś ranił mu nogę, ale szedł uparcie, aż wreszcie usłyszał Sophie. Krzyczała rozpaczliwie z bólu i strachu, ale coraz ciszej, czyli musiała się oddalać. Jean-Luc przyspieszył kroku, błyskawicznie pokonał schody i znalazł się w olbrzymim westybulu, do którego przez zamknięte okiennice sączyło się bardzo niewiele światła z ulicy.

Ale i tak mimo mroku zobaczył dwoje ludzi, których tak bardzo chciał ujrzeć. Lazare, który też go dostrzegł, zaklął głośno i przyspieszył kroku, pociągając ze sobą Sophie. Jean-Luc też zaklął z gniewu i bólu, ale zmusił nogę do posłuszeństwa. W sekundę pokonał schody i ruszył biegiem za Lazare'em. Oszałały prawnik starał się iść jak najszybciej, ale Sophie, którą ciągnął za poranioną rękę, potykała się co chwilę i opierała, choć Lazare trzymał nóż tuż przed jej twarzą.

W końcu ich dopadł, wziął zamach i z całej siły rąbnął starego łajdaka pogrzebaczem po nogach, który zachwiał się i puścił Sophie, a nóż upadł na marmurową posadzkę. Lazare też na nią runął na twarz i znieruchomiał.

– Sophie! – Jean-Luc dopadł do niej i natychmiast zdjął obrzydliwy knebel.

Pełne lęku oczy Sophie utkwione były w nieruchomym ciele na posadzce.

– Czy on...

– Nie, nie. Na pewno żyje, tylko zemdłał. – Rozdygotany z bólu, bo noga rwała, i z wściekłości, stanął nad Lazare'em i wpatrując się w jego poszarzałą twarz, powoli podniósł pogrzebacz. Bo tak, może to zrobić. Może zatłuc tę kanalię i wreszcie będzie spokój.

Kiedy miał zadać mordercze ciosy, nagle przed oczami pojawiła się Marie, potem mały Mathieu. A także André i generał Kellermann. A na koniec coś malutkiego, rozczulającego. Nienarodzone jeszcze maleństwo w ramionach Marie.

Anioły. Tak, prawdziwe anioły wśród ogarniętego szaleństwem narodu. A czyż nie było jego obowiązkiem walczyć z bezprawiem, by władzę objęła sprawiedliwość? Walczyć z nienawiścią i gniewem, by zwyciężył rozum?

## W cieniu gilotyny

Powoli opuścił pogrzebacz i chwycił Sophie za rękę.

- Musimy iść. Dasz radę bieć? - Widział, że jest cała poobijana i zakrwawiona.

- Oczywiście! - odparła nadspodziewanie różnym głosem. - Dokąd?

- Do prefekta Gwardii Narodowej. Natychmiast musimy złożyć mu relację, żeby ten szaleniec jak najszybciej miał proces i dokończył żywota na placu Rewolucji... jak tych wielu, których tam posłał.

Zbiegli po schodach i dopadli drzwi, były jednak zamknięte. Jean-Luc zaklął cicho. Przecież wiedział o tym, jakże mógł zapomnieć! Co teraz, skoro nie ma pojęcia, gdzie strażnicy chowają klucze.

Odruchowo spojrzął w górę, na szczyt schodów, gdzie widać było nieruchomą postać leżącą na posadzce. Ale nie, już nie nieruchomą, bo Lazare poruszał głową jak ktoś, kto wraca do przytomności.

- Sophie, idziemy. - Poprowadził ją przez westybul do głównych schodów. Szli szybko, bo o ile słuch go nie mylił, dało się wychwycić postukiwanie obcasów na marmurowej posadzce.

- Może wyjdziemy przez piwnicę? - spytała cicho Sophie.

- Nie.

- To gdzie idziemy?

- Do mojego biura. Zanim nas dopadnie, zdążę kogoś zawiadomić na ulicy albo uda się nam wyjść przez okno.

W oczach Sophie był strach, ale dzielnie dotrzymywała mu kroku. Szybko pokonali schody i przeszli kawałek korytarzem. Niestety kiedy zbliżali się do drzwi biura Jean-Luca, oboje gwałtownie się zatrzymali.

- A wy, St. Clair, myślicie, że tacy jesteście chytry - niemal wyszczał Lazare, który był już prawie na szczycie schodów. - A zapomnieliście o zatarciu śladów!

Istotnie widać było trop z krwi Sophie i Jean-Luca, który doprowadził tu Lazare'a.

- A niech to diabli! Sophie, szybko! - Wciągnął ją do pokoju i zastawił biurkiem drzwi.

Kiedy skończył, Sophie wyciągnęła do niego tak mocno skrępowane ręce, że sznurek wrzynał się w ciało. Jean-Luc natychmiast spełnił jej prośbę, wspomagając się ostrym końcem pogrzebacza, a Sophie, masując nadgarstki, westchnęła z wielkiej ulgi.

Za drzwiami słychać było coraz głośniejsze kroki.

- Szybko, Sophie! Do okna!

Zajmujące całą ścianę okna były ogromne, a szyby sięgały od sufitu do podłogi. Trudno je było otworzyć, co szczególnie dokuczalo latem. Teraz też Jean-Luc mocował się z nimi bez skutku, dopiero gdy Sophie pośpieszyła z pomocą, okno poddało się. Stało się to w chwili, gdy Lazare zaczął walić pięściami w drzwi.

- Idźcie stąd! - zawołał Jean-Luc.

Jednak Lazare nie zamierzał zrezygnować. Uchylił drzwi, i zauważywszy przed nimi przeszkodę, popchnął ze wszystkich sił, a biurko zaczęło się przesuwac.

Jean-Luc czuł, że z upływu krwi zaczyna słabnąć.

- Za wysoko, żeby skoczyć - powiedziała Sophie, spoglądając w dół na zaułek, którym dochodziło się do bocznego wejścia. Niestety był opustoszały. Jean-Luc oczywiście zaczął wołać o pomoc, ale jedyną

## W cieniu gilotyny

odpowiedzią było szczekanie psa.

Drzwi stały otworem i w progu ukazał się Lazare z nożem w rękę. Zdesperowana Sophie rzuciła się na niego z pięściami. Niestety Jean-Luc nie zdążył zareagować, a Lazare błyskawicznie zrobił unik, po czym chwycił Sophie za ramiona, odwrócił ją ku sobie i z całej siły uderzył w twarz ręką noża. Sophie osunęła się na posadzkę, a Lazare spojrzął na Jean-Luca, celując w niego nożem, on jednak, rozjuszony widokiem bezwładnej Sophie, uniósł pogrzebacz.

– Tknijcie ją jeszcze raz, a zabiję was!

– Ach tak? – wyszczał Lazare, podchodząc bliżej. – Wiecie, obywatelu, że kiedyś nawet darzyłem was sympatią, chciałem wam pomóc wspiąć się na szczyt, jednak woleliście stawać ze mną w szranki. Ale wasze krótkie żałosne życie ma się już ku końcowi. Nie tylko wasze, bo postaram się, by nikt nie musiał po was płakać. – Z uniesionym nożem rzucił się do przodu.

Jean-Luc odparował cios, uderzając pogrzebaczem po rękach, w których niestety pozostał nóż wycelowany w brzuch Jean-Luca. Szybko usunął się w bok, ale za sobą miał już tylko ścianę. Wyblakłe oczy Lazare'a rozbłyły, bo Jean-Luc znalazł się w rogu pokoju ograniczony dwiema prostopadłymi wobec siebie ścianami. Mało tego, jedna z nich była to ściana okienna, a najbliższe Jean-Luca okno było otwarte. Owszem, mógł przez nie wyskoczyć, ale z tej wysokości upadku na bruk z pewnością by nie przeżył.

Lazare ponownie zaatakował, tym razem celując w gardło. Jean-Luc uskoczył w bok, ale zraniona noga ostatecznie odmówiła posłuszeństwa, w rezultacie czego padł na biurko. Jęknął, chwytając się za krwawiącą nogę. Był już tak słaby, że nie widział dobrze. Pogrzebacz wysunął mu się z rąk, a stalowe ostrze noża przejechało tuż pod zębami. Nie była to rana głęboka, ale wystarczyła do tego, by Jean-Luc całkiem już nie był zdolny do walki. Udo bolało jak diabli, z rany w pasie leciała krew. Nie miał bronii, nie miał dokąd uciekać. I prawie nic już nie widział.

Opadł na kolana, po czym runął na podłogę. Półprzytomny wyciągnął rękę do Lazare'a, może chciał coś powiedzieć, ale był już całkiem bez sił. Owszem, o coś jeszcze walczył. Ze sobą, bo za wszelką cenę chciał zachować przytomność.

Lazare powoli i ostrożnie podszedł do niego, jakby skradał się do dzikiego zwierzęcia, wprawdzie już postrzelonego, ale nadal żywego.

Przystanął koło otwartego okna, a wtedy Sophie nagle zerwała się z podłogi i z krzykiem runęła na swego prześladowcę, pchając ku przepaści. Zaskoczony tym atakiem Lazare upuścił nóż i wlepił w nią zdumione oczy. A zdesperowana Sophie próbowała go otoczyć ramionami, by dokończyć dzieła.

– Ty dziwko! – ryknął Lazare i podniósł rękę, by uderzyć ją w twarz.

Jednak nie zdążył, bo Sophie zebrała się w sobie i naparła na niego całą sobą. Zrobiła to tak mocno, że Lazare poleciał w tył, w stronę otwartego okna, jeszcze bardziej tracąc równowagę, bo poślizgnął się na kałuży krwi z rany Jean-Luca. A Sophie rzuciła się na niego po raz trzeci.

Jean-Luc obserwował niczym przez mgłę, jak Lazare odchyła się do tyłu i macha rękoma, a w oczach pojawił się potężny strach. I runął w dół.

Jean-Lucowi jakimś cudem udało się pozbierać z podłogi i podejść do

## W cieniu gilotyny

okna. Lazare spadł w dół, ale nie na bruk, tylko nadział się na włócznię Archaniola Michała, jakby niebiańska istota sama postanowiła wymierzyć sprawiedliwość.

Lazare wił się rozpaczliwie, a krew i życie ulatywały z niego, przydając śnieżnobiałemu posagowi kolor czerwieni.

Nieliczni przechodnie na ulicy, przy której mieszkał Jean-Luc, popatrywali na nich lekliwie, a także z ciekawością, bo niby dlaczego są tak zmaltretowani, a poszarpane ubrania są poplamione krwią. Jean-Luc nie zwracał na to uwagi i nie miał zamiaru czegokolwiek wyjaśniać. Tylko szedł, by jak najprędzej znaleźć się w domu, wrócić do Marie.

Z trudem wszedł po schodach, opierając się na Sophie, a kiedy otworzył drzwi, natychmiast zawołał:

– Marie!

Jego żona spała, a na krześle przy łóżku siedziała pani Grocque, tuląc do siebie zawiniątko z białego płótna, które zaczęło popłakiwać.

– Wielki Boże! To już? Już się urodziło! Przecież za wcześnie. Zdrowe? – wyrzucił z siebie wzruszony Jean-Luc, wpatrując się w pomarszczoną twarzyczkę malutkiej istoty, której niewątpliwie było cieżutko i wygodnie w krzepkich ramionach oberżystki.

Natomiast mały Mathieu cały zapłakany siedział w kącie. Jean-Luc pomyślał, że dla takiego malca poród musiał być ciężkim przeżyciem. To samo musiała pomyśleć Sophie, bo podbiegła do malca i przytuliła do siebie.

– Dziękuję, pani Grocque. Jestem wam nieskończenie wdzięczny!

Jean-Luc przemierzył pokój, nie odrywając oczu od maleństwa. A pani Grocque w pierwszej chwili nie odezwała się, tylko dziwnie spojrzała na Jean-Luca, a potem wyrzuciła z siebie zdławionym głosem:

– Och, panie St. Clair! Naprawdę zrobiłam wszystko, bardzo się starałam, ale wszystko działo się tak szybko. Nie było czasu biec po akuszerkę!

Dziecko zapłakało, tym razem głośniej, bardzo głośno jak na takie maleńkie płuca.

– Skoro takie mocne, to na pewno zdrowe. I na pewno głodne – powiedział rozczerwony Jean-Luc, uchylając rąbka białego płótna. – Dziewczynka! Śliczna jak jej mama! Myślę, że powinna mieć też to samo imię. Mała Marie, a więc Mariette. Co o tym sądzicie?

Pani Grocque potrząsnęła tylko głową i nagle zrobiła coś, czego Jean-Luc nigdy dotąd u niej nie widział, czyli zalała się łzami.

– Ależ pani Grocque, co się stało? Domyślam się, że zadanie było niełatwe, ale znakomicie daliście sobie radę. Więc skąd te łzy? Chyba że to są łzy radości.

– Nic nie rozumiecie, panie St. Clair.

– A co miałbym zrozumieć?

Zdezorientowany Jean-Luc spojrzał na żonę pogrążoną w głębokim śnie... i nagle uzmysłowił sobie, że policzki Marie są kredowobiałe, a usta, zwykle czerwone, dziwnie pociemniały, są prawie fioletowe, a piękne brązowe oczy przez cały czas zamknięte. Nie otworzyła ich, kiedy zapłakała córeczka, a Mathieu przecież płakał w tym kącie. Nie otworzyła, kiedy wszedł do tego pokoju i przejęty narodzinami dziecka

## W cieniu gilotyny

wcale nie mówił cicho...

Obok Marie leżały jakieś kartki. Co to może być? Nachylił się, żeby im się przyjrzeć. Przecież to pamflety polityczne pisane przez tajemniczego obywatela, który przyjął imię kobiety. Persefona. I te pamflety na łóżku, obok Marie, były to rękopisy. Charakter pisma doskonale mu znany. Tak, te pamflety pisała Marie...

I leżała tam jeszcze jedna kartka. Już nie pamflet, tylko list:

*Jean-Luc, mój ukochany,*

*wiesz doskonale, że nieustannie wzbudzasz we mnie największy podziw. Czyni dalej swoją szlachetną powinność, bo tyle jest jeszcze do zrobienia, a ja zawsze będę przy Tobie. Będę żyła dalej w naszych dzieciach, które mają najlepszego i najbardziej kochającego ojca na świecie. Wiem, że dasz im wszystko, co najlepsze, naszym dzieciom i naszemu wolnemu narodowi.*

*Zawsze Twoja, zawsze kochająca*

*Marie St. Clair*

*PS. Oczywiście, że nigdy nie przestaniesz być mnie wart, kochany! Choć teraz nie będziesz musiał się uciekać do żadnych podstępów!*

– Marie! – Nachylił się nad milczącą, nieruchomą jak posąg żoną i czuł, że braknie mu tchu, na piersi zaciska się obręcz, a do oczu napływają łzy.

– Marie! Nie, to nie może być! To nieprawda! Marie, obudź się, błagam!

– Mamusiu! Mamusiu! – wołał rozpaczliwie Mathieu, podbiegając do matki.

Ale oczy Marie, nieczulej już na prośby męża, na płacz synka i nowo narodzonej córeczki, nadal były zamknięte. Marie, żony i matki, najlepszej z najlepszych. A więc ta straszna prawda jest prawdą. Marie już tu nie ma, dlatego drobna dłoń, którą Jean-Luc objął palcami, jest lodowato zimna.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

### Okolice Kairu

#### Egipt

22 lipca 1798 r.

Kiedy André obudził się, głowę mu rozsadało, może też od tego zapachu. Pociągnął nosem. Tak, to siarka, i jeszcze jeden zapach, tyle że o wiele mocniejszy. Zapach spalonego ciała.

Ostrożnie podniósł głowę – co nie jest łatwe, kiedy ma się obolały kark – i uświadomił sobie, że już nie jest na pustyni, lecz w zatłoczonym namiocie pełnym leżących i pojękujących żołnierzy, między którymi uwija się kilku medyków.

Jeden z nich, w okularach na opalonym nosie, zauważył, że André obudził się. Podszedł do niego i położył rękę na jego czole.

– Gorączki już nie macie, twarz wraca do normalnego koloru, sądzę więc, że najgorsze macie już za sobą. I macie więcej szczęścia niż wielu waszych towarzyszy.

André rozchylił spieczone wargi.

– Mogę... wody?

– Oczywiście.

Medyk znikł na chwilę i wrócił z dwoma bukłakami.

– Generał Bonaparte kazał nie oszczędzać wina, ale najpierw napijcie się wody.

André naturalnie pił tak łapczywie, że woda spływała mu po brodzie na nagą pierś.

– Powoli, majorze – upomniał medyk. – Straciliście bardzo dużo krwi i trochę potrwa, zanim odzyskacie siły.

André pokiwał głową, odstawił bukłak i wyciągnął rękę po ten drugi, z winem. Było mocne, bo trochę paliło w gardle, ale za to jakie dobre! Tak dobre, że aż przymknął oczy, rozkoszując się jego smakiem.

– Dziękuję.

– Przede wszystkim podziękujcie Egipcjaninowi – powiedział medyk z uśmiechem. – Gdyby nie on, wykrwawilibyście się na śmierć na pustyni.

Niestety, pamięć jeszcze go zawodziła. Pamiętał tylko fragmenty bitwy, jak czworoboki Francuzów razili ogniem wroga kawalerię, jak francuska kawaleria ściągała mameluków uciekających za piramidy. Pamiętał też zimny i mroczny przedśionek w piramidzie. Jak walczył o odzyskanie swojej broni. I on, generał Murat, szaleniec, który chciał go zabić. A tymczasem on żyje i wygląda na to, że choć nie jest zdrow, to jednak jest cały. Czyżby... zabił Murata?

– Zdajecie sobie sprawę, majorze, że uchylanie się od obowiązków karane jest śmiercią? – Głos był znajomy. André odwrócił się i u wejścia do namiotu ujrzał generała Dumasa. Minę miał marsową, sfatygowany mundur i ubłocone buty. Ale co miał na myśli? Zdezorientowany André milczał, aż na twarzy generała zagościł szeroki uśmiech i padły następne

## W cieniu gilotyny

słowa: – Wy się tu wylegujecie, żołnierzu, a przecież tyle jest jeszcze do zrobienia!

André próbował usiąść, ale generał położył rękę na jego ramieniu, dając do zrozumienia, że ma leżeć.

– Generale, wygraliśmy tę bitwę, prawda?

– Niestety nie pokonaliśmy wroga, chociaż poniósł ciężkie straty i uciekł na pustynię, wydając Kair na pastwę losu. Nasz dowódca twierdzi, że zginęło dwadzieścia tysięcy mameluków. Moim zdaniem to lekka przesada, ale niech to zostanie między nami. W każdym razie został już napisany dla Paryża raport, w którym gloryfikuje się wspaniałą bitwę pod piramidami.

– A więc nie uważacie tego za sukces, generale?

Dumas zastanawiał się przez chwilę, wreszcie przeczesał palcami gęste, czarne włosy i oznajmił z westchnieniem:

– Owszem, zwyciężyliśmy, to fakt niezaprzeczalny, ale zastanawiam się, jak to potoczy się dalej. Przecież pustynne plemiona nigdy nie pogodzą się z rządami Francuzów, poza tym niebawem na nas ruszy admirał Nelson ze swoją flotą, to tylko kwestia kilku tygodni, a może nawet dni. – Spojrzał na André i uśmiechnął się, choć był to nikły uśmiech. – Ale na razie nie zaprzatajcie sobie tym głowy. Trochę was poharatano, musicie więc dojść do zdrowia i odpocząć.

André pokiwał głową, po czym spytał:

– A my? Czy ponieśliśmy duże straty?

– Około stu zabitych, dwa razy tyle rannych. Czyli jest za co Bogu dziękować... – Dumas na moment zawiesił głos, popatrując na André. – Generał Murat nie żyje, rozplątano mu brzuch. Wygląda na to, że brał udział w potyczce z dala od pola bitwy.

Pamięć ożyła, podsuwając okrutne obrazy, i serce André zabiło jak szalone. Czy generał wie, co naprawdę wydarzyło się u podnóża piramidy?

Dumas pokiwał głową, złożył ręce i dodał z westchnieniem:

– Cóż... Jego dni dobiegły końca. Jak wielu innych poległ w obronie ojczyzny i pochowają go w Paryżu.

André przymknął oczy i też westchnął, jakby ciężki kamień spadł mu z serca. Jakby wreszcie znikł ten lęk, ta nienawiść i widmo śmierci prześladowające go od lat, od chwili gdy pod Valmy wszedł do pewnego namiotu.

Ale Dumas jeszcze nie skończył:

– Nie brakuje na tym świecie zbłąkanych dusz, które zwątpiły we wszystko i jedynym ich pragnieniem jest zniszczyć jak najwięcej ludzi. Podziwiam was, majorze, że potrafiliście walczyć o swoje życie.

– Bo przysięgłem sobie, że wrócę do tych, którzy na mnie czekają. A ja nie chcę ich utracić.

– I nie utracicie. Jestem pełen uznania dla waszej postawy, majorze.

Takie też było spojrzenie generała, czyli pełne uznania. Potem skinął głową, wsadził na głowę bikorn i wyprostował się jak na generała przystało, na co André, choć bardzo jeszcze słaby, usiadł prosto jak świeca i zasalutował.

Jakiś czas potem André został wyrwany z głębokiego snu, ponieważ

## W cieniu gilotyny

w namiocie powstało jakieś poruszenie. Kiedy otworzył oczy, zobaczył pod przeciwległą ścianą kilku żołnierzy, a wśród nich kogoś, kto przepasany był czerwoną szarfą, a do rajtroka miał przypiętą trójkolorową kokardę. Na widok tego kogoś André, choć z wrażenia prawie bez tchu, natychmiast usiadł, wyprężył się i zasalutował.

A generał Bonaparte nieśpiesznie podszedł do jego łóżka.

– Major Valière? Spocznijcie. Trzeba się oszczędzać, nie jesteście przecież jeszcze zdrowi. Powiedzcie, majorze, może macie jakieś życzenie?

Na co wciąż oszołomiony André udzielił rozbajająco szczerzej odpowiedzi:

– Chciałbym wrócić do domu.

– Na to przyjdzie pora, majorze – powiedział generał już władcym głosem, spoglądając przed siebie. – Mamy jeszcze wielu wrogów do pokonania, wiele bitew, w których powinniśmy odnieść zwycięstwo. A o bitwie pod piramidami obywatele naszej republiki pamiętać będą przez stulecia. O Armii Wschodu jako godnej następczyni armii Aleksandra i legionów rzymskich.

André słuchał, zastanawiając się w duchu, czy generał mówi to całkiem serio. Cóż, chyba tak.

Skinął głową i nagle poczuł, jak ogarnia go wielkie zmęczenie i boli wszystko.

Bonaparte uśmiechnął się.

– Dochodźcie do zdrowia i wypoczywajcie, majorze, zasłużyliście sobie na to. Zapewniam was, że nasi medycy są znakomici. – Znow się uśmiechnął i klepnął André po ramieniu, po czym nachylił się i dodał zniżonym głosem: – Odwagi, majorze. Dom i rodzina poczekają, a sława to coś ulotnego. Trzeba się nią okryć, kiedy ma się ją na wyciągnięcie ręki, nie zwlekać.

Sława... André i tak pomyślał o Sophie. W sercu zakłuło, zabolalo bardziej niż wszystkie rany.

– Odnieśliśmy wielkie zwycięstwo – mówił dalej Bonaparte. – Wy też, i nikt, żywy czy martwy, tego nam nie odbierze.

Do generała podszedł adiutant i podał mu zakrzywioną szablę i srebrnego orła zawieszoną na niebieskiej wstążce. Bonaparte zawiesił orła na szyi André, a szablę położył w nogach jego łóżka. I zanim André pojął, co się dzieje, jeden z adiutantów odczytał rozkaz o przyznaniu nagrody Wielkiej Szabli majorowi André Valière'owi za męstwo w stawianiu czoła wrogom Francji, co miało miejsce w czwartym dniu termidora w szóstym roku Republiki Francuskiej. Po czym Bonaparte jeszcze raz łaskawie skinął głową.

– Winszuję wam, majorze.

– Dziękuję, generale – wyjąkał André, mimo woli głaszcząc ciężki medal na piersi. Jak powiedział Bonaparte? Sława to coś ulotnego. Trzeba się nią okryć, kiedy ma się ją przed sobą, nie zwlekać.

Dziwne, pomyślał André. Bo to samo można powiedzieć o miłości, o jego życiu. I zapragnął z całej mocy, jak to tylko możliwe, wrócić do Francji – i w końcu zacząć żyć.



## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

### Paryż

*Jesień 1798 r.*

Od André Valière'a nie było żadnych wieści ponad rok, a w tym czasie Jean-Luc wydobył Sophie z więzienia i ze szponów Lazare'a. Stary prawnik zapłacił najwyższą cenę za swe nieczne czyny, ale Jean-Luc i tak nie czuł z tego powodu ulgi, bo wszystkie jego myśli biegły ku Marie. Nie mógł się otrząsnąć po jej śmierci, po śmierci najdroższej istoty, która zawsze była u jego boku, nieważne, czy zwyciężał, czy doznawał porażki. Kochająca żona wspierająca męża, prowadziła dom i zajmowała się dzieckiem...

Tak to wyglądało, a przecież Marie robiła jeszcze coś dla rewolucji. Działała potajemnie, była przecież tylko kobietą. Nieważne, że była też żarliwą patriotką, i tak nie wolno jej było niczym się wykazać, bo nie miała żadnych praw obywatelskich. O tym również rozmyślał pogrążony w żałobie Jean-Luc. Bo jak to właściwie jest. Od kobiety wymaga się, by respektowała prawo, by przyczyniła się do rozwoju społeczeństwa, a jednocześnie ona sama, w swoim imieniu, po prostu jako człowiek nie ma prawa ani wypowiadać się ani wpływać na te właśnie prawa, na ten rozwój społeczeństwa. Czyli, krótko mówiąc, było to bezprawie. I mogłoby się stać zawiściem nowej rewolucji.

Oczywiście myślał nie tylko o tym, także o najbliższej rodzinie, dlatego podjął decyzję o wyjeździe z Paryża. Sophie postanowiła zostać w Paryżu i czekać na André. Obiecała, że jak tylko się czegoś o nim dowie, natychmiast powiadomi o tym Jean-Luca. On zaś załadował do powozu dzieci, cały swój dobytek, a także to, co rozrywało serce. Trumnę. Ruszyli w drogę, a kiedy przejechali przez bramę miasta, Jean-Luc obejrzał się, by po raz ostatni spojrzeć na znikające w oddali miasto.

Paryż. To tu przed wieloma laty przyjechał młody prawnik, który wierzył w swój kraj, w swoich rodaków, w wolność, równość i braterstwo. Tak było, dopóki na placu Rewolucji nie zainstalowano gilotyny, dopóki nie ścięto króla, dopóki to, co nazwano oświeceniem, nie pogrążyło się w mroku.

Kiedy oddalili się spory kawał drogi, zauważył na murach miasta trójkolorową francuską flagę jaśniejącą w ostatnich promieniach zachodzącego słońca. Trzy kolory, niebieski, biały i czerwony, na tańczącej z wiatrem tkaninie, która łopocze, jednocześnie trwając przy tym murze. Może więc również ideały, których ta flaga jest symbolem, choć ulotne, coś po sobie pozostawia.

Jeszcze raz ogarnął spojrzeniem znikające w oddali miasto, które przez tyle lat było jego miastem, a teraz żegnało dzień. Połowa Paryża wciąż skąpana w słońcu, druga połowa już bez blasku. I obie piękne aż tak, że jednak w sercu zakłuło. Bo z czymś tak pięknym nie sposób żegnać się bez żalu.

## W cieniu gilotyny

Jean-Luc chował Marie sam. Tylko on, ksiądz i grabarze, którzy złożyli ją w ziemi. Pochował ją tu, na południu Francji, w jej ukochanych stronach, gdzie powietrze przesycone jest zapachem morza, cytrynowych gajów i delikatnymi perfumami z lawendy. Kiedy ksiądz czytał fragment z Księgi Mądrości, Jean-Luc starał się mieć przed oczami taką Marie, jak za życia. Prześliczną, zawsze z roziskrzonym wzrokiem, pełną wigoru. I ciepłą, a nie zimną, nieruchomą w poplamionej pościeli jak tamtego dnia, kiedy wydała na świat ich córeczkę.

Po pogrzebie wrócił tam, gdzie teraz miał dach nad głową, czyli do domu teścia, i w pierwszym rzędzie przytulił do serca swoje dzieci. Podjął już decyzję, że zostaną tutaj, na południu, gdzie dzieci chowają się zdrowo, wygrzane w słońcu i ciepłym morzu. Gdzie wyrastała ich matka, gdzie będą mogły więcej się o niej dowiedzieć niż w Paryżu. I stanie się tak, jak Marie napisała w pożegnalnym liście. Jean-Luc będzie najlepszym ojcem. Zawsze będzie swoje dzieci kochał i chronił, i wychowa je na dzielnych, uczciwych i życzliwych ludzi. Będą takie jak Marie, najlepsza i najczulsza matka i żona. A także człowiek twórczy o otwartym umyśle. I świadoma obywatelka swego kraju.

A co on przekaże swoim dzieciom, jeśli chodzi o ten kraj? Czy nadal będzie wierzyć, że piękne ideały, wolność, równość i braterstwo kształtują nowy naród, i dumny jak paw opowiadać im będzie, jak służył rewolucji?

Tak. Wychowa swoje dzieci w wierze, że dopóki ludzie gotowi są opowiadać się za sprawiedliwością i prawdą, dopóty można mieć nadzieję. A on służyć będzie sprawie z jeszcze większym poświęceniem niż dotychczas.

## EPILOG

### *Katedra Notre Dame*

#### *Paryż*

2 grudnia 1804 r.

Padał śnieg, od Sekwany wiało lodowato, nic jednak nie było w stanie zniechęcić paryżan, których zgromadziły się setki tysięcy, może nawet i cały milion, wokół wspaniałej katedry zniszczonej podczas rewolucji, ale niedawno pięknie odnowionej. Masywne wieże odzyskały zadaszenie, odzyskały więc przedrewolucyjną świetność, a wśród wirujących płatków śniegu wyglądały jeszcze bardziej imponująco. Katedra Notre Dame znów stała dumnie i dla każdego, kto na nią spojrział, była niezbitym dowodem, że dobry Bóg błogosławi Francji i cesarzowi, którego sobie wybrała.

Jean-Luc rozglądał się dookoła, jednocześnie mocno trzymając za rękę synka, tak dla pewności. Natomiast córeczka grzecznie stała przy jego nodze, tylko co pewien czas podskakiwała, jak to dziecko. A on rozglądał się zachwycony uroczystością. Że ludzi tyle i wszyscy tacy radosni. Był też dumny, że wraz z dziećmi przybył tu już przed świtem, kiedy było bardzo zimno i ciemno.

Patrzył, a w pamięci odzywały obrazy z przeszłości. Też tłumy, ale twarze inne. Złe, mściwe twarze ludzi żądnych krwi. A tego dnia są radosne. Ludzie pełni nadziei i w euforii ustawili się po obu stronach drogi, którą miał przejechać Bonaparte z Tuileries do wspaniałej gotyckiej katedry na wyspie na Sekwanie. Stali tam, wymachując trójkolorowymi chorągiewkami, wykrzykując:

– Vive Napoleon! – albo śpiewając hymn.

Bo tego dnia ludzie nie chcieli odbierać nikomu korony, nie chcieli śmierci króla. Tego dnia chcieli, by cesarska korona ozdobiła skronie, z tym że paryski tłum jak zawsze był wyjątkowo głośny i spragniony widowiska.

Napoleon zadbał o każdy szczegół swojej koronacji. Ludzie chcieli, żeby było wspaniale, majestatycznie, i któż mógł o to zadbać lepiej jak nie człowiek, który był głęboko przekonany, że istotnie taka jest wola Boga. Że to on, Napoleon Bonaparte, ma rozwijać republikańskie cnoty jako cesarz. Jak Aleksander Wielki czy Juliusz Cezar, którzy podobnie jak Napoleon sami uczynili siebie bogami. A tego dnia każdy szczegół – od wszędzie porozwieszanych żelaznych orłów po pokaz lotu balonu wypełnionego ogrzonym powietrzem – miał podkreślać jego niepodważalne prawo do cesarskiego tronu.

Jean-Luc przeczytał w gazecie *Le Moniteur*, że ponieważ średniowieczny diadem, którym koronowano francuskich królów, został zniszczony podczas rewolucji, Napoleon kazał wykonać nową koronę wzorowaną na koronie Karola Wielkiego, najpewniej chcąc w ten sposób uciszyć tych, którzy ośmielali się zarzucać mu, że generał z Korsyki nie ma w sobie błękitnej francuskiej krwi. O ile w ogóle ma w sobie błękitną

krw.

Przez cały poranek drogą przejazdu cesarza sunęły złocone powozy wiozące z odległych miast Francji znamienitych obywateli, w tym admirałów, członków Zgromadzenia, kawalerów Legii Honorowej i ministrów. Drżący z zimna paryżanie, już ustawieni po obu stronach drogi, każdego przejeżdżającego dygnitarza witali radosnymi okrzykami. Jean-Luc, kiedy zobaczył muła, a na nim jeźdźca trzymającego wspaniały i wysadzany drogimi kamieniami krucyfiks, pomyślał, że to na pewno nadjeżdża orszak papieski. Tak też było, ponieważ Napoleon zaprosił papieża Piusa VII, który przybył z Rzymu wraz z najpotężniejszymi kardynałami i biskupami. Wyglądało więc na to, że wszyscy, nawet sam Bóg, słuchają Napoleona. A Francuzi wcale nie byli przeciwni przyjazdowi papieża. Po tylu latach ograbiania starych kościołów, konfiskowania relikwii i bezczeszczenia wizerunków Jezusa, zapragnęli powrotu do Boga, do Kościoła, a Napoleon zapowiedział, że tak właśnie się stanie. Chociaż to nie papież włoży mu koronę. Ani papież, ani nikt inny. Zarówno Napoleon, jak i Józefina sami włożą korony. W gazetach naturalnie rozpisywano się na ten temat, uznając, że to skandal. W ogóle wszystko. Matka Napoleona nie przyjedzie, bo nie znosi synowej. Trzy siostry Napoleona też nie chciały przyjechać. Dopiero kiedy zagroził, że skaze je na wygnanie, łaskawie zgodziły się uczestniczyć w uroczystości i nieść tren Józefiny.

Powozy już wjeżdżały plac, znamienici goście wysiadali i śpieszyli do wielkiej katedry, gdzie ściany pozawieszane były złocistymi arrasami i migotały światła tysięcy świec. Tego dnia śpiewał nie jeden chór, a dwa, przy akompaniamencie dwóch orkiestr. Wykonywały święte pieśni skomponowane na tę okazję, więc na całym zatłoczonym placu słychać było trąby, cymbały i bębnienie w kotły.

Jednak wspaniała muzyka ucichła, kiedy ukazał się orszak Napoleona. Na czele jechali jego bracia, siostry, najbardziej zaufani generałowie i doradcy, a za nimi w pewnym oddaleniu lśniący poślaczony powóz, który ciągnęło osiem białych jak śnieg koni. Na powozie wymalowane wielkie „N”. Wsiadli z niego Napoleon i Józefina, oboje w szatach z białego jedwabiu zdobionych złotem i w nieprawdopodobnie długich płaszczach z czerwonego aksamitu obszytych gronostajami. Płaszcz Napoleona ozdobiony był wyszukany haftem, gdzie przede wszystkim znowu widać było wielkie „N” wyszyte złotą nicią. Zgodnie z tym, co pisano w gazetach, złote nici, aksamit i gronostaje kosztowały co najmniej pięćdziesiąt tysięcy franków. Klejnoty, którymi obwieszona była Józefina, również krocie, ale głodujący lud jakoś na to nie narzekał. Przecież Napoleon obiecał, że życie wszystkich obywateli Francji ulegnie poprawie. Pewnie dlatego mało kto pamiętał, że ponad trzysta tysięcy Francuzów zginęło za republikę, a ta republika i tak staje się cesarstwem.

Obok Jean-Luca stał jego stary przyjaciel, były wojskowy André Valière, któremu towarzyszyła żona Sophie i dwóch synów, Remy i Christophe.

- Zadowolony, że to oglądasz? - zawołał Jean-Luc, starając się przekrzyczeć tłum. Przecież André, żeby to zobaczyć, musiał przyjechać z daleka. Kiedy wystąpił z armii, razem z rodziną przeniósł się na północ Francji, by tam, na ziemiach swoich przodków, rozpocząć nowe życie. Niemniej jednak, podobnie jak wielu Francuzów spoza Paryża, przybył tu

## W cieniu gilotyny

wraz z rodziną, by być świadkiem historycznego wydarzenia.

André, kiedy usłyszał to króciutkie pytanie, przypomniał sobie, jak to kiedyś było. Generał gdzieś na pustyni nagradza rannego żołnierza leżącego na wąskim, twardym łóżku. A teraz?

– Oczywiście. Warto było przyjechać. A on ma na sobie trochę więcej kosztowności niż wtedy, gdy widziałem go po raz ostatni. Ale wcale się nie dziwię, że tak to się skończyło, przecież widać to było w jego oczach, tę przyszłość. On należy do tych ludzi, którzy nie tylko drugiego człowieka przejrzą na wylot, ale również widzą przyszłość. Nie tylko widzą, ale potrafią ją ukształtować.

– A swoją przyszłość widzi tylko świetlaną... – odparł Jean-Luc, spoglądając wymownie na André, który pokiwał głową. Przecież obaj słyszeli pogłoski o tym, że Napoleon nie zamierza ograniczyć się do Francji. Chce podbić Anglię, Austrię i iść dalej, na wschód. Czyli Francuzi dalej będą walczyć.

Jean-Luc miał już tego serdecznie dość. Tej wojny, tego wszystkiego. Do Paryża przyjechał tylko po to, by być świadkiem ważnego wydarzenia w historii kraju, a także spotkać się z przyjaciółmi. Natomiast jego dom był w Marsylii. Na chleb zarabiał, prowadząc sprawy zwykłych obywateli, najczęściej zresztą niezbyt skomplikowane, i to mu w zupełności wystarczało.

Nagle ktoś dotknął jego ramienia. Kiedy odwrócił się, zobaczył nieznajomego mężczyznę w czarnym kaftanie i o uderzająco surowej twarzy. Ubrany był w skromny żabot, a na kaftanie na lewej piersi miał wyszyty niewielki emblemat. Była to złocista pszczoła napoleońska, czyli niewątpliwie był urzędnikiem państwowym.

– Jean-Luc St. Clair? – spytał.

– Tak, to ja – odparł zaskoczony, że jakiś obcy człowiek odszukał go w takiej ciżbie.

– Proszę, to do was. Od Jego Cesarskiej Mości. – Podał list opatrzony pieczęcią z cesarskim orłem i odszedł.

Jean-Luc odebrał go drżącą ręką. List od Napoleona! Tego Napoleona, który właśnie był po drugiej stronie placu i salutował, a cały plac wydawał radosne okrzyki. Ale Jean-Luc w ogóle tego nie słyszał, bo całkowicie skupił się na tym liście, wprawdzie krótkim, ale każde słowo nabrzmiało było treścią.

*Oficjalna prośba Jego Cesarskiej Mości, Napoleona I, Cesarza Francji.*

*Wzywamy Was, byście Waszą wiedzę, umiejętności i doświadczenie spożytkowali w służbie Francji.*

Oszołomiony Jean-Luc powoli opuścił rękę, w której trzymał list. W służbie Francji... Przecież właśnie od tego to wszystko się zaczęło. I co teraz? Ma po raz drugi odpowiedzieć na wezwanie i znów dać się wciągnąć w wir rewolucji?

– Tatusiu, co to jest? – spytała mała Mariette, wlepiając w niego przesłiczne oczy, a w sercu Jean-Luca zakłuło. Bo te oczy, wielkie i brązowe, jakby były oczami Marie...

– List, kochanie.

– Od kogo? – dopytywała się dziewczynka, wdzięcznie przechylając główkę na bok. – Od twojego przyjaciela?

– Tego nie wiem. Czas pokaże, czy przyjaciel, czy też nie.

### NOTA OD AUTORÓW

Pisanie tej powieści było jak długa wędrówka krętą drogą. Wyzwanie ogromne, ale i dające wiele radości. Przelanie na papier tego, co zrodziło się w świecie wyobraźni, i to w duecie. Po raz pierwszy byłam współautorką, dla mojego współautora był to również teren nieznan. Żadne z nas nigdy dotąd czegoś takiego nie próbowało, ale postanowiliśmy, że przede wszystkim będziemy partnerami. Idealnymi partnerami, i mamy nadzieję, że książka na tym skorzystała.

Akcja naszej powieści, o czym czytelnik za pewne już wie, rozgrywa się podczas Rewolucji Francuskiej. Samo zbadanie warunków i wydarzeń, które były przyczyną wybuchu rewolucji, Wielkiego Terroru i fazy schyłkowej to ogromne zadanie, któremu wielu poświęciło całe swoje życie zawodowe. Naszym zamierzeniem nie było dokładne zrelacjonowanie wszystkich wydarzeń składających się na to jedno wydarzenie, które wywarło ogromny wpływ na historię współczesną Zachodu. Chcieliśmy napisać frapującą powieść, w której uda nam się oddać atmosferę tamtych jakże burzliwych lat, skupić się na przeżyciach, na uczuciach ludzi z tamtej epoki.

Nasi główni bohaterowie, czyli kwartet – André Valière, Jean-Luc St. Clair, Sophie de Vincennes i Marie St. Clair – to postacie fikcyjne, mimo że ich przeżycia, ich walka są inspirowane prawdziwymi zdarzeniami. W tamtych czasach nie brakowało młodych, pozbawionych przywilejów arystokratów, którzy walczyli w szeregach armii rewolucyjnej, czy młodych prawników idealistów, którzy pracowali dla nowego rządu. Arystokratycznych wdów starających się za wszelką cenę uniknąć gilotyny, i młodych kobiet z głową do polityki, które chwyciły za pióro. Wszyscy ci ludzie tworzyli karty historii, ale żaden z naszych bohaterów nigdy tak naprawdę nie przechadzał się ulicami Paryża.

Nasi główni antagoniści – Nicolai Murat i Guillaume Lazare – są również postaciami fikcyjnymi, choć podobnie jak w przypadku głównych bohaterów, te czarne charaktery z naszej powieści wzorowane są na ludziach z krwi i kości, którzy odegrali szczególną rolę w braniu odwetu na obywatelach osiemnastowiecznej Francji. Inspiracją dla postaci generała Murata był człowiek istniejący naprawdę. To generał Adam Philippe, hrabia de Custine. Oficer z armii francuskiej z arystokratycznego rodu, który brał udział w walce o niepodległość Stanów Zjednoczonych. Przez żołnierzy zwany czule „Generałem Wąsaczem”. Brał udział w bitwie pod Valmy i faktycznie oskarżył potem swego dawnego kolegę, generała François Christophe’a Kellermanna, o „niewystarczające wspieranie jego działań”, z czego Kellermann musiał się tłumaczyć przed Konwentem Narodowym w Paryżu.

Postać Guillaume’a Lazare’a także wzorowana jest na realnych postaciach. Jego żarliwa obrona „ludu”, jego zdecydowane poparcie sponsorowanego przez państwo terroru w imię interesu owego ludu, zapożyczone zostały od Maximiliena Robespierre’a, natomiast

## W cieniu gilotyny

nawoływanie do krwawego rozprawienia się z arystokracją i klerem z mów i pamfletów Jean-Paula Marata. A głęboko zakorzenione poczucie niesprawiedliwości i gniew za doznane krzywdy zostały podebrane Jacquesowi Hébertowi i jego „rozwścieczonej” frakcji w rewolucyjnym rządzie. W owym czasie było zresztą wielu zwolenników masowych egzekucji na terenie całego kraju i nie sposób ich tu wszystkich wymienić. Komitet, o którym mowa w naszej powieści i któremu przewodniczył Guillaume Lazare, wzorowany jest na Komitecie Bezpieczeństwa Publicznego Maximiliena Robespierre'a.

Natomiast generał Kellermann, jeden z bohaterów pierwszej części naszej powieści, to postać prawdziwa. Generał François Christophe de Kellermann pochodził z Alzacji, ze Strasburga i cieszył się wielkim uznaniem (do czasu) jako największy bohater spod Valmy. Został zadenuncjowany przez swego dawnego kolegę, Custine'a, i na trzynaście miesięcy wtrącony do więzienia między innymi za to, że wcale nie był taki chętny do przeprowadzenia masowych egzekucji w zbuntowanym Lyonie. W naszej powieści natomiast, ponieważ uznaliśmy, że dramatyzmu nigdy nie jest za wiele, posłaliśmy Kellermanna na gilotynę, mimo że tak naprawdę wcale go to nie spotkało, w przeciwieństwie do wielu innych francuskich generałów, których wzywano do Paryża i w raczej dziwnych okolicznościach skazywano na śmierć. Podobnie było z wieloma przywódcami politycznymi i obywatelskimi.

Jeśli chodzi o wymiar sprawiedliwości w czasie rewolucji, to warto zwrócić uwagę na kilka rzeczy. Przede wszystkim na gilotynę na placu Rewolucji (przez Napoleona przemianowany na plac Zgody, czyli Concorde), jedną z najlepszych wizytówek Wielkiego Terroru. Wszystkie źródła zgodnie podają, że zgilotynowano wówczas ponad dwadzieścia tysięcy osób (z czego dwa i pół tysiąca przypuszczalnie w Paryżu). W całej Francji w różny sposób zabito blisko trzydzieści tysięcy osób. Terror była to polityka uprawiana przez Komitet Ocalenia Publicznego i Komitet Bezpieczeństwa Powszechnego, które nadzorowały wszystkie aspekty rządzenia, gospodarkę, wymiar sprawiedliwości, politykę militarną i podatki.

Rewolucja tak naprawdę rozpoczęła się w lecie 1789 roku, kiedy do Wersalu zwołano Stany Generalne, a stan trzeci, czyli mieszczaństwo i chłopci, postanowił przeciwstawić się dwóm pierwszym, uprzywilejowanym stanom, czyli duchowieństwu i arystokracji. Stan trzeci, obożony podatkami i cierpiący głód, domagał się równości podatkowej i udziału we władzy. Jednak król Ludwik XVI nie zamierzał iść na kompromis, bo to uderzyłoby w jego boskie prawo królów do sprawowania władzy absolutnej.

W odpowiedzi na to, co wydarzyło się w Wersalu, tuż pod Paryżem oburzeni paryżanie zbuntowali się przeciwko władzy monarchii i czternastego lipca zdobyli Bastylię, ciężkie, znienawidzone więzienie, i ten dzień stał się we Francji świętem narodowym. W ciągu następnych trzech lat uczucia patriotyczne były coraz silniejsze, rewolucyjna gorączka szerzyła się po całym kraju, a król, królowa i wierni im arystokraci coraz bardziej izolowani i zastraszani przez takich ludzi jak Maximilien Robespierre, Georges Danton, Jean-Paul Marat i Camille Desmoulins. Ci popularni rewolucjoniści, rozprowadzając po mieście

## W cieniu gilotyny

pamflety i wygłaszając płomienne mowy przed rozentuzjasmowanym tłumem, domagali się więcej ustępstw ze strony króla i więcej władzy dla ludzi, zwłaszcza tych, którzy mieli zmysł polityczny.

W czerwcu 1791 roku, z powodu coraz większej wrogości do władzy monarszej, król Ludwik XVI wraz z rodziną próbował uciec z kraju. I tą właśnie nieudaną ucieczką do Varennes przypieczętował swój los. W oczach ludu Ludwik i jego żona Austriaczka porzucili swój kraj i niewątpliwie, tak jak władcy obcych krajów, chcieli odebrać francuskiemu ludowi wywalczone przez ten lud swobody obywatelskie, nie mają więc prawa rządzić. Minęło półtora roku, król i królowa zostali zgilotynowani, a zimą 1793 roku władzę przejął Terror.

Nasza opowieść zaczyna się zimą w 1792 roku, czyli król i królowa są po próbie ucieczki, a w kraju już trzeci rok trwa rewolucja. Rządy Terroru, jak to zwykli określać historycy, jeszcze się nie zaczęły. Bo faktycznie gilotyna na placu Rewolucji na stałe została zainstalowana w maju 1793 roku. My pozwoliliśmy sobie przewozić tam skazańców już na początku naszej opowieści.

Terror został powstrzymany przez przewrót termidoriański w lipcu 1794. Maximilien Robespierre i dwudziestu jeden jego sojuszników zostało zgilotynowanych („termidoriański” od „termidor”. Tak nazywał się ten miesiąc w kalendarzu republikańskim). Nadal jednak przez wiele lat dochodziło do starć i aktów przemocy.

Po przewrocie termidoriańskim uformowano nowy, pięcioosobowy rząd rewolucyjny zwany Dyrektoriatem. Władzę ustawodawczą sprawował dwuizbowy parlament, izba wyższa, czyli Rada Starszych, i izba niższa, zwana Radą Pięciuset, do której Gavreau chciał zarekomendować Jean-Luca i która została zlikwidowana, kiedy Napoleon Bonaparte w 1799 roku obwołał się Pierwszym Konsulem. Do tej pory był po prostu młodym korsykańskim oficerem służącym w armii francuskiej. Ale oficerem, który zrobił oszałamiającą karierę. W 1792 roku młody Bonaparte widział na własne oczy, jak w Paryżu zaczęły się rozruchy, co go przeraziło, ale zarazem utwierdziło w przekonaniu, że we Francji należy wiele zmienić. Po raz pierwszy o Napoleonie zrobiło się głośno w 1794 roku, kiedy republikanie przystąpili do oblężenia Tulonu, miasta portowego na południu Francji zdominowanego przez rojalistów wspieranych przez Anglików i Hiszpanów, których statki wojenne stały już w tulońskim porcie. Dowództwo nad artylerią prawego skrzydła powierzono młodemu kapitanowi artylerii, Napoleonowi Bonaparte, znajomemu młodszego brata Maximiliena Robespierre'a. I w tym starciu młody kapitan zabłysnął zmysłem organizacyjnym i taktycznym. Okazał się znakomitym oficerem artylerii podczas walki trwającej blisko trzy miesiące i zakończonej zwycięstwem republikańców. A młody, ubogi kapitan został awansowany do stopnia generała brygady, zyskując wielki rozgłos w całym kraju. Był niewysoki, nazywano go więc „małym kapralem”, i to właśnie owego „małego kaprała” chciał zobaczyć Remy. Tego bardzo młodego, bo wówczas zaledwie dwudziestoczteroletniego generała pochodzącego z Korsyki, który później wspiął się na same szczyty i zmienił bieg historii.

W 1795 roku, po okresie krótkim, lecz nieciekawym, bo był to czas niepokoju i nawet desperacji, generał Bonaparte – który swoje nazwisko



## W cieniu gilotyny

kazał wymawiać już po francusku – ponownie rzucił się w wir wydarzeń, dzięki czemu znów okrył się sławą, choć nie brakowało tych, którzy nie szczydziли mu słów potępienia. W rozdziale 17 naszej powieści Jean-Luc ucieka przed makabryczną sceną na ulicy, przepychając się przez tłum skandujący na cześć generała Bonaparte, który przybył do Paryża. Ten epizod oparty jest na prawdziwym wydarzeniu znanym jako nieudany zamach Trzynastego Vendémiaire'a (w kalendarzu rewolucyjnym październik), kiedy to rojaliści zamierzali przypuścić szturm na siedzibę rządu i go obalić. Sytuację opanował generał Bonaparte, który kazał strzelać do nacierającego tłumu z armat. Zginęły setki ludzi, ale rząd został uratowany, czemu przyklasnęła cała Francja. Uważny czytelnik niewątpliwie zauważy, że w naszej powieści wydarzyło się to rok wcześniej. Przepraszamy za tę samowolę, ale stało się tak ze względów artystycznych.

A potem nadszedł rok nieprawdopodobnych zwycięstw armii francuskiej, zwanej „Armią Italii”, w walce z Cesarstwem Austriackim i jego sprzymierzeńcami. Armią tą dowodził generał Bonaparte i kiedy rok minął, osiągnął już pozycję, o jakiej marzył przez całe życie. Wobec podbitych miast włoskich był bezwzględny, dzięki czemu francuski skarbiec, opustoszały po latach rewolucji, systematycznie napełniał się złotem, srebrem i wszelkiego rodzaju kosztownościami. A bardzo już popularny generał chętnie przytaczał słowa swego ulubionego bohatera, Aleksandra Macedońskiego, który twierdził, że fortuna sprzyja bogatym, i mógł już zmierzać pewnym krokiem ku swemu przeznaczeniu. Ponieważ jego plan przepłynięcia przez kanał La Manche i zaatakowania Anglików, czyli największego wroga Francji, nie powiódł się, oczy Napoleona zwróciły się w inną stronę, na nową zdobycz, dzięki której skończy się hegemonia Wielkiej Brytanii na morzu, Brytyjczycy zostaną też odcięci od dalekich kolonii, takich jak Indie. Tym łakomym kąskiem był Egipt.

W naszej powieści skazany na wygnanie André Valière, w tym czasie odbywający służbę jako marynarz pokładowy na fregacie wojennej *l'Esprit de Liberté*, bierze udział w nowej wyprawie wojennej generała Bonaparte. Przebieg kampanii w naszej książce jest dokładnie taki, jaki był w rzeczywistości. Najpierw dwa tygodnie morderczego marszu po gorącym piasku pustyni w Afryce Północnej, podczas którego setki, o ile nie tysiące francuskich żołnierzy pożegnało się z życiem. Zdaniem wielu dlatego, że młody generał przecenił możliwości francuskich żołnierzy i nie spodziewał się, że ten długi marsz przez pustynne piaski zbierze takie żniwo. Bitwa pod piramidami była wielkim zwycięstwem Francuzów nad znacznie przeważającymi liczebnie mamelukami, potem jednak, jak wiemy, nie powiodło się, ponieważ flota francuska pokonana została przez flotę brytyjską pod dowództwem admirała Nelsona. Francuzi stracili więc statki, i większość żołnierzy, którzy przeżyli, nie miała jak wrócić do domu. Wrócili dopiero w 1801 roku, kiedy pojмали ich Brytyjczycy.

Ta opowieść wiele dla nas znaczy, bo jesteśmy miłośnikami historii, poza tym mamy korzenie francuskie, które sięgają naprawdę głęboko. Allison mieszkała w Paryżu, Owen w Londynie (i dzięki Eurotunelowi przemieszczała się do Paryża błyskawicznie). Mamy wielu krewnych

## W cieniu gilotyny

w Paryżu, a także porozrzucanych po całej Francji, dlatego tę powieść traktujemy jako część naszego francuskiego dziedzictwa.

Rewolucja francuska, podobnie jak amerykańska, niekiedy sięgała również po najwyższe ideały ludzkości. Przecież z tamtych okrutnych czasów wywodzą się symbole narodowe Francji – hymn państwowy (Marsylianka), trójkolorowa flaga i hasło „Wolność, równość i braterstwo”. Niemniej naszym zdaniem to, co wówczas się we Francji wydarzyło, to przede wszystkim spirala strachu, chaosu i okrutna rzeź.

Mamy nadzieję, że w naszej opowieści udało nam się oddać zarówno lepsze strony natury człowieka, jak i przerażające akty przemocy, przerażającą skrajność. Jasność i ciemność, nadzieję i jej brak. My natomiast mamy nadzieję, że powieść zaciekawi czytelnika i wzbogaci jego wiedzę, że nie będzie stratą czasu. Przeciwnie, dostarczy przeżyć i skłoni do przemyśleń. Bo przecież dzięki takim opowieściom nie tylko poznajemy przeszłość, lecz także łatwiej nam zrozumieć czasy, w których przyszło nam żyć.

### PODZIĘKOWANIA

Jesteśmy bardzo wdzięczni licznym członkom naszej rodziny oraz koleżankom i kolegom, którzy pomogli nam w pisaniu tej książki. Specjalne podziękowania należą się naszej agentce Lacy Lynch i całemu zespołowi z Dupree Miller & Associates oraz naszej redaktorce, Karze Cesare, także Avideh Bashirrad, Leigh Marchant, Loren Noveck, Sally Marvin, Marii Braeckel, Andrei deWerd, Emmie Caruso, Michelle Jasmine, Samancie Leach, Allyson Pearl, Ginie Centrello i całemu zespołowi z The Dial Press i Random House, czyli Lindsay Mullen, Katie Nuckolls, Jordanowi Duganowi, Allyssi Conrardy. Oraz całej ekipie Prosper Strategies.

Dziękujemy niezliczonym historykom, kustoszom, tłumaczom i biografom, którzy pomogli nadać sens i rzucić światło na jeden z najbardziej dramatycznych, nieprzewidywalnych i skomplikowanych okresów we współczesnej historii Europy Zachodniej. Zawsze będziemy im wdzięczni i darzyć będziemy największym podziwem.

Mamy mnóstwo wspaniałych, zawsze pomocnych przyjaciół, tak samo wielu kochających krewnych, którzy dodawali nam otuchy na każdym kroku. Tym, którzy byli zainteresowani naszym projektem i wspierali go, zwłaszcza tym, którzy robili to od samego początku naszych literackich zmagień – sami wiecie, o kogo chodzi – jesteśmy dozgonnie wdzięczni.

A ponieważ w książce jest i o mroku, i o jasności, muszę jeszcze coś dodać. Lily, dla swoich rodziców ty, kochanie, świecisz najjaśniej!

Ponieważ w książce nie ma wyczerpującej bibliografii, uznaliśmy za stosowne przekazać czytelnikom spis książek i innego rodzaju dzieł, które podczas naszych prac badawczych z zakresu historii i kultury Francji okazały się wyjątkowo pomocne i inspirujące.

Charles Dickens „Opowieść o dwóch miastach”

„Danton” film Andrzeja Wajdy

„Piechota francuskiej armii rewolucyjnej: 1789-1802” z serii Osprey Men at Arms

Victor Hugo „Nędznicy”

„Rewolucja Francuska. Lata świetlane” film

„Rewolucja Francuska. Lata straszne” film

Andrew Roberts „Napoleon”

Alan Schorn „Napoleon Bonaparte”

„Kampanie egipskie Napoleona: 1789-1801” z serii Osprey Men at Arms

Thomas Carlyle „Rewolucja Francuska”

Leo Gershoy „Rewolucja Francuska i Napoleon”

Tom Reiss „Czarny hrabia: chwala, rewolucja, zdrada i prawdziwy hrabia Monte Christo”

William Doyle „Korzenie Rewolucji Francuskiej”

## O AUTORACH

ALLISON PATAKI jest autorką bestsellerowych powieści *Sisi*, *Żona zdrajcy* i *Zesarzowa mimo woli*. Jej powieści zostały przetłumaczone na kilkanaście języków. Studiowała anglistykę na Uniwersytecie Yale. Studia ukończyła z wyróżnieniem i zanim została pisarką, przez kilka lat pracowała jako dziennikarka m.in. dla *New York Times*, *ABC News*, *The Huffington Post*, *USA Today* i *Fox News*. Jest członkiem Towarzystwa Powieści Historycznej. Razem z mężem i córką mieszka w Chicago. Żeby skontaktować się z autorką i uzyskać więcej informacji, proszę odwiedzić:

AllisonPataki.com

Twitter:@AllisonPataki

OWEN PATAKI studiował historię na Uniwersytecie Cornella. Studia ukończył w 2010 roku. Porucznik Armii Stanów Zjednoczonych wysłany do Afganistanu. Po zakończeniu służby wojskowej studiował w szkole filmowej w Londynie, pracował też dla Weinstein Company i asystował przy produkcji kilku filmów. Obecnie mieszka w Nowym Jorku i pracuje jako scenarzysta i filmowiec.

## W cieniu gilotyny

[1] Sięgający do kolan dopasowany kaftan z długimi rękawami.

[2] Sou – dawna drobna moneta francuska.

[3] Palais de Justice – siedziba najważniejszych organów wymiaru sprawiedliwości we Francji.

[4] Comité de salut public – nadzwyczajny organ wykonawczy powołany w kwietniu 1793 r. w celu opanowania kryzysu państwa.

[5] Comité de sûreté générale – powołany w 1793 r. organ wykonawczy realizujący jakobińską politykę terroru.

[6] Redingot – rozszerzany od pasa w dół męski płaszcz z pelerynką i wysokim kołnierzem lub damski płaszcz o podobnym kroju.